

**Autorka bestsellerów numer 1
„New York Timesa”
dla miłośniczek Tess Gerritsen**

LISA JACKSON

**NIE
CHCESZ
WIEDZIEĆ**



Jackson Lisa

Nie chcesz wiedzieć

Przed dwoma laty wysepka u wybrzeży Oregonu była świadkiem dramatycznych wydarzeń, kiedy seryjny morderca kobiet uciekł ze szpitala psychiatrycznego. Wkrótce potem szpital zamknięto. Przesłpccy nigdy nie schwymano.

W życiu Avy rozegrał się wtedy jednak inny dramat...

W snach Avy jej synek wygląda tak samo jak wtedy, gdy widziała go po raz ostatni. Ale na jawie za każdym razem na nowo boleśnie przeżywa swoją tragedię: Noah zniknął bez śladu dwa lata temu.

Więc jak to możliwe, że nocą słyszy jego płacz, a w sennych koszmarach widzi, jak Noah biegnie po pomoście, jak jest coraz bliżej krawędzi

To skutek traumy, przekonują psychiatrzy. Ale Ava nie może się oprzeć wrażeniu, że mąż, rodzina i terapeuta nie mówią jej wszystkiego.

Nagle znów ktoś zaczyna mordować kobiety - które Ava dobrze znała. A na wyspie pojawia się tajemniczy mężczyzna.



Prolog

I znowu zjawily się sny.

Szary, pochmurny dzień, jestem w kuchni, rozmawiam z kimś przez telefon... i tu wkradają się różnice; czasami jest to Wyatt, mój mąż, czasami mama, choć przecież już od wielu lat nie żyje. Ale tak to jest...

Z kącika śniadaniowego w pokoju tuż obok kuchni, tu, w tym domu, dobiega szum telewizora, słyszę piskliwe głosiki z kreskówek i wiem, że Noah bawi się zabawkami na dywaniku przed płaskim ekranem.

Upiekłam chleb - kuchnię nadal wypełnia ciepło od pieca - a moje myśli krążą wokół Święta Dziękczynienia. Zerkam w okno i widzę, że nadciąga ciemność, zmierzch jest tuż-tuż. Pewnie jest też zimno, drzewa dygocą na wietrze, ostatnie liście uparcie czepiają się cienkich, szkieletowatych gałęzi. Miasteczko Anchorville po drugiej stronie zatoki jest niewidoczne - spowija je mgła.

Ale tu, w starym domu, który zbudował mój praprapradziadek, jest przytulnie.

Bezpiecznie.

Pachnie cynamonem i gałką muszkatołową.

I nagle kątem oka dostrzegam jakiś ruch na zewnątrz. W pierwszej chwili myślę, że to Milo, nasz kot, ale zaraz przypominam sobie, że Milo, piękny rudy kocur, nie żyje. Od wielu lat.

Mrużę oczy i nagle ogarnia mnie strach. Przez mgłę nadciągającą od morza niczego nie widać, ale wiem, po prostu wiem, że coś tam jest, w ogrodzie, za marnym różanym żywopłotem; dostrzegam zaledwie kilka wątych płatków wśród cierni.

Trzask.

Przeszywa mnie dreszcz, gdy na werandzie przemyka cień. Przez ułamek sekundy obawiam się, że gdzieś tam, za ogrodzeniem z prętów z kutego żelaza, czai się zło.

Trzask. Łup. Furtka otwiera się i kołysze pod naporem wiatru.

I wtedy widzę Noaha, mojego synka, w bluzie z kapturem i džinsach z podwiniętymi nogawkami. Jakimś sposobem wydostał się z domu, wyszedł z ogrodu przez otwartą furtkę i teraz, o zmroku, biegnie radośnie, jakby coś gonił, w stronę mola.

Nie!

Upuszczam słuchawkę.

Jakby przez mgłę widzę, jak przewracam szklanę z wodą.

Odwracam się gwałtownie, przekonana, że mi się zdawało, że Noah siedzi na dywaniku przed telewizorem... i widzę pustkę; na ekranie nadal leci kreskówka Disneya - chyba *Aladyn*.

- Noah! - krzyczę na całe gardło i rzucam się biegiem. Jestem w piżamie, mam wrażenie, że stopy grzęzną mi w piasku;

pędzę przez ten cholerny dom jak w zwolnionym tempie, ale ilekroć mijam okno wychodzące na zatokę, widzę go, jak biegnie przez zapadający zmrok, jak z każdym krokiem zbliża się do wody.

Walę pięścią w szybę.

Szkło pęka.

Tryska krew.

Noah nadal mnie nie słyszy. Usiłuję otworzyć okna na werandzie wychodzącej na zatokę. Ani drgną jakby warstwy starej farby zamknęły je na zawsze. Po szybach spływa krew.

Brnę naprzód. Krzyczę do syna, wołam Wyatta, biegnę do drzwi. Są otwarte; kołyszą się na wietrze i skrzypią niemiłosiernie, gdy wypadam na werandę.

- Noah!

Plączę. Zanoszę się rozpaczliwym szlochem. W panice potykam się na schodach, mijam zalane deszcze rododendrony i smagane wiatrem sosny, rosnące na tej przeklętej wyspie, którą nazywałam domem przez większą część mojego życia.

- Noah! - krzyczę znowu, ale ryk fal zagłusza mój głos i nigdzie nie widzę synka; zniknął mi z oczu za żywopłotem martwych róż, pochłonęły go kłęby mgły.

O Boże, nie... błagam, niech nic mu się nie stanie!

Otacza mnie chłód Pacyfiku, ale to nic w porównaniu z lodem w sercu. Biegnę ścieżką wysypaną kawałkami muszli ostryg i małży, tak ostrymi, że kaleczą skórę, wpadam na gładkie deski mola. Biegnę na koniec, tam gdzie keja wbija się w mgłę, jakby zawisła w powietrzu.

- Noah! - Na miłość boską. - Noah! Nie ma nikogo.

Molo jest puste. Zniknął.

Rozpłynął się we mgle.

- Noah! Noah! - Staję na skraju mola i wołam go na cały głos. Po policzkach płyną mi łzy, po rozciętej dłoni - krew; krople spadają do ciemnej wody. - Noah!

Fale załamują się na płyciźnie i wściekle uderzają o brzeg. Mój synek zniknął.

Pochłonęło go morze albo mgła, sama już nie wiem.

- Nie, nie, nie... - Jestem przerażona, zrozpaczona, strach mnie przygniata, osuwam się na kolana, wpatruję w wodę, zastanawiam się, czy nie skoczyć w lodowatą głębię i nie położyć kresu temu wszystkiemu. - Noah... Boże, miej go w swojej opiece...

Moją modlitwę zagłusza wiatr. I wtedy się budzę.

Leżę w łóżku, w którym śpię od wielu lat. Przez ułamek sekundy czuję ulgę. To sen, to tylko sen. Koszmarny sen.

A potem powraca rozpacz, gdy przypominam sobie prawdę. Coś znowu ściska mnie za serce. Oczy wypełniają się łzami. Bo już wiem.

Mój synek naprawdę zaginął. Przepadł. Po raz ostatni widziałam go dwa lata temu. Na pomoście? W łóżeczku?

Na dworze, w cieniu świerków?

O Boże, myślę i czuję, jak serce mi pęka.

Nie pamiętam.

Rozdział 1

Mówię poważnie, nikomu ani słowa - szepnął cichy, gardłowy głos. -Bo jeszcze stracę pracę.

Ava Garrison uniosła zapuchniętą powiekę. Z posłania słyszała głosy dobiegające zza lekko uchylonych masywnych drewnianych drzwi.

- Sama nie wie, co się dzieje - odparł inny głos, niższy, bardziej ochrypły niż pierwszy, i Ava była niemal pewna, że go rozpoznaje. W czaszce narastał ból, senny koszmar rozplątywał się w podświadomości. Ból ustąpi, jak zawsze, ale w pierwszych chwilach po przebudzeniu czuła się, jakby w jej głowie galopowało stado podkutych ogierów.

Odetchnęła głęboko, zamrugła. W pokoju było ciemno, bo zaciągnięto zasłony, a pomruki staroświeckiego pieca, który tłoczył ciepłe powietrze, zagłuszały strzępy rozmowy za drzwiami.

- Cicho... zaraz się obudzi - znowu Gardłowy Głos. Ava usiłowała przypomnieć sobie, do kogo należy, i wydawało jej się, że do Demetrii, posępnej opiekunki Jewel-Anne. Demetria, wysoka, szczupła, niespełna trzydziestoletnia, farbowała włosy na czarno i spinała je ciężką kłamrą u nasady karku. Jej jedyną ekstrawagancją był ledwie widoczny tatuaż, ciemna smuga wymykająca się spod koka, by musnąć ucho. Avie zawsze kojarzyła się z nieśmiałą ośmiornicą, która powoli, jakby z wahaniem wysuwa jedną mackę z bezpiecznej kryjówki pod czarnymi włosami i szylkretową spinką.

- No więc, co się dzieje? Co się z nią dzieje? - zapytał drugi głos. O Boże, czyżby to Khloe? Ava poczuła ukłucie zdrady; wiedziała,

że rozmawiają o niej, a Khloe to jej pierwsza, najlepsza przyjaciółka. Dorastały razem na tej odciętej od świata wyspie. Ale to było dawno, wiele lat przed tym, zanim pogodna, spokojna Khloe zmieniła się w nieszczęśliwą, zgorzkniałą kobietę, która za żadne skarby świata

nie potrafiła zacząć żyć na nowo, gdy przedwcześnie straciła wielką miłość.

I znowu szepty...

No jasne. Nagle wydało jej się, że chcą, żeby je usłyszała, że ją prowokują. Słyszała tylko fragmenty, tyleż bolesne, co prawdziwe.

- .. .powoli traci rozum... - Znowu Khloe?

- 1 to od lat. Biedny pan Garrison. - Gardłowy Głos. Khloe, o ile to ona, zgodziła się z nią.

- He on już wycierpiał.

Wyatt? Wycierpiał? Czyżby? Mężczyzna, który, jak się zdawało, postawił sobie za cel, by zawsze być nieobecny? Mężczyzna, z którym już nieraz chciała się rozwieść? Ava nie wierzyła, żeby przecierpiał choćby jeden dzień w całym swoim życiu. Chciała to wykrzyczeć, ale chciała też usłyszeć, co jeszcze powiedzą, jakie jeszcze plotki krążą po wyłożonych boazerią korytarzach Neptune's Gate, stuletniego domostwa zbudowanego i ochrzczonego przez jej pradiada?

- No cóż, trzeba coś z tym zrobić. Jakkolwiek było, są niewiarygodnie bogaci! - mruknęła jedna z nich. Jej słowa cichły, w miarę jak się oddalała.

- Ciszej, na miłość boską. Wiadomo, że rodzina zadba, aby miała jak najlepszą opiekę...

Rodzina?

Mimo pulsowania w głowie Ava odrzuciła ciężką kołdrę i opuściła stopy ma gruby, puszysty dywan przykrywający drewnianą podłogę. Świerk... świerkowe deski, przypomniawszy sobie, pocięte w tartaku, który kiedyś stanowił serce wyspy Church, nazwanej tak bez krzty skromności przez tego samego pradiadka, który zbudował ten dom. Jeden krok, drugi, trzeci... straciła równowagę i złapała się łóżka.

- Wszyscy w tej rodzinie... czekają na odpowiedzi...

- Jak my, prawda? - Gorzki śmiech. Boże, błagam, oby to nie była Khloe.

- Owszem, ale do nas nie należy nawet skrawek tej cholernej wyspy.

- No, to by było coś... No wiesz, mieć kawałek. - Słyszała nuty żalu w cichnym głosie.

Ava zrobiła kolejny krok i fala mdłości podeszła jej do gardła. Obawiała się, że zwymiotuje, czuła już żółć na języku, ale z trudem przełknęła, odetchnęła głęboko i opanowała torsje.

- To wariatka, ale on jej nie zostawi - powiedziała jedna z kobiet, nie wiedziała już, która, i znowu w tych bolesnych słowach przebijała prawda. W myślach przeklinała kiepską pamięć i pusty umysł.

- Kiedyś była taka bystra, najlepsza, nie tylko świetna studentka, ale też zdolna kobieta interesu, znająca się na... na... na czym właściwie?

Zacisnęła zęby, z trudem dowlokła się do drzwi, wyjrzała na korytarz. I rzeczywiście, na schodach ujrzała dwie kobiety, powoli znikające z pola widzenia. Tylko że żadna z nich nie była Khloe. Były to Virginia Zanders, matka Khloe - dwa razy większa niż jej córka - kucharka w Neptune's Gate, i Graciela, pokojówka na przychodne, która chyba wyczuła, że Ava je obserwuje, bo obejrzała się przez ramię i posłała jej uśmiech tak nafaszerowany słodyczą, jak mrożona herbata serwowana przez Virginie w upalne gorące dni. Graciela stanowiła całkowite przeciwieństwo swojej towarzyszki; była drobna i miała lśniące czarne włosy zebrane w kok u nasady karku. Jeśli chciała, uśmiechała się olśniewająco, ale dzisiaj grymas na jej twarzy przypominał raczej uśmiech kota z Cheshire, jakby znała mroczne, starannie skrywane tajemnice.

Dotyczące pracodawczyni.

Ava poczuła, jak włoski na rękach stają jej dęba. Zimno skradało się powoli, pełzło jak wąż wzdłuż kręgosłupa. Zanim obie kobiety zniknęły za załomem korytarza, a ich kroki ucichły, wydawało jej się, że ciemne oczy Gracieli rozbłysły tajemną wiedzą.

Ava szybko zamknęła drzwi; usiłowała też przekręcić klucz w zamku, dopóki nie zorientowała się, że klucza nie ma, a dziurkę zasłania metalowa płytką.

- Litości, Boże - szepnęła, oparła się o drzwi i wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić.

Nie poddawaj się. Nie stań się ich ofiarą. Walcz!

- Ale z czym? - zapytała ciemności. Rozzłoszczona swoim stanem i nastawieniem, podeszła do okien. Od kiedy taka z niej słabeuszka? Od kiedy, do cholery? Przecież zawsze była silna. Niezależna. Ona, dziewczyna, która uganiała się konno skrajem urwiska, wspinała się na najwyższy szczyt na wyspie, pływała nago w lodowatych, spienionych wodach Pacyfiku, który wirował i kipiał u wybrzeży. Pływała na desce, wspinała się i... i to wszystko działo się co najmniej sto... nie, tysiąc lat temu.

A teraz tkwiła uwięziona tutaj, w tym pokoju, a wszyscy ci ludzie bez twarzy mówili szeptem, przekonani, że ich nie słyszy, choć to nieprawda, oczywiście; pewnie, że wszystko słyszała.

Czasami zastanawiała się, czy wiedzą, że się obudziła, czy drażnią ją specjalnie. Może ich ciche, łagodne głosy to część oszustwa, koszmarnego labiryntu bólu, z którego nie ma ucieczki.

Nie ufała nikomu - i wtedy sobie przypomniała, że to część jej paranoi. Jej choroby.

Ból zaślepił. Osunęła się na materac okryty drogim prześcieradłem i czekała, aż ustąpi. Chciała podnieść głowę, ale nie pozwalał na to przeszywający ból. Zagryzła usta, żeby nie krzyknąć.

Nikt nie powinien tak cierpieć. Czy na takie dolegliwości nie ma środków przeciwbólowych? Leków na migrenę? Przecież łyka mnóstwo tabletek; nie mogła opędnąć się od myśli, że ten koszmarny ból jest ich skutkiem, a nie niepokonanym przeciwnikiem.

Nie pojmowała, dlaczego wszyscy zawzięli się, by ją dręczyć, dlaczego robili, co w ich mocy, aby uznała, że oszalała. Oni wszyscy: pielęgniarki, lekarze, pokojówka, prawnicy i mąż - Wyatt już na pewno.

O Boże... przecież to szaleństwo.

Może naprawdę straciła rozum?

Z najwyższym wysiłkiem zebrała się w sobie i po raz drugi wstała z łóżka. Wiedziała, że z czasem przeraźliwy ból głowy zacznie ustępować. Zawsze tak było. Ale zaraz po przebudzeniu był nie do zniesienia.

Oparła się o łóżko i podeszła do okna, rozsunęła zasłony, podniosła żaluzje.

Był szary, ponury dzień, taki sam jak... jak tamten straszny dzień, kiedy Noah...

Nie myśl o tym!

Nie ma sensu przypominać sobie najgorszych chwil w życiu.

Zamrugła szybko, zmusiła umysł do powrotu do terażniejszości i wpatrywała się w zamglone szyby z piętra eleganckiej niegdyś rezydencji. Jesień ustępowała zimie, zauważyła, wpatrując się w dal, w stronę pomostu, tam gdzie zapadał zmrok i gdzie upiorne palce mgły otaczały ciemne deski.

To nie rano, lecz późne popołudnie, zrozumiała nagle, choć coś jej tu nie pasowało. Przespała wiele godzin... może wiele dni?

Nie myśl o tym; teraz przecież nie śpisz.

Przyłożyła dłoń do zimnej szklanej tafli i nieco spokojniej rozejrzała się dokoła. Nad brzegiem przycupnął hangar na łodzie, poszarzały ze starości. Dok otwierał się na wzburzone wody zatoki. Był przyływ, spienione fale rozbijały się o brzeg.

Zupełnie jak wtedy.... O Boże.

Dreszcz, lodowaty jak bezdenne morze, przeszywał ją od stóp do głów. Wewnętrzny dreszcz. Serce stanęło w piersi.

Jej oddech kładł się mgłą na szybie, gdy stanęła bliżej okna. Poczula w karku znajome łaskotanie; wiedziała, co się zaraz wydarzy. Proszę...

Zmrużyła oczy, wpatrzona w pomost.

Tak, jest tam, jest jej malutki synek. Biegnie do krawędzi pomostu, ledwie widoczny w upiornej mgle.

- Noah - szepnęła, nagle przerażona. Jej dłoń zsunęła się z szyby w przypląwie paniki. - O Boże, Noah!

Wcale go tam nie ma. Umysł płata ci figle.

Ale przecież nie mogła ryzykować. Jeśli tym razem, tym jednym, jedynym razem, to naprawdę jej synek? Stał do niej tyłem, widziała, jak czerwona bluza z kapturem pociemniała od wilgoci. Ten widok ścisnął ją za serce.

- Noah! - krzyknęła, uderzając dłonią w szybę. - Noah, wracaj! Gorączkowo usiłowała otworzyć okno, ale chyba zabito je gwoździami.

- No, dalej, dalej - zaklinała, mocując się z klamką, aż połamała sobie paznokcie. Cholerna rama ani drgnęła. - O Boże...

Strach dodawał jej sił. Jednym ruchem otworzyła drzwi, wybiegła z pokoju i skierowała się do schodów. Jej bose stopy rytmicznie uderzały o drewnianą posadzkę. Biegła, biegła coraz szybciej, zdyszana, z dłonią na poręczu. Noah, kochane maleństwo. Noah!

Wpadła do kuchni, stamtąd tylnymi drzwiami na werandę i jeszcze dalej, na dwór.

Nadal biegła, choć dokoła zapadał już zmrok.

- Noah! - krzyczała, mijając rabaty pełne chwastów, uschnięte krzewy różane i zalane deszczem paprocie, by jak najprędzej dotrzeć na brzeg, tam, gdzie ciemność i mgła spowijały kraniec pomostu. Dyszała ciężko, wołała synka po imieniu, chcąc za wszelką cenę go zobaczyć, widzieć, jak odwraca się i patrzy na nią z wiarą i ufnością w szeroko otwartych oczach...

Na pomoście nikogo nie było. Mgła kłębiła się w cieniach nad wodą, w oddali niosły się krzyki mew.

- Noah! - krzyczała, biegnąc po śliskich deskach. - Noah! Przecież go widziała! Naprawdę!

Och, skarbie...

- Noah, gdzie jesteś? - wołała przez łązy i wiatr. Stała na krańcu mola, deski boleśnie wbijały jej się w stopy. - Syneczku, to ja, mama...

Ostatnie rozpaczliwe spojrzenie na pomost i hangar upewniły ją, że zniknął. Nie wahała się, wskoczyła do lodowatej wody. Poczula, jak ogarnia ją przenikliwy chłód, jej usta wypełnił słony smak, gdy rozpaczliwie młóciła wodę rękami, szukając synka w mrocznej toni.

- Noah! - krzyczała, krztusząc się i prychając, ilekroć wypłynęła na powierzchnię. Znowu zanurkowała w ciemność i jeszcze raz, i jeszcze; przeszukiwała mętną wodę, rozpaczliwie łudząc się, że znowu zobaczy synka.

Błagam cię, Boże, pomóż mi go odnaleźć, błagam! Niech nie umiera! To niewinne dziecko, to ja zgrzeszyłam! Błagam cię, słodki Jezu...

Wypływała na powierzchnię i nurkowała ponownie, raz za razem, pięć, sześć, siedem razy. Jej koszula uniosła się jak balon wypełniony wodą, z włosów zsunęła się gumka, w miarę jak oddalała się od pomostu, dopadało ją zmęczenie. Z trudem wynurzyła się po raz kolejny i z oddali usłyszała głos.

- Ej! - zwołał mężczyzna. - Ej!

Znowu zanurkowała, otulona włosami. Oczy piekły od słonej wody, płuca płonęły, wypełnione powietrzem do granic wytrzymałości. Gdzie on jest? Noah, syneczku...

Nie mogła oddychać, ale nie mogła też przestać szukać. Musi go odnaleźć. Świat spowijały ciemności i chłód, Noah był coraz dalej.

Ktoś zanurkował koło niej.

Poczula, jak silne ramiona zaciskają się na jej klatce piersiowej. Była słaba, na granicy omdlenia, ale ktoś ciągnął ją w górę. Widziała bąbelki powietrza uciekające z jej ust.

Wypłynęli na powierzchnię. Kaszłała, krztusiła się, dyszała ciężko, a gdy otworzyła oczy, napotkała surowe, przenikliwe spojrzenie nieznanego mężczyzny.

- Oszalałaś?! - wrzasnął, odgarniając mokre włosy jednym gestem muskularnego ramienia. Nie czekając na jej odpowiedź, zaklął: -Niech to szlag!

Cały czas trzymając ją w silnym uścisku, płynął w stronę brzegu. Oddaliła się od pomostu, ale jego potężne ramiona przecinały wodę

równymi ruchami, niosły ich w stronę plaży, aż poczuła grunt pod nogami.

- No, już! - warknął.

Podtrzymał ją, gdy brnęli przez fale do piaszczystego brzegu. Szczękała zębami, dygotała na całym ciele, ale czuła tylko wszechogarniającą głęboką pustkę. Przełknęła ślinę; poczuła smak soli i w końcu otrząsnęła się na tyle, że spojrzała na mężczyznę, którego widziała po raz pierwszy w życiu.

Czy aby na pewno? Było w nim coś znajomego. Wysoki, muskularny, w mokrej koszuli i dżinsach, miał ogorzałą twarz, jakby większość ze swoich trzydziestu paru lat spędził na dworze.

- Co ty sobie myślałaś?! - krzyczał, odgarniając włosy z oczu. - Mogłaś utonąć! - Zamilkł i po chwili, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy, spytał: - Dobrze się czujesz?

Oczywiście, że nie. I była pewna, że już nigdy się dobrze nie poczuje.

- Chodźmy do domu. - Nadal ją obejmował.

Obojętnie minęła buty porzucone na trawie i dała się poprowadzić zarośniętą ścieżką w stronę budynku.

- Kim jesteś? - zapytała. Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Austin Dern - odparł. Nie reagowała, więc dodał: - A ty jesteś Ava Garrison, prawda? Właścicielka tego domu?

- Jego części. - Chciała wycisnąć morską wodę z włosów, ale to okazało się niemożliwe.

- Znacznej części - uściślił, mrużąc oczy. Ava zadrżała. - I nie wiesz, kim jestem?

- Nie mam pojęcia. - Drażnił ją, chociaż sama nie wiedziała dlaczego.

Mruknął coś pod nosem i powiedział głośno:

- No, coś takiego. Przecież mnie zatrudniłaś. W zeszłym tygodniu.

- Ja? - O Boże, aż tak z nią źle? Czasami miała wrażenie, że jej pamięć jest dziurawa jak szwajcarski ser. Pokręciła głową, aż poczuła na plecach zimną stróżkę wody. - Nie sądzę - mruknęła. Zapamiętałaby go, była tego pewna.

- No, właściwie to był twój mąż - przyznał. Ach, tak. Wyatt.

- Chyba zapomniał mi o tym powiedzieć.

- Naprawdę?

Jego wzrok prześliznął się po jej ciele i przez moment zastanawiała się, ile właściwie widać przez mokrą nocną koszulę.

- Atak przy okazji, nie ma za co - rzucił. Nawet się nie uśmiechnął. Mimo ciemności spowijających wyspę widziała ponury wyraz

jego twarzy. Głęboko osadzone oczy niewiadomego koloru - nie sposób tego dostrzec po ciemku - kwadratowa szczeka z cieniem zarostu, wąskie, zaciśnięte usta i wydatny nos, nie do końca prosty. Jego włosy były ciemne jak noc, nie wiedziała tylko, czy kruczoczarne, czy ciemnobrązowe. Ramię w ramię zbliżali się do koszmarnej bryły domu.

Drzwi prowadzące na tylną werandę otworzyły się gwałtownie i zaraz zamknęły, gdy z domu wybiegła kobieta.

- Ava? Boże drogi, co się stało? - dopytywała się Khloe z teatralną troską na twarzy, dobrze widocznej w świetle lampy na werandzie. Biegiem pokonała ogród, przeskoczyła kępę krzewów i objęła Avę, ledwie nieznajomy wypuścił ją z ramion. - Jezu, jesteś cała mokra! - Khloe raz po raz kręciła głową a na jej twarzy współczucie walczyło o lepsze z przerażeniem. - Co ty wyprawiasz, do cholery... nie, nic nie mów, i tak wiem. - Obejmowała Avę, nie przejmując się, że jej dzinsy i sweter nasiakają wodą. - Musisz przestać, rozumiesz? Musisz. - Zerknęła na nieznajomego i powiedziała: - Chodźmy do domu. Ty też. Na Boga, oboje przemokliście do suchej nitki!

Gdy weszli na ścieżkę, i Khloe, i Dern chcieli ją podtrzymać, ale odepchnęła ich, płosząc przy okazji Pana T, czarnego kota Virginii, który czał się za zwiędłym rododendronem. Syknął gniewnie i ukrył się w szparze pod werandą, a tymczasem Jacob, kuzyn Avey, wybiegł z nory, którą nazywał apartamentem w piwnicy wiekowego domu.

Poczuła, jak wraca jej ślad dawnej energii. Miała dość roli ofiary, znudziły ją ich współczujące spojrzenia i znaczące uśmiešky wymieniane między sobą jakby chcieli powiedzieć: biedaczka.

Uważali, że oszalała. I co z tego?

Niech sobie uważają.

Wprawdzie nie dalej jak kilka minut temu sama wątpiła, czy wszystko z nią w porządku, ale teraz ich troska naprawdę ją irytowała.

- Co się stało? - dopytywał się Jacob. Miał przekrzywione okulary i zmierzwione rude włosy, jakby dopiero co zerwał się z łóżka.

Ava ignorowała i jego, i pozostałych. Ruszyła po schodach w nocnej koszuli ociekającej wodą i przylegającej do ciała. Miała w nosie, co sobie pomyśla. Wiedziała, kogo zobaczyła - Noaha. Niech Khloe,

jej wybawca rodem z westernu i nawet ta pieprzona psychiatra doktor Evelyn McPherson myślą sobie, co chcą. Nie jest szalona. I nigdy nie była. Jeszcze nie czas na oddział zamknięty.

- Pozwól, że ci pomogę... - zaczęła Khloe, ale Ava przerwała jej.
- Nic mi nie jest.
- Przed chwilą wskoczyłaś do morza i twierdzisz, że nic ci nie jest?
- Daj mi spokój.

Khloe zerknęła na Derna i ustąpiła, pojednawczo unosząc ręce.

- I po co ten melodramat? - mruknęła Ava.
- To ja się bawię w melodramaty? - prychnęła Khloe. - Żeby było jasne: która z nas zaledwie kilka minut temu skoczyła do wody?

- Dobrze już, dobrze. - Ava pokonała kilka ostatnich stopni i otworzyła siatkowe drzwi. - Niech ci będzie.

Wewnątrz ciepło uderzyło ją jak obuchem, otoczył znajomy zapach pomidorów i owoców morza. Szła wzdłuż okien i odruchowo zerknęła w ciemność. Nie licząc kilku latarni, posiadłość spowijał mrok, a przez gęstą mgłę kraniec pomostu był zupełnie niewidoczny. Serce jej się ścisnęło na myśl o synku, ale odepchnęła ją od siebie.

Dobrze chociaż, że ból głowy trochę zelżał, dał chwilę wytchnienia umęczonym skroniom. Usłyszała za plecami trzask otwieranych drzwi i zrozumiała, że Khloe, a być może także mężczyzna, który wyciągnął ją z wody, jeszcze z nią nie skończyli.

Świetnie! Jeszcze tylko tego jej brakowało!

Przemarzała do tego stopnia, że cały czas szczękała zębami. Szła w stronę tylnych schodów, gdy usłyszała zgrzyt windy znajdującej się przy schodach wschodnich, a potem cichy szelest otwieranych drzwi.

Oby to nie była Jewel-Anne. Niestety, nie miała szczęścia i po chwili zobaczyła pulchną kuzynkę, która wjechała do holu na elektrycznym wózku inwalidzkim. Przyglądała się Avie przez grube szkła okularów. Jej uwadze nie uszła przemoczona nocna koszula, mokre włosy i blada, niemal sina z zimna twarz.

- Znowu się kąpałaś? - spytała z tym zadowolonym z siebie uśmiechem, który Ava najchętniej starłaby jej z twarzy.

Jewel-Anne wyjęła z ucha słuchawkę i Ava usłyszała, zniekształcony przez sprzęt i dystans, głos Elvisa śpiewającego *Suspicious minds*.

„Tkwimy w pułapce”, zawodził, a Avę po raz kolejny zaintrygowało, jak to się stało, że kobieta, która przyszła na świat na długo po śmierci króla rock and rolla, jest taką zapaloną fanką. Oczywiście

znała odpowiedź, bo przed kilkoma miesiącami zadała Jewel-Anne właśnie to pytanie. Kuzynka spoważniała wtedy. Jak zawsze miała w uchu słuchawkę.

- Mamy urodziny tego samego dnia - poinformowała i dosypała drugą łyżkę cukru trzcinowego do owsianki.

Jakimś cudem Avie udało się zapanować nad wrodzoną złośliwością i powiedziała tylko:

- Przecież kiedy on umarł, ciebie jeszcze...

- On do mnie przemawia! - ucięła Jewel-Anne. - Był postacią tragiczną. - Zamieszała owsiankę, żeby rozpuścił się cukier i masło, i dodała: - Jak ja.

Potem podniosła na Avę niewinne oczy, a Ava poczuła, jak dopada ją poczucie winy, które tylko sparaliżowana kuzynka umiała w niej wywołać.

Nie tylko do ciebie przemawia, miała na końcu języka. Dzień w dzień słyszy się o setkach ludzi, którzy gdzieś widzieli Elvisa. Do nich pewnie też przemawia. Ale zamiast ciągnąć bezcelową kłótnię, wstała i odstawiła do zlewu miseczkę z resztką owsianki. W tej chwili do kuchni wszedł Jacob, jedyny brat Jewel-Anne. Bez słowa sięgnął po odgrzany bajgiel i wyszedł z plecakiem narzuconym na ramię. Jacob, dawniej znany w całym stanie zapaśnik, miał kręcone rude włosy i jasną cerę upstrzoną bliznami po trądziku. Studiował już chyba z dziesięć lat i wiecznie kupował nowe elektroniczne gadzety, bo oszalał na punkcie komputerów, tak jak jego siostra na punkcie Elvisa.

Od tamtego dnia Jewel-Anne, blondynka o prostych włosach do pasa i ufnych niebieskich oczach, nie powiedziała już ani słowa o królu rock and rolla, lecz - Ava była tego pewna - nadal uważała, że łączy ją z nim specyficzna więź. Jasne, Elvis do niej przemawia.

Pokrzepiona tą myślą, Ava pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie.

Niby dlaczego miałyby kwestionować własną poczytalność, skoro mieszkała wśród ludzi, z których każdy, z tego czy innego powodu, nadawałby się do psychiatryka?

Rozdział 2

Gdy Ava stała pod prysznicem, światło dwa razy zamigotało i na moment przygasło. Ilekroć podczas awarii prądu była w łazience, nieruchomiała i opierała się dłonią o kafelki, jakby w obawie, że otoczona nieprzeniknioną ciemnością straci równowagę. Awarie zdarzały się stosunkowo często. Oto kolejny problem na wyspie leżącej u wybrzeży stanu Waszyngton i odciętej od stałego lądu, na który można się było dostać albo prywatną łodzią, albo promem, kursującym, jeśli pogoda na to pozwalała, dwa razy dziennie.

Ava wiedziała, że ofiarowała schronienie jej przodkom, którzy osiedli się na niej, kupili większą jej część i jakimś cudem zbili fortunę na wyrębie drzew i tartakach. W ślad za nimi przyjeżdżali inni, a Stephen Monroe Church ofiarował im drewno, produkty spożywcze i - przede wszystkim - pracę.

Czasem rozmyślała o tamtych czasach. Dlaczego ludzie decydowali się porzucić stosunkowo wygodne życie na stałym lądzie? Czego szukali... czy raczej przed czym uciekali?

Niezależnie od motywacji, pomogli Stephenowi i jego żonie Molly wznieść ten ogromny dom: trzy klatki schodowe, dwa piętra (nie licząc strychu) i piwnica, w której obecnie mieściły się spiżarnia, piwniczka na wino Wyatta i mieszkanie Jacoba. Neptune's Gate, wiktoriańskie domiszczce zbudowane na jednym z najwyższych wzniesień na wyspie, górowało nad okolicą, a z wieżyczki w zachodnim skrzydle nad najwyższym tarasem roztaczał się widok zapierający dech w piersiach. Latem był to dom okien, w których odbijały się promienie słońca, ale o tej porze roku, w sezonie deszczów i mgieł, słoneczny blask bardzo rzadko rozjaśniał ponurą fasadę.

Mydłem lawendowym i szamponem antyalergicznym Ava zmyła z siebie morską sól i brud i czekała, aż monotennie płynąca woda ukoji strach, który boleśnie rozdzierał jej duszę - strach i zagubienie na myśl o synku.

Co jej strzeliło do głowy?

Przecież Noaha nie było na pomoście.

To tylko słaby umysł płata jej figle, podsuwa okruchy snów, żeby ją zmylić.

A jednak cały czas widziała go tam, w kłębach mgły na skraju pomostu. Był niepokojąco prawdziwy. Cały czas miała go przed oczami.

Minęły już dwa lata. Musi pozwolić mu odejść.

Splukala resztki mydła.

Gdyby jej synek żył, miałby już cztery lata.

Lzy napłynęły jej do oczu, poczuła ucisk w gardle. Zacisnęła powieki, żeby się nie rozpłakać, i wyszła spod prysznica.

Kiedy się wytarła, ubrała i rozczesała włosy, poczuła się znacznie lepiej, jakby oddaliła się od krawędzi obłędu.

Właśnie miała wyjść z łazienki, gdy rozległo się pukanie do drzwi sypialni.

- Ava? - zapytał cicho jej mąż, uchylając drzwi.

- Myślałam, że jesteś w Seattle - mruknęła.

- W Portland - odparł i uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem. Jasne włosy miał zmierzwione, jakby nerwowo przeczesywał je palcami.

- No tak. - Wiedziała, że jeździł gdzieś na południe. Jego klient mieszkał w Seattle, a w Oregonie miał sporą posiadłość i właśnie tam toczył się przeciwko niemu proces cywilny.

- Nieważne. - Wyatt podszedł bliżej. Zesztywniała, ale nie cofnęła się, nawet gdy odgarnął jej z czoła niesforny kosmyk. Dotyk jego palców, ciepły i znajomy, muskał jej skórę. - Wszystko w porządku? - zapytał.

Zawsze to samo pytanie; nieważne, jak na nie odpowiadała. Każde z nich już dawno doszło do własnych wniosków.

- Cóż, chciałabym powiedzieć, że tak, ale... - Zrobiła falujący ruch ręką. - W każdym razie teraz jest lepiej niż godzinę temu.

Przypomniała sobie, jak się w nim zakochała, a przynajmniej tak jej się wówczas wydawało. Poznali się na studiach... Tak, właśnie tak banalnie. W niewielkim prywatnym college'u niedaleko Spokane, prawie piętnaście lat temu. Wyatt był przystojny, wysportowany, seksowny - i to się nie zmieniło przez te wszystkie lata. Nawet teraz, mimo całodniowego zarostu i zmierzwionych włosów, był atrakcyjny. Wyatt Garrison, nieustraszony, nieustępliwy prawnik, nawet w pogniecionym garniturze, białej koszuli rozpiętej pod szyją i rozwiązanym krawacie był zabójczo przystojny.

A ona nie ufała mu za grosz.

- Co się stało? - zapytał i przysiadł na skraju łóżka, po swojej stronie. Materac ugiął się pod jego ciężarem.

Ile razy leżała na tym łóżku w jego ramionach? Ile razy się tu kochali? I kiedy właściwie przestali?

- Ava?

Jego głos wyrwał ją z zadumy.

- No, wiesz. To samo co zawsze. - Zerknęła w okno, za którym, dałaby sobie rękę uciąć, widziała synka. - Wydawało mi się, że widziałam Noaha. Na pomoście.

- Och, Avo. - Westchnął i wolno pokręcił głową. - Musisz przestać się zadreć. Jego już nie ma.

- Ale...

- Żadnych ale. - Sprężyny stęknęły, gdy wstawał. - Myślałem, że dochodzisz do siebie. Kiedy lekarze wypisywali cię z St. Brendan, byli pewni, że jesteś na dobrej drodze.

- Może to tylko zakręt.

- Oby nie nawrotka.

- Naprawdę czułam się coraz lepiej - zapewniła Ava. Wolą nie wracać myślami do szpitala, z którego wyszła tak niedawno. - To znaczy, cały czas dobrze się czuję. - Z trudem przełknęła ślinę. Nie dopuszczała do siebie nawet myśli o powrocie do zakładu na stałym lądzie. - Tylko te koszmary...

- Rozmawiałaś ostatnio z doktor McPherson?

Evelyn McPherson, lekarza psychiatrę, Wyatt zatrudnił, gdy jego żonę wypisano ze szpitala St. Brendan. Twierdził, że wybrał akurat ją, bo miała gabinet w Anchorville i zgodziła się przyjechać do Avy na wyspę. Brzmiało to bardzo sensownie, ale w lekarce było coś, co Avę drażniło. Evelyn słuchała zbyt uważnie i za bardzo się przejmowała, jakby problemy Avy były jej problemami.

- Oczywiście. Nie mówiła ci? - Zaraz, kiedy to było? - W zeszłym tygodniu.

Ciemne brwi Wyatta uniosły się, jakby nie dowierzał żonie.

- Kiedy dokładnie?

- Kiedy?... Chyba w piątek... Tak, na pewno w piątek.

Dlaczego jej nie wierzy? I co go to obchodzi? Od zaginięcia Noaha ich małżeństwo przechodziło poważny kryzys. Wyatt większość czasu spędzał w Seattle, gdzie był młodszym wspólnikiem w znanej firmie prawniczej. Specjalizował się w prawie podatkowym i inwestycyjnym. Miał mieszkanie w wieżowcu zaledwie kilka kroków od kancelarii.

Ava czuła, że interesuje się nią coraz mniej, że stała się dla niego ciężarem; szalona żona, którą najlepiej ukryć na wysepce u wybrzeży stanu Waszyngton.

- Bałem się, że cię stracę. - Jego głos zabrzmiał tak szczerze, że na chwilę ścisnęło jej się gardło.

- Niestety, nie tym razem. Wyglądał, jakby uderzyła go w twarz.

- Kiepski żart.

- Bardzo kiepski.

Musiała jak najszybciej zmienić temat.

- Austin Dem - powiedziała i zaciągnęła zasłony. - Zatrudniłeś go? Wyatt skinął głową.

- Ze względu na inwentarz. - Zerknął na nią z ukosa. - Spójrzmy prawdzie w oczy: Ian nie nadaje się na farmera, nie zna się ani na bydło, ani na koniach. Myślałem, że sobie poradzi, ale myliłem się. Od kiedy Ned przeszedł na emeryturę i wyjechał do Arizony, Ian całkiem się pogubił.

- Przecież ja zajmowałam się końmi.

- Kiedyś - rzekł ze smutnym uśmiechem. - Nawet wtedy nie najlepiej sobie radziłaś z naprawą płotu czy z zamrożoną pompą. Darn to złota rączka. Zna się na wszystkim.

- Gdzie go znalazłeś?

- Pracował u mojego klienta, który akurat sprzedał ranczo. - Kąciki jego ust uniosły się lekko. - Pomyślałem, że dam Ianowi odsapnąć.

- Na pewno się z tego ucieszy. - Ian, jeden z jej kuzynów, przyrodni brat Jewel-Anne, nie słynął z zapału do pracy. Podeszła do łóżka i stanęła przy rzeźbionej kolumie. - Wiesz, właściwie dziwię się, że tu jesteś.

Niemal niezauważalnie zacisnął usta. Niemal.

- Miałem wracać, ale Jacob czekał z zapalonym silnikiem. Jacob, zazwyczaj wożący siostrę, został także szoferem Avy, odkąd odebrano jej prawo jazdy.

- Khloe zadzwoniła na moją komórkę - dodał po chwili. - Na szczęście byłem blisko Anchorville.

- To miło z jej strony.

Wyatt skrzywił się z niesmakiem.

- Posłuchaj tego, co mówisz. Khloe była kiedyś twoją najlepszą przyjaciółką.

Co do tego miał rację.

- To ona się ode mnie odsunęła.

- Czyżby? - Bezradnie rozłożył ręce i pokręcił głową. - Jesteś pewna? - Nie odpowiadała, więc dodał: - Proszę bardzo, jak chcesz. Ale doktor McPherson już tu jedzie. Musisz z nią porozmawiać.

- Proszę bardzo, jak chcesz - przedrzeźniała go i zarazem nienawidziła się za gorycz w swoim tonie, zwłaszcza gdy dostrzegła ból w jego oczach.

- Poddaję się. - Był już w drzwiach. Po raz kolejny coś ścisnęło ją za gardło.

- Ja też - szepnęła. - Ja też.

- Wiesz, że tak naprawdę nie widziałas Noaha. - Doktor McPherson mówiła spokojnie, ale w jej głosie wyczuwało się nutkę wyższości. Była ładna, a jej zgrabną sylwetkę podkreślała wąska spódnica. Rozjaśnione pasemkami gęste włosy opadały na ramiona, oczy wypełniała troska. Chwilami wydawała się szczerą i oddaną, ale Ava nie ufała jej. Nigdy.

Siedziały w bibliotece koło saloniku. Pod ścianami stały sięgające sufitu regały pełne książek, na kominku płonął ogień. Gaz syczał cicho, polana ułożone na wiekowym palenisku trzaskały rytmicznie.

- Widziałam go. - Ava nie dawała za wygraną. Siedziała na staroświeckiej kanapie z dłońmi splecionymi na kolanach. - Nie wiem, czy naprawdę tam był, czy nie, ale ja go widziałam.

- Sama chyba zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi - wtrącił Wyatt, który z ponurą miną stał w kącie.

- Nie obchodzi mnie, jak to brzmi. Tak właśnie było. - Spojrzała w jego zatroskane oczy. - O ile pamiętam, miałam być szczerą.

- Tak, oczywiście. - Doktor McPherson pospiesznie skinęła głową. Przycupnęła na skraju fotela ustawionego między kanapą a kominkiem, tak że płomienie odbijały się w jej jasnych włosach. Chociaż zazwyczaj przyjmowała w gabinecie na stałym lądzie, za namową Wyatta często przyplýwała na wyspę. - Oczywiście.

Zerknęła przez ramię na Wyatta i przez ułamek sekundy Ava była pewna, że widziała czułość w tym spojrzeniu. A może jej się tylko wydawało?

- Będzie lepiej, jeśli zostaniemy same - zwróciła się lekarka do Wyatta.

- Nie trzeba - powiedziała Ava. - Nie mam nic przeciwko jego obecności. Może sesja terapii małżeńskiej okaże się skuteczniejsza niż próba ustalenia, czy mi już całkiem odbiło, czy jeszcze nie.

- O tym nie ma mowy - mruknął Wyatt. Podeszedł do kominka, zakręcił gaz i płomienie wycofały się jak przerażony ślimak do skorupy, zostawiając tylko rozżarzone świerkowe polana.

- Słuchajcie, doskonale wiem, jak to wygląda. Że zwariowałam. Ale zapewniam was, że widziałam mojego synka na pomoście, we mgle. - Już miała dodać, że może to skutek przypisanych jej leków, ale powstrzymała się, bo to McPherson wybrała środki antydepresyjne.

Wyatt stanął za kanapą i lekko ścisnął jej ramię. Wyraz czułości czy frustracji? Spojrzała na męża i w jego oczach dostrzegła jedynie troskę.

- Avo, musisz przestać fantazjować. Noah nie wróci - powiedział i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Psychiatra odprowadziła go wzrokiem, a gdy zniknął za drzwiami, wróciła spojrzeniem do pacjentki.

- Co, według ciebie, się tutaj dzieje? - zagaiła.

- Sama chciałabym wiedzieć. - Ava zerknęła w okno, za którym panoszyła się noc. - I to bardzo.

Nie zdążyły powiedzieć niczego więcej, bo rozległo się pukanie do drzwi i w progu znowu stanął Wyatt.

- Jest tu szeryf Biggs - oznajmił. - Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Po co przyjechał? - zapytała Ava.

- Khloe go wezwała.

- Bo wskoczyłam do wody?

- Tak. Obawiała się, że to próba samobójcza.

- Nieprawda!

- Dziwisz się jej? Biggs to jej wuj.

- O co wam chodzi? - Ava miała tego dosyć. Wodziła wzrokiem od męża do lekarki i z powrotem. - Chcecie znowu zamknąć mnie w szpitalu?

- Skądże.

- To dobrze, bo nie zamierzam się zabić.

- Nikt nie mówi, że...

- Nie musisz tego mówić, Wyatt, jasne? - Wstała i podeszła do drzwi. - Gdzie on jest?

- W kuchni.

- Świetnie.

Zostawiła go z tą cholerną lekarką, minęła elegancką jadalnię i spiżarnię i weszła do przestronnej kuchni, utrzymanej w ciepłych odcieniach żółci i zawsze pełnej smakowitych zapachów. Chociaż białe-czarne kafelki na podłodze miejscami popękały, a białe szafki wręcz wołały o malowanie, było to bez wątpienia najbardziej przytulne

pomieszczenie w całym domu. Kolejne drzwi prowadziły do pokoju wypoczynkowego. Stały tam sfatygowane kanapy, telewizor z płaskim ekranem i, zapomniane w kącie, pudło zabawek. Tego wieczoru w powietrzu unosił się zapach kawy, świeżego chleba i pikantnej zupy z owoców morza, specjalności Virginii.

Biggs, którego postura odpowiadała nazwisku, przycupnął na krzesło przy stole z popękany marmurowym blatem. Naburmuszona Virginia poczęstowała go kawą a teraz stała przy zlewie i za wszelką cenę starała się udawać, że wcale nie zamierza podsłuchiwać rozmowy chlebodawczyni z szeryfem, który był jej szwagrem i wujkiem Khloe.

Virginia jak zawsze miała na sobie sukienkę opinającą jej bujne kształty i wściekle kolorowy fartuch zakrywający obfite piersi i wydatny brzuch. Stroju dopełniały ciemne rajstopy i sfatygowane tenisówki. Ava rzadko widywała ją w innych ubraniach, nawet przed laty, gdy Virginia było tylko matką Khloe. Zadziwiające, jak bardzo ich losy się splątały od tamtych beztrudnych szkolnych czasów...

- Witaj, Avo. - Biggs wstał i wyciągnął do niej rękę. Uścisnęła ją wyraźnym wahaniem. Do tej pory spotkali się zaledwie kilka razy i nigdy nie były to przyjemne okoliczności.

- Dobry wieczór. - Skinęła głową i szybko cofnęła dłoń; ręka szeryfa była pokryta zimnym potem.

- Doszły mnie słuchy, że wylądowałaś w wodzie - zaczął. Usadowił się ponownie i otoczył kubek dłońmi, jakby chciał je ogrzać. Przyglądał jej się podejrzliwie spod przymrużonych powiek. Nigdy za sobą nie przepadali. Zwłaszcza odkąd prawie pięć lat temu zginął jej brat Kelvin. - Opowiedz mi o tym?

- To przecież nie przestępstwo, prawda?

- Kąpiel w morzu? - upewnił się. - Oczywiście, że nie, ale twoi bliscy trochę się... no, wiesz, zaniepokoiłi. - Miał nalaną twarz z siateczką popękanych żyłek i głęboko osadzone oczy o przenikliwym, ale nie wrogim spojrzeniu. Zatoczył łuk ręką. - Myśleli, że masz jakiś napad albo lunatykujesz.

- Zadzwoiłam po Joego - oznajmiła Khloe, wchodząc do kuchni z werandy.

Za nią szedł Austin Dern, nowy pracownik. On także się przebrał. Ciemne włosy, nadal wilgotne, zaczesał do tyłu. Był w bluzie z długimi rękawami i spranych dżinsach. Gdy odnalazł wzrok Avy, zobaczyła, że ma oczy koloru ołowiu. I znowu wydało jej się, że już go gdzieś

widziała, ale chociaż bardzo się starała, nie była w stanie uzmysłwić sobie gdzie.

- Pomyślałam, że możemy potrzebować pomocy - dodała Khloe.

- Więc to nie jest sprawa oficjalna? - zapytała Ava. Joe Biggs był wujem Khloe.

Szeryf przyglądał się jej cały czas.

- Nie - potwierdził. - Wpadłem tylko dlatego, że Khloe mnie o to poprosiła.

- Martwiłam się - wyjaśniła Khloe.

Virginia sięgnęła po ścierkę, wytarła ręce i energicznie zamknęła drzwi na werandę, jakby chciała zatrzymać ciepło w domu i upewnić się, że to, co czai się na zewnątrz, nie zdoła wnikać do środka.

Ava nie dała się nabrać. Biggs tak po prostu wpadł służbową motorówką w mglisty, deszczowy wieczór tylko dlatego, że poprosiła go o to siostrzenica? Akurat. Nawet Virginia, ponownie schylona nad zlewem, z niedowierzaniem zerknęła przez ramię.

Khloe rozluźniła się trochę i dodała:

- Proszę cię, Avo, gdyby role się odwróciły i gdybym to ja wybiegła na dwór w środku nocy i wskoczyła do zatoki, też wpadłabyś w panikę. Przecież to coś zupełnie innego niż nasze wybryki w dzieciństwie, gdy wymykaliśmy się z domu i kapaliśmy nago w świetle księżycy!

Oczywiście wyobraźni Ava zobaczyła ich takich, jakimi byli wtedy, przed laty, kiedy biegli nad morze, a księżyc ścielił się bladą smugą na spokojnej tafli oceanu. Ona, Khloe i Kelvin... Boże, ileż by dała, żeby znowu poczuć tamtą bez troskę.

Khloe ma rację.

Pieprzyć to.

Czuła na sobie spojrzenia wszystkich - Wyatta, Derna, nawet Virginii, która przestała myć naczynia, choć nadal trzymała ręce w spienionej wodzie. Wszyscy czekali na jej reakcję.

- Pomyliłam się i tyle. - Rozłożyła ręce, jakby chciała się poddać. Nie było powodu kłamać, zresztą wcale nie chciała tego robić. - Wydawało mi się, że widzę Noaha na pomoście, i pobiegłam go ratować. Najwyraźniej się pomyliłam. Zresztą wcale nie jest środek nocy. - Niby drobiazg, a przecież ma znaczenie.

- Czuję się, jakby była północ - mruknęła Khloe.

- Chłopca nie ma od, zdaje się, prawie dwóch lat? - zapytał Biggs.

Tymczasem do kuchni weszła doktor McPherson i stanęła koło kredensu.

- Tak. - Ava mówiła spokojnie, choć nagle ugięły się pod nią nogi. Oparła się o lodówkę z nadzieją że nikt tego nie zauważył. - Ale ze mną wszystko w porządku, szeryfie - skłamała i uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Dziękuję za troskę i za to, że pofatygował się pan taki kawał drogi.

- Nie ma sprawy - odparł, cały czas patrząc jej w oczy.

Nagle zdała sobie sprawę, że oboje kłamią. Denerwowało ją, że musi być uległa, wiedziała jednak, że jeśli źle rozegra tę partię, może wylądować w szpitalu psychiatrycznym z podejrzeniem utraty zmysłów.

Po raz kolejny.

Wymawiając się bólem głowy, co zresztą było prawdą, zjadła kolację w swoim pokoju, choć, jak sama przyznała, zrobiła to ze strachu. Trudno. Nie była w stanie powiedzieć dlaczego, ale obecność Biggsa budziła w niej niepokój. Nie mógł jej aresztować ani nic takiego, lecz czuła, że szeryf, tak jak pozostali, jest przeciwko niej, a w najlepszym wypadku tylko czeka, aż jej się noga powinie i popełni błąd.

Jaki błąd?

Nie pozwól, żeby paranoja zagłuszyła zdrowy rozsądek.

- Nie mam żadnej paranoi - wycedziła przez zęby i zaraz umilkła. Nikt nie powinien usłyszeć, że mówi do siebie. Musi wziąć się w garść i zastanowić komu, jeśli w ogóle komukolwiek, może zaufać.

Kiedy jednak zamoczyła świeży chleb Virginii w gęstej zupie, stwierdziła, że nie ma apetytu. Popatrzyła w okno. W pogodnej nocy widziała stąd światła Anchorville, ba, dostrzegała nawet ruch samochodów w małym, sennym miasteczku.

Żuła z wysiłkiem kęs chleba i zastanawiała się, dlaczego Khloe zadzwoniła po szeryfa. Nie na policję, ale właśnie do Biggsa. Bo to jej wuj? Bo chciała zaoszczędzić służbom ratunkowym niepotrzebnej wyprawy? Żeby uniknąć skandalu i zamieszania? Mało prawdopodobne.

Wpatrywała się w policyjną motorówkę, ledwie widoczną we mgle.

- Dziwne - mruknęła i odsunęła talerz z jedzeniem. Dziwne jak wszystko inne, a plotki dotyczące wyspy Church to żadna nowina. Właściwie skandal zdawał się wpisany w ten skrawek lądu, wyryty w nim równie trwale, jak jaskinie i zatoczki, którymi było pocięte skaliste wybrzeże. Przeszył ją dreszcz, więc sięgnęła po sweter, stary

brązowy kardigan leżący w nogach łóżka. Włożyła go, zapięła i zawiązała pasek w talii.

Pogrążona w rozmyślaniach, aż podskoczyła, gdy rozległo się pukanie.

- Ava? - Drzwi uchylły się i do pokoju zajrzała Khloe. - Jak się masz?

- A jak myślisz? - zapytała z mocno bijącym sercem. Boże, ależ zrobiła się nerwowa.

- Nie chciałam cię przestraszyć.

- Nie przestraszyłaś. - Było to kłamstwo i obie o tym wiedziały. Wróciła do stolika, na którym powoli gęstniała czerwona zupa. - Dlaczego wezwałeś Biggsa?

- Już ci mówiłam. Denerwowałam się - odparła Khloe. Rozcierała sobie ramiona, jakby i ona poczuła nagły chłód. - Boże, ależ tu zimno.

- Jak zawsze - mruknęła Ava. - Nie mówisz prawdy. Khloe przysiadła na skraju łóżka.

- A gdyby... gdyby coś ci się stało, a my byśmy tego nie zgłosili? Mogłaś utonąć. Stracić w wodzie przytomność. Mogła cię dopaść hipotermia i Bóg jeden wie co jeszcze.

- Nic mi nie jest.

- Przeżyłaś cudem. I nie byłaś do końca sobą. - Na jej czole pojawiły się zmarszczki troski. - Właściwie powinnam była wezwać pogotowie, ale bałam się, że cię zabiorą i... - Wzruszyła ramionami i nerwowo przeczesowała palcami krótkie czarne włosy. - Szczerze mówiąc, Avo, czasami sama nie wiem, co robić.

Ona też nie.

- Rozumiem.

- Więc... słuchaj, wujek Joe nadal tu jest. Może zejdiesz do saloniku i z nim porozmawiasz? Udowodnisz wszystkim, że nic ci nie jest?

- Mam udawać?

- Nie, przestać zachowywać się jak wariatka. Powiedz Joemu i tej lekarce, że wiesz, że nie mogłaś widzieć Noaha.

- Ale...

- Cicho! Koniec dyskusji! - Khloe wpatrywała się w nią błagalnie. - Powiedz, że coś ci się pomyliło, że nie myślałaś logicznie z powodu leków, ale dobrze wiesz, że to nie mógł być Noah. - Nie dodała, że fakt, iż Ava zachowuje się racjonalnie, spokojnie, wyjdzie jej na korzyść, bo w takiej sytuacji nikt nie wyśle jej do szpitala na obserwację. - Joe jest tu nieoficjalnie, naprawdę. Zrobił to dla mnie...

- W policyjnej motorówce.
- Bo tak było najszybciej, ale naprawdę chodziło tylko o to, żeby się upewnić, że z tobą wszystko w porządku, a nie o żadne oficjalne dochodzenie. Zjadł nawet z nami kolację.
- Coś takiego - prychnęła Ava, wzruszając szczupłymi ramionami.
- Naprawdę poczułabym się lepiej, bo w końcu ja go tu ściągnęłam, gdybyś porozmawiała z nim i udowodniła, że...
- Że nie oszalałam? Że nie chcę się zabić?
- No, mniej więcej tak. - Khloe skinęła głową. - Zrób to dla mnie, dobrze? Czyli nie miała wyjścia, musiała znowu spotkać się z szeryfem.
- Dobrze. Ale następnym razem nie wrywaj się tak do wzywania pomocy.
- Następnego razu nie będzie, jasne?
Oby, pomyślała Ava, ale nie odpowiedziała. W milczeniu wyjęła z szafy zakiet i narzuciła go na ramiona.
- Mam szczęście, że zamknięto Sea Cliff, bo inaczej Biggs zaciągnąłby mnie tam siłą...
- Bardzo śmieszne - mruknęła Khloe ze śmiertelnie poważną miną. Ava mówiła o starym szpitalu psychiatrycznym na południowym krańcu wyspy. Wszyscy mieszkańcy Neptune's Gate dorastali w promieniu siedmiu kilometrów od zakładu, zamkniętego przed ponad sześcioma laty, gdy jeden z najgroźniejszych przestępców w historii stanu Waszyngton, Lester Reece, jakimś cudem pokonał grube wiekowe mury i zardzewiałe ogrodzenie i uciekł z wyspy.

Rozdział 3

Przygotowana na, jak się domyślała, kolejne przesłuchanie Ava zeszła za Khloe na dół. Jadalnia była już pusta, a Graciela właśnie zbierała ze stołu ostatnie naczynia. Zostawiły talerz Avy w kuchni i poszły do biblioteki. Biggs siedział w fotelu z kubkiem kawy w dłoniach.

Oprócz niego w przytulnym pomieszczeniu rozjaśnionym lampami Tiffany'ego byli kuzyn Avy Ian, Jewel-Anne, Wyatt i doktor McPherson. Siedzieli na wygodnych kanapach ustawionych naprzeciwko siebie pod regałami pogrążeni w rozmowie, która toczyła się półgłosem, a atmosfera była raczej ponura. Jewel-Anne chwilowo nie

słuchała muzyki, ale oczywiście miała ze sobą lalkę. Tym razem było to plastikowe paskudztwo o wielkich oczach, nieproporcjonalnie długich rzęsach, czerwonych naburmuszonych ustach i długich blond lokach. Ava nie potrafiła określić, czy lalka przedstawia dziecko, czy nastolatkę. Nieważne; i tak budziła niepokój, zwłaszcza że Jewel-Anne tuliła ją jak niemowlę.

Łan nie zwracał uwagi na lalkę, natomiast co chwila sięgał do kieszonki na piersi, w której kiedyś zawsze miał paczkę papierosów. Już dawno rzucił palenie, czy raczej tak twierdził, bo Ava nieraz widziała na pomoście, jak zaciąga się ukradkiem. Nie pojmowała, czemu trzyma to w tajemnicy, łan, wysoki chudzielec o ciemnych włosach przyprószonych siwizną, kilka lat temu zatrudnił się na wyspie jako złota rączka. Ava często zastanawiała się, dlaczego nie wyjechał i nie zaczął wszystkiego od nowa, z dala od wyspy. Tak jak jej pozostali kuzyni, był kiedyś właścicielem kawałka Church.

Cała ta radosna gromadka niewątpliwie rozmawiała o niej, a ściślej mówiąc, o stanie jej psychiki, skoro umilkli, ledwie stanęła w progu. Świetnie, pomyślała, gdy krępująca cisza przedłużała się, a bolesny uścisk w żołądku przybrał na sile.

- .. .prostu musi odpocząć - mówiła lekarka, kiedy Ava weszła do pokoju. Wydawało jej się, że McPherson i Wyatt spojrzeli na nią z poczuciem winy.

- Ava. - Wyatt zerwał się z miejsca i szybkimi krokami pokonał wyblakły dywanik leżący na starym parkiecie. Spojrzał z wyrzutem na Khloe, jakby miał jej za złe, że namówiła Avę, by dołączyła do pozostałych. Do żony szepnął: - Mówiłaś, że boli cię głowa.

- I bolała, ale nawet nie masz pojęcia, jak skuteczne bywają proszki przeciwbólowe.

- Wydawało mi się, że szeryf chciał z nią jeszcze porozmawiać - wyjaśniła Khloe sztywno.

- Bo chcę - potwierdził Biggs.

- Świetnie. - Khloe zwróciła się do Avy. - Zrobię ci gorącą czekoladę - zaproponowała, ale się spóźniła. Demetria, pielęgniarka Jewel-Anne, chyba domyśliła się, że Ava jeszcze nie pójdzie spać, bo właśnie weszła do biblioteki, niosąc parujący kubek, w którym malutkie pianki już topiły się w gęstej, aromatycznej czekoladzie.

Podawała kubek Jewel-Anne i spojrzała na Avę.

- Drugi już się grzeje w mikrofalówce - oznajmiła łagodnym jak na nią głosem, a jej wąskie usta rozciągnęły się w czymś na kształt uśmiechu.

- Może pomogę - zaproponowała lekarka i wstała.

- A ja poproszę kawę. - Ian uśmiechnął się do pielęgniarki. Sądząc po minie Demetrii, miała ochotę poradzić mu, żeby sam się obsłużył, ale tylko uśmiechnęła się chłodno.

- Zobaczę, czy jeszcze coś jest. - Odwróciła się na pięcie i wyszła, a Wyatt wziął żonę za rękę i zaprowadził do kanapy.

Usiedli obok siebie, sztywno wyprostowani. Ava każdym nerwem czuła na sobie ich spojrzenia, czuła, jak ją obserwują. Wyatt cały czas ścisnął jej dłoń, jakby nadal mu zależało, albo jakby się obawiał, że mu ucieknie.

Dokąd miałabym uciec? Na miłość boską, przecież jesteśmy na wyspie.

Czuła, jak sztywnieją jej ramiona, i nie mogła pozbyć się wrażenia, że Wyatt tylko odgrywa rolę kochającego męża, udaje, choć to przecież bez sensu. Wszyscy mieszkańcy Neptune's Gate wiedzieli, że nie układa im się w małżeństwie i że taki stan rzeczy utrzymuje się od tamtej nocy, gdy zaginął Noah.

Dyskretnie uwolniła dłoń z jego uścisku i wsunęła do głębokiej kieszeni swetra. Dotknęła palcami czegoś zimnego, metalowego.

Klucz, uświadomiła sobie, muskając opuszkami ostre zęby po jednej stronie.

Klucz? Do czego? Przecież dzisiaj już miała na sobie ten sweter i wtedy w kieszeni nie było żadnego klucza, tak jej się przynajmniej wydawało.

Demetria wróciła z gorącą czekoladą dla Avy. Za nią szła Evelyn McPherson, trzymając w dłoniach swój kubek.

- Nie ma kawy? - spytał Ian, a gdy Demetria przecząco pokręciła głową naburmuszył się. - Ale przecież czuję zapach kawy i... - Zerknął na Biggsa, który właśnie upijał spory łyk. - Niech to szlag! - Zerwał się z miejsca i pobiegł do kuchni, a Demetria z trudem stłumiła uśmiech.

Małe, malutkie zwycięstwa, pomyślała Ava, zmęczona ich gierkami. Biggs przez chwilę wiercił się na krześle, zanim w końcu na nią spojrział.

- Widziałaś coś, kiedy wybiegłaś na pomost?

- Jak już mówiłam, wydawało mi się, że widzę synka, i pobiegłam mu na pomoc. Wygląda na to, że się pomyliłam - odparła, choć te słowa z trudem przechodziły jej przez usta. - Ale naprawdę coś widziałam. Kogoś. Na pomoście.

Kątem oka dostrzegła, jak Wyatt zerka na Evelyn, która stała przy kominku, niby po to, żeby ogrzać nogi, ale tak naprawdę chodziło jej o to - Ava doskonale o tym wiedziała - by mieć na oku pacjentkę.

Coś ścisnęło ją za gardło. Wbiła wzrok w kubek. Pianki topiły się, znikwały jak czarne, spienione fale na plaży.

- Byłam przerażona i pewnie dlatego wszystko mi się pomyliło.

- Myślałaś, że kogoś ratujesz? - dopytywał Biggs.

- Tak.

- Czy ona dostaje środki halucynogenne? - zwrócił się do lekarki.

- Nie miałam halucynacji! - zachnęła się Ava, zakaszła cicho i zobaczyła Austina Derna. Stał przy oknie, wpatrzony w ciemną noc. Pochwycił jej spojrzenie w szybie i niemal niezauważalnie pokręcił głową.

- Chciałam powiedzieć... och, sama już nie wiem, co chciałam powiedzieć.

- Nie podobało jej się to. Kłamała, ale dyskretne ostrzeżenie Derna przedarło się przez gniew.

- Wiesz, że Noah zaginął prawie dwa lata temu - zaczęła delikatnie Evelyn McPherson i Ava od razu poczuła łyzy pod powiekami. - Wkrótce skończyłby cztery lata. Wyglądałby zupełnie inaczej niż w twoich wspomnieniach.

Ava z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową. Lekarka spojrzała na szeryfa.

- Jak pan widzi, to nie jest najlepszy moment.

- A czy kiedykolwiek będzie lepszy? - spytała Ava.

- Będzie - zapewniła McPherson. Joe Biggs zrozumiał aluzję.

- Cieszę się, że wszystko się wyjaśniło - mruknął.

Czyżby? Ava patrzyła na niego jak na wariata, ale nawet jeśli widział niedowierzanie w jej oczach, nie dał tego po sobie poznać. Wcisnął kapelusz na głowę i ruszył do drzwi.

- Dzięki, Joe - powiedział Wyatt. - Wiem, że zawracaliśmy ci głowę.

Szeryf zatrzymał się w progu i odwrócił.

- Taka praca - rzekł, ściskając wyciągniętą rękę Wyatta.

Odwrócił się ponownie i po chwili wyszedł kuchennymi drzwiami. Słuchali cichnącego odgłosu jego kroków.

Ava zacisnęła dłoń na tajemniczym kluczu. Nie miała pojęcia, kto go jej podrzucił, bo nie sądziła, aby trafił do jej kieszeni przypadkiem. Ten klucz na pewno był ważny.

Gdyby jeszcze tylko wiedziała dlaczego.

W co ja się, do cholery, wpakowałem? To pytanie nie dawało Der-nowi spokoju, gdy szedł zwirową ścieżką w stronę stajni. Jego podopieczni, niewielkie stadko koni, spędzali tam noc.

Cała ta wyspa była jak z horroru, i to jednego z tych gorszych, tych, które jego matka oglądała do późna w nocy, żeby czymś wypełnić niekończącą się bezsenność.

Zerknął przez ramię na dom, potężne gmaszysko rysujące się posępnie na nocnym niebie. Wieżyczka dźgała niski pułap chmur otulających wyspę jak pojedynczy kiel potwora. Neptune's Gate... Kto wymyślił tę nazwę? Domyślał się, że to stare dzieje, może nawet z czasów pierwszego właściciela, kapitana żeglugi morskiej, który się tutaj osiedlił i założył pierwszy tartak w czasach, gdy dziewicze lasy porastały większą część stanów Oregon i Waszyngton.

No cóż, Stephen Church Monroe doczekał się niezłej świruski w osobie praprawnuczki Avy Church Garrison. Piękna prawie jak anioł - miała wielkie oczy, szare jak wody Pacyfiku w zimie, wysokie, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i kształtny podbródek - chociaż, jak na gust Derna, była zdecydowanie za chuda. Wręcz koścista. Ale wiedział przecież, że nie zawsze tak było.

Zajrzał do koni i trochę się uspokoił, gdy otoczyły go znajome zapachy: delikatny, kojący siana i kurzu i intensywniejszy, bardziej przenikliwy końskiego moczu i nawozu. Ukojenie niosły także odgłosy -rzadkie rżenia i szelest siana w boksach. Wśród zwierząt Dern zawsze czuł się lepiej niż wśród ludzi, a dzisiaj był tego świadom bardziej niż kiedykolwiek - przyczyniło się do tego kilka chwil w towarzystwie mieszkańców Neptune's Gate. Istne gniazdo żmij, pomyślał z niechęcią.

Zamknął za sobą drzwi i pokonał schody prowadzące do mieszkanek, które, przynajmniej chwilowo, było jego domem. Było to właściwie jedno pomieszczenie, o połowę mniejsze niż biblioteka, w której obserwował rodzinę Churchów, szeryfa i personel Neptune's Gate. Chociaż linie podziału między rodziną a personelem nie do końca są

jasne. Część pracowników to jednocześnie krewni, nawet ten cholerny szeryf jest wujem Khloe Prescott, jak się okazuje, niani zaginionego dzieciaka, dawniej najlepszej przyjaciółki Avy, a odkąd mały przepadł, jej opiekunki.

Niekończąca się zagadka.

Jednego był pewien - wszyscy tu kłamią. Wszyscy, nawet ta chudziutka Ava Garrison. Wyczuwał to.

Pokój był urządony po spartańsku: niewygodna rozkładana kanapa, chybotliwy stolik z poplamionym blatem, rozchybotany fotel i telewizor pamiętający lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku. Jedynym źródłem ciepła był gazowy piecyk w odcieniu butelkowej zieleni, stojący kilka kroków od drzwi. Teraz suszyły się na nim jego dżinsy, w których wskoczył do zatoki, by ratować Avę. Na ścianach pokrytych ciemną boazerią wisiały obrazki przedstawiające statki sprzed lat; dość tandetne, ale skutecznie zakrywały dziury w zniszczonej boazerii.

Witaj w domu.

Już wcześniej, zaraz po przyjeździe, rzucił śpiwór na posłanie i powiesił swoją skromną garderobę w małej szafie, która w zupełności mu wystarczała. W mikroskopijnej łazience ukrytej za harmonijkowymi drzwiami znajdowały się ciasna kabina prysznicowa, sedes i poobijana umywalka, a we wnęce kuchennej - jednokomorowy zlew, wąski blat, mikrofalówka i malutka lodówka. Sądząc po ciemnych plamach na blacie, poprzedni lokator miał kuchenkę elektryczną ale w kredensie jej nie było. Zobaczył tam za to płyn do mycia naczyń, dwa talerze, dwie miski i całą kolekcję słoików po dzemie, a także ekspres do kawy i dwie filiżanki. Natomiast po kawie nie było nawet śladu.

Usłyszał drapanie w drzwi, uchylił je i zobaczył przemoczonego psa - skundlonego owczarka, chyba australijskiego, z domieszką krwi border collie. Był cały czarny, nie licząc trzech białych skarpetek, ledwo widocznych spod warstwy błota.

- A ty kto? - mruknął i zaraz dodał: - Poczekaj.

Wyjął z szafki pod telewizorem jedną z dwóch ścierek, wytarł psu łapy i wpuścił go do środka. Kundel trzy razy okrążył małe mieszkanie i ułożył się na wytartym chodniczku koło gazowego piecyka. Położył łeb na łapach i wyczekująco wpatrywał się w mężczyznę.

- Proszę bardzo, czuj się jak u siebie - mruknął Dern, zdjął wciąż wilgotne dżinsy z piecyka i podkręcił ogrzewanie. Pod czujnym wzro-

kiem nowego przyjaciela zaniósł spodnie do łazienki i rozwiesił na drzwiach kabiny prysznicowej, obok koszuli, również mokrej.

Pies nawet nie drgnął, gdy Dern zamknął harmonijkowe drzwi, ale zamachał ogonem, kiedy podszedł bliżej.

- Coś mi się zdaje, że już tu bywałeś, prawda, bracie? - Dern pochylił się, podrapał psa za uszami, a potem przesunął obrozę i odczytał wytarty napis. - Rover? - Przysiadł na piętach. - Poważnie? Tak masz na imię?

W odpowiedzi kundel znowu zamerdał ogonem, a Dern odpiął mu obrozę, by się upewnić, że to tylko zwykła psia obroza i nic więcej. Już wcześniej dokładnie sprawdził małe mieszkanie, ba, zadał sobie nawet trud i przeszukał małe strych. Sprawdził wszystko, ściany, podłogi, sufit. Szukał pluskiew, tych elektronicznych. To był stary nawyk jeszcze z wojska, ale zważywszy na motywy, które go tu przywiodły, nadmierna ostrożność wydawała się wskazana. Nie znalazł niczego podejrzanego, żadnych ukrytych mikrofonów ani miniaturowych kamer. Obroza też nie zawierała żadnej ukrytej niespodzianki.

- Czysta - powiedział do psa. Założył mu obrozę, poklepał po grzbiecie i się wyprostował. Miał ochotę na piwo, ale niestety nie pomyślał, żeby kupić kilka puszek przed przyjazdem na wyspę.

Jutro rano, gdy tylko upora się z obowiązkami w stajni, popłynie łodzią do Anchorville. Trochę się tam rozejrzy, powęszy, a jeśli starczy mu czasu, postara zapoznać się z miejscowymi plotkami i dowiedzieć czegoś więcej o wyspie Church i jej dziwnych mieszkańcach.

Może w ten sposób znajdzie odpowiedzi na choćby niektóre dręczące go pytania.

Podszedł do okna wychodzącego na Neptune's Gate i popatrzył na gigantyczną budowlę. W kilku oknach nadal paliły się światła, niestety ze swojego mieszkania nie widział okien pokoju Avy Garrison. Martwiło go to, zwłaszcza teraz, po jej niespodziewanej kąpieli w zatoce. Nie mógł jednak narzekać na swoje lokum, bo chociaż było ciasne, mieściło się nad stajnią i miał tu wszystko, czego potrzeba pracownikowi najętemu do doglądania koni i bydła. Jeszcze by wzbudził jakieś podejrzenia, a przecież musiał mieć się na baczności.

Opuścił rolety i sprawdził, czy jego skrytka w jednej ze szczelin za marynistycznym pejzażem jest dobrze zamaskowana. Schował tam niewielki futerał z wodoodpornego materiału, wsuwając go najgłębiej, jak zdołał. Było w nim kilka przedmiotów, w tym telefon komórkowy

na kartę, nie do wyśledzenia, w każdym razie nie od razu, modem do Internetu i pendrive zawierający wszystkie informacje, które odważył się zabrać ze sobą na wyspę. Kopia tych danych znajdowała się w bezpiecznym miejscu na stałym lądzie, z dala od ciekawskich oczu. W futerale była też broń - glock, niezarejestrowany na jego nazwisko.

Dern nigdy nie czuł się do końca bezpieczny i zawsze zachowywał czujność.

- Taka praca - mruknął, wyjmując ze schowka modem i pen-drive'a. Upewniwszy się, że drzwi są zamknięte na zasuwkę, włączył laptop i połączył się z Internetem. Zamierzał spisać wszystko, czego się dowiedział pierwszego dnia pracy u Avy Garrison.

Na razie miał znacznie więcej pytań niż odpowiedzi. Ale to się zmieni.

Pies westchnął przeciągle i zmrużył ślepią. Dern zerknął na niego.

To pewnie jedyna przyjazna mu dusza na wyspie. I bardzo dobrze.

Rozdział 4

Obudziła się sama. Znowu.

Łóżko po stronie Wyatta było zimne, jakby w ogóle w nim nie spał.

- I dobrze - szepnęła i skrzywiła się, słysząc ulgę w swoim głosie. Nie, wcale nie dobrze. Straciła już syna i, jak się wydawało, rozum, powinna więc starać się uratować przynajmniej swoje małżeństwo. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że straci także męża. Co gorsza, ta perspektywa wcale jej nie martwiła. Wręcz przeciwnie.

Dlaczego tak się od siebie oddalili? I kiedy to się stało?

Początkowo, po śmierci Noaha, szukali pociechy u siebie nawzajem, obejmowali się, przytulali, scałowywali swoje łzy. Kochali się czule, desperacko, ale to uczucie słabło, w miarę jak docierało do nich, że synek nie wróci, że odszedł na zawsze.

Wyatt coraz więcej czasu spędzał na stałym lądzie, ale nawet gdy nocował na wyspie, rzadko ze sobą sypiali.

Chociaż ona bardzo chciała mieć jeszcze jedno dziecko.

Nie mogłoby zastąpić Noaha, wiedziała o tym, ale pragnęła drugiego dziecka. Chciała mieć kogoś, kogo mogłaby kochać.

Nawet przez zamknięte drzwi słyszała skrzypienie wózka inwalidzkiego Jewel-Anne. Czyżby kuzynka znowu ją szpiegowała? Jewel-Anne dziwaczała z każdym dniem i Ava czuła, że traci do niej cierpliwość. Widziała, że Jewel-Anne obserwuje ją ukradkiem i podsłuchuje jej rozmowy. Dlaczego to robi? Czyżby aż tak się nudziła? Nie, to wszystko nie ma sensu.

Ból głowy wrócił i znowu miała wrażenie, że świat wali się w gruzy. Była półprzytomna, bo proszki nasenne jeszcze nie przestały działać, starała się jednak myśleć logicznie. Zawsze miała lekki sen, ale ostatnio...

Ostatnio podają jej narkotyki, to jasne. Ponieważ nie brała leków nasennych przepisanych przez doktor McPherson, lekarka wrzuciła je pewnie do tej cholernej czekolady. Przecież była w kuchni z Demetrią prawda?

Odetchnęła głęboko. Co jej przyszło do głowy? Przecież Evelyn McPherson to powszechnie szanowana specjalistka. Chce pomóc, nie zaszkodzić.

Na chwilę przymknęła oczy i usiłowała zmusić się, by wstać, zmierzyć się z nowym dniem, ale to było ponad jej siły.

Nie możesz tak bez końca leżeć i uzalać się nad sobą, nie możesz utwierdzać ich w przekonaniu, że mają rację. Wstawaj i zrób coś, cokolwiek!

Odrzuciła kołdrę, usiadła, opuściła nogi na podłogę i poszukała kapci. Łóżko wabiło rozgrzaną pościelą, ale oparła się pokusie, by wrócić pod ciepłą kołdrę, przykryć obolałą głowę poduszką, zamknąć oczy i uciec przed światem. Co jej z tego przyjdzie?

Włożyła kapcie, wstała i przeciągnęła się, słuchając, jak jej trzeszczą kości. Wciąż chciało jej się spać.

Kawa, oto, czego jej trzeba. Dwa, trzy kubki mocnej kawy ze sporą dawką kofeiny.

Skrzywiła się, gdy słońce przebiło się pojedynczym promieniem przez szparę w zasłonach i boleśnie wbiło się w jej mózg. Miała wrażenie, że jej głowa za chwilę eksploduje. Boże, co za potworny ból! Jak co rano.

Rozsunęła ciężkie zasłony i wpatrywała się w nowy dzień. Słońce już pokonało wschodni skrawek nieba i teraz zalewało zatokę światłem tak jasnym, że musiała zmrużyć oczy, wypatrując promu, który właśnie

odbijał od wybrzeży Monroe - malutkiej osady po tej stronie zatoki. Monroe to sklep spożywczy i urząd pocztowy w jednym, niewielki zajazd i kafejka otwarta tylko wtedy, gdy właścicielowi chciało się pracować, otoczone wianuszkami domów. Osada miała zaledwie siedemdziesięciu ośmiu mieszkańców. Nieliczne dzieci w wieku szkolnym każdego ranka przeprowały się promem do Anchorville, podobnie zresztą jak większość dorosłych. Tylko kilka osób pracowało w starym hotelu, obecnie przerobionym na zajazd. Były to jedyne miejsca noclegowe na całej wyspie.

Tymczasem prom oddalał się od wyspy, bez wysiłku sunął po gładkiej tafli wody lśniącej w blasku słońca.

Odruchowo spojrzała na nabrzeże, na pomost wrzynający się w wodę, na wiekowe deski schnące w słońcu. Dzisiaj nie wyczuwała niczego dziwnego, nic nie przywodziło na myśl obrazu synka w czerwonej bluzie i džinsach. Nikt nie stał na skraju pomostu w kłębach mgły.

- Odbija ci - szepnęła. - Dokładnie tak, jak sądzą.

Popatrzyła na stajnię, nad którą mieściło się mieszkanie Austina Dema, ale z tego miejsca nie mogła go zobaczyć. Dem uratował ją wczoraj, gdy skoczyła do wody, pewna, że widzi tonącego Noaha. Bo przecież go widziała, mimo gęstej mgły. A jeśli jednak tylko jej się zdawało? Sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Miała całkowity mętlik w i tak obolałej głowie.

Weź się w garść, nakazała sobie.

Odwróciła się od okna i zobaczyła na stoliku przy łóżku poranną porcję lekarstw, trzy tabletki, czerwone jak wiśnie. Czekwały w kieliszku z rżniętego szkła wielkości filiżanki do espresso, a obok stała szklanka z wodą.

Ktoś, zapewne Wyatt, przyniósł je rano, kiedy jeszcze spała. Nie słyszała, kiedy wszedł. Przeszedł ją dreszcz na myśl o tym, co mogło się wydarzyć, kiedy spała jak kamień. Nie chciała zażywać żadnych środków otępiających umysł, ale Wyatt i doktor McPherson twierdzili, że musi brać lekarstwa.

- Bzdura - mruknęła pod nosem. Poszła do łazienki, wrzuciła czerwone tabletki do sedesu i spuściła wodę.

Woda jeszcze chlupotała w starych rurach, gdy wróciła do sypialni i odstawiła kieliszek na stolik nocny.

Włożyła džinsy i bluzę, znalazła w szafie wiekowe tenisówki i sfatygowaną kurtkę z polaru. Nosila ją przed laty, więc teraz była co najmniej o rozmiar za duża.

Pomyślała o brązowym kardiganie, który miała na sobie wczoraj. Sięgnęła po sweter i zajrzała do prawej kieszeni. Klucz nadal tam był. - Co otwierasz? - szepnęła, wyjmując go z kieszeni. Na kluczu nie było żadnych oznaczeń, niczego, co sugerowałoby, jaki zamek otwiera, wsunęła go jednak do przedniej kieszeni dzinsów, tak na wszelki wypadek.

Wychodząc z pokoju, Ava zastanawiała się, czy natknie się na Jewel-Anne, ale kuzynka, zbyt sprytna, żeby dać się przyłapać na podsłuchiwanie, zdążyła odjechać. O ile w ogóle była pod jej drzwiami.

W kuchni naalała sobie duży kubek świeżo zaparzonej kawy, wzięła serwetkę i nałożyła kawałek szarlotki z cynamonem, która studziła się na blacie. W domu panowała cisza, której nie zakłócało nawet fałszowanie Gracieli i zgrzyt wózka Jewel-Anne.

Dziwne, pomyślała, a chwilę później uświadomiła sobie, że ostatnio całe życie wydaje jej się dziwne. Otworzyła kuchenne drzwi i wyszła na werandę. Owionęło ją rześkie jesienne powietrze. Na trawniku poniewierały się suche liście, zapach morza otaczał ją ze wszystkich stron. Teraz, w blasku słońca, wyspa wydawała się spokojna i błoga; nic nie zdradzało zła, które nocami spływało ze wzgórz, sączyło się ze ścian Neptune's Gate.

To zło istnieje w twojej głowie, przemknęło jej przez myśl. Tylko w twojej głowie.

Usiadła na huśtawce i kołysała się powoli, patrząc na zatokę. Kawa, mocna i gorąca, paliła ją w gardle, ale łagodziła ból głowy. Placek Virginii był jeszcze ciepły. Kusił aromatem cynamonu i jabłek, które pewnie wyrosły na jednej ze starych jabłoni w starym sadzie. Piła kawę i pogryzała szarlotkę, pogrążona w rozmyślaniach. Co ty właściwie wyprawiasz? Czekasz, aż coś się wydarzy? To do ciebie niepodobne. Nigdy taka nie byłaś. Zawsze brałaś, nie, zawsze bierzesz sprawy w swoje ręce. Pamiętasz jeszcze? Skończyłaś studia w zaledwie trzy lata z małym okładem. Założyłaś własną agencję reklamową i zbiłaś fortunę na marketingu w sieci, zanim zdecydowałaś się sprzedać firmę. Dzięki temu mogłaś wykupić kuzynów i stałaś się właścicielką prawie całej wyspy. Gdyby nie upór Jewel-Anne, Neptune's Gate byłoby w całości twoje. Bo przecież właśnie o tym marzyłaś, prawda?

Zagryzła usta. Co się stało z kobietą którą dawniej była, z kobietą, która upatrzyła sobie Wyatta Garrisona i nie odpuściła, dopóki nie

został jej mężem? Gdzie się podziała sportsmenka, która brała udział w maratonach? Kobieta, która wykupiła udziały większości krewnych, chcąc mieć Neptune's Gate dla siebie, która chciała przywrócić staremu domowi dawny splendor?

Zniknęła. Zaginęła wraz z jedynym dzieckiem.

Po policzku Avy spłynęła łza.

Starła ją gniewnie. Koniec z uzalaniem się nad sobą! Koniec z potulnym wypełnianiem poleceń innych! Koniec z odgrywaniem ofiary! Weź się w garść! A jeśli przeszłość nie daje ci spokoju, poznaj prawdę. Dowiedz się, co się stało z twoim synkiem, i zacznij wreszcie normalnie żyć.

- O Boże - szepnęła, nagle przerażona perspektywą dalszego życia.

Ale trwało to tylko chwilę.

Dopiła resztkę kawy i tak energicznie odstawiła pusty kubek na zakurzony szklany blat, że mało brakowało, a roztrzaskałby się na kawałki. Zgniotła serwetkę w kulkę, wcisnęła do kieszeni džinsów i poszła do hangaru. Okazało się, że w środku jest tylko stara łódź, po motorówce zostało jedynie puste miejsce.

Dawniej hangar na łódzie fascynował ją lubiła miedziany zapach morza, niespokojną wodę, strych, na którym krył się mechanizm podnoszący łódzie, a także martwe gniazda os i niezliczone pajęczyny zasnuwające jedyne brudne okienko.

Jako dzieci chowali się tam z Kelvinem. Uciekali przed kłótniami rodziców, którzy awanturowali się z taką samą gwałtownością, z jaką się później godzili.

Kelvin. Serce ścisnęło jej się boleśnie na myśl o bracie. Nie chciała, żeby wspomnienia ponownie wciągnęły ją w mroczną otchłań, która zdawała się wiecznie na nią czekać. Najpierw Kelvin, potem Noah.

Może ci, którzy uważają ją za wariatkę, jednak mają rację. Może naprawdę nadaje się do zakładu zamkniętego.

Ale z drugiej strony...

Wyszła z hangaru i pokonała kamienne schodki prowadzące do ogrodu, latem pełnego róż, hortensji i wrzosów. Teraz panoszyły się w nim chwasty. Zatrzymała się przy głazie z wyrytym imieniem synka. Nie było na nim żadnych dat, tylko imię.

Ava przyklękła na jedno kolano, pocałowała opuszki palców i przesunęła nimi po szorstkim kamieniu.

- Brakuje mi cię, kochanie - szepnęła i nagle wydało jej się, że ktoś ją obserwuje.

Zerknęła przez ramię na dom, ale nikogo nie dostrzegła; w ciemnych oknach odbijał się ocean.

Wyatt miał rację. Nie może tak żyć. Nie może wiecznie wracać do przeszłości, nie wiedząc, co się stało z jej synkiem. Musi się dowiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Nikt inny, tylko ona. Wie przecież, że nie może polegać na nikim innym.

Wyprostowała się, spojrzała na nabrzeże i zmarszczyła brwi. Dlaczego zawsze widzi go właśnie tam? Przecież kiedy zaginał, wcale nie bawił się koło hangaru, a jednak i w snach, i w majaczeniach na jawie widziała jego drobną postać nad wodą na krawędzi pomostu.

Dlaczego zawsze tam?

Otworzyła zardzewiałą furtkę, poszła na tył domu i omiotła spojrzeniem zabudowania - stajnię, oborę, inne budynki gospodarcze. Konie i bydło pały się na pastwisku, słońce tańczyło na ich zmierzwionej sierści. Ava rozglądała się ciekawie w poszukiwaniu Derna, ale nigdzie nie było go widać. Zajrzała do stajni i obory, wbiegła nawet na pięterko do jego mieszkania, ale drzwi były zamknięte na klucz i nikt nie otwierał, gdy pukała. Tego ranka Dern, jak wszyscy inni, zajmował się pracą, a szkoda, bo bardzo chciała z nim porozmawiać, dowiedzieć się czegoś więcej o mężczyźnie, który wyłowił ją z zatoki.

Wyszła ze stajni, zawróciła i weszła do domu frontowymi drzwiami. Już nie była sama. Po kuchni krzątała się Virginia. Ava słyszała też kroki na piętrze i skrzypienie wózka inwalidzkiego Jewel-Anne.

O nie, nie była już sama.

I nie wiedziała, czy to dobrze. Czy może źle.

Poszła do kuchni. Virginia stała na drabince i porządkowała puszki w kredensie. Ustawiała je starannie, etykietami do przodu, większe w głębi, mniejsze na skraju półki. Ava dostrzegła też kartony z makaronem, paczki ryżu, fasoli, mąki i cukru w kwadratowych słojach, wszystko, oczywiście, podpisane. Virginia obejrzała się przez ramię.

- Może pani coś zje? - spytała, stawiając na półce karton bulionu z kurczaka.

- Zwędziłam kawałek ciasta. Było pyszne.

- To trochę mało. Może przygotuję coś konkretnego?

- Nie, dzięki.

Puszki tuńczyka stały w idealnie równym szeregu. Virginia zerknęła na zegarek.

- Lunch podam dopiero za kilka godzin.
- Chyba wytrzymam. Gdzie właściwie są wszyscy?

Szerokie ramiona Virginii napięły się niemal niezauważalnie pod sukienką i przez chwilę wydawało się, że piramida puszek lada chwila runie.

- Cześć! - głos Wyatta niósł się echem po holu. Ava odwróciła się i zobaczyła, że mąż idzie w jej stronę. Z jego twarzy zniknął niepokój, tak wyraźny ubiegłego wieczoru, udało mu się nawet uśmiechnąć. - Jak się czujesz?

Wzruszyła ramionami.

- Nieźle.

- To dobrze. - Wziął ją za rękę. - Martwiłem się.

- Nic mi nie będzie.

- Liczę na to. - Nadal się uśmiechał, lecz w jego oczach pojawił się wyraz wątpliwości. - Co powiesz na wyprawę do miasteczka?

- Z tobą?

- Oczywiście, że ze mną. Moglibyśmy wyskoczyć gdzieś na lunch.

- Wydawało mi się, że musisz pracować.

- Tak, wyjeżdżam po południu, ale pomyślałem, że moglibyśmy chociaż na chwilę wyrwać się z wyspy, zrobić zakupy, sam nie wiem, trochę pobyć razem.

- Pobyć razem - powtórzyła jak echo.

- Tak, wiem. - Puścił jej łokieć i rozłożył ręce, jakby się poddawał. - Od dawna tego nie robiliśmy, ale pomyślałem, że już najwyższy czas... no, wiesz... - wzruszył ramionami - odnaleźć się ponownie.

Zerknęła w górę, na półpiętro, żeby zobaczyć, czy nikt nie podsłuchuje.

- Więc dlaczego wczoraj nie przyszedłeś do łóżka? - zapytała cicho, niemal szeptem.

- Przyszedłem.

- Nie... naprawdę? Ale... - Pokręciła głową i cofnęła się o krok. Przypomniała sobie zimne posłanie, poduszkę, na której nie było odcisku jego głowy, gładką, nietkniętą pościel. Nie było go tam. Przecież wiedziałyby, poczułaby jego bliskość. - Nie.

- Wcześniej wstałem.

- Wyatt - jeszcze bardziej zniżyła głos. Za wszelką cenę starała się zachować cierpliwość. - Co to ma znaczyć?

- Ty mi powiedz.

- Dlaczego kłamiesz?
- Dobre pytanie. - Spowaźniał. - Dlaczego miałbym kłamać?
- Nie było cię, kiedy zasypiałam ani kiedy się obudziłam.

- To chyba nic nowego, Avo. Tak jest codziennie. - Spojrzał w przeciwną stronę i westchnął przeciągle. - Byłem w łóżku, Avo. U twego boku. Przez większą część nocy. Kiedy przyszedłem, już spałaś i nie chciałem cię budzić, a później wierciłaś się niespokojnie. Nie chciałem ci przeszkadzać, więc nad ranem, koło czwartej, wstałem i przeniosłem się na kanapę w gabinecie.

Wskazał pokój na końcu korytarza, który zajął, gdy zamieszkali tu przed laty. Kiedyś często się tam zamykał, zasłaniał okna i pracował w spokoju, ale ostatnio zdarzało się to coraz rzadziej.

- Po twojej stronie łóżka nikt nie leżał - obstawała przy swoim.

- Niedługo - przyznał i poczerwieniał na twarzy. - Leżałem tam niedługo. - Zmarszczył brwi. - Wiesz co, dajmy sobie spokój z wyprawą do miasteczka. To był jednak kiepski pomysł. Chyba oboje musimy od siebie odpocząć.

W spojrzeniu, którym ją obrzucił, rozczarowanie splatało się z gniewem. Odwrócił się i odszedł, a ciszę przerywało tylko echo jego kroków na marmurowej posadzce holu.

Ava zacisnęła zęby. To twoja wina, skarciła się w duchu. Ofiarował ci gałązkę oliwną a ty ją połamałaś na kawałki.

- Oj oj - dobiegł ją szept lana. Odwróciła się i zobaczyła, że nonszalancko opiera się o ścianę koło windy. - Kłopoty w rajku?

- A co cię to obchodzi?

- Ależ dzisiaj jesteś nerwowa, droga kuzynko - odparł. - Co się stało? Czyżbyś zapomniała o porannej porcji leków?

Pomyślała o pigułkach, które spuściła w toalecie, ale postanowiła nie czuć się winna z tego powodu, a zwłaszcza nie teraz.

"- No bo wiesz, nierozsądnie jest drażnić Wyatta - rzucił łan od niechcenia.

- Nie chciałam go drażnić.

- Akurat - prychnął.

- Nie masz nic do roboty? - mruknęła.

- Właściwie nie, skoro twój mężulek zatrudnił byłego komandosa z marines, SEAL czy kim on tam jest.

- Masz na myśli Derna? - zdziwiła się. - Myślałam, że jest farmerem.

- To też.
- Co właściwie o nim wiesz?
- Że oznacza kłopoty. Nie rozumiem tego. Po co Wyattowi szpieczy. ...? -
łan się skrzywił.

Zdziwienie Avy przerodziło się w niepokój.

- Dlaczego uważasz, że jest szpiegiem?
- A nie wszyscy tak sądzą? Nie ty jedna masz obsesję, Avo. Łypnęła na
niego groźnie.

- No dobra - powiedział. - Niewiele wiem, właściwie tylko to, co udało mi
się znaleźć w Internecie. Miał kilka zatargów z prawem. Był dwukrotnie
aresztowany, ale nigdy nie postawiono mu zarzutów.

- Za co go aresztowano?
- W Internecie nie było o tym mowy, ale jak chcesz, możesz go zapytać.
- Wyatt nie zatrudniłby kryminalisty, łan zerknął na nią z ukosa.
- Co nie znaczy, że jest czysty jak łza, prawda? - Uśmiechnął się pod
nosem. - Z drugiej strony, kto z nas jest? - W tej chwili odezwała się jego
komórka, więc odebrał telefon i się oddalił.

łan rozmawiał ściszym głosem, a Ava pobiegła na górę, do siebie i
natknęła się na Gracielę, która właśnie kończyła ścielić łóżko.

- Dzień dobry - mruknęła. Strzepnęła poduszkę i poprawiła narzutę,
gładząc ją niemal czule.

- Dzień dobry... Dziękuję ci, ale wiesz, że nie musisz ścielić mojego łóżka.
- Ava od dziecka sama dbała o swój pokój i wolałaby, żeby tak zostało.

- Wiem. - Graciela skinęła głową i weszła do łazienki. - Ale po
wczorajszym... eee... wypadku, pomyślałam, że przyda się pani pomoc.

Ava stanęła w drzwiach i patrzyła, jak pokojówka zdejmuje brudne
ręczniki z wieszaków.

- Sama mogę to zrobić.

- Wiem - powtórzyła Graciela. Z jej twarzy nie zniknął uśmiech. Wzięła
wilgotną myjkę z umywalki, schyliła się i wyjęła matę z wanny. - Ale pan Wyatt
mnie prosił.

Wyprostowała się, zajrzała do muszli klozetowej i znieruchomiała na
moment, a potem wzruszyła ramionami i spuściła wodę. Ava domyśliła się, że
któraś z tabletek musiała zostać w muszli.

- Dlaczego cię o to prosił? - spytała.

- Nie wiem - odparła Graciela.
- A kiedy?
- Wczoraj wieczorem. - Ciemne brwi dziewczyny zbiegły się w jedną linię, przestała się uśmiechać. - Jest jakiś problem? Zrobiłam coś nie tak?
- Nie, wszystko w porządku - zapewniła szybko Ava. - Ale naprawdę wolałabym robić to sama.
Graciela zamrugła, jakby próbowała powstrzymać łzy.
- Przepraszam - wykrztusiła. Ava poczuła się okropnie.
- Nie przepraszaj, nic się nie stało. Pokój wygląda... świetnie. - Wróciła do sypialni, a Graciela wreszcie wyszła z łazienki. - Ale na przyszłość... najpierw zapytaj mnie, zanim zaczniesz sprzątać, dobrze?
- Jak pani sobie życzy, pani Avo. - Graciela zebrała ręczniki i ruszyła do drzwi.
- Ava wystarczy - zawołała za nią.
- Tak, pani... tak, Avo - poprawiła się pokojówka i poszła do windy. Ava wróciła do łazienki i zajrzała do muszli klozetowej. Nawet jeśli zostały jakieś resztki lekarstw, Graciela spuściła je skutecznie.
- To nic takiego - powiedziała na głos, jakby chciała przekonać samą siebie, że nie warto się przejmować faktem, że służąca ją szpieguje.
Jednak przejmowała się i dobrze wiedziała, że się okłamuje. Znowu.

Rozdział 5

Ava schodziła na dół, gdy rozdzwonił się telefon. Jeden dzwonek, drugi... Była już niemal w holu, gdy usłyszała, jak Virginia podnosi słuchawkę i mówi:
- Halo? Tak, dzień dobry, pani Church...
Pani Church? Ava zastanawiała się, kto to może być. Zapewne Piper, druga żona stryja Crispina i matka Jewel-Anne i Jacoba. Jego pierwsza żona, Regina, która urodziła mu trójkę starszych dzieci: Iana, Trenta i Zinnie, zginęła wiele lat temu w wypadku samochodowym. Stryjek Crispin siedział wtedy za kierownicą. On przeżył i niedługo później związał się z Piper. Ava za żadne skarby nie chciała z nią rozmawiać.
- ...oczywiście - mówiła Virginia.

Odwróciła się i zobaczyła Ave, która sięgała po torebkę. Ava pokręciła głową i energicznie pomachała ręką w nadziei, że kucharka zrozumie, ale oczywiście Virginia nie pojęła aluzji.

- Tak, jest tutaj - zapewniła radośnie. - Już ją daję. Ava zacisnęła zęby.

Kucharka uśmiechnęła się lodowato, udając, że tego nie widzi, i podała jej słuchawkę ze słowami:

- Piper.

Ava łypnęła na Virginie groźnym wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: nigdy więcej mi tego nie rób, wzięła od niej słuchawkę i burknęła:

- Halo?

- Bogu dzięki, że nic ci się nie stało! - wykrzyknęła Piper z emfazą. - Bardzo się zmartwiłam, kiedy Jewel-Anne zadzwoniła wczoraj wieczorem i powiedziała mi, co się wydarzyło.

Oczywiście wyobraźni Ava widziała niewiarygodnie chudą ciotkę o płomiennie rudych włosach, otaczających jej głowę niczym aureolą. Piper uwielbiała dramatyczne sytuacje i zawsze wtedy teatralnie kładła rękę na piersiach, zdecydowanie zbyt bujnych jak na jej chude ciało.

- Nic mi nie jest - zapewniła i omiotła niechętnym spojrzeniem szerokie plecy Virginii, która właśnie wracała do kuchni.

- Na pewno? Nie masz pojęcia, jak się zdenerwowałam. Gryzłam się przez całą noc, odkąd Jewel-Anne do mnie zadzwoniła. Nie byłam pewna, czy powinnam zawracać ci głowę, ale w końcu powiedziałam sobie: do cholery, Piper, to przecież twoja bratanica. Musisz do niej zadzwonić, musisz wiedzieć, jak ta biedaczka się trzyma.

- W porządku - odparła Ava sucho.

- Och, na pewno nie. - Piper westchnęła. - Po tym, co przeszłaś? Słuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, ale ja na twoim miejscu sprzedałabym to okropne gmaszysko, wyniosła się z tej cholernej wyspy i zaczęła nowe życie. Przecież większość klientów Wyatta i tak mieszka w Seattle, prawda? Po co tkwić na wyspie i dzień w dzień na nowo przeżywać ten koszmar? Mówię ci, Avo, zrób to dla własnego dobra. Dopóki tam zostaniesz, przeszłość nie da ci spokoju, a to zwyczajnie niezdrowe, rozumiesz? Musicie z Wyattem mieć kolejne dziecko i... O rany, ależ się rozgadałam. Pewnie wcale sobie nie życzysz tylu rad.

Święte słowa, pomyślała Ava, ale nie powiedziała tego na głos.

- W każdym razie chciałam usłyszeć twój głos - podjęła Piper - dowiedzieć się, jak się miewasz. Oczywiście zaraz powiem wujowi, że nic ci nie jest. Zamartwia się, biedaczek!

Crispin, którego pozbawiła części udziałów w odziedziczonej fortunie? Szczerze wątpiła, żeby przejmował się losem swojej jedynej bratanicy. Podejrzała, że gdyby coś jej się stało, prędzej by się ucieszył, niż zmartwił.

- Ojej, mam drugą rozmowę na linii, później porozmawiamy -zaszczebiotała Piper i się rozłączyła.

Ava z ulgą odłożyła słuchawkę i kuchennymi drzwiami wybiegła z domu, nie czekając, aż inny członek rodziny zadzwoni spytać ją o samopoczucie. Nie wiadomo, do kogo jeszcze Jewel-Anne dzwoniła, do kogo napisała SMS, wiadomość na Facebooku czy co tam jeszcze. Ava wolała tego nie wiedzieć. A poza tym naprawdę musiała załagodzić sprawę z Wyattem. Szczerze mówiąc, ostatnio zachowywała się wobec niego naprawdę skandalicznie; była wiecznie podejrzliwa, węszyła podstęp we wszystkim, co robił. On też był spięty. Ale czy można mu się dziwić? Dzisiejsza sprzeczka to najlepszy dowód fatalnego stanu ich związku. Może powinna zacząć od nowa... o ile jeszcze nie jest za późno.

Obejrzała się na stajnię. Myślała o nowym pracowniku, którego Wyatt zatrudnił, i powtarzała sobie, że musi uwierzyć, iż mąż wybrał właściwego człowieka.

Szybkim krokiem pokonała kręty podjazd, uchyliła skrzydła ciężkiej bramy i wyszła na szosę prowadzącą do miasteczka. Monroe leżało niecały kilometr dalej, u stóp wzgórza, nad zatoką wcinającą się w wyspę wąskim klinem. Ava uznała, że spacer dobrze jej zrobi i pozwoli zachować przytomność umysłu.

Bez leków.

Może świeże powietrze i wysiłek, nie wspominając, oczywiście, o wyrwaniu się z domu, który coraz bardziej przypominał więzienie, pomogą jej pozbyć się bólu głowy, nieustannie czającego się w głębi czaszki i gotowego w każdej chwili zaatakować.

Założyła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła w dół wzgórza. Mchy i chwasty rosnące na żwirowym poboczu jeszcze nie do końca uległy nadchodzącej zimie.

Rzeńskie powietrze przesycił zapach morza, słońce co chwila wyglądało zza gęstych skłębionych chmur. W oddali na zachodzie czaiła się mlecznobiała mgła, która tylko czekała na sygnał, by nadciągnąć

nad wyspę. Na razie jednak powietrze było przejrzyste, a promienie słoneczne przyjemnie pieściły jej skórę, chociaż w podmuchach wiatru dało się wyczuć jesienny chłód.

Dotarła do maleńkiego Monroe i poszła do portu, w którym rybacy oprawiali złowione ryby, myli pokłady kutrów, ustawiali silniki łodzi.

Na końcu kei cumował „Holy Terror”, mały kuter rybacki. Butch Johansen siedział za sterami łodzi i przeglądał gazetę. Jak zawsze miał na głowie sfatygowaną czapkę baseballową która ukrywała fakt, że jest łysy jak kolano, jego szczękę pokrywał kilkuniedniowy zarost, a z ust smętnie zwisał papieros. Był w ciepłej bluzie, kamizelce i wytartych dżinsach, lata świetności już dawno mających za sobą.

Podniósł wzrok, gdy Ava zasłoniła mu słońce.

- Cześć, siostrzyczko! - Nazwał ją tak przed laty, gdy włóczyła się jak pies za starszym bratem i jego najlepszym przyjacielem. Zazwyczaj usiłowali się jej pozbyć i zazwyczaj niewiele im z tego przychodziło, bo Ava nie dawała się spławić. - Co ty wyprawiasz, do cholery? Słyszałem, że wczoraj w nocy mało nie utonąłeś, bo zachciało ci się kąpieli o północy.

- Czyżby? - Gdyby chodziło o kogoś innego, naburmuszyłaby się, ale to był Butch, najlepszy przyjaciel Kelvina, człowiek, którego znała przez całe swoje życie. Ciągle z niej drwił i nie wiadomo dlaczego najwyraźniej bawiło go, że prawie wszyscy spośród jej najbliższych uważają ją za chorą psychicznie.

- Niestety tak - potwierdził.

- Złe wieści szybko się rozchodzą.

- W takiej dziurze? Z prędkością światła.

- Skoro mowa o prędkości, zawieszysz mnie na ląd?

- Randka?

- Nie zapominaj, że jestem mężatką. Cisnął niedopałek do wody.

- Cóż, skoro tak twierdzisz. - Już miała zaprotestować, ale uciszył ją ruchem ręki. -No dobra, przesadziłem. Po prostu nie najlepiej dogadujemy się z Wyattem.

- A czy jest ktoś, z kimś się w ogóle dogadujesz? Krzaczaste brwi Butcha zbiegły się pod wystrzępionym rondem czapeczki.

- Chyba nie. W każdym razie, od kiedy Kelvin... - Odwiązał cumy utrzymujące „Holy Terror” przy nabrzeżu i dodał: - Twój brat był jedyny w swoim rodzaju.

Poczuła ukłucie żalu.

- Tak, wiem - powiedziała z westchnieniem.

Śmierć Kelvina była bolesną raną która nigdy do końca się nie zagoiła. Ava nie chciała o tym myśleć, ale chociaż minęły już cztery lata, wspomnienie tamtej nocy towarzyszyło jej nieustannie. Weszła na pokład i obserwowała, jak Butch obraca czapkę daszkiem do tyłu, zakłada okulary przeciwsłoneczne i odpala silnik.

- Nadal za nim tęsknisz.

Skinął głową i uśmiechnął się smutno.

- Tak, brakuje mi go każdego dnia.

Butch zręcznie manewrował łodzią w labiryncie innych kutrów w małym porcie, a ona pogrążyła się w zadumie. Jej także brakowało brata. Wiele razy próbowała uciec myślami przed koszmarem tamtej nocy, mimo że - a może właśnie dlatego, że była wtedy z Kel-vinem - nie potrafiła.

Wejście do zatoki jest bardzo niebezpieczne, bo broni go siedem ostrych zdradzieckich skał, widocznych tylko podczas odpływu, a o innych porach ukrytych pod powierzchnią. Pradziad Avy nazwał je Hydrą. Wzdrygała się, ilekroć nad nimi przepływali, bo właśnie na tych skałach zginął jej brat.

Nie chciała wpatrywać się w mroczną otchłań, więc gdy mijali jedyny widoczny w tej chwili skrawek Hydry, kamienny palec obrośnięty rozgwiazdami i małżami, oplotła się ramionami i przymknęła powieki.

Wkrótce wypłynęli na otwarte wody. Butch wyłączył silnik i pozwolił, by fale niosły mały kuter po ciemnym morzu. Wiatr wzbijał białe bałwany, na bezchmurnym niebie uwijały się mewy.

Humor jej się poprawił, kiedy tylko wyszła na ląd w porcie w Anchorville. Było już popołudnie, słońce skłaniało się ku zachodowi, ale i tak dostrzegła łódź, którą rano przyплыł Wyatt. Był to nowoczesny ślizgacz, z kajutami do spania i mesą na pokładzie, choć rzadko wyprawiali się nim dalej niż na stały ląd.

Mam poczekać? - zapytał Butch, gdy podała mu banknot dwudziestodolarowy. Opierał się, ale w końcu wsunął go do kieszeni. Nie, wróć z Wyatem. Na pewno? Na pewno.

Butch z powątpiewaniem uniósł krzaczastą brew, ale nic nie powiedział, tylko skinął głową.

Ava wbiegła na kamienne schody prowadzące do miasteczka, zatrzymała się u ich szczytu, odwróciła i spojrzała na morze. Widziała, jak kuter Butcha oddala się od brzegu, więc pomachała mu na pożegnanie. Zaraz jednak opuściła rękę, bo nawet na nią nie spojrzał.

Zerknęła na zegarek. Kwadrans po drugiej. Prom na wyspę odpływał o czwartej, więc musiała się spieszyć, jeśli miała zrealizować swój plan.

Przede wszystkim chciała skontaktować się z Tanyą przyjaciółką ze szkolnych czasów, która przez wiele lat chodziła z Trentem - bratem bliźniakiem lana. Ich związek rozpadł się, gdy Tanya rzuciła go dla Russella Dentona, typa spod ciemnej gwiazdy, który nie umiał trzymać się z daleka ani od pokera, ani od innych kobiet.

Wzięli ślub, ale małżeństwo okazało się kompletnym niewypałem. Był to jeden z tych dziwacznych toksycznych związków, które trudno utrzymać, lecz jeszcze trudniej zakończyć. Zanim Tanya ostatecznie zdecydowała się odejść od Russella, urodziła mu dwoje dzieci, a rozwód uzyskała zaledwie przed rokiem.

Obecnie samotnie wychowywała siedmioletniego Brenta i Bellę, jego starszą siostrę, i prowadziła jeden z dwóch zakładów kosmetycznych w Anchorville. Dzięki smykałce do interesów i zamiłowaniu do plotek radziła sobie całkiem nieźle, tak przynajmniej mówiła Avie. Po małżeństwie został jej dom, stary bungalow w bocznej uliczce na wzgórzu, i właśnie zakład. Była jedną z nielicznych osób, którym Ava ufała bezgranicznie.

Niebo zasnuły ciemne deszczowe chmury. W każdej chwili mogło lunąć, więc Ava przyspieszyła kroku. Salon kosmetyczny Tanyi, oddalony o kilka przecznic od portu, przycupnął między sklepikiem spożywczym i najlepszą piekarnią w całym hrabstwie. Żołądek Avy zaburczał tęsknie, gdy poczuła zapach świeżo zaparzonej kawy i ciepłych bułeczek cynamonowych.

Ogarnęło ją rozczarowanie, gdy zobaczyła, że okna zakładu są ciemne. Podeszła do zamkniętych drzwi i przeczytała pospiesznie na-bazgraną kartkę, która informowała, że salon otworzy swe podwoje następnego ranka.

- No, bomba - mruknęła.

Ale z drugiej strony, czego właściwie się spodziewała? Przecież nie uprzedziła przyjaciółki, że przyjdzie. Zajrzała do ciemnego wnętrza. Na ścianach w odcieniu delikatnego różu wisiały oprawione czarno-białe fotografie kobiecych ikon lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku.

Były tam wszystkie, od Marilyn Monroe przez Jackie Kennedy, Twiggy i Audrey Hepburn po Brigitte Bardot. Spoglądały z góry na cztery puste fotele fryzjerskie obite sztuczną czarną skórą.

Kupiła w piekarni kawę na wynos, oparła się pokusie w postaci ostatniej cynamonowej bułeczki na sklepowej ladzie i zadzwoniła do Tanyi, ale usłyszała tylko metaliczny głos poczty głosowej, który poprosił, by zostawiła wiadomość po sygnale.

Nie zrobiła tego.

Sząc powoli kawę, skręciła za róg, żeby popatrzeć na zatokę i wyspę Church, nadal widoczną mimo kłębow mgły nadciągających od strony morza. Widziała nawet Neptune's Gate, a na południowym krańcu wyspy ciemny dach Sea Cliff. Ośrodek zamknięto przed sześcioma laty po tym, jak uciekł ostatni z przetrzymywanych tam chorych psychicznie przestępców, Lester Reece.

Reece'a podejrzewano o kilka morderstw popełnionych w okolicy. Ostatecznie uznano go za winnego tego, że w jednym z licznych napadów szału zabił żonę i jej najlepszą przyjaciółkę. obrońcy utrzymywali, że cierpi na schizofrenię paranoidalną, więc skazano go na dożywotni pobyt w Sea Cliff.

Po pewnym czasie Reece odwrócił uwagę strażników, przemknął przez żelazne wrota i rozpułnął się w mroku.

Na myśl o jego zbrodniach Avę przeszył dreszcz. Teraz nie mieściło jej się w głowie, że Reece i jemu podobni znajdowali się kiedyś tak blisko Neptune's Gate, choć jako dziecko uważała sąsiedztwo szpitala za coś całkiem zwyczajnego.

- A ciebie kto wypuścił?

Drgnęła nerwowo, gdy męski głos wyrwał ją z zadumy. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że w jej stronę zmierza Austin Dern. Niósł mały plecak. Cień zarostu na jego twarzy pogłębił się przez noc.

-- Nikt nie trzyma mnie pod kluczem.

Nie dalej jak godzinę temu uważała dom za więzienie.

Skoro tak twierdzisz - nawet nie starał się ukryć sceptycyzmu. Poprawił sobie plecak na ramieniu. - Wracasz czy dopiero przyplęnąłś?

Przyplęnąłam. Przed chwilą. Mam parę spraw do załatwienia i chciałabym się spotkać ze starą przyjaciółką. Dobry pomysł. A ty?

- Musiałem kupić parę drobiazgów - odparł swobodnie. - Byłem w Monroe, ale w sklepie spożywczym Franka wybór ogranicza się do starych precli i pepperoni z datą ważności sprzed miesiąca. Szyld kłamie, nic w tym sklepie nie nadaje się do spożycia.

Poczuła, jak kąćki jej ust unoszą się w uśmiechu. Dobry Boże, kiedy ostatnio cokolwiek ją rozbawiło?

- Znasz ten sklep? - Zmrużył powieki.

- Jasne, to miejscowy odpowiednik całodobowego minimarketu. Można tam dostać chrupki kukurydziane - dodała ze skinieniem głowy. - Chociaż trzeba być naprawdę zdesperowanym, żeby zaryzykować. Nie sędzę, aby miały datę ważności.

Przyglądał jej się badawczo, jakby dostrzegł coś zaskakującego.

- Może i tak. - Ruchem głowy wskazał port, a w nim kilkanaście prywatnych łodzi, wodnych taksówek kursujących między wyspą a stałym lądem. - W zależności od tego, do której tu zostajesz, możemy wrócić razem.

Przecząco pokręciła głową.

- Nie czekaj na mnie. Wrócę promem.

- Mogę poczekać.

Nie dawał za wygraną. Była ciekawa, co o niej myśli, zwłaszcza po tym, jak zaledwie poprzedniego wieczoru wyciągał ją rozhisteryzowaną z lodowatej wody.

- Nie czekaj - powtórzyła.

- Na pewno?

- Tak, na pewno. Wbrew pozorom, nie potrzebuję anioła stróża.

- Nie powiedziałem....

- Wiem. - Ruchem ręki ucięła dalsze tłumaczenia. - Dzięki. Wzruszył ramionami i ruszył w stronę nabrzeża.

- Twoja strata.

- Skoro tak twierdzisz - mruknęła, odbijając piłeczkę, i usłyszała jego śmiech. Patrzyła, jak schodzi ze wzgórza do portu, widziała jego szerokie ramiona, niemal rozsadzające kurtkę, i miękki materiał spranych dżinsów na jędrnych pośladkach.

Poczuła rumieniec na policzkach i choć powtarzała sobie, że nie ma nic złego w przyglądaniu się innym mężczyznom, spojrzała odruchowo na przystań, tam gdzie Wyatt zacumował ich motorówkę.

- Weź się w garść - mruknęła i czekała, sącząc coraz zimniejszą kawę, dopóki nie zobaczyła, jak Dern wsiada do łodzi i ustala cenę

z przewoźnikiem. Opadł na siedzenie, odwrócił się i wędrował wzrokiem coraz wyżej, aż odnalazł ją na wzgórzu. Wtedy kapitan odbił od brzegu i wypłynął na zatokę.

Myślała o nim. Jakim cudem trafił na wyspę?

Nie ma nic podejrzanego w tym, że szuka pracy.

Więc skąd uczucie, że już go kiedyś spotkała? Że Austin Dern skrywa jakieś tajemnice? Że nie jest tym, za kogo się podaje?

Stąd, że podejrzliwa z ciebie bestia.

Uśmiechnęła się pod nosem i narzuciła kaptur na głowę, bo właśnie zaczęło padać. Kuląc się pod naporem wiatru, zdecydowała, że pójdzie na skróty, przez park. Jakaś starsza kobieta prowadziła dwa psy na oddzielnych smyczach. Młode charty wyrywały się, szarpały, węszyły w mokrej trawie, chcąc pognać za bezczelną wiewiórką która śmiało przemykała od dębu do dębu.

- Harold! Maude! Spokój! - Kobieta mocowała się ze smyczami, a psy rwały się do biegu. Zapierały się, stawały na tylnych łapach, gdy właścicielka ciągnęła je w stronę małego niebieskiego subaru zaparkowanego przy krawężniku. - Pada deszcz! - poinformowała charty, choć ani Harold, ani Maude nie zwracały na to uwagi. - Na miłość boską! Dam wam coś dobrego! No, chodźcie!

Psy nawet na nią nie spojrzały. Ava minęła kobietę i jej niesfornych podopiecznych, zmierzając w przeciwną stronę, do otwartej furtki / kutego żelaza prowadzącej na ulicę. Już miała przejść przez jezdnię w niedozwolonym miejscu, ale nagle zastygła w bezruchu.

W otwartych drzwiach kafejki stał jej mąż i zaglądał do środka. Po chwili na zewnątrz wyszła doktor McPherson, w kozakach, wąskiej spódnicy i skórzanym żakiecie. Otworzyła parasolkę, zwróciła się do Wyatta, podała mu ramię i razem poszli w kierunku zatoki.

Ava zatrzymała się w pół kroku.

Jej serce waliło jak szalone, gdy odprowadzała ich wzrokiem. Wyatt schylił głowę pod parasolem i trzymał Evelyn McPherson mocno pod rękę. Jakby asekurował ją na mokrym chodniku, jakby poczuwał się do odpowiedzialności za lekarkę żony.

Co to właściwie znaczy? Nie zwracała uwagi na jednostajne strugi deszczu ani na nastolatka, który minął ją biegiem i wzbijał fontannę, wskakując w kałużę.

To nic takiego, powtarzała sobie. Nic a nic.

A jednak wróciły ponure podejrzenia, które nie dawały jej spokoju od wyjścia ze szpitala - że wszyscy ludzie z jej otoczenia coś udają. Nawet mąż.

Na szczęście uwagę Wyatta pochłaniała doktor McPherson, więc nie spostrzegł żony w strugach deszczu. I dobrze. Bardzo dobrze, że nikt nie wie, po co udała się na stały ląd.

Już i tak mieszkańcy wyspy uważali ją za wariatkę.

A gdyby dowiedzieli się, że poddaje się hipnozie, pytaniom i zdziwieniom nie byłoby końca.

Najgorsze, że wcale nie miałyby im tego za złe.

Nawet własny skołowany umysł podpowiadał jej, że to kiepski pomysł.

Rozdział 6

Kiedy upewniła się, że Wyatt i szanowna pani doktor zniknęli z pola widzenia, wyrzuciła kubek z resztką zimnej kawy do kosza na śmieci i pokonała trzy przecznice dzielące ją od domu hipnotyzerki.

Powtarzając sobie, że to jeszcze nic nie znaczy, że Wyatt spotkał się z jej lekarką, że powinna mieć więcej wiary w ludzi, zbiegła krętymi schodkami na poziom poniżej ulicy. Zatrzymała się przy drzwiach wiekowego wiktoriańskiego domku. Wybudowany przez bogatego właściciela tartaku, został podzielony na mniejsze mieszkania. Obecna właścicielka, Cheryl Reynolds, miała pięćdziesiąt parę lat i, jak twierdziła, dar nie tylko hipnozy, ale i - za odpowiednio wyższą opłatą - także przewidywania przeszłości.

Nigdy nie wierzyła w żadne hokus-pokus i wywoływanie duchów. Dobrze pamiętała, jak na pokazie w wesołym miasteczku pewien hipnotyzer twierdził, że zahipnotyzował ochotników z widowni, którzy najpierw wyglądali, jakby zasnęli, a potem machali rękami jak kurczak skrzydłami. Czy tego teraz chce? Za pierwszym razem z hipnozy nic nie wyszło, a mimo to wróciła. Po co? Szuka odpowiedzi w sprawie synka? Chce uwolnić tłumione wspomnienia?

Ava wyprostowała się, nie zważając na zimny wiatr rozwiewający jej włosy. Przypomniała sobie wczorajszy sen, tak bardzo był realistyczny, a potem wrażenie, że widziała Noaha na pomoście.

Nacisnęła guzik dzwonka.

Dwa koty dachówce, które przygarnęła Cheryl, przyglądały się jej ciekawie z punktu obserwacyjnego na parapecie, gdy czekała, niemal żałując, że zdecydowała się tu przyjść.

Drzwi otworzyły się pół minuty później.

- Avo, jak miło cię widzieć. - Hipnotyzerka wpuściła ją do środka. Cheryl, niewysoka i krągła, maskowała niedoskonałości figury baticową tuniką. Opaska przytrzymywała jasne loki okalające jej pełną twarz, na której malowała się troska. Zapewne dotarła już do niej opowieść o ostatnim wybryku Avy - w lokalnych sklepikach i kafejkach wieści rozchodzą się szybko.

- Powiedz, jak się masz - zapytała, prowadząc gościa przez hol, w którym rozbrzmiewała cicha muzyka, a zapach kadzidełka bezskutecznie starał się zatuszować odór kociego moczu i pleśni.

- Oczywiście w kółko opowiadam, że dobrze...

- Ale to nieprawda.

- Wszystko przez te sny. Wiem, to brzmi niedorzecznie, ale ciągle go widzę. Mojego synka. - Ava z trudem panowała nad głosem, ilekroć myślała o Noahu.

Cheryl poklepała ją po ramieniu.

- Chodź, zobaczymy, co da się zrobić. - Poprowadziła Avę przez amfiladę pokoi do gabinetu, który urządziła w jednej z sypialni. Szary wystrój sprawiał, że przywodził na myśl morze w zimie. - Usiądź, gdzie chcesz, na kanapie albo w fotelu - zaproponowała i zapaliła świeczkę.

Była to druga wizyta Avy. Pierwsze podejście okazało się mało skuteczne - nie było żadnego przełomu, nie odkryła niczego, co pomogłoby jej zrozumieć, co się dzieje w jej umyśle.

A jednak wróciła.

Wiecznie niespokojna, wiecznie zagubiona.

Zmusiła się, by opaść na olbrzymi rozkładany fotel. Wsunęła podnózek, zamknęła oczy i poczuła, jak Cheryl przykrywa jej nogi ciepłym pledem. Boże, ależ jest zmęczona, ale tutaj czuła się przynajmniej bezpieczna. Wyciszona. Na wyspie nigdy nie doświadczała czegoś takiego.

- Dzisiaj pójdziesz dalej, głębiej - mówiła Cheryl cicho. Usiadła na krześle obok. - Odpręż się i zanurz głębiej...

Ava prawie nie słyszała jej głosu i relaksacyjnej muzyki, gdy mijała zasłone i brnęła coraz dalej. Dziwne uczucie, bo przecież nie spała, choć nie była też w pełni przytomna; zatrzymała się gdzieś na granicy snu i jawy, a przecież jakby śniła...

- Oddychaj głęboko... - Cheryl mówiła miękko i zarazem stanowczo.

Ava głęboko nabrała powietrza w płuca i miała wrażenie, że spływa z niej całe napięcie.

- Zanurzasz się coraz głębiej... jesteś w bezpiecznej kryjówce...

Oaza spokoju. Zawsze tak o tym myślała. Oczami wyobraźni widziała siebie w słonecznej zatoczce koło wodospadu. Była w żółtej plażówce i miała włosy związane w koński ogon. Piasek lśnił w świetle słońca, którego promienie sączyły się między drzewami, morską bryza muskała jej policzki. Woda była przezroczysta, chłodna i...

I był tam też Noah, zorientowała się nagle. Bawił się w piasku, jego maleńkie, pulchne piąstki przeczesywały piasek zaledwie kilka metrów od niej.

- Syneczku - zawołała.

W odpowiedzi uśmiechnął się, pokazując drobne ząbki.

- Mamusiu! Patrz, co mam! - Podniósł dłoń z muszlą, złocistą, błyszczącą, piękną, ale połamaną.

- Uważaj, skarbie, możesz się skaleczyć.

Szła do niego, jej cień kładł się na jego małej buźce i dostrzegła wyzwanie w jego oczach.

- Dlatego trzeba bardzo uważać...

- Moja!

- Tak, twoja, ale najpierw mamusia ją obejrzy. Upewnimy się, że się nie skaleczysz.

- Nie! Moja! - powtarzał Noah. Uparcie zacisnął usteczka, nie wypuszczał muszli z dłoni.

- Ależ oczywiście. - Uklękła przy nim i wyciągnęła ramiona. - Chcę się tylko upewnić, że się nie skaleczysz.

Nie słuchał. Cofał się, oddalał od niej, zaciskał dłoń na muszli, aż między pulchnymi paluszkami popłynęła krew.

- Noah, proszę...

- Nie!

Coraz więcej krwi.

Rzuciła się w jego stronę, on jednak odwrócił się i na krótkich nóżkach pobiegł w stronę oceanu.

- Noah! - krzyknęła w panice. - Stój!

I w tej jednej koszmarnej chwili zrozumiała, że popełnia błąd. Puściła się za nim biegiem. Słyszała, jak jej bose stopy uderzają o mokry piasek.

- Noah! - Wiatr porywał jej krzyk, a ocean zmieniał kolor, błękit stawał się ołowianoszary, spokojna laguna była teraz wzburzonym morzem. - Stój! Proszę, synku, stój!

Przerażona patrzyła, jak jej synek wchodzi do wody, między wzburzone fale.

Dyszała ciężko, biegnąc za nim, była już blisko, już wyciągała do niego rękę, a wtedy on odwrócił się z przerażeniem w wielkich oczach, jego małe stopki zsunęły się z podwodnej skały i zniknął w otchłani.

- Noah! - wołała rozpaczliwie. - Skarbie...

- A teraz się budzisz - mówił głos z oddali. Z jej piersi wyrwał się szloch.

- Oddychaj głęboko. Unosisz powieki...

Gwałtownie otworzyła oczy i nagle znalazła się w gabinecie Cheryl. Serce waliło jej jak oszalałe, wbijała palce w skórzane oparcie ciężkiego fotela, mroczne wizje kłębiące się w jej głowie sprawiły, że krzyknęła cicho.

- Jesteś już spokojna. - Cheryl wydawała się bardzo pewna siebie. Ava powoli wypuściła powietrze z płuc. Napięcie opuściło ją,

zastąpiła je ulga, że koszmarny sen dobiegł końca. Rozluźniła palce, zwiesiła ramiona.

- O Boże - szepnęła, patrząc na Cheryl przez łzy. Cholera, nie chciała płakać.

- Po raz kolejny przeżyłaś tamten koszmar?

- Nie. - Pokręciła głową i starła łzy z policzków. - Widzisz, właśnie w tym rzecz; nie wydaje mi się, żeby to się w ogóle wydarzyło, więc nie mam do czego wracać.

- Jeszcze tego nie wiesz.

- Niech to szlag.

- Dobrze się czujesz?

- A wyglądam na to? - zapytała i nagle zachciało jej się śmiać z całej tej absurdalnej sytuacji.

Cheryl pochyliła się nad płonąca świeczką.

- Twoje obawy są coraz bliżej. Niepokoi mnie co innego... że wdzierają się nawet do oazy, do bezpiecznego schronienia. Wizje wracają zanim zdążysz się całkowicie odprężyć, zanim zdołamy zanurzyć się głębiej.

- Wiem. - To zaledwie druga sesja; pierwsza skończyła się podobnie, ale Ava była przekonana, że jeśli zdoła pokonać tę barierę, blokadę, którą sama stworzyła, przypomni sobie o wiele więcej. Pozna prawdę.

- Proszę. - Cheryl podała jej kubek ziołowego naparu pachnącego imbirem.
- Spróbujemy jeszcze raz?

Ava upiła łyk naparu i pokręciła przecząco głową.

- Innym razem. - Kolejny łyk. - Czy inni twoi pacjenci mają ten sam problem?

Cheryl z uśmiechem patrzyła, jak uchyliły się drzwi sypialni i do pokoju wśliznął się chudy szylkretowy kot.

- Kilka lat temu miałam klienta z ogromną blokadą psychiczną, ale udało mu się ją pokonać - odparła. - Myślę, że ty także dasz radę. Dochodzisz do krawędzi i zaraz się wycofujesz.

- Jak to? Sądziłam, że podczas hipnozy - Ava wzdrygnęła się wewnętrznie - no wiesz, że pokonuje się wszystkie bariery.

- Każdy reaguje inaczej. Czasami mam kłopot z dotarciem do nawet bardzo podatnych pacjentów. Jeśli chcesz, spróbujemy jeszcze raz.

- Tak. - Ava dopiła herbatę, zapłaciła Cheryl i umówiła się z nią na przyszły tydzień.

Mimo iż czuła, że hipnoza nie działa, nie chciała zrezygnować, w każdym razie jeszcze nie teraz. Wracała do portu pogrążona w rozmyślaniach, czy jest coś, co zdoła jej pomóc, czy już do śmierci będzie tkwiła w nieświadomości, w piekielnym czyścicu bez końca.

Pobyty w szpitalu pozwolił jej się wyciszyć, ale regularne sesje z doktor McPherson nie przynosiły spektakularnych rezultatów. Hipnoza to akt rozpaczony z jej strony, ostateczny krok. Niestety wyglądało na to, że nawet tym sposobem nie zdoła dotrzeć do tłumionych wspomnień i wypieranych prawd.

Może niczego takiego nie ma. Może nigdy nie znajdzie odpowiedzi, na których tak bardzo jej zależy.

Ta myśl była jak zimny prysznic. Przyspieszyła kroku, zbiegła wiekowymi schodami na nabrzeże. Butch siedział na pokładzie swojej łajby, palił papierosa i od niechcenia przeglądał książkę.

- O ile pamiętam, powiedziałam ci, że zabiorę się z Wyattem - mruknęła.

Zerknął na nią zza okularów przeciwsłonecznych.

- Owszem. - Odłożył książkę i podszedł do steru.

- No i?

- Kłamczucha z ciebie, Avo, i oboje o tym wiemy. - Błysnął zębami w uśmiechu, który sprawiał, że wyglądał o dziesięć lat młodziej, i skinął ręką. - No, wsiadaj.

- Nie musiałeś po mnie wracać.

- Nie wróciłem.

- I kto tu kłamie?

Prychnął pod nosem i poprawił czapeczkę baseballową.

- I tak nie miałem nic do roboty. Ryby kiepsko biorą.

- Tak kiepsko, że tkwiłeś tu beczynn timer przez cały dzień?

- Ano tak.

Nie uwierzyła mu, ale wsiadła do łodzi.

Opadła na miejsce, a Butch cisnął na pokład cumy i stanął za sterem. Prowadził „Holy Terror” między innymi łodziami i nie widział, jak Ava coraz głębiej wbija się w plastikowe poduszki siedzenia. Powtarzała sobie, że wizja podczas hipnozy to nic takiego, to tylko wytwór wyobraźni.

Kolejny.

Słuchała warkotu silnika, gdy Butch odpalił silnik. Kiedy ponownie uniosła powieki, port w Anchorville był już daleko za nimi, a połać szarej wody między łodzią a wyspą malała z każdą chwilą.

Powtarzała sobie, że nie wraca do więzienia, że jest wolna, ale gdy „Holy Terror” podskoczył lekko na falach, które zostawiła za sobą motorówka płynąca w przeciwnym kierunku, zrozumiała, że okłamywała samą siebie.

Otuliła się ramionami, ale i tak czuła, jak po jej ciele rozlewa się zimno, w miarę jak zbliżali się do Neptune's Gate. Kiedyś było to jedyne miejsce na świecie, w którym czuła się naprawdę bezpieczna. Pracowała tak ciężko, żeby posiadłość w całości należała do niej... no, prawie w całości. Jewel-Anne nadal nie sprzedawała swojej części. Tylko ona, jedyna kuzynka, oparła się pokusie pieniędzy.

- Niby dlaczego miałabym ci sprzedać moje udziały? Ja kocham to miejsce, Avo - zapewniała, przyglądając się jej wielkimi, pozornie niewinnymi oczami. Były w korytarzu, niedaleko windy. Jewel-Anne wyjątkowo nie miała przy sobie ani jednej lalki. - To dla mnie ważniejsze niż pieniądze.

- Mogłabyś zamieszkać z przyjaciółmi, w mieście... w Seattle, San Francisco, nawet w Los Angeles, zamiast tkwić uwięziona na wyspie. - Ava oferowała kuzynce prawie dwa razy więcej, niż był wart jej udział w posiadłości.

Kształtne usta Jewel-Anne wygięły się w szyderczym uśmiechu, w jej oczach błyszczało poczucie wyższości.

- Już mówiłam, że bardzo mi się tu podoba. - Przerzuciła włosy przez ramię, odwróciła wózek i czekała na windę, a gdy ta w końcu przyjechała, zerknęła na Awę przez ramię i powiedziała: - Nigdy stąd nie wyjadę. Tu jest mój dom.

Dom, pomyślała Ava. Przypomniała sobie sypialnię Jewel-Anne w narożnym pokoju, na pięterku przeszklonej wieżyczki. Miała stamtąd widok na ogród, zatokę, stały ląd i otwarte morze. Było to jej ulubione miejsce.

- Widzę stąd miejsce, gdzie to się stało, no wiesz, gdzie Kelvin utonął - zwykła mawiać. Zawsze wtedy pochmurniała, a w jej oczach czaiło się niewypowiedziane oskarżenie.

Wypowiedziała je tylko raz.

- Zabiłaś go, Avo - szepnęła pewnego wieczoru, ciągle wpatrzona w okno. Tuliła do siebie ciemnowłosą lalkę o porcelanowej cerze, z wiecznie przymkniętym jednym okiem. Jej głos ociekał długo tłumioną nienawiścią. - On cię kochał, a ty... ty go zabiłaś. - W tym momencie podniosła głowę, skrzywiła się, wplotła palec w sztywne włosy lalki. - Jesteś hipokrytką, Avo. Kłamczuchą, morderczynią i Bóg jeden wie, kim jeszcze! Grasz dobrą żonę, udajesz kochającą matkę.

Ava, wtedy silniejsza, miała ochotę uderzyć kuzynkę w twarz.

- A ty, Jewel-Anne, jesteś suką, rozumiesz? Mam w nosie, że jesteś przykuta do wózka. Prawdziwa z ciebie suka!

- Cudownie - wycedziła Jewel-Anne. - Bo jesteś na mnie skazana. Nigdy nie sprzedam ci moich udziałów. Nigdy! - Jej palce znieruchomiały, cała drobna postać ziała nienawiścią. Znacząco uniosła brew i dodała szeptem: - Szczerze mówiąc, wolałabym umrzeć, niż ci je sprzedać.

Rozdział 7

Dern zrobił zakupy: butelka jacka danielsa, paczka chipsów i dziesięć kilogramów psiej karmy. Niezbyt zdrowe i sugerujące przywiązanie do kundla, ale co z tego?

Nie w tym rzecz, dumął, gdy wstawiał butelkę do prawie pustej szafki w kuchni. Tak naprawdę zakupy były tylko pretekstem do wyprawy na stały ląd. Denerwowało go to, że tak mało się dowiedział.

Zajrzał do sklepu spożywczego, monopolowego, do kafejki, knajpki z kanapkami i baru. Zagadywał miejscowych, wspominał mimochodem

o wyspie Church i jej mieszkańcach, ale wyglądało na to, że wszyscy znają te same plotki, które już słyszał.

Tak, pierwszy właściciel, stary kapitan, kupił kawał ziemi na wyspie. Tak, w dzisiejszych czasach ten teren ma ogromną wartość i niemal w całości należy do Avy Church Garrison. Wszyscy twierdzili, że jest piękna, ale uwierz, bracie, jak chce, to prawdziwa z niej suka w interesach. Odbiło jej zupełnie, kiedy jej dzieciak przepadł bez śladu, wyładowała w psychiatryku, bo usiłowała podciąć sobie żyły czy coś takiego. Tak samo popieprzona jak reszta tej rodziny. Wyszła za prawnika z wielkiego miasta, który ożenił się nie tyle z nią ile z jej pieniędzmi. A reszta rodziny Churchów? Banda świrów, którym nie można zaufać, ot co. Nawet ta na wózku, Jewel-Coś tam, też ma nierówno pod pułapem. Chociaż nie do końca; jako jedyna miała dość oleju w głowie, żeby nie sprzedać kuzynce swojej części posiadłości. Tylko ona. Dziwne, co?

W spelunie Pod Słonym Psem Dern poruszył temat szpitala psychiatrycznego Sea Cliff i w odpowiedzi poczuł na sobie pełne wyrzutów spojrzenia. Zdaje się, że w miasteczku przeważało przekonanie, iż zamknięcie placówki nie było niczym złym. Ba, trzej mężczyźni sączący drinki Pod Słonym Psem powitali taki rozwój wydarzeń z czymś na kształt ulgi.

- Sea Cliff? - powtórzył przeciągle Gil, staruszek o siwej czuprynie i głosie zniszczonym po latach palenia papierosów. - A jakże, wszyscy w Anchorville odetchnęli z ulgą, gdy zamknęli wariatkowo po tym, jak ten świr Lester Reece uciekł i rozpląnął się w powietrzu. -Upił spory łyk whisky. W tle smętnie rozbrzmiewała ballada country. Gil pokręcił głową. - Z tego szpitala nigdy nie wynikło nic dobrego, tyle ci powiem. Właściwie to nie był szpital, tylko więzienie.

Tęgi mężczyzna siedzący obok Gila w milczeniu skinął głową i podniósł do ust kufel piwa.

- Same świry tam były. Za żadne skarby bym tam nie wszedł -dodał trzeci, mały chudzielec w spranej flanelowej koszuli i za luźnych dżinsach. Podsunął swoją szklankę barmanowi. - Jeszcze raz, Hal.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- *Za* chwilę, Corky - mruknął barman, podniósł słuchawkę, przytrzymał ją ramieniem i jedną ręką nalewał piwo z beczki.

- Słyszałem, że tutejsza lekarka, McPhee, chyba tak się nazywa, też tam pracowała. - Dern skinął głową w stronę okna z kolorowym neonem. W oddali rozciągała się zatoka z wyspą.

- McPherson - poprawił go Gil i potrząsnął siwą głową. - Może i pracowała, ja tam nie wiem.

Chudzielec zarechotał.

- Taa, a jakże, McPherson. Moja ciotka się u niej leczyła. Mieli tam przychodnię dla zwykłych pacjentów, poza tym całym wariatkowem.

- Na wyspie?

- No tak. Ale ich też zamknęli. W każdym razie ciotce Audrey nie podobało się w Sea Cliff, za blisko do tych wszystkich wariatów. Zrezygnowała po trzech wizytach.

- A gdzie się podziała McPherson? Corky wzruszył ramionami.

- Ma gdzieś tutaj gabinet.

- W Anchorville? - upewnił się Dern.

- Taa, na Trzeciej ulicy. Ale i tak ciągle pływa na wyspę. - Sam sobie przytakiwał. - Właścicielka prawie całej wyspy to ma dopiero poprzestawiane w głowie. Odbiło jej, kiedy jej dzieciak utonął.

Dern poczuł nagłe napięcie w karku.

- Zaginął - uściślił Gil. - Nigdy nie znaleziono ciała. Corky się zachnął.

- Gdyby mały żył, byłoby coś wiadomo. - Wziął szklankę piwa, którą Hal postawił na porysowanym blacie. - Dzięki. Bo wiesz, ludzie mówią że to Lester Reece wrócił po ucieczce i że miał coś wspólnego ze zniknięciem małego.

- Ten więzień z Sea Cliff? - spytał Dern. Starał się nie okazywać zainteresowania, choć każda wzmianka o wyspie przykuwała jego uwagę.

- Taa - potwierdził Corky i upił spory łyk ze szklanki.

- Głupie plotki - burknął Gil. - Reece pewnie też już od dawna nie żyje.

- E tam - prychnął Corky. - Ludzie w okolicy go widzieli.

- Ostatnio? - zapytał Dern.

- Niemożliwe. - Gil skrzywił się z niedowierzaniem. - Odkąd uciekł, nikt go nie widział.

Corky nie dawał za wygraną.

- Ale stary Remus Calhoun...

- To zwykły kłamczuch. Lubi rozsiewać pogłoski. - Gil wydawał się święcie przekonany, że nie ma w nich ani krzty prawdy. - Remus twierdzi też, że widział Wielką Stopę i zaklina się, że kiedy był

w Szkocji, widział potwora z Loch Ness. - Upił kolejny łyk, wytarł usta rękawem i zakończył: - Ile w tym może być prawdy?

- Więc od czasu ucieczki nikt nie widział Reece'a? - drażył Dern. Milczący grubas potwierdził ruchem głowy i nawet Corky odpuścił.

- Pewnie utonął, próbując przedostać się na ląd. Wiesz, jak ci kolesie, co próbowali uciec z Alcatraz - Gil myślał na głos. - Jeden z Churchów twierdzi, że widział go tamtego dnia, jak odpływał.

- Który?

- Niech się zastanowię... - odparł Gil i zamyślił się. W końcu powiedział: - Brat tej dziewczyny na wózku. Jim, Jack czy...

Corky skrzywił się z niesmakiem.

- Jacob.

- Tak, właśnie ten - przyznał Gil. - Ten szpenio od komputerów. Milczący znowu skinął głową.

- Swoją drogą, ten Lester to taki nasz lokalny Elvis - zauważył Gil. - Wszystkim się wydaje, że go widzieli, zupełnie jak Presleya, ale nie, nie ma go tutaj. Tak jak D.B. Coopera. - Jego śmiech przerodził się w atak kaszlu i poczerwieniał gwałtownie.

- W porządku, Gil? - upewnił się barman. Gil przestał kaszleć i upił spory łyk.

- Taa - odchrząknął.

- Może przerzucić się na mentole - poradził mu Corky.

- A ty się zamknij. - Gil łypnął na niego groźnie, jednak chudzielec tego nie zauważył, bo wychylał piwo do dna.

Dern dopił swojego drinka. Nie pytał więcej ani o wyspę Church, ani o jej mieszkańców, ale postanowił pogadać z Jacobem, który zbliżał się do trzydziestki, ale jako wieczny student ciągle wyjeżdżał i wracał. Jeszcze przez kilka minut słuchał barowych pogaduszek. Rozmowa, co normalne o tej porze roku, przeszła na połowy krabów i nowinki piłkarskie. Dokończył drinka, rzucił kilka banknotów na kontuar i wyszedł, niezauważony przez trzech mężczyzn pograżonych w dyskusji na temat szans drużyny Seahawks w tegorocznych rozgrywkach. Gil twierdził, że Seattle da radę, a milczący grubas tylko pokręcił głową i skinął na barmana. Corky też nie był optymistą. Już zamykając za sobą drzwi, Dern słyszał, jak chudzielec narzeka na tego „kretyna trenera”.

Teraz, gdy wrócił na wyspę i patrzył na psa skulonego przy piecu, rozmyślał o Avie Church. Była bardzo piękna; miała gęste czarne włosy i oczy, w których oprócz smutku kryły się inteligencja i niezależność.

Zanim los zaczął rzucać jej kłody pod nogi, była niepokonaną kobietą interesu.

Nadal jest atrakcyjna i pociągająca, mimo paskudnych blizn na nadgarstkach, które stanowiły namacalny dowód na to, że przynajmniej w części plotek na jej temat jest ziarno prawdy.

Rozważał, czy nie nalać sobie whisky, ale najpierw poszedł do stajni, do koni. Rozglądał się za Jacobem, ale nigdzie nie było go widać, a drzwi do mieszkania w piwnicy były zamknięte na klucz.

Wyatt na nią czekał.

Siedział w saloniku i oglądał kanał informacyjny w telewizji, ale podniósł wzrok, gdy stanęła w drzwiach. Położył pilot na stole.

- Słyszałem, że byłaś w miasteczku. Skinęła głową.

- Ty też.

- Owszem. Sam cię zapraszałem, zapomniałaś już? Na lunch.

- Wyatt...

- Ale dałaś mi jasno do zrozumienia, że ze mną nie popłyniesz, bo uważasz, że nie spałem w naszym łóżku.

Czuła, jak wzbiera w niej gniew, ale wiedziała, że kolejna kłótnia niczego nie rozwiąże. Pojednawczo rozłożyła ręce, zanim przywołał stare argumenty.

- Nie zaczynamy od nowa.

Złościł się jeszcze przez chwilę, zanim powiedział:

- Tak, masz rację. Kłótnia w niczym nie pomoże. - Odprężył się trochę. - Nie ma sprawy, wyrwiemy się na lunch innym razem. Po prostu zdziwiłem się, słysząc, że wybrałaś się do miasta.

- To był impuls. - Miała nadzieję, że zdoła go udobruchać. - Musiałam się stąd wyrwać. Chciałam spotkać się z Tanya, ale jej nie zastałam. A ty?

- Interesy - odparł. - Kontaktowałem się z Outreach. Outreach to filia kancelarii z Seattle, w której pracowałam. A więc

oboje starannie omijali prawdę. Kiedy tak bardzo się od siebie oddalili, od kiedy muszą unikać ważnych spraw, żeby w ogóle porozmawiać? On chyba też to poczuł, zorientował się, że lada chwila pęknie i tak cienka nić zaufania, bo patrzył na nią jak na skomplikowaną łamigłówkę, z którą nie może sobie poradzić.

- Mogłaś pojechać ze mną- powiedział miękko. - Proponowałam.

- Tak, wiem. Ja po prostu... uznałam, że dobrze nam zrobi krótkie rozstanie, choć właściwie dużo czasu spędzamy osobno. - Omiotła spojrzeniem pokój, jego wielkie okna i wygodne meble. - Ale zrozum, musiałam się stąd wyrwać, zobaczyć coś więcej niż te cztery ściany.

- Rozumiem. - Skinął głową. - Naprawdę rozumiem. Tu można oszaleć.

- Niektórzy uważają, że już mnie to spotkało. Parsknął śmiechem, podszedł do niej i uściśkał mocno.

- Wiem - szepnął z ustami w jej włosach.

Zawsze był silny i wysportowany i ilekroć brał ją w ramiona, miała wrażenie, że chce, by została tam na zawsze. Teraz poczuła zapach jego wody po goleniu i przypomniała sobie, co czuła, gdy się w nim zakochała. Zamrugła szybko, żeby powstrzymać palące łzy.

- Następnym razem pojedziesz ze mną - powiedział.

- Dobrze - szepnęła i opanowała odruch, by ulec słabości i wtulić się w niego. Ale czy naprawdę mu ufa? Nawet teraz, gdy ją okłamuje?

Opuściła ręce i chciała się cofnąć, ale cały czas czuła jego dłoń na ramieniu.

- Co się z nami stało, Wyatt? Dawniej byliśmy sobie...

- Bliżsi?

- No wiesz, chciałam powiedzieć, że dawniej dobrze nam było razem.

- Wiem. - Pocałował ją w czubek głowy. - Zobaczymy się wkrótce, obiecuję.

Miał dość oleju w głowie, żeby nie dodać: kiedy będziesz w lepszej formie, ale te słowa zawisły w powietrzu, dzieliły ich jak niewidzialny mur. Nie byli w stanie określić, skąd się właściwie wziął, a tym bardziej oszacować jego rozmiarów.

- Trzymam cię za słowo - mruknęła, choć kłamstwo stawało jej w gardle.

Wyatt sięgnął po marynarkę niedbale rzuconą na oparcie krzesła.

- Dobrze. Słuchaj, muszę wracać do Seattle. Na krótko, jeden, najwyżej dwa dni, wszystko zależy od tego, jak klient przyjmie propozycję zmian w umowie. Jakby co, dzwoń na komórkę.

Skinęła głową.

- Prosiłem doktor McPherson, żeby do ciebie zajrzała.

- Przecież jesteśmy umówione na przyszły tydzień.

- Wiem, widziałem się z nią dzisiaj na łądzie. Pytała o ciebie, więc to załatwiłem. - Wzruszył ramionami. - Chyba nie zaszkodzi, prawda?

Zaskoczyło ją, że poruszył temat lekarki.

- Tak po prostu na nią wpadłeś?

- Właściwie nie. Kiedy się dowiedziałem, że muszę wyjechać, zadzwoniłem do niej, umówiłem się na kawę i zaproponowałem, żeby spędziła tu trochę czasu.

- Jest zajęta.

- Nie aż tak - odparł. - Zresztą od stałego ładu dzieli nas tylko przeprawa łodzią. I wiesz co? Spodobał jej się ten pomysł. - Spoważniał. - Avo, ona chce ci pomóc i może nawet jej się to uda, jeśli przestaniesz z nią walczyć.

- Wcale z nią nie walczę. Położył jej palec na ustach.

- Po prostu spróbuj, dobrze? Cofnął dłoń.

- Uważasz, że oszalałam, Wyatt?

- Uważam, że nie wiesz, co się dzieje.

- Nie zmieniaj tematu. Głęboko zaczerpnął tchu.

- Uważam, że potrzebujesz pomocy. Specjalistycznej. Tego samego zdania są lekarze z St. Brendan. To ty domagałaś się, żeby cię wypisali, chciałaś wrócić tutaj, żeby... zmierzyć się z demonami. - Delikatnie dotknął jej ramienia. - Ale sama nie dasz rady, Avo, a nikt inny nie ma odpowiednich kwalifikacji, żeby ci pomóc, ani ja, ani Graciela czy Khloe, nawet Demetria, choć to pielęgniarka. Nie wiemy, co robić, za to doktor McPherson, owszem. - Uśmiechał się smutno, patrzył na nią spod ściągniętych brwi. - Musisz nam zaufać, Avo. Naprawdę chcemy ci pomóc, ale to na nic, jeśli sama tego nie zechcesz. A hipnoza... no cóż...

Wstrzymała oddech, chciała zaprzeczyć. Zanim zdążyła protestować, powiedział:

- Nie zapominaj, że Anchorville to małe miasteczko. Może większe od Monroe, ale tylko trochę. - Zerknął na zegarek, zmełł w ustach przekleństwo i pocałował ją w czoło. - Muszę lecieć. Butch pewnie nadal tu jest.

- Butch?

- No, Johansen - wyjaśnił, a Avie serce zamarło w piersi. - Przyjaciel Kelvina. Woził cię na stały łąd i z powrotem na wyspę, prawda?

- Tak.

Wyatt sięgnął po marynarkę i skinął głową w odpowiedzi na nie-zadane pytanie.

- Dzwoniłem po niego. Prosiłem, żeby cię odwiózł do domu, a potem wrócił po mnie. - Przyglądał się jej badawczo. - Nie mówił ci?

- Nie - zaprzeczyła i poczuła bolesne ukłucie zdrady.

- No cóż, mam nadzieję, że zabierze mnie na stały ląd. Pomyślałem sobie, że zostawię motorówkę tutaj, na wypadek gdyby komuś była potrzebna.

Czyjej się tylko zdawało, czy dostrzegła w jego oczach błysk okrucieństwa?

Wyatt wyjął z szafy niewielką torbę podróżną, w której miał komputer, garnitur i przybory kosmetyczne, i już go nie było. Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem.

Ava wyrzała przez okno. „Holy Terror” cumował przy pomoście.

Co to wszystko ma znaczyć, do cholery?

Dlaczego Butch nic jej nie powiedział?

Nigdy nie przepadał za Wyattem, nigdy też nie starał się tego ukryć, a jednak... Zaciśnęła pięści, aż paznokcie boleśnie wpiły się w dłonie. Przesadzasz, tłumaczyła sobie. Daj spokój. Wyatt to twój mąż. Nie kwestionuj jego motywów.

Nie mogła się jednak powstrzymać.

Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek zdoła mu ponownie zaufać.

Skonfundowana, biegła na górę, przeskakując po dwa stopnie. W pokoju upewniła się, że tajemniczy klucz, który wczoraj znalazła w kieszeni swetra, nadal spoczywa w kieszonce džinsów. Był to stary metalowy klucz; chyba otwierał wiekowy zamek. Za duży jak na klucz do skrzyni czy nowoczesnych szafek. Usiłowała wsunąć go do dziurki w drzwiach, ale gdy usłyszała kroki Gracieli na schodach, wrzuciła go do górnej szuflady biurka, pod stertę papierów, i obiecała sobie, że później rozwiąże jego zagadkę. Nie miała pojęcia, skąd się wziął w jej kieszeni. Kolejna tajemnica do rozwikłania.

Może to jakaś pomyłka?

To niemożliwe, żeby ktoś wsunął klucz do kieszeni jej swetra niechcący. Chyba że chciał go szybko ukryć...

Ale po co miałby wkładać klucz do kieszeni? Nie, to kompletnie bez sensu. Prawda jest taka, że ten tajemniczy ktoś chciał, aby go znalazła. Chciał ją czymś zająć, dał jej zadanie do wykonania.

Najwyższy czas, żeby zaczęła działać.

Podeszła do okna i zobaczyła, jak Wyatt wchodzi na pomost i macha do Butcha, który czekał na pokładzie i odpowiedział takim samym gestem, śmiejąc się od ucha do ucha.

Świetnie, pomyślała i skreśliła kolejną osobę z listy tych, którym mogła zaufać.

Patrzyła, jak Wyatt zajmuje to samo miejsce, na którym ona siedziała kilka godzin wcześniej, i ogarnęło ją nieprzyjemne wrażenie, że nie może ufać nikomu związanemu z wyspą. Co gorsza, nie dawało jej spokoju poczucie, że Wyatt, którego przede wszystkim powinna darzyć zaufaniem, okazał się zupełnie innym mężczyzną niż ten, za którego wyszła.

Ale z drugiej strony, czy ona nadal jest tą dziewczyną, w której się zakochał?

Skądże, stwierdziła, wpatrzona w swoje upiorne odbicie w zamazanej tafli szkła. Ta dziewczyna umarła już wiele lat temu... Więc kim jesteś, do cholery?

Z trudem przełknęła ślinę. Czowała narastającą panikę. Nie wiadomo, jak i kiedy się zatraciła. Nie, to nie tak, że kiedy poznała Wyatta, była słodka i niewinna, ale zmieniła się w ciągu minionych lat. Już nie była twardą czasami bezwzględną kobietą interesu. No dobrze, upór został, ale kiedyś była również odważna i wysportowana; w niczym nie przypominała wypalonej skorupy, która teraz kulila się przy oknie.

Przytknęła dłonie do szyby, jakby chciała nimi uchwycić kobietę, którą kiedyś była. Wpatrywała się w swoje blade odbicie i - przez nie - w ponure morze. Odprowadzając wzrokiem coraz mniejszą łódź z mężem na pokładzie, czuła, jak ogarnia ją wściekłość na myśl o bezradności, jakiej teraz doświadczała.

- Koniec z tym - szepnęła. Zsunęła dłoń z szyby i zacisnęła w pięść.

Koniec ze słabością i uleganiem lękom.

Najwyższy czas ponownie wziąć sprawy w swoje ręce. A jeśli to oznacza bunt wobec wszystkich życzliwych krewnych, trudno. Czas zacząć walczyć.

Rozdział 8

Następnego dnia czuła się silniejsza, gotowa brać się za bary z całym światem. Miała wrażenie, że odzyskała małą część siebie, i to po raz pierwszy, odkąd wyszła ze szpitala.

Rano nie pamiętała, czy w nocy znowu dręczyły ją złe sny, choć na dnie świadomości błąkał się nieśmiały niepokój. Usiłowała nie dopuszczać go do głosu. Dzisiaj nie pozwoli, żeby nocny koszmar wziął górę, nieważne, czy go pamięta, czy nie.

Odrzuciła kołdrę, wstała, nie zwracając uwagi na ból głowy pulsujący u nasady czaszki, wzięła prysznic, włożyła ulubiony szlafrok i zawiązała pasek w talii.

Niedbale wytarła włosy ręcznikiem, podeszła do okna, rozsunęła zasłony, podniosła żaluzje. Żołądek ścisnął się boleśnie, strach chwycił za gardło, ale kiedy tego ranka wyglądała przez wiekowe okno, nie widziała na pomoście drobnej postaci synka. Nie chwiał się niebezpiecznie nad ciemną, wzburzoną wodą.

- Dzięki Bogu - szepnęła, zaciskając dłoń na sznurze od żaluzji, i zwiesiła ramiona, niemal obezwładniona ulgą.

Może naprawdę coraz z nią lepiej.

Patrzyła przez okno na kłęby mgły i liście paproci drżące na porywistym wietrze. Wilgotna kamienna ścieżka rozdawała się. Jedna odnoga prowadziła do mieszkania w suterenie; druga wiła się przez ogród i oplatała dom, ledwie widoczna z okien jej pokoju. Dostrzegła Austina Dema, który zaganiał konie. Kary, gniady, jabłkowity i palomino zdawały się raz nikać, raz wynurzać z mgły, gdy w ślad za wysokim mężczyzną szły do stajni na tyłach domu.

Wypadła z sypialni, zbiegła po schodach, pokonała krótki korytarzyk i skierowała się do jednego z pokoi gościnnych. Przez chwilę mocowała się z zacinającymi się drzwiami, aż w końcu ustąpiły. Weszła do środka i popatrzyła na pojedyncze łóżko, w którym nikt nie spał od lata. Przy wezglówiu stał nocny stoliczek z zakurzonymi książkami, na ścianach wisiały portrety jej przodków. Ich posępne, poważne oczy patrzyły z góry na każdego, kto przekraczał próg.

Otaczało ją zastałe powietrze, przesycone zapachem kurzu. Tej woni nie zagłuszą saszetki z suszonymi kwiatami ukryte w pustych szufladach. Nawet perfumowane świece przy staroświeckim lustrze już dawno zwietrzały.

Podeszła do okna. Sięgnęła pod frankę i jednym ruchem podniosła żaluzje, opuszczone od wielu miesięcy. Przez brudną szybę widziała budynki gospodarcze znajdujące się za domem i pastwisko pełne wilgotnej trawy. Rozciągało się od ogrodzenia po świerkowy zagajnik porastający zbocze.

Koło stajni pracował Dern.

Obserwowała zza cienkiej firanki mężczyznę, który uratował jej życie, którego Wyatt zatrudnił, wcale jej o tym nie informując. Austin Dern, barczysty i długonogi, najwyraźniej dobrze się czuł wśród koni, jakby całe życie spędził na farmie. Przypominał typowego hollywoodzkiego kowboja: sprane dżinsy, krótki kożuszek i kowbojki, kilkudniowy zarost i włosy, które wręcz błagały o fryzjera. Brakowało tylko kapelusza z szerokim rondem i teksaskiego akcentu.

Otworzył bramę i czekał, aż konie ją miną. W pewnej chwili niespodziewanie podniósł głowę, jakby nagle wyczuł spojrzenie Avy. Przeszedł ją zimny dreszcz. Powróciło dziwne wrażenie, że skądś go zna.

- Wmawiasz to sobie - szepnęła.

Na pewno nigdy wcześniej go nie widziała, nawet przed laty, w młodości...

Przypomniała sobie siłę jego ramion, bliskość jego muskularnego ciała, gdy wyciągał ją z wody.

Teraz to wszystko wydawało się nierzeczywiste, jakby dotyczyło kogoś innego.

Chyba pamiętałaby go, gdyby spotkali się już przedtem? Ukryta w mroku zapomnianego pokoju obserwowała, jak Dern wchodzi do stajni, a Rover, bezpieczny kundel, który przybłąkał się kilka lat temu, idzie za nim krok w krok. Przez chwilę rozważała, czy mu nie zaufać, ale zaraz odsunęła tę myśl.

Nie, nikomu nie może ufać. A już na pewno nie nieznanemu, który zjawił się nie wiadomo skąd i którego zatrudnił Wyatt. Musi pamiętać, że nic nie jest takie, jakie się wydaje.

Nie ma sensu rozmyślać o Dernie. Wiedziała o nim tylko to, że uratował jej życie. I starczy.

Nadal jednak nie dawała jej spokoju świadomość, że Wyatt zatrudnił go bez konsultacji z nią. Typowe!

Spojrzała w bok na kraniec pomostu, tam, gdzie, jak jej się wydawało, widziała synka tuż nad mroczną tonią, w kłębach mgły. Na samo wspomnienie serce zabiło jej mocniej.

Czy to było tylko złudzenie? Może to skutek tych cholernych proszków?

Wiedziała przecież, że synek wcale nie zaginął na pomoście, więc skąd ta dziwna fascynacja śliskimi deskami wcinającymi się w zatokę? Co się z nią dzieje, do cholery?

Owszem, policja sugerowała, że Noah wymknął się z domu i wpadł do wody, ale to nie musi być prawda. Wcale nie!

Z mocno bijącym sercem opuściła żaluzje i poszła z powrotem na górę.

W łazience opłukała twarz zimną wodą. Przez szum wody ledwo usłyszała pukanie do drzwi. Czasami jej pokój był ruchliwy jak centrum miasta.

- Już idę! - Porwała ręcznik z wieszaka, wytarła twarz i wróciła do sypialni, do której w tej samej chwili weszła Graciela.

- Pani Avo - zaczęła ze sztucznym, zawodowym uśmiechem - Virginia pyta, czy zje pani śniadanie.

- Później.

Graciela spoważniała.

- Virginia mówi, że kawa jest gotowa.

-- Dobrze. - Ava czekała, aż pokojówka wyjdzie. Ale Graciela nawet się nie poruszyła. I udawała, że nie rozumie, o co chodzi.

- Niedługo zejdę do kuchni i wtedy coś zjem - powiedziała Ava. Pokojówka nadal ani drgnęła. Ava cisnęła ręcznik na posłanie. - Coś jeszcze, Gracielo?

- *Si...* tak... - Dziewczyna zawiesiła głos i zmarszczyła brwi, jakby obawiała się powiedzieć coś więcej.

- O co chodzi?

- Pomyślałam, że chciałaby pani wiedzieć, że jej komórka dzwoni na dole.

- Moja komórka? - Ava szybko rozejrzała się dokoła. - Nie słyszałam.

- Jest w holu, przy drzwiach, w pani torebce.

- W holu? - Ava zerknęła na krzesło, na którym codziennie wieczorem kładła torebkę przed położeniem się do łóżka. Rzeczywiście, nie było jej tam. - Dzięki, zaraz po nią pójde - mruknęła do pokojówki. Widziała jej uśmiešek, który zdawał się sugerować, że wie, że Ava traci rozum. - Powiedz Virginii, że zaraz przyjdę na śniadanie, dobrze?

Graciela skinęła głową i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Szczęśliwej drogi, pomyślała Ava. Chociaż Graciela nie zrobiła niczego złego, działała jej na nerwy.

Ava nie przypominała sobie, żeby zostawiła torebkę na dole. To jednak tylko kolejny dowód na to, że nie myśli logicznie i luki w jej

pamięci obejmują teraz oprócz ważnych zdarzeń także nieistotne drobiazgi.

Co do jednego nie miała wątpliwości - zważywszy na to, jak się dzisiaj czuła, jedyny sposób, by wrócić do normalności, to odstawić lekarstwa. Tabletki otępiały ją, a musi przecież myśleć logicznie, musi w końcu dowiedzieć się, co się stało z jej synkiem i dlaczego ciągle dręczą ją te wizje.

Zdjęła szlafrok, żeby się ubrać. Wciągnęła czyste dżinsy i właśnie wkładała gruby wełniany sweter, gdy rozległo się kolejne pukanie do drzwi i po chwili w progu stanęła Demetria.

- Ejże! - Ava podniosła głos. - Ubieram się.

- Ach tak. - Pielęgniarka, wcale niespieszona, wymamrotała obowiązkowe przeprosiny. Przyniosła mały papierowy kubeczek i szklankę wody. - Lekarstwa.

- Postaw na toaletce. - Ava wyjęła włosy spod swetra i potrząsnęła głową, aż się rozsypały swobodnie. - Później połknę.

- Wie pani, że powinna je brać o określonych porach, żeby poziom substancji w organizmie pozostał na tym samym poziomie.

- Żeby uniknąć huśtawki nastrojów, jak się domyślam? Pielęgniarka zacisnęła usta.

- No właśnie.

- A huśtawka nastrojów jest niedobra, bo... Demetria przyglądała jej się badawczo.

- Zakładam, że pamięta pani wczorajszą kąpiel w zatoce? Chyba warto uniknąć kolejnego zagrożenia życia, prawda?

- Już mi lepiej.

- Przecież minęło dopiero...

- Wystarczająco dużo czasu! - przerwała jej Ava, ale zaraz wzięła się w garść. Jej irytacja to tylko woda na młyn pielęgniarki. - Zdaję sobie sprawę, że ostatnio zachowywałam się nie całkiem racjonalnie. Więc oznajmiam, że jeśli znowu zacznę nurkować w zatoce, może, tylko może, wrócę do leków. A na razie, zobaczymy, jak mi będzie bez nich.

- Doktor McPherson nie będzie zachwycona.

- Co, oczywiście, spędza mi sen z powiek - dopowiedziała Ava ze śmiertelnie poważną miną. Demetria nadal trzymała kubeczek z lekarstwami. - Nie zwracaj sobie tym głowy. Zadzwoń do niej i powiem, jak jest.

- A nie może pani zadzwonić po tym, jak zażyje lekarstwa?

Pielęgniarka Jewel-Anne coraz bardziej załaziła jej za skórę i Ava z trudem panowała nad głosem.

- Zostaw lekarstwa na toaletce.

- Dlaczego pani tak wszystko komplikuje? - Demetria wybuchła, jakby nie mogła tego dłużej wytrzymać.

- O to samo chciałam zapytać ciebie. - Ava minęła pielęgniarkę, trącając ją tak, że tabletki rozsypały się na podłogę.

- Ostrożnie! - Demetria opadła na kolana i nerwowo zbierała pigułki. - I co teraz będzie?

Ava już biegła po schodach. Jej kroki tłumił stary wypłowiasty chodnik leżący na drewnianych stopniach. Tego ranka nie da się sprowokować do kłótni. Demetria to jedna z tych nadętych, przemądrzałych bab, których po prostu nie znosiła. W przeciwieństwie do Jewel-Anne, której jakimś cudem udało się zaszczepić w pielęgniarce przekonanie, że to ona dzierży stery.

Dziwny związek.

Ava nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

Na parterze czekała Virginia, jak zawsze fałszująca niemiłosiernie przy akompaniamencie skwierczącego bekonu. Deszcz monotonicznie bębnił o szyby w wielkich oknach przy drzwiach wejściowych.

Graciela nie kłamała; torebka Avy leżała tam, gdzie mówiła, ciśnięta niedbale na krzeselko w holu. Pewnie zostawiła ją tu wczoraj, chociaż w ogóle tego nie pamiętała. Uznała, że to bez znaczenia. Sięgnęła po torebkę, otworzyła ją i wyjęła komórkę z małej bocznej kieszonki na suwak.

Zaburczało jej w brzuchu, gdy z kuchni dotarła kolejna fala smakowitych zapachów kawy i smażonego bekonu. Odblokowała klawiaturę komórki i zaczęła przeglądać wiadomości. Trzy nieodebrane połączenia, dwa od Tanyi i jedno z ukrytego numeru. 1 SMS od Tanyi: „Zadzwoń jak najszybciej”.

- Dobrze, już dobrze. - Wybrała połączenie zwrotne i ponownie weszła na schody.

Jej uwagę odwróciły szybkie kroki.

- Panienko Avo! - zawołała za nią Virginia.

Mało brakowało, a potknęłaby się o stopień. Obserwowała kucharkę i czekała, aż przyjaciółka odbierze.

- Cześć, już się martwiłam, czy dostałaś mój SMS! Czy ty w ogóle kiedykolwiek sprawdzasz wiadomości?

- Cześć. Poczekaj chwilę, dobrze? - odsunęła komórkę od ucha i zgromiła wzrokiem Virginie.

Kucharka zatrzymała się u podnóża schodów.

- Och, przepraszam - mruknęła. Dopiero teraz zorientowała się, że Ava rozmawia przez telefon. - Nie wiedziałam, że jest pani zajęta. - Zawróciła do kuchni i dodała cicho: - Śniadanie gotowe, w pokoju śniadaniowym.

Ava chciała zaprotestować, ale zamiast wdawać się w kolejną dyskusję, rzuciła tylko:

- Zaraz przyjdę - i ponownie weszła na schody. Pewna, że jest poza zasięgiem słuchu kucharki, podniosła telefon do ucha. - Przepraszam, tu wszystko dzieje się jednocześnie.

- NMS. - „Nie ma sprawy” w języku Tanyi. - Odebrałam twoją wiadomość. Przykro mi, że nie zastałaś mnie w zakładzie. Zalało mi piwnicę w domu, mam problem z rurami... nie, nawet nie chcę zaczynać!

- Kiepska sprawa.

- Nawet sobie nie wyobrażasz. Wolę nie mówić, co przez całą noc spływało ze wzgórza prosto do mojej pralni... Faj! Niedobrze mi się robi na samą myśl, ale Al, no wiesz, ten hydraulik, przybył mi na odsiecz i za kilka dni, kiedy wszystko przeschnie, będzie po sprawie. Tak przynajmniej mówi. Tymczasem, wożę domowe pranie do salonu, chociaż tam mam tylko małą pralkę. Ale mogłoby być gorzej. Chyba.

- Na pewno - mruknęła Ava. Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- O Boże, Ava, ależ ze mnie idiotka! - sapnęła Tanya. - To w sumie nic wielkiego... sterta brudów i małe komplikacje. W porównaniu z tym, przez co przeszła... - nie dokończyła, dodała tylko: - Wiesz, że bardzo, naprawdę bardzo mi przykro.

Coś kliknęło na linii, jakby ktoś inny usiłował się do niej dodzwonić. Ava zignorowała to.

- Już dobrze. - Nieprawda, nie było dobrze i obie o tym wiedziały. Ava oparła się o drzwi, czując, jak przygniatają ją tęsknota i ból.

Ale nie podda im się, nie dzisiaj, gdy w końcu znalazła w sobie siły do działania.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy się umówić... - zaproponowała. - Na kawę, lunch, może na drinka, sama nie wiem.

- Bardzo chętnie! - ucieszyła się Tanya. - W każdej chwili... To znaczy, muszę się zastanowić kiedy. No bo wiesz, mam na głowie sa-

lon piękności, dzieciaki i w ogóle... Szkoła, treningi i, nie uwierzysz, balet Belli. Czasem mam wrażenie, że cały dzień siedzę za kierownicą. Nie wyobrażasz sobie, ile wydaję na benzynę!

Wozić dzieci na dodatkowe zajęcia? Dla Avy to spełnienie marzeń, ale nie powiedziała tego na głos, mruknęła tylko:

- Widzę, że jesteś bardzo zajęta, więc zaproponuj termin.

- Dobrze, niech pomyślę... Mam kalendarz w komputerze... To może... tak, jutro dałabym radę. Mam godzinną przerwę na lunch, ale dosyć późno, koło drugiej. Może druga piętnaście? Pasuje ci? Mam farbowanie i strzyżenie i to się może przeciągnąć.

- Nie ma sprawy.

- Dobra, wpadnij do salonu.

- Będę piętnaście po drugiej. Zabierz zdjęcia dzieciaków.

- Mam je w pracy. Tak, wiem, jestem okropną mamuszką. - Tanya się roześmiała.

- Więc do zobaczenia. - Ava już miała się rozłączyć, ale głos przyjaciółki powstrzymał ją.

- Chwileczkę! Cały czas rozmawialiśmy o mnie. A ty? Jak się czujesz?

I znowu to cholerne pytanie.

- Bo wiesz, słyszałam... co się wczoraj wydarzyło. - Tanya głęboko zaczerpnęła tchu. - Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej - zapewniła Ava. Usłyszała kroki na schodach, więc ściszym głosem dodała: - Jutro ci wszystko opowiem.

- Słowo? Stuk, stuk, stuk. Pukanie do drzwi. O Boże. Znowu?

- Słowo honoru - szepnęła i przerwała połączenie.

Kiedy dorastały, zawsze w ten sposób podkreślały wagę obietnic. To była niepisana zasada: ilekroć jedna z nich użyła tego wyrażenia, znaczyło to, że traktuje daną obietnicę ze śmiertelną powagą.

- Już idę! - Ava schowała telefon i otworzyła drzwi. Jewel-Anne, z dłonią uniesioną, by ponownie zapukać, siedziała

w progu na wózku inwalidzkim, blokując jej drogę i uniemożliwiając wyjście z pokoju.

- Śniadanie ci stygnie - oznajmiła chłodno. Jej lalka, tym razem rudzielec o zielonych oczach, zdawała się przyglądać Avie spod

długich rzęs ze swojego miejsca w specjalnym worku przymocowanym do wózka. Jewel-Anne wyjęła z uszu słuchawki telefonu, który trzymała w drugiej dłoni.

- Przecież mówiłam Virginii, że zaraz przyjdę - burknęła Ava.

- Po prostu uznałam, że powinnaś wiedzieć. - Jewel-Anne uśmiechnęła się słodko. - Dostałam też wiadomość od Trenta. Chciał się z tobą skontaktować, ale nie oddzwoniłaś.

- Wcale nie... - Ava przerwała w pół słowa, bo przypomniała sobie nieznaną numer na wyświetlaczu telefonu. - Więc nie mógł dodzwonić się do mnie i dlatego skontaktował się z tobą?

- Chyba tak - odparła Jewel-Anne i wzruszyła ramionami.

- Dlaczego?

- Pewnie dlatego, że ty nie odbierałaś komórki, a miał pewność, że ja to zrobię - wyjaśniła Jewel-Anne, jakby Ava była kompletną idiotką. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Zdecydowanie za często. - Ma nowy numer telefonu - poinformowała kuzynkę i podyktowała jej go.

Przekazawszy wiadomość, przerzuciła włosy przez ramię, wcisnęła guzik na oparciu wózka, manewrując zgrabnie, odwróciła się w wąskim korytarzu i odjechała.

- Nie ma za co! - zawołała, mijając zamknięte drzwi pokoju dzieciennego. .. Pokoju Noaha.

Ava zbiegła na parter, odczytała informację na wyświetlaczu i wcisnęła klawisz połączenia zwrotnego.

Usłyszała informację, że numer jest nieaktualny.

Już miała wybrać numer podyktowany przez Jewel-Anne - doskonała pamięć do liczb była jednym z nielicznych talentów, które jej pozostały - ale w tym momencie telefon w jej dłoniach zadzwonił.

- Halo? - Podnosząc komórkę do ucha, zerknęła na wyświetlacz: numer prywatny.

- Czyli jednak żyjesz - zażartował Trent na powitanie.

- Jeśli wierzyć niektórym, mimo moich wysiłków.

- No, no, uważaj, co mówisz. Niewykluczone, że jestem jednym z nich - odparł Trent i zaśmiał się z własnego marnego dowcipu.

- Wiem o tym - powiedziała Ava.

Właśnie z Trentem, bratem bliźniakiem lana, czuła się związana najbardziej ze wszystkich kuzynów. Trent - ten normalny, jak sam się przedstawiał - był odrobinę niższy od brata i trochę mniej urodziwy, ale

nadrabiał to osobowością. „Pożeracz niewieścich serc”, mawiał o sobie w czasach licealnych i to przezwisko niewiele miało się z prawdą.

Wystarczy zapytać Tanyę.

I wiele innych dziewcząt ze szkoły.

- Naprawdę nic mi nie jest - zapewniła. Niech sobie myśli, co chce. Przyrodnia siostra i brat bliźniak na pewno zdążyli mu opowiedzieć nie wiadomo co o jej stanie. - Piper już do mnie dzwoniła.

- Najdroższa macocha-jęknął.

- No właśnie.

- Niech zgadnę. Zachowywała się tak, jakby twój los spędzał jej sen z powiek.

- Jak na to wpadłeś?

- Czyli nie muszę się o ciebie martwić?

- Pozwól sobie na odrobinę szaleństwa i załóż, że jestem normalna.

Roześmiał się.

Podeszła do okien oszklonej werandy, z której rozciągał się widok na stajnię, pola i wzgórze otaczające Neptune's Gate. Porozmawiali jeszcze chwilę. W końcu Trent zaczął się żegnać.

- Uważaj na siebie - poprosił.

Ava weszła do gabinetu Wyatta. Przytrzymując telefon barkiem, wzięła długopis z pojemnika na biurku i zapisała nowy numer kuzyna na dłoni.

- I nie zapominaj, że otaczają cię sami wariaci - dodał.

- Zabawne, są o mnie tego samego zdania.

- Więc idealnie tam pasujesz.

- Nie sądzę - odparła i roześmiała się.

- W takim razie udowodnij im, że się mylą.

Zrobię to, pomyślała, rozłączając się. Najpierw jednak musiała to udowodnić samej sobie.

Rozdział 9

Ava posłusznie zjadła śniadanie - stygnącą jajecznicę, zimny bekon i grzankę ociekającą masłem - i wypila kawę. Wzięła jabłko i banana / . koszyka w pokoju śniadaniowym i wróciła na górę do siebie.

Od dawna nie myślała tak logicznie. Wyjęła z szafy laptop i usiadła w fotelu przy oknie. Po pierwsze, musi ustalić, gdzie byli poszczególni

domownicy i goście tamtej nocy, gdy zniknął Noah. Myślała o tym wielokrotnie, ale zawsze brakowało jej siły, by się do tego zabrać.

Oczywiście policjanci przygotowali podobne zestawienie w ramach prowadzonego śledztwa, ale ani szeryf Biggs, ani jego podwładni nie bardzo się do niego przykładali. Nie wynikało to z niedbalstwa ani tym bardziej ze złej woli. Po prostu szybko przyjęli najbardziej prawdopodobną - nawet ona musiała to przyznać - wersję, że Noah wyszedł na dwór, wpadł do wody i utonął. Pobieźnie przesłuchali wszystkich domowników i przeszukali, z udziałem ochotników, całą wyspę. Gdy nurkowie spenetrowali głębiny w pobliżu pomostu i niczego nie znaleźli, uznano, że chłopiec spadł z nabrzeża, utonął, a fale porwały jego małe ciało na pełne morze.

Tyle tylko, że kiedy Noah zaginął, był przyływ. Sprawdziła to.

Ale nikt jej nie słuchał - i właściwie wcale się temu nie dziwiła. Zachowywała się jak wariatka, traciła zmysły ze strachu, za wszelką cenę chciała odnaleźć synka, przechodziła poważne załamanie nerwowe. ..

Nic dziwnego, że nikt nie traktował jej poważnie. W ciągu następnych dwóch lat uparcie pielęgnowała w sobie wiarę, że kiedyś odnajdzie synka, ale umęczony umysł nie był w stanie się skoncentrować. Aż do teraz. Zerknęła na nocny stolik. Stał na nim malutki kubek, a w nim tabletki, które Demetria pozbiierała z podłogi.

Środki uspokajające.

Antydepresanty.

Poszła z kubeczkiem do łazienki i wyrzuciła pigułki do toalety, lecz tym razem dopilnowała, by spłynęły bez śladu. Podejrzewała, że wyjątkowo dokuczliwy tego ranka ból głowy to skutek odstawienia leków, ale nie przejmowała się tym - poradzi sobie z syndromem odstawienia, czy jak to się tam nazywa.

Upewniwszy się, że po tabletkach nie ma ani śladu, wróciła do sypialni, wypila połowę wody ze szklanki i odstawiła pusty pojemniczek po lekach na stolik. Nie, żeby liczyła, że ktokolwiek się na to nabierze, ale i tak to zrobiła. Pospiesznie splotła włosy w warkocz, żeby jej nie przeszkadzały przy pisaniu, i zajęła się pracą.

Pamiętała noc, która na zawsze zmieniła jej życie. Była Gwiazdka, Neptune's Gate wypełniali ludzie - pracownicy i zaproszeni goście. Powtarzała nazwiska wszystkich, którzy zostali na noc, i tych, którzy tylko wpadli z wizytą. Zapisała je w notesie ołówkiem, który znalazła

w szufladzie. Nie miała pewności, czy kogoś nie pominęła, lecz mimo to przeniosła dane do komputera.

Początkowo szło jej to bardzo kiepsko, klawiatura wydawała się obca, a palce niezgrabne. Nie poddawała się jednak. Uparcie poprawiała kolejne literówki, aż znalazła właściwy rytm.

- To jak jazda na rowerze - powtarzała sobie, zapisując przy każdym nazwisku, co ją łączyło z daną osobą gdzie ta osoba znajdowała się w czasie, kiedy Noah zaginął. Do znużenia wałkowała to samo z policjantami, ale wtedy była tak pogrążona w rozpacz, że nie myślała logicznie.

Wreszcie skończyła i teraz z uwagą czytała spisany dokument. Czy to pomoże?

Nie dowie się, dopóki nie spróbuje.

Trzy godziny później usiadła za biurkiem. Ból rozsadzał jej czaszkę. Pokręciła szyją, żeby rozluźnić mięśnie, i po raz kolejny analizowała wykres i tabelę, które sporządziła, opierając się na własnych wspomnieniach i rozmowach przeprowadzonych w ciągu minionych dwóch lat.

Pamiętała tamten wieczór, jakby to było wczoraj...

W holu wisiały świąteczne girlandy przeplatane złotymi wstążkami i łańcuchami lampek. U stóp schodów stała sześciometrowa choinka; jej gałęzie uginały się od bombek, zabawek i świecidełek. Czub sięgał niemal pierwszego piętra.

Z głośników porozmieszczanych w całym domu płynęły kolędy; znajome melodie nikły w gwarze rozmów, śmiechów i brzęku kieliszków.

Nastrój był świąteczny, pogodny; Ava pochmurniała tylko chwilami, gdy podczas kolacji w jadalni zerknęła na prawo, tam gdzie zawsze siedział Kelvin, jej brat. Teraz na jego krzesło siedział Clay Inman, znajomy Wyatta, młodszy wspólnik w jego firmie. Rodzina Claya została w Karolinie Północnej i biedak nie miał co ze sobą zrobić na święta. Niczego nieświadomy, usiadł na miejscu Kelvina. Wydawało się, że nie zwrócił na to uwagi nikt poza Avą i może Jewel-Anne, która w pewnym momencie głęboko popatrzyła kuzynce w oczy.

O dziewiątej Noah zaczął marudzić. Zaniósł go na górę, przebrała w piżamkę i położyła w kołysce.

- Nie - sapnął i wskazał dorosłe łóżko, które dostarczono w tym tygodniu.

- Sama nie wiem...

- Duże łóżko, mamusiu!

- No dobrze, dobrze! - Uległa mu i później miała tego bardzo żałować. - Ale pójdiesz spać.

Otuliła go kołderką i usiadła w bujanym fotelu, a on zamknął oczka i udawał, że śpi. Zaraz jednak uniósł powieki.

- Spij - powtórzyła stanowczo.

Dwadzieścia minut później malec wreszcie usnął. Ava wstała, pochyliła się nad nim i szepnęła:

- Wesołych świąt, syneczku. - Odgarnęła mu ciemne loki z czoła i pocałowała miękką skórę. - Do zobaczenia rano.

Pamiętała, jak uśmiechnął się do niej przez sen, pamiętała cień jego gęstych, ciemnych rzęs na zaróżowionych policzkach. Pamiętała, jak zatrzymała się w progu i zerknęła przez ramię, aby się upewnić, że jest dobrze przykryty.

Na wspomnienie ostatniej chwili, gdy widziała synka, coś ścisnęło ją za serce. Jego obraz był tak wyraźny, niemal namacalny.

Zadowolona, że Noah zasnął, wyszła z jego pokoju, zostawiając uchylone drzwi, uniosła skraj czerwonej sukni, którą kupiła specjalnie na tę okazję, i zbiegła na parter do gości. Pamiętała, jak zatrzymała się na półpiętrze, bo wydawało jej się, że słyszy, jak synek ją woła. Nasłuchiwała przez moment, ale nie wychwytiła jego głosiku w kakofonii

dźwięków, pomyślała więc, że się przesłyszała.

- Tu jesteś! - zawołał Wyatt. Stał u stóp schodów z drinkiem w dłoni i uśmiechał się do niej. - Mamy gości!

- Wiem, wiem, usypiałam małego.

Zbiegła na parter, pożegnała się z Inmanem i grupką innych gości, którzy tłoczyli się przy drzwiach. W pośpiechu wkładali płaszcze, szaliki i rękawiczki, żeby zdążyć na prom do Anchorville.

Goście przychodzili i wychodzili falami, a ona gawędziła z nimi i pilnowała, żeby wszyscy mieli co pić, żeby świece się paliły, żeby nikt się nie nudził i muzyka nie cichła. Przez ponad godzinę nikt nie zająknął do Noaha. W pokoju dziecięcym był włączony monitoring. Dźwięk odtwarzały głośniki w sypialni, saloniku i pokoju śniadaniowym. Niestety, kamera wideo była skierowana na kołyskę, a nie na łóżko, bo Noah jeszcze nie przeniósł się do niego na stałe.

Wszystko zawiodło. Tej nocy podsłuch nie zdał się na nic, zagłuszony odgłosami z przyjęcia, a kamera niczego nie zarejestrowała, bo nie było w niej taśmy. Nawet gdyby była, mało prawdopodobne, że-

by na zapisie znalazło się cokolwiek przydatnego, ze względu na kąt ustawienia obiektywu.

Od tamtego wieczoru poczucie winy nie opuszczało jej nawet na chwilę.

Ile razy wyrzucała sobie, że nie zadręczała synka?

Jak bardzo zadręczała się pytaniami, co by było, gdyby nie zignorowała jego wołania? Gdyby nie ta jedna głupia decyzja, wszystko mogło potoczyć się inaczej...

Zamknęła na chwilę oczy i poczuła łzy zbierające się pod powiekami. Nie, płacz nie pomoże, podobnie jak przeklinanie niebios. To już wiedziała. Próbowwała obu tych sposobów i nadal czyniła sobie wyrzuty, że zignorowała wołanie synka i wróciła do Wyatta, do gości...

- Pomóż mi, Boże. - Zacisnęła pięści koło klawiatury, zwiesiła głowę.

Skup się.

Nie ulegaj rozpaczce.

Ale ból tkwił w niej stale, atakował duszę, utwierdzał w przekonaniu, że to wyłącznie przez nią zaginął Noah. A teraz musi go odnaleźć. Nikt inny tego nie zrobi.

Z trudem przełknęła ślinę, zacisnęła zęby, zignorowała pieczenie pod powiekami i wróciła myślami do tamtego wieczoru.

Przyjęcie szybko się skończyło, kilka minut po jedenastej, ale ci, którzy jeszcze nie wyszli, wciąż siedzieli na dole. Wyatt był w gabinecie, sączył drogą whisky z Crispinem, ojcem licznych kuzynów Avy.

Trent i Ian grali w bilard w znajdującym się pół piętra niżej pokoju rekreacyjnym. Zinnia wyszła na taras i dalej do ogrodu, żeby odebrać telefon. Przez uchylone drzwi czuli chłodny oddech zimy i słyszeli krzyki siostry kłócącej się z najnowszym narzeczonym, który nie chciał spędzać świąt na, jak to określił, „kawałku skały na zadupiu”. Wolał wypad do Włoch, co doprowadzało Zinnię do szału. Kilka kaw po irlandzku dodało jej animuszu, którego i tak jej nie brakowało i, jeśli wierzyć braciom, Zinnia dała niejakiemu Silvio zdrowo popalić.

Ciotka Piper, uwolniwszy stopy ze szpilek, czytała coś w saloniku, a jej syn Jacob wyszedł na werandę na papierosa. Ava pamiętała jego cień za szybą. Stał w mroku, ale czubek papierosa żarzył się w ciemnościach.

Jewel-Anne wróciła na górę. Jako jedyna z rodziny potwierdziła, że była na piętrze, choć zaklinała się, że nie zbliżyła się do pokoju Noaha. Później zeznała, że drzwi do jego pokoju były zamknięte.

Jednak Ava pamiętała, że zostawiła je uchylone, a były zbyt ciężkie, żeby same się zamknęły. Ktoś zrobił to celowo.

- Kto? - szepnęła.

Zapisała to wszystko w notesie, podkreśliła i dopisała: „Dlaczego?”

Szeryf Biggs i jego ludzie jako jedną z hipotez przyjęli, że Noah wstał sam, powędrował długim korytarzem do tylnych schodów, dzięki czemu nikt go nie widział, a stamtąd na drugie piętro lub nawet na strych, jednak przeszukanie tych pomieszczeń nie przyniosło żadnych nowych śladów. Potem przyjęto założenie, że poszedł do kuchni i wymknął się tylnymi drzwiami w chwili, gdy albo nie było tam nikogo z personelu, albo nikt go po prostu nie zauważył. Na wszelki wypadek przeszukano też piwnicę, ale i tam niczego nie znaleziono.

Oczywiście istniało też prawdopodobieństwo, że Noah został porwany, ale nikt nie zażądał okupu i szeryf Biggs ponownie skoncentrował się na pierwotnej wersji wydarzeń, według której chłopczyk sam wyszedł z domu i zabłądził.

Ava złamała ołówek.

- Niemożliwe. - Nie mogła w to uwierzyć, choć wersja Biggsa nie była pozbawiona logiki.

Ava nigdy nie zaakceptowała oficjalnego przebiegu wydarzeń. Przede wszystkim wydawało jej się mało prawdopodobne, żeby nikt nie widział małego w drodze na dwór. Faktem jednak było, że w pewnym momencie drzwi na tylną werandę były otwarte. Zewnętrzne drzwi z siatką przeciwko owadom kołysały się na wietrze, choć żaden z gości nie zwrócił na to uwagi. Virginia wspomniała o tym dopiero później.

- Rzeczywiście coś słyszałam - przyznała. - Ale myślałam, że to gdzieś dalej, może drzwi do stodoły czy okno na stryszku. W zabudowaniach gospodarczych wечно coś stuka.

Większość feralnego wieczoru Virginia spędziła w kuchni. Khloe i jej mąż, Simon Prescott, byli zajęci - Khloe pomagała w kuchni, a Simon, do spółki z pomocnikami z farmy, Nedom Fenderem i Butchem Johansenem, wozili gości z wyspy na stały ląd i odwrotnie.

Graciela pomagała szykować i podawać przystawki oraz drinki, a zarazem dbała, by wszędzie panował nieskazitelny porządek. Wy-

rzucała brudne serwetki, zbierała talerze i sztućce, ustawiała na tacach puste kieliszki.

Demetria niemal cały czas towarzyszyła Jewel-Anne, poza tym trzymała się na uboczu. Ava pamiętała, że rozmawiała z Ianem i piła wino z Wyattem, przez chwilę też gawędziła z Tanya, gdy Jewel-Anne zajął ktoś inny.

Większość personelu miała alibi, choć zawsze dało się znaleźć jakąś lukę - ludzie przychodzili i wychodzili, kursowali między wyspą a stałym lądem, wracali do domu i zaraz znowu wychodzili...

Ale nie chodzili na górę.

Tylko nieliczni przyznali, że byli na piętrze. Korzystali z głównych schodów koło choinki lub windy. Tłumaczyli, że szukali wolnej łazienki. Zaklinali się, że po tym, jak Ava ułożyła synka do snu, nie opuszczali parteru i mieli alibi potwierdzające ich wersję.

Więc kto?

Zirytowana cisnęła kawałki połamanego ołówka do kosza na śmieci przy łóżku.

Lista gości nie była zbyt długa. Znajdowali się na niej wszyscy domownicy i Tanya, która przywlekła ze sobą Russa, chociaż akurat wtedy byli w separacji.

- Dajemy sobie jeszcze jedną szansę - wyjaśniła. - Ze względu na dzieci.

Próba była z góry skazana na niepowodzenie. Niecałe dwa miesiące później Tanya złożyła wniosek o rozwód, a Russell na zawsze wyjechał z Anchorville.

Byli też inni goście, starzy przyjaciele, którzy znali jej rodziców, pochodzący, podobnie jak ona, z wyspy. Większość miejscowych pożegnała się wcześniej, zanim Ava ułożyła synka do snu. Wtulał się w nią znużony, ale uparcie powtarzał:

- Nie chcę spać, mamusiu. Nie chcę spać!

Teraz oddałaby wszystko, byle usłyszeć jego głos. Cokolwiek byłoby lepsze od tej pustki i niewiedzy. Zamknęła oczy, usiadła wygodnie i usiłowała zrozumieć. Tysiące razy analizowała w myślach wieczór, kiedy zniknął Noah, i nigdy nie doszła do żadnego wniosku, nie znalazła żadnych wskazówek mogących rozjaśnić tajemnicę. Teraz miała chronologiczny przebieg wydarzeń, zapewne nic ponad to, co policja ustaliła dwa lata temu.

Jak się nazywał detektyw, któremu przydzielono tę sprawę? Simms... Simons... no tak, Snyder! Wes Snyder. Po czterdziestce, nalany, ostrzyżony na łyso. Był przejęty, poważny, skupiony i o wiele bystrzejszy od Joego Biggsa, mimo to jemu także nie udało się ustalić niczego nowego, nie stworzył żadnej nowej teorii na temat losu Noaha. Owszem, była mowa o porwaniu, ale szybko porzucono tę hipotezę i nie ściągnięto FBł. Z czasem Snyder odpuścił - jak wszyscy pozostali.

Tylko ty nie, Avo. Ty nigdy nie odpuścisz.

Ponownie uniosła powieki, wzięła długopis z kubka na biurku i zapisała nazwisko Snydera poniżej Joego Biggsa.

Zadzwoiła z komórki na posterunek i poprosiła o połączenie z detektywem Snyderem. Dowiedziała się, że przez większość dnia przebywa w terenie. Zostawiła mu wiadomość na poczcie głosowej i rozłączyła się. Miała wrażenie, że na każdym kroku ktoś rzuca jej kłody pod nogi. Wszyscy są przeciwko niej.

Głowa pulsowała tęnym bólem, mięśnie były napięte jak cięciwy, burczało jej w brzuchu. Połknęła tabletki na migrenę, popiła je wodą, obrała banana ze śniadania i żuła go w zamyśleniu.

Uspokoila się trochę, ale wiedziała, że aby wszystko na chłodno przemyśleć, powinna wyjść z domu. Wyłączyła komputer i schowała go wraz z notesem do szafy.

W starym domu dopadała ją klaustrofobia. Narzuciła na ramiona wiekowy sweter w marynarskie pasy i ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się tuż przy schodach. Wędrowała wzrokiem po korytarzu - tuż za schodami były drzwi do pokoju Noaha. Od powrotu ze szpitala tylko raz zebrała się na odwagę i zajrzała do środka, ale rozpacz nie pozwoliła jej przekroczyć progu. Od tamtej pory drzwi pokoju dziecinnego były zawsze zamknięte, a w środku wszystko zostało tak jak dawniej. Spokój tego miejsca tylko raz w tygodniu zakłócało sprzątanie.

Ale dzisiaj czuła, że musi tam wejść.

Nie czekała, aż opuści ją odwaga, pokonała krótki odcinek korytarza, przekręciła szklaną gałkę w drzwiach i weszła do pokoju synka. Serce waliło jej jak oszalałe. Dłonie miała zimne i mokre od potu.

Jedynym źródłem światła było mdłe słońce przebijające się przez na wpół zaciągnięte zasłony. Szara poświata spowijała cały pokój, zdawała się wysysać wszelkie barwy z kolorowej narzuty na szero-

kim łóżku, a jaskrawa niegdyś pościel wydawała się bezbarwna. Coś ścisnęło ją za gardło.

Zrobiło jej się słabo z rozpaczy.

Zdawało jej się, że przez woń kurzu i środków czyszczących wyczuwa delikatny aromat dziecięcej oliwki... choć to pewnie kolejne sztuczki jej umysłu.

Z trudem przełknęła ślinę, zapaliła małą lampkę nocną i spojrzała na karuzelę wiszącą nad łóżeczkiem. Pluszowe stwory morskie wisiały smętnie. Z sercem w gardle uruchomiła zabawkę i po chwili małej uśmiechnięty krab, konik morski i rozgwiazda kręciły się powoli, a ciszę przerwał delikatny dzwoneczek i melodia znanej kołysanki.

Oczywiście wyobraźni widziała Noaha, jak leży w łóżeczku i wodzi wzrokiem za obracającymi się zwierzakami. Później, gdy już stawał, wyciągał łapki do pluszaków.

- Ava? - Głos Wyatt'a wyrwał ją z zadumy.

Podskoczyła nerwowo, trąciła pluszową rozgwiazdę, która zakołysała się rytmicznie, wprawiając w ruch całą karuzelę. Odwróciła się szybko i zobaczyła męża w progu pokoju. Światło z korytarza obrysowywało jego sylwetkę.

- Przestraszyłeś mnie!

- Nie chciałem. - Uśmiechał się, ale w jego oczach malowała się powaga. Miał ze sobą niewielką torbę podróżną przez ramię przerzucił płaszcz. - Byłem po prostu ciekaw, co tu robisz.

- Wspominam. - Musnęła palcami obramowanie łóżeczka, tam gdzie małej zębki synka zostawiły ślady na gładkim drewnie.

- Uważasz, że to dobry pomysł?

- Kto wie?

- Ja... musiałem trochę dłużej popracować, ale pomyślałem, że moglibyśmy... no, posiedzieć dzisiaj razem. Zjeść kolację, może obejrzyć jakiś film?

- Randka domowa? - zapytała, a Wyatt uśmiechnął się, chyba szczerze, po raz pierwszy od dawna.

- Tak to nazywaliśmy.

- Pamiętam.

- A więc ustalone. - Skinął głową a ona nagle poczuła ulgę i kruchą nadzieję, że może jeszcze nie wszystko stracone, może jeszcze uda się uratować to, co ich dawniej łączyło.

- Avo? - powiedział cicho.

- Tak.
- Noah odszedł. - Odchrząknął. - On już nie wróci i... i chyba będzie najlepiej, jeśli się z tym pogodzisz.
Przecząco pokręciła głową. Wyprostowała się.
- Nie mogę. Nie zrobię tego.
- Więc nie wyzdrowiejesz.
- Ja chcę tylko poznać prawdę, Wyatt.
- Bez względu na wszystko?
Znowu poczuła chłodny dotyk strachu, ale stanowczo odepchnęła go od siebie.
- Bez względu na wszystko.
Przez chwilę patrzył jej w oczy. Zaciśnął usta w wąską linię, uderzając gniewnie w kławkę.
- Rób, jak uważasz. I tak wiem, że nikogo nie posłuchasz. Wyszedł.
Słyszała, jak w korytarzu cichną jego kroki.
- Tak właśnie zrobię - powiedziała do pustego pokoju, gasząc czułym gestem lampkę przy łóżku.
Czyli nici z domowej randki.

Rozdział 10

Wściekła na cały świat, a na Wyatta w szczególności, wybiegła na dwór. Od morza wiał słony jesienny wiatr. Analizując w myślach ich kłótnię, minęła krzaki paproci o szerokich liściach, które przycupnęły przy krętej ścieżce wijącej się przez cały ogród.

Musiała zrobić wszystko, naprawdę wszystko, żeby odzyskać kontrolę nad własnym życiem. Planowała spacer do miasteczka, żeby ochłonać, ale gdy zobaczyła konie na pastwisku, koło ogrodzenia, wpadła na lepszy pomysł.

Jako mała dziewczynka uwielbiała pędzić galopem przez pola pełne rosy, przez ciemne lasy otaczające rezydencję. Godzinami penetrowała stare ścieżki wijące się wśród wzgórz i wybrzeża, poznawała każdy skrawek skalistej wyspy, zapuszczała się nawet na tereny zakazane przez rodziców.

Mimo ostrzeżeń matki włóczyła się drózkami, które prowadziły aż pod masywne mury starego szpitala psychiatrycznego i dalej, wysoko na wzgórze, na urwiska, które gwałtownie opadały ku morzu. Mijała stare chatki, wodospad, kamieniołom i inne zakazane miejsca.

Znała tam każdy kąt.

Wyszła za bramę, minęła starą drogę dojazdową prowadzącą do pastwiska, na którym pasły się konie. Gwizdnęła i Jasper, gniady wałach, czujnie uniósł łeb, zastrzygł ciemnymi uszami, parsknął.

- No, chodź. - Ava zastanawiała się, czemu wszystkie samce w jej życiu są tak cholernie uparte. - Będzie fajnie, obiecuję.

Koń zbliżał się powoli, jakby z wahaniem.

- Najwyższy czas - szepnęła, wyciągnęła rękę nad ogrodzeniem, pogładziła chrapy. Jasper parsknął, aż jego oddech zasnuł zimne powietrze ciepłym obłoczkiem. - Ja też za tobą tęskniłam. Chodź, przejedziemy się.

Tym razem nie protestował i poszedł za nią do stajni. Kilka minut później narzuciła mu na grzbiet koc i siodło, zacisnęła popręg, założyła uzdę.

A potem wskoczyła na koński grzbiet i wyprowadziła Jaspera ze stajni. Zerknęła na dom, widziała Simona w ogrodzie. Podniósł głowę i spojrzał w jej stronę, więc szybko skierowała konia w przeciwnym kierunku, z dala od ogrodzenia. Im mniej osób ją zobaczy, tym mniej będzie musiała tłumaczyć, a miała już dosyć tłumaczenia się z każdego kroku. Zresztą kiepsko znała Simona, nie wiedziała o nim niczego ponad to, że jego małżeństwo z Khloe było burzliwe, choć namiętne, i że kiedyś pracował w wywiadzie wojskowym.

Gdy minęli ostatnią bramę, pozwoliła Jasperowi biec szybciej na otwartej przestrzeni. Pochyliła się nad szczupłym końskim karkiem.

- Zobaczymy, co jeszcze potrafisz, staruszkę - szepnęła i uderzyła go piętami.

Zareagował błyskawicznie, przyspieszył, przeszedł w cwał, kopyta wbijały się w mokrą trawę, aż grudki ziemi pryskały na boki. Gnali jak wiatr wzdłuż świerków i sosen tak wysokich, że ich wierzchołki niknęły wśród chmur.

Coraz szybciej i szybciej, aż świat stał się niewyraźną smugą zimne powietrze smagało jej twarz, bawiło się włosami.

Nagle zachciało jej się śmiać. Kiedy ostatnio czuła się tak wolna? Iak szczęśliwa? Boże, chyba nigdy! Środkiem pola płynął strumyk; Jaser nie zwolnił, przebiegł przez wodę, wzniesając fontannę kropel.

Na południu widniał opuszczony szpital psychiatryczny, potężna forteca z betonu i kamieni wznosząca się na urwisku nad samym brzegiem. Zniszczone poręcze zwisały smętnie, smugi rdzy znaczyły

szare ściany czerwonymi plamami. Wybite okna zasłaniały tekturowe płyty. Pusty maszt sterczał samotnie, zardzewiały łańcuch pobrzękiwał na wietrze.

Po ścieżce przemknął cień i przez chwilę wydawało jej się, że widziała kogoś na wysokich murach, zaraz jednak wszystko spowił coraz gęstszy mrok.

Zadrżała. Sea Cliff to niesamowite miejsce, nie chciała myśleć o szpitalu akurat teraz, gdy po raz pierwszy od lat poczuła się szczęśliwa i wolna.

- Żadnych ponurych myśli - szepnęła. Słowa stawały jej w gardle, a to za sprawą wiatru i tempa Jaspera. Ściągnęła mu wodze, żeby zwolnił, a deszcz rozpadał się na dobre. Po chwili otoczył ich zagajnik świerków i sosen. Przemykali pod mokrymi gałęziami. W powietrzu zapach oceanu splatał się z charakterystycznym aromatem mokrej gleby.

Oddech Jaspera wznosił się obłoczkami pary i nagle poczuła, jak cięży jej samotność wyspy. To miejsce odcięte od świata, lecz przecież do tej pory ta izolacja wcale jej nie przeszkadzała, czerpała z niej siłę i spokój. Ale oczywiście to wszystko było dawniej, przed tymi tragediami...

Ścieżka prowadziła coraz wyżej, aż drzewa skończyły się i jej oczom ukazał się wspaniały widok na cieśninę. Była tak wysoko, że widziała inne wyspy, ciemne punkciki na wiecznie wzburzonych wodach tego skrawka Pacyfiku.

Po raz ostatni była tu dzień po tym, gdy zaginął Noah. Sprawdzała wszystkie miejsca, wszystkie zakamarki w domu, a potem przyjechała właśnie tutaj i wpatrywała się w morze, przerażona, że dostrzeże jego drobne ciało na wzburzonych falach. Weszła nawet na zniszczone schody prowadzące na plażę, choć nie używano ich od dziesięcioleci. Zacisnęła usta. Tamtej nocy, gdy Noah zniknął, tak bardzo się bała, tak bardzo chciała go odnaleźć, że usiłowała zejść nimi na plażę.

Wiał wtedy silny wiatr, morze z hukiem uderzało o brzeg. W jednej ręce trzymała latarkę, drugą zacisnęła na chwiejnej, niestabilnej poręczu.

Schodziła powoli, ostrożnie, modląc się w myślach.

Proszę cię, Boże, daj mi go odnaleźć.

I niech nic mu nie będzie... Proszę, tak bardzo proszę...

- Noah! - usiłowała przekrzyczeć ogłuszający ryk oceanu. - Noah! - I trochę ciszej, błagalnie: - Synku, wróć do mamy... proszę...

Wiatr zwał jej kaptur z głowy, szarpał za włosy.

Schodziła powoli, ostrożnie. Jeden krok... drugi...

Pokonała pierwszy ciąg schodków, odetchnęła głęboko, skręciła i ruszyła dalej. Wiekowe schody cały czas trzeszczały niemiłosiernie pod jej ciężarem.

Ale musiała iść dalej.

Musiała go odnaleźć.

Gdzie jest jej synek? No, gdzie?

- Noah?

Z sercem w gardle pokonała kolejne stopnie, gwałtownie zakręciła o sto osiemdziesiąt stopni, zbiegła niżej. Bum!

Przegniłe drewno pękło. Cholerny stopień zapadł się.

Ava z wrzaskiem pochyliła się do przodu. Jej stopa ugrzęzła w dziurze. Szarpnęła się.

Panicznie czepiała się poręczy.

Latarka wysunęła jej się z dłoni, spadała w ciemność, wirując szaleńczo.

- Ratunku! - krzyczała na cały głos. Wbijiała palce w niestabilną poręcz, mocowała się z przegniłymi deskami więzącymi jej stopę, głową niemal dotykała niższych stopni. - Ratunku!

Schody zachwiały się niebezpiecznie przy kolejnym podmuchu wiatru, zaskrzypiały żałośnie, wtulone w urwisko.

Zebrała resztki sił i wstała powoli, uwolniła stopę z przegniłego stopnia. Chcąc za wszelką cenę odnaleźć synka, schodziła coraz niżej, przerażona, ale zdeterminowana.

Ból w kostce był nie do zniesienia, a to i tak nic w porównaniu z bólem w sercu, gdy dotarła na plażę, na której oczywiście nie było śladu jej synka.

Nawet najmniejszego.

Tamtej nocy została na plaży, skulona na zimnym wietrze płakała przy akompaniamencie fal, a wszelkie złe bóstwa całego świata śmiały jej się w twarz.

Następnego ranka, gdy sztorm ucichł i znalazła ją straż przybrzeżna, słyszała urywki rozmów, które od tamtej pory towarzyszyły jej nieustannie:

- Postradała rozum, biedaczka...

- Ciekawe, czy jeszcze kiedykolwiek dojdzie do siebie...

- Coś takiego... taka strata... Owszem, silna jest, ale która kobieta upora się z czymś takim?

Wszyscy chcieli jak najlepiej. Wszyscy byli szczerze zmartwieni. We wszystkich głosach słyszała szczerzy niepokój.

Wtedy nie zwracała na to uwagi, bo wtedy jeszcze całą sobą wierzyła, że synek jest gdzieś na wyspie. Owszem, przerażony, ale cały i zdrowy.

Upływające godziny, dni, tygodnie i miesiące odbierały jej stopniowo tę nadzieję i teraz nie wiedziała już, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy. Stała na szczycie schodów, od tamtej nocy zabezpieczonych barierką. Stopnie nadal kurczowo wczepiały się w klif, zniszczone, w gorszym stanie niż dwa lata wcześniej. Tabliczka ostrzegała wszystkich, którzy rozważali, czy nie pokonać barierki i nie zapaść się na kruchą konstrukcję.

Ostry podmuch wiatru szarpał ją za włosy, deszcz zalewał oczy, na horyzoncie zawisły niskie, ciemne chmury. Patrzyła na zachód, tam, gdzie cieśnina rozszerzała się i Pacyfik rozlewał się w pełnej okazałości. Malutkie wysepki, prawie niewidoczne, przypominały gigantyczne wypustki na grzbiecie podwodnego potwora oddychającego w rytm przyływów i odpływów.

Niemal machinalnie spojrzała na ujście zatoki i natychmiast przeszył ją dreszcz.

Jej serce ścisnęło się boleśnie, ilekroć wspominała brata i tamtą noc, gdy zginął.

Zsiadła z konia, puściła lejce i pozwoliła, żeby Jasper pasł się leniwie, pobrzękując uzdą przy każdym ruchu. Nie miała pojęcia, jaki przymus kazał jej tu przyjechać, zmierzyć się ze starym bólem, o którym wolałyby zapomnieć, zwłaszcza że tym samym zniszczy tak niedawną radość, ale tak właśnie się stało.

Podeszła do krawędzi klifu i wpatrywała się w zatokę i cieśninę. W morskiej głębinie kryły się skały zwane przez miejscowych Hydrą. Niewidoczne gołym okiem, czaiły się, zdradzieckie i groźne wobec zmiennych pływów. Cieśnina była naprawdę wąska i tylko żeglarze dobrze znający te wody mogli się tu zapuszczać.

Ava aż za dobrze wiedziała, jak niebezpieczne jest to miejsce. Jej ramiona pokryły się gęsią skórą, gdy wpatrywała się w wąski przesmyk, tam gdzie skały kryły się pod wodą.

Zrobiło jej się zimno. Objęła się ramionami i wróciła myślami do tamtego dnia, prawie pięć lat temu, bardzo podobnego do dzisiejsze-

go pochmurnego popołudnia. Tylko że wtedy niespodziewany szkwał z furią zaatakował Kelvina i jego największy skarb - nową żaglówkę, którą wypłynął w dziewiczy rejs...

Rozdział 11

Tamtego dnia niebo zasnuwały ciężkie deszczowe chmury, morze kipiało gniewnie, zanosilo się na burzę. Stali na pokładzie nowej łodzi we czwórkę: Kelvin, Jewel-Anne, Wyatt i Ava.

- Wracajmy do domu! - wrzasnęła Jewel-Anne z oczami okrągłymi z przerażenia, błada w potokach deszczu. Kurczowo trzymała się relingu.

- Przecież się staram. Puść ten cholerny reling i wracaj pod pokład! - krzyknął Kelvin.

- Mam tam utkwic jak w pułapce? Nie ma mowy!

- Jewel, proszę cię! - nalegał.

- Pospiesz się! - Uparcie trzymała się relingu jak ostryga skały.

- Wejdz pod pokład! - zawołała Ava i w tej chwili gwałtowny podmuch wiatru sprawił, że łódź pochyliła się niebezpiecznie.

- Cholera! - Kelvin zaciskał dłonie na sterze, a Wyatt rzucił dryf-kotwę w nadziei, że to pomoże ustabilizować łódź, ale fale nie dawały „Krwawej Mary” spokoju, obracały ją jak łupiną orzecha. - Ustaw się dziobem do fal! - krzyknął Wyatt i zaklął, gdy potężna fala przetoczyła się przez pokład, a łódź zadrżała. - Wiatr wieje w stronę lądu. Ustaw się dziobem do fal!

- Nieceee! - Jewel-Anne zawodziła żałośnie, wpatrzona w ścianę wody. - Wracajmy do portu! Szybko!,

- Musimy to przetrzymać! - Wyatt i Ava mocowali się z fokiem, ale ten żagiel, teoretycznie wsparcie podczas burzy, okazał się równie bezużyteczny jak silnik, którego Kelvin nie mógł odpalić.

- O Boże, dowieź nas w końcu do domu! - Jewel-Anne szlochała w głos, ślizgała się niezdarnie, kurczowo trzymała się relingu.

- Nie damy rady przepłynąć przez skały! - krzyknął Wyatt.

- To wszyscy zginiemy! - Jewel-Anne była na granicy hysterii. -Wszyscy, dziecko też! - Odnalazła wzrok Avey, wpatrywała się w nią błagalnie, odwoływała się do jej instynktu macierzyńskiego.

- Ona ma rację. - Ava pomyślała o nienarodzonym dziecku. Swoim dziecku. Dziecku Wyatta. - Musimy dotrzeć do brzegu.

- Nawet jeśli pokonamy skały i wpłyniemy do zatoki, co i tak nam się nie uda, nie damy rady dobić do brzegu - zauważył Wyatt. Zaciśnął usta w wąską kreskę, deszcz zalewał mu twarz, mokre włosy przywierały do czaszki.

- Na miłość boską, opuść żagiel! - krzyknął Kelvin. W obliczu potęgi żywiołu po jego spokoju nie został nawet ślad.

Wyatt z przerażeniem obserwował nadciągającą falę.

- Ustaw się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni!

- Nie mogę. Cholera! - Kelvin mocował się z kołem sterowym, a wystające skały były coraz bliżej. - Uwaga!

Fala z rykiem przetoczyła się przez pokład. Ava znalazła się w lodowatej wodzie, ale z całych sił trzymała się relingu. Łódka podskakiwała na rozszalałym oceanie.

Jewel-Anne, przemoczona i rozczochrana, krzyczała na całe gardło wczepiona w koło sterowe. Była szara ze strachu, miała panikę w oczach.

- Szybciej!- wrzeszczała, jakby mogli wyprzedzić sztorm. Kelvin nie zwracał na nią uwagi, zagryzł wargi, gdy przez pokład

przetoczyła się kolejna fala, a łódź zatrzeszczała niebezpiecznie.

- Pod pokład! - krzyknął Wyatt. Jewel-Anne nie panowała nad sobą.

- Rozbijemy się! Kelvin, na miłość boską! Wszyscy zginiemy! Uważaj!

- Zamknij się! - Kelvin nawet nie spojrzał w jej stronę. Zaciśkał dłonie na kole sterowym. - Zamknij się w końcu, do cholery!

Ava, przemarznięta i przerażona, kurczowo trzymała się relingu i wyteżała wzrok - szukała wybrzeża, światła, czegokolwiek, co wskazałoby im właściwą drogę. Spontaniczna wycieczka zmieniła się w koszmar. Kelvin usiłował dobić do brzegu i ominąć przy tym zdradzieckie podwodne skały czające się dookoła wyspy.

- Nie damy rady! - Jewel-Anne zawodziła wraz z wiatrem. Łódź tańczyła na falach.

- Nałóż kamizelkę ratunkową! - Kelvin nie dawał za wygraną.

- Nie mogę! - Jewel-Anne wpadła w histerię. Była biała jak śmierć. Złapała go za rękę i zgięła się wpół, gdy jacht kołysał się niebezpiecznie. - Wszyscy tu zginiemy! - Z płaczem osunęła się na pokład u stóp kuzyna.

- Zabierz ją ode mnie! - zawołał Kelvin do siostry. - 1 to już!

- Nie dotykaj mnie! - Jewel-Anne znowu krzyczała i łypała groźnie na Avę, wczepioną w ramię brata.

- Chodźmy, Jewel-Anne - zaczęła Ava, ale kuzynka objęła kolana Kelvina. Usiłował się uwolnić, jego uwagę pochłaniała walka z żywiołem.

- Zabierz ją pod pokład!

- Nieee! - Jewel-Anne nie chciała o tym słyszeć. Ava szarpnęła ją za ramię.

- No chodź!

- Zostaw mnie! - Jewel-Anne wstała z trudem, złapała się relingu i mało brakowało, a wypadłaby za burtę, prosto we wzburzone fale.

- Jewel-Anne! - Wyatt rzucił się w jej stronę, a Kelvin nadal usiłował utrzymać łódź na właściwym kursie. - Idź pod pokład, do cholery!

Chyba go nie usłyszała.

- No, chodź - Ava mówiła najspokojniej, jak potrafiła, chociaż łódź szalała, jej żołądek fikał salta, a żółć podchodziła do gardła.

- Jezu Chryste! - ryknął Kelvin. - Pod pokład!

- I co, będę tam tkwiła jak szczur, gdy się przewrócimy? - Jewel-Anne zanosła się szlochem.

- Nie... O kurwa! - Ponownie skoncentrował się na sterze.

- Pod pokładem jest bezpieczniej - przekonywała Ava. Starła się mówić spokojnie, pewnie, choć serce waliło jej jak szalone, a w żyłach buzowała adrenalina.

- Kłamiesz!

- Chodź, Jewel-Anne!

Ava złapała kuzynkę za ramię, zacisnęła palce na jej śliskiej od deszczu kurtce, a drugą ręką wyciągnęła kamizelkę ratunkową ze schowka pod siedzeniem. Jewel-Anne potrafiła być uparta jak osioł.

- Załóż to, i to już! - Podała kamizelkę kuzynce. - Zostaw Kelvina w spokoju. Niech sam steruje. - Szarpnęła ją za rękę, gdy łódź podskoczyła na kolejnej fali.

- Nie! - Jewel-Anne straciła równowagę i upadła z krzykiem.

- Zabierz ją stąd, do cholery! - wrzasnął Kelvin. Starł się opanować własny strach w tym starciu z napierającym żywiołem.

Jewel-Anne kwiliła cicho, niezdarnie odsuwała się od Avy, pełzła jak nieporadny krab, na grzbiecie. Wiatr zwiął jej kaptur. Nadal nie nałożyła kamizelki ratunkowej.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! - syknęła z paniką w oczach. - O Boże! Wszyscy zginiemy!

Ava straciła panowanie nad sobą. Rzuciła się do przodu na śliskim pokładzie, opadła na kolana, złapała kuzynkę za ramię i potrząsnęła gniewnie.

- Na miłość boską, Jewel, weź się w garść, do cholery! Plask! Bez namysłu, instynktownie, uderzyła ją w twarz.

- Opanuj się! - usiłowała przekrzyczeć wiatr. - Nikt nie zginie! Weź się w garść!

Jewel-Anne była w szoku. Przyglądała się jej ze zdumieniem. Łódź tańczyła na falach.

- Suka!

- Obie natychmiast przestańcie! Zróbcie coś, do cholery! - krzyknął Wyatt przez ramię. Cały czas walczył z bezużyteczną dryfkotwą.

Zalewały ich potoki deszczu, spływały po kapturach i kurtkach, kamizelki ratunkowe wcale nie koły rozszalałych nerwów, w końcu wściekłe morze i groźne skały były tak blisko. Ocean wirował groźnie. Ava wstała i usiłowała pomóc Jewel-Anne, ale kuzynka osuwała się bezwładnie, ciężka jak kamień, jakby nie chciała stanąć o własnych siłach na śliskim pokładzie.

- No, chodź - mamrotała Ava przy akompaniamencie wycia wiatru. Strach dodawał jej sił i w końcu Jewel-Anne stała na własnych nogach, niedaleko steru.

Chociaż dookoła szalało istne piekło, obrażona pocierała czerwony ślad na policzku.

- Suka! - powtórzyła gniewnie. - To wszystko twoja wina! Łódź chwiała się niebezpiecznie, z trudem utrzymywała się na falach. Jewel-Anne kurczowo złapała się relingu i nagle skupiła się na morzu.

- Uważaj!

Ava podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem. Serce stanęło jej w piersi na widok skał. Czarne. Postrzępione. Groźne.

- Dobry Boże - szepnęła, przerażona do głębi. Byli za blisko. Za blisko tych cholernych skał!

Jewel-Anne rzuciła się na Kelvina.

- Zawracaj! Kelvin! Zawracaj!

- Zrób z nią coś, i to już! - ryknął.

- Trzymajcie się! - Wyatt dodawał im otuchy, gdy przez pokład przetaczała się kolejna gigantyczna fala. Rzucił się w przód, złapał Jewel-Anne, przyciągnął do siebie. - Koniec z tą histerią! Zakładaj kamizelkę!

Za późno.

Fala runęła na pokład; ogłuszająca ściana wody. Ava straciła równowagę. Łup!

Znalazła się pod wodą.

W jej czaszce eksplodował ból. Świat spowijała czerń. Po omacku szukała czegoś, czego mogłaby się przytrzymać. Lodowata woda dławiała ją, wciągała coraz głębiej, zalewała usta i płuca.

Łódź zaskrzypiała, zadrżała.

Ava krztusiła się, mrugała, niezdolna się skoncentrować. A więc to koniec. Nie przetrzymają tego sztormu. Pomyślała o dziecku i błagała niebiosa o szansę dla nienarodzonego maleństwa...

Nie poddawaj się!

Nie wolno ci!

Skoncentrowała się na bracie.

Kelvin, z zaciśniętymi wargami, z rozpaczą i desperacją w oczach, stał u steru. Walczył z burzą - i przegrywał. Wyatt!

Dobry Boże, gdzie jest Wyatt? I Jewel-Anne?

Krztusząc się i kaszląc, złapała linę, która rozwinęła się nie wiadomo kiedy, i trzymała się jej kurczowo, gdy łódź chwiała się na falach. Gdzie jest Wyatt, do cholery? Ogarnęła ją panika.

- Wyatt!

Nic nie widziała. Woda zalewała pokład. Nie mieściło jej się w głowie, że straciła męża. Nie, na pewno tu jest!

A gdzie Jewel-Anne? Przerażona jak jeszcze nigdy w życiu, zaczęła wołać o pomoc, modliła się bez słów, by nadal byli na pokładzie.

O Boże, Boże, Boże.. .Proszę, zachowaj ich w zdrowiu.

W panice rozglądała się po pokładzie. Wołała męża po imieniu, ale w uszach miała jedynie ryk oceanu, równie ogłuszający, jak jej strach. Ochrypla, jej głos przeszedł w szept.

- Wyatt! - wołała. Łódź niebezpiecznie kołysała się na falach, a skały... te cholerne skały, były tak blisko... - Wyatt!

Trzask! Przerażliwy odgłos kamienia rozdzierającego włókno szklane wstrząsnął łodzią. „Krwawa Mary” zadrżała. Ava wczepiła się w liny. Boże, miej nas w swojej opiece! Kolejna gigantyczna fala przewaliła się przez pokład. - Trzymaj się! - krzyknął Kelvin.

Fale unosiły łódź jak łupinę orzecha, a Kelvin walczył ze sterem, chcąc ustawić się inaczej przed kolejnym atakiem sztormu.

Kil uderzył o skały, rozległ się rozdzierający dźwięk, jakby łódź jęknęła z bólu, i fala zalała pokład, wdarła się do kabiny. „Krwawa Mary” zaczęła pogrążyć się w głębinach.

Kolejna fala wezbrała pod tonącą łodzią uniosła ją wysoko, a potem z brutalną siłą cisnęła na ostre skały. Łódź wywróciła się do góry dnem.

Ava znalazła się w lodowatej wodzie. Morze chciało ją pochłonać. Lina mocno oplatała jej dłoń; ta sama lina, która wcześniej uratowała jej życie, teraz wciągała ją coraz głębiej, na pewną śmierć. Nawet ta cholerna kamizelka jej nie uratuje.

W panice usiłowała się uwolnić. Palce poruszały się niezdarnie. Szybciej, szybciej! Płuca płonęły żywym ogniem. Na linie nie było węzła, zaplątała się tylko, ale wciąż nie mogła się uwolnić.

Dawaj, Avo! Dasz radę! Nie poddawaj się!

Płuca płonęły coraz bardziej, traciła czucie w palcach, a morze porywało ją coraz dalej. Dokoła niej wirowały kawałki desek. Lina zaciskała się coraz mocniej.

Jeśli zaraz nie zaczerpnie tchu...

Bum!

Fale cisnęły ją o skały. Czowała, jak pękają jej żebra w zderzeniu z postrzępionymi głazami.

Z jej ust unosiły się bąbelki powietrza. Kręgosłup przeszył ból.

Nie mogła logicznie myśleć. Otaczała ją ciemność, wciągała... Ava coraz mniej czuła, kusilo ją, żeby ulec i... Nie!

Ostatkiem sił wyłuskała linę ze zdrętwiałych palców, wyrwała ją drugą ręką, zdzierając sobie przy okazji skórę i łamiąc paznokcie, a gdy nylon ustąpił, wybiła się nogami. Z całej siły.

Umęczona, poobijana, płynęła w górę, walcząc z prądem. Z każdą chwilą traciła nadzieję, że da radę, i to mimo piankowej kamizelki.

I nagle wypłynęła na powierzchnię. Chciwie zaczerpnęła powietrza, zanim porwała ją kolejna wielka fala. Nie opierała się, dała się ponieść wysoko nad skałami do zatoki.

Bezwładna, umęczona, obolała, wśród wycia wiatru i ryku fal, dostrzegła w oddali światła Neptune's Gate, złote plamki w ciemności.

Coś ścisnęło ją za serce.

Przerażało ją rozszalałe morze. Gdyby zdołała dotrzeć do brzegu... to niecałe dwa kilometry...

Młóciła wodę nogami, rozglądała się po wzburzonej toni w poszukiwaniu Wyatta, Jewel-Anne i Kelvina.

Bo oni żyją.

Na pewno.

Przecież mieli na sobie kamizelki ratunkowe, prawda?

- Ej! - zawołała, ale sztorm zagłuszał jej głos. Szukała wzrokiem nietypowych kształtów na falach, jakichś resztek „Krwawej Mary”. Nie dostrzegła niczego. O Boże, myślała rozpaczliwie. O Boże, Wyatt... Kolejna lodowata fala zalała jej gardło i rzuciła w stronę lądu.

Wstrzymała oddech, starała się nie myśleć o bracie, o mężu, o kuzynce, którą też niemal straciła. Mało brakowało, a przeżyłaby tylko ona.

- Ej!

Dłoń na ramieniu wyrwała ją z zadumy.

Sapnęła głośno i pośliznęła się, wracając z przeszłości w teraźniejszość.

Austin Dera mierzył ją gniewnym spojrzeniem. Był cholernie wkurzony.

Rozdział 12

Co tutaj robisz?! - krzyknęła, wyrwała mu się, cofnęła o krok.

- Uwaga! - Znowu złapał ją za ramię, zacisnął palce na jej barku i pociągnął w swoją stronę.

Dopiero w tym momencie zorientowała się, że stoi niecałe pół metra od przepaści, bardzo blisko rozpadających się schodów

Poczuła w żyłach nową falę adrenaliny. Trzydzieści metrów niżej morze wściekle uderzało o brzeg i ten ryk nagle wypełnił jej uszy.

Pogrążona w myślach, nie zauważyła, że podeszła tak blisko. Jeszcze kilka kroków i...

Serce zabiło jej mocniej.

- O Boże... Nie wiedziałam...

Tętno huczało jej w uszach. A gdyby Dern się nie zjawił? Jeszcze dwa kroki, a runęłaby w przepaść. Odetchnęła głośno, podała mu rękę i odsunęła się od krawędzi w stronę koni, bo do Jaspera dołączyła Cayenne, klacz, na której przyjechał Dern. Skubały mizerną trawę, podzwaniając uprzężą. Wiatr bawił się ich ogonami.

- Co pani robi, do cholery? - warknął.

- Nic. Myślę.

Zmarszczył gęste brwi. Przyglądał jej się intensywnie, jakby chciał powiedzieć: „Daruj sobie te bzdury”.

- A nie może pani myśleć w jakimś bezpieczniejszym miejscu? Wzruszyła ramionami, odchrząknęła.

- Chciałam się przejechać, odetchnąć świeżym powietrzem i... -Właściwie skąd ten odruch, by mu się zwierzyć? To nie jego sprawa.

- Niezłe miejsce na zadumę. Wyglądało, jakby chciała pani skoczyć.

- Nie - odpowiedziała i obrzuciła go ostrym spojrzeniem. - I dlatego tu jesteś?

- Nie mogłem się doliczyć jednego konia. A pies doprowadził mnie tutaj. - Wskazał kundla węszącego w kępie drzew. - I najwyraźniej dobrze zrobił.

- Nic mi nie jest.

- Naprawdę? - Sceptycznie uniósł jedną brew. Prawdziwy samiec alfa.

- Naprawdę. - No dobrze, może rzeczywiście była o krok od krawędzi, ale nie podobało jej się jego podejście. -Niech ratowanie mnie nie wchodzi ci w krew.

- Na pewno?

- Tak. - W jej głowie pojawiła się kolejna nieprzyjemna myśl. -Nie chcesz chyba powiedzieć, że mój mąż zatrudnił cię, żebyś... po co właściwie? Żebyś mnie szpiegował? Pilnował?

- Szukałem konia i tyle. Nie chciałem się w to pakować, chociaż sam nie wiem, co tu się dzieje.

Poczuła, jak ogarnia ją złość.

- Nie obchodzi mnie, co sobie myślisz po tamtej nocy, ale teraz... - Machnęła ręką w stronę urwiska. - Teraz naprawdę nie potrzebuję anioła stróża.

- Skoro pani tak twierdzi.

- Tak twierdzą.

Wzruszył ramionami, wyraźnie nieprzekonany, bo nadal podejrzliwie mrużył oczy. Odsunął się jednak i pojednawczo rozłożył dłonie.

- Nie miałem nic złego na myśli. - Złapał Cayenne za uzdę. - Proszę odprowadzić konia na pastwisko, a następnym razem dać mi jakoś znać, że chce się pani przejechać.

- Szukałam cię, kiedy brałam Jaspera, ale nie widziałam cię nigdzie w pobliżu. Zresztą nie wydaje mi się, żebym musiała prosić cię o pozwolenie, zanim wybiorę się na przejażdżkę na własnym koniu.

Nie zaprotestował, ale dobrze wiedziała, co sobie pomyślał. Że owszem, potrzebuje kogoś, kto uzna, że może sama wybrać się na przejażdżkę. Że nie jest w stanie o siebie zadbać. Że oszalała.

- To spora posiadłość - powiedział po chwili. - Nie zawsze jestem w pobliżu stajni, ale mam komórkę. Jeśli mnie pani uprzedzi, osiodłam konia.

- Poważnie? - prychnęła. - Nie wiem, co o mnie słyszałeś, ale zapewniam, że umiem osiodłać konia. Nawet z zamkniętymi oczami. Może tylko ja jestem tego zdania, ale uwierz mi, potrafię to zrobić. - Zanim zareagował, dodała jeszcze: - Bo o ile mi wiadomo, to jest mój dom, mój teren i mój pieprzony koń.

- Chciałem tylko...

- Wiem, co chciałeś powiedzieć, Dern! - Złapała wodze Jaspera, wskoczyła na siodło i odjechała, czując na sobie wzrok kowboja, stajennego, czy kim tam naprawdę był.

Dern zazgrzytał zębami. Nie poszło dobrze. O nie.

Jedyna osoba, do której chciał się tu zbliżyć, ostro osadziła go w miejscu. Odprowadzał ją wzrokiem. Siedziała sztywno wyprostowana, ale po chwili uniosła się lekko w strzemionach i pochyliła nad końskim karkiem, zmuszając Jaspera do galopu.

Z trudem oderwał wzrok od jej pośladków, nerwowo potarł kark i powtarzał sobie, że to wszystko jest do bani. Spieprzył sprawę koncertowo. Najwyraźniej nie dała się nabrać na numer z księciem z bajki spieszącym na ratunek. Właściwie jej się nie dziwił. Nie pasowała mu ta rola i chyba nigdy nie czuł się w niej dobrze.

Westchnął głośno. Prawie nie czuł, że wiatr się wzmaga, a powietrze pachnie deszczem. Jego myśli pochłaniała tajemnica - o nazwisku Ava Garrison.

Był ciekaw, jaka jest w łóżku, czy często sypia z tym dupkiem, swoim mężem. Coś między nimi było wyraźnie nie tak. Widział, jak wzajemnie unikali swojego wzroku. O nie, na wyspie Church nie ma mowy o małżeńskiej sielance.

Nie pojmował, dlaczego go to obchodzi.

Nawet jej nie lubił. Ba, z tego, co się dowiedział, to suka pierwszej wody - oczywiście o ile akurat nie przechodzi załamania psychicznego, jak teraz, od kiedy zaginął jej synek.

A jednak musiał się zmierzyć z nieprzyjemną prawdą - pociągała go.

- Powoli - mruknął pod nosem. To wszystko bez sensu. W tej chwili nie mógł sobie pozwolić na zainteresowanie żadną kobietą a Ava Church Garrison absolutnie nie wchodziła w grę; mężatka, walnięta i straszna suka, jeśli akurat nie rozpacza za dzieckiem. Zdecydowanie niewarta zachodu.

A jednak.

Kobiety zawsze okazywały się przyczyną jego klęski, ale przecież wielu mężczyzn lepszych od niego przegrywało przez kobietę. Tyle że on lubił kobiety z temperamentem, takie, które nie bały się konfrontacji.

Ava Garrison, przerażona i mokra jak szczur okrętowy, nie stanowiła problemu. Owszem, była piękna, ale krucha. Słaba. Absolutnie nie w jego typie. Za to ta nowa, ta, która wyglądała, jakby mogła zmiażdżyć go samym spojrzeniem, to co innego. Chociaż nie powinien, widział w niej wyzwanie i nie wiedział, czy zdoła mu się oprzeć.

Znów na nią spojrział. Naprawdę świetnie trzymała się w siodle. Nie kłamała, kiedy mówiła, że umie obchodzić się z końmi, pewnie w stajni też da sobie radę. Patrzył, jak ściąga wodze Jaspiera, zanim zniknęli w zaroślach, i zastanawiał się, co motywuje ją do działania.

Co ona w sobie ma, że tak na ciebie działa?

To nie tylko kwestia wyglądu, stwierdził, chociaż jej wyraziste oczy skrzyły się inteligencją. Do tego usta, pełne i zaciśnięte na nie do końca idealnie równych zębach, gdy była na niego zła. Ciemne włosy, wilgotne od deszczu, lekko falujące, wymykały się niesfornie z warkocza na karku. Mimo że trochę za chuda, nadal miała ciało sportsmenki; wąskie biodra, małe piersi i nieskończenie długie nogi. Pamiętał jej zdjęcia sprzed kilku lat, zanim straciła synka. Wyglądała prawie tak samo, miała tylko nieco pełniejsze kształty.

Przeglądał jej akta i wiedział, że w szkole średniej i na studiach biegała, ukończyła co najmniej jeden maraton.

Rozmawiał z jej współpracownikami i z ich słów wyłaniał się bardzo jasny obraz:

Zdeterminowana.

Pełna motywacji.

Perfekcjonistka.

Według niektórych - bezwzględna.

Słaba, złamana kobieta, którą tak niedawno wyłowił z lodowatych wód zatoki, w niczym jej nie przypominała. Pomyślałby, że to dwie różne osoby, gdyby przed kilkoma minutami nie zobaczył gniewnego błysku w jej oczach i nie usłyszał stanowczego tonu w jej głosie.

Gdy wróciła myślami z tej krainy, w której się zatraciła, w jej szarych oczach błyszczał ogień, policzki płonęły, usta wykrzywiły się z dezaprobatą. Dumnie uniosła podbródek, zacisnęła pięści.

Rzecz w tym, że ta Ava podobała mu się o wiele bardziej niż tamta, którą wyłowił z zatoki. Obserwował ją tamtego wieczoru, dygoczącą zastraszoną ofiarę, która kurczowo zaciskała dłonie między kolanami, nerwowo zagryzała wargi i uciekała wzrokiem, gdy rozmówcy szukali jej spojrzenia.

Teraz nie mógł przestać o niej myśleć. Był sam na urwisku, wiatr od oceanu okrywał fale białymi bałwanami, smagał drzewa i krzewy. Znalazł brakującego konia, więc też powinien już wracać.

Zadanie zostało wykonane.

Przynajmniej na dziś.

Wskoczył na siodło i z wysokości końskiego grzbietu ponownie spojrzął na morze, usiłując znaleźć punkt, w który wpatrywała się tak intensywnie. Mętna szara woda pieniała się w cieśninie prowadzącej do zatoki nad groźnymi podwodnymi skałami, o których miejscowi wyrażali się ze strachem i szacunkiem. Był to ciąg skał o ostrych szczytach wyglądających spod wody. Fale zalewały szpiczaste głazy spienionymi potokami.

Dlaczego tak intensywnie wpatrywała się w te skały? Nie miały nic wspólnego z zaginięciem jej dziecka, a przecież koncentrowała się we wspomnieniach na tamtej nocy, gdy widziała syna po raz ostatni. Potarł dłonią kark i nagle zdał sobie sprawę, że tu chodziło o śmierć jej brata, sprawę zupełnie niezwiązaną z zaginięciem chłopca.

Kelvin Church zginął w tragicznym wypadku na morzu. Ava była z nim na pokładzie i sama cudem uszła z życiem. Jewel-Anne

wskutek tamtej katastrofy jest sparaliżowana. Kilka dni po feralnym rejsie przyszedł na świat synek Avy i Wyatta.

Przywołał psa i zastanawiał się, czy dwa traumatyczne wydarzenia w życiu Avy Garrison łączyły się ze sobą i jak wielki miały wpływ na stan jej umysłu. Dzisiaj była wystarczająco przytomna, bystra i rezydentna, by pokazać mu, gdzie jego miejsce.

Ciekawe, jak długo to potrwa?

Idąc w stronę domu, podciągnął dżinsy. Chłodny metal pistoletu ukrytego za paskiem pod koszulą przypominał mu, że ma niewiele czasu. Teraz, gdy Wyatta nie ma na wyspie, a Ava jest na niego wściekła, będzie wołała schodzić mu z oczu. Miał więc chwilę spokoju. Uznał, że jest dość wcześnie, by pozwolić sobie na małą zmianę planów. Ściągnął wodze i skręcił w las, na ścieżkę biegnącą od wybrzeża w głąb wyspy do szerszej drogi, prowadzącej do starego szpitala psychiatrycznego.

Najwyższy czas wrócić do Sea Cliff.

Jadąc przez zalany deszczem las przesycony zapachem morza i ziemi, Ava na próżno starała się wyrzucić z pamięci przesadnie zatroskaną twarz Austina Derna. Co on sobie myślał, idąc jej śladem aż na urwisko?

Ale przecież uratował jej życie.

Może i tak. Raczej nie zamierzała zrobić decydującego kroku w przepaść, ale kto wie? Gdyby runęła do morza, mieszkańcy Neptune's Gate ze smutkiem kręciliby głowami, szeptem utwierdzając się w przekonaniu, że widocznie miała już dość tego wszystkiego.

Prychnęła rozdrażniona i ściągnęła wodze. No dobrze, Dern dogonił ją na krawędzi... i co z tego? To jeszcze nie znaczy, że ją śledził, że mianował się jej aniołem stróżem. Przecież Wyatt na pewno nie zatrudnił go po to, by miał na nią oko.

Paranoja... Nie daj się owładnąć lękom...

Ale gdy wyjechała z lasu i spojrzała na południe, w stronę Sea Cliff, przyszło jej do głowy, że człowiekiem, którego widziała wcześniej na szpitalnym murze, mógł być Austin Dern.

Czego jednak miałby tam szukać? To tylko kowboj, zwykły parobek, a jedynym jego przestępstwem jest ciągle ratowanie jej życia.

Zmrużyła oczy i wpatrywała się w niszczącą budowlę. Usłyszała głuche wycie, które przyprawiło ją o dreszcz, dopóki nie uświadomiła sobie, że to zapewne kojot.

Nie ma się czego bać.

Nie dostrzegła nikogo na murach starego szpitala.

- Idiotka - mruknęła i pochyliła się nad końskim karkiem. - Wracamy do domu, stary.

Potężny wałach chyba tylko na to czekał. Przyspieszył kroku, aż mokra trawa przyskała mu spod kopyt. Pęd zimnego powietrza zapierał dech w piersiach. Kiedy zbliżali się do strumienia, spostrzegła, że Jasper zastrzygł uszami. Zamiast przebiec przez bród, skręcił w bok, na głębinę. Odruchowo puściła wodze i poczuła, jak zwierzę spina mięśnie do skoku. Pochyliła się, a koń odbił się i wylądował z głuchym odgłosem na drugim brzegu.

Ledwie dotknął kopytami ziemi, popędził w stronę stajni. Ava nie wstrzymywała go. Liczyła, że poczuje to samo uniesienie co wcześniej, ale teraz spochmurniała, wróciły wszystkie lęki i obawy. Myliła się, wierząc, że zdoła uciec przed problemami. To niemożliwe. Teraz to wiedziała.

Byli już blisko domu. Osadziła wierzchowca i spojrzała w okno pustego pokoju gościnnego. Żaluzje były otwarte, chociaż pamiętała wyraźnie, że je zamykała.

Pewnie Graciela sprzątała i zapomniała je zamknąć.

Spróbowała zajrzeć do środka, ale nikogo tam nie było. Ignorując nieprzyjemne uczucie, że obserwują ją niewidoczne oczy, podjechała do stajni, zsiadła z konia, przytrzymała go za wodze i zręcznie otworzyła bramę prowadzącą do wrót.

Przy wejściu nie zdołała się powstrzymać i zerknęła za siebie. Była niemal pewna, że zobaczy wśród drzew szczupłego kowboja.

Ale oczywiście nikogo tam nie było.

Śmiejąc się z siebie w duszy, rozsiodła konia, schłodziła mu nogi i podsypała dodatkową porcję owsa.

- Zasłużyłeś - powiedziała, drapiąc go po łbie. Parsknął, aż ziarna rozprysły się na boki. - Może niedługo to powtórzymy - mruknęła, upewniła się, że wszystkie konie mają wodę w poidłach, i zgasiła światło.

Zdjęła buty na ganku i weszła do kuchni, kierując się w stronę głównych schodów, gdy usłyszała głos kuzynki:

- Byłaś na przejażdżce?

Cholera. Trzeba było wejść tylnymi schodami.

Nie miała wyboru - albo wyjdzie na ostatnią prostaczkę, albo musi stanąć twarzą w twarz z Jewel-Anne.

Ślizgając się lekko w samych skarpetkach, pchnęła drzwi do saloniku. W telewizorze leciał stary film i było to jedyne źródło światła w małym pomieszczeniu.

Kuzynka spojrzała na nią znad okularów. Jej uwadze nie uszła prze-moczona kurtka i potargane włosy Avy. U jej boku jak zwykle siedziała nieodłączna lalka, w dłoniach migały druty. Robiła coś małego z różowo-fioletowej włóczki - pewnie kolejny pulowerek dla jednej z lalek.

Ava ściągnęła gumkę z włosów.

- Dobrze mi to zrobiło.

- Przejazdzka? W deszczu?

- Mżawce - poprawiła. Rozplotła warkocz. - Właściwie nie pada. Jewel-Anne przewróciła oczami i wróciła wzrokiem do telewizora.

- Wszystko jedno.

Nie wdawaj się w tę dyskusję, powtarzała sobie Ava. Pamiętaj, to inwalidka. Nie masz pojęcia, jak się czuje, uwięziona w tym cholernym wózku.

- Widziałaś kogoś po drodze? - zapytała słodko i Ava już miała przyznać, że spotkała nowego stajennego, kiedy dotarło do niej, że Jewel-Anne miała na myśli Noaha. Kuzynka odwróciła się do niej z anielskim wyrazem twarzy, uśmiechając się niewinnie jak lalka u jej boku.

To tylko złudzenie.

Mimo to krew zastygła jej w żyłach.

- Nie, nikogo - skłamała.

- Właśnie tak myślałam. Janey, teraz usiądziesz tutaj.

Jewel-Anne usadziła lalkę koło siebie w ten sposób, że Janey pustymi oczami wpatrywała się w ekran, a białe-niebieskie światło z telewizora rzucało dziwne cienie na jej martwe rysy. Wydawało się, że jest zafascynowana filmem.

- Widzisz? Od razu lepiej - mruknęła Jewel-Anne do lalki i znowu sięgnęła po druty. Ponownie wbiła wzrok w ekran.

No tak, pomyślała Ava. Jewel-Anne obwinia mnie za wypadek, w którym zginął Kelvin, a ona straciła władzę w nogach. O to, kim się teraz stała.

Skierowała się w stronę schodów, ale kuzynka zawołała za nią:

- Myślałam, że znowu spotkałaś się z Dernem.

- Znowu? Klik, klik, klik. Ava zawróciła.

- Pojechał za tobą, widziałam. Simon też - dodała Jewel-Anne i na moment oderwała wzrok od telewizora. - Sądziłam, że cię dogonił.

Ava nie chwyciła przynęty, ale skorzystała z okazji, by zapytać:

- Wiesz coś o nim?

Jewel-Anne zamyśliła się i druty w jej dłoniach znieruchomiały.

- Wydaje mi się, że Dern dostał tę robotę dzięki znajomemu Wyatta, ale nie wiem dokładnie. - Znowu zabrała się do pracy. Klik, klik, klik. - Może zapytasz męża?

- Już pytałam.

- Ico?

- Rzeczywiście wspominał, że Dern pracował u jego klienta. Jewel-Anne wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się fałszywie.

- Ach tak.

- Byłam tylko ciekawa, u którego klienta.

- A czy to ma jakieś znaczenie? - Zdumiona uniosła wzrok i zanim Ava powiedziała coś więcej, zaczęła: - Posłuchaj, jeśli nie ufasz Wyattowi...

- Proszę, nie wkładaj mi w usta tego, czego nie powiedziałam - przerwała jej Ava. - Po prostu wydawało mi się, że Dern wygląda znajomo.

- Znajomo? Jak to?

- Nie wiem, ale mam wrażenie, że już go kiedyś widziałam... A może tylko kogoś mi przypomina?

- Najlepiej sama go zapytaj - poradziła Jewel-Anne. - Chyba że się boisz.

- Boję się? Nie, skądże.

- Tak myślałam - zgodziła się Jewel-Anne, ale jej uśmiech mówił co innego. Długie druty migały szybko w smukłych palcach. - Wiem, wiem, po prostu wszystko ci się myli.

Ava nie zwracała sobie głowy odpowiedzią. To i tak bez sensu. Kuzynka uwielbiała się z nią drażnić i przekomarzać.

Pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie i starała się odepchnąć poczucie winy, które nie dawało jej spokoju od tamtego wypadku na morzu ponad cztery lata temu. Sama wyszła z niego prawie bez szwanku, ale Jewel-Anne, ciskana przez fale jak lalka, skończyła na wózku inwalidzkim. Miała złamany kręgosłup. Zginęłaby, gdyby nie umiejętności pływackie Wyatta.

Młoda kobieta nie bez powodu przesiąkła goryczą.

Ava nigdy nie czuła się dobrze w jej towarzystwie, ale nie miała serca, by wymówić kuzynce dach nad głową.

- Oszalałaś? - usłyszała, gdy po raz ostatni poruszyła drażliwą kwestię wykupienia jej części posiadłości. Jewel-Anne odczekała

znaczącą chwilę, po czym dodała: - Zresztą niby dokąd miałabym pójść, co? Masz jakiś pomysł? Do zakładu? Tak byłoby łatwiej, prawda? Wolałabym mnie nie widzieć? Nie pamiętać?

Wcisnęła przycisk na oparciu wózka i odjechała przy akompaniamencie cichego szumu silnika i zgrzytu kół na starym parkiecie. Zniknęła w windzie w pokoju śniadaniowym.

Wyatt był świadkiem tej rozmowy. Spojrzał na żonę, jakby chciał powiedzieć: „No widzisz, co narobiłaś”, ale milczał. Oczywiście uważał, że Jewel-Anne powinna z nimi zostać. Łatwo mu zdobyć się na wielkoduszność - ciągle go nie było, rzadko kiedy musiał znosić kaprysy Jewel-Anne i prawie nigdy nie rozmawiał z Demetrią jej ponurą naburmuszoną pielęgniarką. Demetria została zatrudniona, żeby nauczyć Jewel-Anne samodzielności, ale zdaniem Avy było dokładnie odwrotnie.

Zaraz po tragedii Ava nie miała nic przeciwko obecności kuzynki w domu - wręcz przeciwnie. Noah przyszedł na świat dwa miesiące przed terminem, zaledwie kilka dni po śmierci Kelvina, i opieka nad nim pochłaniała ją całkowicie. Synek był jej wielką radością, więc gdy Jewel-Anne wyszła ze szpitala, Ava nie miała nic przeciwko temu, żeby kuzynka i jej pielęgniarka zamieszkały w Neptune's Gate. Przecież miejsca mieli aż za dużo. Opiekowała się małym, nie spała po nocach, oplakiwała brata i owszem, miała wyrzuty sumienia, że zaproponowała rejs tamtego dnia, o czym zresztą Jewel-Anne nie dawała jej zapomnieć.

Początkowo była nadzieja, że zdoła odzyskać władzę w nogach. Nigdy nie stwierdzono, że stan Jewel-Anne nie może ulec poprawie. Jednak pięć lat bez jakiegokolwiek zmiany to aż nadto, by nadzieja umarła, i Jewel zamieszkała w Neptune's Gate na stałe.

Ava starała się okazywać jej wyrozumiałość, ale czasami sama Jewel-Anne jej tego nie ułatwiała. Szczerze mówiąc, do szczęścia potrzebowała niewiele: tych cholernych lalek, płyt Elvisa, także winylowych, odtwarzanych na stojącym w jej pokoju staroświeckim gramofonie, który Jacob zniósł ze strychu, kiedy Jewel-Anne dowiedziała się, że w domu jest taki skarb, i jeszcze starych filmów w telewizji. Jeśli Demetria nie zmuszała jej do fizjoterapii, Jewel-Anne przeglądała stare gazety, głównie kolorowe magazyny, i śledziła w Internecie błogi gwiazd i celebrytów. Uwielbiała programy typu reality show i raz na jakiś czas wypuszczała się do fryzjera. Co kilka miesięcy podcinała włosy i robiła kolorowe pasemka u Tanyi, poznając przy okazji najświeższe miejscowe ploteczki.

Czasami Ava zastanawiała się, czy Jewel-Anne i Tanya kiedykolwiek rozmawiały o niej, ale postanowiła o tym nie myśleć, choć Tanya była znana z tego, że zdarzało jej się ubarwiać opowiadane historie. Ale też Tanya to zaufana przyjaciółka, czego o Jewel-Anne nie można powiedzieć.

Właściwie, myślała Ava, wchodząc na piętro, można powiedzieć, że kuzynka wykorzystuje każdą okazję, aby jej dokuczyć. Wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła uporać się z gniewem i żalem po tragicznym wypadku i wreszcie przestanie obwiniać ją o swoje nieszczęście.

Na pewno nie, stwierdziła z goryczą. Jewel-Anne kręciła się po całym domu, niemal przewracała Avę, straszyla ją, działała jej na nerwy, co zdawało się jej sprawiać sporą satysfakcję. Czasami zachowywała się jak mała dziewczynka, by po chwili stać się wyrachowaną i przebiegłą dorosłą kobietą.

I kłamała.

Ava wiedziała to na pewno.

Rozdział 13

Naprawdę nie wiem, o czym jeszcze miałybyśmy rozmawiać - stwierdziła Ava godzinę później.

Siedziała w saloniku przy oknie i tęsknie zerknęła na zewnątrz. Zapadał już zmrok, ostatnie hortensje tego lata były już tylko ciemnymi plamami, ledwie widocznymi za szybą. Na kominku buzował ogień, doktor McPherson siedziała na sąsiednim fotelu.

- Minęło zaledwie kilka dni od ostatnich halucynacji - stwierdziła spokojnym, a jednak władcym głosem, który bardzo działał Avie na nerwy.

- To nie halucynacje, naprawdę go widziałam. Lekarka skinęła głową z nieprzeniknioną miną.

- Słyszałam też, że nie zażywasz lekarstw.

- Od kogo?

- I że codziennie spuszczasz je w toalecie.

- Czy wszyscy domownicy biorą udział w tajnej operacji o kryptonimie „Szpiegujemy Avę” i tylko ja jedna o tym nie wiem?

- Nie. - McPherson pokręciła głową. - Oni tylko się martwią.

- Oczywiście, dlatego wszystko skrzętnie notują, liczą pigułki i o wszystkim pani mówią. Ewentualnie mojemu mężowi. - Ava

z westchnieniem spojrzała na ogień płonący w kominku. - Proszę uwierzyć, to już mi niepotrzebne.

- Mówiąc „to”, masz na myśli...

- Sesje, lekarstwa i was wszystkich, gapiących się na mnie jak na jakiegoś cudaka w wesołym miasteczku. - Wstała i podeszła do kominka, żeby rozgrzać nogi.

Stojąc i patrząc z góry na lekarkę, która wydawała jej się uosobieniem tego, czym sama niegdyś była, Ava czuła się silniejsza. Evelyn McPherson miała włosy spięte w ciasny kok. Fryzura uwydatniała regularne rysy jej twarzy, równie gładkiej jak jej ubrania - idealnie wyprasowany żakiet, spódnica i bluzka. Szarość stroju przełamowały dodatki: czarno-różowa apaszka, dobrane kolorystycznie buty, aktówka i torebka. Ava rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem - zero makijażu, włosy pofałdowane po warkoczu, dzinsy i bluza, za duża o co najmniej dwa rozmiary.

Dawniej wyglądała tak jak pani doktor.

Ba, dawniej była taka jak ona, tylko w bardziej intensywnej wersji. Ava Church nie bawiła się w grzeczne, wyrozumiałe uśmiechy. Nie bez powodu znana była w kręgach finansowych jako baba z jajami.

- Podobno wybrałaś się dzisiaj na przejażdżkę - zagaiła lekarka.

- Tak.

- Sama.

- A skąd pani o tym wie?

McPherson tylko pokręciła głową, a skrywany dotąd gniew Avy rozgorzał białym płomieniem.

- Przepraszam bardzo, nie wiedziałam, że muszę prosić o pozwolenie przed zwykłą przejażdżką konno - wycedziła przez zęby.

- Po prostu się martwiłam.

Lekarka rzeczywiście wydawała się przejęta i Ava prawie dała się nabrać. Prawie.

- Doceniam, że chce mi pani pomóc, ale z tym już koniec. Teraz załatwię wszystko po swojemu. Informuję zatem, że dzisiejsza sesja właśnie dobiegła końca, a następnych nie będzie.

- Negacja to jedna z faz...

- Paranoi? Schizofrenii? Jakiej innej choroby psychicznej? To już nieistotne.

- Avo...

- W ogóle mnie pani nie słucha. - Czując na nogach ciepło z kominka, podeszła bliżej do stolika. - Niewykluczone, że naprawdę oszalałam. - Nie czekając na protesty lekarki, uniosła palec. - Ale to mój obłąd, tylko mój.

McPherson zmarszczyła brwi.

- Nie zamierzam dalej korzystać z pani usług - oznajmiła Ava i spojrzała w okno, w mrok nocy, który powoli zakradał się na wyspę.

Khloe zapukała do uchylonych drzwi.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - zaczęła przeproszająco, gdy obie, Ava i doktor McPherson, spojrzały w jej stronę. - Ale drzwi były uchylone... - Niosła w rękach tacę, na której stał imbryk i dwie filiżanki.

- W porządku, Khloe, i tak już kończymy - odparła spokojnie lekarka.

Nie po raz pierwszy Ava miała wrażenie, że znajduje się w dziwnym filmie z lat pięćdziesiątych, w którym cała służba spiskuje przeciwko chlebodawczyni, wszyscy podsłuchują zza drzwi, proponując herbatę tylko po to, żeby lepiej słyszeć...

Na Boga, przecież to Khloe, dawna przyjaciółka ze szkolnych lat... I to ona proponuje herbatę, wymieniając znaczące spojrzenia z lekarką.

Dziwne to wszystko.

Albo to twoja paranoja. Może doktor McPherson ma rację... Dobrze chociaż, że Khloe nie nosi stroju pokojówki. Weszła do pokoju w dżinsach i swetrze, mówiąc:

- Pomyślałam, że może masz na coś ochotę przed kolacją. - Postawiła tacę na stoliku, podniosła imbryk i zaczęła nalewać herbatę.

Evelyn McPherson sięgnęła po parującą filiżankę.

- Ja dziękuję - mruknęła Ava.

- Na pewno? - Khloe wyprostowała się i spojrzała jej w oczy. Kiedyś się przyjaźniły, a teraz...

- Wiesz, że nie pijam herbaty. - Chyba że z Cheryl, hipnotyzerką. - Kawa to co innego. Kiedyś piłam też litrami dietetyczną colę, pamiętasz? Jeszcze w szkole.

Khloe uniosła brwi.

- To było dawno temu - stwierdziła. - Może napijesz się czegoś zimnego? Mama ma w spiżarni skrzynkę lemoniady, przyniosę ci z lodem.

- Nie. - Ostry ton chlebodawczyni kazał Khloe zatrzymać się w pół kroku. Ava opanowała się i dodała spokojniej: - Chciałabym tylko, żeby wszyscy traktowali mnie jak normalną osobę.

- Oczywiście - zapewniła gładko Evelyn McPherson.

- Avo, ty nigdy nie byłaś normalną osobą - rzuciła jednocześnie Khloe.

Przez jej twarz przemknął lekki uśmiech i przez ułamek sekundy Ava widziała ją taką jaka była przed laty, gdy ich problemy ograniczały się do dylematu, z kim iść na bal maturalny i jak wyrwać się z Anchorville.

Khloe sięgnęła po tacę.

- Nie podoba mi się to traktowanie mnie jak dziecka, wchodzenie bez pukania do mojego pokoju, zmuszanie mnie do jedzenia, gdy nie jestem głodna. - Avie bardzo zależało, żeby ktoś w końcu ją zrozumiał. - Chciałabym chociaż raz sama o sobie zdecydować, dajmy na to, żeby dłużej pospać. Mam dosyć tego, że wszyscy się zamartwiają, czy wypilałam soczek i połknęłam tabletki. Chcę, żebyście wreszcie dali mi święty spokój, do cholery!

- Avo... - zaczęła lekarka.

- Nic nie szkodzi. - Khloe patrzyła Avie w oczy tak, jakby widziała ją po raz pierwszy od dziesięciu lat. - Rozumiem.

- To dobrze - stwierdziła Ava.

Khloe skinęła głową, a potem, jakby uświadomiwszy sobie, że za dużo zbliżyła się do dawnej przyjaciółki, przełknęła nerwowo ślinę, odwróciła się na pięcie i szybko wyszła z pokoju.

Ava zdawała sobie sprawę, że dała im aż nadto powodów do zmartwień, ale teraz naprawdę czuła się coraz lepiej. I już nie będzie brała tych cholernych leków!

Zostawiła lekarkę z filiżanką w dłoni i ruszyła w stronę schodów. Kątem oka widziała Khloe znikającą w kuchni. W liceum były ze sobą bardzo blisko. Oczywiście czasami się kłóciły. Poza tym trochę trwało, zanim Khloe wybaczyła jej, że przez pewien czas chodziła z Meiern LeFeverem. W końcu uporały się z tym i na bal maturalny poszły razem, chociaż Ava długo nie mogła zapomnieć wymówek przyjaciółki, że odebrała jej jedyne chłopaka, na którym jej kiedykolwiek zależało. Oczywiście wszystko uległo zmianie, gdy Khloe związała się z Kel-vinem. Mel LeFever poszedł w zapomnienie, a ona zupełnie straciła głowę dla nowego ukochanego.

Khloe i Kelvin... K i K, mówili o sobie. Zaręczyli się zaledwie kilka miesięcy przed jego śmiercią. Ava była wtedy bardzo szczęśliwa. A potem zdarzył się ten tragiczny wypadek, tuż po nim urodził się Noah i wszystko stanęło na głowie.

Po pogrzebie Kelvina załamana Khloe wyjechała z Anchorville na kilka miesięcy, a gdy wróciła, Wyatt zatrudnił ją jako nianię Noaha. W owym czasie Ava wcale nie była pewna, czy potrzebna im niania, więc jej stosunki z Khloe zaczęły się psuć. Kelvin zginął, a ona, czy to pod wpływem jadowitych uwag Jewel-Anne, obwiniającej ją za wszystko, czy też z innego powodu, coraz bardziej odsuwała się od przyjaciółki. Nic już nie było takie samo.

Ale Wyatt nie słuchał jej sprzeciwów.

- To jej dobrze zrobi, niech poczuje, że nadal należy do rodziny - powiedział wtedy.

Siedzieli w samochodzie i czekali na prom. Wyatt niecierpliwie bębnił palcami w kierownicę, Ava wpatrywała się w wody zatoki. Był pogodny dzień, promienie słoneczne tańczyły na falach, w zatoce roiło się od żaglówek i łodzi rybackich. Bryza wpadająca przez otwarte okna chłodziła wnętrze auta, zapach morza mieszał się z charakterystyczną wonią nowego samochodu. Noah gaworzył cichutko w dziecięcym foteliku na tylnym siedzeniu. Ava odwróciła się i dotknęła dłonią policzka.

- Cześć, kolego - szepnęła, szczęśliwa jak nigdy.

- Przydałaby się nam pomoc przy małym.

- Od tego mamy ciebie.

- Tylko że mnie ciągle nie ma. - Czule dotknął czubka jej nosa. - I to się nie zmieni, dopóki nie przekonam współników, że najlepiej będzie, jeśli będę pracował w Anchorville.

- No to ich przekonaj. Jesteś prawnikiem. Potrafisz każdemu wmówić wszystko.

Wyatt roześmiał się, nisko, gardłowo, tak jak lubiła.

- No cóż, nie zapominaj, że to także prawnicy.

- Och, z tobą nie mają szans.

- Hm. Ale pomyśl, może jednak zatrudnimy Khloe. Moim zdaniem to doskonałe rozwiązanie. Dla wszystkich.

- Sama nie wiem. Ona nie ma odpowiedniego przygotowania.

- Specjalistycznego? To tak jak my. - Błysnął zębami w tym cholernym chłopięcym uśmiechu i delikatnie dotknął jej ramienia. - Posłuchaj, Khloe jest najstarsza z szóstki rodzeństwa. Pomagała Virginii od dziecka, prawda?

- Naprawdę uważasz, że potrzebna nam niania? Wyatt zerknął na nią z nad kierownicy mercedesa.

- Nie sądzisz, że przydałoby nam się trochę czasu tylko dla siebie?
- Uśmiechnął się znowu. W tej samej chwili prom dobił do przystani, zostawiając za sobą smugę spienionej wody. - No wiesz, moglibyśmy się trochę rozerwać. A Noah nie będzie miał nic przeciwko rodzeństwu.

- W przyszłości - podkreśliła.

- Im szybciej, tym lepiej. Oboje wiemy, że takie sprawy zajmują sporo czasu. - Sugestywnie poruszył brwiami. - Może zaczniemy już dzisiaj?

- Chciałbyś - mruknęła, ale uśmiechnęła się, gdy samochód wjeżdżał na płaski pokład promu. W czasie przeprawy na wyspę uległa jego perswazjom.

Dwa tygodnie później Khloe zaczęła pracę w Neptune's Gate wraz ze swoją matką. Po pewnym czasie wyszła za Simona Prescottta, ogrodnika, który w wojsku służył w wywiadzie i łączności, potem zahaczył się w Anchorville, by w końcu wylądować na wyspie Church. Zamieszkał z Khloe i przez kilka miesięcy wszystko było w porządku.

A później wydarzyło się najgorsze.

Noah zniknął w święta Bożego Narodzenia.

Wszystko się zmieniło. Gdy Ava kompletnie się załamała, Khloe stała się nie tylko przyjaciółką i nianią, ale też jej opiekunką.

Pogrążona w rozpacz Ava nawet tego nie zauważyła. Godzinami wtulała się w nią i szlochała, szukając wsparcia i otuchy. Wyatt, sam zdruzgotany, nie był w stanie pocieszyć żony, która z wolna traciła zmysły. Początkowo nikt nie chciał nazwać tego po imieniu, ale potem zaczęły się halucynacje, wreszcie przestała rozróżniać wizje od jawy.

- Pani Garrison? - Była już u szczytu schodów, gdy rozległ się niski męski głos. Odwróciła się i zobaczyła na dole Austina Derna. - To chyba pani własność.
- W ręku trzymał jej telefon. - Pewnie go pani upuściła na urwisku.

- Ach tak.

Nawet nie zauważyła, że go zgubiła. Zbiegając ze schodów, myślała o obu sytuacjach, gdy przebywała z Austinem sam na sam - raz w wodach zatoki i drugi raz na skraju urwiska.

- Dziękuję. - Wzięła od niego komórkę i już miała wrócić na schody, ale zawahała się. - Właściwie, skoro już dwa razy uratowałeś mi życie, powinieneś zwracać się do mnie po imieniu.

Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad propozycją, a ona starała się ignorować otaczającą go zmysłową aurę kowboja. Nieogolony,

ogorzały, z kurzymi łapkami w kącikach oczu powstałymi wskutek długotrwałego wpatrywania się w horyzont pod słońce, wysoki, szczupły, w spranych džinsach i flaneli - nie, to zdecydowanie nie jej typ.

- Jeśli pani tego chce - mruknął.

- Chcę.

Podniósł wzrok i dopiero wtedy wyczytała w spojrzeniu jego ciemnobrązowych oczu, że cały czas trzyma się na baczności. Przypomniała sobie, jak przyciskał ją do siebie w lodowatej wodzie. Przemoczona nocna koszula przywierała jej do ciała. Trzymał ją w silnych ramionach, nie pozwalał utonąć.

- Proszę - dodała.

Po chwili namysłu skinął głową.

- Dobrze... Avo.

Znowu odnalazł jej wzrok, a to, co dostrzegła w jego piwnych oczach, było zarazem przerażające i podniecające. Wyczuwała, że Austin Dern nie zrezygnuje, dopóki nie osiągnie zamierzonego celu. Coś ścisnęło ją za gardło. Mało brakowało, a potknęłaby się na schodach, gdy odchodziła.

Biegiem pokonała resztę stopni i szybko wbiegła do swojego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi, rozpalona, roztrzęsiona, ale kładła to na karb braku pożywienia. Niemożliwe, żeby to była reakcja na mężczyznę. O nie. Przecież nie jest taka.

Czyżby? A jaka jest? Czy sama zdaje sobie z tego sprawę?

Nie zwracała uwagi na rozszalały puls i dręczące ją pytania, tylko podeszła do szafy, wyjęła komputer i notes i położyła je na łóżku. Włączyła komputer, a gdy powoli budził się do życia, odgarnęła włosy z twarzy i związała je gumką.

Zanim zdążyła uruchomić program, rozległo się ciche pukanie do drzwi. Intruz nie czekał na jej reakcję; drzwi uchyliły się i w szparze pojawiła się ręka. Szczupła kobieca dłoń ścisnęła zimną puszkę dietetycznej coli.

Mało brakowało, a Ava parsknęłaby śmiechem.

Ramię stawało się coraz dłuższe, aż w końcu w szparze pojawiła się głowa Khloe.

- Znalazłam w kącie lodówki. Mama chyba trzymała ją dla siebie. - Wśliznęła się do pokoju, oparła o drzwi. - Tylko nikomu ani słowa. Mama się wkurza, jeśli brakuje jej kofeiny.

Podeszła do łóżka i podała Avie puszkę.

- Dzięki. - Ava otworzyła colę i ciszę przerwał charakterystyczny syk.

Khloe wciąż stała koło łóżka.

- Chciałam ci tylko powiedzieć - odezwała się po chwili milczenia - że zdaję sobie sprawę, że tu się dzieją dziwne rzeczy. Czasami myślę, że wszyscy powinniśmy po prostu wrócić na stały ląd, ale... To w sumie niemożliwe, zresztą wiem, że teraz już wszystko będzie lepiej.

- Chcesz powiedzieć, że mną.

- Z nami wszystkimi - podkreśliła Khloe. Z przeciągłym westchnieniem zerknęła w okno. - No, czas na mnie. Niedługo wraca Simon. - Spojrzała na zegarek. - O rany, może już jest w domu. Życz mi powodzenia.

- Mówisz i masz.

Khloe była już w progu, gdy rzuciła przez ramię:

- Cola to nasz mały sekret, dobrze?

- Jasne.

„Nasz mały sekret”. Ava upiła pierwszy łyk.

- Uważaj! - krzyknęła Khloe, zamykając drzwi, ale Ava i tak usłyszała znajome skrzypienie wózka Jewel-Anne. - Co ty tu robisz?

Pod słuchuje, ot co.

To tyle, jeśli chodzi o tajemnice.

Nie sposób zachować niczego w sekrecie, mając taką kuzynkę w domu.

Ava już miała wstać i powiedzieć Jewel-Anne, co myśli o takim zachowaniu, gdy jej komórka zaczęła wibrować. Wyłuskała ją z kieszeni džinsów i zobaczyła na wyświetlaczu numer i zdjęcie Wyatta.

- Cześć - mruknęła i opadła z powrotem na poduszki.

- Cześć, cześć. - W jego głosie nie było już gniewu. - Przepraszam za tę kłótnię.

- Jesteśmy małżeństwem, a w małżeństwie kłótnie się zdarzają-odparła, chociaż w ich przypadku ostatnio zdarzały się zdecydowanie za często.

- Chciałem tylko powiedzieć, że musimy odłożyć naszą domową randkę. Spotkanie się przeciągnęło, a jeszcze umówiłem się na drinka z klientem, więc wrócę bardzo późno.

Nie była zaskoczona. Kiedy tylko zaczął mówić, domyśliła się, że z domowej randki nici.

- Z którym klientem? - zapytała od niechcienia, pilnując, by w jej głosie nie było podejrzliwości.

- Z Orsonem Donnellym z Donnelly Software.

Znała to nazwisko. Facet zbił majątek we wciąż rozwijającej się branży komputerowej, pisał programy przeznaczone dla nowych przedsiębiorstw. Ostatnio jednak poróżnił się z synem, gdyż ten uważał, że należy mu się część udziałów w firmie.

- Muszę z nim pogadać. Nieoficjalnie, więc nie wiem, ile to potrwa. Nie czekaj na mnie.

- Dobrze.

- Fajnie. Wiesz co, Avo?

- Tak?

- Kocham cię.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Nie zdążyła nawet szepnąć:

- Ja ciebie też.

Rozdział 14

Dałabym sobie rękę uciąć, że miałam tu dietetyczną colę - mruzczała Virginia, buszując w lodówce.

Poza nią w kuchni nie było nikogo, przynajmniej Ava nikogo nie widziała. Słyszając kroki, Virginia wyprostowała się i zamknęła lodówkę.

- Muszę uzupełnić zapasy i tyle.

Naczynia z kolacji ciągle piętrzyły się w zlewie, w powietrzu unosił się zapach owoców morza, pomidorów i czosnku, pozostałych resztek posiłku, który Ava zjadła z ogromnym apetytem. Po raz pierwszy od dawna naprawdę poczuła głód, a gorący chleb, sałatka cesarska i makaron z ostrym sosem były naprawdę pyszne, na tyle, że przetrwała lunch, nie wdając się w kłótnię z Jewel-Anne i nie przejmując się napuszoną jak zwykle Demetrią. Nawet Ian nie wyprowadził jej z równowagi, gdy zauważył, że prawdziwa z niej szczęściara, bo jest właścicielką tak wielkiej części wyspy. Sam sprzedał Avie swoje udziały już przed kilkoma laty. Zwykle dobrze maskował urazę, ale co jakiś czas nie mógł się powstrzymać i wypominał jej, że dobrze rozegrała tamtą partię. Zawsze mówił to lekkim tonem, jakby żartował, ale

wyczuwała, że pod uśmiechem kryje się rozgoryczenie i przekonanie, że wykorzystywała jego i pozostałych, wykupując ich udziały. Tego wieczoru nie zwracała na niego uwagi.

- Dla Khloe i Simona? - Domyśliła się, wskazując trzy zapakowane w folię porcje leżące na blacie.

- Mhm. I dla tego nowego, Derna. - Virginia podeszła do spizarni i po chwili wróciła z trzema puszkami coli. - Pomyślałam, że chętnie zje coś ciepłego. - Wstawiła puszki do lodówki. - No wie pani, jak to kawaler. Pewnie nigdy nie gotuje.

- Zaniosę mu - zaproponowała Ava, a gdy Virginia już chciała zaprotestować, dodała szybko: - Chcę mu podziękować. Znalazł moją komórkę i mi oddał.

Virginia wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej nie muszę wychodzić.

Ava narzuciła kurtkę, wzięła talerz z jedzeniem i wyszła. Od początku chciała odwiedzić Derna, szukała tylko pretekstu, żeby z nim porozmawiać. Idąc szybkim krokiem w stronę stajni, powtarzała sobie, że interesuje się nim, bo u niej pracuje, zjawił się nie wiadomo skąd, a ona ma przecucie, że nie wiedzą o nim wszystkiego. Wcale nie chodzi o to, że jest przystojny, a nawet jeśli, przecież ona jest mężatką... Może niezbyt szczęśliwą, może zaledwie o włos od rozwodu, ale jednak mężatką.

Mgła ścieliła się nisko, reflektory spowijały mleczne obłoki, szum morza docierał jakby z oddali. W pobliżu stajni unosiła się ostra woń koni wymieszana z zapachem oceanu. W mieszkanku Derna paliło się światło.

Ava podeszła do drewnianych schodów prowadzących na górę. Rover zaszczekał głośno, kiedy tylko weszła na pierwszy stopień. Nie zdążyła zapukać, a Derna już otworzył drzwi. Lampa za plecami sprawiała, że widziała tylko ciemną sylwetkę.

Na jej widok Rover oszalał, kręcił się w kółko za nogami Derna, szczekając radośnie i energicznie merdając puszystym ogonem.

- Najtańszy system alarmowy - stwierdziła, wskazując głową psa. Podała Demowi talerz. - Od Virginii. Ma zwyczaj gotować więcej, niż jesteśmy w stanie zjeść.

- Naprawdę?

- Potraktuj to jako bonus tej pracy. Uwierz mi, Virginia nie pozwoli ci umrzeć z głodu.

Rover skamlał załośnie, zamiatając ogonem podłogę.

- Zdaje się, że ktoś za tobą tęskni. - Dem odsunął się i pies wystrzelił jak z procy, a Ava schyliła się, żeby go pogłaskać.

- To stary zdrajca - powiedziała ze śmiechem, drapiąc Rovera za uszami. - Każda ręka jest dobra. - Podniosła wzrok na Dema. - Ned go przygarnął, więc teraz stanowi część wyposażenia tego mieszkania. Virginia wystawia mu jedzenie na tylnej werandzie, ma nawet specjalne psie drzwiczki. Kupiłam mu posłanie, stoi przy schodkach, ale woli być tutaj, w stajni albo na dworze. Prawda? - Spojrzała na psa, który radośnie walił ogonem w deski podłogi. - No właśnie, tak myślałam.

- Chyba cię lubi. Roześmiała się.

- Owszem, ale także mi ufa, a to rzadkie na tej wyspie. Dem uniósł ciemne brwi.

- Tak, wiem, mam manię prześladowczą. - Wyprostowała się. Rover zbiegł ze schodów i zniknął w ciemności.

- Manię prześladowczą?

- Albo coś w tym rodzaju - mruknęła. - Diagnoza zmienia się z tygodnia na tydzień. Ale niewątpliwie już o tym słyszałeś. - Obserwowała, jak pies obwąchuje słupek ogrodzenia i z ulgą unosi tylną nogę. - Wyatt na pewno cię uprzedził, gdy proponował ci pracę.

- Powiedział tylko, że bardzo przeżyłaś utratę syna. Wejdz, proszę. Muszę to odstawić.

Wszedł z talerzem do środka, a Ava za nim. Rover też wrócił, otarł się o jej nogi. Od dawna tu nie była, ale w małym mieszkanku nad stajnią niewiele się zmieniło. Na ścianach wisiały te same obrazki, chodnik był wytarty, a meblowanie skromne. W pokoju były rzeczy Dema, ale nie zauważyła niczego, co sugerowałoby, że chce tu zostać na dłużej.

- Chcesz jeszcze coś? - zapytała.

- Nie - odparł Dem i wskazał na talerz zjedzeniem. - To mi wystarczy.

- Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował. Skinął głową.

- Oczywiście.

- Dobra. Pójdę już. Spaghetti trzeba podgrzać w mikrofalówce. - Po raz ostatni pogłaskała psa. - Atak przy okazji: to Ned tak go nazwał. Zjawił się bez obroży, bez żadnego identyfikatora, a w Monroe nikt go nie szukał, więc Ned nazwał go Rover. - Wyprostowała się. - Znasz Neda, prawda? O ile pamiętam, Wyatt coś mi o tym wspominał.

- Dziwne, bo nigdy go nawet nie widziałem. Pracowałem u Orso-na Donnelly'ego, który zna twojego męża. Donnelly uznał, że jego syn Rand nie ma pojęcia o farmerce, więc sprzedał posiadłość, a ja zostałem bez pracy. Wtedy skontaktował mnie z Wyattem. - Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. - To żadna tajemnica, zapytaj męża. - Zanim zdążyła odpowiedzieć, dodał: - Pewnie już to zrobiłaś. Wbrew temu, co sugerowałaś, nie zatrudniono mnie, żebym cię pilnował.

Skinęła głową ale nie zdołała się powstrzymać przed pytaniem, które dręczyło ją od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła Derna:

- Więc dlaczego ciągle mam wrażenie, że już cię gdzieś widziałam?

- Pewnie jestem podobny do kogoś, kogo znasz.

- Nie, to nie to. Wzruszył ramionami.

- Cóż, nie mam pojęcia, jak to wytłumaczyć, bo jestem pewien, że gdybyśmy się kiedyś spotkali, zapamiętałbym cię. Takich kobiet się nie zapomina.

Poczuła, jakby przeszył ją prąd, i upomniała się w duchu, że zapuszcza się na niebezpieczne wody.

- No, czas na mnie. Smacznego. Cześć, Rover - powiedziała i wyszła.

Nie próbował jej zatrzymać.

Była ciekawa, czy ją obserwuje, czy wygląda przez szparę w żaluzjach. Uznała, że to bez znaczenia. Było ciemno, mimo kilku latarni, więc jeśli nawet, zobaczył, że idzie prosto do domu.

Ledwie znalazła się poza zasięgiem światła latarni, skręciła do ogrodu i podeszła do głazu upamiętniającego Noaha. Wyatt zamówił go po zniknięciu ich syna. Avie nie spodobał się ten pomysł.

- Zabierz go stąd - prosiła męża. - Wygląda jak nagrobek, a przecież Noah na pewno żyje.

- To tylko kamień z jego imieniem - tłumaczył. - Kiedy Noah wróci, dodamy datę albo go usuniemy.

Była wtedy wściekła, ale kiedy gładki kamień z wyrytym imieniem Noah stanął w ogrodzie koło krzewu różanego pnącego się po altance, okazało się, że jego bliskość niesie jej ukojenie. Klęczała przy nim całymi godzinami i wspominała, jak tuliła synka, jego ciepłe ramionka na szyi, jego radosny śmiech. Boże, jak bardzo za nim tęskniła...

Tego wieczoru przykucnęła przy głazie, położyła dłoń na napisie wyrytym w kamieniu i powiedziała cicho:

- Znajdę cię, kochanie. Gdziekolwiek jesteś, mamusia cię znajdzie. Poczula ucisk w gardle i łzy napływające jej do oczu, ale się nie rozplakała.

Wstała, wróciła do domu tylnymi drzwiami i zatrzymała się przy starych schodach, które prowadziły z piwnicy na wieżyczkę nad strychem. Kiedyś były to schody dla służby, ale już od dawna prawie ich nie używano. Pracownicy Neptune's Gate korzystali albo z windy, albo z głównej klatki schodowej. Uchyliła drzwi i poczuła stęchły zapach zapomnienia.

Serce zabiło jej mocniej, gdy uświadomiła sobie, że ostatni raz była tu po zniknięciu Noaha. Wraz z innymi przeszukiwała cały dom, od strychu po piwnice, i kilkanaście razy wspinała się po starych schodach, a z każdą wyprawą topniała nadzieja na odnalezienie synka.

Zapaliła światło i zaczęła schodzić po kamiennych stopniach. Na dole znalazła kolejny włącznik i labirynt niedokończonych pomieszczeń rozjaśniło pięć czy sześć gołych żarówek. Jedna migotała, pozostałe świeciły słabym, mdłym światłem, które jednak wystarczyło, by dostrzec wszelkie rupiecie: półki pełne pustych słoików, połamane ramki, stary sprzęt sportowy, zepsutego jednorękiego bandytę.

Nie licząc kawalerskiego mieszkanka Jacoba z osobnym wejściem i piwniczki na wino, urządzonej dla Wyatta pięć lat temu, panował tu chaos, i to już od prawie stu lat. Podeszła do drzwi piwniczki Wyatta, w której panowały idealna temperatura i wilgotność, i na wszelki wypadek wsunęła klucz do zamka, chociaż z góry wiedziała, że nie może pasować. Zamek w tych drzwiach był nowy i błyszczący, a jej klucz stary i w dodatku miał zupełnie inny kształt. Oczywiście nie pasował.

Ponownie skupiła się na pozostałej części piwnicy, powstałej w tym samym czasie co cały dom.

Pajęczyny zwisające z niskiego sufitu kleiły się jej do twarzy i włosów, zostawiając lepki osad, którego nie mogła się pozbyć.

- Fuj - mruknęła z obrzydzeniem, wycierając twarz dłonią. Mijała sterty rupieci, wśród których wypatrzyła babciną maszynę do

szycia w pokrowcu i pudło podręczników sprzed półwiecza. Łuk i strzały wuja wisiały na ścianie obok rybackich butów i płetw, a nieco dalej, przy kijkach do nordic walkingu, mało brakowało, a potknęłaby się o ciężarki. Nigdy nie lubiła tu przychodzić.

Nie dość, że powietrze wypełniał odór pleśni, cały czas miała świadomość, że tę przestrzeń zamieszkują myszy, szczury, osy i Bóg jeden wie co jeszcze.

Ale zdawała sobie sprawę, że musi się tu rozejrzeć.

Ze ściśniętym sercem wypatrzyła plastikowe pudełko pełne dziecięcych ubranek, z imieniem Noaha na wieku. Tuż obok leżały jego zabawki. Widziała wóz strażacki z urwanym kołem i klocki, nadal w pudełku. Czule dotknęła grzywy konia na biegunach, na którym Noah nigdy nie jeździł sam, bo był jeszcze za mały.

Ugięły się pod nią nogi, gdy uniosła plastikowe wieczko i z niemal nabożną czcią przeglądała śpioszki, kocyki i kaftaniki, ubranka, które spakowała, kiedy jej synek skończył dwa latka. Przechowywała je w szafie w pokoju gościnnym, ale najwyraźniej ktoś uznał, że ich miejsce jest tutaj. Ze ściśniętym sercem rozłożyła piżamkę, która wyglądała jak miniaturowy фрак, i z trudem powtrzymała łzy, gdy przypomniawszy sobie, jak ułożyła Noaha w tej piżamce pod choinką i zrobiła mu kilkadziesiąt zdjęć aparatem, który kupili właśnie w tym celu. Otworzyła plastikową torbę i poczuła zapach specjalnego proszku, w którym prała jego ubranka.

- Brakuje mi Ciebie - szepnęła. Słyszając kroki nad głową, złożyła piżamkę, wsunęła do pokrowca i odłożyła do pudła. Odchrząknęła, zamknęła pudło i odstawiła na półkę.

Nie może tu długo zostać, zaczynając szukać, a nie chciała się z tego tłumaczyć.

Sięgnęła do kieszeni po klucz i rozejrzała się w poszukiwaniu starych skrzyń i kufrów, wszystkiego, co miało zamek czy kłódkę. Zadanie było niełatwe; w końcu otaczały ją sterty zapomnianych rupieci, gromadzonych tu przez ponad sto lat. Kolejne pokolenia Churchów zsyłały wszystkie niepotrzebne przedmioty do tej piwnicy.

Wpatrzona w najdalszy kraniec pomieszczenia, z wielkim piecem, z którego odchodziły potężne rury, buszowała wśród rupieci i sprawdzała kolejne zamki.

Najpierw wsunęła kluczyk w zamek małego sekretarzyka.

Nic z tego.

Potem sprawdziła dwa kufry z minionego stulecia. Również bez skutku.

Wzdrygnęła się, gdy na ubraniach, z których unosił się zapach zwietrzałych kulek na mole, dostrzegła ślady mysich i szczurzych odchodów. Koniecznie trzeba tu posprzątać, powtórzyła w myślach.

Znalazła aktówkę i pamiętnik, ale otwory w ich zamkach były zdecydowanie za małe, żeby jej klucz do nich pasował.

Im dłużej błądziła po zagraconej piwnicy, tym dziwnej się tu czuła. Miała wrażenie, że budzi duchy przodków, i przeszył ją dreszcz, który nie miał nic wspólnego z chłodnym powietrzem.

Nie daj się ponieść nerwom, powtarzała sobie w duchu.

Zobaczyła zakurzony sekretarzyk w rogu niedokończonego pokoju i wsunęła klucz do zamka. Wszedł gładko, ale gdy próbowała go przekręcić, ani drgnął.

- Nic z tego - mruknęła.

Była w piwnicy od ponad godziny i nadal nie wiedziała, co otwiera ten cholerny kluczyk. Może nie ma nic wspólnego z Neptune's Gate?

Stała na środku niedokończonego pokoju i usiłowała się skoncentrować.

Co może otwierać ten cholerny klucz, zastanawiała się, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Dość tego - sapnęła wreszcie. Stęchłe powietrze dławiło ją. Ten klucz to pewnie kolejny głupi żart Jewel-Anne, jest dokładnie w jej stylu.

Ale dlaczego go podrzuciła do kieszeni swetra? Ze złej woli, żeby jej dokuczyć czy po prostu z nudów?

Ava pokręciła głową i szła dalej. Zobaczyła toaletkę z wielkim trzyskrzydłym lustrem. Widziała swoje odbicie - spięta, przejęta, blada kobieta.

- No cóż, nie wyglądasz najlepiej - powiedziała do kobiety w lustrze.

Oczami wyobraźni widziała babkę, jak siedzi na stołeczku - stołeczku, który parę lat temu wyrzucił Wyatt - przed tą samą toaletką w sypialni na piętrze i przegląda się w lustrze.

Babka zawsze upinała gęste włosy w kok, ale codziennie wieczorem siadała przed toaletką i wyjmowała z nich szpilki, a Ava rozczesywała jej długie siwe pukle spływające na kościste ramiona. W sypialni unosił się zapach Joy, drogich różano-jaśminowych perfum, w których podobno gustowała Jacqueline Onassis. Tak przynajmniej dumnie twierdziła babka, prawdziwa starsza dama o nienagannych manierach. Tylko Ava mogła rozczesywać jej włosy; żadne z pozostałych wnucząt nie dostąpiło tego zaszczytu.

Zimny powiew stęchłego powietrza musnął jej policzek. Wzdrygnęła się. Niemal słyszała szept babci: „Nie rezygnuj, Avo. Jesteś jedną z Churchów. Potrafisz walczyć. Nie daj się nabrać... o nie, nigdy”.

Łup.

Coś ciężkiego upadło na betonową posadzkę. Ava wydała stłumiony okrzyk i poderwała się z ławki. Uderzyła kolaniem w toaletkę, potrząsając przy tym lustrem, i upuściła klucz.

- Kto tam? - spytała drżącym głosem. Nerwy miała napięte jak postronki.

Nic, żadnego dźwięku, żadnego ruchu.

Wszystko zastygło.

Poza jej rozszalałym sercem.

- Pokaż się!

Cisza. Przed dłuższą chwilę wpatrywała się w niekształtne bryły starych mebli przykrytych zakurzonymi pokrowcami. Nic się nie poruszyło.

Nie słyszała żadnego odgłosu ani nie czuła żadnego zapachu, które by sugerowały, że jest tu ktoś poza nią.

Miała jednak wrażenie, że ktoś kryje się w mroku. Obserwuje ją.

Wyteżyła słuch i przez moment wydawało jej się, że słyszy stary przebój Elvisa, że jego cichy głos dobiega z góry, z zakurzonych szybów wentylacyjnych.

Zmusiła się, by oddychać miarowo, normalnie.

Była pewna, że nie wyobraziła sobie tego dźwięku.

Tam naprawdę coś upadło.

I to nie samo z siebie. Ktoś to rzucił.

Cały czas rozglądając się w półmroku, uklękła i po omacku szukała klucza w szparach posadзки. Nie znalazła go, więc skierowała snop światła latarki w komórcę na podłogę i dostrzegła klucz pod komódką. Podniosła go, wstała i spojrzała w zakurzone lustro.

Zobaczyła mroczny cień, który przemknął przez szklaną powierzchnię. Przeszył ją dreszcz. Odwróciła się gwałtownie. Odtworzyła ruch w myślach, biorąc pod uwagę lustrzane odbicie. Cień zmierzał do schodów.

- Kto tu jest?! - zawołała, wyteżając słuch, by wychwycić odgłos kroków.

Nic. O Boże.

Może to tylko wyobraźnia płata jej figle? Nie! Naprawdę coś widziała! Naprawdę!

Zaschło jej w gardle ze strachu, ale dzielnie brnęła naprzód. Omiatała światłem latarki wszelkie zakamarki, w których ktoś mógłby się schować.

A jeśli ma broń? Pistolet? Albo nóż?

Zrobiło jej się zimno na tę myśl, szła jednak dalej wśród zakurzonych półek i mrocznych cieni, gotowa rzucić się do ucieczki, jeśli w słabym świetle latarki dostrzeże czyjeś spojrzenie.

Boże, naprawdę jej odbija. Była coraz bliżej schodów, ale zatrzymała się przy zabawkach Noaha. Konik na biegunach kołysał się miarowo.

Więc jednak jej się nie zdawało. Nie jest sama w piwnicy.

Serce waliło jej jak oszalałe. Obejrzała się za siebie, pewna, że lada moment ktoś ją zaatakuje.

- Wiem, że tu jesteś! - zawołała. - Dlaczego nie chcesz się pokazać? Żadnej odpowiedzi, słyszała tylko własny przyspieszony oddech i trzeszczenie podłogi nad głową.

Tu w piwnicy nic więcej nie mogła zrobić, zresztą wcale nie uśmiechało jej się czekanie w półmroku, aż intruz - kimkolwiek był - wychyli nos z kryjówki.

- Świetnie, siedź tu sobie, ile chcesz, ale uprzedzam, zamykam drzwi! - Z duszą na ramieniu pokonała schody. Dopiero na górze odważyła się zaczerpnąć tchu.

Zamknęła za sobą drzwi i już miała przekręcić w nich klucz, gdy usłyszała charakterystyczny zgrzyt wózka inwalidzkiego Jewel-Anne, a po chwili kuzynka, ze słuchawkami w uszach, wyłoniła się zza rogu. Wydawało się, że widok Avey ją zaskoczył, ale zaraz uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Byłaś w piwnicy? - Skrzywiła się, patrząc na jej włosy pełne pajęczyn i zakurzone ubranie. Wyjęła słuchawkę z ucha i Ava usłyszała głos Elvise, zniekształcony i metaliczny. - Po co? - Jewel-Anne zmarszczyła nos. - Strasznie tam brudno.

Ava cały czas usiłowała pozbyć się pajęczyn ze splątanych włosów.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Co? - Jewel-Anne dopiero po chwili zrozumiała znaczenie słów kuzynki. Zacisnęła dłoń na ramie wózka, zamrugła, jakby próbowała powstrzymać łzy, i powiedziała cicho: - To był cios poniżej pasa.

Ava poczuła się okropnie.

„We're caught in a trap”, zawodził Elvis.

Jewel-Anne pogardliwie wydeła usta i dumnie uniosła podbródek

- Wiesz, Avo - rzuciła oskarżycielskim tonem - może nie pamiętasz, ale nie zawsze siedziałam na wózku. Gdybyś wtedy nie nalegała na wycieczkę, Kelvin nadal by żył, a ja mogłabym chodzić.

- Przestań mnie obwiniać! - warknęła Ava. Miała powyżej uszu wyrzutów kuzynki. - To nie była moja wina.

- Jasne, powtarzaj to sobie, a może kiedyś sama w to uwierzysz -syknęła Jewel-Anne, odwróciła się na wózku i odjechała.

Ava, rozdarta między gniewem i - a jakże - wyrzutami sumienia, ciężko oparła się o framugę drzwi. Oczywiście wiedziała, że Jewel-Anne niesłusznie ją oskarża, ale rozumiała też, że czasami po prostu łatwiej jest zrzucić całą winę na kogoś. Tak, rozumiała to aż za dobrze.

Rozdział 15

Dem nie spodziewał się, że Ava Garrison okaże się aż tak bystra. Słyszał przecież, że to wariatka, że lada moment wyląduje w psychiatry-ku - i to wszystko okazało się nieprawdą.

Po tamtym pierwszym wieczorze, gdy wyłowił ją z zatoki, przekonał się, że jest znacznie inteligentniejsza i o wiele bardziej wrażliwa, niż mu mówiono. To osoba, z którą trzeba się liczyć, stwierdził, wracając do domu w cieniu drzew.

- Nawet najlepsze plany czasem spalają na panewce - mruknął pod nosem, biegiem pokonał schodki i otworzył drzwi mieszkanca, które chwilowo było jego domem.

Rover łypnął na niego gniewnie, jak to potrafi tylko pies zbyt długo pozostawiony samemu sobie.

- Zrozum, nie zawsze możesz ze mną iść. - Dern podrapał go za uchem i Rover od razu wybaczył mu wszelkie przewinienia. Mruczał z rozkoszy, gdy nowy pan klepał go po grzbiecie. - To będzie nasz sekret, dobrze?

Pies zaszczekał cicho, jakby rozumiał, a kiedy Dern wyprostował się, wrócił na swoje miejsce przy piecu i zwinął się w kłębek.

- Dobry piesek - mruknął Dern, włączył laptop i podłączył modem oraz pendrive do portów USB.

Błyskawicznie połączył się z Internetem i po raz kolejny przejrzał informacje, jakie udało mu się dotychczas zgromadzić: o Avie Church Garrison, o samej wyspie, o Neptune's Gate i o wszystkich mieszkań-

cach i pracownikach tego maleńkiego skrawka lądu. W jednym pliku umieścił historię wyspy, w kolejnym - wszelkie powiązania z Anchorville, w osobnym - informacje o Sea Cliff.

Na myśl o swojej wizycie w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym zacisnął usta w wąską kreskę. Przeskoczył przez ogrodzenie, wszedł do budynku, ponurego gmaszyska smaganego deszczem i wiatrem, i wędrował starymi korytarzami, dawniej pełnymi pacjentów, lekarzy i personelu. Nie licząc kurzu, stęchłego powietrza i aury zaniedbania, budynek był nietknięty.

Dern wyszedł na zewnątrz, postawił kołnierz i obszedł cały ogrodzony teren. Stare ścieżki zarosły trawą, betonowe alejki popękały, a gnijące stoły piknikowe z obłazającą farbą pokrywały odchody mew.

Rozpacz i zniszczenie. Tylko to zostało.

Choć w założeniu twórców Sea Cliff nie było więzieniem, właśnie nim się stało.

Przynajmniej w oczach Derna. Musi tylko zachować pozory. Tak długo, jak będzie trzeba.

Po raz kolejny zaczął analizować powody, które go tu przywiodły, ale zaraz odsunął od siebie te myśli. Ava Garrison nie pokrzyżuje mu planów, a jeśli nawet okaże się problemem, poradzi sobie z nią.

W końcu nie ona pierwsza staje mu na drodze.

I zapewne nie ostatnia.

Westchnął ciężko, bo miał przeczucie, że Ava Church okaże się naprawdę twardym orzechem do zgryzienia.

Pomost był pusty.

Nawet w kłębach mgły Ava widziała, że synka nie ma nad wodą.

- Mamusiu!- wołał ją.

Odrzuciła kołdrę. Naga, czując na skórze powiew zimy, sięgnęła po szlafrok, ale wisiał na haczyku na drzwiach i nie ustępował.

- Mamusiu!...

Boże, wydawał się przerażony.

- Noah, nie bój się! Już do ciebie idę!

Otworzyła drzwi sypialni i znalazła się w hangarze na łodzie, a jej nozdrza wypełnił zapach ropy i słonej morskiej wody.

Dlaczego Noah tu jest? Wpatrywała się w mętną wodę, ale widziała tylko odbicie swojej nagiej sylwetki i mężczyźną za swoim lewym

ramieniem. Austin Dern odnalazł jej wzrok w niespokojnej tafli, widziała jego oczy pełne tajemnic. On także był nagi. Głośno zaczerpnęła tchu, gdy ją objął, wbił silne palce w jej żebra. I znowu głos Noaha.

- Mamusiu!

Odwróciła się i Dern zniknął, jakby rozpułynał się w powietrzu. Podeszła do drzwi hangaru i wyszła na dwór. Na niebie pojawiło się pierwsze światło świtu. Boso pobiegła ścieżką na werandę, wpadła do domu, rzuciła się do tylnych schodów i usłyszała cichutki głosik Noaha.

- Już idę, syneczku! - zawołała.

Biegła korytarzem, jej stopy uderzały rytmicznie o drewnianą posadzkę. Wszystko zlewało się w niewyraźną smugę. Pod drzwiami Noaha usłyszała płacz.

- Och, skarbie - jęknęła. Jej serce zabiło mocniej na myśl, że zaraz znowu go zobaczy. Minęło już tyle czasu, tak strasznie dużo czasu...

Chwyciła za klamkę, ale szklana gałka nie chciała się przekręcić. Spróbowała ponownie, tym razem mocniej. Klamka ani drgnęła.

- Noah? - O Boże, dlaczego już jej nie woła? - Mamusia jest tu, za drzwiami. Nie zamknąłeś ich, prawda, syneczku?

Szarpała za klamkę z całej siły, aż rozboleły ją ramiona, mięśnie napięły się jak postronki.

Słyszała płacz synka po drugiej stronie drzwi i serce pękało jej na tysiąc kawałków.

- Już idę! - Złapała za klamkę obiema rękami i przekręciła z całej siły.

Szklana gałka została jej w dłoniach, przecięła skórę na palcu.

- Noah? - zawołała, słysząc jego płacz.

Zajrzała przez dziurę po wyrwanej klamce. W pokoju synka wszystko wyglądało tak jak zawsze, tylko karuzela nad łóżeczkiem kręciła się miarowo, pobrękując cicho. Pluszowy krab i konik morski wydawały się z niej śmiać i rozumiała, że synka znowu nie ma.

Zrozpaczona, osunęła się na podłogę i zwinęła w kłębek.

- Noah - szeptała przez łzy, które mieszały się z krwią ze skaleczonej dłoni.

- Gdzie jesteś? Gdzie jesteś, syneczku?

- Ava! - krzyk Wyatta zagłuszył jej szloch. - Ava! Obudź się!

Silne palce zacisnęły się na jej barku. Zamrugła, bo światło słoneczne razilo ją w oczy. Wyatt pochylał się nad łóżkiem i delikatnie potrząsał ją za ramię.

- Co się dzieje? - spytała ochryplym szeptem, niepewna, czy to, co przed chwilą przeżyła, zdarzyło się naprawdę, czy było tylko snem. Wydawało się takie rzeczywiste...

Usiadła na łóżku, jak najdalej od męża, i spojrzała na swoje dłonie. Były gładkie, bez śladu krwi i skaleczeń. A więc to sen, znowu tylko sen.

Odgarnęła włosy z twarzy, usiłując wziąć się w garść, uporać ze strachem i rozczarowaniem. Chociaż we śnie cierpiała, nie mogąc dostać się do pokoju Noaha, wiedziała przynajmniej, że synek żyje.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Wyatt.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Znowu to cholerne pytanie.

- Śnił ci się koszmar - wyjaśnił. - Płakałaś. Wolałem cię obudzić. Zamknęła oczy. Sen był taki realistyczny. Jeśli się postara, może znowu usłyszy płacz synka.

Usłyszawszy zgrzyt wózka Jewel-Anne, gwałtownie uniosła powieki. Przez otwarte drzwi pokoju zobaczyła kuzynkę i jej pielęgniarkę. Stały w korytarzu i przyglądały jej się z zaciekawieniem, maskowanym udawaną troską. Najwyraźniej usłyszały ostatnie słowa Wyatta. Dopiero gdy rzuciła Demetrii gniewne spojrzenie, ta zabrała wózek podopiecznej.

- Chciałabym zostać sama - powiedziała Ava do męża. Zamiast wyjść, podszedł do łóżka.

- Usłyszałem twój krzyk i przybiegłem - wyjaśnił. - Domyśliłem się, że krzyczysz przez sen, ale chciałem się upewnić, że nic ci nie jest.

Zamknął drzwi i oparł się o nie. Przyglądał się jej z troską, która, w przeciwieństwie do spojrzeń Jewel-Anne i Demetrii, sprawiała wrażenie szczerej.

Ava podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Już nieraz miałam koszmary - odparła, lecz te słowa nie zabrzmiały tak pewnie, jak by chciała. Może oni wszyscy mają rację. Może naprawdę jej odbija.

- Spałeś w pokoju gościnnym? - zapytała, starając się panować nad drzeniem głosu.

- Nie, wróciłem rano, łan mnie przywiózł. Wysłałem ci wiadomość, nie dostałaś jej?

- Nie, bo... - zawiesiła głos i zerknęła na komórkę na stoliku przy łóżku - .. pewnie wyłączyłam telefon.

W tym momencie przypomniła sobie, że pracowała przy komputerze, dopóki nie zmorzył jej sen. Nie zawracała sobie głowy ładowaniem ani komórki, ani laptopa. Komputer przeszedł w stan uśpienia i nadal stał na łóżku obok niej. Zerknęła na niego ukradkiem. Ekran był ciemny, nie znaczyło to jednak, że ktoś nie podejrzwał wszystkiego, co udało jej się spisać na temat tamtej nocy, gdy zaginął Noah. Wystarczyło nacisnąć dowolny klawisz, by ożywić ekran. Wyatt mógł przecież odczekać, aż komputer znowu przejdzie w stan uśpienia, zanim ją obudził. Musiałby to jednak bardzo precyzyjnie zaplanować albo liczyć na szczęście, bo nie wiedział przecież, kiedy dopadnie ją senny koszmar. Nie, mało prawdopodobne, że cokolwiek widział.

A więc nie poznał jej sekretu. Nie może się dowiedzieć, że ona rozpaczliwie stara się poukładać strzępy informacji o tamtej straszliwej nocy.

- Od dawna tu jesteś? - zapytała.

- Doktor McPherson mówiła, że potrzebujesz prywatności, że mamy ci nie przeszkadzać. Bardzo jasno dałaś to jej do zrozumienia.

- Rozmawiałeś z nią? Dzisiaj? - Włączyła telefon. - Która to godzina? - Wyświetlacz pokazywał wpół do jedenastej. Nie do wiary. Od lat nie zdarzyło jej się spać dłużej niż do siódmej. Migająca dioda na telefonie informowała, że kiedy twardo spała, zostawiono dla niej co najmniej jedną wiadomość.

- Może przyniosę ci kawy? - zaproponował. Drgnęła, słysząc czułość w jego głosie. Drobiazg, a tak ją wzruszył.

- Dzięki, zaraz zejść.

- Będę w gabinecie. - Uśmiechnął się. - Przyjdź.

- Dobrze. - Poczula się odrobinę lepiej. Może jeszcze nie wszystko stracone. Kiedyś się kochali, namiętnie, gorąco. Pamiętała, jak przyrzekła mu miłość na zawsze, tu, w ogrodzie, podczas skromnej uroczystości ślubnej.

Skąd zatem wrażenie, że nie może mu ufać? Jemu ani komukolwiek z pozostałych? Znała odpowiedź na to pytanie i nie chciała o tym myśleć, jeszcze nie teraz.

Oprócz wiadomości od Wyatta telefon pokazywał dwie inne - Cheryl prosiła o przełożenie kolejnej sesji hipnozy, oddzwonił też detektyw Snyder. Zapisało się jeszcze jedno połączenie, ale nie rozpoznała numeru, a nie zostawiono żadnej wiadomości.

Czyżby pomyłka?

Zadzwoiła do Cheryl, żeby potwierdzić termin sesji, i oddzwoniła do Snydera, ale znowu odezwała się poczta głosowa. Zapytała, czy następnego dnia mogłaby wpaść na posterunek i jeszcze raz przejrzeć wszelkie informacje dotyczące zaginięcia Noaha. Potem ubrała się i nie zwracając sobie głowy makijażem, zbiegła na dół, gdzie Virginia już obierała ziemniaki na lunch.

- Dzień dobry - odezwała się.

- ... bry. - Wyjęła kubek z kredensu, nalała sobie kawy z dzbanka, podgrzała ją w mikrofalówce.

- Powiedziano mi, żeby nie wołać pani na śniadanie. - Virginia obejrzała się przez ramię.

- W porządku.

- Są muffinki i bajgle.

- Nie jestem głodna - odparła i wyjęła czekoladowe ciasteczko ze szklanego słoja na kontuarze. - To mi wystarczy.

- To za mało jak na śniadanie. - burknęła Virginia z dezaprobatą obierając kolejnego ziemniaka, ale Ava, chcąc za wszelką cenę naprawić relacje z mężem, poszła do jego gabinetu na parterze.

Siedział za biurkiem, pochylony nad laptopem, ramieniem przytrzymał telefon, a wolną ręką pisał coś w notatniku. Kiedy weszła, podniósł ostrzegawczo palec, ale gdy miała się wycofać, pokręcił głową i wskazał fotel stojący przy drzwiach na werandę. Usiadła, podkuliwszy nogę pod siebie, upiła łyk kawy i umoczyła w niej ciasteczko.

- Tak, oczywiście... Będę tam za... - Wyatt zerknął na zegar stojący na rogu jego biurka. - Powiedzmy, koło czwartej? - Odnalazł wzrok Avy i komicznie przewrócił oczami, słuchając dłuższej tyrady swojego rozmówcy.

Z uśmiechem spojrzała w okno. Słońce muskało ciepłymi promieniami szyby, ciągle jeszcze mokre od deszczu.

Zdażyła zjeść całe ciastko, zanim w końcu się rozłączył.

- Przepraszam - mruknął. - Musiałem dopieścić klienta. To znowu Orson Donnelly. - Opadł na oparcie fotela, aż zatrzeszczało głośno. - Tak między nami: to straszny dupek.

- To on polecił ci Derna? - zapytała.

- Tak. Dern pracował u jego syna, zanim stary sprzedał posiadłość. Mówił, że Dern został bez pracy, a ponieważ Ned już wyjechał, a Ian nie okazał się zapalonym farmerem, zadzwoniłem do niego i poprosiłem, żeby mi przesłał referencje. Upewniłem się, czy to nie przez

Dema jego ranczo podupadło, i zatrudniłem go. - Przechylił głowę.
-Denerwuje cię?

- Po prostu byłem ciekawa, jak to się stało, że pewnego dnia nagle pojawił się w naszych progach. Pozostałych pracowników znałam, zanim zaczęli u nas pracować, z wyjątkiem Simona, który tu jest, bo ożenił się z Khloe.

Mówiła prawdę. Gracielę znała, bo przyjaźniła się z młodszą siostrą Tanyi. Wychowała się w Anchorville. Demetria także mieszkała nad zatoką, na stałym lądzie, i pracowała w Sea Cliff, zanim została osobistą pielęgniarką Jewel-Anne. Nawet Ned był kolegą stryja Crispina, który zatrudnił go przed laty.

Tylko Dern był człowiekiem z zewnątrz.

- Pomyślałem sobie, że damy łanowi odpocząć. - Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. - Może dzięki temu odkryje swoje powołanie. - Pochylił się, oparł łokcie na biurku i zapytał: - Chcesz porozmawiać o koszmarze?

- Nie.

- Znowu Noah?

Nie musiała odpowiadać.

- To jedna z przyczyn, dla których ciągle bierzesz leki. Musisz odpocząć. Wyspać się. Według mnie albo leki nie działają, albo ich nie bierzesz.

- Hm.

Spochmurniał.

- Więc wolisz ryzykować życie, topić się albo krzyczeć na całe gardło w koszmarach sennych, zamiast zażywać leki? - Nie odpowiadała, dlatego dodał: - Zdaję sobie sprawę, że nie chcesz czuć się jak naćpana. Ale w ten sposób nie pomagasz ani sobie, ani nam. Martwimy się o ciebie, kiedy słyszymy twoje krzyki, kiedy wyławiamy cię z zatoki, zanim utoniesz. Gdyby nie Dem, wolę nie myśleć, jak to by się skończyło.

- Umiem pływać.

- Avo. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nawet gdybyś nie utonęła, groziło ci wychłodzenie, poza tym... nie byłaś sobą. Nie wiadomo, czy zdołałabyś wrócić do brzegu. - Westchnął ciężko. - Sam już nie wiem, co robić.

- Może trochę odpuścisz?

- Mówisz poważnie? Mam ryzykować, że sobie coś zrobisz?

- Co ty sugerujesz, Wyatt? Że mam wracać do szpitala? - Była w domu niecały miesiąc, a on już chciał się jej pozbyć. - O to ci chodzi?

- Nie! - Posłał jej gniewne spojrzenie, wręcz przewiercał ją orzechowymi oczami. - Skądże. Ale mogę nie mieć innego wyjścia. - Machnął ręką jakby próbował rozproszyć niemile wrażenie. - Chciałbym, żebyś wreszcie przestała ze mną walczyć. Pamiętaj, ja też straciłem syna. Nie chcę stracić jeszcze i żony.

Poczuła bolesny ucisk w gardle, oczy zaszyły jej łzami, jak zawsze, gdy okazywał jej uczucie.

- On żyje.

- Ja też chciałbym w to wierzyć. Bez względu na to, czy Noah żyje, czy nie, nie ma go tu z nami. Musisz się z tym pogodzić. On już nie wróci. Skoro go porwano, czemu od tamtej pory nikt się z nami nie skontaktował? Nie żądał okupu? Jeśli sprzedano go jakimś ludziom, którzy za wszelką cenę chcieli mieć dziecko, dlaczego do tej pory nikt go nie odnalazł? Jego zdjęcia były wszędzie, w gazetach, telewizji, Internecie, na Facebooku i MySpace, sam już nie wiem, gdzie jeszcze. Próbowaliśmy wszystkiego. Pamiętaj, chyba, co to było za zamieszanie!

Owszem, pamiętała. Pierwsze dni, pełne rozpacz, nadziei i wszechogarniającego strachu, że znajdą jego ciało. Wyatt przyglądał jej się z troską.

- Avo, musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Noaha już nie ma. Mnie też ta myśl doprowadza do rozpacz.

- Wczoraj w nocy słyszałam jego płacz.

- Śniło ci się!

- Nie, dochodził z jego pokoju.

- To wiatr albo... ten stary dom, Avo, wszystko tu trzeszczy i skrzypi i jeden z tych odgłosów dotarł do ciebie przez sen, wśliznął się w podświadomość i w twoim śnie stał się płaczem Noaha.

- Wiem dobrze, co słyszałam - mruknęła. Kątem oka widziała, jak Jewel-Anne jedzie w stronę windy. Zajrzała do gabinetu przez otwarte drzwi, ale unikała jej wzorku.

Wyatt dostrzegł tę scenę. Odsunął fotel od biurka, wstał i powoli zamknął drzwi. Podeszedł do żony i stanął naprzeciwko niej.

- Avo, błagam cię. Chcę nas ratować.

- A ja ci nie przeszkadzam - odparła głosem ochryłym z emocji. - Ale muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby się dowiedzieć, co się stało z Noahem.

- Nawet za cenę zdrowia? Za cenę naszego małżeństwa?
 - Nie, Wyatt, nie chcę poświęcać ani zdrowia, ani małżeństwa. Ja chcę tylko odnaleźć nasze dziecko. Pozwól mi.
- Wyszła, nie czekając na jego odpowiedź.

Rozdział 16

On nie rozumie, pomyślała Ava następnego dnia. Chwyciła kurtkę, narzuciła ją na ramiona i wyszła na dwór. Wyatt nie dostrzegał jej cierpienia. Nie rozumiał jej, a zatem nie mógł, a może nie chciał jej pomóc. Odkąd wróciła ze szpitala, ani razu nie wspomnieli o rozwodzie. Jakby umówili się bez słów, że spróbują jeszcze raz, że żadne nie złożą pozwu.

Ale nic z tego nie będzie.

Oboje to widzieli.

Przed wczorajszym wyjazdem Wyatt pocałował ją na pożegnanie, ale było to przelotne cmoknięcie w czoło, jak z obowiązku.

Łączył ich skomplikowany związek, być może od samego początku. Może była zbyt młoda i naiwna, by roztrząsać kolejne warstwy swojego małżeństwa. Wsunęła komórkę do kieszeni, sięgnęła po torebkę i już miała wyjść na dwór, gdy wpadła na lana.

- Wybieram się do miasta po Trenta - oznajmił. - Kupić ci coś?
 - To Trent tu jest? - Brat bliźniak lana mieszkał na stałe w Seattle.
 - W Anchorville. Kilka godzin temu przysłał mi SMS z pytaniem, czy mogę go odebrać. Usiłował się z tobą skontaktować, ale bezskutecznie.
- Pewnie nie zauważyła, że dzwonił.
- Zapytaj męża, sam go zaprosił - dodał łan.
 - Nic mi nie mówił - mruknęła, łan wzruszył ramionami.
 - Powtarzam tylko, co słyszałem od Trenta. To chyba żadna tajemnica i nie ma o co kruszyć kopii.

Pewnie ma rację, uznała. Nie ma sensu budzić w sobie nowych podejrzeń, i bez tego miała zamęt w głowie.

- Ale wiesz co? Zabierz mnie do miasta.
- Jasne. To wycieczka w sprawach służbowych czy dla przyjemności? - zapytał, gdy razem szli do hangaru na łodzie.
- Ajak myślisz?

Roześmiał się.

- Cóż, obecnie nie za wiele mamy ani jednego, ani drugiego. Kiedy mijali pomost, spojrzała na poszarzałe deski i tłumaczyła

sobie, że wcale nie widziała tu Noaha, że to tylko wyobraźnia i mgła płatają jej figle. Omamy i tyle.

Ian przewiózł ją na stały ląd i obiecał, że po nią wróci, ale podziękowała, więc poszedł do baru Pod Słonym Psem na spotkanie z bliźniakiem.

Pierwszy przystanek: posterunek policji w Anchorville, gdzie miała się spotkać z detektywem Wesleyem Snyderem.

- Pani Garrison, bardzo mi przykro, ale nie mamy żadnych nowych tropów.

- Snyder podniósł wzrok znad biurka zawalonego papierami. Był wysokim, potężnym mężczyzną. Miał podwinięte rękawy koszuli. Światło odbijało się od jego łysej głowy. Patrzył na Awę ze szczerą troską w oczach. Jego biuro było ciasną kłitką, oddzieloną przepierzeniami od innych, równie ciasnych pomieszczeń. Mimo wytlumiających ścian słyhać było odgłosy posterunku - dzwonki telefonów, rozmów, echo kroków, szum drukarek i kserokopiarek.

Ava przycupnęła na niewygodnym krześle i usiłowała przemówić do rozsądku jednemu człowiekowi w biurze szeryfa, którego uważała za swojego sprzymierzeńca.

- Po prostu pomyślałam sobie, że gdybym mogła przejrzeć pańskie notatki, wszystko, co udało się panu zebrać, i porównałabym z tym, co sama ustaliłam, może udałoby nam się dostrzec coś, co do tej pory umykało naszej uwadze - wyjaśniła, ale wyczytała odpowiedź z jego wzroku, zanim się odezwał.

- Przykro mi, już to przerabialiśmy.

- Jestem matką Noaha.

- To bez znaczenia. Nie wolno mi udostępniać naszych akt osobom postronnym. To mogłoby zaszkodzić sprawie i pani dobrze o tym wie.

- Minęły dwa lata. Podrapał się w kark.

- Wiem, ale nie mogę łamać zasad. Jeśli natomiast ma pani coś, co mogłoby nam pomóc, zamieniam się w słuch.

- Nie, nie mam żadnych konkretnych dowodów, jeśli o to panu chodzi. Tylko to, co pamiętam z tamtego wieczoru.

Sięgnął po graby segregator, wyjął z kieszeni marynarki okulary do czytania i wsunął je na czubek nosa.

- Co my tu mamy... - Przeglądał akta, aż znalazł to, czego szukał. Chrząknął z zadowoleniem i wyjął plik kilkunastu kartek. Przejrzał je pobieżnie i położył na biurku.

Rozpoznała je - to były jej zeznania z tamtej feralnej nocy.

- Oto, co od pani dostałem. I jeszcze to. - Ponownie zajrzał do akt i wyciągnął kolejny plik, tym razem z przesłuchania, które nagrano i potem przepisano. Powiedziała tam to samo, co spisała w ciągu ostatnich dni. - Chce pani coś dodać? - zapytał miękko.

Zrobiło jej się głupio, gdy przypomniała sobie, w jakich okolicznościach składała zeznania. Byli wtedy w domu, w jadalni. Na stole stał malutki policyjny dyktafon, który rejestrował wszystko, co mówiła, co chwilę migając czerwoną diodą. Opowiadała o przyjęciu, o tym, gdzie kto był, wszystko, co zapamiętała. To samo, co spisała.

- Nie - przyznała i poczuła, jak na jej twarz wypełza rumieniec. - To wszystko, co pamiętam.

Odłożył kartki na biurko. Przyglądał się jej ciepło, wyrozumiale.

- Jeśli pani sobie coś jeszcze przypomni, proszę poinformować mnie albo innego funkcjonariusza. Obiecuję, że dam pani znać, jeśli pojawią się nowe tropy. - Wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

To oczywiście, że policja nie zechce jej wysłuchać bez konkretnych dowodów, czegoś więcej niż spekulacje, wizje czy marzenia.

Wyszła na dwór i odetchnęła głęboko. Znad Pacyfiku nadciągały niskie, szare chmury. Niespokojny wiatr hulał na nabrzeżu, a powietrze ochłodziło się o kilka stopni, odkąd weszła do budynku.

Zawiązała pasek płaszcza i pokonała siedem przecznic dzielących ją od salonu piękności Tanyi.

O chodnik uderzały pierwsze krople deszczu, kiedy weszła pod pasiastą markizę nad zakładem. Pchnęła drzwi, a wewnątrz wypełnił delikatny dźwięk staroświeckiego dzwonka. Pod ścianą stały trzy stanowiska do mycia głowy - wszystkie różowe, podobnie jak fotele i małe kryształowe żyrandole pod sufitem. Tylko jedno miejsce było zajęte. Klientka odchyłała głowę do tyłu, a fryzjerka spłukiwała z jej włosów gęstą pianę. Powietrze przesycił zapach chemikaliów.

- Cześć, Avo. - Hattie, fryzjerka i kosmetyczka w jednym, odwróciła się przez ramię. - Tanya jest na zapleczu. O tak, dobrze. - Ostatnie

słowa były skierowane do klientki, która już usiadła, a Hattie delikatnie owijała jej włosy ręcznikiem.

Ava ominęła niezmięcione ścinki włosów na podłodze, przeszła obok dwóch pustych foteli fryzjerskich i wielkiej fotografii Marilyn Monroe na ścianie, po czym zapukała do drzwi. Otworzyła je i zobaczyła Tanyę pośrodku niewykończonego zaplecza. Znajdowały się tam toaleta, umywalka i pralka za niskim przepierzeniem; poza tym pomieszczenie było puste i, sądząc po temperaturze, jeszcze nieogrzewane.

Tanya nie zdjęła gumowych rękawiczek, które wkładała do farbowania włosów, miała też na sobie fartuch osłaniający jej długą spódnicę i sweter.

- Cześć - zawołała, gdy Ava weszła do środka. - Po raz tysięczny kombinuję, jak upchnąć tutaj stanowisko do manikiuru i łóżko do woskowania, a może jeszcze solarium i stół do masażu. Problem w tym, że muszę mieć dojście do pralki i suszarki, drzwi ewakuacyjnych i cholera wie co jeszcze. - Zdenerwowana, ściągnęła rękawiczki, cisnęła do kosza koło pralki, a potem podeszła do Avy i uściskała ją serdecznie. - Tak się cieszę, że cię widzę. Nie bój się, nie będę cię zanudzać opowieściami o problemach z robotnikami, ciasnotą i cenami. Zresztą i tak ciągle o nich myślę, może w końcu trochę się od tego oderwę. Chodźmy coś zjeść. Umieram z głodu. - Już rozwiązała fartuch i sięgnęła po kurtkę wiszącą na wieszaku.

- Super.

- U Guida?

- Chyba czytasz mi w myślach.

Tanya uchyliła drzwi i zajrzała do salonu.

- Urywam się na jakieś dwie godzinki, Hattie.

- Spoko, popilnuję interesu - padło ze środka.

Tanya zapięła kurtkę i wraz z Avą podeszła do tylnego wyjścia. Wyjęła różową parasolkę ze stojaka, otworzyła drzwi i przepuściła przyjaciółkę. Deszcz smagał popękany asfalt alejki na tyłach ciągu budynków. Czarny kot przebiegł przez uliczkę na przykurczonych łapach i ukrył się za kontenerem przy sklepie meblowym. Niebo było szare i groźne.

Ava narzuciła kaptur i w myślach zbeształa się, że nie wzięła cieplejszej kurtki. Tanya tymczasem mocowała się z parasolką. Szły szybko, niemal biegly, omijając kałuże, samochody i kosze na śmieci. Wkrótce skręciły w boczną uliczkę i weszły na chodnik.

Trzy przecznice dalej przeszły przez jezdnię w niedozwolonym miejscu i wbiegły do małej włoskiej knajpki. Restauracja U Guida,

legenda Anchorviile, odkąd Ava sięgała pamięcią, była prowadzona przez rodzinę Cappiello.

Wnętrze pachniało czosnkiem, sosem pomidorowym i ciepłym chlebem. Podłogę pokrywała czarno-biała terakota, nad sklepionymi w łuk drzwiami do kuchni dumnie wisiała włoska flaga. Freski na ścianach przedstawiały okna, za którymi rozciągały się włoskie pejzaże -wybrzeże, góry, winnice i co jakiś czas zabytki: Koloseum, fontanna di Trevi czy inny włoski skarb. Tanya wybrała stolik niedaleko okna z widokiem na Krzywą Wieżę w Pizie.

- To moje ulubione miejsce - wyjaśniła, zdejmując kurtkę. ~ Mam stąd widok na drzwi, a to ważne. Wiesz, mój ojciec był gliniarzem i zawsze siadał twarzą do drzwi. Tak na wszelki wypadek.

- Ty jesteś fryzjerką. Tanya wzruszyła ramionami.

- Mam to we krwi. - Sięgnęła po menu w plastikowej osłonce, przebiegła je wzrokiem i zdecydowała: - Dla mnie linguini z pesto. Chociaż może nie powinnam, od tygodnia jestem na diecie, jem maksimum tysiąc kalorii dziennie, ale to pesto domowej roboty... po prostu pyszne! - Zamknęła kartę dań. - Uwierz mi!

- Wierzę - odparła Ava odruchowo i najzupełniej szczerze. Tanya była jedną z niewielu osób, którym ufała.

- O Boże, właściwie powinnam wziąć sałatkę. Z lekkim sosem albo bez sosu, albo...

Kelnerka, szczupła dziewczyna w czarnej ołówkowej spódnicy, białej bluzce i czerwonej muszce, podeszła do ich stolika z dwiema szklankami wody.

- Podać coś do picia? - zapytała.

- Lampkę chianti - odparła Tanya i zerknęła na zegarek. - O nie, nie mogę, po południu mam jeszcze jedną farbę. - Spojrzała porozumiewawczo na Awę i się skrzywiła. - Wolałabym nie schrzanić pasemek pani Danake. No dobrze, wypiję colę. Dietetyczną. I poproszę sałatkę firmową. Właściwie mam ochotę na połowę dań z karty. A niech to... powinnam strzelić sobie w łeb, ale zjem pesto linguini.

- Porcja mini?

- Cudownie. - Uniosła ręce do sufitu, na którym wirował leniwie wentylator, i jęknęła: - Nie miałam wyboru.

- Małe minestrone i ten sam makaron - rzuciła Ava.

- Chwileczkę - Tanya się rozpromieniła. - Możemy wziąć linguini na pół, to mniej kalorii.

Ava uśmiechnęła się.

- Nie ma sprawy.

Tanya, bardzo z siebie zadowolona, spojrzała na kelnerkę i spytała:

- Może tak być? Jedna porcja na dwie? Ale niech będzie duża.

- Oczywiście.

- I poproszę jeszcze pieczywo czosnkowe do sałatki.

- Chleb podajemy do każdego posiłku.

- Cudownie. - Kelnerka odeszła, a Tanya rozsiadła się wygodnie na twardej ławie. - Nie znoszę się odchudzać. To takie męczące. Wiesz, na co tak naprawdę mam ochotę? Na porządny włoski obiad, taki z trzech dań, z kiełbasą na przystawkę i tiramisu na deser, a na koniec zapaliłabym papierosa. - Westchnęła głośno. - Niestety obawiam się, że te czasy minęły bezpowrotnie.

- Zdaje się, że właśnie tak odżywiałyśmy się w szkole po treningach zespołu cheerleaderek. Może powinnaś znowu się do nich zapisać.

Tanya parsknęła śmiechem.

- Cicho! Nikt nie wie, że paliłam.

- Cicho! Wszyscy wiedzieli, że paliłaś.

- Tylko nie mów mamie, dobrze? — poprosiła Tanya z krzywym uśmiechem. To był jej stary kawał. Mama Tanyi nie żyła od sześciu czy siedmiu lat.

- Myślę, że wiedziała.

- Owszem, kiedyś podkrađłam jej o jednego mentola za dużo i się zorientowała.

Ava uśmiechnęła się.

- Obiecałaś, że pokażesz zdjęcia dzieci...

- Jasne, mam je tutaj! - Tanya po chwili poszukiwań wyjęła komórkę z torebki i otworzyła folder ze zdjęciami.

Ava pochylila się nad stolikiem.

- Jacy duzi.

- Bella ma dziewięć lat, Brent niedawno skończył siedem i chodzi do szkoły. A Bella jest już w czwartej klasie i ma chłopaka, jeśli można to tak nazwać. No wiesz, jedna z jej koleżanek szepnęła jej, że mu się podoba, i nagle, uwaga, cytuję: ze sobą chodzą. Dokąd, pytam, a ona na mnie patrzy, jakbym spadła z kosmosu. Ale żeby dziewięciolatki? Przecież w tym wieku jeszcze się nie znosi przeciwnej płci! -

Pokręciła głową. - Więc teraz muszę pilnować, co ogląda, i sprawdzać jej Internet bo ani się obejrzę, a zacznie mi przytaczać wypowiedzi tych dumnych gwiazdek z reality show. - Przeglądała kolejne zdjęcia -A tutaj Brent, który, wyobraź sobie, chce zostać kowbojem.

- Jak jego tata - mruknęła Ava i spojrzała na małego chłopczyka w stetsonie za dużym o co najmniej trzy rozmiary i w nowiutkich kowbojkach.

Tanya się skrzywiła.

- Wszystko, tylko nie to. - Sprawnie przesuwała kolejne fotografie; Bella na zajęciach z baletu, na koniu, na łodzi, na boisku Brent z psem, na komu, malutki i nieszczęśliwy w stroju piłkarskim - Też mi się to me podoba, moim zdaniem jest za mały, ale Russ płaci za zajęcia sportowe i podobno wcale się na tym nie znam. W dzisiejszych czasach trudno się wychowuje dzieci... - Ledwie to powiedziała speszyła się wyraźnie. - Boże, Avo, przepraszam. Czasami jestem strasznie głupia.

- Nie ma sprawy - odparła Ava szybko, ale odetchnęła z ulgą gdy wróciła kelnerka z napojami i informacją, że za kilka minut poda posiłek. Spojrzała w bok; przy sąsiednim stoliku zakochani siedzieli koło siebie, przerzucali się słodkimi żarcikami, jak to wrzucą monety do fontanny namalowanej za ich oknem.

- Młodzi i zakochani - mruknęła Tanya i niezręczna chwila minęła

- A jak tam ty i Russell?

- No cóż... to dupek. Sama nie wiem, na co liczyłam. Wyszłam za mego, bo szukałam lekarstwa na Trenta. Russ wiedział, że przed nim byłam zakochana po uszy, i chyba nigdy nie uwierzył, że mi całkowicie przeszło. - Bawiła się słomką. - Zresztą może miał rację. Bo Trent Trent ma w sobie to coś... - Kostki lodu podskoczyły w jej szklance! gdy dodała: - Widziałam go niedawno, wiesz¹?

- Kogo?

- Trenta. Był tutaj, w mieście. To znaczy w porcie

- Naprawdę? Wiem, że teraz tu jest. Ian mówił, że ma się z nim spotkać, ale kiedy z nim rozmawiałam przez telefon, nie wspominał że był w Anchorville.

Tanya wzruszyła ramionami.

- Jesteś pewna, że to nie był Ian? - dopytywała się Ava

- Kto jak kto, ale ja potrafię ich odróżnić.- zachnęła się Tanya - Chodziłam z Trentem ponad rok, zresztą był moim pierwszym face-

tem. Więc sądzę, że jestem w stanie odróżnić go od brata. Przecież nie są identyczni.

- Ale bardzo podobni.

Tanya tylko wzruszyła ramionami.

- Rozmawiałś z nim? - zapytała Ava. Tanya przecząco pokręciła głową.

- Nie. Zdziwiłam się na jego widok, a że nie wyglądałam najlepiej... - Skrzywiła się. - No dobra, powinnam była się przywitać. - Słomka coraz szybciej wirowała w jej palcach. - Ale wiesz, on zawsze był obecny w moim małżeństwie i dlatego wołałam, żeby sprawy zostały tak, jak są. Nadal kłóczę się z Russellem o pieniądze i... co prawda nie wiadomo, czy z rozmowy z Trentem coś by wynikło, ale Russ mógłby się o tym dowiedzieć i znowu zaczęłyby mi robić sceny zazdrości. - Wzdrygnęła się i spojrzała na Avę, skoncentrowana i poważna. - Zdaję sobie sprawę, że to bez znaczenia. Nie mogę pozwalać, żeby reakcje Russa miały wpływ na moje życie, i naprawdę staram się tego pilnować. Mimo wszystko to ojciec moich dzieci i muszę sobie z nim radzić, a czasami łatwiej jest siedzieć cicho.

- Przecież masz prawo do własnego życia. Nie możesz dopuścić, żeby Russ cię kontrolował. To szantaż emocjonalny.

- Może i tak. - Tanya zerknęła na Avę z ukosa. - Więc kiedy zobaczysz Trenta, poproś, żeby do mnie zadzwonił.

- Może po prostu dam ci jego nowy numer? - Wyjęła długopis z torebki, znalazła w komórce numer kuzyna i zapisała go na serwetce. Przesunęła ją po obrusie ze słowami: - To naprawdę nie dotyczy Russa.

- Ty mu to powiedz. - Tanya wsunęła serwetkę do kieszeni džinsów i z westchnieniem spojrzała najpierw na młodych, potem na Krzywą Wieżę namalowaną na ścianie. - Pamiętam, jak na początku szaleliśmy za sobą z Russem, ale chyba nigdy nie byliśmy zakochani. W każdym razie nie jak ty i Wyatt.

Kelnerka postawiła na stole pierwsze danie i koszyk z pieczywem przykryty lnianą serwetką. Ava skosztowała zupę, a Tanya wzięła kawałek chleba, urwała pół kromki, zamoczyła w sosie, zręcznie strzepnęła jego nadmiar i podniosła do ust.

- O Boże, jakie pyszne. - Upiła łyk dietetycznej coli i mruknęła: - Opowiadaj, jak to było. No wiesz, nocna kąpiel w oceanie.

- Wieczorna - poprawiła Ava. - I w zatoce, nie w oceanie.

- Ale dlaczego? - zapytała Tanya i umoczyła bułeczkę w sosie.

- Znowu mi się wydawało, że widziałam Noaha. Tak, wiem, to zakrawa na szaleństwo i może rzeczywiście zwariowałam, ale wiem, co widziałam. - Westchnęła. - Teraz ty też uznasz, że nadaję się do wariatkowa.

- Skądże, chociaż w twojej rodzinie nie brakuje przypadków choroby psychicznej. Sama mi opowiadałaś, że w każdym pokoleniu trafia się szaleniec, prawda?

- Tak.

- Zdaje się, że twoja prapraprababka skoczyła z dachu wieżyczki w Neptune's Gate, a ojciec Trenta stracił przytomność podczas jazdy samochodem i zabił żonę, tak?

- Stryj Crispin, tak. To była jego pierwsza żona.

Tanya spojrzała na Avę i obie pomyślały o tym samym. Wszyscy słyszeli plotki, że to wcale nie był wypadek, że Crispin już wtedy romansował z Piper, a rozwód byłby zwyczajnie za drogi. Niczego mu nie udowodniono, ale plotki zostały.

- Mamy nasze małe bziki - przyznała Ava. - Ale ja biję wszystkich na głowę.

- Załamałaś się, gdy Noah zaginął, i nie ma w tym nic dziwnego. Ja zareagowałabym tak samo.

Ava namyślała się przez chwilę. Szybko podjęła decyzję

- Mogę ci coś powiedzieć?

Tanya zaciekawiona pochyliła się nad stołem.

- Pewnie. Chcesz mi powierzyć mroczną tajemnicę?

- Kiedy Noah zaginął, przeszukaliśmy całą wyspę. Zesłałam nawet tymi starymi schodkami z urwiska na plażę i spędziłam tam całą noc.

Tanya skinęła głową.

- Ale ilekroć teraz widzę Noaha, zawsze jest na pomoście. W jego zniknięciu nie ma nic, co sugerowałoby, że był na pomoście czy w hangarze na łodzie, a jednak zawsze jest właśnie tam. I wydaje się bardzo rzeczywisty.

Tanya uważnie przyglądała się przyjaciółce. Ava już szykowała się na kolejny wykład, jak to daje się ponosić fantazji, bo za wszelką cenę chciałyby, żeby synek żył, i dlatego umysł podsuwa jej wizje i fałszywą nadzieję, ale Tanya wyciągnęła rękę i ucisnęła jej dłoń.

- No dobrze, załóżmy, że on żyje - powiedziała powoli. Ava nie wierzyła własnym uszom. Ktoś wreszcie jej słuchał.

- Ale wygląda tak samo jak wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni. W ogóle się nie zmienił.

- Teraz chcesz mi to wybić z głowy?
- Nie, ale to bez sensu.
- Może musisz po prostu ustalić, o co w tym wszystkim chodzi.
- Czyli?
- Albo masz halucynacje, albo widzisz duchy... Ava cofnęła dłoń. Nie chciała tego słuchać.
- Albo ktoś się z tobą drażni, prowokuje cię - dokończyła Tanya.
- Ale dlaczego? I w jaki sposób?
- Nie mam pojęcia. Psychotropy? Halucynogeny? Ava pomyślała o pigułkach, które jej podawano.
- W każdym razie, według ciebie widziałam Noaha tylko oczami wyobraźni, a naprawdę wcale go tam nie było.
- Sama to powiedziałaś. Jest za mały. Chodzi mi o to, że nie wiemy, co się z nim stało, ale twoje wizje nie mają z tym nic wspólnego.
- Avie zrobiło jej słabo.
- Chcesz powiedzieć - wykrztusiła - że ktoś chce mi wmówić, że on żyje, chociaż to nieprawda?
- Nie. Ale widzisz Noaha, tak? Nie fioletowe smoki ani palmy na górach lodowych, nie widzisz matki czy Kelvina, zawsze Noaha. Nie wiem, czy są środki mogące wywołać konkretne halucynacje. Ale może je powodować co innego. - Ponownie sięgnęła po widelec.
- To znaczy, że ktoś chce, żebym go widziała?
- Nie, ktoś usiłuje cię przekonać, że zwariowałaś. A Noah to już twoja projekcja. Rozpacz i żal podsuwają ci akurat Noaha.
- Ale niby dlaczego ktoś miałby robić coś takiego?
- Sama musisz sobie na to odpowiedzieć. Kto zyska najwięcej, gdy znikniesz? Albo trafisz do wariatkowa?
- Albo zginę - dodała Ava szeptem.
- Nie, co to, to nie. - Tanya energicznie pokręciła głową, aż loki podskoczyły gwałtownie. - To zbyt proste.
- Jak to?
- No, zabójstwo. To prosta sprawa. Broń palna, płatny morderca, trucizna, bo ja wiem... można zabić człowieka na milion sposobów. Problem w tym, jak nie dać się złapać. Lepiej mieć czyste ręce i doprowadzić ofiarę do szaleństwa. Wpędzić w obłąd.
- Przerażasz mnie - stwierdziła Ava z krzywym uśmiechem.
- No cóż. Udowodnij mi, że się mylę. A jeśli ktoś naprawdę chce, żeby ci odbiło, tak porządnie?

- Żeby się mnie pozbyć? - Sceptycznie uniosła brew.
- Żeby usunąć cię z drogi.
- Ale kto? I dlaczego? Z powodu wyspy?
- To dobry motyw.
- Przecież nawet nie należy do mnie, to znaczy nie cała, a z taką posiadłością wiążą się problemy, i to niemałe.
- Więc może chodzi o coś innego. Ja tylko twierdzę, że... - Podniosła do ust widelec pełen makaronu i jej oczy zaszklily się z rozkoszy. - O Boże, ależ to jest pyszne!

Rozdział 17

Trent nie odbierał.

Nie udało jej się z nim skontaktować ani pod nowym numerem, który jej podał, ani pod starym, na który zadzwoniła w akcie rozpacz. Nie aktywowała poczty głosowej, więc nie mogła się nagrać, wobec tego wysłała mu SMS z prośbą, żeby zadzwonił, a sama poszła do Cheryl.

Czy Tanya naprawdę go widziała? Teraz, gdy wrócił do Anchorville?

A jeśli tak, czy to ma znaczenie? Nigdy nie powiedział, skąd dzwoni, ale ponieważ mieszkał w Seattle, niewykluczone, że zjawił się bez zapowiedzi, chociaż to nie w jego stylu. Kolejna rzecz, która wydawała się dziwna i nie dawała jej spokoju.

Pogrążona w myślach, wsunęła telefon do kieszeni i poczuła na policzku muśnięcie wilgotnego powietrza. Kiedy były w restauracji, przestało padać, ale też ochłodziło się i teraz wszystko spowijały kłęby mgły.

Wąskie uliczki świeciły pustkami, nikt nie przemykał się chodnikami, z rzadka widziała samochody. Co jakiś czas dostrzegała plamy światła, ciepłe kręgi kontrastujące z ponurym chłodem wieczoru. Dwa razy wydawało jej się, że ktoś ją śledzi, jakby słyszała zgrzyt żwiru pod podeszwami butów, i w obu przypadkach okazało się, że się myliła. Ilekroć zerknęła za siebie, widziała jedynie smugi mgły i coraz głębszą ciemność.

- Weź się w garść - mruknęła, a w tym momencie jakiś pies rozszczękał się jak szalony. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jest co najmniej o przecznicę od niej. Na wszelki wypadek rozejrzała się czujnie dokoła i wydawało jej się, że dostrzegła ruch pod wysokim świerkiem, ale kiedy przyjrzała się uważniej, zobaczyła tylko złamaną gałąź zwisającą nad ziemią.

Przestań!

Odwróciła się i biegiem pokonała półtorej przecznicy dzielącą ją od gabinetu Cheryl. Cały czas miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, czuła na sobie czyjeś spojrzenie. Przyprawiało ją to o dreszcz, więc przyspieszyła kroku, minęła samochód zaparkowany pod ścianą oplecioną bluszczem i zatrzymała się przed domem hipnotyzerki.

Trzy koty uciekły jej spod nóg, gdy pukała do drzwi. Lało już jak z cebra i chociaż było jeszcze wcześniej, panował niemal wieczorny mrok. Płaszcz z dzianiny nie zdał egzaminu, przemókł do nitki.

Cheryl, jak zawsze w batikowej tunice, uchyliła drzwi i poprowadziła ją przez labirynt pokoi.

- Jesteś cała mokra - mruknęła, gdy Ava opadła na fotel.

- Tak widzisz moją przyszłość?

- Ja nie przepowiadam przyszłości - zauważyła hipnotyzerka. - Ja tylko otwieram drzwi umysłu. - Ale zachichotała, zapalając świeczkę.

Pomieszczenie stopniowo wypełniało się aromatem lawendy i tymianku, cicha, relaksacyjna muzyka splatała się z monotonnym bębnieniem deszczu o jedno małe okienko w pokoju.

- Bierzmy się do roboty, dobrze? - Cheryl otuliła Avę kocem, usiadła w sąsiednim fotelu i zaczęła mówić.

Wystarczyło kilka sekund, a Ava odprężyła się, ciemny pokój w piwnicy zniknął i znowu była z synkiem na zalanej słońcem plaży, gdzie słońce tańczy na falach, a Noah ze śmiechem bawi się przy brzegu.

Radośnie bawił się w piasku, machał plastikową łódką... idealną repliką „Krwawej Mary”.

- Skąd to masz? - zapytała. Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się tak szeroko, że widziała wszystkie jego malutkie ząbki.

- Od wujka Kelvina - powiedział wyraźnie. - On mi dał.

Ale to przecież niemożliwe. Kelvin zginął, zanim Noah się urodził. Nigdy się nie poznali.

- To łódka wujka Kelvina - uściśliła. Może ktoś inny mu ją dał. Ale Noah energicznie kręcił główką, aż promyki słońca tańczyły w złocistych lokach.

- On mi dał. - Podniósł na nią oczy, o wiele za mądre jak na dwulatka. - Nie wierzysz mi, mamusiu?

- Nie, skądże... Spochmurniał nagle.

- Już mi nie wierzysz.

- Nie, Noah, to nieprawda. Dlaczego tak mówisz? Spojrzał na nią niewinnie.

- Tatuś mi powiedział.

- Tatuś? - szepnęła, a tymczasem słońce zaszło i synek zniknął jej z oczu. - Noah? - zawołała.

Nadciągała ciemność, znowu była na pokładzie „Krwawej Mary”, znowu szalał sztorm, żagle trzepotały rozpaczliwie, wiatr zawodził, deszcz smagał pokład strumieniami wody, żaglówka tańczyła na falach, Jewel-Anne wyła, jakby umierała z bólu...

A potem znowu była z Noahem, z cudownym synkiem, dzieckiem, którego, jak myślała, już nigdy nie będzie miała, tyle razy poroniła. Był bezcenny. Istny cud. Urodzony tuż po szkwałe. Niewiele pamiętała z okresu ciąży, wydawało jej się, że na początku miała grypę.

- Trzy... wracasz do mnie... dwa... jesteś coraz bliżej, coraz bliżej... jeden... i jesteś z powrotem - usłyszała głos Cheryl i znalazła się z powrotem w jej gabinecie.

Spojrzała w dół. Jej ramiona były puste, nie trzymała w nich maleństwa.

- Znowu byłeś na łodzi - szepnęła Cheryl miękko. - Płakałaś.

- Wiem. - Ava była wyczerpana, osłabiona. Tak niewiele pamiętała z tamtej nocy, poza rozpaczą i smutkiem. Liczyła, że dzięki sesjom z Cheryl dowie się więcej o tragicznej śmierci Kelvina i o zniknięciu synka, miała nadzieję, że dzięki hipnozie odblokują się zatarte wspomnienia. Teraz jednak wątpiła, czy naprawdę chce sobie przypomnieć wszystkie szczegóły tamtej koszmarnej nocy.

I Khloe, i Jewel-Anne nie mogły jej darować, że to ona zaproponowała morską wyprawę akurat tamtego dnia. Bóg jeden wie, jak bardzo sobie to wyrzucała, chociaż wiedziała zarazem, że to nie jej wina. Czasami jednak czuła, że chodzi o coś jeszcze, coś, co było poza jej zasięgiem. Oby tylko zdołała sobie przypomnieć.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Cheryl. I znowu to pytanie.

- Co? - Ava zdziwiła się.

- Nic.

- Nie wierzę.

Cheryl na chwilę odwróciła wzrok i dodała poważnie:

- Po prostu wydaje mi się, że powinnaś być ostrożna.

- No dobra... przestraszyłaś mnie. Dlaczego?

- Nie wszystko jest tym, czym się wydaje, czym powinno być. Na wyspie jest sporo złej krwi, obie o tym wiemy. I czasami myślę o tobie, nic na to nie poradzę.

Ava wzięła sobie te słowa do serca, ale głośno powiedziała:

- Nie trzeba. - Dotknęła zadziwiająco chłodnej dłoni hipnotyzerki. - Ja naprawdę uważam. W pewnym sensie.

- To dobrze - rzuciła Cheryl.

- Może spotkamy się za tydzień?

- Tak... - Ale Cheryl myślami była już gdzie indziej i kiedy Ava wychodziła, czuła się bardziej niespokojna niż przed wizytą.

Cheryl zamknęła za nią drzwi i oparła się o nie ciężko. Spochmurniała. Sesje z Avą Garrison zawsze były trudne i sama czasami nie wiedziała, czy bardziej jej pomaga, czy szkodzi.

- Pomagasz, zawsze pomagasz - mruknęła, jakby próbowała przekonać samą siebie, i wróciła do gabinetu, w którym przed chwilą odbyła się sesja.

Kilka kotów kręciło jej się pod nogami. Z uśmiechem schyliła się, by pogłaskać kocie łebki. Merlin, długowłose przybłęda, poszedł do sąsiedniego pokoju, leciutko wachlując szarym ogonem. Cheshire, otyła trójbarwna kotka, i Olive, płochliwa czarna ślicznotka z białym krawatem i w białych skarpetkach, pobiegly za Cheryl.

- Ostrożnie - upomniała je.

Weszła do pokoju, zamknęła drzwi, zaczęła sprzątać. Złożyła starannie koc, którym okryła Avę, schowała notes do szuflady, zdmuchnęła świecę, zgasiła światło. Pokój pogrzyżył się w mroku, nic nie rozjaśniało ciemności.

Sssyk.

Przeciągły dźwięk niósł się szeptem po gąszczu pomieszczeń. Jeden z kotów, w korytarzu, sądząc po odgłosach.

- Merlin? - zawołała. Podeszła do drzwi na korytarz, równie ciemny. Dziwne.

Nie przypominała sobie, żeby zgasiła światło.

- Spokojnie, kiciu.

Odnalazła kontakt i wcisnęła włącznik, ale nic się nie stało. Poczowała, jak włoski na karku stają jej dęba, chociaż wmawiała sobie, że to tylko przepalona żarówka.

- Cholera! - Gdzie ma zapasowe żarówki? A tak, w pomieszczeniu gospodarczym na końcu korytarza, za rogiem.

Szła po omacku, trzymając się ściany. Znowu usłyszała Merlina, tym razem zawarczał, nisko, gardłowo.

Czuła, jak serce bije jej coraz mocniej. Denerwowała się, ale powtarzała sobie, że nie może dać się ponieść wyobraźni. Kot jest płochliwy i tyle, boi się nawet własnego cienia. Nie masz się czego obawiać, po prostu weź żarówkę i latarkę, żeby cokolwiek widzieć. Pamiętasz? Masz ją w pomieszczeniu gospodarczym, w szafce...

Kolejne warknięcie, syk, a potem szybkie kroki uciekającego kota. Cheryl czekała, nasłuchując. Nic jednak nie słyszała, bo wszystko zagłuszało oszalałe bicie jej serca, więc ruszyła dalej, cały czas trzymając się ściany i wyobrażając sobie, że wszystko dobrze widzi, jak zawsze.

Szła powoli, noga za nogą, wreszcie skręciła za róg, weszła do pomieszczenia gospodarczego i namacała dłonią kontakt.

Znowu nic.

W pokoju bez okien nadal było ciemno. Czyli to większa awaria.

Nie po raz pierwszy wysiadły korki, ale od zimy był spokój i łudziła się, że nie będzie musiała wydawać większej sumy na nowe urządzenie. Kiedy już wiedziała, co się stało, nagle zdała sobie sprawę, że piec nie działa, dmuchawa nie rozprawdza ciepłego powietrza, a w piwnicy panuje całkowita cisza.

Oddychała coraz szybciej. Otworzyła szufladę w szafce i poczuła przenikliwy odór kociego moczu. Koniecznie musi zmienić piasek w kuwecie. Włożyła rękę do szuflady. Najpierw wymacała ołówek, kredę i otwieracz do listów, o który się skaleczyła, zanim wreszcie poczuła pod palcami znajomy owal latarki. Zapaliła ją kciukiem i mrok rozjaśniło słabe światło.

Trudno, musi wystarczyć.

Jeszcze kilka kroków w mdłym świetle latarki i zobaczyła bezpieczniki na ścianie. Były to bezpieczniki jej pokoi na piętrze i tu, poniżej poziomu ulicy. Otworzyła drzwiczki, zostawiając na nich smugę krwi ze skaleczonego palca.

No, oczywiście, poszły wszystkie korki.

Pierwszy raz zdarzyło się coś takiego. Owszem, czasami wyskakiwały pojedyncze korki, ale nigdy nie wszystkie jednocześnie. Co się stało, u licha?

Już miała je włączyć, gdy poczuła, że w pomieszczeniu jest bardzo zimno. O jakieś pięć, sześć stopni mniej niż zwykle.

Słyszała też odgłosy z ulicy, warkot silnika przejeżdżającego samochodu. Jakby ktoś zostawił otwarte okienko do piwnicy.

I znowu powróciło wrażenie, że coś jest nie tak; drażniło ją, pełzło wzdłuż kręgosłupa jak pajak o lodowatych odnóżach. Sięgnęła do bezpiecznika i usłyszała zgrzyt skóry na cemencie. Krok za sobą.

Nie!

Wcisnęła bezpiecznik, ale za późno. Nagle otoczyło ją ostre, przenikliwe fluorescencyjne światło, wszystko spowija niebieskawa poświata, a na jej szyi zacisnęły się silne dłonie.

Ktoś chce ją udusić!

Wpadła w panikę.

Chciała krzyczeć, kopać, walczyć, ale żelazny uścisk z każdą sekundą przybierał na sile. Nie mogła oddychać, serce boleśnie łomotało w piersi, płuca płonęły żywym ogniem. Walczyła jak dzikie zwierzę, młóciła pięściami, rzucała głową na boki, kopała, szarpała się. Wszystko na nic.

Napastnik był silny.

Zdeterminowany.

Bezwzględny.

Błagam cię, Boże! Nie!

Czuła, że oczy wychodzą jej z orbit, miała wrażenie, że małe żyłki już popękały. Nie, nie, nie!

To niemożliwe, to nie może dziać się naprawdę... nie jej... nie...

Otoczyła ją ciemność i nagle była wolna. Osunęła się na podłogę, chciwie nabrała powietrza, oddychała chrapliwie, ze świstem, jakby napastnik zmiażdżył jej krtań. Przez moment łudziła się, że przeżyje, ale wtedy kątem oka dostrzegła nóż.

Ostry, zabójczy, połyskujący złowieszczo.

Strach krzepł w jej żyłach.

Kto?...

Ostrze opadło i przecięło odsłonięte gardło.

Umierała na podłodze, słysząc, jak zabójca wychodzi, jak jego kroki cichną w oddali. Potem jeden z jej kotów zamiauczał cicho... złociste ślepia rozbłysły nad jej twarzą...

Cheshire... kochany kotek...

A potem nie było już nic.

Rozdział 18

Dern trzymał się z daleka.

Tego dnia na stałym lądzie było zbyt wiele osób z tej cholernej wyspy. Widział ich.

Wyatt, mąż Avy, miał tu spotkanie z lekarką żony. Dziwne.

Kilka godzin wcześniej do portu zawinął łan. Kręcił się koło kafejki i sklepu wędkarskiego, jakby na kogoś czekał.

No i pani Garrison.

Miał na oku wszystkich, nie chciał, aby wiedzieli, że tu jest. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ktoś go zobaczył. Jeśli ktoś zorientuje się, że ma na oku Avę Garrison, może mu narobić kłopotów, i to niemałych. Dlatego trzymał się z daleka, przemykał ulicami z podniesionym kołnierzem, w czapeczce baseballowej nasuniętej na oczy. Widział, jak Ava Garrison wychodziła z posterunku. Zachował bezpieczną odległość, kiedy szła do salonu piękności, a potem mało brakowało, a straciłby ją z oczu, gdy razem z fryzjerką, Tanya Denton, wymknęła się tylnymi drzwiami i poszła na lunch do włoskiej knajpki. Dwie godziny później odprowadziła przyjaciółkę do salonu, a sama poszła do hipnotyzerki.

O tak, pani Garrison była tego dnia bardzo zajęta.

Kiedy wychodziła z domu Cheryl Reynolds na zboczu wzgórza, było już ciemno. Udało mu się ją dogonić dopiero na nabrzeżu. Nadal trzymał się w bezpiecznej odległości. Nawet z oddali widział, jaka była przejęta, gdy szła w świetle latarni, sącząc kawę z papierowego kubka z logo lokalnej kawiarni.

W końcu, prawie czterdzieści minut po wyjściu od hipnotyzerki, wsiadła na pokład łodzi Butcha Johansena.

A zatem wyprawa do miasta dobiegła końca.

Odprowadzał łódź Johansena wzrokiem, aż zniknęła we mgle, i dopiero wtedy poszedł na skraj miasteczka, nad zatokę, gdzie zacumował swoją małą łódkę. Było już ciemno; przy odrobinie szczęścia nikt się nie dowie, że w ogóle ruszał się z wyspy.

- Jezu, Ava, nie miałem pojęcia, że jesteś taka uparta. - Butch zerkał na nią z ukosa, gdy płynęli jego łodzią w stronę wyspy. - Aja myślałam, że nie znosisz Wyatta.

Butch wpatrywał się w noc, kiedy łódź podskakiwała na niespokojnych wodach zatoki.

- Nie lubię go, ale nie wybrzydzą. Wożę każdego, Wyatta też. -Znowu na nią zerknął. - Ja przynajmniej za niego nie wyszedłem.

Otuliła się jego starą kurtką przeciwdeszczową. Pachniała morzem i papierosami.

- Powinieneś był mi powiedzieć.

- Po co? Żeby cię wyprowadzić z równowagi? - Skrzywił się pod jak zawsze marnym zarostem i dodał: - I bez tego byłaś nakręcona. -Znowu spojrzał na nią ukradkiem

- No dobrze. - Miała dość kłótni, domysłów i podejrzewania wszystkich znanych jej osób. To naprawdę bardzo męczące.

Pokonali już zatokę i zbliżali się do pomostu przy Neptune's Gate. W oknach na piętrze było ciemno, ale na parterze i w mieszkanku Jacoba paliło się światło.

- Żeby było jasne - odezwał się Butch. - Za godzinę mam odebrać Wyatta z przystani i zabrać go na wyspę.

Wpatrywała się w zimną ciemną otchłań.

- Nie wiedziałam, kiedy ma wrócić.

Zacumował przy pomoście, ale nie gasił silnika. Ava zdjęła kurtkę i powiesiła na oparciu siedzenia.

- Dzięki - mruknęła i zapłaciła Butchowi za kurs.

- Nie ma sprawy, siostrzyczko - mruknął z uśmiechem.

Biegiem pokonała kamienne stopnie prowadzące do drzwi frontowych. Gdy znalazła się w korytarzu, poczuła zapach pieczeni wieprzowej dobiegający z kuchni i zobaczyła, że drzwi do gabinetu Wyatta są uchylone. Cisnęła torebkę na stolik w holu, poprawiła na sobie ciągle mokry dzianinowy płaszcz, weszła do gabinetu... i zastała tam Jewel-Anne, siedzącą w półmroku za biurkiem. Jedynym źródłem światła był ekran komputera, bo zasłony zaciągnięto już na noc.

Usłyszawszy jej kroki, Jewel-Anne gwałtownie podniosła głowę i chciała odsunąć się od biurka, ale było za późno; koło jej wózka zaczepiło o nogę fotela biurowego, który stał nieco z boku.

- Co ty tu robisz? - spytała Ava. Oparła się o framugę i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Zostawiłam coś i chciałam to zabrać - odparła kuzynka.

- Zostawiłaś coś na biurku Wyatta? I pewnie ci upadło na klawiaturę jego laptopa?

Jewel-Anne kiwała energicznie głową, ale kiedy odnalazła wzrok Avy, dała sobie spokój.

- No dobra, przyłapałaś mnie na gorącym uczynku. Myszkowałam.

- Myszkowałaś?

- Tak. Tutaj... dzieje się coś dziwnego.

- Naprawdę? I kto to mówi? - ironizowała Ava.

- Słyszałam, jak kłóciłaś się z Wyattem i... - Jewel-Anne zerknęła na drzwi prowadzące do głównego holu i dodała przyciszonym głosem: - Uznałam, że powinnaś to wiedzieć: ja też go słyszałam.

- Słyszałaś go? - Ava znieruchomiała na moment. - Wyatta? - zapytała, chociaż знаła odpowiedź, zanim Jewel-Anne wyszeptała inne imię.

- Noaha. Słyszałam płacz dziecka. Jego płacz.

Pod Avą ugięły się kolana. Oparła się o biurko, żeby nie upaść.

- Nieprawda.

- A właśnie że tak! Słyszałam coś, co brzmiało jak płacz dziecka! No dobra, załóżmy, że mówi prawdę.

- Czego szukasz w komputerze mojego męża?

- Wydawało mi się, że płacz dobiegał stąd.

- Nie - zaprzeczyła Ava.

- Pokój Noaha jest nad nami - odparła Jewel-Anne.

- Tak, ale... - Ava podniosła wzrok na sufit, wyobraziła sobie pokój synka piętro wyżej.

- Przewody wentylacyjne. - Jewel-Anne podjechała bliżej, tam gdzie nad ich głowami przewód kominowy z pokoju dzieciennego łączył się z szerszą rurą. - Pamiętam, jak bawiliśmy się tutaj w dzieciństwie. Rozmawialiśmy przez te szyby i usiłowaliśmy się wzajemnie szpiegować.

Ava aż za dobrze pamiętała dawne zabawy; uganiali się po całym domu, bawili w berka, w chowanego i tak, rzeczywiście, podsłuchiwali się.

- Zawsze chciałam wiedzieć, co robią Jacob i Kelvin - wyznała Jewel-Anne. - A stąd było świetnie słyszeć, co się dzieje na górze.

Kątem oka Ava dostrzegła, jak za drzwiami przemknął cień, ale Jewel-Anne, niczego nieświadoma, paplała dalej:

- Pomyślałam więc, że rozejrzę się tutaj i a nuż coś znajdę... Przerwała, gdy Ava podniosła palec do ust, dając jej znak, by umilkła, a potem podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz.

Oczywiście w holu nikt się nie czał. Dokoła nie było żywej duszy. Z piętra docierało pogodne nucenie Gracieli, w kuchni Virginia stukała garnkami, i tyle.

- Co się stało? - zapytała Jewel-Anne konspiracyjnym szeptem. Jej oczy wydawały się nienaturalnie wielkie za szklami okularów.

- Nic. Chyba... - odparła Ava. - I wiesz co? Naprawdę doceniam, że chcesz mi pomóc. Cieszę się, że ktoś oprócz mnie słyszał płacz dziecka. Nie powinnaś jednak myszkować w gabinecie Wyatta.

Jewel-Anne dumnie uniosła głowę.

- Bo to twoja specjalność? - Szarpnęła koła wózka i odwróciła się do drzwi. - Myślałam, że się ucieszysz, że ktoś ci wierzy!

- Cieszę się, ale...

- Ale co?

- To gabinet Wyatta. On nie...

- Co, Avo? Litości! Od kiedy przejmujesz się jego potrzebą prywatności? Nim w ogóle?

- Nie będzie zadowolony i tyle.

- Jasne.

- Doceniam to, Jewel, naprawdę. A te przewody... to już coś.

- Znam sekret - powiedziała nagle Jewel-Anne.

Ava uniosła brwi. Zauważyła, że kuzynka zachowuje się dziwnie dorośle, poważnie, jakby po raz pierwszy od lat zrzuciła dziecienną maskę.

- Jaki sekret?

- Chciałoby się wiedzieć, co?

- Jewel-Anne, daj sobie spokój z tymi gierkami - mruknęła Ava. Maską wróciła równie szybko, jak zniknęła. Jewel-Anne miała przebiegłą minę. Znalazła przycisk na podłokietniku wózka, włączyła iPod. Elvis zaczął śpiewać *Puppet on a String*, a Jewel posłała Avie znaczące spojrzenie i oddaliła się w stronę drzwi.

Jacob, który właśnie wyszedł z salonu, w ostatniej chwili wyminął siostrę.

- Uważaj, do cholery! - Odkoczył i upuścił swój iPada, który upadł na ziemię ze złowieszczym trzaskiem i potoczył się w stronę schodów. - Jezu, jeśli się popsuł, to... - Podniósł go i obejrzał dokładnie. - O cholera, obudowa jest pęknięta! Mam tu wszystkie opracowania! Niech to szlag!

Jewel-Anne odjechała bez słowa. Z jadalni nadbiegła Demetria.

- Co się dzieje? - spytała zdyszana.

- Mój iPad się rozwalił! - Jacob zacisnął usta w wąską linię i przesunął palcem po pęknięciu na obudowie. - Dlaczego, do cholery, nie odpuścisz Jewel-Anne? - warknął gniewnie do Avy. - Przecież jeździ na wózku, na miłość boską. Odpuść jej!

Ava wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Więc to moja wina?

- Nie, bo ty oczywiście zawsze musisz mieć rację, prawda? Pieprzona królowa całej wyspy! I wiesz co? Nie przeszkadzało mi to, kiedy myślałaś logicznie, kiedy wiedziałaś, co robisz. Czasami byłaś wredna, ale teraz kompletnie ci odbiło!

- Co to ma znaczyć? - zapytała Ava, z trudem panując nad ogarniającą ją irytacją.

- Nie będziesz nam dłużej rozkazywać!

- Rozkazywać? A niby kiedy wam... - ugryzła się w język, bo zdała sobie sprawę, że Jacob wyprzedzają o kilka kroków w tej rozmowie. - Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wydawała ci jakieś polecenia, ale teraz zacznę. Słuchaj mnie uważnie: masz się stąd wyprowadzić. Natychmiast. Znajdź sobie inną metę, rób, co chcesz, ale wynoś się z wyspy Church. I to dzisiaj.

- Co?

- Nie wiem, czemu tak długo z tym zwlekałam. Zbyt wiele troski. I tabletek.

- Wyrzucasz mnie?

- Tak, właściwie tak.

Demetria podniosła rękę, jakby chciała powstrzymać strzały.

- Spokojnie - powiedziała. - Chyba oboje powinniście ochłonąć. Jacob nie zwracał na nią uwagi.

- Jestem twoim szoferem - zauważył, łypiąc gniewnie na kuzynkę.

- Mogę sama jeździć - odcięła się.

- Więc jeszcze do tego mnie zwalniasz? - Gniewnie zmrużył oczy. - Nie do wiary, kurwa! Chyba żartujesz?

Ava nie dała się zastraszyć.

- Nie. Po raz pierwszy od dawna mówię poważnie. Nie podoba mi się to, co się tu dzieje.

- Mam zajęcia! - wrzasnął Jacob. Najwyraźniej nie miał pojęcia, jak sobie poradzić z tą nową Avą.

- To wynajmij sobie mieszkanie w Anchorville - zaproponowała. - Masz stamtąd bliżej na kampus.

- A kto zadba o dom? To dzięki mnie działają routery. To ja zainstalowałem specjalistyczny sprzęt, wszystko, służę w hangarze na łodzie, telewizory i komputery, nawet pieprzony system alarmowy. Jesteśmy na wyspie, do jasnej cholery, pieprzonej wyspie na końcu świata! Wymieniłem mikrofalówkę, a w zeszłym tygodniu wymieniłem Virginii gałki w kuchence. Jestem ci tu potrzebny!

Miał rację, ale nie mogła mu tego powiedzieć. Podeszła krok bliżej.

- Wiesz, Jacob, wbrew temu, co ci się wydaje, nie jesteś niezastąpiony. Damy sobie radę bez ciebie.

- Jezu, ale z ciebie suka. Oni wszyscy mieli rację! Zabolalo, ale nawet nie mrugnęła okiem.

- Nie możesz mnie wyrzucić! - stwierdził. Groził jej palcem, uparcie wysunął podbródek. - Nie jesteś właścicielką całej wyspy, nawet ten dom nie należy w całości do ciebie. Jewel-Anne też ma kawałek, więc albo wyrzucicie mnie obie, albo jesteś na mnie skazana. Kiedy ostatnio widziałem Jewel-Anne, nie wyglądała, jakby chciała grać w twojej drużynie.

- Hola, mój panie - wtrąciła się Demetria. - Jewel-Anne proszę w to nie mieszać.

Jacob nie kłócił się dalej, wyszedł bez słowa. Ava została z Demetrią. Pielęgniarka odprowadzała Jacoba wzrokiem.

- Nigdy nie widziałam go w takim stanie. - Podniosła rękę i wysunęła kłamię z włosów, które opadły jej na ramiona długimi prostymi puklami. - Moim zdaniem on też ma nieprzepracowane urazy.

- Też?

- Cóż, jeśli chodzi o problemy emocjonalne, nie jest jedyny. -Demetria pochyliła głowę, zebrała włosy i ponownie upięła na karku. Ruszyła w stronę windy. - Czasami wydaje mi się, że ten dom jest gorszy niż Sea Cliff powiedziała, nie odwracając się. - A to był prawdziwy dom wariatów.

Rozdział 19

Jacob wszedł do mieszkania z kluczem w dłoni, zapalił światło, zamrugał nerwowo i zapytał:

- Co to ma znaczyć, do cholery?

Dern czekał na niego, siedział na skraju niezaścielonego łóżka z wymiętą, brudną pościelą. W mieszkanku w suterenie panował istny chlew. Na podłodze i łóżku piętrzyły się pogniecione ubrania, dosłownie wszędzie poniewierały się puszki po napojach, a pojemniki

z zaschniętymi resztkami gotowych dań do odgrzania w mikrofalówce kusiły szczury, które niewątpliwie mieszkały w szczelinach ścian. W powietrzu unosił się zapach skwaśniałej pizzy i brudnych ciuchów. Jedyne okno zamalowano czarną farbą, większą część ściany naprzeciwko łóżka zajmował telewizor z płaskim ekranem. Na szafce pod telewizorem leżały różne piloty i słuchawki połączone z konsolą ukrytą w garderobie, z której, jak się przekonał Dem, wąskie drzwiczki prowadziły do pozostałej części piwnicy.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Jacob gniewnie. Odłożył iPad na półkę pełną innych gadżetów. - Jak się tu dostałeś?

- Drzwi były otwarte.

- Niemożliwe.

Jacob miał rację. Drzwi były zamknięte, ale Dem użył wytrycha i stanęły otworem w niecałe dwie minuty.

- Nie wolno ci tu wchodzić! - Jacob nerwowo zerkał na ciemny ekran komputera, który stał na prowizorycznym biurku, skleconym z podpórek i płyty pilśniowej. Wokół peceta była plątana kablami łączących go z różnymi urządzeniami: dyskiem zewnętrznym, modemem, głośnikami i dodatkowym monitorem. - Wezwę policję, to włamanie!

Dem podał mu jego własną komórkę.

- Przy okazji poproś, żeby sprawdzili twój komputer, i wyjaśnij, skąd tyle tam adresów stron z pornografią.

Blefował, ale Jacob o tym nie wiedział. W jego twarzy dało się czytać jak w otwartej księdze.

- Przecież... tam nie ma dzieci ani nic takiego, wszystko legalne.

- Wyjaśnisz to glinom, mnie to nie obchodzi.

- Co ty tu właściwie robisz? Czego chcesz?

- Szukałem cię.

- Byłem... na zajęciach.

Dem puścił to kłamstwo mimo uszu.

- Pomyślałem, że mógłbyś pomóc mi się rozejrzeć.

- Ale po co? - spytał Jacob. Na wszelki wypadek podszedł do biurka i upewnił się, że monitor jest wyłączony.

- Chciałbym się zorientować, jak tu wszystko działa - odparł Dem - a ty jesteś specem od ochrony, prawda?

- Nie, właściwie nie. - Jacob wiercił się niespokojnie.

- Ale zainstalowałeś kamery? Jacob wzruszył ramionami.

- No tak.

Dem już to wiedział, ale nie dał tego po sobie poznać.

- A mógłbym zobaczyć, co zarejestrowały tamtego wieczoru, gdy Ava skoczyła do wody?

- Tak, ale tylko w domu - odparł Jacob. - Na pomoście nie ma kamer.

- A w hangarze na łodzie? Tam chyba warto mieć monitoring, choćby ze względu na wandalów.

- A dlaczego cię to interesuje? - zapytał Jacob podejrzliwie.

- Dbam o inwentarz i budynki. Powinienem wiedzieć, z czym właściwie mam do czynienia.

Jacob wahał się, wyraźnie nieprzekonany, ale w końcu włączył komputer i usiadł za biurkiem.

- To chyba nie należy do twoich obowiązków - mruknął.

- Jest ich całkiem sporo. No, pokaż, co tam masz.

- Ale nie powiesz nikomu o... no, wiesz.

- O pornografii? Nie.

Jacob odetchnął z wyraźną ulgą odstawił na bok pusty kubek, przesunął notes i zabrał się do pracy. Po chwili na wielkim ekranie pojawił się zapis z kilku kamer: weranda przy drzwiach wejściowych, hangar na łodzie oraz szerszy, panoramiczny widok na tył domu, obejmujący fragment stajni i parkingu, a także dolną część schodów prowadzących do mieszkania Dema.

Jacob klikał i zmieniał ustawienia. Obrazy na ekranie przesuwały się w przyspieszonym tempie do chwili, gdy znalazł poszukiwane fragmenty i zwolnił.

- Mam - mruknął, raczej do siebie niż do Dema. Dorn poczuł, jak coś ścisnęło go za gardło.

Patrzył na zapis z kamery na tylnej werandzie. Drzwi otworzyły się gwałtownie i Ava, bosa, w nocnej koszuli, z obłądem w oczach, wybiegła z domu. Chwilę później pojawiła się na ekranie z pobliza hangaru na łodzie, wbiegła na pomost i - zniknęła.

Widział też siebie. Stał na schodach do mieszkania, nagle zeszywniał, odwrócił głowę w stronę ścieżki prowadzącej nad zatokę i puścił się biegiem wzdłuż domu. Znalazł się poza zasięgiem kamery, ale wkrótce i on był koło hangaru i pędził w samych skarpetkach, ile sił w nogach.

Minęło kilkadziesiąt sekund - w tym czasie oboje byli w wodzie. Potem dostrzegł ich na skrawku plaży koło hangaru. W obiektywie

mieściły się tylko dolne części ich ciał - jego mokre dżinsy i przylegająca do ud i łydek nocna koszula Avy, którą prowadził w stronę domu.

Po mniej więcej minucie drzwi na werandę się otworzyły, Khloe Prescott wypadła z domu, zbiegła po rampie dla wózka Jewel-Anne i zniknęła z ekranu.

- Jeszcze? - Jacob podniósł wzrok na Derna, który zaglądał mu przez ramię.

- Nie, wystarczy.

- Więc jesteśmy kwita?

- Tak, ale mam jeszcze jedno pytanie. Podobno wydawało ci się, że widziałeś, jak Lester Reece ucieka z Sea Cliff.

- Nie wydawało mi się. Widziałem go. Miałem go jak na dłoni.

- Jak to?

- Polowałem wtedy. Tak, wiem, w nocy nie wolno, nawet w sezonie myśliwskim. Usłyszałem coś w wodzie, skierowałem tam latarkę i go zobaczyłem. Dałbym sobie rękę uciąć, że to był Lester Reece we własnej pieprzonej osobie. Myślałem, że sfajdam się ze strachu.

- Skąd wiedziałeś, że to on?

- Wszyscy wiedzieli, jak wygląda! Przecież był lokalną legendą, ale nie pozytywnym bohaterem.

- I co dalej?

- Zwiąłem stamtąd, oto, co było dalej. Dałem sobie spokój z polowaniem, wskoczyłem do wozu i uciekłem, gdzie pieprz rośnie!

- Dlaczego? Przecież miałeś broń.

- Jasne, że miałem, półautomat. Ale nie miałem zamiaru strzelać do Reece'a!

- Nie zrobiłeś mu zdjęcia? No wiesz, komórką?

- Chyba żartujesz? Nie miałem na to czasu. Spanikowałem! Wszyscy się go boją.

- Nie chciałeś mieć czegoś, żeby się pochwalić?

- Słuchaj, człowieku, ja chciałem tylko stamtąd uciec. Jak najdalej od tego świra. Przecież on zabił pięć czy sześć osób. Nie miałem zamiaru czekać, aż zrobi ze mnie kolejną ofiarę. Wziąłem nogi za pas, rozumiesz? - Jacob mówił z przejęciem, jakby tamtej nocy naprawdę najadł się strachu. - A dlaczego cię to w ogóle obchodzi?

- Nie obchodzi. Po prostu o tym słyszałem i byłem ciekaw.

- No to zaspokoilem twoją ciekawość. Widziałem sukinsyna. Na własne oczy. A teraz daj mi spokój!

- Wydawało mi się, że miał przyjechać Trent - stwierdziła Ava po kolacji. Siedzieli przy kominku, przy wyciszonym telewizorze. Jewel-Anne ustawiła swój wózek przy oknie. Miała u boku jedną z tych swoich dziwaczych lalek, a druty w jej dłoniach poruszały się błyskawicznie. Wyatt, w okularach do czytania na czubku nosa, z wianuszkami gazet dokoła siebie, przycupnął na jednym końcu kanapy, Ava siedziała na drugim, Ian rozsiadł się w wygodnym rozkładanym fotelu z drinkiem w rękę.

Cała ta scena wyglądała sztucznie, jak wyreżyserowana.

- Pewnie coś go zatrzymało. - Ian wzruszył ramionami. - Sprawy służbowe, jak się domyślam.

- Przecież jest przedstawicielem handlowym koncernu farmaceutycznego - odparła Ava. - Jakie sprawy służbowe mogły go zatrzymać w Anchorville?

- Ma wielu klientów. - Ian zakołysał szklanką obserwując kostki lodu, i upił spory łyk.

- W miasteczku są tylko dwie apteki.

- A także szpital, pogotowie i kilka prywatnych gabinetów - wtrącił Wyatt i zerknął na żonę znad okularów.

Ian skinął głową.

- No właśnie. A o klientów trzeba dbać. Pewnie zadzwoni i poprosi, żeby go odebrać koło północy. - Dopił whisky.

- Może przenocuje w mieście. - Jewel-Anne cały czas robiła na drutach. Uśmiechała się pod nosem, jakby wiedziała coś, o czym inni, a przynajmniej Ava, nie mają pojęcia.

Rozległy się kroki i w drzwiach stanęła Demetria.

- Gotowa? - spojrzała na swoją podopieczną. - Chwila wyciszenia przed snem?

- Prośby do Jezuska? - Ian uśmiechnął się złośliwie.

- Chwila wyciszenia? Znowu? Dzisiaj już wystarczająco dostałam w kość w ośrodku - jęknęła Jewel, ale posłusznie schowała druty i kłębek wełny do torby przy wózku.

- Tylko rozciąganie - uspokoiła ją Demetria i ruszyła za nią kiedy opuszczała pokój z miną męczennicy.

- Czy ona zawsze musi być taka nadęta? - mruknął Ian i rozgryzł kostkę lodu. - No cóż, jak dla mnie to za dużo emocji na jeden wieczór.

Wstał i zaniósł pustą szklankę do kuchni, zostawiając Avę z mężem.

- Słyszałem, że byłaś dzisiaj w mieście - zagadnął Wyatt. Jej żołądek fiknął salto.

- Tak, umówiłam się z Tanya na lunch.

Wyatt prychnął pogardliwie. Nigdy nie przepadał za przyjaciółką żony.

- Pojechałaś sama?

Czy w jego głosie była oskarżycielska nuta, czy tylko troska?

- Tak. Uznałam, że sobie poradzę.

- To dobrze... Zrozum, ja się po prostu martwię. Właśnie dlatego Khloe tu została. Żeby ci pomóc.

- Czuję się świetnie - powtórzyła po raz tysięczny. Wyatt uniósł brew. - No dobrze, może nie świetnie, ale o wiele lepiej niż choćby kilka dni temu, więc przestań się martwić. Pozwól, że sama ocenię, na co mogę sobie pozwolić, a na co nie.

- Zdaję sobie sprawę, że według ciebie jestem nadopiekuńczy.

- Bo jesteś.

- Być może, ale dobrze wiesz, że dawałaś mi ku temu powody. Poza tym doktor McPherson ma poważne wątpliwości, czy jesteś w stanie samodzielnie podejmować właściwe decyzje.

- Powiedziała ci to?

- Tak.

- A nie uważasz, że powinna porozmawiać o tym ze mną?

- Oczywiście. Tobie powiedziała by to samo, gdybyś tylko zechciała jej wysłuchać.

Tu akurat Ava musiała przyznać mężowi rację. Szanowna pani doktor nie owijała w bawełnę, zawsze otwarcie mówiła o tym, do czego jej zdaniem Ava nie była zdolna.

- Więc według niej nie jestem w stanie samodzielnie zdecydować, czy mogę zjeść lunch z przyjaciółką?

- Chodzi raczej o to, że wyszłaś z domu. Wybrałaś się do miasta. Umówiłaś się z kimś spoza rodziny. I to wszystko sama.

- No, to chyba nie ma problemu, bo sama nie byłam ani przez chwilę. Na stały łąd podrzucił mnie łąn, wróciłam z Butchem, a w czasie lunchu byłam z Tanya. - Nie wspomniała o Snyderze ani o Cheryl.

- A po powrocie pokłóciłaś się z Jewel-Anne i Jacobem.

- No tak... Demetria ma długi język.

- Dowiedziałem się o tym od Jewel-Anne.

- Doprawdy? A powiedziała ci też, że była w twoim gabinecie, a ja spytałam, czego tam szuka?

- Wspomniała, że hałasy niosą się szybami wentylacyjnymi.

- Powiedziała mi, że też słyszała płacz dziecka.

- Co? Na miłość boską Avo, ona się z tobą drażni! Od tej... sprawy na łodzi chce się na tobie odegrać. To dziecinada. Nie zwracaj na to uwagi.

- Uwierzyłam jej, kiedy powiedziała, że słyszała Noaha - stwierdziła Ava stanowczo.

Wyatt rozłożył bezradnie ręce, jakby nie miał czasu na takie bzdury.

- A czemu pokłóciłaś się z jej bratem?

- Bo naskoczył na mnie, gdy Jewel prawie go potrąciła. Porysował sobie tablet czy coś takiego, wpadł w szał i wyładował się na mnie. -Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale ugryzła się w język. - Właściwie dlaczego muszę ci się tłumaczyć, jakbyś był moim ojcem? Jesteś moim mężem! Powinieneś być po mojej stronie!

Poczerwieniał, zacisnął usta.

- A ty po mojej - odciął się. - Nie jestem twoim wrogiem.

- Czyżby? - rzuciła.

Bez słowa wyszedł z pokoju.

Tej nocy znowu przyszły sny. Tym razem słyszała dziecięce kroki pod drzwiami. Odrzuciła kołdrę i wybiegła na korytarz, spowity w mroku. Kierowała się małutkimi światełkami nocnymi, lampkami zainstalowanymi po narodzinach synka.

- Noah? - szepnęła. - Noah?

Naprawdę go widziała? Tam, za rogiem? Zdawało jej się czy słyszała, jak wzdycha? A może to tylko szum ogrzewania?

Zaglądała do kolejnych pokoi, szarpała za klamki; niektóre były zamknięte, za innymi drzwiami kryły się ciemne przestrzenie, z pościelonymi łózkami i zaciągniętymi zasłonami.

Gdzie on jest?

Nie tutaj... Tutaj też nie...

Serce ścisnęło jej się boleśnie, gdy bosą zbiegła ze schodów, ślizgając się na starym chodniku. Gdzie on jest? On, czyli kto?

- Noah!

Nikt nie chce zrobić jej krzywdy. To wszystko figle jej zmęczonego umysłu.

- Noah! - zawołała rozpaczliwie i usłyszała echo swojego głosu. -Noah!

Gdzie on jest? Ugięły się pod nią kolana. Złapała się kolumnienki u stóp schodów i ciężko osunęła na najniższy stopień. Serce waliło boleśnie, krew dudniła w uszach.

- Ava... Jezus Maria... - Wyatt wychylał się zza balustrady na piętrze. - O Boże... poczekaj!

Słyszała jego kroki na schodach, czuła wibrowanie w drewnianej balustradzie, ale nadal jej nie puszczała.

- Chodź do mnie... - Otoczyły ją silne ramiona.

- Noah - szepnęła przez łzy. - Ja go słyszałam, Wyatt. Słyszałam moje maleństwo.

- Och, kochanie... nie mogłaś go słyszeć... jego już nie ma.

- Nie mów tak! - Chciała się wyrwać z jego objęć, ale trzymał mocno.

- Cicho...

Wziął ją na rękę, zaniósł do windy i zawiózł na piętro, cały czas szepcząc jej do ucha, że wszystko będzie dobrze.

Po chwili byli pod drzwiami sypialni. Zaniósł ją do łóżka. Mogłaby przysiąc, że słyszy bicie jego serca, silne, miarowe, podczas gdy jej serce rozpadło się na tysiąc kawałków.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął, choć miała wrażenie, że sam w to nie wierzy. Całował jej mokre od łez policzki, gdy układał ją na pościeli. - To tylko sen, nic więcej.

Odgarnął jej włosy z twarzy, spojrzał w oczy i wtedy dostrzegła w jego spojrzeniu współczucie i ogromną czułość.

- Zrozum, bardzo mi go brakuje - szepnęła.

- Mnie też. - Na jego twarzy malowały się silne emocje. - Ale brakuje mi też Ciebie, Avo. Nas.

- Wiem.

- Naprawdę?

- Tak... - głos jej się załamał.

Odnalazł jej usta i pocałował delikatnie. Ale po chwili czuły, delikatny pocałunek przeszedł w zupełnie inny, gorący i namiętny. Zapłonęło w niej pożądanie, które, jak myślała, zgasiło na zawsze, więc gdy

naparł językiem na jej usta, rozchyliła je ochoczo. Zarzuciła mu ręce na szyję. Położył się koło niej i rozsunął udem jej kolana. Sprężyny zaskrzypiały głośno. Czowała, jak coś w niej pęka. Przywarła do niego i zamknęła oczy, zapominając o strachu, bólu i wątpliwościach.

Czuła jego dłonie na całym ciele, pieścił jej piersi, aż nabrzmiały sutki. Wygięła się w łuk, spragniona jego pieścizot. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

Silne, napięte mięśnie przywarły do niej chciwie, a ona uległa tej gorączce krwi, pragnieniu, które pulsowało w jej głębi.

Nie rób tego, ostrzegał umysł. Kochać się z nim - to niebezpieczeństwo. Zaufać mu - to śmierć.

Ale to przecież twój mąż, odpowiadały zmysły. Kiedyś go kochałaś.

To szaleństwo. Tak, kiedyś doprowadzał cię do szaleństwa, rozpalał twoje ciało i duszę, ale to było dawno temu, Avo. On się zmienił. I ty także.

Szeptał jej coś do ucha, czuła jego dłonie we włosach i przez moment, gdy na niego spojrzała, dostrzegła w jego oczach coś jeszcze, jakiś triumf, jakby jakimś cudem zwyciężył.

Nagle w jej umyśle coś przeskoczyło, a w następnej spostrzegła, że Wyatt to wcale nie Wyatt, tylko nieznajomy, którego nigdy w życiu nie widziała.

Myślała, że wraz z tą świadomością opadnie jej zapał, że wycofa się z tej emocjonalnej karuzeli, tymczasem serce nadal waliło jej jak oszalałe. W żyłach wciąż pulsowało pożądanie. Objęła nieznajomego kochanka. Całował ją, mocno, namiętnie. Jego wargi płonęły, a język doprowadzał ją do szału, drażnił, prowokował, tańczył na rozpalonej skórze.

Jej piersi nabrzmiały od pieścizot i pocałunków. Wplotła palce w jego włosy.

Płonęła z pożądania i chciała więcej, o wiele więcej.

Ujął jej dłoń, pokazał, jak dawać rozkosz sobie i jemu, przyciągnął ją do siebie, aż wygięła się w łuk, naparła na niego biodrami. Boże, jak bardzo go pragnęła... całego... Wtedy spojrzała mu w oczy i zorientowała się, że ten mężczyzna, ten wytwór jej wyobraźni, który do białości rozpałił jej zmysły, jest bardzo podobny do Austina Derna.

Rozdział 20

W łóżku była sama. Oczywiście.

Druga strona posłania była nietknięta, w materacu nie został zarys obcego ciała, prześcieradło nie zachowało niczyjego ciepła, z pościeli nie unosił się żaden nieznamy zapach.

Wszystko działo się w jej chorym umyśle.

Znowu.

Miała już tego dość.

Co gorsza, miała wrażenie, że ktoś naprawdę ją pieścił i dotykał. Nie licząc małej ranki na palcu, która nie wiadomo skąd się wzięła, nie było po niej widać, żeby w nocy robiła cokolwiek innego poza przewracaniem się z boku na bok. Nie czuła odprężenia, jak po seksie, ani przyjemnego pulsowania między nogami, nie widziała żadnych plam na prześcieradle.

A więc znowu wszystko rozegrało się w jej głowie.

Choć nadal było ciemno, dom już budził się do życia. Przez szparę pod drzwiami sączyło się światło, słyszała odgłosy przestawianych naczyń. Na dworze głośno krzyczała mewa, wiatr uderzał o ściany i wprawiał w drżenie szyby w starych oknach.

Erotyczny sen nie znikał, nękał ją, nie dawał spokoju, gdy brała prysznic i ubierała się. To z jego powodu przerwała na chwilę rozczesywanie i zbieranie włosów w koński ogon, by popatrzeć na swoje odbicie w lustrze. Sen erotyczny z Wyattem i Austinem Demem.

Westchnęła z rezygnacją, związała włosy gumką i wyszorowała zęby. Rzadko pamiętała sny, ale ten nie chciał odejść.

Wyszła z pokoju na korytarz, minęła kilka pomieszczeń, aż stanęła pod pokojem Noaha i otworzyła drzwi. Teraz przynajmniej potrafiła wejść do środka i nie stracić natychmiast panowania nad sobą.

W pokoju wszystko wyglądało tak, jak podczas jej ostatniej wizyty. Powtarzała sobie, że najwyższy czas rozdać rzeczy Noaha, ale ciągle nie mogła się na to zdobyć. Wyobrażała go sobie właśnie tutaj, jak gaworzy radośnie i mruczy coś pod nosem. Często się tu z nim bawiła, a on wyciągał do niej małe rączki. Chcąc przypomnieć go sobie jeszcze lepiej, podeszła do komódki i otworzyła butelkę z szamponem oraz pudełko z zasypką od tak dawna nieużywane. Słodkie zapachy przywołały wspomnienia. Uniosła do nosa mały pojemnik z kremem.

Zaskrzypiała deska w podłodze.

Zerknęła w lustro na komódce i zobaczyła odbicie stojącego w drzwiach Wyatta.

Zaskoczył ją. Mało brakowało, a upuściłaby pojemnik, ale udało jej się odstawić go na półkę.

Jego oczy pociemniały ze złości.

- Nie rób tego, ani sobie, ani mnie. Dręczysz się tylko bez sensu.

- Pamięć to nic złego.

- Naprawdę uważasz, że dobrze robisz, żyjąc przeszłością pielęgnując fałszywe nadzieje, marnując życie sobie i wszystkim dokoła przez bezzasadne przeświadczenie, naiwną wiarę, że nasz synek żyje i może do nas wrócić?

- Nie wyrzeknę się nadziei.

- To nie nadzieja, to mrzonka! - Podszedł bliżej, położył jej dłonie na ramionach. - Avo, przestań z nami walczyć.

- Z nami?

- Wszyscy cię kochamy, wszyscy chcemy ci pomóc. Proszę cię. - Lekki skurcz przebiegł mu przez twarz. Pochylił głowę, aż zetknęli się czołami. - Nie walcz już ze mną.

- Wcale tego nie chcę.

- Wiem, że cierpisz. Ale musimy żyć dalej.

- Nie potrafię.

- Oczywiście, że potrafisz. To trudne, ale nie masz innego wyjścia.

Przywarła policzkiem do jego koszuli, słyszała równe bicie jego

serca. Czyżby miał rację? Próbował ją pocieszyć, a ona to odrzucała.

- Muszę cię o coś zapytać - zaczęła z obawą, że zrobi z siebie idiotkę. - Czy byłeś ze mną tej nocy? - Uniosła głowę i patrzyła mu w oczy. - W naszym pokoju? W naszym łóżku?

Drgnął mięsień na jego podbródku.

- Tak - przyznał. - Usłyszałem twój krzyk i zajrzałem do ciebie. Nie sądziłem, że będziesz to pamiętać.

Ulżyło jej. A więc to, co wydawało jej się realistycznym snem, nie było tylko kolejnym wytworem jej wyobraźni. Nadal jednak coś jej w tym nie pasowało.

- Czy my... Uśmiechnął się gorzko.

- Nie. Uznałem, że to nieodpowiedni moment.

- Więc wyszedłeś?

- Nie chciałem cię budzić.

Z niedowierzaniem uniosła brew.

- Byłaś... bardzo poruszona, a poza tym nie byłem pewien, czy wiesz, kto jest obok ciebie.

- Co? - Serce waliło jej jak oszalałe.

- Coś ci się śniło. Mówiłaś przez sen.

O Boże, czyżby z jej ust padło imię Derna? Tylko nie to! Czują, jak na jej policzki wypełza rumieniec.

- Widziałaś różę?

- Nie. Jaką różę?

- Wyjąłem ją z wazonu w korytarzu i położyłem ci pod poduszką

- Nie... - Pokręciła głową. Przypomniała sobie, jak gładziła puste łóżko, szukając śladów czyjejś obecności.

- Więc pewnie nadal tam jest. - Pocałował ją w czoło. - Avo, mam nadzieję, że nam się uda - stwierdził z uśmiechem, ale nie zabrzmiało to szczerze, jakby nie wierzył, że zdołają uratować swój związek. -Zobaczymy się później - dodał. - Muszę na kilka godzin wyskoczyć do biura w Anchorville. Wrócę około południa.

- W porządku - mruknęła.

Kiedy wyszedł, cały czas usiłowała zorientować się, co się właściwie wydarzyło. Oczekała, aż zamknęły się za nim drzwi wejściowe, i pobiegła do siebie. W jej łóżku na pewno nie było róży. Przecież znalazłaby ją.

- No i kto tu oszalał? - szepnęła na widok Khloe w swojej sypialni. Łóżko było posłane. Na starannie wygładzonej narzucie leżała biała

róża, z blad różowymi krawędziami płatków, taka sama jak te, które stały w wazonie w korytarzu.

- Gdzie ją znalazłaś? - Ava wskazała zgnieciony kwiat.

- Wyobraź sobie, że w łóżku. Mogłaś mnie uprzedzić. Ukłułam się. Podniosła rękę i rzeczywiście, na palcu wskazującym widniała kropelka krwi. Khloe zlizła ją i weszła do łazienki.

- Masz wodę utlenioną? - spytała trochę niewyraźnie. Zapewne nadal miała palec w ustach. -1 plaster?

- Chyba tak.

Czyżby Khloe tego nie wiedziała? Przecież bywała w tej łazience równie często jak Ava.

Słysząc było, jak otwiera apteczkę i przestawia lekarstwa w poszukiwaniu plastra. Ava podeszła do łóżka i podniosła różę.

- Nie było jej tu wieczorem - powiedziała.

- Czego? Tej róży? - zawołała Khloe z łazienki.

- Tak.

- A niby od kiedy jest? - Wróciła do pokoju. Przykleiła mały plaster na ranę. - Nigdy nie byłam oburęczna. - Zobaczyła Awę z różą w dłoni. - Uważaj. Graciela powinna usuwać kolce, zanim je wstawi do wazonu, ale nie chce jej się tego robić. Uważa, że powinniśmy kupować róże bez kolców.

- Tylko że róże bez kolców nie nazywają się Church i nie wyrosły w ogrodzie mojej praprababki.

- Faktycznie.

- Naprawdę była w łóżku? - Ava nie mogła w to uwierzyć.

- I to pod poduszką. Dziwne, że się nie pokłusaś.

Ava spojrzała na zadrażnienie na palcu. Khloe to dostrzegła.

- A jednak.

- Może. - Ava nadal nie była przekonana. Khloe pokręciła głową.

- Jak inaczej to wytłumaczysz? - Wskazała ranę na jej palcu.

- Nie wiem - przyznała i to też ją niepokoiło.

Piętnaście minut później była na dole. Wzięła sobie filiżankę kawy i, chcąc uniknąć zrzędzenia Virginii, kubeczek jagodowego jogurtu. Okazało się, że Wyatt już pojechał do miasta.

- Mówił, że wróci do południa - zaznaczyła Virginia. Przeglądała zawartość spiżarni i spisywała brakujące produkty. - Coś takiego, znowu nam się skończył rosół. Jak to możliwe?

Ava nie odpowiedziała, pobięła na górę, zabrała komputer i zeszła z nim do biblioteki. Pod nieobecność Wyatta miała trochę czasu dla siebie.

Jewel-Anne zazwyczaj jadała w swoim pokoju i zostawała tam aż do zajęć fizjoterapii z Demetrią. Jacob pojechał na uczelnię albo siedział w swojej norze w piwnicy. Służba pracowała, a Ian, jeśli akurat nie wybrał się na ryby, o tej porze pił kawę w miasteczku. Większość czasu spędzał w hangarze na łodzie i w przylegającej do niego klitce, ale na noc wracał do domu, do pokoju na drugim piętrze. Tłumaczył, że woli centralne ogrzewanie od przeciągów i kapryśnego pieca na drewno.

Mogła więc liczyć na chwilę dla siebie, a zarazem wyrwać się ze swojego pokoju. Co więcej, na parterze Internet działał lepiej, pewnie ze względu na bliskość gabinetu Wyatta, gdzie były modem i router.

Przez kilka godzin porządkowała notatki, podjadała jogurt, sączyła kawę i przeglądała relacje prasowe, których przedtem nie czytała, dopóki nie usłyszała w oddali smętnego zawodzenia syren. Przeszył ją dreszcz, ale zignorowała go. Wyłączyła komputer. Jej uwagę przykuło zdjęcie Noaha, zrobione, gdy miał zaledwie kilka dni.

- Zabawny malec - powiedziała, patrząc na noworodka leżącego na kanapie. Poród był trudny, zresztą niewiele z niego pamiętała. Ten cud, który nastąpił tuż po śmierci Kelvina, skrył się gdzieś w mrokach niepamięci i może tak było lepiej, bo przecież jej synek ledwie przeżył katastrofę. Podczas ciąży miewała ciężkie chwile, często umierała ze strachu, że i tym razem nie zdoła donosić. Tymczasem Noah, chociaż przyszedł na świat przed terminem, urodził się zdrowy.

Z porodu Noaha pozostały jej tylko okruchy wspomnień, podobnie jak z wypadku, w którym zginął Kelvin. Ostre szpitalne światła, ból, głosy lekarzy, prośby o spokój, tak samo przerażające strzępy świadomości, ale przynajmniej poród zakończył się szczęśliwie.

Patrząc na zdjęcie, poczuła, jak wzruszenie ściska ją za gardło. Odłożyła fotografię i podeszła do okna, żeby spojrzeć na ogród, w którym znajdował się kamień z imieniem jej synka. Przeszła z biblioteki do pokoju rekreacyjnego, pośrodku którego, odkąd sięgała pamięcią, stał wielki stół bilardowy. Babka zawsze narzekała, że to straszne paskudztwo, z obrzydzeniem patrząc na wytarte zielone płótno i dębowe bandy.

Wyszła na taras i dalej do ogrodu, do skrawka ziemi, który miał upamiętniać jej synka. Suche liście wirowały na wietrze. Usiadła na ławeczce i wpatrzyła się w kamień. Nie było tu ciała Noaha, ale w ten pochmurny, wietrzny dzień czuła w tym miejscu jego bliskość.

- Gdzie jesteś? - zapytała i zobaczyła ślady stóp w mokrej ziemi. Duże, najwyraźniej męskie, a obok koleiny od wózka Jewel-Anne.

Ilekcroć kuzynka wypuszczała się na dwór, zatrzymywała się tutaj. Nie przeszkadzało jej, że ścieżka była zarośnięta i wyboista. Z lalką na kolanach przedzierała się przez chwasty i hortensje, pod mokrymi liśćmi rododendronów. Ava widziała ją tu wiele razy, przy kamieniu, zaledwie kilka metrów od tylnego wejścia do domu.

Zatarła ręce, zgrabiała na listopadowym chłodzie. Zbliżały się święta i zrobiło jej się słabo na myśl o kolejnej ponurej farsie. Zawsze kochała Boże Narodzenie, ale po utracie Noaha wszystko się zmieniło.

Spojrzała na zatokę, na wzburzone fale zwieńczone białymi bałwanami.

Dlaczego wszyscy oprócz niej pozwalali, by wspomnienie chłopca zacierało się w ich pamięci? Dlaczego tak łatwo godzili się z jego zniknięciem? Próbowali jej to wytłumaczyć. Nie było żądania okupu, nie znaleziono ciała, niewiele było śladów, a jeśli już, to prowadziły donikąd. Nawet Wyatt pogodził się z myślą, że już nigdy nie zobaczy synka, i dlatego zaproponował, żeby upamiętnili go w ten sposób.

Zerknęła na głaz z imieniem synka. Powszechna akceptacja jego odejścia doprowadzała ją do szału.

Nawet przez wiatr usłyszała szcęk otwieranych drzwi i zgrzyt wózka inwalidzkiego Jewel-Anne.

Świetnie. To tyle, jeśli chodzi o chwilę spokoju.

Wstała i zobaczyła kuzynkę na ogrodowej alejce. Właśnie pokonywała zakręt, ubrana w ciepłą kurtkę, z lalką w podobnym stroju.

- Co tu robisz? - zapytała. Były to pierwsze spokojne słowa Jewel-Anne pod jej adresem po awanturze w gabinecie Wyatta.

Przez chwilę Ava zastanawiała się, czy w ogóle odpowiadać, ale nie miała siły ani ochoty na przepychanki.

- Myślę.

Jewel-Anne manewrowała na nierównej ścieżce, zatrzymała się przy ławeczce i wbiła wzrok w głaz.

- Ja też. To chyba pomaga. Bo wiesz, ja też za nim tęsknię - powiedziała cicho, jakby do siebie, i Ava poczuła, że serce mięknie jej odrobinę. - Dlatego często tu bywam, bo wtedy czuję, że Noah jest bliżej.

- Tak. - Ava aż ochrypla z emocji. - Myślałam, że masz teraz fizjoterapię.

- Urwałam się. - Kuzynka zerknęła na nią z ukosa. - Przecież i tak nic z tego nie będzie.

- Ale lekarz mówił...

- Lekarz - prychnęła Jewel-Anne. - A co on może widzieć? Wypisuje mi recepty i poleca terapię zajęciową albo psychoterapię, żebym się czymś zajęła, ale to i tak bez znaczenia. - Oczy zaszły jej łzami, otarła je szybko i mówiła dalej: - Łatwo ci mówić. Nigdy nie robisz tego, co ci każą. A, właśnie, Khloe prosiła, żeby ci przypomnieć o dzisiejszym spotkaniu z lekarką. Już tu jedzie.

Na myśl o kolejnej sesji z doktor McPherson nogi ugięły się pod Avą. Ostatnie, czego było jej potrzeba, to babranie się w uczuciach pod okiem psychiatry. Choć z drugiej strony, może zaskoczy ją opowiadając swój erotyczny sen.

Odezwał się telefon Jewel-Anne. Wyjęła go z kieszeni kurtki.

- Świetnie - mruknęła, odczytawszy wiadomość. - Sadystka czeka na mnie w sali ćwiczeń. - Skrzywiła się i wsunęła komórkę do kieszeni. - Dobra, jadę, bo inaczej zacznie mnie szukać i bardzo się wkurzy. - Sprawnie obróciła wózek o sto osiemdziesiąt stopni i się oddaliła.

Ava odprowadzała ją wzrokiem i wspominała, ile razy widziała ją w ogrodzie. Nieraz zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby sama została skazana na wózek inwalidzki. W takich chwilach ogarniały ją współczucie i wyrzuty sumienia. Ale Jewel-Anne zaraz mówiła coś tak okrutnego, że wszelkie ciepłe uczucia znikwały bez śladu.

Powinna jej odpuścić, a przynajmniej spróbować. Tak byłoby lepiej.

Kiedy została sama, uklękła i dotknęła palcami imienia synka wyrytego w kamieniu. Dzięki Bogu, że pod głazem, pod pozbawionym już kwiatów i liści kolczastymi krzewem różanym, nie było małej trumienki.

Na szczęście.

Więc tylko się łudzi, tłumacząc sobie, że jest bliżej niego.

Z trudem przełknęła ślinę i zamknęła oczy, próbując wziąć się w garść. Po raz kolejny miała wrażenie, że nie jest tu sama, że ktoś ją obserwuje. Przeszył ją dreszcz, bynajmniej nie z zimna. Otworzyła oczy, wytężyła wzrok i przeczesywała gęste zarośla. Dostrzegła jedynie mewę nad zatoką.

A jednak...

Obejrzała się przez ramię i wydało jej się, że widziała ruch w oknie na piętrze, że drgnęła zasłona w pokoju Noaha. Serce jej się ścisnęło. Kto jest w jego pokoju?

To nic takiego, pewnie Graciela tam sprząta albo...

Ale już biegła, coraz szybciej, po schodkach, przez tylne drzwi, przez kuchnię, gdzie omal nie przewróciła Virginii z tacą pełną ciasteczek, po korytarzu, na piętro, przeskakując po dwa stopnie.

Na piętrze nie zastanawiała się, szybko jak błyskawica pomknęła do pokoju Noaha. Drzwi były uchylone.

Z sercem w gardle, dysząc ciężko, weszła do środka. Powróciły wspomnienia, oczami wyobraźni tak bardzo chciała zobaczyć synka w łóżeczku - ale go tam nie było.

Za to... jej serce fiknęło koziołka, gdy zobaczyła buty.

Buty Noaha.

Rzucone niedbale, jakby zdjął je przed chwilą.

Nie!

Weszła do pokoju i zobaczyła, że buty są mokre, woda z nich spływa kałużą, wsiąka w dywan.

Z niedowierzaniem podeszła bliżej, podniosła małe czerwone adidasy z logo Nike. Pachniały wodą morską. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

- Noah. - Zrobiło jej się słabo. Myślała o synku, wyobrażała go sobie, widziała drobne ciało w lodowatych wodach zatoki, jasne włosy kołysane falami przyływu, wielkie oczy szeroko otwarte, wpatrzone w nią oskarżycielsko.

- Synku!

Wyciągał do niej małą rączkę, ale była jak skamieniała, nie mogła się ruszyć.

- Mamo! - zawołał.

- Noah! - krzyknęła na cały głos.

Ale nie było go z nią, a ona nie była nad wodą tylko w jego pokoju.

- Dobry Boże, co się ze mną dzieje? - szepnęła, gdy wizja rozplątywała się. I nagle zorientowała się, że nie jest sama.

W drzwiach stał mężczyzna. Jego ciemna sylwetka wypełniała całą framugę, blokowała drogę ucieczki.

Rozdział 21

0 rany, ale mnie wystraszyłeś! - krzyknęła Ava, unosząc ręce do twarzy. Mężczyzna w drzwiach okazał się nie potworem z piekła rodem, który chce pozabawić ją resztek rozumu, tylko parobkiem, którego zatrudnił jej mąż.

- Nie chciałem - mruknął Dern. Patrzył to na nią, to na małe buciki w jej dłoniach, z których słone krople spadały na dywan.

- Należały do Noaha - powiedziała. - Znalazłam je tutaj, na podłodze koło jego szafki.

- Są całe mokre.

- To woda morska - wydusiła przez ściśnięte gardło. Jak to powiedziała Tanya? A jeśli ktoś chce, żebyś sama uwierzyła, że ci odbija?

No cóż, ten ktoś odwał kawał świetnej roboty. Ale kto mógłby być tak okrutny, tak bezlitosny? I dlaczego? Jeśli naprawdę o to chodziło, ten ktoś był o krok od zwycięstwa. Myślała o mieszkańcach domu.

Wszyscy mogli tu wejść. Żołądek ścisnął jej się boleśnie, gdy przypomniała sobie sprzeczkę z Jewel-Anne i kłótnię z Jacobem, choć to nie jedyni podejrzani, oni tylko znajdowali się na szczycie listy.

- Dobrze się czujesz?

- A tak wyglądam?

Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

- Moim zdaniem jesteś o wiele twardsza, niż ci się wydaje. Miała nadzieję, że ma rację.

Dern wyjął malutki bucik z jej dłoni i podniósł do nosa.

- Rzeczywiście. Woda morską.

- Ktoś je tu podrzucił. Chciał, żebym je znalazła.

- Ale dlaczego? - Wydawał się autentycznie zdziwiony.

- Żebym wyszła na wariatkę. Coraz bardziej pograżającą się w obłądnie.

- Kto?

- Dobre pytanie - odparła i objęła się ramionami. - Nie jestem najbardziej lubianą osobą na wyspie.

- Nie, ale jesteś szefową. Wszyscy muszą cię słuchać.

- Z wyjątkiem rodziny.

Dern położył mokry bucik na stoliku nocnym, podszedł do szafy, otworzył ją. Ubranka Noaha wisiały na malutkich wieszakach, leżały schludnie poskładane na półkach w głębi szafy. Buciki stały w równym szeregu, bez śladu miejsca na czerwone adidasy.

- Wszystko jest tak, jak powinno?

Odstawiła drugi bucik na stół, podeszła do szafy i z trudem opanowała odruch, by dotknąć małych ubranek synka.

- Chyba tak. Nie zaglądałam odkąd... - ugryzła się w język, zanim wypowiedziała nazwę szpitala St. Brendan. - Odkąd wyjechałam na pewien czas.

Oczywiście nie mogła nikogo oszukać, Dern na pewno wiedział, że była w wariatkowie, ale nie chciała o tym mówić, w każdym razie jeszcze nie teraz.

- Niby dlaczego ktoś miałby to zrobić? - Pokręcił głową w namyśle zmarszczył ciemne brwi, machinalnie pocierał nieogolony podbródek. - Może to przypadek.

- Przypadek? Ktoś niechący miał przy sobie buty mojego synka, niechący wrzucił je do wody i niechący przyniósł tutaj i zostawił

akurat przy szafie? - jej głos ociekał sarkazmem. - O nie, ktoś zrobił to celowo. Zostawił je tak, żebym na pewno je znalazła.

- Ale dlaczego? - powtórzył.

- Nie wiem. To jakiś makabryczny żart. - Ogarnął ją gniew. Zabrała buciki ze stolika i ruszyła do drzwi. - Nie rozumiesz? Kogoś bawi dręczenie mnie.

Złapał ją za łokieć.

- Weź się w garść.

- Niby czemu? - warknęła.

- Bo mam złe wieści.

- Chcesz powiedzieć: kolejne złe wieści? - syknęła, ale uspokoiła się, widząc, jak bardzo spoważniał. Miał smutek w oczach. - No, co?

- Dzwonił Ian. Dlatego tu przyszedłem, szukałem cię. Czekala. Narastał w niej nowy lęk.

- Mówił, że znasz kobietę o nazwisku Cheryl Reynolds.

- Tak.

Mocniej złapał ją za ramię i na chwilę zacisnął usta w wąską linię.

- Nie żyje.

- Co? - Małe buciki upadły na podłogę, potoczyły się po posadzce.

- Wygląda na to, że została zamordowana.

- Zamordowana?! - wykrztusiła z przerażeniem. Rozpacz ścisnęła jej wnętrzności w lodowatym uścisku. - Nie... to niemożliwe. To kolejny makabryczny żart!

- Nie sądzę - powiedział i jej gniew rozplątał się nagle. - Dzwoniłem do znajomego w porcie. Mówił, że w mieście aż huczy od plotek. Widział radiowóz policyjny i karetkę gdzieś na wzgórzu.

To nie mogła być prawda, nie mogła!

- Przecież dopiero co się z nią widziałam - jęknęła Ava i nagle przypomniała sobie odległe wycie syren.

- Przykro mi - szepnął.

- Nie, nie chcę tego słuchać... - Nie mogła uwierzyć, że Cheryl nie żyje. Nie dość, że nie żyje, ale została zamordowana. Z mocno bijącym sercem sięgnęła po telefon i już miała wybrać numer lana, ale w tej chwili komórka zadzwoniła, a na wyświetlaczu pojawiło się imię Tanyi.

- Halo?

- O Boże, Avo, słyszałaś o Cheryl? Że została zamordowana? I to we własnym domu? Nie mogę w to uwierzyć, po prostu nie mogę. Takie rzeczy nie dzieją się w Anchorville!

- Mówisz poważnie?
- Jak najpoważniej!
- No dobrze... więc co się właściwie stało?

- Gliniarze nie chcą nic mówić, ale wiesz, u fryzjera słyszy się różne rzeczy. Podobno ktoś wszedł do jej domu i ją zabił. Moja klientka, no wiesz, Ida Stern, często przesadza, ale mówiła, że znaleźli Cheryl w piwnicy, otoczoną przez koty. A jeden chleptał jej krew!

- Fúj.

- Ale Cheryl naprawdę nie żyje i ktoś ją zabił! - Tanya była na granicy hysterii. - Całe miasto jest w panice, jak wtedy, gdy Lester Reece uciekł z Sea Cliff. Koszmar! Boże, muszę iść po dzieci, ale... Słuchaj, wiem, że bywałeś u Cheryl. Uznałam, że powinnaś wiedzieć. Och, mam drugi telefon. O cholera, to Russell! Jeszcze tego mi brakowało! Czego on chce? A niech to, pewnie się dowiedział o Trentcie.

- Co z Trentem?

Ava zeszła na parter, do holu, i kierowała się do wysokich okien przy drzwiach wejściowych. Dern szedł za nią; kiedy stanęła, on również się zatrzymał. Wpatrywała się w szare chmury za oknem. Po drugiej stronie zatoki, w Anchorville, na wzgórzu koło domu Cheryl, jaśniały ostre policyjne reflektory.

Dobry Boże.

Tanya cały czas paplała o Trentcie.

- Wyskoczyliśmy na drinka, no, kilka drinków. To nic poważnego, Słuchaj, muszę kończyć! - Rozłączyła się.

Ava, ciągle w szoku, odwróciła się w stronę Derna. Chyba wyczytał coś z jej twarzy, bo znowu złapał ją za ramię i przytrzymał.

- Przykro mi - powtórzył. Gdy tak na nią patrzył, gdy czuła na ramieniu jego ciepłe palce, przypominał jej się sen z ostatniej nocy. Przypomniała sobie nieznanego w łóżku, wyimaginowanego kochanka, który pieścił jej nagie ciało, jego siłę, płomień pożądania w jego oczach. Jego dłonie były takie silne, męskie, zdecydowane i teraz, tutaj, w tym pokoju, poczuła to samo pragnienie, co wtedy. Zastanawiała się, jaki jest w łóżku, chciała tego wszystkiego z nim spróbować.

Choćby w marzeniach.

Straciła jego dłoń, odsunęła się na bezpieczną odległość.

- Nie do wiary - szepnęła. Odchrząknęła, speszona świadomością że rumieniec na policzkach zdradza, o czym myśli. Pomyślała o Che-

ryl, o tym, jak mało właściwie o niej wiedziała. Dwa razy wychodziła za mąż, ale nigdy nie mówiła nic o dzieciach, a Ava nie przypominała sobie ich fotografii na ścianach czy stolikach w zagraconym domu. -Nie mieści mi się w głowie, dlaczego ktoś chciałby ją zabić.

- No właśnie, to podstawowe pytanie, do którego wszystko się sprowadza - mruknął.

Usłyszeli, że ktoś uruchomił windę i po chwili w holu dołączyły do nich Jewel-Anne i Demetria.

- Słyszałaś? - zapytała Jewel-Anne z poszarzałą twarzą. Jej oczy wydawały się idealnie okrągłe za grubymi szklami okularów.

- O Cheryl? Tak.

- Nie do wiary... ale wszędzie o tym piszą. - Jewel-Anne przeglądała aplikacje w smartfonie.

- Znałaś Cheryl? - zdziwiła się Ava. Kuzynka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Anchorville to małe miasteczko. Oczywiście, że ją znałam. Wszyscy ją znali. - Zagryzła usta. - Czy ktoś wie, gdzie jest Jacob? Na wyspie? Chciałby o tym wiedzieć. - Zanim ktokolwiek odpowiedział, zaczęła pisać wiadomość do brata.

- To straszne. - Demetria kręciła głową jakby w ten sposób chciała zaprzeczyć makabrycznym wieściom. - W tej okolicy od lat nie doszło do morderstwa, odkąd skazano Lestera Reece'a. Chyba nie... nie myślicie, że on wrócił, prawda?

- Nie! - ucięła Khloe. Nadeszła od strony kuchni. Jewel-Anne zeszywniała.

- Wątpię - orzekła. - On... on zniknął.

- A tatulek mu w tym pomógł - syknęła Khloe.

Czy Avie się zdawało, czy Dern niemal niedostrzegalnie zacisnął usta? Zaraz jednak ten grymas zniknął, bez śladu, jak Reece przed laty. Mimo pogłosek o tym, że widziano w okolicy najsłynniejszego lokalnego przestępcę, Lester Reece albo umarł, albo wymknął się policji. Jeśli prawdą było to drugie, Khloe zapewne miała rację. Jego ojcem był miejscowy sędzia, który ustąpił ze stanowiska w atmosferze skandalu; mówiło się o malwersacjach i łapówkach. Synowi nigdy niczego nie odmawiał. Przystojny, bogaty Lester od dziecka miał w sobie okrucieństwo, które z czasem pchnęło go do morderstwa. Skazano go, ale jego sówicie opłacany sprytny adwokat znalazł psychiatrów, którzy przekonali przysięgłych, że jest chory psychicznie, i tym sposobem zamiast

za kratki, Reece trafił do Sea Cliff. Ze szpitala uciekł, co skończyło się dymisją ówczesnego dyrektora zakładu - Crispina, stryja Avy.

- Przecież niedawno go tu widziano. - Demetria nie dawała za wygraną. - Tak mówił Corvin Hobbs. Kilka miesięcy temu.

- A kto wierzy w to, co mówi Corvin? - zachnęła się Jewel-Anne. Fakt. Hobbs, miejscowy rybak, słynął z zamiłowania do Johnny'ego walkera i fantastycznych opowieści.

- Wygląda na to, że mamy towarzystwo - stwierdziła Demetria, zerkając w okno.

Ava podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła łódź przecinającą wody zatoki. Zostawiała za sobą białą smugę spienionej wody. Rozpoznała rodzinną motorówkę z kilkoma osobami na pokładzie. Nieco dalej sunęła druga łódź, z logo posterunku policji.

Pierwsza motorówka już dobijała do pomostu. Za sterami stał Ian, a towarzyszyli mu jego brat bliźniak Trent, Wyatt i, oczywiście, doktor Evelyn McPherson.

Ledwie zeszli na ląd, do brzegu dobiła motorówka policyjna. Stery trzymała kobieta, której towarzyszył detektyw Wesley Snyder. Brakowało jeszcze tylko szeryfa.

- Świetnie - mruknęła Ava, patrząc na Derna. - Znosi się na niezłą imprezę.

- Ciekawe, z jakiej okazji? - Zmarszczył czoło.

- Bo już wszyscy wiedzą że wczoraj byłam u Cheryl. Pewnie myślą, że coś widziałam i pomogę im w śledztwie. - Ava wolała jednak zejść z linii ognia. Poszła schodami na górę.

Derniej towarzyszył.

- Być może chodzi o coś więcej - zauważył, gdy dogonił ją na piętrze.

- Jak to?

- Być może ty ostatnia widziałas ją żywą.

- Myślisz, że mnie podejrzewają? - Ava spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Prawie jej nie znałam.

- Nie wiem, ale wiem, że ktoś się tobą bawi. Okrutnie.

Usłyszała kroki na półpiętrze i zobaczyła Gracielę, która polerowała poręcz flanelową ściereczką. Ona także wpatrywała się w okno, gdy pasażerowie łodzi szli w stronę domu.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Wygląda na to, że mamy towarzystwo - mruknęła Ava.

- A te buty? - Graciela podniosła buciki Noaha z podłogi. - Skąd się tu wzięły?

- Znalazłam je - odparła Ava. - W jego pokoju.

- Mokra? - Graciela przyglądała się jej z niedowierzaniem. - Nie były w szafie?

- Nie, nie były w szafie. - Ava wyrwała buciki z jej dłoni.

- Ale dlaczego?

Głos Khloe wyprzedzał ją. Wyłoniła się zza rogu, właśnie chowała komórkę do kieszeni.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś o Cheryl? - zwróciła się do Avy.

- Sama dopiero się dowiedziałam.

- Ian dzwonił kilka minut temu - wyjaśnił Dern. Wraz z Avą wracał na dół. Wyatt właśnie wbiegał po schodach.

- Mam złe wieści - zaczął z ponurą miną. Musnął jej policzek ustami. Pachniał oceanem i czymś jeszcze... dymem papierosowym.

- Słyszałam już - odparła. Patrzyła na bliźniaków za jego plecami. Trent zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. Ze wszystkich kuzynów właśnie on był jej najbliższy.

- Ale się porobiło - mruknął, gdy Ian i lekarka wchodzili do domu. - Ian mówił, że znał tę kobietę.

- Wszyscy ją znali. - Ava zamknęła drzwi. - Od lat mieszkała w Anchorville.

Trent rozpiął kurtkę.

- O ile dobrze zrozumiałem, Ian mówił, że byłaś jej... klientką? To tyle, jeśli chodzi o dochowanie tajemnicy, pomyślała. Poczwała na sobie wzrok Derna.

- Myślałam, że dzięki hipnozie zdołam sobie przypomnieć... że może dzięki temu dowiem się czegoś, co mi pomoże odnaleźć Noaha. -No proszę, prawda wyszła na jaw.

Wyatt dostrzegł dziecinne buciki w jej dłoni.

- Co to jest? - Zmarszczył brwi. - Czy to buty Noaha?

- Były w jego pokoju. Są mokre, jakby wyciągnięte z morza.

- Co takiego? - spytał zdumiony.

- Ktoś je tam podrzucił. Żebym się o nie potknęła.

- Ale niby dlaczego ktoś miałby... - Słyszac kroki na werandzie, powiedział: - Później o tym porozmawiamy. Bo na razie musimy uporać się z policją.

Rozdział 22

Wygląda na to, że była pani ostatnią klientką Cheryl Reynolds tego dnia. Być może jest też pani ostatnią osobą która widziała ją żywą -odezwał się Snyder z kanapy.

Znajdowali się w bibliotece. Partnerka Snydera, detektyw Morgan Lyons, stała koło zamkniętych drzwi, jakby pilnowała, żeby nikt nieproszony nie przerwał im rozmowy. Miała około trzydziestu lat, wąskie usta, duże brązowe oczy i niesforne ciemne loki wymykające się z luźnego koka u nasady karku. Mimo niskiego wzrostu i drobnej budowy roztaczała aurę osoby kompetentnej i zdecydowanej. Była co najmniej o dziesięć lat młodsza od Snydera, ale to ona wyprosiła z pokoju pozostałych domowników, nie zwracając uwagi na protesty Wyatta.

- Nie powinnaś - przekonywał Wyatt żonę. - Nie bez adwokata.

- Czyli bez ciebie? - uściśliła.

Złapał ją za ramię i odciągnął na bok, żeby policjanci nie mogli ich usłyszeć.

- Nie, Avo. Miałem na myśli specjalistę od spraw karnych.

- Nie potrzebuję adwokata, nie zrobiłam nic złego. - Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich zwątpienie. - Wierzysz mi, prawda?

- Oczywiście - mruknął bez przekonania i wyszedł z biblioteki. Ava została sama z policjantami. Snyder siedział na kanapie, a Lyons

stała przy drzwiach i cały czas obserwowała ją badawczo. Miała taką minę, jakby chciała przyłapać Avę na kłamstwie czy choćby drobnej nieścisłości.

- Mówiłam już, że kiedy wychodziłam, Cheryl stała w drzwiach do piwnicy, w której jest jej gabinet. Nie wydaje mi się, żeby był tam ktoś jeszcze, nie mam jednak pewności. Wcześniej mnie... zhipnotyzowała, więc nie bardzo wiem, co się działo dookoła, ale nie widziałam nikogo poza Cheryl i jej kotami.

- Zamknęła za panią drzwi?

- Kiedy przyszedłam? - Ava zamyśliła się. - Chyba nie, ale nie jestem tego pewna.

- A kiedy pani wyszła? - zainteresowała się Lyons.

- Nie przypominam sobie, żeby zamykała drzwi, nie słyszałam szczęk zamka, pamiętam tylko, że było ciemno, paliły się już latarnie.

- Mówi pani, że było po piątej? - upewnił się Snyder.

- Tak, byłyśmy umówione na wpół do piątej. Spóźniłam się parę minut, bo byłam na późnym lunchu z przyjaciółką i nasze spotkanie trochę się przedłużyło. Dotarłam do Cheryl mniej więcej za dwadzieścia pięć piąta. Wyszłam około wpół do szóstej. Było już prawie całkiem ciemno.

- Wasze sesje zawsze trwały godzinę? - Snyder lekko przesunął cyfrowy dyktafon, który stał na stoliku między nimi.

- Na ogół tak - odparła Ava. - Cheryl nie przywiązuje... nie przywiązywała szczególnej wagi do czasu trwania sesji.

- A chodziła pani do niej, bo... - detektyw znacząco zawiesił głos.

- Z tego samego powodu, dla którego byłam również u pana -w głosie Avy pojawiła się nuta irytacji. - Usiłuję się dowiedzieć, co się stało z moim synem. Miewam problemy z pamięcią i miałam nadzieję, że pod wpływem hipnozy przypomnę sobie coś, czego teraz nie pamiętam.

- Ale pamięta pani wszystko, co dotyczy sesji? - zapytała Lyons. -Zatem wczoraj nie miała pani tych problemów?

Ava z trudem powstrzymała się, żeby nie odpowiedzieć niegrzecznie.

- Nie, pamiętam wszystko, co się działo przed i po hipnozie. -Zerknęła na Snydera. - Nie mam jednak pojęcia, co się działo dookoła, kiedy byłam w transie.

- Ale pani Reynolds była z panią przez cały czas? - upewnił się.

- Chyba tak, ale nie mam stuprocentowej pewności. Snyder zmarszczył brwi.

- A czy ktoś jeszcze mógł tam wejść?

- Do gabinetu? Nie sądzę. - Usiłowała sobie przypomnieć, czy podczas hipnozy odczuła jakąkolwiek zmianę.

- A do innych części domu?

- Nie wiem. Cheryl wynajmuje... wynajmowała pokoje na piętrze, więc teoretycznie ktoś mógł wchodzić albo wychodzić.

- A do piwnicy? - Lyons nie dawała za wygraną.

- Byłam tylko w gabinecie, a podczas sesji drzwi gabinetu są zamknięte, więc nie wiem, czy ktoś wszedł do innego pomieszczenia. Mogę tylko powiedzieć, że nie pamiętam niczego nietypowego.

Zanim Lyons zadała kolejne pytanie, Snyder wtrącił:

- Ale była pani jej ostatnią umówioną klientką tego dnia?

- Być może - mruknęła Ava. - Nie mam pojęcia, jak wyglądał jej grafik.

- Nie mówiła, że czeka na kogoś jeszcze? - upewniła się Lyons.

- Nie.

Pytania ciągnęły się bez końca. O której przyszła do Cheryl? Jak długo tam była? Czy po wyjściu widziała kogoś podejrzanego w drodze na nabrzeże? Czy Cheryl miała jakichś wrogów? Od kiedy znała hipnotyzerkę i jak długo była jej klientką? Odpowiadała najlepiej, jak umiała: nie, nie przychodzi jej do głowy nikt, kto mógłby źle życzyć Cheryl. Znała denatkę od około dziesięciu lat, a jej klientką została niedawno. Była u niej zaledwie kilka razy, umawiały się zwykle co tydzień.

- I wróciła pani na wyspę mniej więcej czterdzieści pięć minut po zakończeniu sesji? - zapytała Lyons po godzinie tego maglowania, które coraz bardziej przypominało przesłuchanie, a nie zwykłą rozmowę.

- Tak. Wstąpiłam po kawę do kafejki, a potem zabrałam się z Bu-tchem Johansenem, to mój stary znajomy.

Po raz pierwszy na ustach detektyw Lyons pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

- Więc nie zauważyła pani niczego podejrzanego? - upewnił się Snyder.

- Nie - odparła Ava i postanowiła iść na całość. - Poza jednym: miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Od wyjścia od Cheryl do momentu, gdy znalazłam się na pokładzie, wydawało mi się, że ktoś... mnie śledzi.

- Kto? - spytała Lyons.

Ava westchnęła i pokręciła głową.

- Nie wiem - powiedziała. - Wcale nie jestem pewna, czy naprawdę ktoś mnie śledził, po prostu miałam takie wrażenie.

Zobaczyła, że detektyw Lyons patrzy na blizny na jej nadgarstkach, ledwie widoczne pod mankietami koszulowej bluzki.

- Wiem, co się o mnie mówi - dodała spokojnie. - Że oszalałam. I w pewnym sensie to prawda. Od zaginięcia synka nie jestem sobą ale nie jestem chora psychicznie. Czy mogę z całą pewnością powiedzieć, że ktoś mnie śledził? Nie. Tak jak nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że w domu Cheryl nie było nikogo poza nami dwiema. Czy była zaniepokojona? Tak. Prosiła, żebym była ostrożna, bo wiele rzeczy nie jest takich, jakie się wydają. Powiedziała, że na wyspie jest zła krew i że się o mnie martwi.

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Dlaczego się o panią martwiła? - zapytał Snyder. Ava ponownie pokręciła głową.

- Właściwie nie wiem. Może dlatego, że tak bardzo chcę odnaleźć mojego synka Noaha.

- Uważała, że przez to naraża się pani na niebezpieczeństwo? -zdziwiła się Lyons.

- Nie wiem, myślę na głos.

Policjanci jeszcze przez kilka minut zadawali kolejne pytania, ale gdy wreszcie skończyli rozmowę, wydawali się rozczarowani.

- Proszę dzwonić, gdyby coś sobie pani przypomniała - powiedział Snyder, podając Avie swoją wizytówkę.

- Oczywiście - zapewniła, lecz były to słowa równie puste jak pokoje w Sea Cliff. Wsunęła wizytówkę do kieszeni džinsów i wyczuła w niej... zimny metal. Przypomniała sobie, że nadal nie znalazła zamka, który otwiera ten cholerny klucz.

Może taki zamek w ogóle nie istnieje, przemknęło jej przez myśl.

Może ten klucz nie ma żadnego znaczenia, a ona po prostu któregoś dnia bezwiednie włożyła go do kieszeni swetra i kompletnie o tym zapomniała. To całkiem możliwe, przecież jej pamięć jest dziurawa jak szwajcarski ser.

Problem jak zwykle sprowadzał się do jednego: nie pamiętała i mimo wszelkich wysiłków nie potrafiła sobie przypomnieć. Już tyle razy była dosłownie o krok od przypomnienia sobie czegoś ważnego i nigdy jej się nie udawało. To zupełnie jak z chmurami zbierającymi się na horyzoncie - najpierw są małe, niewyraźne, a potem przybierają rozmaite kształty, ale nie sposób rozpoznać, co przedstawiają.

Musi wreszcie ustalić, o co chodzi z tym kluczem. Może ktoś z domowników wie coś na ten temat, zapewne ten sam, który podrzucił w pokoju Noaha jego mokre buciki. Teraz leżały w bibliotece, już suche. Wzięła je i wyszła na korytarz.

Tak, czas dowiedzieć się, kto za tym wszystkim stoi.

- Ona coś ukrywa - powiedziała Lyons do swojego partnera, gdy wrócili na stały ląd. Wyjęła kluczyki ze stacyjki radiowozu, potężnego auta z szybą oddzielającą tylne siedzenie i tapicerką przesiąkniętą dymem papierosowym.

Snyder wysiadł i oboje ruszyli popękany chodnikiem w stronę posterunku. Minęli maszty, na których wisiały flagi USA i stanu Waszyngton, ta druga z wizerunkiem pierwszego prezydenta na szmaragdowozielonym tle.

Kiedy dotarli do budynku, Snyder odruchowo przytrzymał swojej partnerce drzwi, chociaż wiedział, że Lyons bardzo tego nie lubi. Była przeczulona na punkcie równości płci i na nic zdawały się jego tłumaczenia, że przepuszczenie kobiety w drzwiach to tylko zwykły uprzejmy gest, a nie żaden przejaw męskiego szowinizmu.

Dzisiaj wyjątkowo powstrzymała się od komentarza, mruknęła tylko:

- Dziękuję.

Weszli do długiego parterowego budynku, w którym dach wiecznie przeciekał, a powietrze pachniało sosnowym płynem do podłóg.

Snyder był zmęczony i obolały, mięśnie u nasady pleców mocno dawały mu się we znaki. Była to pamiątka po starym urazie na boisku, który przypominał o sobie, ilekroć spędzał za dużo czasu na nogach, a za mało w wygodnym fotelu przed telewizorem.

- Myślisz, że to Ava Garrison zabiła Cheryl Reynolds? - spytał i sięgnął do kieszeni po papierosy. W paczce był tylko jeden marlboro; Snyder trzymał go na wypadek, gdyby naprawdę potrzebował nikotyny, prawdziwej, jakiej nie dają e-papierosy. - Ale jaki miałyby motyw?

- Nie twierdzą, że to zrobiła - burknęła Lyons, wyraźnie rozdrażniona.

Może to te trudne dla kobiet dni, pomyślał Snyder, nie odważył się jednak powiedzieć tego na głos. Mogłaby wybuchnąć i zarzucić mu, że nie jest poprawny politycznie. Cóż, rzeczywiście nieraz przekroczył tę linię, więc wolał się pilnować. Poza tym naprawdę lubił swoją partnerkę, choć uważał, że jest trochę za bardzo spięta.

- Ale motyw dałoby się znaleźć - podjęła Lyons po chwili. - Przecież nie wiemy, co Garrison powiedziała pod wpływem hipnozy. Może nie podobało jej się, że Cheryl wie o niej tak dużo.

- Więc po co do niej chodziła?

- Nie twierdzą, że Ava Garrison zabiła Cheryl Reynolds - odparła Lyons. - Mówię tylko, że moim zdaniem ona coś ukrywa. Może to ma coś wspólnego z naszą sprawą, a może nie.

Weszli do kantorka, w którym Snyder właściwie mieszkał. Zdjął kurtkę. Na monitorze widniały szczegóły sprawy Cheryl Reynolds i fotografie jej zwłok w piwnicy. Wciąż czekali na wyniki autopsji, chociaż była to tylko formalność. Głęboka rana na gardle nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że doszło do zabójstwa.

Powiesił marynarkę na oparciu krzesła i właśnie uwalniał się z kabury pod pachą gdy Lyons po raz chyba setny tego dnia zerknęła na

wyświetlacz swojej komórki. Domyślał się, że chodziło o sprawy służbowe, ale ona naprawdę była uzależniona od tej zabawki.

- Zaraz wracam. Idę do łazienki. - Wysłała, wystukując wiadomość na klawiaturze.

Przez kilka godzin rozmawiali z klientami hipnotyzerki, zwłaszcza z tymi, którzy byli u niej w dniu zabójstwa. Wszyscy przyjaciele i znajomi Cheryl Reynolds nie mogli uwierzyć, że ktoś chciał ją skrzywdzić.

Snyderowi udało się też skontaktować z jej dwoma byłymi mężami, jednak żaden nie kwalifikował się na listę podejrzanych: jeden mieszkał ponad osiemdziesiąt kilometrów dalej, ożenił się ponownie i przez cały dzień był w pracy. Drugi, bezrobotny, mieszkał w Seattle. W czasie, gdy popełniono morderstwo, siedział z kumplami w barze, co potwierdził barman. Krótko mówiąc, obaj mieli solidne alibi.

Reynolds nie miewała zatargów z lokatorami.

Nie miała też rozgoryczonych byłych kochanków.

W szufladzie biurka znaleźli testament Cheryl. Spadkobiercami byli jej dziewięcioletnia siostrzenica, mieszkająca w innym stanie, jedyne dziecko jej zmarłej siostry, i miejscowe schronisko dla zwierząt, które miało opiekować się jej kotami aż do ich śmierci. Według testamentu kotów było siedem, ale Snyder przypominał sobie tylko pięć. Już trafiły do schroniska. Nikt nie wiedział, gdzie się podziała pozostała dwójka. Pewnie wkrótce zostaną złapane i dołączą do pozostałych.

Sprawdzili rejestr jej rozmów z komórki i telefonu stacjonarnego oraz twardy dysk w komputerze, na razie jednak nie znaleźli niczego podejrzanego.

Z domu prawdopodobnie nic nie zginęło, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale technicy jeszcze zabezpieczali dowody.

Dochodzenie wciąż znajdowało się w fazie wstępnej. Musieli sprawdzić wiele tropów.

Być może sąsiedzi i przyjaciele coś słyszeli albo widzieli. Może uda się znaleźć odcisk palca.

Może ktoś przypomni sobie nieznany samochód, obcego człowieka.

Może też dowiedzą się czegoś, przesłuchując nagrane sesje klientów.

Przy jego biurku stanęła Lyons. Wsunęła telefon do kieszeni, w dłoni trzymała paczkę orzechowych m&m - pewnie z automatu stojącego w pokoju socjalnym.

- Biggs uważa, że to może być sprawka Lestera Reece'a - powiedziała.

- Zaginionego Lestera Reece'a - poprawił, nie komentując teorii szeryfa. J.T. Biggs był, delikatnie mówiąc, kiepskim śledczym. -Dlaczego morderca, który uciekł z Sea Cliff, miałby wracać tu, gdzie wszyscy go znają i pamiętają?

- Przecież on był u czubków. Miał postawioną diagnozę.

- Schizofrenia paranoidalna czy coś takiego. Rozerwała paczkę cukierków.

- Ten koleś to świr. Można się po nim wszystkiego spodziewać.

- E tam. - Snyder tego nie kupował. - Znam sprawę, byłem tu wtedy, a ty nie. Lester Reece był tak samo zdrowy psychicznie, jak każdy inny łobuz, którego zamykamy. Po prostu miał znacznie więcej kasy i świetnego adwokata. - Zmarszczył brwi, wpatrzony w zdjęcie Cheryl Reynolds na monitorze komputera. - Moim zdaniem Lester Reece już dawno skończył jako pokarm dla ryb.

- Zabił byłą żonę, tak?

- Deenę i jej przyjaciółkę... zaraz, zaraz, jak ona się nazywała? - Zamyślił się. - Mary, Marsha... nie, Maryliss, tak, Maryliss. Myślałem, że nigdy tego nie zapomnę. Maryliss Benson. Przyjaźniły się, ale Reece w którymś momencie miał romans z Maryliss, więc kto teraz dojdzie, którą chciał zabić, byłą żonę czy byłą kochankę? Okrutny, uprzywilejowany sukinsyn. Wydawało mu się, że stoi ponad prawem.

- Prawdziwy wampir. Snyder parsknął.

- Romansował na prawo i lewo, zanim ktokolwiek zorientował się, że coś z nim jest nie tak. I nawet wtedy znalazły się takie, które chciały z nim być, kręciła je sława, niesława, czy jak tam to nazwiesz.

- O, jakże splątana tkamy sieć... - mruknęła i wsunęła czekoladkę do ust.

Roześmiał się. Sam przed sobą niechętnie się do tego przyznawał, ale lubił Morgan Lyons. Niewysoka, zadziorna, bystra, miała ostry język i radziła sobie z każdym weteranem na posterunku, choć pracowała tu niecały rok. Przedtem spędziła pięć lat w policji stanowej Oregonu i nigdy nie wyjaśniła, dlaczego stamtąd odeszła. Wiedział tylko, że była świetną policjantką, choć jego zdaniem zdecydowanie za ładną. Mała, ale zgrabna, z biustem zbyt dużym, by go lekceważyć, wąską talią i tyłeczkiem, który zmuszał jego i pozostałych mężczyzn na posterunku do ciągłego zastanawiania się, jaka jest w łóżku.

On oczywiście wiedział z doświadczenia, czym to grozi. Był już dwa razy żonaty, uznał więc, że lepiej trzymać się z dala od detektyw Morgan Lyons, choćby była nie wiem jak seksowna.

Nie był aż tak szalony.

Już nie.

Oduczył się myślenia częścią ciała znajdującą się poniżej pasa.

Poza tym, jeśli wierzyć plotkom, jej eks to kawał drania. Były gliniarz o wybuchowym temperamencie, skłonny do nadużywania władzy i szybkiego łapania za sploty. W dodatku miał za co łapać, bo kolekcjonował broń.

Zabójcze połączenie.

- Co powiesz na kawę? - zapytała. Zerknął na zegarek.

- Późno już.

- Och, nie bądź marudny. Nie słyszałeś o kawie bezkofeinowej? Postawię ci dowolny napój kawowy, a przy okazji pogadamy z kawiarką zobaczymy, czy wersja Avy Garrison trzyma się kupy.

- Chyba za nią nie przepadasz. - Sięgnął po marynarkę, którą przed chwilą zdjął.

- Moim zdaniem to wariatka, sama to przyznała. I widziałam blizny na jej nadgarstkach, czegoś takiego nie zrobiłaby osoba zdrowa psychicznie. - Zgniotła w dłoni puste opakowanie po cukierkach i dodała: - Ja stawiam, serio.

Uśmiechnął się.

- Chrzanić latte. Pogadamy z pracownikami kawiarni, a potem skoczymy do baru O'Malley. Na piwo. I ja stawiam.

- Masz to jak w banku. - Prawie się uśmiechnęła. Prawie.

Rozdział 23

I jak poszło? - zapytał Wyatt, gdy po rozmowie z policjantami Ava wyszła z biblioteki.

- Koszmarnie. Z tego, co im wiadomo, niewykluczone, że byłam ostatnią osobą która widziała Cheryl... żywą, i dlatego chcieli mnie przesłuchać. Pytali, czy coś widziałam albo słyszałam. - Pokręciła głową. - Ale chyba na nic się im nie przydałam.

Wyatt zauważył bućki Noaha, które trzymała w ręku.

- Co to jest? - spytał, gdy minęła go w drodze do schodów. - Dokąd idziesz?

- Chcę się dowiedzieć, kto je podrzucił w pokoju dziecinnym.

- Och, Avo...

- Co? - mruknęła. Nie odpowiadał, ale domyśliła się. - To dla ciebie krepujące, tak? Twojej żonie odbiło i to ci nie daje spokoju.

- Martwię się o ciebie, to wszystko.

- Tak bardzo, że zatrudniłeś lekarkę, żeby mnie pilnowała?

- Żeby ci pomogła - sprostował.

Znowu chciała odejść, ale podbiegł do niej i złapał za łokieć.

- Zastanów się nad tym, proszę. Nie rób niczego pochopnie, żebyś później nie żałowała.

- Na to już za późno! - warknęła. Skrzywił się, jakby uderzyła go w twarz.

- Wszystko w porządku? - Evelyn McPherson wyszła zza rogu. Niosła filiżankę kawy i spoglądała na nich pochmurnym wzrokiem. Obcasy jej kozaków cicho stuknęły na parkiecie.

- Cheryl Reynolds nie żyje - odparła Ava. - Niby jak wszystko może być w porządku? - Po rozmowie z policjantami jej nerwy były napięte jak postronki. Zmierzyła wzrokiem eleganckie botki, wąską spódnicę i dobrany kolorystycznie sweterek lekarki. - Nie sądzę. - Odwróciła się na pięcie, puszczając mimo uszu zaklinania męża:

- Avo, proszę cię, poczekaj...

Idź do diabła! - pomyślała, ale milczała. Na razie. Zostawiła Wy-atta i McPherson w holu, a sama poszła do saloniku, w którym zebrali się krewni i pracownicy.

Byli tam wszyscy, nawet Austin Dern, który opierał się o regał w najdalszym kącie pokoju.

Gwar rozmów zagłuszał trzask ognia na kominku, ale wszyscy umilkli, ledwie Ava minęła Demetrię, stojącą w progu.

- Jak się czujesz? - zapytał Trent. Uśmiechnął się - był to pierwszy szczerzy uśmiech, jaki widziała od kilku godzin. Stał przy kominku z drinkiem w dłoni, łan zajął miejsce obok niego.

- Skłamałabym, mówiąc, że doskonale - przyznała. Usłyszała kroki za sobą. Wyatt i szanowna pani doktor dołączyli do towarzystwa. Razem.

Świetnie.

- A niby kiedy czujesz się doskonale? - mruknęła Jewel-Anne.

A więc to dzień wrednego wcielenia kuzynki, przemknęło Avie przez myśl.

No dobrze. Niech i tak będzie.

Pan T. przemykał wśród cieni w kącie, aż w końcu ukrył się pod kanapą i uważnie przyglądał wszystkim zebranym.

Jewel-Anne siedziała na wózku przy oknie, z lalką na kolanach - ta miała ciemne proste włosy i wielkie niebieskie oczy, które otwierały się i zamykały, gdy nią ruszała. Z kłębka w torbie zawieszanej na oparciu wózka wystawały druty.

Obok niej stał Jacob, niedoszły harleyowiec w czarnej skórzanej kurtce i drelichowych spodniach. Srebrne obrączki na jego palcach wydawały się jaśniejsze na tle tatuaży. Trzydniowy zarost miał sprawiać wrażenie, że jest twardzielem, a nie zakompleksionym komputerowcem.

Ava zwróciła się do Jewel-Anne.

- Wczoraj umarła moja przyjaciółka, i to nie na zawał serca. Ktoś ją zamordował. Więc nie, nie czuję się dobrze.

- A czego chcieli od ciebie gliniarze? - zainteresował się Jacob.

- Wczoraj się z nią widziałam.

- Na gruncie prywatnym czy zawodowym? - zapytała Jewel-Anne, unosząc brwi nad oprawki okularów. Jej zaskoczenie wydawało się szczere.

Ava odłożyła buciki Noaha na niski stolik, lan podążył wzrokiem za jej dłonią.

- Co tu się dzieje? - spytał.

- Czy to nie buciki Noaha? - odezwała się Khloe. Siedziała z matką i mężem na kanapie w rogu pokoju. Simon trzymał ją za rękę i groźnie łypał na Avę.

- Owszem. - Ava spojrzała w przeciwną stronę. Dern stał w kącie koło regalu z książkami, jakby krył się w cieniu. Po raz kolejny miała wrażenie, że skądś go zna. Czy już kiedyś się spotkali?

Nie zapuszczaj się w te rejony, to niebezpieczne wody, upomniała się w duchu.

- Były w jego pokoju - powiedziała głośno.

- Ale przecież zawsze tam są? - Khloe wydawała się szczerze zdumiona. - Zachowałeś wiele jego ubranek.

- Owszem, ale zazwyczaj nie są mokre. I to od wody morskiej.

- Co? - Khloe wpatrywała się w Avę, jakby nie wierzyła w ani jedno słowo, ale Graciela, która przecież też dotykała bucików, pokiwała

twierdząco głową. Stała w progu, za plecami miała korytarzyk prowadzący do kuchni. Sądząc po jej minie, wolałaby być w każdym innym miejscu, byle nie tutaj.

Khloe dostrzegła jej gest.

- Uściślijmy - zaczęła. - Myślisz, że ktoś celowo zamoczył buciki Noaha, tę konkretną parę, w zatoce, a potem podrzucił w pokoju dziecinnym, żebyś je znalazła?

- Tak, i podejrzewam, że ten ktoś chce wpędzić mnie w obłąd - odparła Ava.

- Akurat w tej dziedzinie nie potrzebujesz pomocy - mruknął Jacob.

- Miarkuj się! - zgromił go Wyatt.

Nawet Dern miał taką minę, jakby chciał zaprotestować. Wyatt zerknął na niego i zwrócił się do żony:

- To bez sensu.

- Czyżby? - Podniosła buciki i podeszła do Wyatta. - Zobacz, dotknij, powąchaj! - Złapała go za rękę i wcisnęła mu je w dłoń.

- Jeszcze niech je polize - skomentował Jacob, ale zakrył sobie usta dłonią gdy Jewel-Anne walnęła go pięścią w kolano.

- Jezu - szepnął Wyatt, a potem podniósł do nosa mokre buciki. - Znalazłaś je w pokoju dziecinnym? - zapytał, chociaż już to powiedziała. - Znowu byłaś w pokoju Noaha?

Najeżyła się. Dlaczego odwraca kota ogonem? Nie odpowiadała, więc pytał dalej:

- Dlaczego tam poszłaś?

- Przecież chyba wolno jej tam wchodzić - zauważył Trent. - Ava może chodzić, gdzie chce.

Wyatt puścił te słowa mimo uszu.

- Po prostu wydaje mi się dziwne, że całymi miesiącami nawet tam nie zaglądałaś, a teraz siedzisz tam bez przerwy.

- Widziałam tam kogoś! - Ava nawet nie starała się opanować irytacji. - Byłam z Jewel-Anne w ogrodzie, a kiedy ona wróciła do domu, spojrzałam w górę i... i zobaczyłam kogoś w oknie.

- Zobaczyłaś czy wydawało ci się, że kogoś widzisz?

- Nie wydawało mi się. Widziałam kogoś w pokoju Noaha, za zasłonką! - Sama słyszała desperację w swoim głosie. Czowała na sobie spojrzenia wszystkich obecnych i niemal słyszała ich niewypowiedziane myśli; wszystkie zmierzały do jednego wniosku - że tym razem naprawdę jej odbiło.

Demetria. Graciela. Virginia. Nawet naburmuszony Simon. I Khloe, i wszyscy krewni. Starła się zachować spokój, ale to było trudne. Jakimś cudem opanowała się na tyle, że mogła mówić dalej.

- Byłam sama - tłumaczyła - i... wydaje mi się, że ktoś mnie obserwował. Znacie to uczucie? - Nie zareagowali, ale dostrzegła, że Wyatt i McPherson wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Mimo to brnęła dalej: - Kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam, jak w pokoju Noaha poruszyła się zasłona.

- Ciebie? A może ducha? - prychnął Jacob.

- Nie przeszkadzaj jej - wtrącił się Dern. Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na Avę. - Mów dalej.

Dodał jej odwagi.

- No więc pobiegłam na górę, ale kiedy wpadłam do pokoju dzieciennego, nikogo już tam nie było.

- Czary-mary - Jacob znowu nie mógł się powstrzymać od komentarza.

Ava przeszła kuzyna morderczym wzrokiem.

- I wtedy zobaczyłam te buciki. Stały koło szafy.

- Też mi sensacja. - Tym razem odezwała się Jewel-Anne.

- Załóżmy, że Ava ma rację - włączył się Trent. - A jeśli tak, to kto to był? Kto wyjął buciki z szafy, zamoczył je i przyniósł z powrotem do pokoju dzieciennego, żeby je znalazła?

Słyszając to z jego ust, Ava poczuła się głupio. Cheryl Reynolds nie żyje, a ona zavraca sobie głowę mokrymi butami? Nic dziwnego, że wszyscy sądzą, że jej odbiło...

Trent nie wyczuł, że zmienił jej się nastrój; zatoczył ręką łuk, w którym zamknął Wyatta, lana i siebie.

- Na pewno żaden z nas, bo byliśmy na stałym lądzie. Ty też. - Wskazał Evelyn McPherson, po czym zwrócił się do pozostałych: - A zatem, drogą eliminacji, musiał to zrobić ktoś z was.

- O ile naprawdę ktoś tam był - wtrąciła Demetria. Stała w drzwiach, jedną nogą w pokoju, drugą na zewnątrz, jakby nie bardzo wiedziała, czy ma tu być, czy nie. Zupełnie jak Graciela.

Chociaż ogarnęły ją wątpliwości, Ava nie zamierzała pozwolić, żeby rozmowa zeszła na niebezpieczne tory.

- Przecież ktoś musiał je zamoczyć i tam podzucić.

- Po raz ostatni widziałam te buciki w twojej szafie, Avo - powiedziała Khloe cicho.

- W mojej szafie? - wykrztusiła z trudem.
- Trzymałaś je tam, bo Noah bardzo je lubił, pamiętasz? - Khloe kiwała głową, jakby zachęcała Awę, żeby sobie przypomniała.

- Ja... nie, nie pamiętam.
- Na górnej półce, koło jego ulubionych książeczek.
- Nie, nie, to nie tak... - jąkała się Ava. Jej wątpliwości rosły z każdą chwilą.

- Rano widziałam je w szafie - wtrąciła się Graciela, patrząc na nią jak na wariatkę. - I dlatego zapytałam, dlaczego nie są w szafie. Miałam na myśli pani szafę.

O Boże, czyżby znowu wszystko jej się poplątało?

- Skoro rano widziałas je w mojej szafie, to kto... kto je wyjął i...
- Stopniowo docierało do niej, co tu się dzieje. Uważają że sama wyjęła te cholerne buty, zanurzyła w zatoce, a potem przyniosła do pokoju No-aha. - Myślicie, że ja to zrobiłam - szepnęła z niedowierzaniem, chociaż w głębi duszy nie była już taka pewna tego, co mówiła przedtem.

- Nikt tak nie twierdzi - zapewnił Wyatt, lecz mimo kojącego tonu wychwyciła w jego głosie nutę zniecierpliwienia, jakby chciał, żeby wreszcie oprzytomniała, otrząsnęła się z marazmu i znowu była tą samą kobietą z którą się ożenił.

- A kamery? - Dern spojrział na Jacoba. - Wiesz, dzisiaj istnieje też zapis wideo, nie tylko audio.

Jacob tylko wzruszył ramionami.

- W pokoju Noaha nie ma kamery - odparła Ava. - I nigdy nie było.

Setki razy wyrzucała sobie, że nie umieścili kamery w pokoju syna. Może gdyby to zrobili, Noah nie przepadłby bez śladu. Poczula, jak wraca ból, więc uciekła myślami od tego błędu, jakże brzemiennego w skutki.

Cały czas czuła na sobie ich wzrok.

Nie mogę się poddać, pomyślała. I tak już uważają ją za wariatkę. Niech teraz zobaczą, że nawet wariatka ma swój rozum. Napotkała ostrzegawcze spojrzenie Derna, lecz mimo to brnęła dalej.

- Wiem, że waszym zdaniem oszalałam.

- Nikt tak nie twierdzi - powtórzył Wyatt.

- Widzę to w waszych oczach - odparła.

- Jakkolwiek by było, wskoczyłaś do zatoki - przypomniała Jewel-Anne. -

I miewasz halucynacje.

- Być może.

- Żadne być może - prychnął Jacob.

Nie szło najlepiej, ale z drugiej strony, co dobrze jej szło ostatnimi czasy?

- A co powiecie na to? - Wyjęła kluczyk z kieszeni džinsów, podniosła wysoko i położyła na stoliku obok bucików syna.

- Klucz? - Jewel-Anne uniosła brwi. - Do czego?

- Nie wiem, ale pomyślałam, że może któreś z was mi to powie.

- A uważasz tak dlatego, że... - Jewel-Anne nie dawała za wygraną.

- Znalazłam go. W kieszeni swetra, chociaż nie ja go tam włożyłam. Kątem oka dostrzegłam, jak Wyatt bezradnie zwiesza ramiona, a McPherson zaciska usta.

- Czy to ważne? - zapytał Trent i po raz pierwszy, odkąd wrócił, miała wrażenie, że on także nie jest pewien, do czego zmierza ta rozmowa.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, skąd się wziął i co otwiera.

- Może nie otwiera niczego - zasugerował Ian. - Wygląda na bardzo stary. - Podszedł do stolika, wziął klucz, obejrzał dokładnie. - Skoro nie wiesz, skąd się wziął i co otwiera, po prostu go wyrzucić.

Wyatt uniosł brwi i lekko skinął głową jakby chciał ją zachęcić, żeby właśnie to zrobiła.

Nie mogła jednak, w każdym razie jeszcze nie.

- Uważam, że może być ważny - odparła. - Że ktoś włożył mi go do kieszeni w jakimś celu.

Ian przewrócił oczami.

- Naprawdę tak sądzisz? Że ktoś zakradł się w nocy do twojego pokoju, żeby ci go podrzucić? Dostyc tych bzdur. Gdyby ktoś chciał, żebyś go miała, dałby ci go i powiedział: proszę masz tu klucz do... Co on właściwie otwiera? Nie wiesz? Ja też nie, ale to kompletnie bez znaczenia i na pewno nie ma nic wspólnego z twoimi poszukiwaniami Noaha. To tylko klucz, do cholery, który prawdopodobnie sama wsunęłaś do kieszeni i potem o tym zapomniałaś. - Dla podkreślenia tych słów cisnął klucz do kominka. - O, proszę! I po sprawie!

Ava sapnęła gniewnie. Wyatt już przemierzał pokój.

- To nie było konieczne. - Zmierzył kuzyna ponurym spojrzeniem. - Na miłość boską co się z tobą dzieje?

- Ze mną? - zachnął się Ian. - A z tobą? To ty masz żonę wariatkę!

- To mój dom i nie życzę sobie takiego traktowania! - ryknął Wyatt.

- Ustalmy pewne fakty. Po pierwsze, dom nie jest twój, tylko jej - wskazał Avę - i właśnie dlatego pozwalasz sobą pomiatać, czy ci się to podoba, czy nie!

- Dość tego - powiedział Wyatt lodowatym tonem. Szczypcami, którymi poprawia się polana na kominku, chwycił klucz i przesunął na skraj paleniska, gdzie spoczął w grubej warstwie popiołu.

- Mam już dosyć tego melodramatu - oznajmił Ian. - Przecież nic z tego nie wynika. - Upił łyk ze szklanki i wstał z pewnym trudem. - Słuchaj, Avo, naprawdę przykro mi z powodu Noaha. I doskonale rozumiem, dlaczego się nie poddajesz i chcesz go odnaleźć. Ale... ta cała reszta? Skakanie do zatoki, buciki, jakiś idiotyczny klucz... - Spojrzał na stół, po czym wskazał kciukiem kominek. - To nic nie znaczy, rozumiesz? Ciągłe powtarzasz, że nie masz halucynacji, ale tak naprawdę... chyba sama w to nie wierzysz. Buciki, klucze, nocne kąpiele w lodowatej wodzie... Osoba zdrowa psychicznie tak się nie zachowuje.

Powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, szukając wsparcia, ale nikt się nie odezwał, Ian ponownie spojrzął na Avę.

- Przykro mi, ale wszyscy tak uważamy - powiedział. - I wiesz co? Podziwiam cię, że nie zrezygnowałaś i nadal szukasz synka, ale to, jak do tego podchodzisz, to, że uparcie twierdzisz, że ktoś chce cię zrobić... jest nienormalne. Wszyscy są tego zdania, tylko albo boją się o pracę, albo o dach nad głową, więc trzymają języki za zębami. - Podeszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu. - Daruj sobie.

Z tymi słowami wyszedł.

- Ian ma rację - odezwał się Jacob. - Nie wiem, jak wy, ale mam już po dziurki w nosie tych ciągłych szlochów, oskarżeń i rozpaczy. Całej tej histerii! - Odwrócił się do Avy. - Słuchaj, twojego syna już nie ma. Koniec, kropka. Pogódź się z tym i zacznij znowu żyć!

Khloe sapnęła głośno.

- Jacob! - krzyknęła.

Ava poczuła się, jakby ją uderzył.

- Co, szokuje was to? Naprawdę? - głos Jacoba ociekał sarkazmem. - Przecież wszyscy tak uważamy.

Wyatt doskoczył do niego.

- Ty też już skończyłeś - syknął. Widać było, że z najwyższym trudem panuje nad sobą. - Wynoś się. Na miłość boską kobieta nie żyje!

- Spokojnie. - Jacob podniósł ręce w obronnym geście. - I kto tu mówi o przesadzie? Nie zabija się posłańca przynoszącego złe wieści. Ja tylko ściągam was na ziemię. - Rozejrzał się dookoła, ale nikt go

nie poparł. - No jasne - prychnął i wybiegł z pokoju, tupiąc głośno wojskowymi butami.

Kot, przerażony niespodziewanym hałasem, wyskoczył spod kanapy i uciekł do kuchni, przemykając między nogami stojącej w progu Demetrii.

Chwilę później rozdzwonił się telefon Khloe. Odebrała i wyszła, chcąc porozmawiać w spokoju.

Ava była wykończona. Może Ian i Jacob mają rację. Może rzeczywiście przesadza, robi z igły widły.

Widzi poszlaki tam, gdzie ich nie ma.

Może i tak, ale jakoś nie mogła w to uwierzyć.

Śmierć Cheryl Reynolds była wystarczającym dowodem.

Rozdział 24

Snyder wskoczył na siodełko, zapiął kask i ruszył do domu. Wielu kolegów nabijało się z niego, że jeździ wiekowym rowerem, ale dzięki temu schudł piętnaście kilo i obniżył sobie ciśnienie i poziom cholesterolu. Dlatego dzielnie znosił deszcz, wiatr i docinki.

Tego dnia, pod wpływem impulsu, pojechał okreśną drogą. Dotarłszy do nabrzeża, które pachniało morzem i ropą, zatrzymał się na chwilę i wpatrzył w spienione fale rozbijające się o wyspę Church, bastion rodziny Churchów.

Gęsta mgła ograniczała widoczność, tak jak tajemnice otaczające Avę Church Garrison przesłaniały mu umysł i nie pozwalały skupić się na sprawie Cheryl Reynolds. Było już ciemno, ale gdyby nie mgła, zobaczyłby światła Monroe, pomost i nawet światła w oknach Neptune's Gate. Czasami obserwował to potężne, ponure gmaszysko i za każdym razem światła paliły się tylko na parterze i pierwszym piętrze, wyżej nigdy. Inna sprawa, że ze swojego mieszkania w Anchorville widział tylko front budynku.

Spędził sporo czasu na wyspie, gdy zaginął synek Garrisonów, ale poza tym nie zawracał sobie głowy jej mieszkańcami. Oczywiście słyszał różne plotki, lecz puszczał je mimo uszu.

Skręcił w wąską boczną uliczkę i ominął nieprawidłowo zaparkowaną ciężarówkę, której kierowca pospiesznie pozbywał się ładunku - beczek piwa.

Snyder nie zareagował na to drobne wykroczenie, bo myślami był zupełnie gdzie indziej. Zastanawiał się nad sprawą Cheryl Reynolds. Doszedł do wniosku, że przede wszystkim trzeba ustalić motyw i odnaleźć narzędzie zbrodni. Wątpił, żeby to Ava Garrison zabiła hipnotyzerkę. Zarówno kawiarka, jak i Butch Johansen potwierdzili jej wersję, poza tym nie wyobrażał sobie, aby była zdolna do popełnienia morderstwa.

Mógł jednak źle ją oceniać.

Już mu się to zdarzało, choćby w przypadku Lestera Reece'a.

To on prowadził wtedy śledztwo i początkowo nie wierzył w winę młodego Reece'a.

Z westchnieniem zerknął na zegarek. Jego wiedza i doświadczenie potwierdzały słuszność zasady, że najważniejsze są pierwsze dwie doby po zbrodni; jeśli w tym czasie nie znajdzie się zabójcy, szanse na ujęcie go maleją z każdą kolejną godziną. Od śmierci Cheryl Reynolds minęły już dwadzieścia cztery godziny.

Wstąpił do sklepu rybnego U Ahaba i kupił ostatnie ostrygi. Sklep istniał prawie sto lat i tak też wyglądał. Wystroju wnętrza nie zmieniano od czasu, kiedy upowszechniły się lodówki. Na drewnianych ścianach wisiały wypłowiałe plakaty z lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Odręcznie wypisane kartki w witrynie informowały, co danego dnia złowili miejscowi rybacy. Małże, kraby i ostrygi czekały na amatorów owoców morza w wielkich kadziach pełnej świeżej wody. Na podwórku za sklepem stał kocioł, w którym można było ugotować to, co wybierze klient, a dookoła fruwały mewy w oczekiwaniu na odpadki.

Snyder pogawędził z Lizzy, która musiała dobiegać dziewięćdziesiątki, bo pracowała tu, odkąd sięgał pamięcią. Była siwa jak gołąbek, pomarszczona jak śliwka i nosiła okulary ze szklami grubymi jak denka od butelek, ale poruszała się zwinnie i pierwsza wiedziała o wszystkim, co wydarzyło się w miasteczku.

- Już wiecie, kto załatwił Cheryl Reynolds? - spytała, wkładając ostrygi do plastikowej torebki.

- Dopóki trwa śledztwo, nie wolno mi udzielać żadnych informacji - odparł Snyder.

- No tak, rozumiem. - Lizzy westchnęła. - Szkoda tej Cheryl, chociaż niezła z niej była dziwaczka. Wyglądała jak podstarzała hipiska, ot co.

- Może i tak.

- Była taka hipisowska, jakby żywcem wyjęta z lat sześćdziesiątych. Marnie skończyła, biedaczka. Ale tak to jest, gdy człowiek zadaje się z dziwakami.

- Chce pani powiedzieć, że Cheryl Reynolds zadawała się z niewłaściwymi ludźmi? - zainteresował się detektyw. Sklepić znajdował się koło portu, gdzie kręca się najróżniejsze podejrzane typy. Co najmniej połowa transakcji narkotykowych w Anchorville odbywała się właśnie w porcie.

- No cóż, tu kręca się różni ludzie - odparła Lizzy, jakby czytała mu w myślach - aleja nie zapraszam klientów do domu. Zresztą mam zawsze pod ręką Jimmy'ego i jego psy.

Jimmy, pięćdziesięcioletni wnuk Lizzy, który wydawał się wiecznie naćpany, był właścicielem dwóch labradorów, George'a i Marty. Snyder nieraz głąskał ich potężne łby, gdy w sąsiednim sklepie kupował przynętę na ryby, i szczerze wątpił, żeby któryś z nich wykrzesał z siebie dość energii, by zaatakować złoczyńcę.

- No, proszę! - Lizzy podliczyła go, wzięła banknot dwudziesto-dolarowy, otworzyła wiekową kasę, która nadal dźwięczała melodyjnie przy otwieraniu, i wydała mu resztę. - Jakby mnie kto pytał, warto się rozejrzeć za Lesterem Reece'em - mruknęła, gdy Snyder pakował ostrygi do plecaka.

- On nie żyje.

- Ja tam w to nie wierzę. - Wyszła zza lady i wyłączyła świecący neon z napisem „Otwarte”. - A Cheryl go znała.

- Naprawdę?

- Naprawdę. To znaczy jego matka była jej klientką bo to kolejna taka, co ma nierówno pod sufitem. - Znacząco zakręciła palcem kółko nad uchem z aparatem. - Biedaczka była związana z tym draniem sędzią chociaż on uganiał się za babami po całym okręgu. Gdyby to był mój mąż, zastrzeliłabym sukinkota. - Zaprezentowała w uśmiechu idealnie równe protezy.

- No, to napytałaby pani sobie biedy.

- E tam, według mnie byłoby to zabójstwo w afekcie! Wszedł, uśmiechając się pod nosem, i minął się z innym klientem, zgiętym wpół pod naporem wiatru. Lizzy stanęła w progu.

- Już zamknięte! Zapraszamy jutro!

- Ja tylko... - zaczął mężczyzna, ale zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i zgasiła światło. - O rany - mruknął, raczej do siebie niż do Snydera. - Stella mnie zabije!

Policjant wsiadł na rower i zawrócił pod górę, do swojego mieszkania na północnym skraju miasteczka.

Kiedy rozłupał ostrygi, otworzył piwo i włączył telewizor, rozdzwonił się telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Morgan Lyons.

- Oby to było coś ważnego - burknął na powitanie.

- Przejrzałam listę klientów Cheryl Reynolds w jej komputerze. Zgadnij, czyje nazwisko na niej było?

- Nie mam nastroju na zgadywanki - mruknął, choć poczuł przyływ adrenaliny, cień nadziei.

- Co powiesz na Jewel-Anne Church? - odparła i jego podniecenie zgasło błyskawicznie.

- To kaleka. Nie mogła nikogo zabić.

- Kaleka to słowo niepoprawne politycznie, ale nie w tym rzecz. Chyba wiesz, że nie zawsze była przykuta do wózka. A do Cheryl chodziła przed wypadkiem, w wyniku którego straciła władzę w nogach.

- I co z tego?

- Według ciebie to nic ważnego?

- Ważne to jest, ale tylko z tego powodu, że podejrzani są wszyscy klienci Reynolds. Nie sądzę jednak, aby Jewel-Anne załatwiła hipnotyzerkę tylko dlatego, że sama kiedyś była jej klientką i jest spokrewniona z ostatnią osobą która widziała ją żywą. Masz coś jeszcze?

- Nie.

- Tak myślałem.

A jednak nie dawało mu spokoju, że Ava Garrison tego samego dnia, gdy zjawiała się na posterunku i prosiła o informacje dotyczące zaginięcia synka, poszła też do Cheryl Reynolds, żeby poddać się hipnozie. Zbieg okoliczności? Zapewne. Ludzie z wyspy zwykle chcą załatwić kilka spraw podczas jednej przeprawy. Ale Snyder zawsze zwracał uwagę na wszystko, co choćby trochę odbiegało od schematu. Na wszelki wypadek będzie miał na oku bogatą damulkę z wyspy i zapamięta, że jej sparaliżowana kuzynka też poddawała się hipnozie. Głośno powiedział:

- Ktoś ciekawszy na tej liście?

- Jeszcze nie, ale jakby co, dam znać.

- Na to liczę - mruknął i zakończył połączenie.

Wyszedł na miniaturowy taras, rozpałił grill i upiekł ostrygi. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że małże skąpane w maśle i posypane parmezanem to nie najzdrowszy posiłek dla osoby z wysokim cholesterolem, ale uznał, że żyje się tylko raz. Zresztą przez ostatni tydzień zjadł tyle zieleniny, że musiał odreagować, chociaż lekarz zapewne nie zgodziłby się z takim podejściem.

Dzisiaj chciał się rozerwać, obejrzeć mecz, w końcu Seahawksi grają z Steelersami, a uwielbiał ich mecze w Pittsburghu. Z ośmiu lat drugiego małżeństwa został mu szwagier z Pensylwanii, drań i łobuz, dla którego sensem życia było obstawianie wyników sportowych, więc Snyder odczuwał zawsze wielką przyjemność, gdy mógł go pokonać. Zanosilo się na dobry mecz, zwłaszcza że to Seahawksi byli faworytami.

Wyjął z szafki ulubioną tacę i usadowił się przed telewizorem z piwem, ostrygami i paczką chipsów, ale gdy Seattle wyszło na prowadzenie w czwartej kwarcie, złapał się na tym, że z coraz mniejszym zainteresowaniem obserwuje mecz. Oczami wyobraźni wciąż widział ciało Cheryl Reynolds w kałuży krwi, a wokół gromadę miauczających kotów.

Bardzo to wszystko dziwne.

Dern krzątał się po stajni, dosypywał koniom owsa i głąskał je po jedwabistych chrapach. Parskały i kręciły się niecierpliwie, pochylając łby nad żłobami.

Było tu ciepło, sucho i otaczał go dobrze znajomy zapach koni, ziarna, kurzu i naoliwionej skóry, tak jak na farmie dziadków, gdzie dorastał. Inne było tylko jarzeniowe światło.

Wtedy życie było o wiele prostsze, przemknęło mu przez myśl. Chociaż może to tylko nostalgia. Bo przecież właśnie wtedy to się zaczęło - ten dziwny niepokój, pragnienie zmiany losu.

Z Roverem przy nodze zgasił światła, postawił kołnierz kurtki dla ochrony przed wiatrem i zacinającym deszczem. Zerwał się szkwał i pewnie nie przestanie wiać aż do rana. Zerknął na dom, ciekaw, co się dzieje za jego ścianami. Okna na parterze lśniły światłem, widział też jasne plamy na pierwszym piętrze. Niemal przez cały wieczór trzymał się z dala od domu. Gdy policjanci wrócili na stały ląd, a Churchowie zgromadzili się w saloniku, powiedział, że musi wracać do pracy i wyszedł.

Nie mógł podchodzić za blisko, bo zaraz zaczęłyby się pytania i podejrzenia, dlatego zachowywał bezpieczną odległość. Churchowie traktowali pracowników jak członków rodziny, ale on był nowy i nie

chciał zwracać uwagi na siebie i swoją przeszłość, okazując zbyt duże zainteresowanie.

Na schodach do swojego mieszkania zastanawiał się, czy przyjazd tutaj nie był błędem. Wtedy wydawało się, że to świetna okazja, ale teraz, gdy spędził trochę czasu z Avą Garrison, nie mógł uwolnić się od myśli, że powinien się wycofać, i to teraz, zanim go zdemaskują zanim sam za bardzo się zaangażuje.

Intrygowała go. Wariatka, ale seksowna jak diabli. Pod grubą powłoką smutku kryła się pociągająca, inteligentna kobieta, a on, chcąc nie chcąc, ulegał jej urokowi.

- Kretyn - mruknął pod nosem, a Rover szczeknął cicho, jakby przyznawał mu rację.

Pogłaskał psa i skarcił się w myślach. Nie może się tu zadomowić, nie ma też czasu na wahania. Ma zadanie do wykonania i niech szlag trafi Avę Garrison i jej wielkie oczy.

Jeśli coś jej się stanie... cóż, takie jest życie.

- Pieprzyć to wszystko - podsumował, otworzył drzwi, wszedł do środka i znieruchomiał.

Coś było nie tak. Wyczuwał to.

Chociaż wydawało się, że wszystko jest w porządku. Jego książka nadal leżała na stoliku koło kanapy, w zlewku wciąż tkwił brudny talerz i dwie szklanki, na blacie wałały się okruszki z grzanek, a kurtka wisiała na oparciu krzesła dokładnie tak, jak ją zostawił.

Tak, wszystko było na miejscu, ale mimo unoszącego się w powietrzu zapachu smażonego bekonu i cebuli wyczuwał lekką obcą woń.

Rozważał, czy nie zajrzeć do schowka, wolał jednak tego nie robić, na wypadek gdyby intruz zainstalował gdzieś tutaj kamerę. Zdjąwszy kurtkę, metodycznie, milimetr po milimetrze przeszukał całe mieszkanie. Niczego nie znalazł, żadnych kamer, mikrofonów ani innych urządzeń do obserwacji. Odetchnął, zdjął obrazek ze ściany i upewnił się, że ze skrytki nic nie zginęło.

Pewien, że nikt go nie obserwuje, wyjął niezarejestrowaną komórkę.

Denerwował się; miał niewiele czasu, stanowczo za mało.

Za mało, by zakończyć misję.

Wystukał znajomy numer.

Po chwili w słuchawce rozległ się kobiecy głos.

- Już się zastanawiałam, kiedy zadzwonisz - zaczęła.

Skinął głową jakby mogła go zobaczyć.

- Chciałem tylko powiedzieć, że wszystko idzie zgodnie z planem.

- Słyszałam, że w Anchorville zamordowano kobietę.

- Tak. - Nie śmiał dodać niczego więcej.

- Uważaj na siebie - poprosiła tonem, który przywodził mu na myśl ciepłe letnie noce i rozgwieżdżone niebo.

- Jak zawsze.

Rozłączył się, zanim rozmowa zeszła na zbyt osobiste tory, i usiłował się domyślić kto, do cholery, pod jego nieobecność złożył mu wizytę. I co ważniejsze dlaczego?

Ava odbyła kolejną sesję z doktor McPherson. Lekarka jak zwykle dodawała jej otuchy, zachęcała, przekonywała, że jej zdaniem Ava jest o krok od przełomu, że dochodzi do siebie, że wkrótce powrócą wspomnienia - to samo co zawsze. Od wyjścia z St. Brendan Ava słyszała to dziesiątki razy.

- Chciałabym nie brać już więcej leków - oznajmiła, ale lekarka zaprotestowała, chociaż powinna się domyślać, że Ava przestała zażywać przepisane jej medykamenty.

- Z czasem, oczywiście. Nie podejmujemy jednak pochopnych decyzji. Chyba naprawdę jesteś w lepszej formie.

- Czyżby? Kilka dni temu znowu widziałam synka i wskoczyłam do zatoki, a teraz wszyscy myślą, że mam omamy.

Nie dodała, że wygrzebała z paleniska ten cholerny klucz i cały czas miała go przy sobie. Głupota? Pewnie tak. Paranoja? Prawie na sto procent. Obsesja? No cóż... Ale i tak nosiła go stale, nawet w tej chwili czuła skrawek metalu w kieszeni dzinsów. A jeśli chodzi o buciki synka, wiedziała, że ktoś wyjął je z jej szafy, zamoczył i podrzucił w pokoju dziecinnym - tylko po to, żeby ją zestresować, przestraszyć. Odstawiła je na najwyższą półkę. Na razie.

- Wiele przeszłaś - odparła Evelyn i lekko pochyliła się w fotelu. - Ale naprawdę uważam, że jesteś na najlepszej drodze do wyzdrowienia. Wiem, że nie chcesz dłużej brać leków, i obiecuję, że zaczniemy zmniejszać dawki. - Mimo, zdawałoby się, szczerego uśmiechu, w jej oczach cały czas kryła się obawa. Pewnie maskowała poczucie winy. - To trochę potrwa, musimy uzbroić się w cierpliwość.

Albo naprawdę nie wie, że odstawiłam te cholerne pigułki, albo tylko udaje, pomyślała Ava. Postanowiła nie mówić jej o tym, nie wspomniała

też, że bóle głowy, które, jak ostrzegała lekarka, miały się nasilić po odstawieniu prochów, wcale nie były takie straszne. Wytrzyma.

Po sesji wyszła z pokoju, nie okazując emocji, chociaż w środku cała wrzała. W kuchni, gdzie Virginia zmywała naczynia po obiedzie, zaparzyła sobie herbatkę ziołową o działaniu uspokajającym. Ponieważ wciąż udawała, że bierze leki, których nie wolno łączyć z alkoholem, napój ten stanowił coś w rodzaju zasłony dymnej. W głębi duszy była przekonana, że lampka wina albo szklaneczka margarity skuteczniej ukołoby jej nerwy.

Musiała jednak dzielnie grać swoją rolę, sączyła więc ziołową herbatkę, patrząc, jak Graciela wkłada ciepłą kurtkę i wsuwa ciemne włosy pod kołnierz. W kuchni cichutko grało radio; nadawano jakieś przeboje z lat osiemdziesiątych.

- Podwieźć cię? - Ian odstawił pustą szklankę na kontuar i spojrzał na Gracielę. Grał z Trentem w bilard, Ava słyszała wcześniej szcęk kul i śmiechy. Ona w tym czasie rozmawiała z lekarką w saloniku.

- Dziękuję. - Graciela błysnęła zębami w uśmiechu. - Nie chcę cię fatygować.

- To żadna fatyga - zapewnił. - I tak wybieram się do miasteczka po papierosy.

- No dobrze - zgodziła się.

- Wydawało mi się, że rzuciłeś palenie - wtrąciła Ava. Ian obrzucił ją chłodnym spojrzeniem.

- Właśnie dlatego mi się skończyły - odparł. Milczała, więc dodał: - Jestem już dorosły, sam wiem, co jest dla mnie dobre.

Ava dmuchała na gorący napój.

- Nikotyna i substancje smoliste? - mruknęła. Nie mogła się oprzeć, musiała się z nim trochę podrażnić.

- I jeszcze arszenik, amoniak i wszelkie pozostałe substancje rakotwórcze.

- To twoje płuca - powiedziała Ava, ale Virginia, która akurat wycierała ręce w fartuch, prychnęła gniewnie.

- Paskudny nałóg.

Do kuchni weszła Khloe.

- Daj spokój, mamo, sama kiedyś paliłaś - zauważyła, wstawiając do zlewu kolejne kubki, a gdy Virginia chciała zaprotestować, dodała z naciskiem: - Paliłaś wiele lat. Papierosy Virginia Slims, doskonale pamiętam.

- To było dawno, zanim poszłam po rozum do głowy! - burknęła Virginia, wyraźnie zła, że ją zdemaskowano.

- Ja jeszcze nie zmadrzałem - rzucił Ian. Dotknął pleców Gracieli, delikatnie pchnął ją stronę werandy i pomachał wszystkim. - Wracam za pół godziny, odwiozę Gracielę i zajrzę do Franka.

Ava szła z kubkiem do schodów, gdy zobaczyła męża i lekarkę. Stali blisko siebie i szeptali coś z przejęciem. Cofnęła się i nasłuchiwała, ale wyłapała tylko kilka słów McPherson:

- ...Noah... wiem...

Odpowiedzi Wyattta nie usłyszała, bo stał do niej tyłem. A potem kolejne słowa lekarzki:

- Jakiś... przełom... Kelvin... jestem pewna... cierpliwość... Ava... Znowu nie wychwyciła odpowiedzi Wyattta. Wreszcie, mając dość

podsluchiwania, wyszła zza rogu. Nadal stali tuż obok siebie, Wyatt nawet położył dłoń na ramieniu lekarzki i nachylił się do jej ucha. Ava miała tego dosyć.

- Więc jak brzmi diagnoza? - z tym pytaniem weszła do holu. Wyatt gwałtownie uniósł głowę. Spochmurniał.

- Usłyszałam swoje imię i domyśliłam się, że omawiacie mój stan - wyjaśniła lekkim tonem.

- Rzeczywiście - potwierdził Wyatt i wyprostował się. - Pytałem doktor McPherson, jak sobie radzisz.

- Czy to aby jest zgodne z prawem? - Spojrzała na lekarkę i Evelyn McPherson zarumieniła się. - Zdaje się, że istnieje coś takiego jak tajemnica lekarska. Pani doktor chyba także to dotyczy. - Wróciła wzrokiem do męża. - Jako prawnik też powinienes o tym wiedzieć. Więc co tu się dzieje?

Mięśnie na jego karku nabrzmiały jak postronki.

- Nie podobają mi się twoje insynuacje.

- Tak? Po tym, jak sugerowałeś, żeby przy rozmowie z policją towarzyszył mi prawnik? Po tym, jak obściskujecie się z Evelyn, ledwie zostaniecie sami?

- Avo, wcale nie... - Doktor McPherson wydawała się wstrząśnięta.

- Nie... - zaczął Wyatt, ale Ava miała dosyć gierki, pozorów, kłamstw.

- Więc nie masz romansu z moim mężem - podsumowała. Lekarzka cofnęła się o krok i energicznie pokręciła głową.

- Nie, skądże.

Ava z powątpiewaniem uniosła brew.

- Co ty wygadujesz, do cholery? - Wyatt nie wytrzymał. - Całkiem oszalałaś?

Wydawał się szczerze oburzony.

- Leczy cię Evelyn, bo ją nam polecono, pracowała z tobą w szpitalu St. Brendan. Myślałem, że jej obecność dobrze ci zrobi! Nie wykręcaj kota ogonem! Nie patrz tak na nas!

- Na nas - powtórzyła Ava. - Dziwne, ale mam wrażenie, że to rozgrywka dwoje na jednego, czy raczej na jedną i tą jedną jestem ja.

- Ja nigdy... nigdy... - zaczęła Evelyn. Jej głos brzmiał szczerze, ale zdradzało ją spojrzenie, którym błagała Wyatta o pomoc.

- Chyba już cię nie potrzebuję - oznajmiła Ava.

- Moim zdaniem czujesz się lepiej właśnie dzięki naszym sesjom.

- Nie sądzę.

Wyatt wkroczył do akcji.

- Ależ oczywiście, że tak — zapewnił. Złapał żonę za rękę i odwrócił dłońią do góry, tak że brzydkie blizny na nadgarstku były dobrze widoczne. - Zobacz, co zrobiłaś po zniknięciu Noaha. Byłaś taka zrozpaczona, taka zagubiona. - Spojrzał jej w oczy. - Nie uciekaj mi znowu. Nie przerywaj terapii. - Z ledwie tłumioną złością zacisnął palce na jej ramieniu.

McPherson zachowała spokój.

- Jeśli wolisz innego lekarza, mogę kogoś polecić. Elliot Stern jest bardzo dobrym...

- Nie! - Wyatt obstawał przy swoim. Puścił rękę Avy. - Zostajesz. Pomogłaś jej, jesteś jej potrzebna.

- Chyba ja o tym decyduję - zauważyła Ava. Evelyn skinęła głową.

- Oczywiście.

Wyatt wodził wzrokiem od jednej do drugiej, by w końcu mruknąć do żony:

- Doktor McPherson chce cię teraz uspokoić, żebyś się bardziej nie denerwowała, ale prawda jest taka, Avo, że jestem twoim prawnym opiekunem.

- Co?! - Zamurowało ją. Nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Po twojej próbie samobójczej przygotowałem odpowiednie dokumenty, nie pamiętasz?

Gdzieś na dnie świadomości kołatało się wspomnienie przesłuchania w obecności sędziego, ale była wtedy półprzytomna, nie wiedziała, co się z nią dzieje.

- Doktor McPherson zostaje - stwierdził Wyatt stanowczo. - Chyba że chcesz wrócić do szpitala.

Ava odstawiła kubek drżącą ręką złapała męża za łokieć i odciągnęła na bok, żeby lekarka nie słyszała ich rozmowy.

- Oddasz mnie do szpitala? - spytała.

- Tylko w ostateczności - zapewnił.

- Grozisz mi?

Obruszył się, odsłaniając zęby w ponurym uśmiechu.

- Na Boga, Avo, chodzi mi tylko o twoje bezpieczeństwo! W końcu to część umowy, którą zawarłem, mówiąc sakramentalne „tak”!

- Bezpieczeństwo? - powtórzyła. - Co ty opowiadasz? Nie zrobię sobie krzywdy, jeśli tego się obawiasz.

- Posłuchaj, to dla twojego dobra...

- Nie, Wyatt, nie musisz być moim strażnikiem, to nie jest część umowy. - Przyglądała mu się uważnie, chcąc dostrzec, co kryje się w jego oczach. - Może nie wszystko pamiętam, ale jednego jestem pewna: zanim wylądowałam w szpitalu St. Brendan, byliśmy o krok od rozwodu.

- Nie trafiłaś tam bez powodu - przypomniał. - Nie było wyboru. Zamknęli cię, bo chciałaś popełnić samobójstwo! Pigułki i brzytwa, nie pamiętasz?

- Nie!

- Wiec nadal jesteś bardzo, bardzo chora. - Dotknął jej ramienia, delikatnie, niemal czule, ale wiedziała, że to tylko gra.

- Nie wrócę do szpitala - oznajmiła stanowczo.

Nie odpowiedział, patrzył jej w oczy z lekkim poczuciem wyższości. Nie znała tego protekcyjnego spojrzenia, gdy za niego wychodziła. Milczał, ale wyczuła, że na końcu języka miał słowo: zobaczymy. To słowo zawisło w powietrzu między nimi i nagle ogarnął ją strach, lodowaty jak wody zatoki.

Rozdział 25

Ava musiała się wyrwać z domu. Ściany sypialni dusiły ją, czuła, że nie wytrzyma w Neptune's Gate ani chwili dłużej.

W łazience znalazła gumkę do włosów i zebrała je w koński ogon. Choć nikt nie trzymał jej w domu siłą, wydawało jej się, że jest uwięziona w posiadłości, którą dawniej tak bardzo kochała. Teraz jednak musiała się wyrwać. Widziała swoje odbicie w lustrze - cienie pod oczami, napięcie w kącikach ust, bladość cery. Skrzywiła się.

Koniec słabości!

Koniec roli ofiary!

Koniec bycia popychadłem!

Przebrała się, włożyła dres i bluzę, którą nosiła przed laty, wyjęła z szafy kurtkę przeciwdeszczową z odblaskowymi paskami. Nie musiała obawiać się uwag Wyatta, że biega po ciemku, bo Ian zabrał go wraz z lekarką do Anchorville.

- Wychodzisz? - zdziwiła się Khloe, widząc ją na parterze. - Teraz?

- Na chwilę.

- Do Anchorville? - Khloe niespokojnie zerknęła w ciemność za oknem.

- Tylko do Monroe.

- Pada. - Do holu weszła Virginia. Zdjęła fartuch.

- Nie utopię się.

Virginia przyglądała jej się uważnie i Ava przypomniała sobie, że całkiem niedawno wszyscy myśleli, że utonie w wodach zatoki.

- Naprawdę muszę wyjść.

Zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, wzięła latarkę, nałożyła czapkę baseballową i wyszła. I tak mieli ją za wariatkę, niech więc kręcą głowami i zastanawiają się, co jej odbiło, że wychodzi na deszcz i wiatr. Przestało ją to obchodzić.

Zbiegła ze schodów i znalazła się na zwirowanej ścieżce prowadzącej do podjazdu. Tam zaczęła biec, aż poczuła na twarzy zimny wiatr. Krople deszczu na dłoniach uświadomiły jej, że zapomniała rękawiczek. No trudno, nie wróci teraz i nie będzie się jeszcze raz tłumaczyć.

Zbiegła ze wzgórza na szosę. Była lekko zdyszana, ale bieg dobrze jej robił. Wreszcie czuła swoje ciało, oddychała głęboko słonym powietrzem.

Droga prowadziła wzdłuż zatoki, wiała się płaską wstęgą wzdłuż linii brzegowej aż do Monroe, gdzie nieliczne światła rozjaśniały czernią wody.

Lekko przyspieszyła, wpatrzona w wątłe światło latarki. Deszcz spływał jej po karku, ale nie zwracała na to uwagi. To niewielka cena za upajające poczucie wolności i za świadomość, że wreszcie zaczęła działać.

Gdzie jest Noah?

Nie wierzyła, że jej synek nie żyje. Wołała o tym nawet nie myśleć. Jeśli zatem nie zginął, porywacz nie zabrał go dla zysku. Chodziło mu o samego Noaha. Musiał być na przyjęciu bożonarodzeniowym - albo jako gość bądź ktoś z personelu, albo zakradł się ukradkiem i wymknął niepostrzeżenie.

Chyba że ktoś mu pomógł.

Nieraz już o tym myślała. A jeżeli ktoś mu pomógł, musiał być to ktoś, kogo znali albo ona, albo Wyatt. Wyliczała w myślach osoby obecne w Neptune's Gate tamtego dnia: Jewel-Anne, Jacob, Trent i Ian, to jasne Zinnia, ciotka Piper i stryj Crispin, Wyatt, cały personel, w większości nadal pracujący w Neptune's Gate. I pozostali: Butch Johansen, klienci i znajomi Wyatta, Tanya i Russell... O rany, mnóstwo ludzi.

A Evelyn McPherson? Jeszcze nie była jej lekarką... Ale może już wtedy romansowała z Wyattem? Czy ona również mogła być na tamtym przyjęciu?

Nie, spotkały się po raz pierwszy dopiero w szpitalu St. Brendan, gdy McPherson zaczęła ją leczyć...

Mimo wszystko w otchłaniach pamięci błąkało się jakieś niewyraźne wspomnienie... Zatłoczony dom, goście, muzyka, brzęk kieliszków, śmiechy, rozmowy. Zbiegała ze schodów z dłonią na poręczy ozdobionej girlandami i gdy mijiała czubek wielkiej choinki, zobaczyła kobietę stojącą w drzwiach saloniku. W przeszklonych drzwiach odbijały się światła choinki, a za nimi stała tęga, nieznana jej kobieta. W pierwszej chwili Ava pomyślała, że przyszła sama i rozmawia przez telefon, ale patrzyła na kogoś poza zasięgiem jej wzroku. Tą kobietą, chociaż od tego czasu jej wygląd bardzo się zmienił, była Evelyn McPherson.

Czy Evelyn odwróciła się, żeby spojrzeć na schody, gdy Ava z nich schodziła? A może tylko teraz tak jej się wydawało? Dlaczego nie było jej na liście gości, którą sporządziła zaraz po zniknięciu Noaha? Dlaczego nie przesłuchała jej policja? Dlaczego...

Zahaczyła czubkiem buta o wyrwę w jezdni i straciła równowagę.

Upuściła latarkę, chcąc zamortyzować upadek dłońmi. Żwir i asfalt zdarły jej skórę z rąk, dresowe spodnie rozerwały się na kolanach.

Cholera!

Patrzyła, jak latarka stacza się ze wzgórza, oświetlając mokry chodnik mdłym, wirującym promykiem.

Ava podniosła się z trudem i dziękowała losowi, że nikt nie widział tego upadku. Bolały ją plecy, ale najbardziej ucierpiało jej ego.

Otrzeпаła żwir z poranionych dłoni i rozejrzała się, podświadomie oczekując, że zaraz zobaczy Derna. Ostatnio, ilekroć groziło jej jakieś niebezpieczeństwo, zjawiał się i spieszył jej na ratunek. Ale tym razem nocnej ciszy nie zakłócało nic poza monotonnym szumem fal i szeptem deszczu.

- Idiotka - mruknęła pod nosem i schyliła się po latarkę, którą wypatrzyła w kałuży.

Podniosła ją, wytarła o kurtkę i weszła do miasteczka. Minęła sklep spożywczy U Franka. Dwoje nastolatków, w ciepłych kurtkach i czapkach, siedziało na werandzie, paliło papierosy i sączyło red bulla.

Dwie przecznice dalej, obok jedyne go w Monroe zajazdu, mieściła się mała kafejka U Rosie, na szczęście jeszcze otwarta. Rose, właścicielka, menedżerka i kelnerka w jednej osobie, stała za ladą i wycierała ją ścierką.

- Za kwadrans zamykamy - oznajmiła, zmrużyła oczy i przyjrzała się nowo przybyłej. Chwilę trwało, zanim rozpoznała Avę. - Pani Church! - zawołała z uśmiechem. Nigdy nie mogła zapamiętać, jak Ava nazywa się po mężu. - Oczywiście nie muszę się tak spieszyć! Zapraszam! - Odłożyła ścierkę i sięgnęła po zalaminowane menu. - Dawno tu pani nie widziałam. - Rosie, drobna, przygarbiona, dobrze po siedemdziesiątce, była właścicielką tego lokalu, odkąd Ava sięgała pamięcią. - Proszę siadać, gdzie pani zechce. Nie narzekamy dzisiaj na tłumy klientów.

Rzeczywiście, w małej knajpce prawie nikogo nie było. Za kontuarem siedział potężny mężczyzna, który pasował raczej do portowej speluny niż kafejki. Przyciskał wielki brzuch do świeżo startej lady. Na sąsiednim stołku chłopczyk, na oko dziesięcioletni, grzebał w talerzu frytek. Na serwetce leżały resztki hamburgera.

- Jak tam? - zapytała Rosie.

- W porządku.

- Na pewno? - Podała Avie menu.

- Tak, tak, tylko nie zadawaj tego pytania mojej rodzinie, bo wszyscy uważają, że oszalałam.

Rosie zachichotała i zaraz zaniósła się głuchym kaszlem palaczki.

- Od tego ma się rodzinę, co? Żeby się kochali aż do śmierci i skakali sobie do gardeł. Czego się pani napije?

- Białego wina. Może być chardonnay. - Pieprzyć udawanie, że bierze leki.
- Już się robi. Może ostatni kawałek placka dyniowego? Radzę się pospieszyć, bo jak nie, sprzątnie go George. - Wskazała grubasa przy kontuarze.
Ava uznała, że ciasto z dyni nie będzie pasowało do wina.
- A macie może ser i krakersy?
- Tylko paluszki.
- Niech będą. Rosie skinęła głową.
- Były do gulaszu z ostryg. Clyde ugotował go dzisiaj rano, ale już wyszedł.

Clyde był mężem Rosie. Od ponad czterdziestu lat ciągle rozstawali się i schodzili na nowo. Obecnie przeżywali okres małżeńskiej sielanki. Zajmowali niewielkie mieszkanie nad kawiarnią.

Ava podziękowała, gdy dostała kieliszek wina. Upiła łyk, uznała, że jest całkiem znośne, i wbiła wzrok w wielkie okno, tymczasem Rosie wróciła za ladę. Ava obserwowała ze swojego miejsca w kącie czarną taflę wody i widoczne w oddali światła Anchorville - jarzące się jasno i gęsto nad brzegiem, coraz rzadsze na wzgórzach.

Z tej odległości nie sposób było dostrzec poszczególnych budynków, ale spojrzała w stronę domu Cheryl. Przed oczami stanęła jej zatroskana twarz hipnotyzerki, a w uszach rozbrzmiały jej ostatnie słowa: „Nie wszystko jest tym, czym się wydaje, czym powinno być. Na wyspie jest sporo złej krwi, obie o tym wiemy”.

Cheryl bała się o nią a wkrótce potem sama została zamordowana. Najwyraźniej niebezpieczeństwo groziło nie hipnotyzowanej, tylko hipnotyzerce. Dziwne. Ava zmarszczyła brwi i wróciła myślami do ostatniej sesji. Dlaczego Cheryl była taka niespokojna? Czy chodziło o coś, co powiedziała podczas transu?

Obracała kieliszek w palcach, wpatrując się w rozkołysane wino, które przywodziło na myśl falujące morze. I wtedy powróciło wspomnienie.

Przypomniał jej się dzień, w którym zginął Kelvin, i tragiczne wydarzenia z tamtego rejsu. Czuła, że śmierć jej brata jest w jakiś sposób powiązana ze zniknięciem Noaha. W jej umyśle oba wydarzenia zawsze się łączyły. Często się nad tym zastanawiała, ale nie potrafiła dokładniej określić natury tego związku i za każdym razem dochodziła

do wniosku, że jedyne, co łączy obie tragedie, to strata bliskiej osoby -najpierw brata, a potem syna.

Kiedy Kelvin jeszcze żył, w Neptune's Gate było mniej mieszkańców, a rodzina nie była tak zżyta. Ava zdążyła spłacić wszystkich krewnych poza Jewel-Anne i wyprowadzili się z wyspy.

Wrócili dopiero na pogrzeb Kelvina i kilkoro z nich, w tym łan, zaoferoowało, że zostanie, aby jej pomóc.

- Już zamykamy! - głos Rosie wyrwał ją z zadumy. Podniosła głowę i zobaczyła, że przeszklone drzwi otwierają się.

Do kafejki wszedł Austin Dern. Nie zwracał najmniejszej uwagi na protesty właścicielki.

- Nie słyszał? - Rosie wzięła się pod chude boki.

- Ja tylko na chwilę. - Podeszedł do Avy i usiadł naprzeciwko. Spojrzała na Rosie.

- Wszystko w porządku, to... znajomy.

- Hm! - prychnęła Rosie, ale nie protestowała. Ava zwróciła się do Derna.

- Dlaczego wcale mnie nie dziwi twój widok? - zapytała, gdy zdejmował kurtkę. - Mam wrażenie, że spotykamy się, ilekroć wyjdę z domu, jakbyś spieszył mi na ratunek.

Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. Zapatrzyła się na cień zarostu na jego twarzy.

- Coś mi się zdaje, że wcale nie trzeba cię ratować.

- 1 słusznie. Mimo tego, co twierdzi moja rodzina. - Upiła łyk wina i zaproponowała: - Postawić ci drinka?

Zerknął na kontuar, zza którego Rosie posłała mu mordercze spojrzenie.

- Chętnie, ale obawiam się, że bar jest już zamknięty.

- O co ci chodzi, Dern? Dlaczego za mną łazisz? - Przyglądała mu się badawczo. - 1 nie wciskaj mi kitu, że zupełnie przypadkiem zobaczyłeś, jak wychodzę, i tak dalej. Nie wierzę też w anioła stróża, więc ten numer nie przejdzie. A ponieważ nie przypominam sobie, żebym cię zatrudniła w roli ochroniarza, musisz mieć inne powody, aby mnie śledzić.

Do stolika podeszła Rosie z talerzykiem sera i paluszków.

- Podać coś? - burknęła. - No, bo skoro jest pan znajomym Avy...

- Może piwo? Pytając uniosła brwi.

- Cokolwiek macie z beczki - dodał.

- Czyli nic. - Wydęła usta.
- W takim razie niech będzie bud.
- To mamy.

Przy kontuarze George dopilnował, żeby syn dokładnie zapiął kurtkę, ukradkiem porwał garść frytek z jego talerza, zostawił na ladzie kilka banknotów i obaj wyszli.

Rosie zamknęła za nimi drzwi i zasunęła rygiel.

- Ciepła i miłutka jak jeżozwierz - mruknął Dern.

Ava czuła, jak kąciki jej ust unoszą się w uśmiechu, Rosie tymczasem postawiła na stole piwo i szklankę.

- Coś z karty? - warknęła, jakby rzucała mu wyzwanie.

- Nie, dziękuję - mruknął.

- Clyde zamyka kuchnię. - Jeszcze raz zmierzyła go wzrokiem, a potem, wyprostowana na tyle, na ile pozwalał skrzywiony kręgosłup, odwróciła się i dostojnym krokiem wróciła za kontuar.

- Niezbyt uprzejma - zgodziła się Ava.

Dern nie zwracał sobie głowy szklanką, wypił solidny łyk prosto z butelki. Ava patrzyła, jak porusza się jego grdyka, a potem wróciła wzrokiem do twarzy.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego mam wrażenie, że mnie śledzisz? I nawet nie waż się twierdzić, że mam paranoję - ostrzegła, unosząc palec.

Odstawił butelkę i pokręcił głową.

- Wcale nie zamierzałem. To fakt, miałem na ciebie oko, ale nie, nie śledzę cię. Najpierw widziałem, jak skaczesz do wody, potem brakowało mi konia, jeszcze później widziałem, że wybierasz się do miasta, a sam też chciałem się przejść, uzupełnić zapasy.

- Hm. - Nie wierzyła mu.

- Piwo, pastę do zębów, kawę. - Milczała, więc dodał: - Podstawowe produkty.

- Ale zamiast do Franka, przyszedłeś tutaj.

- Widziałem, jak wchodziłaś. - Wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że pogadamy spokojnie, z dala od twojej ciekawskiej rodzinki.

- Myślisz, że podsłuchują? - zapytała, a on uśmiechnął się leniwie.

- Tak.

Nie zamierzała protestować.

Rozparł się wygodnie na krześle i powiedział:

- Chociaż z drugiej strony, każda rodzina ma swoje dziwactwa.

- Twoja też?

- Jasne.

- A jakie?

Wzruszył ramionami.

- Jest rozproszona. Rodzice rozeszli się, kiedy miałem dziesięć lat. Od szkoły średniej nie widziałem ojca.

- A rodzeństwo?

- Siostra w Baton Rouge, brat Bóg jeden wie gdzie. Straciliśmy się z oczu jakieś piętnaście lat temu. - Jego oczy pociemniały. - Chociaż przedtem też nie byliśmy zbyt blisko.

- Kuzyni?

- O ile mi wiadomo, to nie mam żadnych. Dorastałem samotnie i nauczyłem się sam o siebie dbać.

- Więc... nie jesteś żonaty?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo, jakby to pytanie było zarazem głupie i śmieszne.

- Już nie - odparł. - Chodziliśmy ze sobą od liceum, jeśli nadal się tak mówi. Niestety nie udało się.

- Dlaczego?

- Chyba byliśmy za młodzi. - Kolejne wzruszenie ramion. - Byłem w wojsku, wróciłem z misji i na dzień dobry dostałem papiery rozwodowe. Uznałem, że nie ma sensu się kłócić, skoro i tak już zamieszkała z innym, i wróciłem na studia.

- Dzieci? Pokręcił głową.

- Z perspektywy czasu to chyba dobrze.

- I co? Po studiach zatrudniłeś się na ranczu? Znowu ten lekko drwiący uśmieszek.

- Czyż to nie normalna kolej rzeczy? - Dopił piwo. - Okazało się, że lepiej mi się pracuje ze zwierzętami niż z ludźmi. A ty?

- Jak to, nie znasz historii mojego życia? - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Wydawało mi się, że wszyscy wszystko o mnie wiedzą.

- Nie jestem stąd, zapomniałaś już? - Nie odpowiadała, więc dodał: - Pracowałem na ranczu Donnelly'ego niedaleko Bend w centralnym Oregonie. Dorastałem trochę dalej na wschód, pod Pendleton. -Sięgnął po portfel. - Nie sprawdziłaś mnie?

- Nawet nie wiedziałam, że zostałeś zatrudniony.

- Poważnie? Myślałem, że ty tu rządysz.

- Dawniej może tak. - Sięgnęła po portfel, ale uprzedził ją i położył na stole kilka banknotów.

- Ja stawiam.

- Mówiłam, że cię zapraszam.

- Następnym razem.

Wstała i zobaczyła, że patrzy na dziury na jej kolanach.

- Powiedzmy, że w drodze tutaj miałam bliskie spotkanie z szosą- wyjaśniła, zanim zdążył o to zapytać.

- Nic ci nie jest?

- Kilka zadrapań, ale da się przeżyć.

Przytrzymał jej drzwi i znaleźli się na zewnątrz. Jej latarka zamokła i była do niczego, ale dzięki aplikacji w iPhonie Dema mieli dość światła.

Razem weszli na wzgórze, w milczeniu szli szosą. Za zakrętem czekał na nich Rover; truchtał za Demem, jakby znał go od lat. Ava cały czas zastanawiała się, dlaczego przy nim czuje się tak swobodnie. Przecież znała go zaledwie kilka dni, a jednak miała wrażenie, że rozumie ją lepiej niż własny mąż.

Z którym chciałaś się rozwieść, pamiętasz? Jeszcze zanim zaginął Noah byli właściwie w separacji; tamto przyjęcie gwiazdkowe było tylko próbą odwlekania nieuniknionego. Potem, gdy mały przepadł, szukali u siebie pociechy, ale widzieli, jak pruje się krucha tkanina ich związku. Nawet pogrążeni w rozpacz poważnie rozważali rozwód... tak jej się przynajmniej wydawało.

Teraz, gdy szła z rękami w kieszeniach, obserwując, jak jej oddech unosi się mleczną chmurką przypomniała sobie erotyczny sen, w którym Wyatt zmienił się w Dema, i to właśnie z nim się kochała. Namiętnie. Bez zahamowań. Czowała na sobie te silne dłonie pokryte odciskami.

A może to był Wyatt?

Zostawił ci różę, zapomniałaś już? Namacała kciukiem malutką rankę na palcu i starała się wyrzucić z myśli wszelkie dziwaczne alternatywy. I tak nigdy nie zrozumie, o co chodzi w snach, zresztą one tylko odciągają ją od najważniejszego.

Od poszukiwania Noaha.

Nie dopuści do tego, zdecydowała. Liczy się tylko jedno - odnaleźć syna.

Koniec, kropka.

Rozdział 26

Wydaje mi się, że poznałyśmy się już wcześniej - zaczęła Ava następnego dnia po południu, podczas kolejnej sesji z doktor McPherson. -To znaczy, zanim Wyatt panią zatrudnił. I że wtedy przedstawiała się pani jako Eve.

Siedziały w saloniku. Ava, zamiast urządzić awanturę, zgodziła się na spotkanie z lekarką; liczyła, że tym razem zamiast udzielać informacji, sama je zdobędzie.

Terapeutka nie oponowała, tylko kiwała twierdząco głową. Siedziała w fotelu, splótła ręce na kolanach.

- Już o tym rozmawialiśmy, pamiętasz? O tym, że spotkałyśmy się na przyjęciu gwiazdkowym tu, w Neptune's Gate.

Avie serce stanęło w piersi.

- Kiedy?

- Na przyjęciu, tego dnia, gdy zaginął Noah. I później, kiedy dochodziłaś do siebie w szpitalu St. Brendan. - Cierpliwość Evelyn działała Avie na nerwy. - Właśnie wtedy twój mąż zapytał, czy zajmę się tobą gdy już opuścisz szpital. Wiedział, że mam gabinet w Anchorville.

- Zapamiętałabym to - upierała się Ava, ale w tej chwili coś sobie przypomniała, szybko, przelotnie, nieuchwytnie.

Pełen wyrozumienia uśmiech lekarki doprowadzał ją do szału.

- Avo, nadal blokujesz wspomnienia tamtej nocy. Powracają strzępy, ale nadal zostało wiele luk. Chcę ci pomóc je wypełnić.

- Dobrze, więc zacznijmy od początku. Przedstawiono mi panią jako Eve Stone.

McPherson skinęła głową.

- Byłam wtedy mężatką, ale nam się nie ułożyło. Rozwód był w toku, nie wróciłam jeszcze formalnie do panińskiego nazwiska, dopiero kilka miesięcy później.

- Wyglądała pani inaczej.

- Nie do wiary, jak bardzo zmienia człowieka zrzucone dwadzieścia kilogramów i rozjaśnienie włosów.

Czy to prawda? Czy naprawdę już słyszała tę opowieść?

- A przyszła pani z...

- Z twoim kuzynem Trentem.

- Z Trentem? - Coś tu było nie tak.

- Znamy się ze studiów.
- Z uniwersytetu w Seattle? - upewniła się.
- Nie, z Oregonu. Przez pewien czas oboje studiowaliśmy psychologię. -
Na jej ustach błąkał się uśmieszek rozbawienia.

Ava przyglądała jej się uważnie. Czyżby od samego początku myliła się co do niej? Była pewna, że lekarka ma romans z Wyattem, a teraz... teraz niemal jej uwierzyła.

- W Waszyngtonie byłam na studiach podyplomowych - ciągnęła McPherson. - A Trent nie.

To była prawda, chociaż Ava wyczuwała, że lekarka czegoś nie mówi, że jeszcze nie wszystkie kawałki układanki są na swoim miejscu.

Evelyn sięgnęła do bocznej kieszonki torebki leżącej na krześle koło niej.

- Wczoraj sporo się nad tym wszystkim zastanawiałam i naprawdę wątpię, abym była w stanie ci pomóc, skoro mi nie ufasz. - Wyjęła z kieszonki wizytówkę i położyła na stoliku. - Tu są namiary na doktora Rollinsa, teraz mieszka i przyjmuje w Seattle, ale zna historię wyspy i twojej rodziny. Pracował w Sea Cliff, gdy twój stryj był tam dyrektorem.

Nazwisko brzmiało znajomo. Przed oczami stanął jej potężny Afroamerykanin. Gładka skóra koloru kawy, wielkie okulary, siwa broda, krótkie włosy - o ile to ten, którego pamiętała z nielicznych wizyt w szpitalu.

- Właśnie tam się poznaliśmy. Nadal ma pacjentów w Anchorville i wynajmuje gabinet do spółki z kilkoma innymi lekarzami. Przyjeżdża tu dwa razy w tygodniu.

Ava wzięła wizytówkę.

- Zaufanie do terapeuty to podstawa - powiedziała doktor McPherson z przejęciem. - Nie możesz niczego ukrywać. Chętnie przekażę twoją sprawę doktorowi Rollinsowi albo innemu lekarzowi, którego wskażesz. Zrobię, co w mojej mocy, aby zmiana terapeuty odbyła się w miarę płynnie. - Czyżby w jej głosie rozbrzmiała ulga? - Nie wiem, czy ktoś będzie chciał przyплыwać na wyspę, ale możesz o to zapytać.

Ava zerknęła na wizytówkę. Doktor Alan G. Rollins, numer telefonu, adres, adres poczty elektronicznej.

- Wyatt nie ma nic przeciwko temu?

- Nie powiedziałam mu. - Jej uśmiech wydawał się szczery, choć oczywiście mogła tylko udawać. - Jak słusznie zauważyłaś, to twoje życie, a ja jestem twoim lekarzem.

- Ale to on panią zatrudnił. Twierdzi, że jest moim opiekunem prawnym. Evelyn wzruszyła ramionami.

- Oczywiście może się upierać przy detalach, chociaż nie sędzę. - Wstała. - Wiesz przecież, że chce dla ciebie jak najlepiej.

- Tak przynajmniej twierdzi. - Ava zacisnęła dłoń na wizytówce. Lekarka zmarszczyła brwi. W drodze do drzwi lekko dotknęła ramienia Avy.

- Daj mi znać, co zdecydujesz - powiedziała i wyszła.

Ava, co idiotyczne, poczuła się porzucona. Teraz, gdy wreszcie mogła pozbyć się lekarki, którą wybrał jej mąż i którą podejrzewała o romans z nim, wcale nie była taka pewna, czy chce z niej rezygnować.

Nie kwestionuj tego, co widziałaś!

- Ale może się mylę - szepnęła. Podeszła do regału, na którym stały rodzinne fotografie. Zatrzymała wzrok na zdjęciu Wyatta z synkiem na rękach, zrobione na plaży. Wiatr mierzwił im włosy, Noah mrużył oczka od słonych podmuchów. Ze ściśniętym sercem wzięła fotografię do ręki i obrysowała palcem buzię synka.

Ze smutkiem odstawiła ją na miejsce. Tuż obok stało zdjęcie szeroko uśmiechniętej Jewel-Anne, która siedziała na grzbiecie gniadej klaczy, a w tle wznosiło się ponure gmaszysko Sea Cliff. Fotografia została zrobiona przed wypadkiem, gdy Jewel-Anne była w pełni sprawna i potrafiła się uśmiechać. Ładna, mimo okrągłej figury, bez bruzd goryczy, które teraz znaczyły jej twarz.

Ava odstawiła fotografię, podeszła powoli do okna i spojrzała na alejkę, na której wózek Jewel-Anne wyłobiał głębokie koleiny, a paprocie dygotały lekko na wietrze. A co, jeśli wszyscy mają rację i naprawdę uległa paranoi? Przypomniała sobie wczorajszą sesję z terapeutką i późniejszą awanturę w holu. A jeśli Wyatt wcale nie ma romansu z Evelyn McPherson? Jeśli niewierność męża to tylko wytwór jej umęczonego umysłu?

Żona wie zawsze.

Ktoś jej to powiedział dawno temu. Ale może ten ktoś się mylił.

Trent, którego znalazła w pokoju rekreacyjnym przesyconym zapachem środka do polerowania mebli, potwierdził, że na tamto przyjęcie gwizdkowe przyszedł z Evelyn McPherson Stone.

- Chyba pamiętasz, że ci ją przedstawiałem - mruknął, układając bile na stole.

Nie pamiętała.

- To było w kuchni, weszliśmy tylnymi drzwiami i oberwało się nam za to od Virginii - mówił Trent. - Spieszyłaś się, szukałaś czegoś; chyba zabrakło kieliszków. W każdym razie Virginia była wtedy zła jak osa. Burknęła nawet do ciebie, że w takich warunkach nie może pracować.

Zdjął trójkąt z idealnie ułożonych bil, a Ava szukała w pamięci tamtej sceny. Z kuchni dobiegało nucenie Virginii - jak zawsze fałszowała. Jak przez mgłę przypominała sobie wyrzuty kucharki i jej wyjątkowo zły humor. Wtedy pomyślała, że Virginia jest wkurzona, bo musiała pracować do późnego wieczora, a jej córka Khloe ponownie związała się z Simonem, którego nigdy nie lubiła.

Ava przebiegła przez kuchnię i mało brakowało, a potraciłaby kelnera z tacą przystawek, on jednak zwinnie uskoczył, tak że ze srebrnego półmiska nie spadła nawet jednak przekąska. Virginia piekliła się, rozdrażniona jak nigdy.

- To było koło tylnych schodów, przy spiżarni - ciągnął. - Virginia akurat czegoś tam szukała i przepędziła nas, żeby ci od cateringu mieli jak się poruszać. Jezu, ależ była wtedy wściekła.

- Rzeczywiście. - Ava przypominała sobie coraz więcej szczegółów. Pamiętała, że Wyatt miał lada moment wznieść tradycyjny toast świąteczny, a zabrakło trzech kieliszków. Pomyślała wtedy, że dodatkowe kieliszki są w schowku koło spiżarni, wśród rozmaitych rupieci, które tam przechowali, od zapasowych kluczy, przez żarówki, po ozdoby świąteczne. Kiedy szukała kieliszków, wpadła na Trenta, który był w towarzystwie nieznannej jej kobiety.

- Przedstawiłeś ją jako Eve.

- Nadal się tak do niej zwracam, bo tak mi się przedstawiła, gdy poznaliśmy się kiedyś na imprezie przed meczem Kaczek. - Miał na myśli drużynę uniwersytecką swojej Alma Mater. - Weszliśmy tylnymi drzwiami.

Czy to samo powiedział wtedy na przyjęciu? Nie była pewna, nie pamiętała tego dokładnie.

Kiedy Trent pochylił się nad stołem, składając się do uderzenia, przypominała sobie, jak ścisnęła dłoń lekarki.

- Wkrótce wszystko sobie przypomnisz, prawda? Powolutku. -Trent błysnął zębami w uśmiechu i uderzył. Trzask! Bile rozprysły się po całym stole.

- Mam taką nadzieję - odparła.

- Cierpliwości.

- Ile można?

- No tak, zawsze byłaś w gorącej wodzie kąpana.

Nie mogła zaprotestować. Trent tymczasem uderzył ponownie. Wbił piątkę.

- Mam luki w pamięci i wypełniają się bardzo powoli.

- Ale się wypełniają. Daj sobie czas, a wszystkie się wypełnią. Nie była tego taka pewna.

- Odkąd Noah zaginął...

- Nie, jeszcze przedtem - mruknął Trent znad stołu. - Od śmierci KeMna.

- Nieprawda - zaprotestowała.

- Ależ tak. Właśnie wtedy zaczęły się twoje... problemy psychiczne.

- Zanim porwano Noaha? Trent gwałtownie uniósł głowę.

- Nie porwano go. Nie było żądania okupu. Nikt się z nami nie kontaktował po tym, jak zaginął.

- Nie rozumiesz, co znaczy: porwano?! - Ava z trudem panowała nad głosem. Miała ochotę krzyknąć. - Ktoś go zabrał! Prosto z łóżeczka! Właśnie tak było.

- Zniknął, to prawda - przyznał Trent. - Ale nie wiemy, jak to się stało.

- Miał zaledwie dwa lata. Nie mógł sam wstać i... i... - urwała w pół słowa.

Serce przestało jej bić, gdy wyobraziła sobie, jak synek wstaje z kołyski - a przecież zdarzało mu się to już przedtem - i wychodzi na korytarz.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powiedziała i po chwili, tknięta nagłym przeczuciem, spytała: - Myślisz, że ja miałam coś wspólnego z jego zniknięciem?

Trent wyprostował się i odłożył kij bilardowy.

- Skądże! - Obszedł stół, objął ją i przytulił. - Nawet przez moment nie sądziłem, że świadomie mogłabyś skrzywdzić Noaha.

- Świadomie? - powtórzyła z przerażeniem.

Czy on naprawdę sądził...? Kątem oka dostrzegła blizny na swoich nadgarstkach; także to wspomnienie było blade, niewyraźne, tłumione. Ale przecież po zniknięciu synka policjanci koncentrowali się na niej, prawda? Biggs nie wykluczał, że miała z tym coś wspólnego. Nie dość, że ostatnia widziała dziecko, to zazwyczaj właśnie najbliższa rodzina znajduje się w kręgu podejrzanych...

- Nie to miałem na myśli. - Trent nie ukrywał irytacji. - Nie wkładaj mi w usta słów, których nie wypowiedziałem, dobrze? - Odetchnął głęboko i pokręcił głową. - Proszę cię, Avo. Nie rób tego.

Znowu zamknął ją w mocnym uścisku, jakby chciał jej przypomnieć, że od dawna, jeszcze od dzieciństwa, są sobie bliscy.

Mimo wszystko wyczuwała jego napięcie, wahanie, rysę na ich więzi. Obawiała się, że ta rysa jest o wiele głębsza, niż to widać na pierwszy rzut oka.

Dern wpakował się po uszy.

Nie miał co do tego wątpliwości, gdy szedł przez mokre pastwisko w stronę stajni. Zerknął na potężny dom, pomyślał o Avie Church Garrison i po raz kolejny zadał sobie pytanie, czemu ta kobieta tak bardzo go fascynuje.

To błąd.

Nie mógł się z nią wiązać, i to wcale nie dlatego, że już miała męża. Powody były inne, poważniejsze, dotyczyły głównej przyczyny jego przyjazdu na wyspę i tego, dlaczego w ogóle się tu zatrudnił.

A jednak nie potrafił trzymać się od niej z daleka i choćby nie wiadomo ile razy powtarzał sobie, że wczoraj poszedł za nią do miasteczka, bo to jego obowiązek, byłoby to kłamstwo, a sam siebie nie chciał oszukiwać. Intrygowała go bardziej, niż powinna. Była nieszczęśliwa, udręczona, ale w jej smutnych oczach widział ślad tej silnej, dzielnej kobiety, którą była dawniej.

I właśnie tę kobietę, jedyną osobę na tej przeklętej wyspie, z którą czuł jakąkolwiek więź, chciał poznać.

Kiepska sprawa. Bo Ava nie jest sprzymierzeńcem, tylko wrogiem.

A niech to.

Musiał pamiętać, dlaczego tu jest. Nie mógł dać się zwieść jej wyglądowi, zachowaniu. Nie ona była tu ofiarą i dobrze o tym wiedział.

Pies węszył przy pojemnikach z sianem, a Dern wszedł do boksu, w którym rano przywiązał gniadą klacz. Wydawało mu się, że lekko

utykała na przednią prawą nogę. Nie zwracając uwagi na jej gniewne parskanie, uniósł tę nogę, przytrzymał kolanami i dokładnie obejrzał kopyto. Nie dostrzegł żadnych pęknięć, upewnił się też, że podkova się nie oblużowała. Klacz stała spokojnie, tylko niecierpliwie strzygła uszami. Nie wykazywała także niepokoję, gdy obmacywał pęcinę i kolano.

- No, co jest? - zapytał. W odpowiedzi spojrzała na niego. Jasna strzałka na czole odznaczała się wyraźnie.

Nie był weterynarzem, ale od dziecka przebywał wśród koni. Wyprowadził klacz ze stajni na pastwisko. Uniosła łeb, zarżała głośno i galopem dołączyła do stada. Mknęła bez śladu utykania. Zwolniła dopiero u boku Jaspera.

- Myślisz, że udawała? - Dern zerknął na psa. Przez kilka minut obserwował klacz i doszedł do wniosku, że nic jej nie jest. - Będziemy mieli na nią oko, co, bracie?

Rover zamachał ogonem i przechylił łeb, jakby dawał do zrozumienia, że się zgadza.

- No, chodź. - Dern zagwizdał na niego i zawrócił do stajni. Chciał jeszcze sprawdzić zasuwę i naoliwić skrzypiące zawiasy w drzwiach.

Żeby się wydawało, że sumiennie wykonuje pracę, do której go zatrudniono.

Ale to tylko pozory, ponieważ on, tak jak wszyscy inni na tej przeklętej wyspie, nie był tym, za kogo się podawał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, zanim ktoś się zorientuje.

A wtedy rozpęta się piekło.

Pomyślał o Cheryl Reynolds w kałuży krwi i zacisnął zęby. Może piekło już się rozpętało?

Rozdział 27

Energicznym ruchem wyrzuciła lekarstwa do muszli klozetowej i spuściła wodę. Patrzyła, jak tabletki wirują i znikają w odpływie.

- Dość tego - mruknęła i wróciła do sypialni, w której podświadomie spodziewała się zobaczyć ponurą Demetrię, władczą Khloe albo wiecznie węszącą Jewel-Anne.

Ale w pokoju nikogo nie było, jeśli nie liczyć Pana T, który chyba tu zabłądził, bo zaraz wycofał się i pobiegł w głąb korytarza.

- Nie tędy - zawołała za nim Ava. Nie zareagował na jej głos. No cóż, za chwilę sam się przekona, że tylne schody są zamknięte, i będzie musiał zawrócić do głównych, jak wszyscy inni.

Była spięta, niespokojna, nie czuła też ulgi na myśl, że zaraz pójdzie spać. Od rozmowy z Trentem siedziała u siebie przed laptopem. Bolały ją plecy, drętwiały ramiona, w głowie kręciło się od natłoku myśli. Czytała artykuły prasowe o śmierci Kelvina i usiłowała połączyć jakoś śmierć brata ze zniknięciem synka, ale i tym razem nie dostrzegła żadnego związku poza tym, że widuje Noaha na pomoście, przy którym cumowała „Krwawa Mary” w dniu tragedii.

Wpatrzona w hangar za oknem, zastanawiała się, co jej umyka, czego nie dostrzega. Jej brat nigdy nie poznał siostrzeńca; zginął na krótko przed jego narodzinami. A jednak była pewna, że śmierć Kelvina w jakiś sposób łączy się z zaginięciem Noaha.

Zdjęła z oparcia krzesła ulubioną bluzę, włożyła ją i zbiegła schodami do holu.

W gabinecie Wyatta nadal było ciemno. Dzwonił i uprzedził ją, że wróci później. Była to krótka, sucha rozmowa. Ava nie powiedziała mężowi o rezygnacji Evelyn McPherson. Uznała, że to nieodpowiedni moment. Poinformuje go o tym później.

W drodze do drzwi usłyszała stłumione przez ściany odgłosy telewizora w salonie i charakterystyczne stukanie bil w pokoju rekreacyjnym. A więc kuzyni się relaksują. Świetnie. Przynajmniej są zajęci.

W kuchni było ciemno, po kolacji Virginia wróciła do siebie. Khloe i Simon już wcześniej wybrali się do Anchorville, a Jewel-Anne była zapewne w swoim pokoju, z koszmarnymi lalkami i ukochanymi przebojami Elvisa, i oddawała się ulubionej rozrywce - grom internetowym.

Bardzo to wszystko dziwne. Bardzo.

Litości, Avo. Naprawdę uważasz, że zachowanie Jewel-Anne jest dziwniejsze niż twoja obsesja na punkcie zniknięcia synka? I przekonanie, że wszyscy się na ciebie uwzięli?

Otworzyła frontowe drzwi i wymknęła się na dwór, gdzie nocny chłód zaatakował ją z pełną siłą. Szybko przemierzyła werandę, zbiegła ze schodków i ruszyła w stronę nabrzeża. Zimny porywisty wiatr bawił się suchymi liśćmi, miotał nimi nad mokrą po deszczu ściółką. Wsunęła dłonie głęboko do kieszeni bluzy kangurki i pobiegła na pomost. Stała na starych, skrzypiących deskach i wpatrywała się w mroczną spienioną toń. W swoich snach wiele razy widziała Noaha właśnie tutaj.

Nie tylko w snach. Kiedyś widziała go też na jawie.

Spojrzała przed siebie, na zatokę i światła Anchorville, a potem wróciła wzrokiem do Monroe. Latarnie uliczne świeciły niebieskawym blaskiem, nad samą wodą kusił neonowy szyld U Franka, relikwyt jeszcze z lat pięćdziesiątych. Na zachodzie było otwarte morze, za domem wznosiły się wzgórza.

Dlaczego Trent sugerował, że śmierć Kelvina była w jakiś sposób związana ze zniknięciem synka?

Ponieważ Noah urodził się tuż po katastrofie. Drugie imię dostał po zmarłym wuju: Noah Kelvin Garrison.

Ale przecież było coś jeszcze, coś ulotnego, niejasnego, nieuchwytnego jak węgorz morski, który w jednej chwili pod pływa bliżej, by w następnej zniknąć w ciemnych szczelinach.

Ava była pewna, że coś jej umyka, że czegoś nie dostrzega, ale chociaż bardzo się starała, nie potrafiła sobie uświadomić, co to jest.

Myśl, Avo!

Co to takiego?

Przeniosła spojrzenie na pogrążony w mroku ogród i miejsce, w którym znajdował się kamień upamiętniający jej synka. Często tam przesiadywała. I nie tylko ona. Jewel-Anne także. Obie spędzały przy głazie całe godziny. Zastanawiała ją fascynacja kuzynki tym miejscem.

Jewel-Anne mówiła, że też tęskni za Noahem, a gdy siedzi przy głazie, w którym wyryto jego imię, czuje, jakby był bliżej...

Ava wpatrywała się w mrok i nagle poczuła na karku lodowaty palec strachu.

To miejsce... O Boże...

Zimny podmuch musnął jej twarz, księżyc skrył się za chmurami. Włoski na jej karku stawały jeden po drugim.

- Niemożliwe - szepnęła, ale było już za późno. Cień myśli, skraj prawdziwego, rzeczywistego koszmaru, przedarł się do jej umysłu. - Noah...

Jej serce zmieniło się w bryłę lodu. Zaszło jej w ustach.

Czy pod płaskim głazem z imieniem jej syna kryje się coś jeszcze?

Czy istnieje jakiś inny, mroczniejszy powód, dla którego kamień znalazł się akurat w tym miejscu ogrodu? A może to wcale nie pamiątka, lecz nagrobek?

- Nie, Boże, nie... - wyszeptała drżącym głosem, ale ta koszmarna myśl na dobre załęgła się w jej umyśle i nie mogła się jej pozbyć. Nie

pamiętała, kiedy ten głaz pojawił się na wypielegnowanym chodniku, ale teraz, w ciemności, nabrała pewności, że nie bez powodu wybrano właśnie ten zakątek ogrodu. Marmur, ławeczka, krzewy dokoła... -Nie, Boże, błagam cię, nie... - powtarzała, ale już biegła w stronę hangaru. Jej kroki dudniły na drewnianym pomoście, aż stare deski odpowiadały echem.

Wpadła do hangaru i zapaliła światło. Łódź była na miejscu, nad wodą, kamizelki ratunkowe wisiały na ścianie, wiosła i wędki stały w kącie.

Ani śladu łopaty.

Niczego, czym mogłaby kopać.

Gwałtownie zamknęła drzwi, oparła się o nie i wzięła głęboki oddech, żeby choć trochę ochłonać.

Nie zachowuj się jak wariatka, tłumaczyła sobie w duchu, nie ma powodu, żebyś nagle wpadała w panikę. Przecież nic się nie zmieniło. Wszystko jest jak dawniej.

Więc skąd to przemożne przeświadczenie, że zakątek w ogrodzie poświęcony pamięci jej synka kryje inną, znacznie bardziej ponurą tajemnicę?

Krew dudniła jej w uszach, adrenalina niemal rozsadzała żyły, lecz mimo to starała się opanować ogarniające ją szaleństwo. Czuła, że zbliża się do granicy obłądu.

Nie, Noah nie spoczywa pod tym kamieniem! To niemożliwe! A jednak wyobrażenia podsuwała jej różne makabryczne scenariusze śmierci synka, już niemal widziała, jak ktoś grzebie go w ogrodzie.

Z rozszalałym sercem wypadła z hangaru i pobiegła przez ogród do alejki. Po twarzy smagały ją mokre pajęczyny, ale nie zwracała na nie uwagi. Musiała się dowiedzieć, musiała! Bez względu na wszystko! Niewiele widziała przez łyzy, ale w końcu znalazła się przed szklarnią. Drzwi były lekko uchylone.

Drżącą dłonią zapaliła światło i zmrużyła oczy od jaskrawego blasku. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Pod rurami z wodą leżały popękane doniczki, w skrzynkach z ziemią sadzonki pomidorów pięły się po tyczkach. Koło drzwi stały dwie łopaty. Porwała jedną i znowu puściła się biegiem dookoła domu, obok paproci nadal mokrych od deszczu. Pod kamieniem na pewno niczego nie ma, powtarzała sobie. Na pewno tylko wyobraża sobie ciało synka pogrzebane w ziemi. Nie, to niemożliwe, żeby pod głazem spoczywały zwłoki.

Ze łzami w oczach dobiegła do zacisznego zakątka, wbiła łopatę w mokrą ziemię. W bladym świetle księżyca widziała imię synka na kamieniu.

- Och, skarbie - szepnęła. Serce jej się ścisnęło, przerażenie dławilo w gardle tak, że ledwo mogła oddychać.

Było zimno, ciemność rozjaśniała tylko mała latarnia przy garażu i wąski sierp księżyca.

Naparła na łopatę i poczuła, jak kamień się rusza.

- No, dawaj - naparła mocniej i głaz lekko się przesunął.

Nie wiedziała, co pod nim znajdzie, wiedziała jedynie, czego się obawia.

Tłumaczyła sobie, że te obawy są bezpodstawne, że pod głazem jest tylko mokra ziemia. Nie mogła się jednak powstrzymać, musiała doprowadzić do końca ten szalony pomysł.

Wiatr się wzmaczał, ciężkie burzowe chmury były coraz bliżej.

- Na pewno nic tu nie ma - powtórzyła, tym razem na głos, ale odsunęła głaz i zaczęła kopać.

Wbijała łopatę w wilgotną glebę, napierała na nią całym ciałem, żeby weszła głębiej.

Początkowo szło jej to opornie, ale wkrótce złapała właściwy rytm.

Energicznie odrzucała na bok porcje wykopanej ziemi i ponownie wbijała szpadel w miękki grunt.

Mocno zaciskała dłonie na rękojeści, to pochylając się, to prostując przy kolejnych ruchach. Pot spływał jej między łopatkami i na szyję, ramiona, nieprzyzwyczajone do wysiłku, omdlewały, ale kopała wytrwale.

Gorączkowo.

Z determinacją.

Za wszelką cenę musiała się dowiedzieć, co kryje się pod kamieniem.

Nic tam nie ma, kolejny raz powtórzyła w myślach. To bez sensu, a jeśli ktoś cię zobaczy, odeślą cię do St. Brendan.

Dół był coraz głębszy, a sterta wykopanej ziemi rosła z każdą minutą.

Ava dyszała z wysiłku, ale mimo bólu w mięśniach i coraz większego przerażenia nie przestawała kopać.

- Ej! - Męski głos sprawił, że znieruchomiała.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że ktoś się zbliża. Zacisnęła dłonie na szpadlu.

- Ava? Co ty wyprawiasz?

Rozpoznała głos Derna. Rozluźniła się trochę, gdy wyszedł z mroku i znalazł się w bladej poświacie księżyca. Rover dreptał za nim.

- Kopię.

- To widzę. Ale po co? - zapytał, a ona nagle poczuła się idiotycznie, stojąc z łopata w ogrodzie w środku nocy.

- Nie wiem - odparła. Bała się ubrać swoje obawy w słowa. -Może... może tu jest mój synek.

Dern podszedł bliżej.

- Co?! - Złapał za trzonek łopaty i nie pozwolił, żeby po raz kolejny wbiła ją w ziemię. - Avo, co ci chodzi po głowie?

Z trudem przełknęła ślinę. Usiłowała wziąć się w garść. Odgarnęła włosy z twarzy brudną dłonią.

- Po prostu wiem, że tu się dzieje coś dziwnego.

- Tu? W ogrodzie?

- Na tej cholerniej wyspie! - Spojrzała na niego gniewnie, nadal nie puszczając łopaty.

- I myślisz, że właśnie tu jest coś pogrzebane? - nawet nie próbował ukrywać sceptycyzmu. - Na przykład ciało twojego syna?

- Nie wiem, takie mam przeczucie. - Szarpnęła za łopatę, ale nie puszczała.

- Wydaje mi się...

- No co? - weszła mu w słowo. - Co ci się wydaje? Że Noaha tam nie ma? Że niczego tam nie znajde? A może uważasz, że mi odbiło?

- Chciałem tylko powiedzieć, że moim zdaniem to kiepski pomysł. Znowu próbowała wyrwać mu łopatę.

- Zostaw mnie w spokoju, do cholery!

Nadal nie puszczała. Spojrzała w jego oczy, jeszcze ciemniejsze teraz, gdy chmury zasłoniły gwiazdy.

- Puszczaj - syknęła. - To moja sprawa. Nie masz z tym nic wspólnego.

- Na miłość boską! - Wyrwał jej łopatę z dłoni i w milczeniu zaczął kopać. Odrzucał mokrą ziemię na coraz wyższy kopczyk koło kamienia.

Ava poczuła na twarzy pierwsze krople deszczu.

- Przestań - powiedziała. - Mówię poważnie. Nie musisz tego robić. Dern kopał dalej.

- Powiedz, kiedy uznasz, że już dość - mruknął. Rytmicznie wbijał łopatę w ziemię. Dół pogłębiał się, sterta ziemi rosła, a Ava powoli godziła się z myślą, że się pomyliła. Po raz kolejny dała się ponieść wyobraźni i teraz... Bum!

Łopata uderzyła o coś metalowego.

- O cholera - szepnęła Ava i serce stanęło jej w piersi. Bum!

Znowu zgrzyt metalu o metal. Dern wyprostował się i odnalazł w ciemności jej wzrok.

- Może już damy sobie spokój?

Pokręciła przecząco głową i spojrzała w ciemną dziurę.

- Muszę wiedzieć - odparła. Serce waliło jej jak młotem, pociły się dłonie, w głowie aż huczało od zaprzeczeń.

- Na pewno? - spytał.

Skinęła głową ale wewnętrzny głos nie ustawał. Nie! nie! nie! Nie wiedziała, czy zdoła dalej żyć, jeśli znajdzie ciało synka, jeśli będzie musiała ostatecznie pogodzić się z tym, że już nigdy nie zobaczy go żywego.

Dern zacisnął usta w wąską linię i zabrał się do pracy. Po pewnym czasie spod ziemi wyłoniła się podłużna metalowa skrzynka wielkości mniej więcej dziecinnej trumienki.

O Boże, nie, błagam cię, nie... Niech to nie będzie Noah!

Tymczasem zaczęło grzmieć i deszcz rozpadał się na dobre. Ava w ogóle tego nie zauważyła. Wbiła wzrok w metalową skrzynkę, którą Dern z wysiłkiem wyciągnął z dołu i postawił koło ławeczki.

Przerażona nie usłyszała odgłosu kroków na żwirowej alejce.

- Mamy towarzystwo - mruknął Dern.

- Co tu się dzieje? - głos Jacoba spływał ze wzgórza.

Ava nie zwracała uwagi ani na niego, ani na ostrzegawcze powarkiwanie Rovera. Cały czas wpatrywała się w skrzynkę.

- Coś tam jest - orzekł Dern. - Waży jakieś piętnaście kilogramów.

- Co to ma znaczyć? - Jacob skierował światło z iPhone'a na poobijaną, ubrudzoną ziemią skrzynkę. - O cholera! To było pod głazem?

- Tak. - Ava mówiła ledwie słyszalnym szeptem, z trudem trzymała się na nogach. Ale musiała wiedzieć, musiała! Serce podeszło jej do gardła. - Otwórz.

- Na pewno? - spytał Dern.

- Tak. - Nie, błagam, nie!

- Cholera! - Jacob cofał się powoli, nie spuszczać wzroku ze skrzynki. Zbladł gwałtownie. Dłoń, w której trzymał telefon, drżała. - Nie wiem, co to jest, ale wcale mi się to nie podoba.

- Otwórz - powtórzyła Ava stanowczo. Huk piorunów ogłuszał ją burza przybierała na sile.

Dern pochylił się nad skrzynią i spróbował unieść wieko.
- Nic z tego - oznajmił. - Zamknięta na klucz. Poszukam noża albo łomu.
- Nie trzeba - odparła Ava. Z lodowatą pewnością wyjęła kluczyk z kieszeni dzinsów, kucnęła przy trumience i wsunęła go do zamka.
Pasował.
O Boże, Boże, Boże...
- Jezu Chryste... - szepnął Jacob i wąski snop światła z jego telefonu zadrżał. - Chyba nie chcesz...
Kliknięcie. Zamek ustąpił.
- Ava. - Dern zacisnął dłoń na jej ręce. Silną. Pokrytą odciskami. Ava z całej siły szarpnęła wieko. Jacob poświecił do środka.
W trumience, z szeroko otwartymi oczami, w których odbijało się mdłe światło, leżało małe martwe ciało.

Rozdział 28

O cholera! - Jacob upuścił telefon i odskoczył do tyłu tak gwałtownie, że przestraszył psa, który zawył przeciągle.
Przerażona Ava zdusiła krzyk. Wpatrywała się w martwe ciało w prowizorycznej trumience. Widziała czerwoną bluzę Noaha, jego sprane dzinsy, jego...
Żółć podeszła jej do gardła. Odruchowo zgięła się wół i zwymiotowała.
Wzięła kilka głębokich wdechów i znowu spojrzała na otwartą skrzynkę. Powinna szaleć z rozpaczy, ale czuła instynktownie, że nie leży w niej ciało jej synka. Coś tu było nie tak, nie mogła jednak uzmysłwić sobie, co.
- To lalka - głos Derna brzmiał zadziwiająco spokojnie i tylko nerwowo zaciśnięte szczęki świadczyły, że z trudem panuje nad gniewem. Zwrócił się do Jacoba. - Daj tu to światło.
Zanim zdrętwiały z przerażenia Jacob zdążył zareagować, Ava sama podniosła jego komórkę i skierowała strumień światła na prowizoryczną trumienkę, w której, na zwykłym kocu, leżała duża szmaciana lalka z porcelanową głową. Jej dawniej gładką twarz znaczyły pęknięcia i rysy, lewe ucho odłamało się, a powieka jednego oka była

na wpół opuszczona. Włosy były krótko obcięte, tak że spod czerwonego kaptura bluzy wystawały tylko krótkie kosmyki.

Lalka miała wyglądać jak Noah. Co za makabryczny żart.

Przeszedł ją dreszcz, a serce ścisnęło się boleśnie. Bogu niech będą dzięki, że to nie ciało jej synka, że nadal może mieć nadzieję, że Noah jeszcze żyje, że jeszcze go zobaczy. Ale kto mógł zrobić coś tak okropnego? Kto nienawidzi jej tak bardzo, że posunął się do takiego okrucieństwa? Zagryzła usta, żeby się nie rozplakać.

- Widziałaś kiedyś tę lalkę? - zapytał Dera. Pokręciła przecząco głową.

- Nie - słowa z trudem przechodziły przez ściśnięte gardło. -Ale... te ubranka... to rzeczy mojego synka.

Dern w milczeniu wpatrywał się w lalkę.

- Bluza - szepnęła Ava. - Pamiętam ją.

- Jezu, ależ to popieprzone! - Jacob cofnął się jeszcze o krok, jakby w obawie, że szmaciana lalka ożyje.

Ava wyjątkowo przyznała mu rację.

- Więc ktoś przebrał tę lalkę za twojego syna i pochował tutaj -stwierdził Dern ostrożnie.

- Tak, zdecydowanie tak. Ta lalka to mała dziewczynka, ale ktoś obciął jej włosy, żeby przypominała chłopca. Mojego Noaha. - Znów przeszedł ją dreszcz.

- A potem włożył klucz do trumny do kieszeni mojego swetra, tak że wcześniej czy później musiałam go znaleźć. Bawił się ze mną drażnił mnie, prowokował, czekał, aż znajdę tę skrzynkę. -Jej rozpacz stopniowo przeradzała się w gniew. Kto mógł zrobić coś takiego?! Kto?! Ktoś nienawidzi mnie do tego stopnia, że chce, abym cierpiała najbardziej, jak to możliwe.

- Ale przecież mogłaś nigdy nie znaleźć tej skrzynki, nie wpaść na to, że masz tu kopać - zauważył Dern. Padało coraz mocniej. Wytarł twarz rękawem koszuli.

- Skoro zadał sobie tyle trudu, aby ucharakteryzować lalkę i zakopać ją pod kamieniem, na pewno zadbałby o to, żebym znalazła tę skrzynkę. Gdybym sama nie wpadła na to, żeby tu kopać, podrzucałby mi kolejne wskazówki, rozkoszował się moją bezradnością, cieszył się moją głupotą i jednocześnie obserwował, czy zmierzam we właściwym kierunku.

- Ale kto mógł to zrobić? - zastanawiał się Jacob.

Każdy członek mojej rodziny, pomyślała, a na tę myśl znowu poczuła mdłości. Zdawała sobie sprawę, że krewni obgadują ją za plecami

i czerpią ponurą satysfakcję z faktu, że jest chora, że nic nie zostało z dawnej zdecydowanej, władczej Avy. Ale taka głęboka, jadowita nienawiść. .. Nie, to coś innego.

Usiłowała zapanować nad sobą. Odwróciła się, spojrzała na dom. Tonął w mroku, ale dostrzegła jasne plamy światła w oknach kuchni i jadalni na parterze i niesamowitą błękitną poświatę w oknie pokoju Jewel-Anne na piętrze - pewnie kuzynka ogląda telewizję albo wpatruje się w ekran komputera.

Firanka w jej oknie leciutko drgnęła.

Czyżby wszystko obserwowała, a teraz cofnęła się od okna, jak żółw chowający się do skorupy?

- Jewel-Anne - szepnęła Ava, bo w tej chwili jej podejrzenia skoncentrowały się wokół jednej osoby: kuzynki, która uparcie nie chciała dorosnąć, która wiecznie grała rolę ofiary, która obwiniała ją o śmierć Kelvina i swoje kalectwo. - Suka - mruknęła, wyjęła lalkę z upiornej trumienki i ruszyła pod górę.

- Dokąd idziesz? - zapytał Dern.

- Do domu - warknęła i przyspieszyła kroku. Jewel-Anne. to na pewno Jewel-Anne i jej pieprzona lalka. Bo któżby inny?

Biegła do domu w strugach deszczu, zaciskając palce na miękkim korpusie szmacianej lalki. Lalka miała rozmiary półrocznego dziecka, nie dwulatka, ubranka były za duże, ale mimo to bardzo przypominała Noaha.

Pieprzona Jewel-Anne! Niech ją szlag trafi!

Ava wiedziała, że Dern biegnie za nią, słyszała jego kroki na miękkim podłożu, nie zwolniła jednak, nawet się nie obejrzała. Wbiegła do domu przez kuchnię i popędziła dalej korytarzem, stukając podszewkami o posadzkę. Pan T, czarny kot Virginii, czmychnął spod jej nóg.

Dern dogonił ją przy schodach.

- Nie możesz być pewna, że to sprawka Jewel-Anne.

- Mogę! I sama to załatwię! - prawie krzyczała. Wiedziała, że za całą tą maskaradą stała jej kuzynka, nie rozumiała tylko, dlaczego posunęła się do takiego okrucieństwa.

Gniew dodawał jej sił. Wbiegła na górę i skierowała się do bocznego skrzydła, gdzie był pokój Jewel-Anne. Nie zawracała sobie głowy pukaniem, gwałtownie otworzyła drzwi.

- Ej! - Jewel-Anne podniosła głowę. Siedziała przy komputerze ze słuchawkami w uszach. - Co to...? O Boże, co to jest? - Wpatrywała się w lalkę w dłoni Avy.

- A jak myślisz? - Ava cisnęła w nią mokrą szmacianą zabawką. Jewel-Anne cofnęła się z odrazą. Lalka upadła na podłogę.

- Ava, na Boga, co ty wyprawiasz? Co to za lalka?

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie. Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. - Jewel-Anne nerwowo kręciła głową.

Ava pociągnęła za kabelek i z uszu kuzynki wypadły słuchawki.

- Chyba jednak wiesz!

- Co ty robisz?

- Pilnuję, żebyś poświęciła mi całą uwagę!

- Avo, uspokój się - powiedział Dern, który od kilku chwil stał w progu.

Gestem dała mu znak, że ma milczeć. Gniewnie wpatrywała się w kuzynkę.

Obrzydzenie Jewel-Anne było niemal namacalne.

- Skąd ją masz? - spytała, wskazując palcem lalkę na podłodze.

- Z trumny w ogrodzie - odparła Ava. - Spod kamienia z imieniem Noaha.

Była dokładnie tam, gdzie ją zakopałaś!

Jewel-Anne, blada jak ściana, wpatrywała się w kuzynkę oczami okrągłymi ze zdumienia.

- Trumna... w ogrodzie... pod kamieniem? - wykrztusiła. - Czyś ty oszalała?

- Ty mi to powiedz! Kto inny mógł to zrobić? Kto inny zakopałby lalkę pod kamieniem z imieniem Noaha? To ty ciągle tam przesiadujesz. Od dawna intrygowało mnie, co cię tak pociąga w tym miejscu. Teraz już wiem.

- Nie, nie... ja... ja tylko chciałam się pomodlić.

- Akurat!

- Avo, posłuchaj tego, co mówisz. Odbiło ci, zupełnie oszalałaś! W życiu nie widziałam tej lalki! - Jewel-Anne popatrzyła na szmacianą lalkę leżącą u stóp jej łóżka, z jedną nogą pod koronkową narzutą. - To... to paskudztwo!

- Przyjrzyj się uważnie - warknęła Ava, podniosła lalkę z podłogi i podsunęła kuzynce pod nos, tak że porcelanowa buzia znalazła się tuż przed jej oczami. - Obcięłaś jej włosy, żeby przypominała chłopca.

- Przerażasz mnie! - powiedziała Jewel-Anne, jej oczy za szklami okularów zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe.

- I dobrze! Właśnie o to mi chodzi!

- Przestań - rzucił Dern ostro i wszedł do pokoju.
- Ani mi się śni! Ona to zrobiła! - Ava łypała na niego groźnie.
- Niby jak? - zapytała Jewel-Anne, już nieco spokojniejsza. - W jaki sposób mogłabym odsunąć kamień, wykopać grób i włożyć tam trumnę, a potem zasypać dół ziemią, w dodatku tak, żeby nikt niczego nie zauważył? Nie byłabym w stanie nawet przesunąć kamienia.

Wydawała się tak szczerze oburzona, że Awę ogarnęło zwątpienie. Czyżby niesłusznie oskarżyła kuzynkę?

Nie, to musiała być Jewel-Anne! Musiała! Bo jeśli nie ona, to kto?

W korytarzu rozległy się kroki i po chwili do pokoju weszła Demetria.

- Co tu się dzieje? - zapytała.

- Jewel-Anne chciała doprowadzić mnie do obłędu - oznajmiła Ava i podniosła lalkę. - Za pomocą tego.

- Do obłędu? - powtórzyła Demetria.

- Ava uważa, że chcę, żeby zwariowała, że nią manipuluję - wyjaśniła Jewel-Anne. Już całkiem odzyskała panowanie nad sobą. Na jej policzkach wykwitły czerwone plamy gniewu.

Dern przyglądał się im bez słowa, z nieprzeniknioną miną.

- Bo manipulujesz - upierała się Ava. - Najpierw znajduję w kieszeni klucz, który, tak się dziwnie składa, pasuje do zamka w trumnie. Potem mokre buciki Noaha. A teraz ta lalka... - Pomachała szmacianą lalką tak mocno, że porcelanowa głowa podskoczyła bezwładnie.

Usta Jewel-Anne drżały.

- Nie obwiniaj mnie za swoje paranoje. Sama oszalałaś, rozumiesz? Sama! I pewnie sama to wszystko zrobiłaś! Dlatego chciałaś się zabić! To poczucie winy doszło do głosu.

- Nie jestem szaloną, nie chciałam się zabić i nie mam żadnego poczucia winy - odparła Ava, rzucając lalkę na podłogę.

- Ale przecież wszyscy tak myślą, policja też! To przez ciebie Kelvin wypłynął tamtego dnia, to przez ciebie zginął, przez ciebie ja siedzę na tym cholernym wózku. To ty ostatnia widziałaś Noaha. I ostatnia byłaś u Cheryl Reynolds, zanim ją zamordowano. Nie widzisz, że to wszystko się układa w pewien wzór? To twoje... odkrycie było tylko próbą odwrócenia uwagi. Dziwnym trafem akurat ty znalazłaś zmoczone buciki Noaha, chociaż wszyscy widzieli je w twojej szafie. A jeśli chodzi o ten głupi klucz... - Jewel-Anne wzruszyła ramionami - mogłaś go sama schować do kieszeni i potem o tym zapomnieć. Gdybym ja

chciała zrobić ci taki kawał, nigdy nie posłużyłabym się lalką. W życiu nie widziałam tego paskudztwa, ale sam fakt, że to lalka, od razu wskazuje mnie. Niby dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo sądziłaś, że uda ci się mnie wkręcić. - Ava nadal obstawała przy swoim, ale w duchu musiała przyznać, że argumenty Jewel-Anne brzmią całkiem sensownie.

- Sama się wkręcasz.

- To...

- Szaleństwo, tak, wiem. Ale niewykluczone, że sama nie wiesz, co robisz. Pewnie naprawdę wierzysz w... w to wszystko, czego jakoby nie pamiętasz. Jak ci ludzie z... Jak to się teraz nazywa? Nie schizofrenia, tylko... - Spojrzała na Demetrię. - Pamiętasz?

- Rozdwojenie jaźni - podsunęła pielęgniarka.

Ava wodziła wzrokiem od Jewel-Anne do Demetrii i z powrotem.

- Ja tego nie zrobiłam!

- Nie? - Jewel-Anne wyprostowała się, podjechała bliżej i zmierzyła kuzynkę oskarżycielskim wzrokiem. - A skąd wiesz?

Ava milczała. Leżąca lalka patrzyła na nią porcelanowymi oczami. To nieruchome spojrzenie mówiło: Sama to zrobiłaś, wariatko, sama sobie napytałaś biedy. Avie wydało się, że słyszy śmiech, przerażający, upiorny śmiech, jakby wszyscy razem wymyślili ten okrutny żart. Z trudem powstrzymała odruch, by zakryć uszy dłońmi i wybiec z pokoju. Tylko dokąd miała pójść? Nigdzie nie czuła się bezpiecznie. Do kogo? Nikomu nie mogła ufać.

Zerknęła na Derna.

W jego oczach dostrzegła troskę.

- Chyba na tym skończymy - powiedział. - Już dość oskarżeń.

- Ale ktoś przebrał tę lalkę za mojego synka, ułożył ją w skrzynce podobnej do trumny, zakopał w ogrodzie pod kamieniem, a potem drażnił się ze mną, podsuwał wskazówki, aż w końcu to znalazłam.

- Dlaczego miałyby to robić? - zapytała Demetria.

- Żeby postradała zmysły - odparła Ava. Jewel-Anne skrzywiła się z niesmakiem.

- W tym akurat nie trzeba ci pomagać!

- Dość tego! - Dern jedną ręką podniósł lalkę, drugą złapał Avę za ramię.

Jewel-Anne zmrużyła oczy. Ava dostrzegła w nich gniew i... no właśnie, co? Czyżby błysk satysfakcji, triumfu?

- Dobrze się czujesz? - Demetria pochyliła się nad podopieczną, a Dern wyprowadził Awę z pokoju kuzynki.

- Co ty wyprawiasz? - warknęła, gdy znaleźli się na korytarzu. Próbowwała się wyrwać, ale zamknął jej ramię w żelaznym uścisku.

- Ratuję ci tyłek.

- Przed czym?

Zamiast odpowiedzieć, zaprowadził Awę do jej pokoju. Pchnął lekko uchylone drzwi i oboje weszli do środka.

- Nie wiem, co tu się dzieje - zaczął, ledwie przekroczyli próg. Pociągnął ją za sobą i jednym kopnięciem zamknął drzwi. - Ale wiem jedno: bez względu na to, o co tu chodzi, musisz zachować spokój.

Wyrwała mu lalkę i podsunęła pod nos.

- Jak mam zachować spokój, kiedy dzieje się coś takiego, bez względu na to, kto to zrobił?

- Nie wiem. - Rozłożył ręce, dając upust własnej frustracji. - Ale jeśli naprawdę uważasz, że ktoś chce, żebyś znowu trafiła do wariatkowa, musisz przestać zachowywać się jak wariatka.

- Wcale się tak nie zachowuję!

- A jak myślisz, co będzie, jeśli poproszą McPherson albo innego lekarza, żeby ocenił, czy jesteś zdrowa psychicznie?

- Nie jestem chora, Dem! - Uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. - Byłeś tam. Widziałeś trumienkę.

- Tak, ale nie widziałem, kto ją tam umieścił. I naprawdę trudno mi uwierzyć, że zrobiła to kobieta przykuta do wózka - odparł. - A jeśli nie zrobiła tego sama, kto jej pomagał? Brat? Jacob to dupek, ale sądząc po jego reakcji, był przerażony tak samo jak my. Więc kto? Komu by się chciało?

- Im wszystkim - powiedziała cicho.

Milczał dłuższą chwilę, zastanawiając się nad jej słowami.

- Zdaję sobie sprawę - rzekł wreszcie - że to dla ciebie trudne...

- Trudne? - weszła mu w słowo. Zaciśnął usta i lekko skinął głową.

- Dopóki nie dowiemy się, o co tu naprawdę chodzi, kto to robi i dlaczego, musisz nad sobą panować.

- Panować nad sobą - wycodziła przez zęby. Znowu skinął głową.

- Tak. - Jego brązowe oczy pociemniały. - Mówię poważnie, Avo.

Powoli wypuściła powietrze z płuc i policzyła w myślach do dziesięciu, usiłując zapanować nad rozedrganymi emocjami. Dobrze, że chociaż Dern jest po jej stronie.

A niby skąd to wiesz? Może on też udaje? Wykorzystuje twoje rozchwianie umysłowe. Knuje z kimś. Jakoś tak dziwnie się składa, że ilekroć masz kłopoty, od razu się pojawia. Dlaczego? Bawi się w bohatera? A może na coś liczy? Nie możesz być pewna, że jest po twojej stronie! Nie możesz mu ufać!

Mimo tych wątpliwości pragnęła mu zaufać, bo nie wierzyła nikomu innemu, nawet własnemu mężowi.

- Uważasz, że ktoś chce mnie wysłać do szpitala? - spytała w końcu.

- Nie mam pojęcia, ale wiem, że coś jest nie tak. Komu mogłoby zależeć, żebyś ponownie trafiła do wariatkowa?

- Nie wiem.

- Więc musisz się dowiedzieć, aja ci pomogę - powiedział. Uśmiechnął się przelotnie, a jego ręka na jej ramieniu nie wydawała

się już Avie ciężarem, lecz wsparciem, czymś, co ją łączyło z drugim człowiekiem. Bardzo tego potrzebowała.

Zdawała sobie sprawę, że to głupie i nierozsądne, ale wtuliła się w niego, zamknęła oczy i z trudem powstrzymała westchnienie ulgi. Kiedy ostatnio obdarzyła kogoś zaufaniem, pozwoliła sobie na chwilę oddechu? Czuła bicie jego serca, silne i równe. Gdzieś w oddali słyszała warkot silnika, jeszcze cichy, ale narastający z każdą sekundą.

Dern puścił lalkę i objął ją.

- Dojdziemy do tego - obiecał, a ona poczuła wilgoć pod powiekami.

- Oby - wykrztusiła przez łzy.

Na dworze zaszczekał pies. Wiatr szumiał w nagich gałęziach drzew.

Ale tu, w jej pokoju, Austin Dern pachniał jesienią, deszczem, ziemią i męskością, i to wszystko niosło otuchę. Był solidny. Odpowiedzialny. Niewiele o nim wiedziała, ale nie obchodziło jej to. Miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję, poczuć na wargach jego ciepłe usta. Przypomniała sobie tamten sen, namiętny seks i chociaż powinna poczuć zażenowanie, przepełniło ją gwałtowne pragnienie.

Głupotą jest sądzić, że może zaufać nieznajomemu, o którym nie wiedziała prawie nic. Jednak jej rodzina, ludzie, których znała całe życie, wydawali się obcy i wrodzy. Zdawała sobie sprawę, jak to brzmi. Nic dziwnego, że wszyscy uważali ją za wariatkę.

Prawda jest taka, że traciła kontakt z rzeczywistością, nie odróżniała już jawy od fikcji. Nowy lęk musnął jej plecy lodowatym palcem. Niewykluczone, że Jewel-Anne ma rację.

Czy to możliwe, że jest tak zestresowana, tak spięta, że sama wpędza się w obłąd?

Gdzieś w oddali drzwi otworzyły się i zamknęły. Drzwi frontowe.

Dern zeszywniał.

- Ktoś przyszedł - powiedział i przez ułamek sekundy miała nadzieję, że zanim wypuści ją z objęć, pocałuje ją w czoło.

Na schodach rozległy się kroki. Dern odsunął się od niej. Szybkie pukanie i drzwi stanęły otworem.

W progu stał Wyatt w płaszczu przeciwdeszczowym ociekającym wodą. Mokre włosy przylegały mu do czaszki. Był czerwony na twarzy, jakby smaganej wiatrem, i wykrzywił usta w grymasie niezadowolenia.

- Co tu się dzieje? - zapytał ostrym tonem. - Dern? Co, do cholery, robisz w pokoju mojej żony?

Rozdział 29

Ava nie dała się zastraszyć.

- Dern mi pomagał, chociaż zapewne uznał, że musiałam oszaleć, żeby kopać w ogrodzie w środku nocy.

- Kopać w ogrodzie - powtórzył cierpko Wyatt. - To dlaczego wylądowaliście w sypialni?

- Dern próbował mnie uspokoić. Wściekłam się, oskarżałam Jewel-Anne. Starał się przemówić mi do rozsądku.

- To nie jego zadanie. - Wyatt spojrzał na Derna z ukosa.

- To był męczący wieczór - stwierdziła Ava ze znużeniem. Nie miała siły na słowne przepychanki z mężem.

Jego gniew opadł, przynajmniej częściowo.

- Wiem. Jacob do mnie dzwonił. Mówił o pudełku z lalką w środku.

- O pudełku z lalką w środku? - powtórzyła. Pochyliła się, podniosła szmacianą kukłę i pomachała nią Wyattowi przed twarzą. Plastikowe oko zamykało się i otwierało rytmicznie, a ręce i nogi kołysały się jak w makabrycznym tańcu. - Oto, co wykopaliśmy.

- Jezu! - Wyatt cofnął się o krok. Wpatrywał się w lalkę z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Wygląda jak Noah! - Podniosła głos i zdała sobie sprawę, że znowu krzyczy, jakby traciła rozum. A może naprawdę tak jest? Kogo to obchodzi?

Wyatt przeniósł wzrok na Derna i wydawało się, że już nie jest tak pewny siebie, choć nadal zachowywał czujność.

- No dobrze - rzekł w końcu, krzyżując ręce na piersi. - Opowiedz mi po kolei, co się właściwie stało.

- To było coś w rodzaju olśnienia. Często widywałam Jewel-Anne samą w ogrodzie...

Opowiedziała Wyattowi i Demowi o dziwnym zachowaniu kuzynki, które najwyraźniej miało związek z miejscem, gdzie leżał kamień poświęcony Noahowi. Przyznała, że kopiąc pod kamieniem, nie spodziewała się niczego znaleźć i miała świadomość, że w ten sposób daje wszystkim kolejny dowód swojego obłądzenia. Mimo to wewnętrzny przymus nakazywał jej to zrobić.

- Musiałam się dowiedzieć - dodała obronnym tonem. Rozcierała ramiona, czując na sobie wzrok obu mężczyzn. - Za tym wszystkim stoi Jewel-Anne, wiem to na pewno - stwierdziła na koniec. - Chce zamienić moje życie w piekło. Uważa, że to przeze mnie została kaleką i że to ja spowodowałam śmierć Kelvina. Wykorzystuje Noaha, żeby mnie zranić.

- Nie wierzę, że byłaby zdolna do czegoś takiego - mruknął Wyatt, ale wyraźnie bez przekonania. Woda z jego płaszcz przeciwdeszczowego spływała na podłogę. Z miną, jakby dopiero teraz to zauważył, zdjął go i przerzucił sobie przez ramię.

- Ktoś to jednak zrobił - zauważył Dern.

Wyatt zacisnął usta w wąską linię. Spojrzał na żonę.

- No dobrze - powiedział. - Wierzę, że ktoś bawi się z tobą w kotka i myszkę. - Ruchem głowy wskazał lalkę. Na jego czole pojawił się mars. - Ale nie sądzę, że to Jewel-Anne. Po pierwsze, ma ograniczone możliwości.

- Ktoś mógł jej pomagać - podsunęła Ava.

Wyatt gwałtownie podniósł głowę. Patrzył na Derna, jakby chciał się upewnić, że i on to słyszy.

- Więc teraz to spisek?

- Może. - Ava nie dawała za wygraną. Dern milczał. Oboje przyglądali się Wyattowi, który usiłował zrozumieć, do czego zmierzała.

- Załóżmy, że za tym wszystkim stoi Jewel-Anne - zaczął powoli. - Nawet jeśli naprawdę cię obwinia i chciała się zemścić, to dlaczego ktoś miałby jej w tym pomagać?

- Nie wiem - przyznała. Usiłowała poskładać kawałki łamigłówek i była wściekła, że jest już tak blisko prawdy, a jednak nadal nie ogarnia całości. Bezradnie rozłożyła ręce. - Może Jacob jej pomaga, w końcu jest przeciwko wszystkiemu i wszystkim. A może jej ojciec? Stryj Crispin nigdy nie pogodził się z utratą części Neptune's Gate. Obwiniano go za ucieczkę Lestera Reece'a z Sea Cliff, potem szpital zamknięto i musiał sprzedać swoją część. To mu się na pewno nie spodobało.

- Czyli stryj Crispin, do spółki z Jewel-Anne, pogrzebał w ogrodzie lalkę przebraną za Noaha?

Brzmiało to idiotycznie nawet dla niej.

- Nie wiem, jaki był powód, ktoś to jednak zrobił. Jeśli nie Crispin, to ktoś inny, związany z Jewel-Anne.

- Avo - powiedział Wyatt łamiącym się głosem. Kątem oka dostrzegła, jak Dern zaciska usta. - Nie pogarszaj sytuacji.

- To chyba nie zależy ode mnie - burknęła.

- A ty co o tym sądzisz? - zwrócił się do Derna. Austin wzruszył ramionami.

- Uważam, że ktoś chce zastraszyć pana żonę. - Wydawało się, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło. Odchrząknął, odetchnął głęboko. - Pójdę już. Sami o tym porozmawiajcie.

Wyszedł. Chodnik na schodach tłumił odgłos jego kroków. Wyatt zamknął za nim drzwi. Zostali sami.

- Nie wiem, co powiedzieć - przyznał.

- Może: Avo, teraz cię rozumiem. Albo: miałaś rację, ktoś naprawdę chce cię wrobić. A może: cieszę się, że w tej trumnie nie było Noaha, poszukajmy go razem.

Przyglądał się jej, jakby była obcą osobą a nie kobietą którą przed laty pojął za żonę. Na jego twarzy gniew walczył z nieufnością.

- No dobrze. - Odgarnął mokre włosy z czoła. - Zróbmy to. Poszukajmy naszego syna.

Przez chwilę czuła ulgę, on jednak dodał:

- Ale jedno musimy sobie wyjaśnić. Powiedz, że nie zakochałaś się w Austinie Demie.

- Co? - mało brakowało, a roześmiałyby się w głos. - Nie! - zapewniła szybko. - Ledwie go znam. - To akurat prawda. Mąż pytająco uniósł brew. - Jestem twoją żoną, Wyatt.

- Ale chciałaś się ze mną rozwieść.

Powoli skinęła głową. Ten fragment życia nadal był za mgłą.

- Po prostu zastanawiam się, na czym stoimy.

- Sama nie wiem - odparła szczerze.

- Słyszałem, że zwolniłaś Evelyn.

- Sama zrezygnowała - poprawiła. - Poleciała mi innego lekarza.

- Czowała się do tego zmuszona. Z przyczyn etycznych. Przez twoje idiotyczne oskarżenia.

- Powiedziała ci?

- Dzwoniła do mnie. Ponieważ to ja ją zatrudniłem, uznała, że powinna to zrobić. Jest teraz na dole.

- Przywiozłeś ją tutaj? - Ava nie ukrywała zdumienia.

- Tak.

- Ale... - poczuła się zdradzona, ale Wyatt mówił dalej, zanim zdążyła zareagować:

- Kiedy Jacob zadzwonił i powiedział, że rozkopujesz ogród jak wariatka, zadzwoniłem do Evelyn, to znaczy do doktor McPherson, i poprosiłem, żeby z tobą porozmawiała.

- Nie chcę z nią rozmawiać.

- Nawet po tym? - Podniósł lalkę przebraną za ich synka. - Boże, czuję, że mnie też przydałaby się terapia.

- Więc ty z nią pogadaj. - Ava miała już dość spełniania poleceń, udawanego małżeństwa, dość tego, że inni się nią bawią. - I zabierz to ze sobą! - wskazała lalkę.

- Avo...

- Nawet nie próbuj mnie uspokajać, Wyatt.

Nie dostrzegała w nim nawet cienia dawnej czułości, uczucia, które kiedyś ich łączyło.

- Robisz błąd - mruknął, idąc do drzwi.

- Być może. Nie pierwszy i, jak sądzę, nie ostatni.

- Naprawdę nie musisz tego tak utrudniać.

- Nie? - Twardo patrzyła mu w oczy, nie odwracała wzroku mimo targających nią potężnych emocji. Kiedy wyszedł, zamknęła za nim drzwi.

Snyder trzymał w jednej ręce pudełko z pizzą drugą mocował się z kluczem do drzwi. Zaklął głośno, słysząc sygnał komórki tkwiącej głęboko w kieszeni.

Po wejściu do mieszkania postawił pudełko na stole, spojrzał na wyświetlacz i zobaczył nazwisko partnerki.

- Weszło ci to w nałóg - rzucił na powitanie. - Co sobie ludzie pomyślą?

Lyons roześmiała się niskim, gardłowym śmiechem, który zdążył już polubić.

- Chciałam ci tylko przekazać najnowsze wieści.

- Jakie? - Wyszedł z posterunku kilka godzin wcześniej, po drodze zajrzał do siłowni, a potem wpadł do baru dwie przecznice dalej i wychylił dwa piwa, czekając na pizzę.

- To pewnie nic takiego, ale dzwonił Biggs. On jest spowinowacony z kimś z wyspy.

- Owszem. - Snyder uniósł wieko i zobaczył smakowite kawałki pepperoni zanurzone w sosie pomidorowym i roztopionej mozzarelli. - Biggs to były szwagier kucharki Virginii Zanders, więc jej dzieciaki nadal uważają go za wujka.

- Właśnie ona zadzwoniła do niego z kuriozalną opowieścią że na terenie posiadłości ktoś zakopał lalkę przebraną za tego zaginionego dzieciaka.

- Co?

- Nie popełniono żadnego przestępstwa, nikt nas nie wzywał - uściśliła. - Ale to kolejna niezwykła sprawa na tej wyspie popaprańców.

Snyderowi wcale się to nie podobało.

- Co to było? Głupi żart? Pozostałości po jakiejś dziwacznej ceremonii?

- Nie wiem, ale Biggs mówi, że to matka tego dzieciaka kopała i znalazła prowizoryczną trumienkę z lalką. Nawrzeszczała na kuzynkę, tę na wózku, która zaklinała się, że to nie ona. Nadal zero przestępstwa. Moim zdaniem to banda szaleńców. Wszyscy nadają się do wariatkowa.

Snyder skinął głową. Chwilowo zapomniał o pizzy.

- Myślisz, że to ma jakiś związek z zabójstwem Cheryl Reynolds?

- Nie sądzę, raczej z zaginięciem tego małego.

- Biggs chce, żebyśmy się tam rozejrzeli?

- Na razie nic nie mówił, ale kto go tam wie?

Oboje mieli dość swojego szefa, szeryfa o małych umiejętnościach, za to znanym nazwisku, który regularnie wygrywał wybory. Owszem, miał talent - do zatrudniania właściwych ludzi i prawienia komplementów. Miał też szczęście. Poza ucieczką Lestera Reece'a z Sea Cliff w Anchorville i okolicach nie dochodziło do poważniejszych przestępstw.

Chociaż to, niestety, miało się zmienić.

- Coś nowego w sprawie Reynolds? - zapytała.

- Bez zmian.

Snyder czuł, że czas ucieka. Czekali na wyniki sekcji, na kontakt z rodziną i przyjaciółmi, na reakcję ubezpieczyciela. Wyglądało na to, że Cheryl umarła, nie zostawiwszy testamentu, a skromne ubezpieczenie wystarczy za ledwie na pogrzeb. Oprócz domu, zresztą obciążonego hipoteką miała niecałe pięć tysięcy oszczędności.

Czy za to warto zabić? Być może. Widywał ludzi zamordowanych dla mniejszych pieniędzy. Odłożył słuchawkę i sięgnął po kawałek pizzy. Obserwował ciągnące się pasma sera. O tak, to murowany atak serca.

Dzisiaj miał to w nosie.

Ava znowu usłyszała ciche głosy w holu.

Otworzyła oczy i zsunęła nogi z łóżka. Czowała pulsowanie w skroniach, jakby wypila za dużo wina, choć przecież nie tknęła ani kropli.

Bosymi stopami dotknęła posadzki. Zakręciło jej się w głowie, jakby była pijana.

Złapała się kolumnienki przy łóżku i czekała, aż odzyska jasność myślenia. Przed chwilą coś jej się śniło, resztki snu błąkały się jeszcze na skraju świadomości, ale nie mogła sobie przypomnieć, co to właściwie było.

Teraz jednak już nie spała. Zamrugęła. Zorientowała się, że jest sama. Po kłótni z Wyattem miała pewność, że nie będzie dzielił z nią łóża. Koniec z udawaniem, z farsą którą odgrywali od zaginięcia ich dziecka.

W samej nocnej koszuli podeszła na palcach do drzwi. Wstrzymała oddech, nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Żadnych dziecięcych krzyków. Nikt nie woła: mamó!

Tym razem słyszała głosy dorosłych. Była prawie pewna, że jeden z nich należał do Wyatta. Drugi był kobiecy, ale rozmowa brzmiała

dziwnie, bezładnie, tak jakby dwie odrębne konwersacje jednocześnie docierały na górę z różnych pomieszczeń na parterze.

Zerknęła na zegarek przy łóżku. Czerwone cyfry wskazywały, że właśnie dochodzi północ, i niemal w tej samej chwili rozległy się znajome dźwięki starego zegara w holu.

Bim-bam!

- To już niedługo - powiedziała kobieta z uśmiechem w głosie. Bim-bam!

- Dziwne, nie wiem, co o tym myśleć. - Ta sama kobieta? Nie, inna.

- Pamiętasz, jaka była dawniej? - Ten głos zagłuszał dwa poprzednie.

- Chciałabym pomóc, ale to beznadziejne. - Trzecia kobieta? Doktor McPherson? O tej porze?

Bim-bam!

- Zrobiłaś co w twojej mocy. - Męski głos. To Wyatt. Zapewne rozmawia z lekarką. Bo jeśli nie on, to kto?

- To tylko kwestia czasu... - Druga kobieta, ta, której głosu nie rozpoznawała.

Bim-bam!

Z każdym uderzeniem zegara pulsowanie w głowie przybierało na sile, a rozmowy zlewały się bardziej. Uchyliła drzwi i widząc, że korytarz jest pusty, wyszła z pokoju.

Chłodne powietrze przyprawiało ją o gęsią skórkę.

Bim-bam!

Z trudem powstrzymała okrzyk. Tu, w holu, dźwięk zegara był o wiele głośniejszy.

- Trzeba uważać... zaczyna coś podejrzewać. - Głos, ledwie słyszalny przez wibrujący pogłos zegara - trzecia kobieta? A może szept tak cichy, że nie sposób określić płci?

- Bądź ostrożna, dobrze? - Znowu Wyatt?

Klik! Dźwięk otwieranego zamka. Skrzypienie drzwi wejściowych. Zagryzając wargi, Ava położyła dłoń na poręczy schodów i zbiegła na parter. Bim-bam!

Mało brakowało, a potknęłaby się, gdy zegar ponownie wybił godzinę, a drzwi wejściowe zamknęły się z trzaskiem. W holu paliła się tylko jedna lampa. Chłodne powietrze przenikał zapach deszczu.

Było pusto, wybrzmiało uderzenie zegara. Ava podeszła do wąskiego okna przy drzwiach. Wyraźnie widziała dwie sylwetki. Ktoś wysoki, mężczyzna, zapewne Wyatt, pomyślała, z dłonią u nasady pleców niższej osoby. To kobieta, pewnie Evelyn McPherson. Szli na pomost.

Niech sobie zaprzeczają, ile chcą, teraz miała dowód, że coś ich łączy. A przed chwilą rozmawiali o niej. Jezu, ależ to popieprzone!

- ..zupełnie postradała rozum - dobiegł ją kobiecy głos. Serce zamarło jej w piersi. A więc była druga rozmowa. Ale gdzie jest ta kobieta? Nie licząc strategicznie rozmieszczonych nocnych lampek, oświetlających schody i korytarze, dom spowijała ciemność. Bicie zegara zagłuszało inne odgłosy. Nie mogła ustalić, gdzie toczy się rozmowa.

Bim-bam!

To chyba już ostatnie uderzenie, pomyślała. Ale głosy także ucichły, jakby rozmówcy nie chcieli kontynuować bez maskujących dźwięków zegara.

Powoli szła w stronę saloniku, powtarzając sobie, że to jej dom i ma prawo być, gdzie tylko zechce, nieważne, o której godzinie. Mimo to umierała ze strachu, serce trzepotało się w piersi, nerwy były napięte jak postronki. Gdy głosy ucichły, miała wrażenie, że została zupełnie sama, że tylko ona w całym domu jeszcze nie śpi.

A jednak...

Chociaż czuła, jak poca jej się dłonie, zajrzała przez uchylone drzwi sanktuarium męża. Głosy dochodziły gdzieś stąd. Zrobiła jeszcze dwa kroki, gdy nagle dostrzegła ruch przy regale z książkami.

Serce zamarło jej w piersi.

Coś skoczyło na nią z groźnym pomrukiem. Wydała stłumiony okrzyk, cofnęła się i wtedy zorientowała się, że to kot Virginii. Nastroszona sierść sprawiała, że wydawał się dwa razy większy. Zwierzak zasyczał gniewnie i zniknął za drzwiami.

Ava oparła się ciężko o biurko.

To tylko kot Virginii, nic więcej.

Tylko że on nie umie szeptać, udawać rozmowy ani płakać jak małe dziecko...

Gdzieś w oddali ktoś uruchamiał silnik. Wyatt i doktor McPherson odpływali. Szczęśliwej podróży, pomyślała i wtedy usłyszała stłumiony płacz dziecka.

- Mamusiu - szepnął cichy głosik. Serce zamarło jej w piersi.

- Syneczku - odpowiedziała instynktownie. Wiedziała, że Noaha tu nie ma. Obeszła biurko Wyatta, zajrzała w kilka miejsc, aż znalazła latarkę. Nie chciała zapalać świateł w całym domu. Weszła na piętro, do pokoju syna. Zawahała się przy drzwiach, po czym otworzyła je szybko i z duszą na ramieniu zajrzała do środka. Pręty kołyski wyglądały jak więzienne kraty, a zabawki w półmroku wydawały się groźne i straszne. Oko tygrysa połyskiwało złowrogo. Ulubiony dinozaur Noaha szczyrzył kły.

Musiała wziąć się w garść. To tylko zabawki, których przecież sama nie chciała się pozbyć.

- Mamaaa. - Krew zastygła jej w żyłach. Mało brakowało, a upuściłaby latarkę, gdy cichy dziecięcy płacz rozniósł się po pokoju.

Rozdział 30

Mama, mama, mama! - Noah wzywał ją przez łyzy, a jej ścisnęło się serce. Skąd dochodzi jego głos? Nerwowo świeciła latarką po całym pokoju, wreszcie zapaliła górne światło i pomieszczenie zalał blask. Noah, synku, gdzie jesteś?

Myśl, powtarzała w duchu. Przecież ten cichy, niewinny głosik słychać tutaj i piętro niżej, w gabinecie, na korytarzach, a nawet w jej sypialni.

Obejrzała dokładnie sufit i podłogę, obmacała ściany - i nic. Ale ktoś jakimś sposobem odtwarzał nagranie dziecięcych krzyków. Była tego pewna. Tak jak tego, że za wszystkim kryła się Jewel-Anne.

Nie znalazłszy w pokoju dziecinnym niczego podejrzanego, zgasiła światło i wróciła na korytarz. Jeśli nie tu, to gdzie? Płacz ustał, nie mogła więc podążać za dźwiękiem, wątpiła jednak, by znalazła cokolwiek tutaj czy na parterze. Zbyt wiele osób kręciło się tu na co dzień. A zatem zostaje piwnica - skrzywiła się na samą myśl o powrocie do tego królestwa pajaków, albo drugie piętro, dawniej zamieszkałe przez służbę, obecnie nieużywane, chyba że jako strych.

- O nie - powiedziała na głos. Winda nie dojeżdżała na drugie piętro, trudno jest się tam dostać, drzwi są zawsze zamknięte.

Chyba że ktoś ma klucz. Albo wchodzi kuchennymi schodami.

Przekonana, że po raz kolejny znajdzie się w ślepych zaułku, zeszła na parter, minęła kuchnię, spiżarnię i weszła na stare schody, z których nikt nie korzystał - były zapuszczone i wymagały remontu.

Jednak tej nocy Ava wolała wspinać się na stare schody, niż jeszcze raz zajrzeć do piwnicy. Nacisnęła włącznik, ale żarówka najwyraźniej była przepalona, więc szła na górę w półmroku. Na pierwszym piętrze oświetliła latarką drzwi prowadzące na korytarz. Z tej strony znajdowała się zasuwka. Działała sprawnie, jakby niedawno ktoś ją naoliwił.

Dziwne.

Niepokojące.

Omiotła kręte schody światłem latarki i zobaczyła, że nie są równo pokryte kurzem, jakby ktoś niedawno tędy chodził.

Spojrzała w górę, zastanawiając się, czy jakiś intruz nie kryje się w jednym z nieużywanych pokojów. Uznała, że to idealna chwila, żeby się o tym przekonać. Na palcach pokonała ostatnie stopnie. Światło latarki wyczarowało z ciemności pajęczyny i mysie bobki.

Ostatni zakręt i ostatnie drzwi.

Były zamknięte. Co teraz? Nacisnęła klamkę. Nic. Zawiasy znajdowały się z drugiej strony, nie mogła więc nawet ich usunąć. Ale przecież musi być jakiś sposób.

Kiedy była mała, babka zatrudniała liczny personel i tu, na górze, mieszkała guwernantka i dwie pokojówki. O ile pamiętała, drzwi zawsze były otwarte. Była to jedyna droga na tę kondygnację, nie licząc schodów przeciwpożarowych na tyłach domu albo... Spojrzała na schody. Zwęzły się i prowadziły dalej, na dach. Ostrożnie pokonywała kolejne stopnie. Tutaj kurz był nietknięty, a pajęczyny gęstsze. Stała przed ostatnimi drzwiami, na dach i wieżyczkę, do której nikt nie zaglądał od lat.

Oczywiście były zamknięte.

Naparła na nie barkiem - nie ustąpiły.

Omiotła framugę drzwi światłem latarki, mając nadzieję, że zobaczy klucz ukryty wysoko na obramowaniu, ale nic z tego. No dobrze, ale przecież ktoś musiał tu wchodzić, musiał być dostęp, na wypadek gdyby trzeba było coś naprawić. Kto musiał mieć klucz. Podobnie jak do drzwi na drugim piętrze. Gdyby pękła rura, pojawiły się szczury albo karaluchy, ktoś musiał mieć dostęp do tych pomieszczeń. Kiedyś miała wielki pęk kluczy do wszystkich pomieszczeń w domu i poza nim, ale nie widziała go od powrotu ze szpitala. Nawet kiedy wsiadała do samochodu, Wyatt dał jej swoje kluczyki.

Spytała o swój komplet, a wtedy uśmiechnął się i odparł: - Oczywiście dostaniesz je, kiedy poczujesz się lepiej.

Wtedy była tak osłabiona, że nie przejmowała się tym, ale teraz sytuacja się zmieniła. Wiedząc, że tu nie znajdzie kluczy, wróciła do gabinetu Wyatta i zaczęła poszukiwania. Część szuflad w biurku była zamknięta, więc przetrząsała te otwarte. Nie znalazła niczego, co mogłoby jej się przydać, nie było nawet otwieracza do listów.

Była zdenerwowana, pocila się na samą myśl o tym, co by było, gdyby mąż przyłapał ją na myszkowaniu w jego gabinecie. Ile czasu minęło, odkąd popłynął na stały ląd? Czy wróci jeszcze dzisiaj? Czy ją znajdzie? Musi być inny sposób.

Myśl, Avo, myśl! To twój dom. Spędziłaś tu prawie całe życie. Znasz jego tajemnice. Na pewno jest więcej kluczy, niemożliwe, żeby istniał tylko jeden komplet. A gdyby jeden się zgubił? Ktoś, ktoś z personelu, musiał mieć dostęp do wszystkich pięter i do tego cholernego dachu...

Klucze w holu!

Przecież niedawno je tam widziała!

Biegła na dół tak szybko, że niemal potykała się o własne nogi. Otworzyła szafkę wciśniętą między spizarkę i klatkę schodową, poświeciła do środka, a tam, wśród starych słoików i narzędzi, na haku, wisiały klucze. Wszystkie oznaczone: „hangar na łodzi”, „stajnia”, „szopa”, „obora”, „dom”. Zdjęła ostatni pęk kluczy i już miała zamknąć drzwiczki, gdy światło latarki wyczarowało z ciemności coś jeszcze - błysk metalu w najdalszej przegródce zwrócił jej uwagę. Wyciągnęła rękę i po chwili trzymała kolejny klucz. Obejrzała go dokładnie. Okazało się, że różnił się od tych, które znalazła przed chwilą. Do breloczka dołączono mosiężną tabliczkę z inicjałami CC; domyśliła się, że należał do jej ojca, Connella Churcha. Teraz musiała wrócić na górę i mieć nadzieję, że jeden z kluczy w pęku oznaczonym „dom” otworzy drzwi na najwyższym piętrze. Nie była pewna, czy Wyatt wróci jeszcze tej nocy, ale gdyby tak było, wołała, żeby nie wiedział, co robiła. Nie żałowała jednak czasu, by przejrzeć zawartość skrzynki z narzędziami. Znalazła śrubokręt i zabrała go, na wypadek gdyby musiała coś podważyć.

Potem znowu biegła na górę. Wsuwała kolejne klucze do dziurki i próbowała je przekręcać. Na próżno. Żaden nie pasował do drzwi prowadzących do dawnych kwater dla służby.

Zmarszczyła brwi, świadoma upływu czasu.

Jeszcze raz poświeciła na zamek i w końcu zorientowała się, że ktoś musiał go wymienić. Lśnił, nie pokrywała go patyna jak te na niższych kondygnacjach. Tak, ktoś go wymienił. Pytanie tylko: kiedy i kto?

Poczuła nową falę niepokoju.

To tylko wymieniony zamek, powtarzała sobie. Niekoniecznie część spisku, niekoniecznie symbol wcielonego zła. A jednak w głębi duszy wiedziała, że na najwyższym piętrze kryje się coś ważnego.

Zdenerwowana, rozejrzała się dokoła. I co teraz? Tu, na ciemnej klatce schodowej, ona, tak pewna, że ktoś chciał ją wpędzić w szaleństwo, a dowody na to znajdują się za tymi drzwiami, straciła wszelką energię. Stała na schodach, drżąc z zimna w chłodnym przeciągu. Dookoła panowała cisza, nie licząc trzasków i skrzypień typowych dla wszystkich starych domów. W oddali pogwizdywał wiatr.

Skierowała światło latarki na wąskie schodki prowadzące na wieżyczkę. Ciekawe, czy te drzwiczki dadzą się otworzyć. Warto spróbować. Stamtąd dostałaby się na schody przeciwpożarowe na drugim piętrze. Pobiegła na górę, uważnie obejrzała zamek - równie stary jak w innych drzwiach. Próbowała kolejne klucze i przy czwartym usłyszała szcęk ustępującego zamka.

Pchnęła drzwi, ale stare, spuchnięte drewno nie ustępowało.

- A niech cię - mruknęła i naparła na nie całym ciałem. Raz, drugi, trzeci - i nic.

Zdyszana, położyła klucze i latarkę na schodkach, złapała klamkę obiema rękami, szarpnęła... i stare drewno ustąpiło, wokół klamki pojawiły się drzazgi, ale drzwi stanęły otworem. Od razu poczuła krople deszczu. Latarka stoczyła się ze schodów z głuchym odgłosem, słup światła tańczył szaleńczo na brudnych ścianach i suficie. Wściekła na siebie, że nie włożyła kapci, podniosła latarkę i wyszła na odsłoniętą platformę wieżyczki. Spojrzała na morze, a wiatr gwałtownie szarpał ją za włosy.

Na ciemnej, wzburzonej wodzie jaśniały białe grzywy bałwanów, fale rozbijały się o brzeg. Ten dźwięk przywodził na myśl tamtą noc, gdy zginął Kelvin. Rozszalały ocean, podskakująca łupina łodzi, katastrofa. Wspomnienie, zimne, przenikliwe, bolesne. Jewel-Anne obwiniła ją za tę feralną wyprawę i teraz zastanawiała się, czemu właściwie upierała się, żeby wypłynęli.

Czy to był jej pomysł?

A może czyjś inny?

Dlaczego, skoro była wtedy w ciąży, chciała ryzykować? Rejs po wzburzonym oceanie? Przecież już tyle razy poroniła... Owszem, poprzednio traciła ciążę wcześniej, ale mimo wszystko... Coś jej tu nie pasowało.

Nie myśl o tym, nie teraz. Idź. Ruszaj się. Zanim Wyatt wróci i będziesz musiała się gęsto tłumaczyć.

Z sercem w gardle weszła na mokry dach i dostrzegła w deszczu schody, czy raczej drabinkę przeciwpożarową. Jej stopy ślizgały się na sosnowych igłach i wieloletnim brudzie, ale poza tym wieżyczka wydawała się solidna. Chyba mogłaby nawet zejść piętro niżej i wejść do domu przez jeden z pokoi gościnnych, bała się jednak, bo to za blisko apartamentu Jewel-Anne. Nie, lepiej zacząć od samej góry.

Wiatr zaatakował z nową siłą. Namacała drabinkę, przełożyła nogę przez poręcz. Deszcz zalewał ją potokami wody. Pomyślała, że gdyby ktoś ją teraz zobaczył, błyskawicznie wróciłaby do szpitala psychiatrycznego. O ile przedtem nie zabije się na śliskim dachu.

Na pierwszym szczebelku osunęła jej się stopa, więc zaparła się z całych sił, ścisnęła śrubokręt zębami i powoli zeszła niżej. W jednej dłoni ścisnęła latarkę i poręcz, drugą kurczowo trzymała się uchwyty.

Serce biło jej jak szalone; nie patrzyła w dół, schodziła powoli, krok za krokiem, tak ostrożnie, jak to możliwe na starych, niestabilnych schodach pożarowych trzeszczących żałośnie pod jej ciężarem.

A jeśli tam niczego nie będzie, tylko stare meble pod pokrowcami i pająki w zakurzonych kątach? Co wtedy?

Odepchnęła od siebie niepokojące myśli i powoli schodziła coraz niżej. Pośliznęła się, omal nie upuściła latarki i śrubokręta.

Udało się jednak, i w potokach deszczu dotarła do okna na drugim piętrze i stanęła na miniaturowym balkonie, który zatrzęszczał złowieszczo pod jej ciężarem.

Naprawdę oszalałaś, stwierdziła w myślach, ale nie dawała za wygraną. Kucnęła z latarką w zębach, skierowała wąty snop światła na framugę i usiłowała otworzyć stare okno. Spodziewała się, że będzie zamknięte, więc zaskoczyło ją gdy ustąpiło przy lekkim nacisku. Śrubokręt nie był jej do niczego potrzebny.

W końcu jakiś sukces. Delikatnie uniosła żaluzje, żeby zwinęły się bez hałasu, i wśliznęła się do środka. Otoczył ją zapach stęchlizny, jakby nikogo nie było tu od lat.

O Boże, a jeśli się myli? Jeśli to naprawdę tylko skład rupieci? Z sercem w gardle zamknęła okno i opuściła roletę. Ostrożnie przemykała się przez pokoje pod samym dachem. Mijała łóżka pod pokrowcami, stare lampy i krzesła, wszystko starannie okryte i zapomniane. W malutkiej łazience zobaczyła sedes i umywalkę z zaciekami. Kuchenne

szafki i blaty wyglądały jak z lat czterdziestych, a sprzętów do gotowania już dawno nie było.

- Nie ma tu nikogo poza duchami - mruknęła pod nosem i skierowała światło latarki na stosunkowo nową zasuwkę. Co to ma znaczyć, do licha?

- Mamusiu... mamusiu... - głos Noaha niósł się echem. Ava stłumiła krzyk, cofnęła się i wpadła na stary adapter w dawnej części jadalnej. Upuściła śrubokręt, nadepnęła na niego i niezdarnie schyliła się, żeby go podnieść.

Jej synka tu nie ma! To niemożliwe!

I wtedy znowu rozległ się żałosny płacz.

Co to jest? Bo na pewno nie jej synek, to już wiedziała.

Z duszą na ramieniu wędrowała po pustym pomieszczeniu, aż znowu zapadła cisza. Była ciekawa, czy piętro niżej ktoś słyszy jej kroki.

Wszystko wyglądało na nietknięte, jakby kilka dekad wcześniej ktoś zamknął te drzwi i nigdy tu nie wracał.

Cisza ją przytłaczała.

Żadnego płaczu.

Tylko zawodzenie wiatru.

Widziała meble pod pokrowcami. Najpierw powoli, potem coraz szybciej ściągała białe płachty i jej oczom ukazywały się zapomniane krzesła, wiekowy szezlong babki, telewizory z lat osiemdziesiątych, zdjęcia dawno zmarłych krewniaków, fotel, w którym jej ojciec tak chętnie przesiadywał. Odrzucała pokrowiec po pokrowcu, aż nagle znieruchomiała.

Wydawało jej się, że wśród zawodzenia wiatru usłyszała warkot silnika. Wyatt!

Musi działać szybciej. Rozsądniej.

Dziecięcy płacz słyszała w pokoju Noaha na piętrze i gabinecie Wyatta na parterze, więc jeśli przyjąć, że dźwięk rozchodził się szybem wentylacyjnym, jego źródło musiało być albo bezpośrednio pod, albo nad tymi pokojami. Na razie wykluczyła piwnicę. Szła krótkim korytarzem w stronę nieużywanych pokoi, znalazła ten, w którym, według niej, było źródło hałasów, i weszła do środka.

Podłoga była mniej zakurzona, niż się spodziewała, ale w pokoju było mało mebli - dwie ramy łóżka bez materaców, zepchnięte pod

ściany po obu stronach okna. Uniosła lekko żaluzje, wyjrzała na dwór i zobaczyła górne gałęzie tego samego drzewa, które widziała z gabinetu Wyatta i pokoju Noaha.

A więc to ten pokój.

Pusty.

Omiotła snopem światła deski podłogi i uchyliła drzwi szafy. Pusta, nie licząc starych bagaży - wiekowa skrzynia, zakurzone walizy, pudło na kapelusze na półce.

Zdjęła je, ale w środku był tylko różowy kapelusik, wypisz wymaluj jak te, które Jackie Kennedy nosiła na początku lat sześćdziesiątych, i wypłowiałe eleganckie fartuszki, jeden jeszcze z metką.

Załamana, wsłuchana w coraz głośniejszy warkot silnika, czuła, że przegrała. Ale przecież słyszała głos synka - i to głośno, wyraźnie - stąd, z tego strychu. Była tego pewna.

Spojrzała na walizki w szafie. Dwie czerwone walizy firmy Sam-sonite i mała torba na kółkach.

I wtedy włoski na rękach stanęły jej dęba. Nie wiedziała co prawda, kiedy walizki na kółkach stały się modne, ale na pewno nie w latach sześćdziesiątych. Ta walizka nie pasowała do reszty. Wstrzymała oddech, wyjęła ją otworzyła ostrożnie... i od razu znalazła to, czego szukała: cyfrowy magnetofon i bezprzewodowy modem albo router.

- Ty suko - wycedziła przez zęby. Była przekonana, że kryje się za tym Jewel-Anne.

Ale jak mogłaby to zorganizować? Przecież jest przykuta do wózka.

W pierwszej chwili chciała wyciągnąć torbę z szafy, iść z nią do pokoju Jewel-Anne, cisnąć na łóżko kuzynki z koronkową narzutą, unieść wieko i zażądać odpowiedzi.

Na które nie mogła liczyć.

Jewel-Anne zaprzeczy, wyprze się wszystkiego, a pozostali będą robili mniej lub bardziej czytelne aluzje na temat tego, że Ava sama wszystko zainstalowała. Nie, to bez sensu. Musi wymyślić, w jaki sposób pokonać Jewel-Anne i tego, kto jej pomaga, ich własną bronią.

Nasłuchując coraz wolniejszych obrotów silnika, co oznaczało, że łódź dobija do brzegu, odłożyła walizkę na miejsce, zamknęła szafę i umieściła pokrowce w miejscach, w których je zastała. Pomieszczenie nie wyglądało dokładnie tak samo, jak kiedy tu weszła, a już na pewno naruszyła warstwę kurzu, ale nie miała teraz czasu, żeby zawracać sobie głowę szczegółami.

Z mocno bijącym sercem rozejrzała się dookoła. Śrubokręt! Potykała się, szukając po omacku, ale go znalazła. Zgasiła latarkę, wyszła przez okienko na tyłach pomieszczenia i wróciła na schody przeciwpożarowe. Modliła się, żeby ten, kto właśnie przyплыł na wyspę - czy to Wyatt, czy ktokolwiek inny - jej teraz nie zobaczył. Wspinała się po drabinie z zadziwiającą zręcznością, pośliznęła się tylko raz. Przeskoczyła barierkę na balkonie wieżyczki i podeszła do drzwi u szczytu schodów.

Ciągle lało, ale nie zwracała na to uwagi. Otworzyła drzwi i ponownie zamknęła je na klucz, ledwie znalazła się w środku. Woda z jej nocnej koszuli kapiała na schody, ale nic nie mogła na to poradzić, więc puściła się biegiem w dół schodów i zatrzymała dopiero na pierwszym piętrze. Gdyby wyszła wtedy, ten, kto się za tym wszystkim kryje, mógłby się zorientować, że była na schodach.

Musiała jednak zaryzykować, bo naraziłaby się na większe niebezpieczeństwo, schodząc na parter - tam mogłaby wpaść prosto na nowo przybyłego.

To Wyatt, oczywiście, że Wyatt. Kto inny odwoziłby lekarkę do Anchorville?

Z drugiej strony dziwne, że nie został w miasteczku na noc. Chce zachować pozory, to chyba jasne?

Zostawiła za sobą klatkę schodową, wyszła na korytarz pierwszego piętra i w tej samej chwili zaskrzypiały drzwi wejściowe.

Cholera! Jak zdoła wytłumaczyć, że ocieka wodą? Tak bardzo chciałaby zaufać mężowi, zwierzyć się mu... była jednak pewna, że jest jednym z wrogów.

Dlaczego? Jeśli zakochał się w innej, dlaczego się ze mną po prostu nie rozwiedzie?

Ale przecież już dawniej był przeciwny rozwodowi - to doskonale pamiętała - więc chociaż nie łączyło ich już nawet wspomnienie miłości, a on miał inną, nie chciał się rozstać.

Ze względu na pieniądze. Zapewne chce przejąć kontrolę nad całym majątkiem, który zarobiła i odziedziczyła.

Już przedtem miewała takie podejrzenie, ale zawsze je odrzucała. Wyatt ma własne pieniądze i świetną pracę, zarabia aż za dużo, tłumaczyła sobie. Niepotrzebna mu jej fortuna. A nawet jeśli, najprościej byłoby ją zabić i mieć problem z głowy. No tak, ale tu też miała gotową ripostę. Wyatt to nie morderca. Nie ma tego we krwi.

Więc skąd ten strach? Serce waliło jej jak oszalałe, ręce się pocily, ledwie oddychała, przerażona, że ją usłyszy.

Bo w głębi duszy czuła, że mąż chce ją zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, i tylko szuka pretekstu, żeby ją odesłać do St. Brendan.

Słyszała, jak wchodzi do gabinetu. To była okazja, na którą czekała. Trochę potrwa, zanim zdejmie kurtkę, włączy komputer, usadowi się za biurkiem. W tym czasie musi dobiec do schodów i dalej na górę w nadziei, że jej nie zauważy.

W korytarzu wychyliła się przez poręcz i zerknęła do holu. Kiedy w gabinecie Wyatta zapaliło się światło, pobiegła na palcach w stronę głównych schodów. Starła się poruszać jak najciszej.

Szybko, szybko! Tylko się nie potknij!

Mężczyzna odchrząknął i mało brakowało, a nie trafiłaby stopą na stopień, utrzymała jednak równowagę i biegła dalej. Drzwi do jej pokoju były uchylone; nie chciała ich zamykać, żeby nie narobić hałasu. Po ciemku otworzyła szufladę komódki, wyjęła z niej czystą nocną koszulę, wśliznęła się do łazienki, przebrała, wytarła włosy ręcznikiem. Pełna obaw, że mimo wszystko mąż ją usłyszał, cisnęła mokrą koszulę w kął łazienki i spuściła wodę w toalecie.

Wróciła do sypialni i głośno zaczerpnęła tchu.

Nie była sama.

W progu stał mężczyzna; widziała jego ciemną sylwetkę na tle światła wpadającego z korytarza.

- Co się dzieje? - zapytał Trent.

Dopiero po głosie rozpoznała, że to on, i poczuła ulgę, że nie będzie musiała tłumaczyć się przed mężem.

- Byłam w łazience - odparła.

- Nie na korytarzu? - zdziwił się. - Widziałem cię. Przyłapał ją na gorącym uczynku.

- Och... No dobrze, byłam w pokoju Noaha. - Myślała gorączkowo. - Proszę, nie mów nikomu, ale wydawało mi się, że znowu słyszałam jego płacz, i ani się obejrzałam, byłam w pokoju dzieciennym. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że to przecież niemożliwe, żebym go słyszała, że to wszystko tylko mi się śniło, że to... że to kolejny koszmar.

Wpatrywał się w jej mokre włosy.

- A ty? Dlaczego jeszcze nie śpisz? - usiłowała zmienić temat.

- Wróciłem z Anchorville - powiedział Trent. - Wyatt prosił mnie, żebym odwiózł Eve, to znaczy Evelyn.

- A sam nie mógł tego zrobić? Trent wzruszył ramionami.
- Nie mam pojęcia.
- Gdzie jest?
- Ja nie wiem, ale ty powinnaś. - Znacząco spojrzał na pogniecioną pościel.
- Wyatt śpi gdzie indziej?
Milczała. Cisza wystarczyła mu za odpowiedź.
- Chyba się położę. - Poklepał framugę. - Rano pogadamy.
- Jasne.
- Ava?
- Tak?
- Kiedy następnym razem wybierzesz się w środku nocy na wieżyczkę w trakcie pieprzonego oberwania chmury, weź ze sobą parasolkę.
- Co...?
Zrobiło jej się słabo na myśl, że już raz przyłapał ją na kłamstwie, a teraz będzie musiała wymyślić następne.
- Widziałem cię. Na dachu. - Zmarszczył brwi, zatroskany. - Coś ty tam robiła?
- Nie mogłam spać - skłamała gładko. - Rozmyślałam o Kelvi-nie i Noahu. Mój brat nigdy go nie poznał. Wyszłam na wieżyczkę, bo stamtąd najlepiej widać miejsce, w którym zatonała „Krwawa Mary”.
- Więc czemu kłamałaś? Czyżby naprawdę było mu przykro?
- A co, miałam powiedzieć prawdę i przyznać się do kolejnego wariactwa? Z westchnieniem obejrzał się za siebie, na korytarz. Potarł kark dłonią.
- Wychodziłaś na dach w taką ulewę? W środku nocy? Avo, to naprawdę szaleństwo, w dodatku bardzo niebezpieczne. Jak uganianie się za duchem dziecka i skoki do zatoki.
- Proszę cię! Nie mów nikomu.
Wahał się i czuła, że przestaje jej wierzyć.
- Proszę cię! - powtórzyła błagalnym tonem.
Głośno wypuścił powietrze z płuc i w tej samej chwili na dole rozległo się bicie zegara. Pierwsza w nocy.
- Dobrze, nic nie powiem, ale musisz mi obiecać, że zaczniesz się leczyć. Jeśli nie u Eve, to u innego lekarza. Tak nie może być, Avo. - Pokręcił głową.

- Nie oszalałam, naprawdę. - Nie mogła nic poradzić na to, że ogarnęło ją rozczarowanie, a w głosie pojawiła się oskarżycielska nuta.

- Avo, potrzebujesz pomocy - rzekł, a po chwili dodał, kręcąc głową: - I może nie ty jedna. Ale teraz wracaj do łóżka, dobrze? I zostań tam do rana. Późno już.

- Dobrze - obiecała.

Gdy zamykał za sobą drzwi, zdała sobie sprawę, że właśnie straciła zaufanie jednej z nielicznych osób, które uważała za swoich sprzymierzeńców. Trent już nigdy jej nie uwierzy.

Była zdana tylko na własne siły.

Rozdział 31

Problem z kłamstwami polega na tym, że nawarstwiają się, rosną i nie zawsze tak, jakbyśmy tego chcieli. Czasami wiją się jak wąż, czasami rozdwiają jak rozstaje, a jeszcze innym razem rozpryskują się na kawałeczki, na ostre odłamki, które wychodzą na jaw w najmniej oczekiwanym momencie. Żeby kłamać, i do tego dobrze, trzeba być w formie, pamiętać, co się komu powiedziało, a to niełatwe. Kłamstwo nie ma podstaw w rzeczywistości, a zatem nigdy nie stoi na pewnych nogach, nie ma fundamentów; budujemy je na ruchomych piaskach, które w każdej chwili mogą pogrzebać nas i nasze wymysły.

Ava na szczęście nigdy nie miała tego problemu. Zawsze była pro-stolinijna i waliła prosto z mostu.

Do teraz.

- Musisz się przyzwyczaić - mruknęła pod nosem. Stała przy oknie z komórką przy uchu, wpatrzona w chmury nad zatoką i czekała, aż Tanya odbierze. Po wczorajszych odkryciach potrzebowała kogoś, komu mogłaby zaufać, a liczba takich osób malała w zastraszającym tempie.

Usłyszała stłumiony głos Tanyi, mówiącej coś nie do telefonu, a kilka chwil później już wyraźny:

- No dobra, sprawdziłam w grafiku. Mogę się stąd wyrwać najwcześniej po trzeciej, chyba że uda mi się trochę pokombinować z zapisami. Gloria Byers przychodzi o pierwszej na farbę i strzyżenie, a w jej wypadku zajmuje to co najmniej dwie godziny. Po niej jestem wolna. Russ ma dzisiaj dzieci, odbiera je ze szkoły, a potem, jak się

domyślam, będzie grał kochającego tatuśka. Wkurza mnie, ale nic nie mogę na to poradzić. Więc mam wolny wieczór.

Ava zerknęła na zegar na nocnym stoliku. Dochodziła dziesiąta.

- Wolalabym wyruszyć koło południa, ale dostosuję się do ciebie. Daj znać, kiedy będziesz wiedziała.

- Jasne. Wiesz, czasami bycie samotną matką daje mi się we znaki - wyznała Tanya i rozłączyła się, ale w słuchawce pozostało echo jej frustracji.

Ava westchnęła. Wolala się nie zastanawiać, co zrobiłaby bez przyjaciółki jako alibi. Gdyby nie Tanya, nie mogłaby wybrać się do Seattle po niezbędny sprzęt, nie wzbudzając podejrzeń.

Myśl o kupnie kamer i mikrofonów nie dawała jej spokoju. Gdyby Wyatt zobaczył te pozycje na wyciągu z kary kredytowej, na pewno domagałby się wyjaśnień. A ona nie przywykła do tłumaczenia się ze swoich wydatków.

Zawsze miała własne pieniądze, osobne konto, kartę kredytową, oszczędności. Sama decydowała o swoich zakupach i inwestycjach, była całkiem niezależna finansowo - dopóki nie trafiła do szpitala psychiatrycznego. Od tego czasu kilka razy wspominała mężowi, że chciałaby mieć własne pieniądze. Wyatt zapewniał ją wtedy, że wszystko się ułoży, kiedy tylko poczuje się lepiej.

Nie może pozwolić, żeby nadal sprawował pełną kontrolę nad jej finansami. Zajmie się tym zaraz po tajnej wyprawie do Seattle.

Właśnie miała włożyć sweter, gdy poczuła w kieszeni wibrację komórki. Sięgnęła po telefon. Na wyświetlaczu widniało imię Tanyi.

- No dobra, wszystko załatwione - oznajmiła Tanya radośnie. - Udało mi się wszystko zorganizować. Okazało się, że stara dobra Gloria i tak musiały przełożyć termin wizyty, więc o jedenastej będę wolna.

- Super! Już jadę! Pojedziemy twoim samochodem?

- Oczywiście! Pod warunkiem że postawisz mi lunch, i nie mam tu na myśli hot doga i oranżady na promie, o nie. Chodzi mi o lunch z prawdziwego zdarzenia, w Seattle, z lampką wina i widokiem na port. Masz mnie rozpieszczać jak królową, którą powinnam być.

- Niełatwo cię zadowolić.

- Fakt.

Ava roześmiała się po raz pierwszy tego dnia. Dzięki ci, Boże, za Tanyę!

Sprawa Cheryl Reynolds utkwiała w martwym punkcie. Snyder siedział za biurkiem, na którym stygła dawno zapomniana kawa. Był tak pochłonięty pracą że nie słyszał dzwoniących telefonów, nie zauważył nawet dwóch kolegów, którzy minęli go w drodze do drzwi.

Właśnie po raz trzeci czytał raport z sekcji zwłok hipnotyzerki. Nie, żeby było w nim coś szczególnie zaskakującego, ale Snyder miał nadzieję, że podczas poprzedniej lektury coś przegapił.

Koroner stwierdził, że Cheryl Reynolds umarła wskutek upływu krwi z przeciętej żyły i tętnicy szyjnej, a przedtem ją duszono. Zatem mordercą musiał być ktoś na tyle silny, aby niemal zmiażdżyć jej tchawicę, zanim podciął jej gardło prawie od ucha do ucha. Brutalny sukinsyn. .. Prawdopodobnie ją znał. Zbrodnia miała cechy typowe dla morderstw dokonywanych z powodów osobistych, których sprawcy chcą, żeby ofiara przed śmiercią cierpiała.

Snyder włączył komputer i kolejny raz przeczytał listę dowodów zabezpieczonych na miejscu zbrodni. Nic nowego, nic znaczącego. Wszystko było na swoim miejscu; wyjątek stanowił pojedynczy czarny włos, który mógł należeć zarówno do jednego z kotów, jak i do klientki Cheryl, która niechcący zabłądziła do tego pomieszczenia. Prawdopodobnie nic nie zginęło, zresztą napastnik nawet nie usiłował pozorować napadu rabunkowego.

To też wskazywało, pomyślał, że w tej zbrodni wyraźnie widać motywy osobiste.

Nie było żadnych świadków, nikt nie widział żadnych podejrzanych typów kręcących się w pobliżu, żaden sąsiad nie zauważył nikogo obcego na posesji. Lokatorzy z piętarka, sądząc po zapachu unoszącym się na schodach, palili trawkę i nie mieli pojęcia o bożym świecie.

Typowe.

Dlaczego kobieta, która przeżyła w Anchorville tyle spokojnych lat i nie miała żadnych wrogów, nagle padła ofiarą tak brutalnego morderstwa, zastanawiał się Snyder.

Przypadek?

Raczej nie.

Z tego, co ustalili, ostatnią osobą, która widziała Cheryl Reynolds żywą była Ava Garrison. Jej wersję wydarzeń, łącznie z czasem i miejscem pobytu, potwierdzali świadkowie. Tyle że Reynolds zginęła niedługo, a może nawet zaraz po tym, jak Garrison wyszła, a o Avie Garrison można powiedzieć wiele, ale nie to, że jest w pełni poczytalna. Przecież

po zaginięciu syna załamała się i próbowała popełnić samobójstwo, a później przez pewien czas przebywała w szpitalu psychiatrycznym. Może to ma jakieś znaczenie, może nie.

Nie licząc próby samobójczej, w jej historii nie było żadnych incydentów przemocy. Dawniej miała opinię twardej kobiety interesów, niektórzy mówili nawet, że to bezwzględna suka, ale to wszystko miało miejsce, zanim najpierw urodziła, a potem straciła jedyne dziecko.

Skrzywił się. Fatalna sprawa.

Ava Garrison nigdy nie pogodziła się ze zniknięciem syna, a kilka dni temu odwiedziła go na posterunku i pytała o szczegóły śledztwa prowadzonego w tamtej sprawie. Snyder wyjął wtedy z archiwum akta i ponownie je przejrzał. Od samego początku nie było żadnych tropów. Mały zniknął bez śladu, więc rozważano porwanie dla okupu, ale gdy nikt nie skontaktował się z Garrisonami, policjanci skoncentrowali się na innej wersji wydarzeń - nieszczęśliwym wypadku. Ostatecznie uznano, że chłopiec prawdopodobnie utonął, a morze zabrało zwłoki. Snyder osobiście uważał - chociaż nie miał żadnych dowodów na poparcie tej teorii - że doszło do morderstwa, a zabójca ukrył ciało, zanim na dobre pochował je na otwartym morzu.

Matka? Mało prawdopodobne.

Z drugiej strony, miała problemy.

Nerwowo bębnił palcami o biurko i po raz kolejny analizował w myślach znane fakty.

Pogrążony w rozmyślaniach, nie zauważył, że do jego biurka podszedł Biggs. Dopiero gdy szeryf chrząknął, Snyder podniósł głowę i zobaczył przełożonego, który wypełniał całe miniaturowe pomieszczenie.

Biggs przesunął okulary na czubek głowy i jak zwykle żuł gumę.

- Coś nowego w sprawie Reynolds?

- Właśnie przeglądam raport z sekcji zwłok, ale nie, na razie nic. Biggs zmarszczył brwi.

- Prasa szaleje. Chciałbym dać im jakiś kęs, żeby się odczepili. No jasne.

- Obiecuję, że zadzwonię do Natalie, kiedy tylko będę miał coś, co można im dać, nie narażając dobra śledztwa. - Snyder pomyślał o drobnej, niewysokiej rzeczniczce prasowej szeryfa. Nie zazdrościł jej stanowiska.

- Im szybciej, tym lepiej. Nie chcę mieć w aktach nierozwiązanego zabójstwa. - Biggs pokręcił głową tak energicznie, że okulary poruszyły się na siwym jeżu na głowie. Zdjął je, złożył, wsunął do kieszonki

koszuli. - Mam już po dziurki w nosie telefonów byleją bratowej, która ciągle do mnie wydzwaniała w związku z dziwacznymi wydarzeniami na wyspie. Pogrzebane lalki i takie tam. - Prychnął z niesmakiem. - Virginia najwyraźniej nie rozumie znaczenia słowa „była”. - Znowu zmarszczył brwi. - O Reesie pewnie nadal nic nie wiadomo? Naprawdę chciałbym dać dziennikarzom coś, żeby się od nas odczepili.

- Nie, szeryfie, nic nowego.

Biggs zmrużył oczy, jakby podejrzewał, że Snyder go nabiera.

- Chyba wiesz, że po ucieczce nikt go nigdy nie widział.

- Może utonął, a odpływ zniósł ciało na pełne morze, gdzie zeżarły je rekiny albo orki. - Snyder wzruszył ramionami. - Minęło sporo czasu.

- Mimo wszystko...

- Cały czas mamy oczy szeroko otwarte.

- Dobrze - burknął Biggs; poruszył się niespokojnie i skrzywił. - Cholerne kolano. Czasami nieźle daje mi się we znaki.

Jeśli wierzyć plotkom, lekarz doradzał szeryfowi operację, ale Biggs, uparty jak zawsze, dosadnie wyraził swoje zdanie na ten temat. Teraz, żując nerwowo, poczłapał sztywno w kierunku kuchni i pokoju rekreacyjnego.

Snyder ponownie zajął się pracą. Nie podniósł głowy, gdy podeszła Lyons.

- Co, wygłosił kolejną nadętą mowę z serii: musimy dopaść drania? - zagadnęła.

- Tak. - Zerknął na nią. - Masz coś?

- Mam notatki Reynolds. Chcę je przejrzeć.

- A nie są poufne? Lyons pokręciła głową.

- Tylko w przypadku lekarzy i prawników, a ona nie była ani jednym, ani drugim. Mam nadzieję, że zdołamy dopaść sukinsyna.

Dern, pochylony nad zepsutym kranem przy poidle, obserwował ukradkiem Avę, która właśnie wyszła z domu. Przykręcił ostatnią uszczelkę, upewnił się, że kran już nie będzie ciekł, i patrzył, jak się oddala. Zastanowiło go, że nie bierze samochodu, ale doszedł do wniosku, że to pewnie ze względu na rzadkie kursowanie promu. Wiedział też, że w Anchorville Wyatt ma w garażu dwa inne wozy.

Gdy zniknęła mu z oczu, z trudem powstrzymał odruch, żeby za nią pójść. Z dużym trudem. Intuicja podpowiadała mu, że nie powinien zostawiać jej samej.

Wszedł do stajni, gdzie znajdował się główny zawór, odkręcił go i wrócił do poidła. Zobaczył, że woda płynie bez przeszkód, a kran nie przecieka. Nowa uszczelka zdała egzamin.

- Może być - mruknął i poczuł, że podchodzi do niego jeden z koni. Obejrzał się przez ramię. Jasper parsknął cicho i z jego nozdrzy wzbily się dwa bliźniacze obłoczki pary.

Dern poklepał wałacha po karku.

- Chcesz mi pomóc? - spytał z uśmiechem. - A może wolisz się napić?

Napełnił cementowe poidło, na oko co najmniej pięćdziesięcioletnie. Koń podszedł bliżej, pochylił łeb i prychnął, aż po wodzie rozeszły się małe fale.

Dern spojrział na zatokę; samotna łódź zmierzała w kierunku An-chorville. Chociaż był ciekaw, dokąd wybiera się Ava, ponownie skierował wzrok na Jaspera.

- Co powiesz na przejażdżkę? Zaprowadził konia do stajni, żeby go osiodłać.

Nie widział nic złego w tym, że Ava opuściła wyspę. Wręcz przeciwnie, uważał, że wyprawa na stały ląd dobrze jej zrobi. Problem w tym, że gdziekolwiek była, nieustannie towarzyszyły jej kłopoty.

A kłopoty najczęściej idą ramię w ramię z niebezpieczeństwem.

Znowu miał ochotę ruszyć za nią i znowu opanował ten odruch.

Hipokryzja, zważywszy na twoje plany, nie uważasz? - upomniał się w duchu.

- Idiota - mruknął pod własnym adresem.

Nie może się odsłonić, jeszcze nie. Jeśli Ava napatoczy się na niego poza wyspą, nabierze podejrzeń, a do tego nie mógł dopuścić. Ona nie nabierze się na bajeczkę o zbiegu okoliczności, aż tak jej nie odbiło. Właściwie nie sądził, żeby w ogóle jej odbiło.

Czego nie da się powiedzieć o wszystkich pozostałych mieszkańcach wyspy, lalka w trumnie była tego najlepszym dowodem.

Wsiadając na konia, zerknął na ogród. Kto mógł pogrzebać lalkę upodobnioną do zaginionego dziecka pod kamieniem, na którym wyryto jego imię? I co chciał w ten sposób osiągnąć? Czy to miał być jakiś żart? Jeżeli tak, to wyjątkowo okrutny i głupi.

O tak, w Neptune's Gate zdecydowanie nie wszystko jest w porządku, ale prawdopodobnie nigdy nie było. Stare domostwo na wzgórzu na pewno skrywa wiele sekretów, także bardzo mrocznych.

Postanowił skorzystać okazji, że nikt nie patrzy mu na ręce. Kilka godzin samotności bardzo mu się przyda. Czas uciekał, musiał się pospieszyć. Nic nie może go odwieść od przeprowadzenia tego, co zamierzał. Ani nikt, nawet Ava Garrison.

Rany boskie, ta kobieta naprawdę go rozprasza.

- No, jedziemy - powiedział do konia, który puścił się galopem przez łąkę.

Kiedy Dern nabrał pewności, że nikt nie może go zobaczyć, skierował wałacha na południe, w stronę miejsca, do którego zmierzał -opuszczonego szpitala Sea Cliff.

- Co to za wyglupy spod znaku płaszcz i szpady? - zapytała Tanya.

Spacerowały po Seattle. Tanya miała na sobie wykończony futerkiem płaszcz i botki na dziesięciocentymetrowych obcasach. Cały czas bezskutecznie walczyła z parasolką, którą wiatr wiejący od Zatoki Elliotta usiłował wywrócić na drugą stronę. - Po co ci ukryte kamery i mikrofony? - drążyła. - A może chcesz zostać prywatnym detektywem? Super! Sfotografujesz albo sfilmujesz Russella, kiedy zajmuje się dziećmi.

- Chyba nie nadaję się na prywatnego detektywa - odparła Ava ze śmiechem.

Przez całą drogę nie puściła pary z ust. Dopiero teraz, po zakupach w sklepie elektronicznym, w którym zapłaciły kartą Tanyi, uchyliła rąbka tajemnicy. Była to winna przyjaciółce.

- Więc co to za zabawa w Jamesa Bonda? - dopytywała się Tanya.

- Po prostu chcę odplacić pięknym za nadobne temu, kto mnie wkreca.

Minęły mężczyznę ze sznaucerem na smyczy i zatrzymały się na światłach. Po drugiej stronie ulicy była restauracja, w której postanowiły zjeść spóźniony lunch.

- Myślisz, że to ma coś wspólnego z morderstwem Cheryl? - zapytała Tanya. Nie ukrywała, że jej zdaniem śmierć hipnotyzerki miała coś wspólnego z faktem, iż Ava była jej klientką.

- Nie sądzę - odparła Ava. Rzeczywiście w to nie wierzyła, ale ona również miała przeczucie, że zabójstwo Cheryl w jakiś sposób łączy się z jej sprawami.

- No cóż, sama wiesz, że to dziwne, a właściwie przerażające. Chyba popadam w paranoję.

- Witaj w klubie.

Światła się zmieniły. Odczekały chwilę, przepuszczając wariata w garbusie, który nie zatrzymał się na czerwonym świetle.

- Kretyn! - wrzasnęła Tanya.

Kierowca czerwonego forda escape wcisnął klakson, tymczasem żółty volkswagen już zniknął za rogiem.

Przeszły na drugą stronę szerokiej jezdni i znalazły się na nabrzeżnej promenadzie. Powietrze pachniało oceanem, a na wzburzonym morzu uwijały się promy, zostawiając za sobą białe kilwatery. W oddali, za mgłą majaczyły ośnieżone szczyty gór Olympic.

Dotarłszy do nabrzeża 57, weszły do małej knajpki serwującej wyśmienite dania z owoców morza. W restauracji było niewielu gości - pora lunchu już minęła, a do kolacji zostało jeszcze parę godzin.

Usiadły przy oknie z widokiem na zatokę, zamówiły napoje, przystawkę - kraby i karczochy na spółkę, i dania główne - zupę rybną i placki krabowe.

- No dobra - zaczęła Tanya, gdy dostała swoje martini z granatem. - Mów, o co chodzi z tym szpiegowskim sprzętem? - Upiła łyk i spojrzała na przyjaciółkę.

Ava zrelacjonowała swoją wizytę na wieżyczce i w pokoju, w którym znalazła walizkę ze sprzętem elektronicznym. Tanya wyjątkowo jej nie przerywała; słuchała uważnie, sącząc drinka i skubiąc pyszny chleb na zakwasie.

- Na tej wyspie dzieje się coś bardzo złego - orzekła, kiedy Ava skończyła. - Ale Jewel-Anne? Spójrzmy prawdzie w oczy: nawet gdyby zdołała pokonać schody, co jest niemożliwe, czy naprawdę na tyle zna się na sprzęcie, żeby zainstalować coś takiego?

- Może ktoś jej pomagał - odparła Ava. - W końcu Jacob jest geniuszem komputerowym. Jeszcze nie skończył studiów, a już zgłaszają się do niego firmy informatyczne, zarówno z okolic Seattle, jak i z Doliny Krzemowej.

Skosztowała zupy. Była gorąca, pikantna, pachniała pomidorami, czosnkiem i włoskim koprem. Te zapachy wspaniale komponowały się z aromatem halibuta, małży, krewetek i okonia.

- Ale dlaczego? - Tanya zastanawiała się na głos. - Po co zadawać sobie tyle trudu?

- Nie wiem. Może dlatego, że to ja jestem właścicielką Neptune's Gate.

- Hm. Pieniądze. Odwieczny motyw.

- Być może.

- No dobrze, ale co z Noahem? Myślisz, że mieli coś wspólnego z jego zniknięciem?

Ava spochmurniała. Czasami tak bardzo bała się, że już nigdy więcej nie zobaczy synka, że nie mogła oddychać, nie była w stanie zmusić płuc do wysiłku.

- Nie wiem. - Odłożyła łyżkę, nagle zupa też przestała jej smakować. - Nie mam pojęcia.

Tanya w zadumie skubała placek krabowy.

- Wiesz, że po Anchorville plotki rozchodzą się z prędkością światła - odezwała się po chwili - i zawsze, ale to zawsze, co smakowitsze trafiają do mojego zakładu.

- Ma się rozumieć.

- Słyszałam, że w ogrodzie Neptune's Gate znaleziono zwłoki. - Podniosła wzrok znad kromki chleba, którą smarowała masłem, i spojrzała na przyjaciółkę.

- To miałaś na myśli, mówiąc, że ktoś cię wkręca?

- Nie zwłoki, tylko lalkę - sprostowała Ava. - Przepraszam, że wcześniej o tym nie powiedziałam.

Po chwili doszła do wniosku, że musi się komuś zwierzyć, i opowiedziała Tanyi o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło na wyspie. I o tym, jak widziała synka na pomoście, i o tym, jak znalazła jego zmoczone buciki, i wreszcie o swoich podejrzeniach, że Wyatt romansuje z jej lekarką. Jeśli przyjaciółka uzna, że zwariowała, to trudno.

Kiedy skończyła, poczuła się znacznie lepiej, było jej lżej na duszy.

- O rany - powiedziała Tanya. - Chyba powinnaś mieć na imię Alicja. Byłaś w króliczej norze.

- I to nie raz.

Skończyły jeść. Ava podziękowała za deser, wolała espresso, za to Tanya zdecydowała się na szarlotkę na ciepło z lodami waniliowymi. Poprosiła o dwie łyżeczki i Ava niechętnie zjadła kilka kęsów.

Kiedy uregulowała rachunek, Tanya stwierdziła:

- A w drodze powrotnej opowiesz mi o Austinie Dornie.

- Niby dlaczego?

- Sama nie wiem. Może dlatego, że wyobrażasz sobie, że się w nim zakochałaś?

Ava była w szoku.

- Tak to odbierasz? - Ostatnie, naprawdę ostatnie, czego jej trzeba, to komplikacje w życiu uczuciowym, a Dern z całą pewnością byłby poważną komplikacją

- Niewiele o nim mówiłaś, ale ilekroć go wspominałaś, rumieniłaś się. - Tanya pogroziła przyjaciółce łyżeczką. - Nawet nie próbuj zaprzeczać. Pracuję w salonie piękności, znam się na tym. Od lat wysłuchuję kobiecych historii. Zawsze chodzi o mężczyznę albo, częściej, niż ci się wydaje, kilku mężczyzn.

- Właściwie go nie znam, no i przecież jestem mężatką.

- Tylko teoretycznie. Gdzie jest twoja obrączka i pierścionek zaręczynowy z dwukaratowym brylantem?

Dobre pytanie, przyznała Ava, dotykając odruchowo gołych palców lewej dłoni.

- Pewnie w sejfie - odparła.

- Naprawdę nie pamiętasz?

- Najwyraźniej nie.

- Wrzuciłaś je do zatoki.

- Co?! - wykrzyknęła Ava. - To niemożliwe.

- Byłam przy tym. - Tanya z wyraźną przyjemnością wsunęła do ust łyżeczkę lodów z jagodami.

- Ale przecież nie mogłabym...

- Ależ owszem, mogłaś. Przyłapałaś Wyatta na zdradzie, i to nie pierwszy raz.

- Nie, nie, chodzi mi o to, że... - urwała. Kolejne kawałki łamigłówek trafiały na właściwe miejsce. - Z kim?

- A czy to ważne? Według mnie zdrada to zdrada, bez względu na to, kim jest ta druga trzecia.

Ava poczuła, jak jej żołądek ścisną się boleśnie, zbierało jej się na mdłości.

- Masz więcej luk w pamięci niż szwajcarski ser dziur - ciągnęła Tanya. - To bezdenne przepaście, w których zniknęły całe miesiące, może nawet lata. - Odłożyła łyżeczkę i odsunęła topniejące lody. - Słuchaj, nic nie mówiłam, bo nie chciałam pogarszać sytuacji, ale widzę, jak się męczysz, usiłujesz sobie przypomnieć, a dookoła dzieją się naprawdę dziwne rzeczy. Musisz stamtąd uciekać, dopóki jeszcze możesz.

- Myślisz, że coś mi grozi?

- No... chyba tak. Może. Pamiętaj, co spotkało Cheryl.

- To co innego.

- Na pewno? - Tanya zmarszczyła czoło i ściągnęła brwi. - Czas zabójstwa... wszystko pięknie się układa, ty też to widzisz.

Rzeczywiście, widziała. Obawy, które starała się stłumić, nagle wydały się bardziej realne.

- Nie mogę pochopnie wyciągać wniosków. Zresztą gdyby ktoś naprawdę chciał mojej śmierci, już byłabym martwa.

Tanya pokręciła głową z powątpiewaniem.

- W dzisiejszych czasach nie tak łatwo kogoś zabić i upozorować wypadek. Po pierwsze, rodzina zawsze znajduje się w kręgu podejrzanych, a po drugie, kryminalistyka bardzo poszła do przodu i eksperci są w stanie znaleźć nawet najmniejsze ślady. Moim zdaniem ktoś chce cię doprowadzić do takiego stanu, żebyś sama się zabiła.

- Nie, nie wierzę.

Tanya pochyliła się nad stolikiem, złapała przyjaciółkę za rękę i odwróciła ją tak, że blizny na nadgarstku były dobrze widoczne.

- Słuchaj, znam cię od lat i dopóki Noah nie zaginął, byłaś ostatnią osobą którą podejrzewałabym o próbę samobójczą. Ostatnią. Nikt nie stąpał po ziemi równie mocno jak ty. Więc co się wydarzyło tamtej nocy?

Ava z trudem przełknęła ślinę.

- Nie wiem - szepnęła. - Nie pamiętam.

A jednak gdzieś na krawędzi świadomości czaiły się niewyraźne obrazy. Pamiętała wannę pełną piany, kojące ciepło wody i, jakby z daleka, spoza ciała, widziała, jak do wody sączy się krew, jak piana staje się różowa. Brzytwa na brzegu wanny... tak blisko, tak łatwo przeciąć białą skórę i błękitne żyły...

Kiedy teraz o tym myślała, serce biło jej coraz szybciej, usta wypełnił metaliczny posmak.

- Zastanów się, to ważne - błagała Tanya gdzieś z oddali. Miała wrażenie, jakby nagle znalazła się w zimnej jaskini na wybrzeżu, a huk fal i szum wiatru nie pozwalały jej się skupić.

- Czy ktoś był z tobą w łazience? - głos Tanyi dobiegał z daleka, z bardzo daleka...

Potrząsnęła głową, chcąc rozpędzić mgliste opary. Powoli przypominała sobie sceny z tamtej nocy. Oczami wyobraźni widziała siebie, swoje rozluźnione ręce i nogi, jakby niepołączone z ciałem, lustro nad umywalką zasnuwane gorącą parą, przygaszone światła, zapalone świece, z których wosk spływał czerwonymi smugami, jak krew.

Czy wtedy ktoś z nią był? Nie...

- Kto cię znalazł? Wyatt, tak? - głos Tanyi wciąż dobiegał z oddali. Wszystko się zlewało, wirowało bezładnie we mgle, ale była tam,

w wannie. Kręciło jej się w głowie.

- Ava? Ava? Dobrze się czujesz?

Czy to Tanya, tu i teraz, w restauracji, czy ktoś za drzwiami szarpie za klamkę i chce wejść do łazienki?

- Kto cię znalazł?

Zatrzepotała powiekami. Zdała sobie sprawę, że siedzi w restauracji z Tanyą nerwowo zaciska dłonie na krawędzi stolika i patrzy na przyjaciółkę, która pochyla się nad nią, jakby obawiała się, że Ava zaraz zemdleje.

- Ja... nie pamiętam. Nie... nie Wyatt, nie on pierwszy. - Tak było, prawda? Tak. Przypomniała sobie wykrzywioną przerażeniem twarz kuzynki. - To Jewel-Anne. Panikowała, krzyczała, płakała i... - Obraz zamazywał się, ale trzymała się go kurczowo i była pewna, że widziała dziewczynę na wózku wołającą o pomoc, zapłakaną, rozkrzyczaną, przekonaną, że Ava nie żyje. A potem światła, odbijające się w oknach i kroplach deszczu.

Kiedy wyjmowali ją z wanny, słyszała kojący głos Wyatta; prosił, żeby ją okryć, zanim zajmą się nią sanitariusze. Gdzieś w najciemniejszych zakątkach pamięci zachowało się wspomnienie szybkiej jazdy do szpitala...

Wszystko nikło w miękkiej wacie snów i majaków wywołanych przez tabletki, które zażyła, zanim weszła do ciepłej, kojącej wody.

Dzięki tym tabletkom miała się odprężyć.

Tymczasem cudem uszła z życiem, zemdląca w motorówce ratowników i dopiero kilka dni później odzyskała przytomność.

Odsunęła wspomnienia i wróciła myślami do rzeczywistości, do niemal pustej restauracji i przyjaciółki.

- Skłamałam - powiedziała cicho. - Pamiętam, chociaż nie wszystko.

- Wcale nie chciałaś się zabić, prawda?

- Nie - odparła. Teraz była tego pewna.

- Więc kto to zrobił?

- Tego nadal nie wiem - powiedziała, kręcąc głową. - Ale zamierzam się dowiedzieć.

- Uważaj na siebie - poprosiła Tanya, wyraźnie przerażona. - Bardzo na siebie uważaj.

Rozdział 32

Dern poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu. Przywiązał konia do pochylej sosny rosnącej nieopodal starego szpitala. Czas nie oszczędzał Sea Cliff. Popękany beton, zardzewiałe rury i wszechobecny mech świadczyły o tym, że obiekt stał nieużywany od wielu lat. Nawet pachnący solą morski wiatr nie zdołał zamaskować odoru opuszczenia.

Siedzący na dachu kruk zakrakał, nastroszył pióra i spojrzał na puste podwórze. Wiatr szarpnął łańcuchem przy jednym z bezużytecznych masztów, zagłuszając ryk fal.

Ponure, opuszczone miejsce, które już dawno należało zburzyć, stwierdził, wchodząc do środka. Znał rozkład pomieszczeń, nauczył się go metodą prób i błędów podczas trzech poprzednich wizyt. Za każdym razem penetrował jedną część budynku przez mniej więcej godzinę. Zazwyczaj przyjeżdżał konno. Zawsze przygotowywał sobie wytłumaczenie, na wypadek gdyby ktoś zapytał go, gdzie był. Poprzednio zamierzał powiedzieć, że objeżdżał pastwiska, dzisiaj zaś, że widział kogoś w lesie i chciał sprawdzić, czy nie biwakuje na terenie posiadłości albo nie potrzebuje pomocy. Te proste kłamstwa zapewniały mu możliwość uniknięcia zbędnych wątpliwości i podejrzeń.

Zresztą do tej pory nikt nie zwrócił uwagi na jego nieobecność, więc nie musiał korzystać z wykrętów.

Na razie musiał utrzymać w sekrecie zainteresowanie Sea Cliff i jak dotąd udawało mu się zachować tajemnicę.

Stał przed zardzewiałą bramą, wyjął z kieszeni pęk kluczy, znalazł odpowiedni wytrych, pomajstrował chwilę przy starym zamku i wszedł do środka. Żwirowa ścieżka niknąca wśród chwastów wiała się przez zarośnięty ogród, prowadząc do poszczególnych pawilonów kompleksu. Minął szeregowe domki, w których dawniej mieszkała część personelu. Dwa przebudowano, wyburzając dzielącą je ścianę, tak że powstał jeden większy dom. W wyglądzie pozostałych nie zmieniło się nic od czasów Eisenhowera. Za dogorywającym żywopłotem widniała przychodnia, w której przyjmowano pacjentów dziennych.

Chociaż cały teren szpitala był ogrodzony, wewnątrz także wznosiły się mury, a główny budynek, stojący pośrodku kompleksu, miał oddzielne ogrodzenie z zamykanymi bramami.

Gdyby nie brak wieżyczek strażniczych w rogach i drutu kolczastego na murach, miejsce to niczym nie różniłoby się od więzienia.

- Bardzo to wszystko cywilizowane - mruknął pod nosem, otworzył wytrychem główną bramę i znalazł się w samym sercu Sea Cliff. Zadaszenie nad wejściem było przekrzywione, ale podwójne drzwi i wielkie okna zdawały się witać przybyszów.

Zamek w drzwiach stawiał większy opór, ale i on w końcu ustąpił. Dem odgarnął pajęczyny i wszedł do wnętrza, zapomnianego przez ludzi i czas. Znajdował się w dawnej szpitalnej recepcji.

Teraz było tu pusto, nie licząc pokrytego kurzem kontuaru pod ścianą. Minął recepcję i wszedł do gabinetu dyrektora szpitala - jako ostatni urzędował w nim Crispin Church, stryj Avy. Szuflady, w których dawniej trzymano akta, były puste. Szafka ze złamaną nogą zasłaniała resztki kratki szybu wentylacyjnego.

Był tu już wcześniej i na parterze niczego nie znalazł, podobnie jak w domkach szeregowych i w przychodni. Zostały mu jeszcze wyższe kondygnacje głównego budynku, labirynt korytarzy, pokoje pielęgniarek, puste oddziały i świetlice.

Windy nie działały, więc poszedł schodami. Jego kroki niosły się echem po betonowych stopniach. Szpital budził strach, ale Dem nie należał do lękliwych. Gdyby nie to, wpadłby w panikę, kiedy wykopali małą trumienkę. To było naprawdę okropne. Dziwne, że Ava jeszcze nie oszalała.

Układ piętra był niemal taki sam jak parteru, z tą różnicą że w miejscu recepcji znajdowała się kuchnia i stołówka. W pokojach zachowało się więcej mebli. W jednym z nich stało łóżko z poplamionym materacem, w drugim, większym, zostały tylko dwa stelaże bez materacy. Pod oknem stało krzesło, sądząc na oko, z początku lat siedemdziesiątych. Kłęb trocin wystawał spod rozprutej sztucznej skóry siedziska. Nic ciekawego.

Wspiął się na najwyższe piętro. Nie różniło się niczym od niższej kondygnacji, nie licząc zacieków na suficie. Dyżurka pielęgniarek, świetlica, hol... a jednak tym razem przeszył go dreszcz oczekiwania, gdy wędrował długim korytarzem. Zatrzymał się przy narożnym pokoju, jedynym z dwoma oknami.

Czy mu się wydawało, czy w tym pokoju warstwa kurzu została naruszona? Przez moment miał wrażenie, że dostrzega odcisk buta, ale była to tylko gra światła.

Po niesławnym mieszkańcu pomieszczenia nie został żaden ślad.

- Gdzie się podziewasz, Reece? - zapytał, a jego głos odbijał się echem od popękanych ścian i porysowanych posadzek.

Lester Reece był jak duch, zostawił po sobie niemal namacalne dziedzictwo, nękając wyspę i miasteczko Anchorville. Już wcześniej uważano go za potwora, ale potem, gdy uciekł z Sea Cliff, przepadł bez śladu, stał się postacią niemal legendarną, atrakcją tego zakątka świata. Staruszkowie w barze mieli rację. Tak jak D.B. Cooper, który w latach sześćdziesiątych wyskoczył z porwanego samolotu z ćwierć miliona dolarów i dwoma spadochronami, Reece miał wielu fanów wśród osób zafascynowanych przestępcami, którym udało się wymknąć z rąk sprawiedliwości i nie wiadomo było, czy żyją, czy nie. Ludzie lubią legendy, chcą wierzyć, że niektórym udaje się czmychnąć z forsą, a innym nawet morderstwo uchodzi na sucho. Lesterowi Reece'owi udało się jedno i drugie. Nigdy nie odnaleziono ani ukradzionych przez niego pieniędzy, ani jego ciała, i tak legenda żyła własnym życiem.

Dem miał za zadanie znaleźć niepodważalne dowody jego śmierci albo sprawić, że stanie się ona faktem.

Zatrzymał się przy oknie, wyjrzał przez brudną szybę na parapet pokryty ptasimi odchodami. Na ścianie przy oknie ktoś gasił papierosy. Czyżby niedawno?

Poczuł dreszcz emocji, pociągnął nosem i wydawało mu się, że wyczuwa zapach tytoniu, choć to pewnie tylko wyobraźnia płatała mu figle.

Nie sposób określić, czy ślady po papierosach to pamiątka sprzed kilku dni, czy lat.

- Cholera - mruknął i wbił wzrok w brudną szybę. Widział stąd niespokojne wody zatoki i skalisty, porośnięty drzewami brzeg stałego lądu. To była trasa ucieczki Reece'a, przynajmniej według tych, którzy twierdzili, że mu się udało.

Może tak, może nie.

Jego uwagę przykuła smuga światła. Spojrzał na północ, wzdłuż wybrzeża wyspy, gdzie wśród drzew znajdowało się źródło światła.

- Co, do cholery? - mruknął i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć. Udało mu się dostrzec tylną ścianę Neptune's Gate.

Oczywiście nic to nie znaczyło.

A jednak miał uczucie, że trafił na coś ważnego, że dostrzegł związek między Reece'em i ogromnym domem Avy Garrison, a raczej kimś, kto tam mieszkał.

Spokojnie, lepiej nie wyciągać pochopnych wniosków.

Widział stąd również dach i mansardowe okna pokoi na drugim piętrze, zapewne dawnych pomieszczeń dla służby. Teraz nikt w nich

nie mieszkał. Ledwie widoczne światłko znajdowało się piętro niżej. Gdzieś na tyłach domu w pochmurny dzień paliła się lampa.

Ile razy Lester Reece stał w tym samym miejscu i wpatrywał się w okno na tyłach Neptune's Gate? - zastanawiał się Dern.

Może nigdy.

A może każdego cholernego dnia, stwierdził ponuro.

- To się nie uda! - Tanya patrzyła przed siebie, mocno zaciskając dłonie na kierownicy chevroleta. Dochodziła szósta, więc było już całkiem ciemno, a gęsta mżawka zmusiła ją do włączenia wycieraczek. Jesienne liście tańczyły smętnie w świetle reflektorów, gdy samochód mknął dwupasmową szosą wijącą się przez mroczny las.

Ava też miała wątpliwości. Ktoś mógł ją przyłapać albo znaleźć sprzęt, ale musiała spróbować.

Im bliżej były Anchorville, tym bardziej Tanya się denerwowała. Coś, co wcześniej wydawało się zabawą, teraz nabierało rzeczywistych kształtów.

Ava z każdym przejechanym kilometrem także czuła się coraz bardziej nieswojo.

Radio nastawione było na rockową stację z Seattle. Tanya zerknęła na tylne siedzenie, na którym leżały torby z zakupami. Ava powiedziała w domu, że to babska wyprawa: masaż w spa, zakupy w Seattle, lunch na nabrzeżu. I rzeczywiście, zrealizowały ten plan co do joty, ale na dzień reklamówki z domu towarowego Nordstrom były zakupy ze sklepu elektronicznego. Ava ukryła nabyty sprzęt w pudełkach z butami i w nowej torebce, mając nadzieję, że zdoła zanieść to wszystko do siebie, zanim ktoś zechce obejrzeć, co kupiła, albo zacznie zadawać niewygodne pytania.

Nigdy nie umiała dobrze kłamać.

Ale uczyła się szybko.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - Tanya wskazała stertę toreb na tylnym siedzeniu.

- Zainstalować.

- Wiesz jak?

- Nie, ale mam instrukcje. Zresztą sprzedawca mówił, że poradziłby sobie z tym nawet dziesięciolatek. - Sprzedawca był typem komputerowca i sprawiał wrażenie, jakby miał w jednym palcu programowanie systemów dla NASA.

- Ale ja pytam o ciebie - naciskała Tanya.
- Doceniam twoją wiarę w moje możliwości.

Tanya niespokojnie wyprostowała zaciśnięte dłonie, zwalnając przed zakrętem.

- To wszystko bardzo mi się nie podoba - przyznała.
- Mnie też.

- Cholera! - Na szosę wybiegł szop. Skręciła nerwowo, żeby go nie uderzyć.

Do Anchorville zostało pięć kilometrów. Ava czuła powracający niepokój. Wyatt dzwonił do niej, kiedy była w Seattle, widziała jego imię na wyświetlaczu, ale nie mogła przecież odebrać w sklepie z elektroniką.

Oddzwoniła z samochodu. Odebrał po pierwszym sygnale.

- Cześć - rzucił.
- Dopiero teraz zorientowałam się, że dzwoniłeś - skłamała. -Przepraszam.
- Chciałem się tylko upewnić, że wszystko w porządku.
- Tanya mnie porwała - wyjaśniła Ava, siląc się na beztroski ton. -Zakupy, spa, lunch, same atrakcje.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał. Tanya tymczasem majstrowała przy pokrętle klimatyzacji i udawała, że wcale nie podsłuchuje.

- Świetnie.
- Gdzie jesteście?
- Kilka kilometrów od Anchorville.
- Wiesz, że uciekł ci ostatni prom?
- Butch albo ktoś inny mnie przewiezie, za niecałą godzinę będę w domu.
- Nie, poczekaj w kawiarni, sam cię zabiorę.

Na samą myśl o tym, jak ukrywa przed Wyattem paczki z zakupami i ich zawartość, przeszedł ją zimny dreszcz.

- Nie, dzięki, znajdę kogoś. Jeśli nie, zadzwonię i...
- Już płynę - wszedł jej w słowo.

- Wyatt, naprawdę nie trzeba. - Poczowała na sobie niespokojne spojrzenie przyjaciółki.

- Nie ma sprawy. Zaraz się widzimy. - Rozłączył się, zanim zdążyła zaprotestować.

- Wiedziała! - Tanya przestała bawić się pokrętem. - On coś podejrzewa!

- On zawsze coś podejrzewa. - Ava wsunęła telefon do torebki, opadła na oparcie, zamknęła oczy i wmawiała sobie, że wszystko pójdzie dobrze.

Reflektory nadjeżdżającego samochodu załąły wewnątrz kabiny i przez chwilę widziała zatroskaną twarz przyjaciółki.

- Zawsze możesz przenocować u mnie - zaproponowała Tanya.

- Dzięki. - Ava dotknęła jej ramienia. - Ale to wzbudziłoby dalsze podejrzenia. Nie martw się, dam sobie radę.

Kłamstwo zawisło w powietrzu.

- Mam dzieci, a sama dobrze wiesz, że martwienie się wchodzi wtedy w krew - mruknęła Tanya. Pokonała ostatni zakręt i ich oczom ukazały się światła Anchorville.

Gdy mijały biało-niebieską tablicę z napisem „Witamy w Anchorville”, Ava powtarzała sobie, że da radę, że w najgorszym wypadku ktoś się o wszystkim dowie i albo uzna, że zwariowała, albo zechce zamknąć ją w szpitalu. Przeżyła już gorsze chwile. Czuła jednak, że traci pewność siebie.

Tanya nie poprawiła sytuacji.

- Wiesz, Cheryl nie zginęła bez powodu - zauważyła. - Nie wiem, dlaczego ją zamordowano, ale jestem gotowa założyć się o napiwki z całego miesiąca, że to miało związek z tobą. - Ava już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale Tanya nie dała jej dojść do słowa. - Nic nie mów, dobrze? To wszystko jest strasznie dziwne. - Posłała przyjaciółce znaczące spojrzenie. - Słuchaj, umieram ze strachu, odkąd zamordowano Cheryl. Kilka razy sprawdzam, czy zamknęłam drzwi, upewniam się, że okna są zablokowane, a i tak ciągle mi się zdaje że słyszę coś... kogoś... w piwnicy.

- Ale dlaczego ty się boisz?

- Nie wiem! Właśnie o to chodzi. To się nie trzyma kupy. A może dlatego, że cię znam. Jak Cheryl. - Odczekała, aż minie je jadąca z przeciwka ciężarówka, i skręciła na nabrzeże.

- Dlatego, że mnie znasz? - powtórzyła Ava. - Myślisz, że chodziło o mnie?

- Sama już nie wiem, co myślę. - Tanya skręciła na parking na nabrzeżu. - Ale szczerze mówiąc, cieszę się, że to Russ ma dzisiaj dzieciaki. Jezu, czy uwierzyłabyś dawniej, że powiem coś takiego?

- Nie.

- Teraz wiesz, w jak kiepskim jestem stanie. - Zaparkowała, ale nie gasiła silnika. - Uważaj na siebie, Avo. Obiecuj mi.

- Obiecuję.

- Wiesz, że mogłabyś po prostu iść na policję?

Ava pomyślała o Snyderze, Lyons i o szeryfie Biggsie.

- Nie, dopóki nie będę miała konkretnych dowodów - odparła, otwierając drzwi. Do środka wpadła fala zimnego powietrza. - Dzięki za wszystko, Tanya.

- Nie ma sprawy. Ava się roześmiała.

- Ależ owszem, jest. To duża sprawa, naprawdę duża. Tanya wzruszyła ramionami.

- No dobra, w takim razie w rewanżu pozdrów ode mnie Trenta.

- Nadal jestem twoją dłużniczką, ale masz to jak w banku. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Najwyraźniej Tanya nie zdołała zapomnieć o Trencie.

Ava zabrała zakupy z tylnego siedzenia, pożegnała się z przyjaciółką i poszła na nabrzeże. Z każdym krokiem czuła, jak na jej żołądku zaciska się metalowa obręcz. Musi jakoś przeżyć następnych kilka godzin w towarzystwie Wyatta, musi udawać, że dobrze się z nim bawi, tymczasem chciała jedynie wrócić na wyspę i zainstalować kupiony sprzęt. Wszystko już zaplanowała: najpierw zamknie się w łazience, puści wodę w prysznicu i połączy wszystko tak, żeby później, kiedy wszyscy zasną móc tylko umieścić kamerę i dyktafon na strychu. Detektor ruchu uruchomi nagrywanie, gdy tylko ktoś się pojawi.

- Szpieczy kontra szpieczy - szepnęła, przypominając sobie komiks z dzieciństwa. - Bo do tanga trzeba dwojga.

Najpierw jednak musi uporać się z mężem.

Światła rozjaśniały wejście do portu i nabrzeże. Minęła sklep rybny, z którego docierał intensywny zapach, i widziała, jak Lizzy szykuje stertę krewetek dla pary klientów wpatrzonych w szklaną gablotę.

Kilkadziesiąt metrów dalej weszła do kawiarenki, w której powietrze przesycił zapach świeżo parzonej kawy, a kolorowe świąteczne lampki oświetlały gablotki z rogalikami, pączkami i ciastami. Zamówiła orzechową latte, na którą wcale nie miała ochoty, i usiadła przy oknie. Torby z zakupami postawiła na podłodze.

Oparła łokcie na stole i patrzyła przez okno na zatokę, przerażona myślą o wspólnej przeprawie z mężem.

Tanya powiedziała, że Wyatt już przedtem ją zdradzał, chociaż nie znała albo nie chciała podać nazwiska kobiety, z którą ponoć miał romans. Teraz, sącząc aromatyczny napój, wpatrzona w atramentową otchłań zatoki, usiłowała sobie przypomnieć, kto to był, kiedy to się działo...

Czy to w ogóle ważne?

Oczywiście, że tak. Musi sobie przypomnieć wszystko. To, co dobre, i to, co złe, wstrętne. Prawdę i fałsz. Skoncentrować się, myśleć. Wie to wszystko, ma to w sobie i odnajdzie, jeśli się postara.

Głowa pulsowała bólem, żołądek zaciskał się boleśnie. Za kilka godzin wcieli swój plan w życie.

Gdy tak rozmyślała, rozdzwoniła się jej komórka.

Instynktownie sięgnęła do torebki i musnęła przy okazji pęk kluczy. Zapomniała o nich w zamieszaniu, ale teraz wyjęła je, położyła na stoliku i dopiero wtedy sięgnęła po telefon. Znowu Wyatt.

- Cześć - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. Bawiła się starymi kluczami.

- Już prawie jestem, czekaj na mnie. Zjemy kolację w Anchorville i wrócimy na wyspę.

O Boże. Zerknęła na pakunki, które tak bardzo chciała ukryć w swoim pokoju.

- Virginia na nas nie czeka?

- To nieważne, zadzwonimy.

Nie może dopuścić, żeby Wyatt stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

- Dobrze, siedzę w kafejce, poczekam. - To słowo zawirowało, rozniosło się echem. „Poczekam”. Już to kiedyś powiedziała. Ale kiedy? Przeszył ją dreszcz. Spojrzała w szybę i zobaczyła swoje odbicie w szklanej tafli, niewyraźne, mgliste wspomnienie kobiety, którą kiedyś była.

Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy Wyatt miał kochankę. Próbowwała dopasować poszczególne kawałki łamigłówki, złożyć z ostrych okruchów obraz, który już kiedyś widziała.

I nagle wspomnienia wróciły.

A wraz z nimi wszystkie obrzydliwe szczegóły tamtego fragmentu jej życia.

Rozdział 33

Widziała wszystko wyraźnie. Czas się cofnął, znowu była tamta jesień, gdy mróz już ścielił się na suchej trawie, a klony koło domu szeleściły żółtozłotymi liśćmi, jakby trawił je ogień.

Noah kręcił się jak zawsze, wszędzie wlaził, otwierał drzwi, wspinał się po schodach, chciał się bawić w chowanego.

Tego wieczoru Ava wchodziła do domu z synkiem na rękę i telefonem przy uchu. Wracali z ogrodu. Małemu bardzo podobały się wielkie dynie i pokazywał paluszkami wiewiórkę, która przyglądała im się ciekawie z gałęzi świerka.

- Nie zdążę dzisiaj na kolację - mówił Wyatt.

Postawiła Noaha na podłodze i, przytrzymując słuchawkę barkiem, usiłowała rozpiąć mu kurtkę, zanim pobiegł w głąb domu.

- Nie ma sprawy - odparła. - Zjemy z Noahem sami, a potem położę go spać. Mały jest zmęczony, ale ja poczekam.

- Nie musisz, będę bardzo późno, może nawet dopiero rano. Może w ogóle prześpię się tutaj.

- W pracy?

- Tak, na kanapie. Mam tu zapasowy garnitur, a w łazience zarządu jest prysznic.

- Ale...

- Uściskaj ode mnie Noaha. - Rozłączył się i w tej chwili dotarła do niej prawda. Był z inną. Kłamał. Wpatrywała się tępo w słuchawkę, kojarząc ze sobą fakty: ostatnio ciągle się spóźniał, pracował do późna...

- Mamusiu! Łap mnie!

Szybko podniosła głowę i zobaczyła synka na półpiętrze. Serce stanęło jej w gardle. Przez chwilę obawiała się, że Noah skoczy, ale on niezdarnie wdrapywał się wyżej, przekonany, że będzie go gonila.

Odepchnęła od siebie myśli o Wyatcie i pobiegła za synem. Wzięła go na rękę, a mały chichotał radośnie. Udało jej się jakoś przetrwać kolejne godziny. Podczas kolacji, którą zjedli we dwoje, miała wrażenie, że Virginia patrzy na nią ze współczuciem, ale wmówiła sobie, że tylko jej się zdawało. Przecież nikt nie mógł wiedzieć o romansie jej męża, na miłość boską, dopiero co sama na to wpadła.

Ale mimo wszystko...

Wskazówki zegara pełzły niemiłosiernie wolno, gdy kąpała Noaha, czytała mu bajkę na dobranoc, układała do snu. A potem zamknęła się

w małżeńskiej sypialni i liczyła minuty wyświetlające się na elektronicznym zegarze.

To była najdłuższa noc w jej życiu. Miała gonitwę myśli. Pytania nie dawały spokoju, ale najgorsza była niewiedza. Wyobrażała sobie męża w łóżku z inną. Uprawiali seks. Dziki? Szalony? Czy padały zapewnienia o miłości, a może nawet żarty na temat głupiej, naiwnej, ufnej żony? Doprowadzało ją to do szału. Przysnęła na kilka godzin. Obudziła się z piaskiem pod powiekami, ale też z mocnym postanowieniem, że nie będzie żalostną ofiarą.

Z początku, mniej więcej przez tydzień, Wyatt wszystkiemu zaprzeczał. Wcale jej to nie dziwiło. Aż wreszcie, podczas wielkiej awantury w salonie, poddał się, rozłożył bezradnie ręce i przestał się głupio tłumaczyć.

Z twarzą wykrzywioną wściekłością, bez śladu poczucia winy przyznał, że stracił głowę dla innej. Była już o tym przekonana, ale usłyszawszy to z jego ust, poczuła się, jakby ktoś kopnął ją w brzuch. Zdała sobie wtedy sprawę, że w głębi serca miała nadzieję, że jednak się myli.

- Tak, miałem romans z koleżanką z pracy! - przyznał. - No i co? Szczęśliwa?

- Oczywiście, że nie - odparła. Mimo łez w oczach dumnie uniosła podbródek. Nie załamie się, nie będzie opłakiwała małżeństwa, które zapewne już dawno przestało istnieć. - Jak się nazywa?

- To bez znaczenia.

- Akurat! - Denerwowało ją że chce chronić tamtą kobietę, nieznaną, która wdarła się do cudzego małżeństwa.

- Jej już nie ma, rozumiesz? Poczucie winy ją zżerało. Zniszczyło jej małżeństwo, więc odeszła z pracy i wyprowadziła się na drugi koniec kraju. - Zdenerwowany, zacisnął pięści.

Ava była ciekawa, czy ją uderzy, czyjej zagrozi.

- Kto to jest? - naciskała dalej. Nie mogła się powstrzymać.

- A co cię to obchodzi, do cholery? - Wybiegł do holu, porwał płaszcz i aktówkę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Przez okno obserwowała, jak idzie do hangaru. Poły płaszcza trzepotały za nim na wietrze.

- Drań - mruknęła i zaraz sobie przypomniała, że ten drań jest ojcem jej dziecka. A zatem Noah wychowa się w rozbitej rodzinie, choć tak bardzo chciała tego uniknąć.

W tym czasie Wyatt nie spał już w małżeńskiej sypialni, a po kłótni wiedziała, że do niej nie wróci. I rzeczywiście, przez następne miesiące przebywał głównie na stałym ładzie. Zaklinał się, że romans się skończył.

- To już przeszłość, rozumiesz? Daj sobie z tym spokój - poprosił miesiąc później.

Nie uwierzyła mu, skontaktowała się za to ze znajomym, który pracował w tej samej firmie. Norm, młodszy wspólnik, potwierdził wersję Wyatta.

- Zastanawiałem się, czy ci powiedzieć - przyznał w rozmowie telefonicznej. - Ale byłem między młotem a kowadłem. I szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co dobrego mogłoby z tego wyniknąć. Skrzywdziłbym wszystkich.

- Więc pozwoliłeś, żeby robił ze mnie idiotkę - zaatakowała.

- Chciałem cię chronić, Avo. Wcale nie chodziło o Beth, ale teraz to i tak bez znaczenia. Wszystko skończone.

- Jak to: bez znaczenia?! - Uniosła się, pod powiekami paliły łyzy gniewu. Odłożyła słuchawkę i ponownie powróciła rozpacz, przemieszana z wściekłością. Musiała dowiedzieć się więcej, szperać dalej, aż wszystkie brudy wyjdą na jaw, aż zaspokoi ciekawość i będzie mogła żyć dalej.

Norm wymienił imię tej kobiety - Beth. Niechący czy celowo? Nieważne, zawsze to coś. Kierowana obsesją, zatrudniła prywatnego detektywa, który trzy dni później potwierdził, że niejaka Bethany A. Wells dwa miesiące wcześniej wyjechała z Seattle do Bostonu. Była w trakcie rozwodu. Wyatt nie kontaktował się z nią w ciągu minionych tygodni, tyle udało się ustalić detektywowi. Romans skończył się wraz z jej wyjazdem.

To nieistotne; według Avo ten związek zakończył się za późno. Niewierność to niewierność, koniec, kropka. Złożyła pozew o rozwód, a potem... potem... o Boże, potem odebrano jej Noaha i cała reszta, nie wyłączając niewierności męża, straciła znaczenie, gdy usiłowała się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

A teraz powróciło to samo lodowate poczucie osamotnienia, ledwie pomyślała o nowym romansie Wyatta. Jak to mawiała jej matka? Zdradził raz, zdradzi i drugi.

Chociaż zaprzeczał, że ma romans, w głębi serca wiedziała, że stracił głowę dla kogoś innego. Tym razem jednak nie czuła rozpacz, tylko ulgę. Proszę bardzo, Evelyn McPherson może go sobie wziąć.

Wsunęła telefon do torebki i wbiła wzrok w okno. I rzeczywiście, dostrzegła na zatoce jasne światła; były coraz bliżej. Ze ściśniętym żołądkiem upiła kolejny łyk kawy. Powtarzała sobie, że przeżyje tę kolację. Już miała schować klucze z powrotem do torebki, gdy jeden z nich przykuł jej uwagę. Różnił się od pozostałych - był to kluczyk do samochodu. Obejrzała go uważnie i dostrzegła logo mercedesa.

Jej ojciec zawsze jeździł fordem, mama też wybierała samochody amerykańskie, babka - tylko cadillaki. Jedynym znanym jej krewnym, który kiedykolwiek miał mercedesa, był stryj Crispin. A zatem to jego klucze. Hm. Mercedesa już dawno nie ma, sprzedał go zaraz po tym, jak stracił posadę w szpitalu.

O rany!

Ten pęk kluczy prowadzi do Sea Cliff! Dlaczego stryj zostawił je w domu?

I to klucze do samochodu, który sprzedał przed laty? Pewnie o nich zapomniał. Albo je zgubił.

Była pewna, że trafiła na ważny trop. Co więcej, powracały wspomnienia. Dobrze. Obserwowała przez okno, jak jej mąż dobija do brzegu, cumuje... Schowała klucze do ukrytej kieszonki w torebce, dopiła latte i czekała na Wyatta na progu kawiarni.

Na powitanie musnął ją ustami w policzek. Miał włosy potargane wiatrem i ogorzałą twarz, uśmiechał się pogodnie. Zmusiła się, żeby odpowiedzieć uśmiechem, gdy wskazał dwie duże torby z zakupami.

- O kurczę, chyba wykupiłaś cały sklep - zażartował. - Daj, ja je wezmę. - Wyciągnął ręce po paczki.

- Nie, dzięki - wyszeptała z trudem i modliła się, żeby nie zajrzał do środka.

- Co kupiłaś?

- Całe mnóstwo rzeczy. Buty, torebkę, kilka par dzinsów... - Boże, jak trudno tak paplać bez sensu.

W oparach chłodnej mgły szli do małej knajpki rybnej, oddalonej od nabrzeża o kilka przecznic.

Usiedli przy stoliku w rogu, koło gazowego kominka. Kelner przyjął zamówienia na napoje, podał im karty dań, postawił na stole koszyczek świeżego, jeszcze ciepłego chleba. Przy sąsiednich stolikach siedziały pary, otaczał ich gwar rozmów i szcęk sztuców.

Wyatt, troskliwy jak zawsze, po raz kolejny zapytał Avę, jak jej minął dzień, a ona miała wrażenie, że nad jej zakupami unosi się neonowy napis: sprzęt nagrywający.

- Dobrze mi zrobiło wyjście z domu - powiedziała, kiedy złożyli zamówienie. Tu akurat nie kłamała. - I pogoda dopisała, więc nie zmokliśmy, włączając się od sklepu do sklepu.

- W centrum?

- Mhm. - Skinęła głową i sięgnęła po szklanę z wodą tylko po to, żeby nie patrzeć mu w oczy, gdy recytowała uprzednio przygotowaną wersję wydarzeń: - Tanya ma nosa do okazji, od razu wiedziała, dokąd iść. W Nordstrom była wielka wyprzedaż. Tanya była w siódmym niebie.

- A tak przy okazji, co u niej słychać?

Kelner przyniósł napoje - kieliszek wina dla Wyatta i wodę gazowaną dla Avy, która nadal udawała, że bierze leki i dlatego nie może pić alkoholu.

- Postrzelona jak zawsze - odparła. Chcąc ukryć zdenerwowanie, sięgnęła po kromkę chleba i zaczęła smarować ją masłem. - Cały czas paplała o dzieciach, o remoncie zakładu, do którego przymierza się w przyszłym roku. Z najdrobniejszymi szczegółami zrelacjonowała mi wszystkie przedstawienia baletowe Belli i mecze Brenta. To naprawdę cudowne dzieciaki.

Jakimś cudem udało jej się przełknąć tę kromkę i jeszcze kilka minut paplać o niczym. W końcu zapytała:

- A co u ciebie?

Kelner przyniósł zamówione dania: stek z krewetkami dla Wyatta i sałatkę z makaronu z łososiem dla Avy. Choć sama ją wybrała, wątpiła, czy zdoła cokolwiek przełknąć.

- Przez większość czasu byłem poza domem - odparł. - A jutro muszę wcześniej wyjść i wpaść do biura, bo potem idę do sądu.

- Jakaś ciekawa sprawa? - Wolą, żeby rozmowa koncentrowała się na nim.

- Nie mogę o tym mówić - mruknął między dwoma kęsami i konwersacja się urwała.

Ava grzebała widelcem w sałatce; Wyatt jadł z takim samym apetytem, jak zawsze. Cisza się przeciągała. Para przy sąsiednim stoliku zapłaciła i wyszła. W końcu Wyatt zaspokoił głód. Odsunął talerz na bok.

- Musimy porozmawiać - zaczął.

- O czym? - Spięła się, serce biło jej coraz szybciej. O czym on chce rozmawiać? Znowu o jej kłótni z Jewel-Anne? Czy o czymś jeszcze gorszym?

- O nas.

Serce waliło jej jak młotem.

- Czyli?

- Nas już nie ma. Naszego związku. - Spojrzał na swoje dłonie i podniósł na nią wzrok. - Ty też to czujesz, wiem to.

Nie odpowiedziała, nie wiedziała, jak zareagować na taką szczerość z jego strony.

- Prawie ze sobą nie rozmawiamy. Nie ufamy sobie. Nie mamy dla siebie czasu. - Spochmurniał. - I jestem tak samo winny jak ty.

- Więc co proponujesz? - zapytała. - Chcesz spróbować jeszcze raz czy się rozstać?

- Chcę, żebyś wyzdrowiała. Wiem, że nie zażywasz lekarstw, a teraz chcesz się pozbyć doktor McPherson pod idiotycznym pretekstem, że mam z nią romans.

O Boże. Nie była na to przygotowana, nie teraz, gdy miała inny plan.

- Chcesz o tym porozmawiać? Tutaj? Teraz?

- Chcę po prostu wyjaśnić sytuację. Po pierwsze, nie mam romansu z twoją lekarką! Ani z żadną inną kobietą! To wszystko twoje urojenia. Ciągłe ci się wydaje, że widzisz Noaha, chociaż oboje wiemy, że jego już nie ma i nigdy nie będzie.

Sapnęła głośno.

- Przecież obiecałeś, że go poszukamy... Pochylił się nad stolikiem i zniżył głos.

- Posłuchaj, ja po prostu chcę, żebyś wyzdrowiała, a to niemożliwe poza szpitalem.

- Co? -Chce ją zamknąć w zakładzie?

- Jeśli nie chcesz wrócić do St. Brendan, poszukamy innego szpitala w Seattle, w San Francisco, gdziekolwiek! - Patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy. - Avo, jesteś chora. Potrzebujesz pomocy.

A więc wszystko jasne. Odslonił karty.

- Dlaczego tak bardzo chcesz się mnie pozbyć?

- Już ci mówiłem.

- Wyatt, wiem, że w to nie wierzysz, ale naprawdę czuję się coraz lepiej. Coraz więcej sobie przypominam. Wszystko, po kawałku. I to

nie za sprawą lekarstw, po których czuję się jak zombie, ani lekarki, której się wydaje, że się w tobie zakochała.

- Powiedziałem, że nie...

- Przestań, dobrze? - Traciła panowanie nad sobą. Powiedziałam przecież, że coraz więcej sobie przypominam! - Wiedziała, że powinna trzymać język za zębami, ale nie mogła, nie teraz. Nie, kiedy w końcu czuła się jak dawniej. A jedna z rzeczy, które sobie przypominałam, to fakt, że ten romans nie jest twoją pierwszą zdradą.

Zachował spokój, nic próbował zaprzeczać, zdradzał go jedynie tik pod okiem.

- Sądziłam, że wszczęłam postępowanie rozwodowe, bo nie radziłam sobie z własnym życiem, kiedy Noah zaginął, ale chodziło o COŚ więcej, prawda? Miałaś romans z koleżanką z pracy. Tuż zanim straciliśmy syna i wszystko szlag trafił. Z Beth Wells. Tak, przypominałam sobie. - Jeśli był zaskoczony, ukrywał to po mistrzowsku. - Teraz widzę te same sygnały. To się znowu dzieje, Wyatt. Owszem, straciliśmy to, co nas kiedyś łączyło, ale straciliśmy to już dawno.

- Czy choćby przez moment przeszło ci przez myśl, że oddaliśmy się od siebie z twojej winy? To twoja obsesja na punkcie Noaha nas rozdzieliła, nie ja.

- Nieprawda - zaprotestowała.

Zacisnęła zęby, tik stał się jeszcze bardziej widoczny.

- Posłuchaj, tylko w szpitalu masz szansę wyzdrowieć. Byłem temu przeciwny. Miałem nadzieję, że przy pomocy lekarza zdołasz do mnie wrócić. Ale nic z tego. Popeliłem błąd, pozwalając ci wrócić do domu, i jako twój opiekun prawny dopilnuję, żebyś trafiła tam, gdzie zdołają ci pomóc. Rozmawiałem już o tym z doktor McPherson i zgadza się ze mną, że potrzebujesz czegoś więcej niż to, co jest ci w stanie zaoferować.

Zerwała się na równe nogi, zrzuciła nóż do masła, przewróciła szklanekę z wodą.

- Mój opiekun prawny? Chyba żartujesz? Nie życzę sobie, żebyś ty, czy ktokolwiek inny, decydował o moim losie - warknęła. - Nigdzie mnie nie zamkniesz, o nie. Złożę apelację... dowiodę, że jestem zdrowa psychicznie, że sama potrafię o siebie zadbać!

- A potrafisz? Co by się stało, gdyby Dern nie wyciągnął cię z zatoki? Gdyby nie zjawił się na urwisku w ostatniej chwili?

- Kto ci o tym powiedział?

- A jak myślisz, komu kazałem mieć na ciebie oko?

- Co? - Poczula się zdradzona, znowu. Nie mogła w to uwierzyć. Zdażyła już zaufać Demowi, widziała w nim jednego z nielicznych sprzymierzeńców na wyspie. Czyżby pracował dla Wyatta? - Zatrudniłeś Austina Dema, żeby mnie szpiegował?

Przestał szukać portfela w kieszeni i podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Dziwi cię to? - Na jego twarzy pojawił się uśmiech rozbawienia; stał się okrutny, gdy dotarło do niego, jak bardzo ją to zabolalo. - O nie, tu chodzi o coś więcej, prawda? - rzucił ironicznie. - Masz czelność udawać ofiarę, zarzucasz mi, że cię zdradzam, podczas gdy sama wmawiasz sobie, że zakochałaś się w człowieku, którego prawie nie znasz i...

- Ja nie...

- Daj spokój. Wszyscy to widzą.

Nie wierz mu, to był tylko strzał w ciemno. Ale celny, prawda?

Wyatt zdawał się czytać w jej myślach.

- No, powiedz, Avo, uważasz, że to jest normalne? Fantazjować o parobku? - prawie się roześmiał. - Masz dziwną obsesję, chore przekonanie, że ludzie, których znasz od lat, sprzysięgli się przeciwko tobie, ale nie boisz się zaufać nieznanemu?

Miał nieprzeniknioną minę, drgania mięśni ustały, gdy znaczenie tego, co mówił, stopniowo do niej docierało. Uświadomiła sobie, że Wyatt to wszystko zaplanował. Wszystko, łącznie z zatamowaniem Austina Derna.

- Ty draniu - rzuciła z odrazą. Podniosła torby z zakupami i ruszyła do wyjścia.

- Ava! Poczekaj! - Wyjął kartę kredytową i przywołał kelnera. Pchnęła przeszklone drzwi. Cały czas kurczowo chwyciła się

strzępków rzeczywistości. Lodowate wieczorne powietrze uderzyło ją w twarz. Powinna się załamać, słysząc, że Wyatt chce zamknąć ją w szpitalu, ale przecież mogła się tego spodziewać. Niech to szlag trafi! Nigdy nie odszuka Noaha, jeśli znajdzie się w szpitalu, nafaszerowana lekami, pod ciągłą obserwacją. Nawet jeśli zdoła przekonać lekarzy, że jest zdrowa psychicznie, zajmie jej to wiele tygodni... Boże, Boże, Boże.

Nie! Nie możesz do tego dopuścić! Weź się w garść! Dasz radę, Avo. Musisz. Twój syn cię potrzebuje!

Szła coraz szybciej, niemal biegiem dopadła nabrzeża, mało brakowało, a wpadłaby na nastolatka na deskorolce. Opatulony w grubą kurtkę i czapkę z daszkiem, jechał, palił i pisał SMS.

- Ej! Uważaj! Cholera! - Papieros wypadł mu z ust, schylił się, podniósł go zręcznie. Przejechał obok, trącając ją barkiem.

- Au! - Pośliznęła się na mokrym chodniku i upadła. Z całej siły uderzyła kolanem o bruk.

Poczuła dojmujący ból w nodze, puściła jedną z toreb. Nastolatek zniknął za rogiem. Nawet się nie obejrzał.

- Ava! - dobiegł ją głos Wyatta.

Nie słuchała go, już nie. Ta parodia małżeństwa dobiegła końca, oboje o tym wiedzieli. Wstała z trudem, przytrzymała się parkometru i podniosła torbę. Rączka urwała się i zawartość wysypała się na mokry chodnik.

Cholera. W środku była kamera. Tyle zachodu, planowania, kłamstw, a teraz...

Wściekła na siebie, pozbierała wszystko, wrzuciła do torby i ruszyła dalej. Druga torba smętnie zwisała z jej dłoni.

- Ava! Zaczekaj! - Wyatt był tuż za nią.

Nie zwracała na niego uwagi. Ten dzień okazał się jedną wielką katastrofą.

- Poczekaj! Przepraszam! - Dogonił ją na nabrzeżu.

- Zostaw mnie.

- Przepraszam - powtórzył. - Niepotrzebnie się uniosłem. Chciał przytrzymać jej łokieć, ale mu się wyrwała. Przyciskała do siebie rozerwaną torbę, czuła tępy, pulsujący ból w kolanie rozbitym o asfalt.

- Przecież cię przeprosiłem.

- Słyszałam.

- Staram się!

Dotknął jej ponownie, a wtedy odwróciła się i powiedziała wolno i wyraźnie:

- Chcę rozwodu. Nie kiedyś, w przyszłości. Teraz. Zaraz. Rano zadzwonię do prawnika. - Wściekłość dodawała jej sił. -1 możesz nie wracać na wyspę.

- Ava...

Nuta wyższości w jego głosie przelała czarę. Minęła go i dalej szła w stronę zatoki, tam gdzie czerń wody zlewała się z zimną nocą.

Morze było mętne i niespokojne, jak jej przyszłość. Zadrzała instynktownie, bo czuła, jak tuż pod powierzchnią prawda prze do góry, otwiera paszczę, szczyrzy kły.

Ale przynajmniej wiedziała, na czym stoi z mężem.

Rozdział 34

Nie zwracając uwagi na obcasy grzęznące w wilgotnej ziemi, Dern obchodził potężne gmaszysko z Roverem u boku. Pies kręcił się i co chwila zatrzymywał w krzakach, ale się nie oddalał.

Za dnia Neptune's Gate przywodził na myśl dawne czasy, epokę żaglowców, powozów konnych i początków elektryczności oraz kanalizacji. W nocy jednak stawał się groźny, ponury, przypominał mroczne zamczysko ze starych horrorów i nawet jasne oświetlenie nie złagodziłoby tego wrażenia.

Upewnił się, że okno, które dostrzegł z pokoju Lestera Reece'a w Sea Cliff, to część apartamentu Jewel-Anne. Nie wiedząc, z ilu dokładnie pomieszczeń się składa, postanowił poszukać pretekstu, żeby tam wejść i rozejrzeć się dokładnie. Jeśli chodzi o wieżyczkę na dachu i pokoje na strychu, wymyśli przeciekającą uszczelkę czy coś w tym rodzaju.

To nic takiego, powtarzał sobie w duchu, idąc w stronę komórki z narzędziami ogrodniczymi. Wynajdujesz związki, których wcale nie ma. Lester Reece rozwiął się jak wiatr już wiele lat temu.

Może i tak, ale mimo wszystko zamierzał zajrzeć pod każdy kamień na tej cholernej wyspie, żeby mieć stuprocentową pewność.

Dotarłszy do rogu budynku, spojrział w górę, w okna Avy. Wyszła na cały dzień, więc do jej powrotu nie musiał bawić się w ochroniarza.

Wyatt zatrudnił go do pomocy na farmie, ale zlecił mu też dodatkowe zadanie - chciał, żeby Dern miał oko na jego żonę. Tłumaczył, że się o nią martwi i chociaż chce, aby miała poczucie swobody, uważa, że ktoś powinien nad nią czuwać - żeby nie zrobiła sobie krzywdy.

Dern, któremu zależało na pracy na wyspie, zgodził się od razu, i zaraz po tym, jak się tu zjawił, jeszcze zanim poznał żonę Garrisona, Ava skoczyła do zatoki. Nic dziwnego, że Wyatt się o nią martwi, pomyślał wtedy. Uznał, że Avie Church Garrison brakuje piątej klepki; była gotowa zrobić wszystko, aby odnaleźć dziecko, nawet zaryzykować własne życie. Czuwanie nad nią okazało się naprawdę potrzebne, a przy tym

bardzo dla niego korzystne, bo dzięki temu miał wolną rękę, by zająć się tym, co interesowało go najbardziej - szukaniem Lestera Reece'a.

Problem w tym, że z czasem doszedł do wniosku, że właśnie Ava jest jedyną normalną osobą na wyspie. Wszyscy pozostali - poczynając od walniętego komputerowca Jacoba, przez nieroba lana, który tylko się obijał - mieli nierówno pod sufitem. Nawet Trent pojawił się w Neptune's Gate i wyglądało na to, że wcale nie zamierza się stąd wynieść. Czy oni w ogóle nie pracują?

Na tej trójce lista dziwaków wcale się nie kończyła. Jewel-Anne, ciągle dziergająca sweterki dla swoich lalek przy dźwiękach piosenek Elvisa, to kolejny przykład. Pracownikom też było daleko do powszechnie rozumianej normalności. Virginia, jakoś spowinowacona z bezużytecznym szeryfem, traktowała wszystkich z góry. Khloe i Simon, jej mąż, tajemniczy niby-ogrodnik, to rozstawali się, to schodzili i żadne ani razu nie odezwało się do niego cieplejszym słowem. Graciela prawdopodobnie prowadziła podwójne życie, chociaż jeszcze się temu bliżej nie przyjrzał. I wreszcie Demetria, przemądrzała, wiecznie skrzywiona pielęgniarka, która, jeśli nie zajmowała się Jewel-Anne, siedziała w swoim pokoju. Niezbyt wesoła gromadka, podsumował.

Więc skończ to, po co tu przyjechałeś, i zabieraj się z tej cholernej wyspy. Po co tu tkwić i snuć nierealne marzenia o kobiecie, która według całego swojego otoczenia jest zaledwie o krok od całkowitego obłądu?

Odpowiedź była oczywista - bo wcale nie wierzył w jej rzekome szaleństwo.

Wiedział, jaka była w przeszłości, znał ją z artykułów i sprawozdań finansowych, a kilka razy dostrzegł w kruchej, przerażonej istocie, którą się stała, dawną silną, niezależną kobietę i wierzył, że ta prawdziwa Ava Garrison powróci.

Postawił kołnierz kurtki dla ochrony przed nocnym chłodem i skierował się w stronę frontowych drzwi.

Wyatt popłynął po żonę.

Wkrótce wróca, pijąc sobie z dzióbków, pomyślał i po raz kolejny powtórzył sobie, że nie ma do niej żadnego prawa. Żadnego. Teraz jeszcze tylko musi w to uwierzyć.

Wyatt dogonił Awę na nabrzeżu.

- Posłuchaj... naprawdę cię przepraszam - zaczął i dotknął jej ramienia.

Tym razem się nie cofnęła.

- Tak nie można - szepnęła. - Nie możesz mnie ranić, a potem przepraszać, jakby nic się nie stało.

- Sam już nie wiem, co robić - wyznał i uwierzyła mu po raz pierwszy tego wieczoru. - Wymykasz mi się, nie ufasz, ciągle mnie unikasz, a w dodatku fantazjujesz o innym. Robisz różne dziwne rzeczy, na przykład zwalniasz terapeutkę, bo uważasz, że ma ze mną romans.

- Sama zrezygnowała.

Przytrzymał ją za ramiona i odwrócił w swoją stronę, tak że patrzyła mu w oczy, oświetlone jedynie blaskiem latarni i kolorowych lampek na przystani.

- Nie kochasz mnie już? - zapytał.

- Nie znam cię już - odparła.

W kącikach jego ust pojawiły się bruzdy.

- Mógłbym powiedzieć to samo. Oddałbym wszystko, byle poznać cię na nowo - zapewnił i jakaś jej część była gotowa ulec, uwierzyć, chociaż w głębi duszy wiedziała, że to tylko pozory. - Tak, zatrudniłem Derna - przyznał - i poprosiłem go, żeby miał na ciebie oko.

Milczała, więc mówił dalej:

- I masz rację, lubię Evelyn McPherson. Nawet bardzo. Uważam, że ogromnie ci pomogła. Ale na tym koniec. - Wiatr od morza mierzwił mu włosy, przenikał Avę do kości. - To prawda, kiedyś miałem romans, ale to już dawno skończone i miałem nadzieję, że się z tym uporaliśmy. - Opuścił ręce. - Chcę tylko odzyskać żonę. Czy to tak wiele?

- To za mało - odpowiedziała. - Musisz też chcieć odzyskać syna. Gwałtownie podniósł głowę.

- To oczywiste - zapewnił. Nie uwierzyła mu.

- Wracajmy do domu - poprosił i wyciągnął rękę po torby.

- Dam sobie radę - odparła, ale po chwili podała mu większą torbę, a sobie zostawiła tę z urwaną rączką. Nie chciała budzić jego podejrzeń. - Dobrze, chodźmy do domu.

Zeszli na nabrzeże i Wyatt pomógł jej wejść na pokład. Łódź za-kołysała się i Ava z trudem utrzymała równowagę. Ból w kolanie przypomniał jej o niedawnym upadku.

Spojrzała na wzburzoną wodę i pomyślała z niepokojem, że bardzo łatwo byłoby upozorować wypadek, który kosztowałby ją życie. Wyatt

mógłby powiedzieć, że sama wyskoczyła za burtę. Albo że przypadkowo wypadła z łodzi podskakującej na falach.

Wypadnie za burtę i nikt jej nigdy więcej nie zobaczy. Tak jak jej brat Kelvin zginie w lodowatej wodzie wskutek tragicznego wypadku.

Kiedy mąż wszedł za nią na pokład, w pierwszej chwili chciała uciekać. Sama z nim na morzu? To szaleństwo!

Nie denerwuj go, rozegraj to mądrze...

Wróciła myślami do nocy, gdy zginął Kelvin, i znowu poczuła strach, jaki ogarnął ją wtedy na myśl, że zaraz utonie. Wysiadaaj! Wysiadaaj!

Zanim zdążyła to zrobić, zobaczyła, że reklamówka, którą Wyatt położył na siedzeniu, zsunęła się, a jej zawartość wysypała się na pokład. Zerwała się, chcąc jak najszybciej wszystko pozbierać i ukryć, ale Wyatt był szybszy. Pochylił się i podniósł coś z pokładu.

- Co to? - zapytał, a jej serce stanęło w piersi. Była pewna, że znalazł kamerę. - Nowa torebka?

Z trudem powstrzymała westchnienie ulgi.

- Mówiłam ci - odparła, starając się panować nad głosem. Bądź miła, powtarzała sobie w duchu. Nie pozwól, żeby stał się jeszcze bardziej podejrzliwy. - Pomyślałam, że mogę w niej nosić laptop.

Wstrzymała oddech, gdy Wyatt oglądał torbę. Nie zaglądaaj do środka, na miłość boską, nie zaglądaaj do środka, nie dotykaj suwaka, bo znajdziesz kamerę!

- Ładna - orzekł, odłożył torbę i spojrzał na żonę. - Więc... już w porządku?

Oczywiście, że nie. Musiała jednak rozegrać to właściwie.

- Nie, nie w porządku - odparła ostrożnie. - Ale lepiej. - Spojrzała na niego z udawaną troską. - Może to, że wszystko sobie powiedzieliśmy, jest... krokiem we właściwym kierunku.

- Więc nie wyrzucasz mnie z domu? Zmusiła się do uśmiechu.

- Jeszcze nie wiem.

- Chociaż dzisiaj? - Spojrzał na nią przeciągle.

Skinęła głową i starała się opanować mdłości. Nie cierpiała kłamstwa, ale jeśli chciała poznać prawdę i udowodnić, że nie oszalała, musiała udawać, grać żonę, której zależy na ratowaniu związku.

- Nieźle, jak na początek - orzekł Wyatt. - I jeszcze jedno... -w jego głosie pojawiła się ostra nuta.

Więc jednak widział sprzęt! O Boże, już po mnie!

- Tak?

- Włóż to. - Wyciągnął spod siedzenia kamizelkę ratunkową i podał jej. - Wiesz, przezorny zawsze ubezpieczony.

- A więc mamy świadka, który widział Lestera Reece'a - zagaiła Lyons, gdy szli na posterunek. Wracali po szybkiej kolacji, żeby jeszcze trochę popracować.

- Nie nazwałbym Wolfganga Brandta wiarygodnym świadkiem - odparł Snyder. - Moim zdaniem Brandt stoi zaledwie szczebel wyżej niż te wszystkie świry, które w minionych latach rzekomo widziały Reece'a w okolicy.

Trzydziestopięcioletni Wolfgang Brandt, dobrze znany miejscowej policji, nie mógł uchodzić za wzór praworządnego obywatela.

- Chłopcy z prewencji rozmawiali z nim i pojechali do chaty myśliwskiej, w której jakoby widział Reece'a - ciągnął Snyder. - Nikogo tam nie było, a ślady wskazywały jedynie na obecność myśliwych i prawdopodobnie nastolatków, którzy włamali się, żeby wypić kilka piw. Jesteś tu nowa. Wkrótce przywykniesz do rewelacji, że ktoś gdzieś widział Reece'a. Zresztą co on ma wspólnego z naszą sprawą?

- Czy zawsze musisz być tak negatywnie nastawiony? Zamiast odpowiedzieć, tylko wzruszył ramionami.

Weszli do komisariatu. Lyons zdjęła szalik i zaczęła rozpinać kurtkę, a Snyder zastanawiał się, jakim cudem żadna z kamer zainstalowanych w okolicy domu Cheryl Reynolds nie zarejestrowała niczego podejrzanego. Pewnie dlatego, uznał, że w osiedlach mieszkalnych na obrzeżach miasteczka monitoringiem objęto tylko niektóre miejsca; kamery przemysłowe i większość ulicznych znajdowały się bliżej nabrzeża, w centrum.

Głos partnerki przerwał jego rozmyślenia.

- Nie tylko Brandt go widział - oznajmiła. - Słyszałam rozmowę chłopaków. Jeden z nich, chyba Górski, regularnie grywa w pokera z grupą znajomych. Jest wśród nich Butch Johansen, który po kilku piwach zaklinał się, że niedawno wioził na wyspę Church faceta, który był podobny do Reece'a jak dwie krople wody.

- Sporo się słyszy o facetach podobnych do Reece'a jak dwie krople wody, ale nigdy nic z tego nie wynika. Zresztą Reece to przeszłość.

- Czyżby? Szeryf chyba tak nie uważa.

Lyons skierowała się do łazienki na końcu korytarza, a Snyder wszedł do swojego gabinetu. Zdjął kurtkę, marynarkę i odpiął kaburę.

Sprawa Reynolds nie dawała mu spokoju. Pierwsze zabójstwo od kilku lat, a mają za mało dowodów, żeby dojść do sensownych wniosków. Usiadł za biurkiem, włączył komputer i sprawdził pocztę elektroniczną. Zobaczył wiadomość z laboratorium z załączonymi wynikami analizy. Kilka kliknięć i oto patrzył na rezultaty badania włosa znalezionego w pralni Cheryl Reynolds.

Gdy Lyons wróciła, z kawą dla niego i ziołową herbatką dla siebie, podała jej gotowy wydruk. Oparła się biodrem o krawędź biurka i zaczęła czytać wyniki analizy.

- Dzięki - mruknął Snyder, sięgając po kawę. - Jak widzisz, tajemniczy czarny włos okazał się sztuczny.

Lyons podniosła wzrok znad wydruku i zmarszczyła brwi.

- Z peruki? Czyżby morderca miał perukę? - zastanawiała się.

- Może tak, może nie. - Snyder otworzył katalog ze zdjęciami zrobionymi na miejscu zbrodni i wskazał jedno z nich. - Popatrz na regał w gabinecie.

Lyons pochyliła się, żeby lepiej widzieć, a on, próbując nie zwracać uwagi na to, że jej piersi prawie dotknęły blatu, powiększył interesujący go fragment fotografii. Na ekranie pojawiło się oprawione zdjęcie stojące na półce regału w gabinecie hipnotyzerki. Przedstawiało Cheryl przebraną za kota i otoczoną przez jej kocią gromadkę. Była w kombinezonie w lamparcie cętki, na twarzy namalowała sobie kocie wąsy, a na głowie miała perukę z długimi czarnymi włosami.

- Czy znaleziono tę perukę w jej domu? - zapytała Lyons. Sączyła herbatę, nie odrywając wzroku od monitora.

- Chwileczkę... - Snyder sprawdził listę przedmiotów zabezpieczonych na miejscu zbrodni. - Nie.

- Nie tak dawno było Halloween.

- Pod warunkiem że to nie jest fotografia sprzed dziesięciu lat. Pokręciła przecząco głową.

- Widzisz koty? Te same, co teraz. Część z nich to tegoroczne nabytki, jeśli wierzyć sąsiadowi, więc zdjęcie jest aktualne.

- To gdzie się podziała ta cholerna peruka? Lyons uśmiechnęła się zalotnie, tak jak lubił.

- Ma ją morderca. - Zadowolona z siebie pokiwała głową, wyciągając z kubka torebkę z herbatą.

- Albo leży na dnie zatoki.

- Jak Lester Reece? - Wycisnęła torebkę palcami, wyrzuciła do kosza i dodała: - Czyli jest szansa, że kiedy jego szkielet w końcu wypłynie na powierzchnię, będzie przebrany za kobietę. Seksowna, choć nieco wychudzona drag queen.

- Hm - mruknął. Czarny włos znaleziony na miejscu zbrodni raczej nie mógł ich przybliżyć do rozwiązania zagadki. Problem polegał na tym, że był to jedyny trop, jaki mieli.

Bum!

Łódź po raz kolejny podskoczyła, tym razem na fali pozostawionej przez motorówkę pędzącą w przeciwnym kierunku.

- Kretyn! - Wyatt stał za sterami wpatrzony w ciemność, rozjaśnianą nielicznymi światełkami Monroe. - Powinienem to zgłosić!

Ava właściwie go nie słuchała, nie zwracała też uwagi na lodowaty wiatr, który smagał jej policzki i targał włosy. Zapomniała nawet o torbach z zakupami, a gdy łódź znowu zadrzała, w jej myślach ożyła morska wycieczka, podczas której zginął Kelvin. Nie chciała wracać do tamtych chwil, ale nie potrafiła powstrzymać wyobraźni, która natrętnie podsuwała jej przerażające obrazy.

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie tamtego koszmaru. Po raz kolejny przeżywała tę potworną tragedię.

Nie wiadomo kiedy zerwał się szkwał, fale wściekle zaatakowały jacht. Pamiętała grozę, modlitwy o bezpieczny powrót, strach o nienarodzone dziecko...

Była w ciąży, termin porodu się zbliżał i... Nie. Zmarszczyła brwi. To nie tak. Przecież Noah był wcześniakiem...

Nieokreślone bolesne wspomnienie tkwiło jak cierń w jej pamięci. Wiedziała, że kryje się za nim jakaś ważna prawda. Próbowwała je uchwycić, ale było śliskie jak węgorz wśród skał na dnie morza, ukazywało się na chwilę, drażniło się z nią i znów umykało.

O co chodzi? - zastanawiała się intensywnie, czując nadszarpniętą migrenę. Chodziło o dziecko, o ciążę, o... Pojawiła się pewna myśl, ale zaraz ją odrzuciła. Nie, to nie mogła być prawda.

A może jednak?

Wróciła wspomnieniami do pierwszego trymestru ciąży. Żadnych mdłości.

Kiedy dowiedziała się, że to chłopiec? Dlaczego nie pamięta wizyt u ginekologa, badań USG, Noaha rosnącego w jej łonie?

- O Boże... - Podejrzenie zaczęło przeradzać się w pewność. Odebrało jej oddech.

Dlaczego w ogóle nie pamięta porodu? Dlaczego nie ma żadnych zdjęć?

Po katastrofie wszystkich dopadła ogromna trauma. Kelvin zginął, lekarze walczyli o życie Jewel-Anne, do tego jej przedwczesny poród... Nikt nie myślał o zdjęciach, kwiatach, balonikach.

Z trudem przełknęła ślinę. Nie mogła oddychać na silnym wietrze, który zdawał się z niej drwić, dlatego że nie potrafiła zmierzyć się z rzeczywistością która powracała w zawrotnym tempie. Wydarzenia tamtej nocy stały jej przed oczami jak obrazki z makabrycznego kalejdoskopu. Dziwne strzępy wspomnień: katastrofa, ratunek, świadomość śmierci Kelvina, obawa, że Jewel-Anne nie przeżyje. I dziecko. Maleństwo z zaczerwienioną buzią prawie łyse, płakało i kopało, zaciskając piąstki...

- Trzeba go nakarmić - słyszała siebie wypowiadającą te słowa.

- Zajmiemy się nim - zapewniła pielęgniarka i Ava z bólem w sercu patrzyła, jak go zabierają.

Dlaczego? Żeby go umyć? Zmierzyć i zważyć? Sprawdzić parametry życiowe?

Przed oczami przesuwały się jej kolejne obrazy i wiedziała, że to prawda.

Wyatt zwolnił i otworzył pilotem drzwi hangaru na łodzie. Zapaliło się światło, a wstrząśnięta Ava liczyła uderzenia serca. Wyatt zacumował i pomógł jej wyjść na pomost. Nie, myślała w panice. To niemożliwe! To musi być pomyłka!

- Wezmę to - zaproponował jakby z oddali. Nie protestowała, gdy wyjął jej z rąk zakupy. Była zaszokowana swoim odkryciem, świat walił się jej na głowę.

- Wszystko w porządku? - upewnił się, gdy doszli do jej pokoju. - Nagle zamilkłaś.

- Jestem zmęczona - skłamała. Zmarszczył z troską brwi.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- To był po prostu bardzo długi dzień. Muszę się położyć - dodała, przerażona słabością swojego głosu.

- Dobrze. - Tym razem nawet nie spróbował cmoknąć jej w policzek.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, zaczęła się rozbierać. Ściągnęła kurtkę, sweter, legginsy, potem stanik i majtki. Całkiem naga pobiegła do łazienki i stanęła przed wielkim lustrem. Była zdecydowanie za chuda, ale jej skóra wyglądała całkiem nieźle. Pod spodem widziała silne, sprężyste mięśnie. Żebra wystawały nieco bardziej, niż powinny. Piersi były jędrne i pełne, brodawki ciemne, biodra szczupłe i wąskie jak podczas studiów, gdy biegła.

Gdzie więc się podziały rozstępy na piersiach i brzuchu? Odwróciła się, żeby sprawdzić jędrność pośladków.

Jej ciało nie zdradzało żadnych oznak macierzyństwa. Może była jedną z tych nielicznych szczęściarek, które nie tyją w czasie ciąży i nie mają rozstępów? Nie pamiętała karmienia piersią więc biust mógł zachować dawny kształt.

Albo i nie.

Odbicie w lustrze raczej nie należało do kobiety, która donosiła ciążę. Pełna złych emocji pobiegła do pokoju, włożyła stare, sprane dżinsy i zeszła do gabinetu. Wyatt, nadal w garniturze, siedział za biurkiem.

- Wydawało mi się, że jesteś bardzo zmęczona. - Oderwał wzrok od monitora.

- Byłam. Jestem. Ale... - Nie dało się powiedzieć tego delikatnie. - Gdzie są moje zdjęcia w ciąży? - zapytała.

Winda ze zgrzytem zatrzymała się na parterze.

- Co? - spytał z autentycznym zaskoczeniem. - Zdjęcia?

- Chcę je obejrzeć.

- Dlaczego akurat teraz?

Słyszeli skrzypienie kół fotela Jewel-Anne, było coraz bliżej.

- Chcę zobaczyć, jak wtedy wyglądałam - odparła. Pękało jej serce, głos łamał się pod brzemieniem objawionej prawdy. - Muszę mieć dowód, że naprawdę byłam w ciąży.

Rozdział 35

Wyatt zerwał się z krzesła, wyskoczył zza biurka.

- Oczywiście, że byłaś w ciąży!

- Więc mi to pokaż - zażądała. - Udowodnij!

- Na miłość boską...

- Wyatt, ja nie żartuję. W komputerze powinny być fotografie, które nie zostały wydrukowane ani opracowane. Mieliśmy aparat cyfrowy. Powinno się zachować mnóstwo zdjęć.

- Nie chciałaś, żeby cię fotografowano. Ze względu na poprzednie poronienia byłaś bardzo przesadna.

- Ale chociaż kilka zdjęć powinno się zachować - obstawała przy swoim. - Ze świąt, z imprez rodzinnych... Jakaś fotka, na której albo dumnie eksponuję, albo wstydliwie chowam brzusek.

- Nie sądzę.

- Poszukam. - Obeszła biurko, potknęła się, uderzyła w palec u nogi, zaklęła pod nosem i odwróciła monitor w swoją stronę. Pochyliła się nad klawiaturę. - Większość zdjęć jest w tym katalogu, prawda? Oprócz tych, które wydrukowaliśmy? - Odruchowo spojrzała na półkę z rodzinnymi fotografiami. I rzeczywiście, oto ona, z Kehinem, kilka tygodni przed tragedią.

Zdjęcie zrobiono na nabrzeżu w Monroe, w oddali bielily się żagle, nad ich głowami kołysały się maszty. Fotograf ujął ich od klatki piersiowej w górę. Śmiali się. Na jej twarzy nie było ani grama zbędnego tłuszczu.

- Poczekaj - burknął Wyatt, gdy Jewel-Anne wjechała do pokoju.

- Niech szuka - powiedziała kuzynka. W jej głosie zabrzmiało jakby... ostrzeżenie.

- No dobra. Cztery lata temu.... - mruknęła Ava. Wyatt niechętnie się odsunął, więc usiadła w jego fotelu, pochyliła się nad klawiaturę i znalazła właściwy katalog. Przeglądała rodzinne zdjęcia; ilekroć zobaczyła siebie, stała tyłem albo były to zdjęcia portretowe. Na ani jednym nie miała ciężowego brzucha.

- Skąd ta nagła obsesja? - zapytał Wyatt.

Ava nie odpowiadała, szukała dalej. Jej palce tańczyły po klawiaturze, przeglądała kolejne foldery, aż... Noah!

I nagle wszędzie były zdjęcia Noaha. Setki ujęć: powrót ze szpitala, pierwszy raz, gdy usiadł, raczkował, chodził. I filmiki; w ciągu minionych dwóch lat oglądała je niezliczoną ilość razy, chciała go zapamiętać.

Zrobiło jej się słabo. Coś było nie tak... zdecydowanie nie tak. Ale Noah istniał naprawdę, zdjęcia i filmy potwierdzały to, co tkwiło w jej pamięci. Skuliła się i wcisnęła głębiej w fotel.

- Myślę, że... - z trudem przełknęła ślinę i brnęła dalej. - Czy... czy adoptowaliśmy Noaha? - Huczało jej w głowie. - Adoptowaliśmy go, prawda?

Nie odpowiedział, tylko odwrócił wzrok. To wystarczyło.

Cisza przeciągała się. Słyszała, jak krew dudni jej w uszach, i najchętniej cofnęłaby ostatnie słowa. Dobry Boże, więc to prawda? Nie jest jego matką?

- Powiedz jej - usłyszała głos Jewel-Anne.

Odwróciła się gwałtownie, skupiła wzrok na kuzynce i dostrzegła błysk okrucieństwa w jej oczach.

- Wiedziałaś? - zapytała. Przeniosła spojrzenie na Wyatta. - Co masz mi powiedzieć? - Oparła dłonie na biurku, usiłowała opanować dudnienie w głowie. Tak długo domagała się prawdy, a teraz bała się ją usłyszeć. Spojrzała na monitor, na komputer, w którym były setki zdjęć Noaha. Jej dziecka. Jej synka.

Jewel-Anne nie wytrzymała.

- Oczywiście, że go nie urodziłaś! - krzyknęła.

- Zamknij się! - warknął Wyatt.

Zamiast skupić się na kuzynce, Ava posłała oskarżycielskie spojrzenie mężowi.

- Wyatt, co to ma znaczyć?

Zdawał się toczyć wewnętrzną walkę, ale po chwili się poddał.

- Matką Noaha jesteś ty, to jasne. Ale... - Na jego szczęce zadrgał mięsień.
- Ale nie ty go urodziłaś. Był adoptowany.

Ava znieruchomiała. Nie mogła nawet oddychać. Serce waliło jej jak młotem, chciała krzyczeć, że to kłamstwo, choć jednocześnie wyczuwała, że wreszcie poznaje prawdę, a przynajmniej jej część.

- Byłaś w piątym czy szóstym miesiącu, jeszcze właściwie nic nie było widać... 1 poroniłaś.

Czuła, jak jej serce pęka. Cierpiała.

- To nie było pierwsze poronienie, ale pierwszy raz udało ci się utrzymać ciążę tak długo. To był chłopczyk. - Oczy mu pociemniały. - Bardzo to przeżyłaś, straciłaś kontakt z rzeczywistością. Wydawało mi się, że adopcja to dobre rozwiązanie. Znalazłem dziewczynę, nastolatkę w ciąży. Za pośrednictwem naszej kancelarii szukała rodziny, która zaadoptowałaby jej dziecko. Wszystko układało się idealnie. Urodziła tuż po katastrofie. Ciągle dochodziłaś do siebie. Postanowiliśmy, że nikomu nie powiemy, że dziecko było adoptowane.

- I nikt niczego nie podejrzewał? - Ava pokręciła głową. Fragmenty tej opowieści brzmiały znajomo, ale nadal nie układały się w spójny obraz, nadal były to tylko odłamki kołyszące się na ciemnej wodzie. - Personel.

- Został sownie opłacony.

- I wszyscy trzymali język za zębami? - Nie, to niemożliwe. Z niedowierzaniem wycelowała palcem w Jewel-Anne. - Nawet ona wiedziała i nic nie powiedziała?

- Kiedy trzeba, potrafię dochować tajemnicy - zapewniła kuzynka i dumnie odrzuciła głowę do tyłu.

- Trzeba? Niby dlaczego?

- Bo tak będzie lepiej dla wszystkich, a zwłaszcza dla ciebie - warknęła. Odruchowo gładziła główkę lalki i Ava od razu pomyślała o tej, którą znaleźli w małej trumience. Być może Jewel-Anne jednak maczała w tym palce.

- Nie wierzę, żebyś zrobiła cokolwiek ze względu na mnie - powiedziała powoli.

- Bo wcale mnie nie znasz! - Jewel-Anne dumnie uniosła głowę. Na jej ustach znowu pojawił się złośliwy uśmiešek.

Wyatt zabrał głos.

- Wszyscy milczeli. Tak, Jewel-Anne wiedziała, podobnie jak Khloe i Virginia. Ale Virginia jest lojalna, a Khloe to jedna z twoich najbliższych przyjaciółek. Wtedy nie była z Simonem, on chyba nie ma o niczym pojęcia. Demetrię zatrudniono później, gdy Jewel-Anne wróciła na wyspę. Graciela wtedy u nas nie pracowała, chociaż wcześniej, tak. Ówczesny stajenny też rozumiał, że musi milczeć.

- Ale pozostali... - Ava nie dokończyła.

- Nie wie nikt z rodziny, nawet Ian. Nie było ich tu wtedy i nigdy nie kwestionowali tego, że Noah to nasz biologiczny syn.

- Nie wierzę - szepnęła, chociaż wiedziała, że poznaje wreszcie część prawdy. Gdzieś w głębi serca czuła, że nie urodziła Noaha, że inna kobieta dała mu życie... nieznajoma, która oddała jej synka. - Dlaczego mnie okłamywałeś? - zapytała męża drżącym głosem.

- Byłaś w strasznym stanie. - Podeszedł do regału, spojrzął na zdjęcie całej trójki, gdy Noah miał niecały rok. Szczęśliwa rodzina - co za kłamstwo. Dotknął ramki i dodał: - Sama sobie wmówiłaś, że Noah to nasze rodzone dziecko, wszelkie sugestie, że jest inaczej, doprowadzały

cię do szafu, miałaś ataki paniki. Rozmawiałem z tobą w szpitalu, ale szalałaś na samo słowo „adopcja”.

Bardzo niewiele pamiętała z pobytu w St. Brendan.

- Więc personel szpitala wiedział?

- Tylko doktor McPherson, a ją obowiązuje tajemnica lekarska.

- Kim jest matka?

- Nieważne.

- Jak to nie? - Poderwała się z fotela. - To ona, nie rozumiesz? To biologiczna matka porwała naszego synka!

- Nie wygłupiaj się!

- Ja się wygłupiam? Przed sekundą dowiedziałam się, że dziecko, które uważałam za własne, zostało adoptowane, a ty mi mówisz, że się wygłupiam? - Kręciło jej się w głowie, wspomnienia z przeszłości powracały, ale żadne nie pokrywało się z prawdą. - A jego ojciec? To znaczy, ojciec biologiczny?

- Zniknął.

Kręciła głową rozpaczliwie próbując jakoś to wszystko poukładać.

- Zrzekł się praw rodzicielskich?

- Nawet nie wiedział, że ma dziecko.

- Więc może to on! - Wodziła rozgorączkowanym wzrokiem od Wyatt do Jewel-Anne. Z twarzy kuzynki zniknął pełen zadowolenia uśmiech, wydawała się tak samo zaskoczona jak Ava. - Szukałeś ich? Policja o tym wie? Musimy zaraz zadzwonić do Snydera! - Już sięgała po telefon na biurku, ale Wyatt złapał ją za rękę.

- Nie rób tego - poprosił.

- Dlaczego?

- Bo to bez sensu.

Znieruchomiała ze słuchawką w dłoni. Nagle ogarnęło ją straszne przeczucie.

- Ty wiesz, co się stało z naszym synkiem - rzuciła, patrząc mu w twarz. Był blisko, zaledwie kilka centymetrów od niej, miał ponurą minę, mrok jego duszy odbijał się w oczach.

- Biologiczni rodzice Noaha nie żyją - powiedział. Odsunęła się od niego, zdumiona tym, co usłyszała.

- Nie żyją? - wykrztusiła. - Jak to?

- Wypadek motocyklowy.

- Oboje? Razem? Przecież on nie wiedział o dziecku?

- Rozstali się na jakiś czas. - Wyatt puścił jej rękę i odłożyła słuchawkę z powrotem na widełki. - A potem znowu się zeszli. Nie mam pojęcia, czy w ogóle powiedziała mu o Noahu; nie podjęli żadnych kroków, a później doszło do tego wypadku, na wybrzeżu Oregonu.

Z tego, co mi wiadomo, usiłował wyprzedzić karawan i nie zauważył samochodu jadącego z przeciwka. Wpadł w poślizg, próbując go ominąć.

Zrobiło jej się niedobrze.

- O Boże.

Nie wierz we wszystko, co on mówi. To może być kłamstwo! Kłamał przecież od lat.

Jewel-Anne milczała. Wydawała się przygaszona, nie było śladu po niedawnej satysfakcji z dręczenia Avy. Machinalnie głaskała ciemną główkę lalki.

- Jak się nazywali? - zapytała Ava.

- Zostaw to. Opuść - poprosił Wyatt.

- Chcę wiedzieć, jak się nazywali biologiczni rodzice mojego dziecka - upierała się. Tłumiony od dawna gniew dodawał jej sił. - Kim byli? Kim byli, Wyatt? Jak się nazywali rodzice naszego syna?

Przyglądał jej się w milczeniu przez dłuższą chwilę. Odezwał się dopiero, kiedy zegar w holu wybił godzinę.

- Tracey - powiedział cicho. - Tracey Johnson i Charles Yates. Jewel-Anne głęboko zaczerpnęła tchu. To zapewne nowość także dla niej.

Coś w Avie pękło, kiedy usłyszała nazwiska ludzi bez twarzy, którzy spłodzili jej synka.

- Byli twoimi klientami?

- Nie, współlnika.

- Powinieneś był mi powiedzieć. - Minęła go w drodze do drzwi, przecisnęła się koło wózka inwalidzkiego Jewel-Anne. - Jak mogłeś do tego stopnia we mnie zwątpić, żeby nie powiedzieć mi prawdy o naszym synu?

- Avo! - zawołał.

Wypadła z pokoju, a za sobą zamiast kroków, usłyszała tylko słowa:

- Niech to szlag.

W głowie kręciło jej się od nowych faktów, serce ścisnęło się boleśnie, gdy biegiem pokonywała schody. Miała wrażenie, że mieszka w nawiedzonym domu, gdzie nic nie jest takie, jakie się wydaje.

Tracey Johnson? Charles Yates? Czy już przedtem słyszała te nazwiska?
Spokojnie, nie daj się na to nabrać! Wyatt kłamie!

W pokoju otworzyła laptop, połączyła się z Internetem i wpisała do wyszukiwarki podane przez niego nazwiska oraz słowa „Oregon” i „wypadek motocyklowy”.

Trochę to trwało, zwłaszcza że nie poruszała się w cyberprzestrzeni tak swobodnie jak dawniej, ale w końcu na coś trafiła. Rzeczywiście, trzy lata temu doszło do strasznej kraksy z udziałem motocykla. Charles Yates, lat dwadzieścia sześć, i Tracey Johnson, jego dwudziestojednoletnia narzeczona, zginęli w wyniku odniesionych obrażeń.

- Nie - szepnęła, ale po chwili poszukiwań znalazła ich nekrologi. Podano w nich miasto, w którym chodzili do szkoły średniej. Okazało się, że Tracey robiła kurs wieczorowy i chciała zostać pielęgniarką. Yates pracował w małej firmie przewozowej.

Prawdziwi ludzie.

Z prawdziwymi krewnymi, których nazwiska także podano.

Jej palce drżały, gdy pochylała się nad klawiaturą. Musiała ich zobaczyć. Musiała doszukać się podobieństwa do synka.

Po chwili znalazła zdjęcia. Wpatrywała się w fotografie i zastanawiała się, czy Noah odziedziczył szpiczasty podbródek po Tracey i kręcone włosy po Charlesie. Możliwe? Tak. Pewne? Nie.

Potrzebowała czegoś więcej niż słowa Wyatta, notatka prasowa o wypadku i nekrologi, aby uwierzyć, że oto znalazła biologicznych rodziców synka.

Nie, nie, nie, krzyczała jakaś część jej umysłu. Czy ma uwierzyć, że Wyatt chciał ją chronić, bo obawiał się, że prawda jeszcze bardziej pogorszy jej stan?

Nie, zdecydowanie nie.

W nekrologu wyczytała, że rodzice Tracey, Zed i Maria Johnson, mieszkają w Bellevue, małym miasteczku na wschód od Seattle. Zaczęła poszukiwania przysłowiowej igły w stogu siana.

Dasz radę, powtarzała sobie, chociaż było to zadanie ponad jej siły.

Za pomocą wyszukiwarek i internetowych książek telefonicznych ograniczyła poszukiwania do Z. i M. Johnsonów w okolicach Bellevue

i Seattle. Oczywiście możliwe, że mają zastrzeżony numer, rozstali się, przeprowadzili... Do głowy przychodziły jej kolejne powody, by dać sobie spokój, ale wszystkie odrzucała.

- Jest ryzyko, jest zabawa - mruknęła pod nosem i w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. - Tak?

Myślała, że do pokoju zajrzy Wyatt, tymczasem usłyszała głos Khloe:

- Dobrze się czujesz?

Wydawała się szczerze zatroskana, ale Ava nie była już pewna jej lojalności. To nigdy nie była łatwa przyjaźń, a zwłaszcza po śmierci Kelvina. Zamknęła komputer, wstała z łóżka, ukryła torbę z zakupami na najwyższej półce. Nie ma sensu narażać się na niewygodne pytania.

Podeszła do drzwi i uchyliła je.

- Tak, wszystko w porządku - odparła.

- Jewel-Anne powiedziała mi, co się stało. Weszłam do kuchni po okulary do czytania i zastałam ją tam, bladą jak ściana, jakby zobaczyła ducha. Popęłam błąd i zapytałam, co się stało. - Khloe zawahała się, po czym dodała: - Posłuchaj, Avo, sama nie wiem, co powiedzieć. Czy wiedziałam, że Noah był adoptowany? Tak. Czy powinnam była ci o tym przypomnieć, gdy wyparłaś to z pamięci? Oczywiście. Ale byłaś taka... krucha. Taka nieufna. Taka... no, nieswoja. Bałam się, że to tylko pogorszy twój stan.

- Więc zamierzałaś w ogóle mi o tym nie mówić?

- Nie, to nie tak - tłumaczyła się Khloe. - Chciałam ci powiedzieć, tylko nie wiedziałam kiedy. - Z westchnieniem spojrzała w głąb korytarza. - Nieraz rozmawiałam o tym z mamą, ale chciałyśmy mieć pewność, że jesteś na tyle stabilna, że jakoś zniesiesz tę wiadomość i nie... no wiesz, znowu nie zechcesz sobie czegoś zrobić.

Znowu.

Ava nerwowo poprawiała mankiety bluzy, żeby zakrywały blizny. Czoło Khloe przecięły zmarszczki, gdy ze zmartwieniem odnalazła wzrok przyjaciółki. Wzruszyła ramionami, jakby nagle speszona.

- Po prostu chciałam powiedzieć, że mi przykro. Przez to wszystko.

- Mnie też - mruknęła Ava i poczuła guł w gardle. Dlaczego, ilekroć ktoś okaże jej choć trochę ciepła, ma ochotę się rozpłakać?

- Po śmierci Kelvina byłam okropna - szepnęła Khloe, wbijając wzrok w podłogę. - Obwinałam cię o jego śmierć.

- Jak wszyscy.

- Wiem, ale to nie była twoja wina - szepnęła, sama o krok od łez. Odchrząknęła i dodała: - Nie wiem jak inni, mogę mówić tylko za siebie, ale do tego stopnia szukałam kozła ofiarnego, że nie docierało do mnie, że właśnie ty poniosłaś największą stratę, bo przecież straciłaś brata.

- Jakim cudem nikt nie zauważył, że nie byłam w ciąży?
- Bardzo niewiele przytyłaś, rzadko wychodziłaś z domu, z nikim się nie spotykałaś, nawet ze mną - odparła Khloe. - Minęło wiele miesięcy. Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałam, nie zwróciłam uwagi na czas... - Była wyraźnie spięta. - Powiedzmy sobie szczerze: nie obchodziło mnie to, byłam zrozpaczona po śmierci Kelvina. Jak my wszyscy, ale chciałam ci powiedzieć, że naprawdę mi przykro. I chociaż szkoda mi, że on nie żyje, myślę sobie, że gdyby wtedy nie zginął, pewnie nie poznałabym miłości mojego życia.

Rozchmurzyła się trochę, więc Ava postanowiła nie komentować jej ostatnich słów. Małżeństwo Khloe i Simona nigdy nie wydawało się szczególnie udane, ale tu, na wyspie, chyba wszyscy żyją we własnych marzeniach.

- Może zejdiesz do kuchni na ciasto czekoladowe? - zaproponowała Khloe. - Mama upiekła, na urodziny Simona.

Znacząco uniosła brew i Avie przypomniała się dawna Khloe, najstarsza z szóstki rodzeństwa, dziewczyna zawsze skora do psot i zabawy. Jej najlepsza przyjaciółka.

- Z polewą karmelową - dodała kusząco. Ava się uśmiechnęła.
- Sama nie wiem, kolacja była bardzo obfita.
- A kłótnia męcząca - zauważyła Khloe.
- Fakt.
- Pomyślałam, że może chcesz pogadać.
- Nie teraz, ale na ciasto jednak się skuszę. Khloe się rozpromieniła.
- Super.

Razem zeszły na dół. Khloe wyjęła z kredensu paczkę rozpuszczalnej kawy bezkofeinowej. Po przygotowaniu w mikrofalówce była prawie bez smaku, ale to bez znaczenia. Ukroiły sobie po kawałku ogromnego placka, którym można by nakarmić połowę Anchorville.

Ava miała świadomość, że zamiast siedzieć beczynn timerze w kuchni i jeść ciasto, mogłaby kontynuować poszukiwania krewnych biologicznych rodziców Noaha albo nauczyć się obsługiwać nową kamerę i dyktafon. Była jednak ostrożna, nie chciała budzić kolejnych podejrzeń, więc zjadła cały kawałek czekoladowego placka z karmelową polewą i nawet pozbierała okruszki z talerzyka.

Chwilowe zbliżenie z Khloe poprawiło jej humor, ale nie miała teraz na to czasu. Dopiła resztkę kawy, ziewnęła i przeciągnęła się, jakby padała ze zmęczenia. Kolejna maskarada. W głębi duszy była pełna energii. Gotowa do działania.

Wyatt podszedł do nich, kiedy zasuwawała za sobą krzesło. Nie wiedziała, co powiedzieć, ale Khloe - owszem.

- Niezłe kłamstwo - oznajmiła, a gdy Wyatt gwałtownie podniósł głowę, dodała: - Jewel-Anne powiedziała mi, jak to było.

- Więc wszystko się wydało - mruknął.

- To od początku powinno być jawne - powiedziała Ava.

Skinął głową, ale nie wypadło to przekonująco. Zresztą zareagował niewłaściwie. Ona oddałaby wszystko, żeby sprawdzić ten nowy trop, odnaleźć biologicznych dziadków synka, spytać, czy coś wiedzą o jego zaginięciu, a Wyatt nawet nie próbował ich szukać. Dlaczego? I po co te tajemnice?

Bo on wie. Dobrze wie, że Noah nie wróci.

Była załamana i chciała jak najszybciej wrócić do swojego pokoju. Odniosła kubek do zlewu i wypłukała go. Miała nadzieję, że nikt nie zwrócił uwagi na drżenie jej rąk, gdy wstawiała go do zmywarki. Powiedziała wszystkim dobranoc i poszła na górę.

Zanim pokonała schody, usłyszała w końcu korytarza ciche buczenie wózka inwalidzkiego. Przez moment zastanawiała się, czy Khloe tylko po to zaprosiła ją na ciasto, żeby Jewel-Anne mogła swobodnie buszować w jej pokoju.

To nonsens, skarciła się w duchu. Przecież one się nawet nie lubią! Daj sobie spokój z idiotycznymi podejrzeniami i skoncentruj się na tym, co masz do zrobienia.

Na wszelki wypadek rozejrzała się po sypialni. Pokój wyglądał tak samo jak przed jej wyjściem. Na dywanie nie dostrzegła charakterystycznych śladów po wózku i wszystko było na swoim miejscu. Włączyła komputer, odnalazła wyniki wcześniejszych poszukiwań, poszła z komórką do łazienki i zadzwoniła do pierwszej z trzech osób o nazwisku Z. Johnson figurujących w książce telefonicznej.

Czekała niecierpliwie. Po dziesięciu sygnałach automatyczny głos poinformował ją, że ten numer już nie jest w użyciu. Wybrała drugi -tu nie odbierał nikt, nawet maszyna. Za to za trzecim razem słuchawkę podniosła kobieta, wyraźnie zaspana.

- Halo?

- Pani Johnson?

- Tak.

- Nazywam się Ava Garrison. Przepraszam, że panią niepokoję o tak późnej porze, ale chciałabym chwilę porozmawiać o Tracey.

Cisza.

Ava nie dawała za wygraną.

- Przypuszczam, że to była pani córka.

- Przepraszam, kto mówi? - spytała kobieta. - Dlaczego pani do mnie dzwoni?

- Zdaję sobie sprawę, że to trudne, ale miałam adoptowanego synka i wydaje mi się, że Tracey była jego biologiczną matką.

- Co takiego?! To chyba jakiś żart! - wykrzyknęła kobieta i rzuciła słuchawką.

- Cholera - mruknęła Ava i wybrała numer ponownie. Tym razem odebrał mężczyzna.

Nie czekał, aż się przedstawi, tylko od razu powiedział:

- Proszę dać nam spokój. Nie wiem, o co pani chodzi, ale proszę pozwolić naszej córce spoczywać w spokoju.

- Proszę się nie rozłączać - błagała Ava. - Dwa lata temu zaginął mój synek. Właśnie się dowiedziałam, że być może Tracey była jego biologiczną matką. Czy może mi pan pomóc?

Chwila milczenia, potem ciężkie westchnienie.

- Proszę pani, to dla nas bardzo bolesne.

- Doskonale pana rozumiem - zapewniła z przejęciem - i naprawdę bardzo mi przykro z powodu tragicznej śmierci pańskiej córki, ale ja też straciłam synka i za wszelką cenę usiłuję go odnaleźć. I dlatego błagam pana o pomoc. Nazywam się Ava Garrison Church, adoptowałam synka mniej więcej cztery lata temu. - Podana mu datę urodzin Noaha i swój numer telefonu. - Usiłuję go odnaleźć. Pan także stracił dziecko. Wie pan, przez co przechodzę. Pomoże mi pan?

W słuchawce zapadła cisza, potem Ava słyszała stłumioną rozmowę, jakby w pokoju był ktoś jeszcze. Wstrzymała oddech i liczyła uderzenia własnego serca. W końcu mężczyzna się odezwał.

- Wiemy tylko - rzekł - że Tracey wpakowała się w kłopoty, powiedziała nam o tym, ale odeszła i oddała dziecko do adopcji. To wszystko, co wiemy, więc proszę więcej do nas nie dzwonić. Jeśli pani to zrobi, zawiadomimy policję - ostrzegł i po chwili wahania dodał: -Powodzenia.

Szczęk odkładanej słuchawki.

Ava zrezygnowała z kolejnej próby, pewna, że to nic nie da, a może narazić ją na niepotrzebne kłopoty, jeśli mężczyzna spełni swoją groźbę. Czy Johnsonowie wiedzą gdzie jest Noah? Czy to kolejny ślepy zaułek?

Rozdział 36

Tego dnia to Snyder wyskoczył do pobliskiej kafejki po napoje. Dla siebie kupił czarną kawę bez cukru, a dla Lyons słodką ze spienionym mlekiem i dodatkami smakowymi - jedną z tych, których on nie znosił, a które jego partnerka piła całymi litrami, nie przejmując się ani liczbą kalorii, ani kosmiczną ceną. Nie zapomniał nawet o słonce, chociaż jego zdaniem picie kawy przez słomkę było kompletnie bez sensu.

Gdy wrócił na posterunek, sprawdził taśmy bezpieczeństwa i poszedł do pokoiku Lyons. Postawił kubek na biurku.

Na blacie leżał staroświecki dyktafon, a między monitorem i doniczką z kaktusem - sterta miniaturowych kaset. Lyons, z marsem na czole i słuchawkami na uszach, odsłuchiwała jedną z taśm. Kiedy zobaczyła Snydera, wyłączyła dyktafon, zdjęła słuchawki i sięgnęła po kubek.

- Dzięki. - Upiła łyk i aż zamruczała z rozkoszy. - Z cynamonem i ajerkoniakiem?

- Chyba tak.

- Przepyszna. - Kolejny łyk. - Co ci się stało, że pomyślałeś o swojej spragnionej partnerce?

- Zawsze o tobie pamiętam - odparł. Roześmiała się i prawie zakrztusiła kawą.

- No i pomyślałem, że chwila przerwy dobrze ci zrobi. Siedzisz nad tym cały dzień.

- Coś nowego w sprawie peruki Cheryl Reynolds? Przecząco pokręcił głową.

- Niestety nie. A ty coś masz?

- Bardzo ciekawe informacje - odparła, spoglądając na stertę kaset, wszystkie podpisane starannym ręcznym pismem Cheryl Reynolds. Usadowiła się wygodnie i wskazała mu krzesło naprzeciwko siebie. Usiadł posłusznie i postawił na blacie swoją kawę. - Cały czas nie mogę znaleźć taśm z ostatnich sesji Avy Garrison i to nie daje mi spokoju.

- Mnie też nie.

- Będziemy szukać dalej, ale na razie, mam inne interesujące nagrania.
- Czyli...
- Z sesji Jewel-Anne Church. Wiedziałaś, że Crispin, jej ojciec, był dyrektorem Sea Cliff i przez pewien czas tam mieszkali?

- Był dyrektorem szpitala psychiatrycznego? - Snyder nie miał o tym pojęcia.

Lyons skinęła głową i mówiła dalej:

- Wcześniej mieszkali w Neptune's Gate, ale Crispin pokłócił się z bratem, który wkrótce potem zmarł. Ten brat, Connell, był ojcem Avy i Kelvina. Kelvin zginął na morzu kilka lat temu. Resztę stadka spłodził Crispin przy pomocy dwóch żon. Pierwsza, Regina, od dawna nie żyje, druga, Piper, jest matką dwojga najmłodszych, Jacoba i Jewel-Anne.

- Tej kaleki?

- To nie jest określenie poprawne politycznie. Wzruszył ramionami.

- Musiałam trochę poszperać, żeby się tego wszystkiego dowiedzieć, bo Jewel-Anne mówiła podczas sesji tylko o niektórych sprawach. Z tego, co udało mi się ustalić, wynika, że bracia pokłócili się, a Crispin przepisał swoją część Neptune's Gate na dzieci. Potem wszyscy odsprzedali swoje udziały Avie, poza Jewel-Anne. Jest nieugięta.

- A ty, po przesłuchaniu nagrania z jej sesji z Cheryl, już wiesz dlaczego? - domyślił się.

- Może tak, może nie. - W zadumie żuła słomkę. - Po kłótni z bratem Crispin wyniósł się z Neptune's Gate i mieszkał wraz z córką w jednym z dwóch domków szeregowych na terenie szpitala, oczywiście dopóki nie stracił posady - zawiesiła głos.

- I co z tego? - spytał Snyder, który nie miał pojęcia, do czego zmierza jego partnerka.

- To, że Jewel-Anne miała kontakt z pacjentami - odparła.

- Raczej więźniami - uściślił.

- Jak zwał, tak zwał. Wielu pensjonariuszy nie stanowiło żadnego zagrożenia, po prostu byli chorzy psychicznie.

- Zbiorowe szaleństwo - mruknął. Lypnęła na niego groźnie.

- Rzecz w tym, że jeden z nich miał obsesję na punkcie Jewel-Anne - oznajmiła.

Już wiedział, o którego z pacjentów chodzi, ale czekał, aż Lyons sama mu to powie.

Uśmiechnęła się jak kotka, przez chwilę bawiła się słomką i kręciła kubkiem.

- Wygląda na to - rzekła wreszcie - że ukochana córeczka tatusia wmówiła sobie, że kocha najgroźniejszego pacjenta Sea Cliff, naszego starego druha, zaginionego Lestera Reece'a.

Następnego dnia Ava wpadła z samego rana do stajni i zastała Derna w boksie Cayenne. Właśnie szczotkował gniadą klaczą. Jej sierść lśniła w bladym zimowym świetle sączącym się przez okna, a w powietrzu unosił się przyjemny aromat siana, ale Ava, która przez prawie całą noc instalowała sprzęt nagrywający, nie zwracała uwagi na widoki i zapachy.

- Szpiegowałeś mnie! - wykrzyknęła oskarżycielskim tonem.

- Słucham? - Derna zerknął na nią, ale nie przestał szczotkować klaczy.

Konie w sąsiednich boksach ciekawie uniosły łby, strzygły uszami, gdy przechodziła obok. Rover, leżący pod pojemnikiem na siano, leniwie zamachał ogonem.

Krótko mówiąc, w stajni panował błogi spokój, dopóki nie zjawiała się burza w postaci Avy.

- Szpiegowałeś mnie i donosiłeś Wyattowi! Mówiłeś mi, gdzie jestem! A przecież kiedy cię spytałam, czy jesteś moim ochroniarzem, zaprzeczyłeś.

- Bo nie jestem. - Derna odłożył zgrzebło i teraz delikatnie wycierał klaczą ręcznikiem. Cayenne prychnęła cicho, ale cierpliwie znosiła te zabiegi pielęgnacyjne.

- Nie kłam, Derna. Ja to wiem, Wyatt mi powiedział.

- Czyżby?

- Tak! - Boże, ten facet doprowadzał ją do szału, ale w zupełnie inny sposób niż mąż.

- Więc w końcu zdobył się na otwartość - skomentował spokojnie i zwrócił się do klaczy: - No widzisz, maleńka, już po sprawie.

Wyszedł z boksów, zasunął zasuwkę w drzwiach.

- Nie podoba mi się, że mnie szpiegujesz i o wszystkim donosisz Wyattowi - oznajmiła Ava.

- A robię to? - Zupełnie się nie przejął jej lodowatym tonem.

- Wyatt tak twierdzi.

- Wierzysz mi?

- Wie, że byłam na urwisku, a poza mną wiedziałeś o tym tylko ty.

- Powiedziałem mu o urwisku, bo uznałem, że ktoś inny mógł cię tam widzieć, a chciałem, żeby mi zaufał.

- Co za bzdura!

Kąciki jego ust uniosły się w zmysłowym uśmiechu. I jeszcze ten cień zarostu, i intensywne spojrzenie... Był cudownie męski i niesamowicie przystojny.

Skrzyżował ręce na piersi, aż napięły się rękawy zamszowej kurtki.

- Odetchnij głęboko i opowiedz wszystko od początku - zaproponował.

Ava wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

- Wczoraj wieczorem znowu pokłóciłam się z Wyattem i wtedy powiedział mi, że poprosił cię, żebyś miał na mnie oko. Jakbym miała pięć lat.

- Bo prosił - potwierdził.

- I co, nie uznałeś za stosowne mnie ostrzec, że własny mąż każe mnie szpiegować?! - krzyknęła. Do tej pory uważała, że na całej tej przeklętej wyspie tylko Demowi może zaufać, tylko jemu.

- Cóż, to mijałoby się z celem obserwacji, nie sądzisz?

- Celem? Jakim celem? Popatrzył jej w oczy.

- Dzięki temu sam decyduję, co mu powiem, a czego nie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Więc pozwól mi wytłumaczyć. Nie chciałem ci mówić, bo wiedziałem, że to cię tylko wyprowadzi z równowagi, a uważam, że teraz najbardziej potrzebujesz przyjaciela.

- Czyli niby ciebie?

- Tak. Jestem po twojej stronie.

- Po mojej stronie? - Pokręciła głową. - Nie sądzę. Gdybyś był po mojej stronie, nie zgodziłbyś się mnie szpiegować.

- Słuchaj, nie zgłosiłem się do tej roboty na ochotnika, zresztą nie tak się początkowo umawialiśmy z twoim mężem. Ale zgodziłem się spełnić jego prośbę, bo potrzebuję tej pracy.

- Powinieneś był mi powiedzieć. Potrafię dochować tajemnicy.

- Tak się składa, że ja też. Na przykład nikomu nie powiedziałem, że w środku nocy wychodzisz na dach.

Nie do wiary! Skąd o tym wiedział?

- O ile mi wiadomo, byłaś tam już dwukrotnie.

- Nie, skądże...

- Litości, Avo. - Złapał ją za rękę i zacisnął palce na rękawie jej kurtki. - Widziałem cię, szedłem za tobą ale uznałem, że skoro chcesz się wspinać na schody przeciwpożarowe, nic nie mogę na to poradzić. Bałem się, że nie wytrzymają ciężaru dwóch osób. A kiedy cię zobaczyłem na dachu, było już za późno, mogłem tylko czekać. Co ci odbiło, do cholery? Chcesz się zabić?

- Skądże!

- Więc co tam robiłaś?

- Nie mogę ci powiedzieć.

Przyglądał się jej spod zmrużonych powiek. Milczał, ale w powietrzu zawisła niema groźba.

- Powiesz Wyattowi.

- Nie, jeśli mi to wytłumaczysz.

- Wiedziałałam.

- Wyjaśnij.

- Nie ufam ci.

- To zaufaj.

- Powiedziałaś, że pracujesz dla mojego męża.

- Nie. Mówiłem, że sam decyduję, co mu powiem. - Pożerał ją wzrokiem, aż zakręciło jej się w głowie, a serce zabiło szybciej.

Nie powinna mu ufać! Nie może! To tylko gra! Udaje, jak wszyscy inni na tej przeklętej wyspie!

Jego twarz była coraz bliżej i nagle zorientowała się, że zaraz ją pocałuje. Nie! I bez tego serce trzepotało się w jej piersi jak ptak w klatce, brakowało tchu. O Boże! Coraz bliżej, coraz...

Przyciągnął ją do siebie. Nie próbowała się odsunąć.

- Popelniamy błąd - szepnął. Czują na twarzy jego ciepły oddech.

- Tak, ja nie... - nie dokończyła. Nakrył jej usta swoimi, objął silnymi ramionami.

Avo, nie rób tego! Romans z Dernem to szaleństwo!

Zignorowała wewnętrzny głos, dała się ponieść namiętności. Zarzuciła mu ręce na szyję, przywarła ustami do jego warg. Poczwała, że zaskoczony zawahał się na mgnienie oka. Krew mocno pulsowała jej w żyłach, w głowie kręciło się z pożądania i strachu, całą sobą szukała i znajdowała pocieszenie i rozkosz w jego ramionach. Zaczął rozpinać guziki jej kurtki, a ona wsunęła mu dłoń pod koszulę i dotknęła mięśni twardych jak stal.

Zalała ją fala gorąca i wszelkie logiczne argumenty zniknęły gdzieś w najciemniejszym zakątku stajni. Nogi ugięły się pod nią, przed oczami przesuwaly się obrazy sprężystych, nagich pośladków, szerokiej męskiej piersi. Wyobrażała sobie, jak Dern kładzie się na niej, rozsuwa jej kolana, wchodzi w nią, a ona przywiera do niego, przyciska wargi do jego szyi...

Jakby czytając w jej myślach, zmełł w ustach przekleństwo, puścił ją i odsunął się nieco. Patrzył na nią wzrokiem, w którym wciąż jeszcze jarzył się ogień.

- Tak nie można - wychrypiał.

- Wiem. - Zarumieniła się ze wstydu. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj. - Chwycił ją za rękę i ścisnął mocno, aż sprawił jej ból. - To moja wina. - Dopiero teraz pojął, że może zrobić jej krzywdę, i puścił jej dłoń.
- To się już nie powtórzy.

- Do tanga trzeba dwojga, Dern - szepnęła. - Ja też tego chciałam. Zresztą ty jesteś wolny, a ja nie.

- To nie ma znaczenia.

- Ma, i to ogromne.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi, ale zatrzymała się na dźwięk jego głosu.

- Nie mam pojęcia, co robiłaś na dachu, ale daj sobie spokój z tymi spacerami. Mogłaś się zabić.

Obejrzała się przez ramię.

- Nikomu nie powiesz?

- Pod warunkiem że następnym razem weźmiesz mnie do towarzystwa.

Jeśli już masz się zabić, to razem ze mną.

- Wariat.

- W tym domu to norma - mruknął, a ona miała ochotę się rozeźmiać, chociaż w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że nie może mu ufać.

Teraz już nikomu nie ufała, dlatego w drodze do domu modliła się, żeby Dern jej nie wydał, podobnie jak Trent, który też obiecał dyskrecję. Niech nikt więcej nie wie o jej poczynaniach. Nie chciała, żeby ktoś zepsuł pułapkę, którą zamierzała zastawić tej nocy.

Odczekała do drugiej i ponownie wybrała się na strych.

Zainstalowanie urządzeń, zgodnie z obietnicą sprzedawcy, okazało się łatwe. Zmontowała wszystko w łazience i zaczęła, aż wskazówki zegara dopęłnądo drugiej. Spocona ze strachu, najpierw wyłączyła

zasilanie w całym domu, tak jak radził sprzedawca. Dzięki temu ten, kto zaprogramował sprzęt na strychu, musiał tam pójść, żeby go uruchomić. Odczekała pełne pięć minut, przerażona, że kogoś obudzi kompletna cisza - piec nie buczał, lodówka nie pracowała, ucichł cały elektryczny szum.

Bała się, że wszyscy usłyszą łomot jej serca. Nikt jednak nie wbiegł na górę, więc odetchnęła z ulgą i cichutko zamocowała kamerę w ciemnym kącie tylnej klatki schodowej. Potem, wiedząc już, że tylko ona jeszcze nie śpi, wymknęła się na dach, na platformę wieżyczki i ponownie wróciła na strych. W dawnych pokojach służby umieściła jeszcze dwie kamery, z czego jedną w szafie, w której stała walizka z urządzeniem emitującym krzyki Noaha.

Kto mógł być tak okrutny, że w ogóle wpadł na taki pomysł?

Jewel-Anne? Wyatt? Któryś z jej kuzynów?

Nerwy miała napięte jak postronki. Dwa razy wydawało jej się, że piętro niżej rozległy się ostrożne kroki. Zastygała wtedy w bezruchu, pocila się jak mysz, dopóki nie uznała, że to zwykle odgłosy starego domu.

Na szczęście nikt jej nie przyłapał podczas braku prądu. Spodziewała się, że mieszkańcy, widząc migające cyfry na zegarach, złożą chwilową przerwę w dostawie energii elektrycznej na karb pogody. Teraz pozostało tylko mieć nadzieję, że urządzenia będą działały jak należy. Kamery aktywował detektor ruchu, a zapis przekazywany był bezprzewodowo do odbiornika, który włożyła do torebki. W każdej chwili mogła sprawdzić dane na komputerze. Najtrudniejsze okazało się ukrycie opakowań. W końcu zgmiotła puste pudełka i wsunęła pod stary materac na łóżku w nieużywanym pokoju gościnnym, a resztę wepchnęła do kartonu z ozdobami świątecznym i w pustym pokoju na strychu. Oby nikt ich nie znalazł, zanim kamera zarejestruje dowody na to, że jednak nie oszalała, że ktoś naprawdę bawi się z nią w kotka i myszkę.

Wróciła do sypialni i przez dwie godziny nie mogła zasnąć. Jeśli chodzi o poprzednią noc, tylko Dem stwierdził, że coś słyszał. Jej fatalny wygląd wszyscy pewnie usprawiedliwiali kłótnią z Wyattem, o której Jewel-Anne niewątpliwie zdążyła już poinformować domowników.

To wystarczy jako wymówka.

Na razie.

Było już po dziesiątej. Graciela odkurzała korytarz w pobliżu jej pokoju, ale nawet nie podniosła głowy, gdy Ava wróciła do siebie,

włączyła komputer i sprawdziła kamery. Nic. Następnie weszła na swoje konta bankowe.

Tanya i Dern radzili, żeby skontrolowała finanse, jeśli chce wiedzieć, kto usiłuje zrobić z niej wariatkę. Na pozór wszystko wydawało się w porządku. Oczywiście nie pamiętała szczegółów, ale salda rachunków nie wykazywały znaczniejszych ubytków. Mimo wahań na rynkach akcji i nieruchomości jej stan posiadania był mniej więcej taki, jak pamiętała.

Z każdym dniem wracały kolejne wspomnienia, więc pewnie wcześniej czy później odkryje jakieś nieścisłości, na razie jednak nic nie budziło niepokoju. Zamierzała poszukać dokładniej, a także skontaktować się z maklerem i bankiem, ale najpierw chciała załatwić sprawę z prywatnym detektywem.

Musiała dowiedzieć się jak najwięcej o Tracey Johnson i Charlesie Yatesie oraz o ich żyjących krewnych. Przypominała sobie coraz więcej, lecz nazwiska biologicznych rodziców Noaha nie budziły żadnych wspomnień. A skoro sama nie może szperać dalej, nie budząc podejrzeń, ktoś zrobi to za nią.

Tanya, wiecznie nieufna wobec byłego męża, знаła kogoś odpowiedniego.

Ava nie marnowała czasu, sięgnęła po telefon, zadzwoniła do przyjaciółki i wyciągnęła od niej nazwisko prywatnego detektywa z Seattle.

- Nie jest tani, ale dobry - uprzedziła Tanya.

- Prawda zawsze drogo kosztuje - odparła Ava.

Piętnaście minut później odbyła krótką rozmowę z sekretarką, a potem z samym detektywem i w ten sposób została klientką niejakiego A.B. Crenshawa.

Może teraz w końcu pozna prawdę.

Rozdział 37

Dern ją rozpraszał.

Nie było jej to na rękę, ale nic nie mogła z tym zrobić. Po spotkaniu w stajni omijała go szerokim łukiem przez dwa dni, nadal czując żal z powodu jego zdrady i wciąż wspominając ten cholerny pocałunek. Jeszcze przez wiele godzin czuła go na ustach. Także później, gdy powinna koncentrować się na zupełnie innych sprawach, Austin Dern czaił się w jej myślach, może nie na pierwszym planie, ale gdzieś obok, zawsze gotów zakłócić jej skupienie.

Abe Crenshaw na razie się nie odzywał, ukryta kamera niczego nie zarejestrowała, ale też na szczęście nie budził jej płacz Noaha. Wyatt pojawiał się i znikał, atmosfera między nimi była ciężka i duszna jak powietrze przed burzą. Nie rozmawiali więcej o adopcji. Ava nie chciała, Wyatt najwyraźniej też nie.

Trzeciego wieczoru uderzył piorun.

Zjadła z Wyattem kolację w jadalni. Z trudem zachowali pozory uprzejmości. Zapiekanka Virginii z kurczaka z ryżem, jedno z ulubionych dań Avy, była pyszna, ale z trudem przełykała kolejne kęsy. Wyatt siedział naprzeciwko, rzadko unosił wzrok znad talerza i prawie nie brał udziału w rozmowie, która co chwila zmieniała kierunek - Trent mówił, że w sobotę wyjeżdża, Jacob narzekał na jednego z wykładowców, który doprowadzał go do szału, Ian zastanawiał się, czy na kilka dni nie wybrać się z bratem na stały ląd. Wszyscy wydawali się spięci, niespokojni, tylko Jewel-Anne grzebała widelcem w talerzu i skarżyła się na ból głowy.

Po kolacji poprosiła Demetrię, żeby zabrała ją na górę, a bliźniacy rozważali, czy nie wyskoczyć do jednego z barów w Anchorville. Jacob początkowo nie chciał iść z nimi, potem jednak dostał SMS i mruknął, że musi popłynąć na ląd, bo przyjaciel potrzebuje pomocy przy komputerze.

Kiedy wszyscy rozeszli się do swoich części domu, Ava została z Wyattem. Była przygotowana na najgorsze, gdy odsunął od siebie talerz i podniósł na nią wzrok, on jednak powiedział tylko:

- Rozmawiałem dzisiaj z doktor McPherson.
- Tak, a o czym? - spytała ostrożnie.
- Ponownie zatrudniłem ją jako twoją terapeutkę. Niełatwo było ją przekonać, ale w końcu zgodziła się ze mną że to najlepsze rozwiązanie.
- Razem zdecydowałyśmy...
- Nie interesuje mnie, co zdecydowałaś - przerwał jej chłodno. - Na miłość boską, Avo, przecież chcę ci pomóc.
- Już to przerabialiśmy!
- I powiedziałaś, że nie chcesz wracać do szpitala. To jest alternatywa.
- Wcale nie muszę wracać do szpitala. To też już mówiłam. I nie mam zamiaru spotykać się więcej z doktor McPherson.

- Spodziewałem się, że tak zareagujesz, więc zadzwoniłem do szpitala St. Brendan i okazało się, że akurat mają wolny pokój z widokiem na...

- Posłuchaj tego, co mówię! Nie wrócę tam! Nigdy!

- Dlatego zatrudniłem Evelyn - wyjaśnił z denerwującą logiką.

- Nie pojmuję, skąd przekonanie, że masz nade mną władzę, ale z tym już koniec. Dzwoniłam do prawnika, do kogoś spoza twojej kancelarii, żeby wszczął postępowanie, które zakończy to ubezwłasnowolnienie. Koniec zabawy.

Wstała od stołu i wyszła z jadalni. Czuła, że jeśli natychmiast nie zakończy tej rozmowy, za chwilę wybuchnie. Co prawda okłamała męża -jeszcze się z nikim nie kontaktowała - ale kiedy tylko się dowie, kto chce doprowadzić ją do obłądu, przedstawi wszystkie dowody najlepszemu prawnikowi w całym stanie i odzyska kontrolę nad własnym życiem.

I rozwiedzie się z Wyattem, tym sukinsynem. To takie proste. Kiedy brała ślub, poważnie traktowała słowa przysięgi, że będą razem „na dobre i na złe” i „póki śmierć ich nie rozłączy”, ale „złe” nie obejmuje zdrady i Bóg jeden wie, czego jeszcze.

Na schodach usłyszała, jak dzwoni jego telefon. Odebrał, rozmawiał przez chwilę, a kilka minut później wyszedł. Skulony pod naporem wiatru, szedł do hangaru, Ian, Trent i Jacob byli tuż za nim.

Kiedy pierwsze krople deszczu zabębniły o szyby, widziała, jak w hangarze zapalają się światła, usłyszała warkot silnika, a potem odplynęli. Jej mąż wybierał się do Anchorville, nie zamieniwszy z nią ani słowa, a ona czuła jedynie ulgę.

- Szczęśliwej drogi - mruknęła. Odwróciła się od okna i zobaczyła czekające na nią tabletki i szklankę wody do popicia. Już miała je wyrzucić do toalety, gdy nagle przyszło jej do głowy, że przecież ktoś może ją obserwować, w sypialni mogą się znajdować ukryte kamery i mikrofony.

Może nie tylko ona wpadła na pomysł z kamerą? Ktoś mógł ukryć kamerę w jej pokoju, kiedy była na strychu. To, że nie znalazła żadnych śladów, jeszcze o niczym nie świadczy.

Włączyła telewizor, ale nie mogła się skupić, nawet gdy była mowa o bieżącej sensacji - kolejnym niepotwierdzonym spotkaniu z Lesterem Reece'em. Ekran wypełniło jego zdjęcie sprzed lat, a głos reportera przypominał, jakie popełnił przestępstwa i w jaki sposób uciekł z Sea Cliff. Reece był przystojny, miał w sobie pewną szorstkość, wysportowaną sylwetkę, gęste ciemne włosy i inteligentne spojrzenie. Bardzo miły, mówili sąsiedzi. Zamknięty w sobie, cichy. A teraz - najślynniejszy przestępca z Anchorville.

Legenda Lestera Reece'a żyje własnym życiem, stwierdziła Ava i już miała wyłączyć telewizor, gdy na ekranie pojawiła się szczupła Afroamerykanka po czterdziestce.

Dziennikarka przedstawiła ją jako rzeczniczkę prasową lokalnego wydziału policji i zasypała pytaniami o morderstwo Cheryl Reynolds. Rzeczniczka nie podała żadnych konkretnych informacji. Nie, nie ma żadnych nowych tropów, chociaż policjanci robią, co w ich mocy, żeby ująć sprawcę.

Awę ogarnął smutek. Lubiła Cheryl i uważała ją za przyjaciółkę. Ufała jej. Robiło jej się słabo na myśl, że ktoś zamordował ją brutalnie kilka minut po tym, jak od niej wyszła. Kto mógł to zrobić? I dlaczego?

Gdy na ekranie pojawiła się reklama miejscowego salonu samochodowego, wyłączyła telewizor i sięgnęła po powieść kryminalną od tygodni leżącą na nocnym stoliku. Poprawiła sobie poduszki, oparła się wygodnie i usiłowała czytać, ale kiedy po raz czwarty zaczęła to samo zdanie, dała sobie spokój.

Roznosiła ją energia, więc wstała i wyszła z pokoju. Bez celu błąkała się po korytarzu, słyszała, jak za drzwiami Jewel-Anne śpiewa Elvis, poza tym w domu panowała cisza.

Drzwi do pokoju Noaha były uchylone. Weszła do środka, minęła kołyskę i karuzelę z morskimi stworami, podeszła do toaletki, na której nadal stały słoiczki kremów i maści.

- Gdzie jesteś, synku? - powiedziała na głos.

Chociaż zatrudniła prywatnego detektywa, sama też buszowała w Internecie w poszukiwaniu wszelkich informacji na temat wypadku na autostradzie 101, na południe od Cannon Beach w Oregonie. Najchętniej pojechałaby tam, lecz wyprawa do miejsca oddalonego o ponad trzysta kilometrów nie wchodziła w grę. Chciała też jeszcze raz porozmawiać z Johnsonami, ale nie odebrali - pewnie poznali jej numer na wyświetlaczu.

Dotknęła miękkiego pluszowego bobra, ulubionej zabawki Noaha, i przeszła do pokoju gościnnego, skąd najlepiej było widać stajnię i mieszkancko Derna. Lekko rozsunęła żaluzje i wpatrywała się w mrok.

Widział ją na dachu? Dziwne. Dlaczego sam jeszcze nie spał? Sprawdzał zwierzęta? Wyprowadzał psa? Nie mógł zasnąć? A może ją szpiegował? Nie, na pewno nie.

Zobaczyła, jak drzwi jego mieszkania otwierają się i wychodzi przez nie wysoki mężczyzna. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi Lestera Reece'a, ale to oczywiście bzdura, skutek oglądania przed chwilą programu. Wytężyła wzrok. Na schodach stał Austin Dern.

No jasne, że to on. Przecież tam mieszka.

Co jej strzeliło do głowy z tym Reece'em?

Kiedy na niego patrzyła, czuła, jak serce bije jej coraz szybciej. A gdy zniknął w stajni, miała ochotę pobiec za nim, dowiedzieć się czegoś więcej, porozmawiać z nim i...

Nie wolno jej o tym myśleć. Był pocałunek i sen. Wystarczy. Powinna trzymać się od niego z daleka. Na razie.

Odsunęła się od okna, poprawiła żaluzje, wróciła do siebie i postanowiła nie myśleć o mężu, Dernie i Noahu. Zdjęła kapcie, ułożyła się pod kołdrą, znowu sięgnęła po ten cholerny kryminał i zmusiła się do czytania.

Rano zajmie się Wyattem i całym swoim poplątanym życiem.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają stwierdziła Evelyn McPherson, analizując swoje żalozne życie uczuciowe. Miała za sobą zły dzień. Nie tylko dzień, cały tydzień był fatalny, doszła do wniosku, otwierając drzwi domu - połówki bliźniaka, który kupiła, gdy zdecydowała się zapuścić korzenie w Anchorville po zamknięciu Sea Cliff. Początkowo przytulne mieszkanie wydawało jej się dobrą inwestycją ale teraz nie była już tego taka pewna. Druga połowa od dwóch miesięcy stała pusta, chociaż w oknie wisiała tabliczka z napisem „Do wynajęcia”, dała też ogłoszenie w Internecie. Ostatni lokator wyprowadził się, nie zapłaciwszy za ostatnie trzy miesiące i zdemolowawszy mieszkanie. W końcu udało jej się doprowadzić je do stanu sprzed Jerry'ego Impre-zowicza. Właściwie powinna była się domyślić, co z niego za gagatek, gdy zobaczyła napisy na jego samochodzie.

Tego wieczoru nic jej to wszystko nie obchodziło. Z westchnieniem położyła klucze, torbę z komputerem i torebkę na stoliku przy drzwiach i rozwiązała szalik. W mieszkaniu było zimno, termometr wskazywał zaledwie szesnaście stopni. Pewnie piec znowu nawalił, pomyślała ponuro. Chwilę majstrowała przy termostacie w holu, aż usłyszała ciche buczenie grzejnika.

- Trochę więcej cię chyba nie zabije - mruknęła i poszła do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbaty. Nie, co tam herbata. Dzisiaj napije

się chardonnay, które otworzyła dwa dni temu i które do tej pory stało w lodówce.

Zdjęła płaszcz i zaczęła szukać przekąsek. Znalazła krakersy i kawałek sera w lodówce. Wystarczy, uznała. Po co lepsza kolacja komuś, kto nie dość, że wyleciał z pracy, to jeszcze został oskarżony o romans? No dobrze, technicznie rzecz biorąc, sama zrezygnowała z dalszego prowadzenia terapii Avy, ale potem włączył się Wyatt. Choć miało to miejsce kilka dni wcześniej, jej ciągle się wydawało, że zdarzyło się przed chwilą.

Boże, ależ spieprzyła sobie życie.

Bo zarzuty Avy Garrison wcale nie były bezpodstawne. Evelyn nie raz i nie dwa zastanawiała się, jak by to było być żoną Wyatta. Przystojny prawnik, czarujący, atrakcyjny. Miał biuro w Anchorville i w Seattle, i piękny zabytkowy dom z zapierającym dech w piersiach widokiem na morze.

I żonę!

Kobietę, która usiłuje sobie przypomnieć, co się stało z jej dzieckiem. I przy okazji jest jej pacjentką.

Niech to szlag, pomyślała i rozejrzała się po schludnym saloniku. Modne meble, wszystko jak z obrazka, jakby prosto z wystawy. Dwa fotele, niska kanapa, lampy ze szklanymi kloszami. Kominek na gaz, który można włączyć jednym ruchem. Na szerokim gzymsie stały słoje z matowego szkła i dobrane kolorystycznie świece zapachowe, zupełnie tak samo jak w jednym sklepie w Seattle. I fotografie. Na wszystkich była ona, sama albo z koleżankami z college'u, w którym poznała Trenta Churcha.

- Do boju, Kaczki! - mruknęła ponuro, wspominając bojowy okrzyk uniwersyteckiej drużyny, który na kampusie słyszało i widziało się wszędzie, poczynając od transparentów, a na poczcie elektronicznej i Facebooku kończąc.

No świetnie, zapowiada się noc użalania się nad sobą! Odchrząknęła, naląła sobie wina i usiłowała przekonać samą siebie, że wcale nie jest zauroczona mężem Avy. Ale to przecież kłamstwo. I fascynacja nie była jednostronna.

Wiedziała, że Wyatt czuł to samo, ten dreszcz, to przyciąganie, ilekroć byli razem. Rozpromieniał się, gdy była w pobliżu, i zawsze szukał jakiegoś ustronnego miejsca, żeby mogli porozmawiać.

O jego żonie!

Wypiła spory łyk. Chłodne wino smakowało wyśmienicie, a wchodziło tak gładko, że chyba dzisiaj skończy butelkę. Bo właściwie czemu nie? Kogo obchodzi, że się trochę upije?

No właśnie, kogo?

Nikogo, Evelyn. Do końca życia będziesz sama. Nie będzie męża, dzieci, domu z widokiem na morze.

Wypiła kolejny łyk i jeszcze jeden, zanim sobie dołała. To miało być oblewanie; skończyła współpracę z najtrudniejszą pacjentką, jaka jej się kiedykolwiek trafiła.

Powinna się cieszyć. Ale nie czuła radości.

Przymknęła oczy.

Klik.

Cichy odgłos zwrócił jej uwagę. Dobiegł chyba z sypialni. Chwilę nasłuchiwała, ale dźwięk już się nie powtórzył. Wybijała wyobrażenia i tyle.

Czy na pewno? A jeśli jednak rzeczywiście coś słyszała? Może to ciekący kran? Nic poważnego.

Fakt, była trochę zdenerwowana, zapewne dlatego, że pacjentka najpierw doprowadziła do konfrontacji, a potem zrezygnowała z jej usług, a także dlatego, że, powiedzmy sobie szczerze, w miasteczku doszło do morderstwa, pierwszego, o jakim Evelyn słyszała, oczywiście nie licząc zbrodni Lestera Reece'a.

Nie, nie chciała się zapuszczać na te tereny, nie chciała myśleć o sadystycznym zabójcy, który, co wiedziała z czasów w Sea Cliff, miał tyle wdzięku, że zdołałby oczarować nawet zakonnice. Miał w sobie coś... coś mrocznego, niebezpiecznego, zabójczego, co działało na kobiety. Ona także nie była odporna...

Teraz, sama w kuchni, dumiała o mężczyznach w swoim życiu, o wszystkich popełnionych błędach, i zarumieniała się ze wstydu.

Czy jeśli chodzi o Wyatta, też się myli? Czyżby niewłaściwie zinterpretowała sygnały? Ale czyjego dłoń nie zostawała nieco za długo na jej ramieniu, jej rękawie?

Tak przynajmniej jej się zdawało.

A jego wizyty, w gabinecie i tu, w domu, pod pretekstem troski o żonę?

- Idiotka - mruknęła i wbiła nóż w mały kawałek sera. Od kiedy brakuje jej wyczucia co do mężczyzn?

Och, litości, przecież nigdy go nie miała. Weźmy takiego Chada Stantona, kolegę ze szkoły średniej. Był jej pierwszym chłopakiem, ale wielka miłość skończyła się, gdy przyłapała go ze swoją najlepszą przyjaciółką Carlie. A potem ci nieudacznicy na studiach... Żaden nie okazał się miłością jej życia, a już na pewno nie Trent Church. Skrzywiła się na wspomnienie tego, jak pijana rzuciła mu się na szyję. Wylądowali w łóżku, ale Trent ukradkiem wyszedł w środku nocy. Obudziła się z bólem głowy i różą na posłaniu, marnym kwiatkiem, który zerwał z krzaka koło jej mieszkania, i nawet nie dołączył żadnej karteczki. Nie odezwał się przez dłuższy czas, a kiedy znowu się spotkali, zachowywał się, jakby do niczego nie doszło. Zapytała go wprost, co jest grane. „To przecież nic takiego - odparł. - Dobrze się bawiliśmy i tyle”.

Chciała wtedy zapaść się pod ziemię. Jakimś cudem pozostali przyjaciółmi, poszła z nim nawet na to nieszczęsne przyjęcie gwiazdkowe, podczas którego zaginał Noah Garrison, syna Wyatta.

Kolejni faceci z uniwerku okazywali się, jeden po drugim, kompletnym nieporozumieniem. Choćby ten wykładowca, starszy od niej zaledwie o sześć lat.

A potem, o Boże, potem było Sea Cliff..

Z trudem przyznawała nawet sama przed sobą że pociągał ją pacjent, zwłaszcza że był okrutnym mordercą. Ale przecież pod jednym względem różnił się od pozostałych - nie nadawał się na życiowego partnera. Zawsze pociągali ją niewłaściwi mężczyźni albo nieosiągalni, albo niebezpieczni. Tak, jeśli chodzi o seks i związki, była zupełnie do niczego.

W sumie to dobrze, że jąwylali, zanim zrobiła coś głupiego! Mało brakowało, a...

Au!

Poczuła przeszywający ból w palcu wskazującym; zamyślona, skaleczyła się, krojąc ten cholerny ser.

Wsunęła krwawiący palec do ust i przeszła do sypialni, po drodze zapalając lampkę przy lustrze. Odniosła wrażenie, że w korytarzu zrobiło się jeszcze zimniej, ale nie miała teraz głowy do majstrowania przy kaloryferze. Skierowała się do łazienki, w której trzymała apteczkę. Na pewno ma tam wodę utlenioną i plaster.

Nie zwracała sobie głowy zapaleniem górnego światła, wystarczył jej blask lampki w sypialni. Otworzyła apteczkę i zauważyła na dolnej półce małą buteleczkę, a obok niej - opakowanie plastrów. Zamykając szafkę, dostrzegła w lustrze twarz, zamgloną i ciemną.

Upuściła buteleczkę i chciała krzyknąć, ale silne dłonie zacisnęły się na jej szyi, tamując dopływ powietrza. Sięgnęła rękami do tyłu, próbując odepchnąć napastnika. Nie dała rady. Chciała go kopnąć, ale chybiła.

Otaczała ją coraz bardziej nieprzenikniona ciemność.

Miała wrażenie, że pękającej płuca.

O Boże, zaraz umrze!

Zrobiło jej się gorąco, usiłowała wbić paznokcie w dłonie w rękawiczkach zaciśnięte na jej szyi. Wierzgała nogami, szarpała się, aż przewracały się buteleczki na półce. Trzask! Szklany lichtarz roztrzaskał się o posadzkę.

Rozpaczliwie szukała czegoś, czym mogłaby się bronić - noża, stojaka na ręczniki, czegokolwiek.

Nie może tak umrzeć!

Nie sama, bezdzielna! Nie tak miało być!

Walczyła w ciemności, ale coraz słabiej.

Jeszcze raz spojrzała w lustro i znowu napotkała spojrzenie napastnika. Zobaczyła lodowatą nienawiść w pustych oczach bez duszy... oczach, które rozpoznała mimo żalostnej próby przebrania - długiej czarnej peruki.

Dlaczego? - zastanawiała się. W tym momencie ucisk na gardło zelżał i zdołała zaczerpnąć odrobinę powietrza. Kręciło jej się w głowie, nie mogła utrzymać się na nogach, potknęła się i niemal przewróciła szatkę.

W lustrze zobaczyła, jak napastnik sięga do kieszeni po nóż.

Zatoczyła się, chciała uciec.

Za późno!

Lśniące ostrze odbiło się w lustrze. A potem dotknęło jej szyi.

Prawie nie poczuła bólu, tylko strach, dziki, obezwładniający. Chciała krzyknąć, ale z jej podciętego gardła wydobył się tylko słaby jęk.

Z przerażeniem patrzyła, jak krople jej krwi tryskającej z tętnicy spływają po lustrze, zasłaniając lodowaty uśmiech na twarzy zabójcy.

Rozdział 38

Ava ocknęła się gwałtownie - ubrana, na nierozścielonym łóżku. Serce stanęło jej w gardle, w żyłach tętniła adrenalina. Coś ją obudziło. Coś dziwnego, nietypowego.

I znowu ten głos, błagalny, rozpaczliwy.

- Mama... mamaaaaa... - szloch przerażonego dziecka niósł się echem po korytarzu.

- Sukinsyn - wycedziła przez zęby.

Wstała i bez butów, w samych skarpetkach, podeszła do okna. Jakaś jej cząstka spodziewała się zobaczyć Noaha na pomoście, ale widziała jedynie białe grzywy fal na wodach zatoki. Wizja małego chłopczyka w czerwonej bluzie to wytwór jej wyobraźni, dzieło umęczonego umysłu faszerowanego środkami halucynogennymi.

Evelyn McPherson obstawała przy dalszej terapii lekowej, jej internista był tego samego zdania.

- Durnie - mruknęła, gdy głos Noaha niósł się po domu. Czy naprawdę nikt poza nią go nie słyszy? Jak to możliwe?

Wyszła z pokoju na korytarz. Tam słyszała tylko szept. Wreszcie zrozumiała. Uświadomiła sobie, że rozpaczliwy płacz dziecka słychać tylko w pokojach sąsiadujących z jej sypialnią.

Ruszyła w stronę pokoju Noaha.

Na parterze zegar zaczął wybijać godzinę. I wtedy płacz ustał. Nagle. Dom spowiła cisza.

Ona jednak była pewna, że ta cisza jest pozorna, że jeszcze ktoś oprócz niej wcale nie śpi.

Nie miała co do tego cienia wątpliwości.

I zamierzała udowodnić, że się nie myli.

Wróciła do siebie, odszukała w torebce odbiornik, podłączyła go do komputera i, wsłuchana w oszalałe bicie własnego serca, wpatrywała się w monitor.

Atam, czarno na białym, widziała, jak jej „sparalizowana” kuzynka Jewel-Anne wstaje z wózka inwalidzkiego i powoli, niezdarnie, opierając się na rękach, pokonuje strome schody. Na chwilę zniknęła, zaraz jednak zjawiała się ponownie w obiektywie innej kamery, tej w pokoju z walizkami. Przytrzymując się wieszaków i haczyków, nieużywanych od lat, wyprostowała się, zdjęła pudło, wyjęła sprzęt i, nucąc pod nosem - oczywiście *Suspicious Minds* Elvisa - włączyła sprzęt.

- Masz rację, suko - mruknęła Ava, patrząc, jak Jewel-Anne odstawia pudło na miejsce. - Naprawdę jesteś w pułapce!

Na wszelki wypadek przesłała plik do Tanyi i na swoją pocztę i zapisała na pendrivie. W jej laptopie coś szwankowało, więc minęło kilka minut, zanim komputer wykonał polecenie „Wyślij”.

Czekając, zastanawiała się, dlaczego kuzynka ją dręczy. Co takiego jej zrobiła, że naraziła się na tak okrutną zemstę?

Wzięła pendrive i ruszyła do pokoi zajmowanych przez Jewel-Anne.

Nie była pewna, czy kuzynka zdążyła już wrócić, ale zupełnie jej to nie obchodziło. Równie dobrze może ją przyłapać przy drzwiach. Wygarną sobie wszystko w korytarzu.

Gniewnie załomotała w masywne drzwi.

- Jewel-Anne! - krzyknęła. - Musimy porozmawiać.

- Idź sobie - odparł stłumiony głos. Więc już tam jest. Ava uderzyła mocniej.

- Jest trzecia nad ranem! - jęknęła Jewel-Anne.

- Otwieraj albo wyłamie drzwi.

Szarpnęła za klamkę - otwarte. Weszła do pokoju. W sypialni Jewel-Anne, większej niż mieszkanie jej brata w piwnicy, stało masywne biurko, był też kącik dzienny i łazienka dostosowana do potrzeb osoby na wózku.

- Dlaczego?! - zaczęła Ava. Ogarniała ją coraz większa wściekłość, gdy patrzyła na kuzynkę w łóżku, w otoczeniu tych dziwacznych lalek o szklanych oczach. Wszystkie były w nocnych koszulach, podobnie jak ona. - Dlaczego to robisz?!

- Ale co? - Jewel-Anne ziewnęła, jakby właśnie została wyrwana ze snu. Włosy, splecione w gruby warkocz, miękko opadały na plecy. Była w nocnej koszuli, ale miała okulary na nosie, a komputer na jej biurku jeszcze mrugał, jakby zaledwie przed chwilą ktoś go wyłączył.

Ava przebiegła przez pokój, wcisnęła klawisz na klawiaturze i komputer ożył.

- Co ty wyprawiasz? - Jewel-Anne dźwignęła się do pozycji siedzącej i przy okazji strąciła z łóżka rudowłosą piegowatą lalkę. Wylądowała na podłodze obok idiotycznych kapci w kształcie królików. - Zobacz, co narobiłaś! - Szybko podniosła lalkę i ułożyła ją pod kołdrą, razem z pozostałymi. - Jest środek nocy, na miłość boską, spałam, a ty...

- Mam dosyć twoich kłamstw - przerwała jej Ava. - Wcale nie spałaś.

- Oczywiście, że spałam! Jak śmiesz zarzucać mi kłamstwo? Ja nie kłamię! Nigdy, rozumiesz?

- Czyżby? - Ava z trudem panowała nad sobą. Zerknęła na ekran. Ożył, system się uruchamiał, instalował jej pendrive.

- Zostaw to! - Jewel-Anne przysunęła sobie wózek do łóżka, za wszelką cenę chcąc ją powstrzymać.

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

- Ja nie żartuję, Avo! Wyjdź stąd!

- Najpierw mi wytłumaczysz, dlaczego chciałaś, żebym uznała, że zwariowałam.

- Nie dotykaj moich rzeczy!

Ponieważ Ava nie przejmowała się jej krzykiem, Jewel-Anne, już z wózka inwalidzkiego, wzięła ze stolika telefon.

- Ostrzegam, zaraz zadzwonię po Demetrię i Wyatta!

- Świetnie. Myślę, że też chętnie to obejrzą.

- Co? - W głosie Jewel-Anne pojawiła się nuta niepokoju.

- Zaraz zobaczysz.

- Co ty wyprawiasz? - Jewel-Anne patrzyła z przerażeniem, jak Ava podłącza przenośną pamięć do portu USB. - Zostaw to! Nie dotykaj moich rzeczy! To mój pokój i... - umilkła i zbladła gwałtownie, gdy na ekranie pojawił się obraz, czyli ona we własnej osobie, mozolnie wspinająca się na schody i majstrująca przy sprzęcie w szafie. - To... to jakaś pomyłka... sama to zrobiłaś! - zawołała.

- Poszłam w twoje ślady.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Czyżby? W takim razie zawołajmy tu Demetrię i Wyatta, i wszystkich domowników, niech zobaczą na własne oczy, że to nie ja zwariowałam!

Na twarzy Jewel-Anne malowały się różne uczucia: przerażenie, żal, wściekłość. Wreszcie dumnie uniosła głowę i wykrzywiła usta w pogardliwym grymasie.

- Wynoś się z mojego pokoju! - krzyknęła. - I to już!

- Nie mam najmniejszego zamiaru - powtórzyła Ava. Odsunęła krzesło przy biurku i usiadła. - Dlaczego, Jewel? - zapytała cicho. - Dlaczego, na miłość boską, chciałaś, żebym uznała, że tracę rozum?

- Niewiele do tego potrzeba! - syknęła kuzynka.

- Ale musiałaś mieć jakiś powód. Jewel-Anne milczała.

- No powiedz mi, dlaczego. I tak pokażę to nagranie wszystkim, więc równie dobrze możesz mi powiedzieć od razu. Dlaczego mnie nękałaś? Dlaczego kazałaś mi myśleć, że nawiedza mnie synek, że to on mnie woła? Wiesz, jak przez to cierpiałam?

- Tak! - wykrzyknęła Jewel-Anne. Jej twarz wykrzywiała nienawiść tak silna, tak bezgraniczna, że Ava aż się wzdrygnęła. Błysk w jej oczach zdradzał, że będzie się cieszyć tym, jak nabierała kuzynkę, która miała w życiu więcej szczęścia. - Jak na osobę z ilorazem inteligencji geniusza, jesteś strasznie głupia - syknęła.

Ava drżała na całym ciele i miała wrażenie, że pochłaniają ją ruchome piaski; zapadała się powoli, ale nieustannie, coraz głębiej.

- Chyba już czas, żebyś poznała całą prawdę. - Jewel-Anne uśmiechała się złośliwie, paskudny grymas wykrzywiał jej twarz. - Nie pamiętasz, kto jest biologiczną matką twojego dziecka, co?

Ava miała wrażenie, że pokój się zwięził i znalazła się na końcu długiego, ciemnego tunelu. Uniosła rękę w obronnym geście, ale nie na wiele się to zdało.

- Tak, Avo. Bajeczka Wyattta o... jak oni się niby nazywali? Charles Yates i Tracey Johnson?... to bzdura, która miała cię zmylić. - Była wściekła, ziała nienawiścią i chciała w końcu wykrzyknąć prawdę. Jej głos niósł się echem w korytarzu i w umyśle Avy. - To ja jestem matką Noaha, ty idiotko! To ja go nosiłam w brzuchu! Tamtej nocy na morzu to ja czułam, jak rozrywa mi wnętrzności! Noah był moim synem, Avo, a ty nie mogłaś się pogodzić z tym prostym, ale jakże ważnym faktem. To był mój syn! Nie twój! Mój!

- Nie...

Czy to możliwe, że jej synek, jej cudowny synek, był dzieckiem Jewel?

Nie mogła, nie chciała w to uwierzyć. Cofała się, kręciła przecząco głową, odpychała tę myśl od siebie.

- Nie! To nieprawda!

- Tak, Avo. To prawda.

- O Boże! - jęknęła Ava porażona nagłą świadomością. Przypomniała sobie, że Jewel-Anne była w ciąży w tym samym czasie co ona. Nikomu nie powiedziała, kto jest ojcem dziecka, zachowywała się, jakby to było niepokalane poczęcie... Boże, ależ to wszystko dziwne. Bolesne. Złe. Zrobiło jej się niedobrze na wspomnienie utraconego dziecka, własnej rozpacz, tego, że była gotowa zrobić wszystko, byle go zastąpić.

- Noah był mój - powtórzyła Jewel-Anne.

- Był? - Ava zadrżała, słysząc, że kuzynka użyła czasu przeszłego. Nie, nie, to niemożliwe, że Noah nie żyje. - Co mu zrobiłaś? - zdołała wykrztusić przez ściśnięte gardło.

- Nie wiem, co się z nim stało - odparła Jewel-Anne.
- Kłamiesz! - Ava złapała ją za ramiona, szarpnęła, postawiła na nogi.
- Puść mnie! - krzyknęła Jewel-Anne.
- Powiedz mi, gdzie on jest! - Ava gwałtownie potrząsnęła kuzynką, aż głowa Jewel-Anne poruszyła się bezwładnie, jak głowa jednej z jej dziwaczných lalek.

- Nie wiem!
- Kłamiesz! Cały czas mnie okłamujesz! Od dwóch lat! Chciałaś, żebym oszalała! Żebym uwierzyła, że go widziałam, że słyszałam jego płacz!

- Puść mnie!

Ava nie tylko nie puściła kuzynki, ale zaciągnęła ją na korytarz.

- Co ty wyprawiasz?! Przestań! - Przerażona Jewel-Anne szarpała się, miotając, machając rękami. Gdy zobaczyła, że Ava zmierza do schodów, wykrzyknęła: - Nie! Boże, nie!

- Gdzie jest mój syn?

- Nie wiem. - W oczach Jewel-Anne pojawiła się panika. - Nie wiem, naprawdę! Przestań, proszę! - Zaczęła płakać.

Znalazły się u szczytu schodów. Ava przycisnęła kuzynkę do poręczy.

- Dlaczego zainstalowałaś te nagrania? Dlaczego chciałaś, żebym myślała, że Noah tu jest? Dlaczego chciałaś doprowadzić mnie do obłądzenia?

Oczy Jewel-Anne były okrągłe ze strachu.

- Avo, proszę...

- Dlaczego?!

- Dlatego, że ty miałaś wszystko! - wybuchła Jewel-Anne. - Dom, majątek, urodę, męża. Wszystko! Chciałam cię wykupić, ale nie, nawet nie chciałaś o tym słyszeć! Ja też należę do tej rodziny, wiesz? Mój ojciec był właścicielem połowy majątku, powinnaś była zdobyć się na wielkoduszność i pozwolić mi wykupić choćby część tego, co wyłudziłaś od moich głupich braci i siostry! Ale nie, skądże. Absolutnie! - Zniosła się szlochem, łzy spływały jej po policzkach, wbijała paznokcie w barki Avy, coraz bardziej przechylona przez poręcz. - A potem... a potem zabrałaś mojego syna. Wyatt spisał umowę, dla ciebie! Dla ciebie!

- Ava! - gdzieś z dołu dobiegł głos Wyatta. - Co ty wyprawiasz?! Przestań! Otworzyły się drzwi, w korytarzu rozbrzmiały kroki.

- Jewel-Anne! - wykrzyknęła Demetria. - Boże!

Ava chciała zranić kuzynkę równie dotkliwie, jak Jewel-Anne skrzywdziła ją. Chciała siłą wydrzeć jej prawdę z gardła, chciała rozerwać ją na strzępy, ale wszystko zaszło mgłą gdy powróciły okruchy wspomnień. Narodziny synka, poronienie... Jewel-Anne mówiła prawdę. Noah był jej, nie Avy.

Nogi się pod nią ugięły.

Jewel-Anne zaczęła krzyczeć, gdy obie niebezpiecznie przechyliły się przez poręcz. Ava nie dawała za wygraną.

- Sprzedałaś Noaha? - spytała.

Jewel-Anne histerycznie kiwała głową przerażona, zapłakana.

- Tak - wykrztusiła. - Sprzedałam własne dziecko! - Szlochała rozpaczliwie, jakby serce pękało jej na tysiąc kawałków. - Ale... ale nie tylko ja jestem winna. Ty też! Bo ja sprzedałam moje dziecko, ale, do cholery, tyje kupiłaś!

Rozdział 39

Kupiła go... Kupiła... Kupiła...

Avie kręciło się w głowie, czuła się, jakby dostała kopniaka w brzuch.

Świadomość, że zapłaciła za swoje dziecko, drażyła jej umysł, a podłoga piętro niżej zawirowała, jakby zapraszając ją do skoku. Jewel-Anne sprzedała Noaha, a ona go kupiła. Razem z Wyattem. Była częścią tego kłamstwa, brała udział w spisku. Zapłaciła za dziecko i starała się to ukryć! Nie była lepsza od Jewel-Anne!

- Gdzie on jest? - zapytała ochryple. Pochylała się na kuzynką przytłaczała ją swoim ciężarem. W każdej chwili mogły spaść, ale to nie miało żadnego znaczenia.

Jewel-Anne krzyczała przerażona.

- Przestań! - zawołał Wyatt. Podbiegł do nich boso, rozczochrany, w samych spodniach od pizamy. Złapał Avę za ramię. - Na miłość boską nie rób tego!

Jewel-Anne znowu krzyknęła i Ava wreszcie oprzytomniała. W tej samej chwili Wyatt mocnym szarpnięciem odciągnął ją od barierki, zapewniając bezpieczeństwo jej i Jewel-Anne.

Ava nie mogła powstrzymać drżenia. Przed chwilą obie mogły runąć w dół i zginąć. Oczami wyobraźni widziała ręce i nogi powy-

ginane pod nienaturalnym kątem, skrzycone karki, krew sącząca się na wypolerowany parkiet.

- O Boże...

Jewel-Anne kulila się na podłodze przy barierce. Po jej trupiobladej twarzy spływały łzy. Odczołgała się od Avy, podniosła głowę i rzuciła jej w twarz:

- Ty naprawdę jesteś nienormalna! - Z trudem chwytła oddech, wyciągając oskarżycielsko palec. - Trzeba cię zamknąć! Na zawsze! Nie wolno tak napadać na ludzi. Wniosem oskarżenie! Nie myśl sobie, że żartuję! Chciałaś mnie zabić! - Nienawiść wykrzywiła jej rysy. - Szkoda, że to nie ty utonęłaś, że to Kelvin zginął, a nie ty! Słyszysz? Szkoda, że to nie ty! - Dźgała palcem powietrze i szlochała spazmatycznie. - Szkoda, że nie umarłaś razem z dzieckiem!

Ava aż się zatoczyła, oszołomiona ociekającymi jadłem słowami kuzynki.

Przytrzymując się prętów balustrady, ze wzrokiem wciąż wbitym w Avę, Jewel-Anne powoli dźwignęła się do pozycji stojącej. Wyatt chciał jej pomóc, ale wtedy skierowała swoją złość także na niego.

- Zostaw mnie! - wrzasnęła, nadal wpatrując się w Avę. - Kiedy następnym razem będziesz chciała popełnić samobójstwo, daj mi znać. Chętnie ci pomogę.

- Dość tego! - warknął Wyatt ostro, ale Jewel-Anne wykrzywiła usta w złośliwym grymasie.

- Wcale nie jesteś lepszy! - zaatakowała. Jedną ręką przytrzymując się poręczy, drugą starła łzy z twarzy. - Jesteś tu tylko dla pieniędzy! - Przenosiła wzrok z Avy na Wyatta i z powrotem. - Masz rację, Avo! On ma romans. Słyszałam, jak rozmawiał przez telefon!

- Zamknij się, Jewel! - zawołał Wyatt.

W tym momencie pojawiła się Demetria, pchając przed sobą wózek inwalidzki.

- Uspokójcie się natychmiast - rozkazała, objęła Jewel-Anne i pomogła jej usiąść.

Ale Ava jeszcze nie miała dosyć.

- Kto jest ojcem Noaha? - zwróciła się do kuzynki. - Jak się nazywa? Jewel-Anne zacisnęła usta w wąską kreskę.

- Jak to możliwe, że byłaś z kimś związana? - dopytywała Ava.

- Jasne, nie mieści ci się w głowie. - Jewel-Anne ostentacyjnie pociągnęła nosem. - Trudno uwierzyć, że ktoś mnie chciał, prawda?

- Kto to był? - Ava spojrzała na Wyatta.
- Nie chce powiedzieć.
- A pytałeś?
- A jakże, pytał. Aleja nigdy wam tego nie powiem! - Jewel-Anne powoli wracała typowa dla niej pewność siebie. Poprawiła warkocz na ramieniu i dodała:
- Nigdy się nie dowiecie.

Ava spojrzała na męża i stwierdziła beznamiętnym głosem:

- To Jewel-Anne usiłowała wykończyć mnie psychicznie. Nagrała płacz dziecka i podłączyła głośniki w moim pokoju. Mam na to dowody: urządzenie zainstalowane na strychu oraz nagranie, na którym widać, jak je uruchamia. Specjalnie pojechałam do Seattle, żeby kupić sprzęt do nagrywania i przyłapać ją na gorącym uczynku! - Wyatt i Demetria przyglądali się jej takim wzrokiem, jakby całkiem oszalała. - Jeśli mi nie wierzycie, możecie to zobaczyć na jej komputerze. Zapisałam film na pendrivie i pokazałam jej. Chciała zrobić ze mnie wariatkę.

- Nie musiałam nic robić, i tak jesteś wariatką - syknęła Jewel-Anne. Przeniosła wzrok na Wyatta. - Ona mnie wrabia. Nie wiem, jak to zrobiła, pewnie bawiła się Photoshopem. W dzisiejszych czasach każdy może majstrować przy filmach. Pokazała mi nagranie, na którym rzekomo widać mnie na schodach dla służby. Jasne, bo bez problemu po nich chodzę. - Trudno pojąć, jak to możliwe, ale nawet siedząc, patrzyła na Avę z wyższością.

Wyatt spojrzał na żonę.

- Nigdy nie słyszałem żadnego płaczu - stwierdził.

Avę ogarnęła irytacja. Zachowywał się, jakby chciał uwierzyć Jewel-Anne.

- Nie wiem, jak jej się to udało - odparła - ale dźwięk było słychać tylko w moim pokoju. Ona nawet mówiła, że też to słyszy, żeby mnie zmylić! Sam zobacz! Na jej komputerze! Masz to tam czarno na białym, a ja niczego nie montowałam!

Opanowała się nieco i w ślad za Jewel-Anne i jej opiekunką weszła do pokoju. Wyatt był tuż za nią. Jewel-Anne chciała wyłączyć komputer, ale on pierwszy dopadł do biurka i ignorując jej sprzeciw, patrzył, jak podciągała się po schodach.

- A więc chodzisz - rzucił sucho, wpatrzony w ekran. - Naprawdę to zrobiłaś. Chciałaś, żeby Ava straciła rozum.

- I tak już straciła! - Jewel-Anne nie dawała za wygraną. - Poza tym nie chodzę. Utrzymuję tylko równowagę.

Demetria nie odrywała wzroku od monitora.

- Ostatnio dużo pracowałyśmy z fizjoterapeutą właśnie nad równowagą. Ale nie miałam pojęcia, że... - spojrzała na podopieczną. - Jewel-Anne?

Nagranie było niepodważalnym dowodem. Jewel-Anne, schwytana w pułapkę, łypnęła gniewnie na Avę.

- No dobrze, chodzę! - warknęła i wróciła do łóżka, do swoich lalek.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał Wyatt.

Zanim Jewel-Anne zdążyła coś powiedzieć, odezwała się Ava:

- Obwinia mnie za śmierć Kelvina, ma żal, że nie sprzedałam jej domu, że miała wypadek, że musiała oddać dziecko. O wszystko. Wszystkie jej nieszczęścia to moja wina.

- Botakjest! - Jewel-Anne miała taką minę, jakby naprawdę wierzyła we własne kłamstwa. - Nigdy nie rozumiałaś, jak bardzo cierpię. Udajesz, że mnie nie zauważasz.

- Jezu - szepnął Wyatt.

- A ty wcale nie jesteś lepszy - warknęła do niego Jewel-Anne, podciągając pod szyję puszysty różowy koc. - Tobie najbardziej zależało na podtrzymywaniu tego kłamstwa, może nie? Chciałeś, żeby myślała, że to ona urodziła Noaha! Więc mnie nie osądzaj!

- Oszałałaś - stwierdziła Ava. Jewel-Anne zachnęła się.

- I kto to mówi!

- To ty podrzuciłaś mi mokre buciki Noaha - zaatakowała Ava. - To ty zakopałaś tę lalkę w trumnie. - Narastał w niej gniew. - To ty podrzuciłaś mi klucz do trumny i drażniłaś się ze mną przesiadywałaś w ogrodzie przy kamieniu z jego imieniem, czekałaś, aż się domyślę, że pod tym głazem coś się kryje!

- Nie, ja... - zaczęła Jewel-Anne.

- Masz opuścić mój dom. - Ava nie dała jej dokończyć. Dygotała na całym ciele.

- To także mój dom!

- Wykupimy cię - odezwał się nagle Wyatt.

- Ja cię wykupię - poprawiła Ava. Wyatt też nie był bez winy, co do tego Jewel-Anne miała rację.

Jewel-Anne gwałtownie pokręciła głową ułożyła lalki wokół siebie.

- Nigdy nie sprzedam moich udziałów.

- Więc znajdę inny sposób - ostrzegła Ava.

- Nie możesz! - Jewel-Anne była pewna, że jest górą.
- Nie prowokuj mnie. - Ava zacisnęła zęby. Wyatt złapał ją za ramię, odciągnął.

- Chyba już wystarczy - powiedział cicho. Straciła jego dłoń.
- Jeszcze nie skończyłam - syknęła.
- Zastanów się, jakim cudem mogłaby wykopać grób? - tłumaczył.
- Ktoś jej pomagał. Miała współnika, na pewno. - Ava spojrzała na kuzynkę. - Jacob. Pewnie tylko udawał przerażenie, gdy wykopaliśmy lalkę.

Jewel-Anne przewróciła oczami, odnalazła spojrzenie Demetrii i powiedziała dziecinnym, piskliwym głosem:

- Jestem już bardzo zmęczona.
- Dobrze, jeśli ty nie chcesz powiedzieć mi prawdy, zrobi to ktoś inny! - Ava zaszła już tak daleko, że nie mogła teraz się wycofać. Ruszyła do drzwi.

- Poczekaj! - zawołał za nią Wyatt. - Dokąd idziesz?

- Porozmawiać z Jacobem!

- Ale jest...

- Trzecia nad ranem, tak, wiem.

Deptał jej po piętach, ale nie zwracała na to uwagi. Domyślała się, że jej mąż też był zaangażowany w ten spisek, zapewne bardziej niż mogła sobie wyobrazić. I nie on jeden. Maczali w tym palce wszyscy, którzy wiedzieli, że Noah był adoptowany. Spisek zataczał coraz szersze kręgi. Nie tylko Jacob. Także personel. Może również Ian i Trent, może nawet Zinnia w Kalifornii. Ale gdzie jest Noah? Czy któreś z nich wie? Czy gdzieś go ukryli?

Uspokój się! Weź się w garść! Po kolei!

- Poczekaj, uspokój się - poprosił Wyatt, gdy biegła przez kuchnię do drzwi i dalej, na werandę. Był o krok za nią, złapał ją za łokieć, szarpnął, zmusił, by spojrzała mu w twarz. - Zwolnij trochę. Nie możesz w środku nocy zarzucać ludziom takich rzeczy.

Nie pojmowała, jak mogła w ogóle kiedykolwiek go kochać. Porywisty wiatr szarpał gałęziami świerka, hulał na podwórzu, niósł zapach ziemi i morza, przyprawiał ją o zimny dreszcz.

- Powinieneś chcieć wiedzieć wszystko o własnym synu - zwróciła się do męża. - Naszym synu. Dlaczego mi nie powiedziałeś, Wyatt? Dlaczego?

- Doktor McPherson uznała, że najlepiej będzie, jeśli sama do tego dojdiesz. Według niej twoje koszmary senne dotyczyły zarówno Noaha, jak i dziecka, które straciłaś. W głębi duszy, podświadomie, wiedziałaś, że poroniłaś, nie mogłaś się z tym pogodzić i przeniósłaś te lęki, ten żal, na Noaha.

- Co to za psychobelkot? - Wyrwała mu się. Gdzieś w oddali zahuczała sowa. Ostrzegawczo? - Dzięki za wstęp do psychoanalizy, ale i tak odnajdę syna!

Z tymi słowami oddaliła się. Pan T z sykiem schronił się za rogiem, gdy wbiegła na krętą alejkę prowadzącą do mieszkania Jacoba w suterenie. Błyskawicznie pokonała kilka stopni i z całej siły uderzyła pięścią w drzwi.

- Jacob! - zawołała. - Jacob! Otwieraj!

Wyatt ją dogonił i złapał za rękę, zanim po raz drugi uderzyła w drzwi.

- Przestań! - krzyknął.

- Puść mnie! - warknęła w odpowiedzi. Zza drzwi dobiegło stłumione:

- Co jest, kurwa?

- Otwieraj, Jacob!-powtórzyła.

- Pali się czy co? - Gwałtownie otworzył drzwi. Miał zmierzwione włosy, przekrwione oczy, a na sobie tylko bokserki, więc doskonale widziała jego mocno owłosione nogi. W mieszkaniu panował potworny bałagan. Wszędzie wałały się brudne ciuchy i puste opakowania po pizzy, pościel z rozścielonego łóżka zsuwała się na podłogę, a w powietrzu wisiał zapach marihuany. Monitory komputerowe były włączone.

- Co mi powiesz o systemie nagrywającym na strychu? - Ava od razu przeszła do rzeczy.

- Na strychu? - Podrapał się w zarośnięty podbródek. - Oszalałaś, czy co?

Odsunął się od drzwi. Ava i Wyatt weszli do środka. Z trudem panując nad sobą, Ava opowiedziała, jak Jewel-Anne chciała wpędzić ją w obłąd.

- No co ty! - Jacob ciężko usiadł na łóżku.

- Pomagałeś jej! - zarzuciła mu. Przecząco pokręcił głową.

- Nie. Skąd.

- Przecież sama tego nie zrobiła. - Ava nie dawała za wygraną. Wyatt miał taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał.

- Co do tego to się zgadzam - mruknął Jacob. - Sama nie dałaby rady. I tak się dziwię, że zrobiła to, co udało ci się nagrać. - Wydawał się naprawdę zaskoczony i jakby trochę zazdrosny.

- Na pewno jej pomagałeś. W tym domu ty najlepiej znasz się na sprzęcie elektronicznym.

- Nie miałem o tym pojęcia. - Jacob uniósł ręce i spojrzał na Wy-atta. - Naprawdę, stary.

Jego słowa zabrzmiały przekonująco. Albo to aktorstwo godne Oscara, albo naprawdę nie miał z tym nic wspólnego, pomyślała Ava.

- Zajmiemy się tym rano - poprosił ją Wyatt. Spojrzała na niego.

- Czy także tym, ilu rodziców biologicznych wymyśliłeś naszemu synkowi? Dzwoniłam do tych ludzi, wiesz? Otworzyłam stare rany, przypomniałam im o śmierci córki! Kto to jest? Dawni klienci twojej firmy?

Nie odpowiedział, ale widziała, że to był celny strzał. Zapewne Johnsonowie zjawili się w kancelarii, szukając porady prawnej, i tym sposobem dowiedział się o losie ich córki.

- Jewel-Anne ma rację - mruknął do niego Jacob. - Ona naprawdę oszalała.

Ava z niedowierzaniem rozłożyła ręce i wyszła z chlewu, jakim stało się mieszkanie kuzyna. Na zewnątrz otoczyła ją ciemność, listopadowy wiatr hulał wśród nagich gałęzi drzew. Czyżby aż tak myliła się co do udziału Jacoba w całej sprawie? Jeśli nie brat Jewel-Anne, to kto? Bo nie wątpiła, że kuzynka miała współnika. Albo współniczkę. Niewykluczone, że to kobieta.

Wyatt był kilka kroków za nią. Dusila się w jego obecności, więc przyspieszyła, żeby uciec do względnie bezpiecznej przystani, jaką był jej pokój.

Lyons podzieliła się ze Snyderem najnowszymi wieściami, gdy tylko następnego ranka wszedł do swojego gabinetu.

- Nie uwierzysz! - zaczęła. Uśmiechała się jak rozemocjonowane dziecko, które za chwilę zdradzi ważną tajemnicę.

- W co?

- Zgadnij, kto był w ciąży podczas sesji hipnozy?

- Jewel-Anne Church?

- Bingo.

- No proszę. - W zadumie skinął głową i usiadł, wypełniając sobą całe miniaturowe pomieszczenie.

Lyons w jednej dłoni trzymała dyktafon, w drugiej kasetę.

- Słyszałam to tutaj, głośno i wyraźnie - oznajmiła, unosząc rękę.

- Kto jest tatusiem?

- Nie wiadomo.

- A gdzie dziecko?

- Też nie. Przynajmniej na razie. Zostały mi jeszcze trzy nagrania, dam ci znać, jak się czegoś dowiem.

- Świetnie - mruknął i po chwili dodał: - Wiesz co? Nie mam pojęcia, czy to w jakikolwiek sposób łączy się z naszą sprawą.

- Ja też nie, ale intuicja podpowiada mi, że jest jakiś związek.

- Albo zwyczajnie lubisz podsłuchiwać.

- Masz inny pomysł?

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

- Tak myślałam - prychnęła.

Zadzwoił telefon na jego biurku. Podniósł słuchawkę, a Lyons poszła do siebie. Nie patrzył na nią wmawiał sobie, że wcale go nie interesuje, jak jej tyłeczek wygląda w tej obcisłej szarej spódniczce. Wcale a wcale.

Następny dzień okazał się dla Avy istnym koszmarem. Jewel-Anne, robiąc z siebie bohaterkę tego dramatu, właściwie nie wytykała nosa z pokoju. Jacob i rano, przed wyjściem na zajęcia, i po południu, gdy wrócił na wyspę, ani razu nie odezwał się do Avy, tylko patrzył na nią z wyrzutem. Virginia mruczała pod nosem, że jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, a Ian nawet nie ukrywał faktu, że ze zdenerwowania zaczął znowu palić.

On, Trent i Wyatt wyszli rano zaraz po śniadaniu. Ava, tak jak poprzedniego dnia, odprowadzała ich wzrokiem, gdy przeprawiali się przez zatokę. Graciela udawała, że nie ma o niczym pojęcia, i pracowała w milczeniu. Demetria wyraźnie unikała Avy, ale ilekroć mijały się w kuchni czy na korytarzu, przeszywała ją morderczym spojrzeniem.

Avę irytowało zachowanie domowników, tym bardziej że nie czuła się winna. Starła się jednak nie przejmować niechętnymi jej reakcjami, bo i bez tego miała dość zmartwień.

Po śniadaniu Khloe, która często brała jej stronę, poszła za nią na górę i powiedziała:

- Nie mogłaś trochę poczekać, zanim doprowadziłaś do konfrontacji z Jewel-Anne? Jak mogłaś grozić dziewczynie na wózku inwalidzkim? Mało brakowało, a zrzuciłabyś ją przez poręcz!

Ava pozostawiła te słowa bez komentarza. Nie miała ochoty na rozmowę o wydarzeniach ostatniej nocy, zamierzała natomiast poszukać prawnika w żaden sposób niezwiązanego z kancelarią męża, który pomógłby jej odzyskać kontrolę nad własnym życiem i być może zajął się rozwodem. Wolą nie robić tego przy Khloe, ta jednak najwyraźniej opacznie zinterpretowała milczenie przyjaciółki, bo zamiast wyjść z pokoju i zostawić ją sama, poradziła:

- Rozegraj to z głową, dobrze?

- Naprawdę nie rozumiem, o co ci chodzi odparła Ava. - Jewel-Anne jest matką Noaha. Ukrywała to przede mną od lat.

- Nie pomagasz sobie, grożąc kalece.

- Wiem o tym, zwłaszcza że Wyatt chce mnie znowu zamknąć w szpitalu. Sama sobie zaszkodziłam.

Khloe znieruchomiała.

- Co?

- I on, i McPherson uważają, że tak będzie dla mnie najlepiej.

- Przecież ją zwolniłaś?

- No cóż, formalnie rzecz biorąc, sama odeszła, ale to bez znaczenia, bo Wyatt znowu ją zatrudnił. Mógł podjąć taką decyzję, bo jest moim opiekunem prawnym.

- Powinnaś coś z tym zrobić. No wiesz, z tym ubezwłasnowolnieniem.

- I zrobię, muszę tylko znaleźć dobrego adwokata. - Sięgnęła po komputer i usiadła. - Myślałam, że gdy pokażę wszystkim nagranie z Jewel-Anne, zrozumieją że to ona starała się wpędzić mnie w szaleństwo, ale nawet to wyszło nie tak.

- To wszystko jest bardzo dziwne - stwierdziła Khloe. - W ogóle nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek umawiała z jakimś mężczyzną. Ale skoro jest matką biologiczną Noaha, to ktoś musi być jego ojcem. Domyślasz się kto?

- Niestety nie. Jewel-Anne nie chce powiedzieć, a ja, chociaż głowię się nad tym cały czas, niczego nie mogę wymyślić. - Ava westchnęła. - Może mam już za mało szarych komórek, żeby był z nich jakikolwiek pożytek.

Khloe zachichotała, ale Avie nie było do śmiechu. Prawda była taka, że naprawdę nie miała zielonego pojęcia, kto mógł być ojcem Noaha. Usiłowała sobie przypomnieć wszystkich mężczyzn, z którymi jej kuzynka mogła się przespać mniej więcej pięć lat temu. Fizjoterapeuta, Wyatt... może nawet Kelvin, chociaż wtedy był zaręczony z Khloe i Ava wątpiła, że mógłby ją zdradzić z Jewel-Anne. Nie, to zupełnie nie w jego stylu.

Zadzwoniła komórka Khloe. Wyjęła ją z kieszeni, spojrzała na wyświetlacz i skrzywiła się.

- Simon. - Przewróciła oczami i dodała konspiracyjnym szeptem: -Od wczoraj jest w fatalnym humorze. Stary niedźwiedź.

- Dlaczego od niego po prostu nie odejdziesz?

- To nie takie proste - odparła Khloe. - Avo, a gdybyś dowiedziała się, że Noah... no wiesz, że stało się najgorsze?

- Noah żyje. Ja to wiem.

- Bardzo bym chciała, żebyś miała rację, ale może powinnaś przygotować się na każdą ewentualność. Nawet jeśli Noah żyje, nie wiadomo, czy go odnajdziesz.

- Wiem o tym, ale nigdy nie przestanę go szukać. Telefon Khloe znowu zadzwonił.

- Chyba muszę odebrać - powiedziała i ruszyła do drzwi.

Gdy wyszła, Ava przez kilka minut siedziała nieruchomo, pogrążona w zadumie. Słowa Khloe zapadły głęboko w jej serce. Czuła ucisk w gardle na samą myśl, że do końca życia może nie dowiedzieć się, co się stało z Noahem.

A jeśli prawda okaże się gorsza niż niewiedza? Nie, nic nie może być gorsze od niewiedzy.

Zerknęła na stolik przy łóżku. Czekala tam na nią kolejna porcja lekarstw. Ktoś - nie wiedziała: Khloe, Graciela czy Wyatt - przyszykował je dla niej. Pigułki kusily; przeciez zlagodza bol, odsuna cierpienie.

- Niech to szlag - szepnela, podciagnela kolana pod brode i pozwolila sobie na lzy. Szlochala cicho, rozmyslajac o synku, o tym, ze byc moze juz nigdy go nie zobaczy.

Jeszcze raz spojrzala na tabletki. Wahala sie, ale trwało to tylko chwile. Otarla lzy i zacisnela pieści. Nie, nie podda sie. Nigdy!

Wstała z łóżka i po raz kolejny wyrzuciła tabletki do muszli klozetowej .
Musi się dowiedzieć, kim był tajemniczy kochanek Jewel-Anne. Może to klucz do odnalezienia Noaha.

Rozdział 40

Niech to szlag! - Snyder rzucił słuchawkę na widełki i sięgnął po kaburę i marynarkę.

Kilka sekund później był przy biurku Lyons. Siedziała ze słuchawkami na uszach i z marsem na czole.

Podniosła palec do ust, żeby się nie odzywał.

- Sekundę - poprosiła. - Jezus, Maria!

Cofnęła nagranie, a gdy odsłuchiwała je ponownie, wyraz jej twarzy stopniowo się zmieniał - początkowe zaskoczenie przeszło w niedowierzenie i wreszcie w całkowitą pewność, jakby wszystkie kawałki łamigłówek trafiły na miejsce. Wyłączyła dyktafon i zdjęła słuchawki.

- Właśnie się dowiedziałam, kto zrobił dziecko Jewel-Anne -oznajmiła. - Strzelaj.

- W dwadzieścia pytań pogramy w samochodzie - odparł Snyder. - Teraz mamy na głowie sprawę potencjalnego morderstwa, przy czym „potencjalne” możemy sobie od razu darować.

- Kto?

- Evelyn McPherson.

- Ta lekarka?

- Tak.

- Terapeutka Avy Garrison?

- Ta sama. Znaleziona we własnym domu z poderżniętym gardłem. Sąsiadka zauważyła, że McPherson nie wyszła rano do pracy, i wydało jej się to dziwne. Zadzwoiła do niej, a gdy lekarka nie odebrała, poszła tam i zobaczyła jej samochód w garażu. Kilka razy dzwoniła do drzwi. Nikt nie otwierał, więc wezwała policję.

Lyons poderwała się z krzesła, sięgnęła po kurtkę, szalik i broń.

- Jeszcze jakieś szczegóły?

- Na razie nic nie wiadomo.

Uśmiechnęła się ponuro, otworzyła szafkę i wyjęła torebkę.

- No to się rozejrzyjmy. Ja prowadzę.

Poszli na parking na tyłach budynku i wsiedli do samochodu Lyons. Uruchomiła silnik, a Snyder podał jej adres Evelyn McPherson.

- Darujmy sobie zgadywanki - mruknął, gdy wyjeżdżali z parkingu. - Kto zrobił dzieciaka Jewel-Anne Church?

- Najstłynniejszy bohater lokalnych horrorów we własnej osobie. Patrzył na nią, jakby kompletnie oszalała.

- Lester Reece?

- We własnej osobie. - Włączyła wycieraczki i wyjechała na ulicę, skręcając z piskiem opon. - Czas się zgadza. Miejsce też, bo Jewel-Anne mieszkała z ojcem na terenie szpitala. Poznała tam Reece'a. Zafascynował ją. Z tego, co mi wiadomo, nie ją jedną.

- Chcesz powiedzieć, że straciła dla niego głowę, zaszła z nim w ciążę i pomogła mu uciec?

- Przecież od początku zakładano, że ktoś mu pomagał, ale podejrzewano którąś z pielęgniarek. Żadnej nie udało się niczego udowodnić i śledztwo utknęło w miejscu. A jeśli to była Jewel-Anne?

- Odważna teoria - odparł ostrożnie, chociaż musiał przyznać, że koncepcja jego partnerki ma ręce i nogi.

- Tylko pomyśl - przekonywała Lyons - ciągle komuś się zdaje, że widział Reece'a, i nagle mamy dwie kobiety, które zostały zamordowane w taki sam sposób jak jego ofiary.

Snyder milczał. Dostrzegał w jej rozumowaniu pewną logikę, ale pozostawał sceptyczny.

- Wiem, że łatwiej jest założyć, że Reece nie żyje, a jego ciało już dawno zgniło w wodzie - mówiła dalej - musimy jednak przyjąć, że tak nie jest. O ile wiem, Evelyn McPherson pracowała w Sea Cliff. Niewykluczone, że to on ją zabił. - Snyder nadal się nie odzywał, więc dodała: - Uważam, że powinniśmy być otwarci na różne możliwości.

- Jasne - mruknął, wyraźnie bez przekonania. Resztę drogi przebyli w milczeniu.

Przed domem Evelyn McPherson zobaczyli policyjny radiowóz i samochód straży miejskiej. Ich migające światła kładły się barwnymi plamami na sąsiednich budynkach. Umundurowany funkcjonariusz otaczał miejsce zbrodni żółtą taśmą, kilku innych pilnowało, żeby liczni gapie, którzy wyszli z sąsiednich domów, nie zniszczyli ewentualnych śladów.

- Cyrk już się zaczął - skomentował Snyder.

- A będzie jeszcze gorzej - odparła Lyons.

Zaparkowała po przeciwnej stronie ulicy. Wyłączyła silnik i oboje wysiedli. Przeskakując kałuże, podeszli do drzwi wejściowych.

- Ostrożnie - poprosił policjant pilnujący miejsca zbrodni, gdy zakładali na buty plastikowe ochraniacze. - Chłopcy z kryminalistyki jeszcze nie przyjechali.

- Spokojnie, niczego nie będziemy ruszać - zapewnił Snyder. Podpisali się na liście i weszli do środka. Snyder zawsze czuł się

nieswojo, przebywając w domu ofiary, przeglądając rzeczy osoby, której życie skończyło się w tak nagły, brutalny sposób. Miał wrażenie, że zadaje poszkodowanej kolejny gwałt, choć przecież działał w jej imieniu. Teraz niespiesznie rozglądał się w domu Evelyn McPherson. Na kuchennym blacie stał do połowy opróżniony kieliszek wina i talerz sera. Nóż, którym go kroila, leżał obok.

- Przekąska dla jednej osoby - stwierdził.

- Albo kolacja - odparła Lyons. Gdy z powątpiewaniem uniósł brew, wyjaśniła: - Też jestem singielką i wiem, co mówię.

- Niech ci będzie.

W salonie panował idealny porządek, wszystko stało na swoim miejscu, jak na fotografii w piśmie wnętrzarskim. Tutaj nic się nie wydarzyło.

Weszli do sypialni i zajrzeli do sąsiadującej z nią łazienki. Evelyn McPherson, ubrana w spodnie i elegancki sweter, leżała na podłodze, wpatrując się w sufit oczami zasnutymi już mgłą śmierci. Głęboka rana pod brodą przyciągała wzrok, gęstniejąca krew pokryła całą podłogę niewielkiego pomieszczenia.

To tu doszło do walki.

McPherson nie poddała się od razu.

Rozsunięta zasłona odsłaniała kabinę prysznicową i zaschnięte błoto w brodziku, gdzie zapewne zaczął się napastnik. Krew była wszędzie: na ścianach, lustrze, umywalce, spływała krzepnącymi smugami po szafkach. Na podłodze poniewierały się słoiczki kremów i płynów do demakijażu, niektóre potłuczone. Nawet tubki szminek były czerwone od krwi.

- Nie ma wątpliwości, że to morderstwo - mruknęła Lyons, zaciskając usta.

- Jasne. - Szkoda biedaczki, pomyślał, nie wchodząc do pomieszczenia, w którym Evelyn McPherson wydała ostatnie tchnienie. - Coś ci to przypomina? - zwrócił się do partnerki.

Skinęła głową.

- Zupełnie jak u Reynolds. To druga ofiara tego samego zabójcy. - Zerknęła na niego. - A także druga, która miała do czynienia z Avą Garrison.

- I zapewne z wieloma innymi osobami.

- Zapewne - przyznała, ale myśleli podobnie. Oczywistym ogniwem łączącym obie ofiary była kobieta, do niedawna pacjentka szpitala psychiatrycznego, która obsesyjnie poszukiwała zaginionego synka. Ignorowała zdanie większości, że malec nie żyje, że niezauważony wymknął się z domu, poszedł na pomost, wpadł do wody i utonął, a morze porwało jego zwłoki, podczas gdy rodzice bawili się na przyjęciu. Snyder przypuszczał, że za obsesją Avy Garrison kryje się poczucie winy, ale nie był psychologiem ani psychiatrą, a lekarka tej pacjentki leżała przed nimi martwa.

- Pieprzony sukinsyn. - Już miał się odsunąć, gdy coś przykuło jego uwagę.

- A to co? - zapytał, wskazując wannę. Na białej powierzchni, pośród krwawych zacieków, widniał długi, czarny włos.

- A niech mnie. - Lyons pochyliła się, żeby przyjrzeć się dokładniej - Mam coś, co łączy obie zbrodnie. - Podniosła wzrok na partnera. - Zaczynam się zastanawiać, czy Ava Garrison nie wyszła od Cheryl Reynolds z jej przebraniem halloweenowym.

- Sądzisz, że ona to zrobiła? - Snyder wskazał zakrwawione zwłoki Evelyn McPherson.

- Myślę, że ten, kto zabrał perukę, wziął też nagrania z sesji Garrison - odparła. - Komu mogło na nich zależeć poza samą zainteresowaną?

Snyder poczuł dreszczyk emocji.

- Jeśli twoja teoria jest słuszną mają zabójca.

- Albo już je zniszczył.

Wyprostowała się, przeszła przez sypialnię do stojącego w rogu biurka i wskazała pustą ładowarkę od laptopa.

- Musimy znaleźć ten komputer.

- I rozejrzeć się w gabinecie.

- Czytasz mi w myślach.

Rozejrzeli się pobieżnie, ale nie znaleźli narzędzia zbrodni, chyba że morderca posłużył się jednym z noży kuchennych, a potem starannie go umył i odłożył na miejsce. Snyder raczej w to wątpił. Brakowało komputera z biurka McPherson, jej torebki i komórki. Żadnego z tych przedmiotów nie było w jej samochodzie, który stał w garażu przy

domu. Nie zauważyli żadnych śladów włamania - okna były pozamykane, drzwi zamknięte na klucz.

Sąsiedni pokój także był czysty i zamknięty. Snyder dopuszczał możliwość, że albo ofiara sama wpuściła mordercę, albo ten zastał otwarte drzwi, a potem znalazł klucz i je zamknął. Najprawdopodobniej sprawca zabrał rzeczy osobiste McPherson, w tym laptop. Jeżeli w gabinecie miała drugi komputer, ewentualnie gdzieś zachował się dysk zewnętrzny z kopią zapasową po powrocie na posterunek mogliby przejrzeć historię odwiedzanych stron internetowych, pocztę elektroniczną i aktywność na portalach społecznościowych. Musieli też zająć się sprawdzeniem jej billing ów telefonicznych oraz ustalić, kto ostatni widział ją żywą.

Pogadali chwilę z technikami kryminalistyki, przesłuchali sąsiadkę, która zadzwoniła na policję, ale nie dowiedzieli się niczego więcej niż dyspozytorka, która przyjęła wezwanie.

Opuścili miejsce zbrodni, po którym kręciło się pełno mundurowych, i pojechali do gabinetu McPherson, mijając się po drodze z wozem transmisyjnym lokalnej stacji telewizyjnej.

- Wcześniej czy później popłyniemy na wyspę porozmawiać z Avą Garrison - powiedziała Lyons. Reflektory samochodu z naprzeciwka oświetliły jej twarz.

- Jasne.

- Nasuwa się pytanie - mruknęła, jakby do siebie - co może być tak cholernie ważne, żeby z powodu tego czegoś poderżnąć gardło dwóm kobietom?

- To sprawa osobista. - Snyder wyglądał przez okno od strony pasażera i myślał o brutalnej śmierci ofiar. Cheryl Reynolds była najpierw duszona prawie na śmierć, a zabójca dokończył dzieła za pomocą piętnastocentymetrowego, ząbkowanego ostrza. Założyłyby się o przyszłoroczny urlop, że sekcja zwłok wykaże podobny modus operandi w przypadku Evelyn McPherson.

Tymczasem morderca wciąż miał przy sobie narzędzie zbrodni.

Dern upił spory łyk whisky prosto z butelki. Siedział u siebie przy stole, w ściszym telewizorze leciał stary film z Clintem Eastwoodem. Raczej nie śledził akcji.

Pies leżący przy piecu podniósł łeb i spojrzał na niego wymownie.

- No co ty, stary. Jest już po południu, nie możesz mieć pretensji - mruknął Dern, ale odstawił butelkę. Miał za sobą długi dzień, a wcześ-

niej - zwariowaną noc. Słyszał hałasy, gdy Ava jak burza pobiegła do Jacoba i waliła pięścią w drzwi. Potem dowiedział się, że omal nie zabiła kuzynki. Uznał zresztą, że Jewel-Anne sobie na to zasłużyła, o ile dobrze zrozumiał to, co łan mamrotał pod nosem.

- To istny dom wariatów - burczał, stojąc koło szklarni, kiedy Dern przyszedł po łopatę. - Avie zupełnie odbiło, a Jewel-Anne... Cóż, od dawna ma nierówno pod sufitem. W sumie nic dziwnego, najpierw wyrzekła się dziecka, potem straciła władzę w nogach. Terroryzowała Avę, odkąd ta wróciła ze szpitala.

Opowiedział mu wszystko, co sam usłyszał, bo obaj z Trentem, po wychyleniu w Anchorville kilku głębszych, przespali całe zamieszanie. Już to wydawało się niewiarygodne, stwierdził Dern, ale nic nie powiedział.

łan zaciągnął się głęboko papierosem i cisnął niedopałek na mokrą trawę, aż zasyczała.

- Najlepsze, że to się chyba udziela. Kilka dni temu, kiedy wracałem z Anchorville, dałbym sobie rękę uciąć, że widziałem Lestera Reece'a, tu, na wyspie. Stał na szczycie urwiska i wpatrywał się w nasz hangar.

Sięgnął do kieszeni po kolejnego papierosa, chociaż poprzedni jeszcze tlił się na trawniku.

- Ale się porobiło, co? Teraz mnie się udzieliła paranoja Avy! Niemożliwe, żeby Lester Reece żył i do tego był na tej cholerniej wyspie. -Obmacał kieszenie, znalazł zapalniczkę i próbował zapalić papierosa drżącymi dłońmi. Udało mu się dopiero za piątym czy szóstym razem. Zaciągnął się głęboko, jakby chciał wchłonąć w płuca całą nikotynę, i odczekał chwilę, zanim wypuścił dym z płuc. - Mrugnąłem i już go nie było, o tak. - łan pstryknął palcami, - Pewnie mi się tylko zdawało, ale mam tego dosyć. Spadam stąd.

- I co zrobisz? - Dern wypatrzył łopatę przez brudne szyby szklarni.

- Sam nie wiem. Mam znajomych w Portland, na początku zatrzymam się u nich. - łan wydawał się naprawdę przerażony, ale ostatnio wszyscy mieszkańcy Neptune's Gate chodzili podminowani. - Tak czy inaczej, zabieram się stąd jak najszybciej! - powiedziaławszy to, skręcił za róg i zniknął, a Dern wziął łopatę i zawrócił do stajni.

Teraz wyjął ze schowka za obrazem niemożliwy do namierzenia telefon komórkowy i wybrał numer. Musiał przeprowadzić rozmowę, której obawiał się od wielu godzin.

Reba odebrała po drugim dzwonku.

- Halo?
- Cześć. - Uśmiechnął się, słysząc jej głos. - Jak się czujesz?
- Bywało lepiej.
- Dzwonił?
- Nie. - Wyobrażał sobie, jak Reba marszczy czoło i przecząco kręci głową. - Znalazłeś go?
- Jeszcze nie. Ale jest tutaj, na wyspie. Czuję to, tylko na razie nie mam dowodów.

Nie powiedział, że wydaje mu się, że widział drania, ale Reece rozwiął się jak dym, zanim Dern zdążył tam dotrzeć. Objeżdżał wtedy Sea Cliff. Podejrzewał, że Reece ukrywa się w opuszczonym szpitalu, ale w tak wielkim budynku było zbyt wiele możliwych kryjówek, aby zdołał go odnaleźć, ustalić, gdzie biwakuje. Problem w tym, że Reece znał Sea Cliff jak własną kieszeń. Dern postanowił, że kiedy znajdzie jakikolwiek dowód jego obecności, wezwie policję, a matce powie dopiero, gdy będzie po wszystkim.

- Nie zrób mu krzywdy - poprosiła i pojął, że będzie musiał ją okłamać. Znowu. No cóż, całkiem nieźle mu to wychodziło. Lata praktyki.

- Postaram się.

- Obiecuj mi, Austin. Masz go złapać żywego. Nic nie może mu się stać.

- Jeśli to będzie możliwe.

- Obiecuj! - nie dawała za wygraną. Wyobraził ją sobie na wózku inwalidzkim, przy oknie, wpatrzoną w dal, zaciskającą dłonie na poręczach. - Gdybym mogła, byłabym tam z tobą, ale nie dam rady, więc musisz zrobić to dla mnie. Dla nas. Dla naszej rodziny... - głos jej się załamał, ale wiedział, że oczy ma suche. Już dawno nauczyła się nie płakać.

- Obiecuję, mamó - powiedział w końcu, chociaż czuł, że oboje mają świadomość, iż może tej obietnicy nie dotrzymać.

- Nie angażuj w to policji. Oni... strzelają żeby zabić, sam wiesz. Wiedział, bo kiedyś pracował w policji. Trwało to krótko, ale dobrze znał procedury postępowania ze zbiegłymi seryjnymi zabójcami.

- Robią co do nich należy - powiedział do matki.

- Och, Austin, nie pozwól...

- Postaram się doprowadzić go żywego.

- Dzięki Bogu. - Jej ulga była tak wyraźna, że aż ścisnęło mu się serce. -
Więc szukaj brata.

Rozłączył się z pustką w duszy, jak zawsze po rozmowie z nią. Umierała przedwcześnie, żyjąc pożyczonym czasem. Wiedział o tym. Ona też.

I Reece. Właśnie dlatego znowu się pojawił, zaryzykował, skontaktował się z matką której prawie nie znał, kobietą, która pozwoliła, żeby bogaty, ale bezwzględny ojciec odebrał jej pierworodnego. Lester był niesfornym czterolatkiem, gdy zaczęła nowe życie u boku mężczyzny niewiele lepszego niż poprzedni, ten jednak dał jej drugiego syna. Nazwała go Austin, od miasta, w którym się schroniła.

Lester dorastał w dostatku, ale był bardzo źle traktowany przez ojca i liczne kandydatki na macochy, co, jeśli wierzyć jego obrońcom na procesie, w znacznym stopniu przyczyniło się do jego degeneracji.

Dzieciństwo Derna upłynęło stosunkowo spokojnie, acz biednie. Mieszkał z rodzicami i kilkorgiem rodzeństwa. Ojciec, stajenny, który bardzo dużo pracował i jeszcze więcej pił, nauczył go wszystkiego, co sam wiedział o koniach. Odszedł w siną dal, gdy chłopiec miał dziesięć lat.

Dern do dzisiaj nie wiedział, co się z nim stało.

Kiedy kilka lat później matka związała się z kolejnym mężczyzną, wyprowadził się, a wkrótce potem, podczas służby wojskowej, poznał całą prawdę o jej życiu. Właśnie wtedy Reba poważnie zachorowała i napisała do niego długi list, w którym wszystko mu wyznała. Pisała o swoim nieudanym pierwszym małżeństwie i o synu, którego nie widziała od ponad ćwierćwiecza, a którego teraz oskarżono o zabójstwo żony i jej przyjaciółki.

Miała wyrzuty sumienia, że go zostawiła, Dern jednak uważał, że lepiej dać sobie spokój z Lesterem Reece'em. Nie spieszyło mu się do spotkania z przyrodnim bratem, niebezpiecznym, okrutnym zabójcą. Wkrótce potem Reece'a schwytano, osądzono i osadzono w szpitalu psychiatrycznym. I dobrze, myślał wtedy Dern.

Niestety sukinsyn uciekł i zniknął bez śladu.

A teraz umierająca matka chce wiedzieć, czy jest cały i zdrowy i czy już nikomu nie zagraża.

I to było zadanie Derna.

Spojrzał na psa, zmarszczył brwi i znowu sięgnął po butelkę whisky. Wypił solidny łyk, a gdy poczuł w gardle palący alkohol, mruknął do Rovera:

- Pamiętasz, jak się umówiliśmy? Żadnej krytyki.

Pies zamachał ogonem i w tej samej chwili na schodach rozległy się kroki. Rover szczeknął cicho, ostrzegawczo.

Dem zerknął na zegarek. Wpół do jedenastej. Dziwna pora jak na odwiedzin. Kto to może być? Szybko wsunął telefon do kieszeni i otworzył drzwi. W progu stała Ava Garrison.

Serce zabiło mu mocniej, gdy podniosła na niego te niesamowite szare oczy. Jezu, co ona tu robi?

- Zobaczyłam u ciebie światło, pomyślałam, że jeszcze nie śpisz i... - zawiesiła głos. — Chciałam z tobą porozmawiać. Oczywiście jeśli nie jesteś zajęty.

- Wchodź. - Otworzył drzwi szerzej, żeby zobaczyła, że towarzystwa dotrzymują mu jedynie pies i telewizor. - Drinka?

Weszła do środka i spojrzała na butelkę whisky na drewnianym stole. Nie wahała się ani chwili.

- Chętnie. To mi chyba dobrze zrobi.

Rozdział 41

I tak to się skończyło - podsumowała Ava, wpatrzona w szklaneczkę whisky, w której powoli topiły się kostki lodu. Postanowiła opowiedzieć Demowi o zajściu z Jewel-Anne, bo domyślała się, że od pozostałych pracowników słyszał strzępy tej historii, a chciała, żeby poznał jej wersję. - Byłam wściekła, przesadziłam, ale miałam już dość jej kłamstw i intryg.

- Wcale ci się nie dziwię. - Dem usiadł okrakiem na krześle, położył łokcie na oparciu. Sam prawie nie pił. Cierpliwie wysłuchał opowieści Avy: o tym, jak Jewel-Anne nagrała płacz małego chłopca, bo chciała wpędzić ją w obłąd, i o tym, jak Jewel-Anne twierdziła, że to ona jest biologiczną matką Noaha.

- Kompletnie o tym zapomniałam - mówiła Ava. - W tym miejscu mam w pamięci wielką czarną dziurę. Byłam w ciąży, chociaż nie tak zaawansowanej jak ona... A potem śmierć Kelvina, jej paraliż...

- Przecież ona chodzi. Nie jest sparaliżowana.

- Utrzymuje się na nogach, pracuje z terapeutą a na nagraniu widziałam, jak się przemieszcza, ale nie nazwałabym tego chodzeniem.

Raczej podciąga się na rękach. - Nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że pozwoliła, aby tłumione emocje wzięły w niej górę. - Ona naprawdę wiele przeszła...

Dern pochylał się nad stołem i wziął Avę za rękę.

- Ty też - powiedział miękko. - A ona chciała wmówić ci, że tracisz rozum. Prowokowała cię, dręczyła, puszczając płacz dziecka, które uważałaś za swojego synka.

Czy może mu zaufać? Kto wie? W każdym razie w tej chwili zdawał się mówić szczerze i już to sprawiło, że zrobiło jej się ciepło na sercu. Był jej bliższy niż ktokolwiek z mieszkańców Neptune's Gate, a przecież prawie go nie znała.

- Dziękuję - szepnęła przez ściśnięte gardło.

W odpowiedzi uściśnęła jej dłoń i delikatnie musnął kciukiem wnętrze jej dłoni.

Podniosła wzrok, napotkała jego spojrzenie i przez chwilę znowu wyobrażała sobie, że się z nim kocha. Cofnęła rękę i spuściła oczy w obawie, że odgadnie jej myśli.

- W każdym razie chciałam, żebyś poznał moją wersję wydarzeń, choć po naszej ostatniej kłótni...

- To nie była tylko kłótnia. - Spojrzał jej w oczy i przypomniała sobie, jak się czuła, gdy wziął ją w ramiona i pocałował.

- No nie. - Speszona, sięgnęła po szklankę i wbiła wzrok w bursztynowy płyn, w którym topiły się kostki lodu. - Ale zarzuciłam ci, że bierzesz udział w spisku, chociaż... - zawiesiła głos.

Uśmiechnął się lekko i powtórzył:

- Chociaż...?

- Bo widzisz, doszłam do wniosku, że to jednak nie takie złe, kiedy ktoś cię pilnuje.

Uśmiechnął się szerzej.

- Postawmy sprawę jasno - rzekł. - Wczoraj wieczorem przydałby ci się sojusznik. Ochroniarz, którego uważałaś za wrzód na tyłku.

Odpowiedziała uśmiechem, bo wreszcie poczuła się bezpieczna, w tym ciasnym mieszkanku, z psem drzemącym przy piecu, butelką whisky na stole i z nim, mężczyzną który wydawał jej się bliższy niż ktokolwiek inny. Jak to się stało? Było to równie "nierealne" jak całe jej życie.

Chyba wyczuł, że ta intymna bliskość jest zbyt kusząca, bo zmienił temat.

- Jak się czuje Jewel-Anne? - zapytał.

- Nie wiem, prawie cały dzień spędziła u siebie. Zeszła tylko na obiad i nie odezwała się do mnie ani słowem, tylko patrzyła z wyrzutem, jakbym ją skrzywdziła. Właściwie powinnam ją przeprosić, bo okropnie ją wystraszyłam, ale nie mam na to ochoty, bo wcale tego nie żałuję.

- I co zamierzasz?

- To samo co przedtem: odnaleźć synka.

- Coś jeszcze?

- Tak. Szukam jakiegoś sposobu, żeby pozbyć się z Neptune's Gate Jewel-Anne i jej rodzeństwa.

- A personel?

- Jeszcze nie wiem - odparła. Dokończyła swoją whisky i wstała.

- Czyli zostaniecie sami z Wyattem? - podsumował i odprowadził ją do drzwi. - Małżeńska sielanka.

- Byłeś kiedyś żonaty, prawda?

- Krótko. Już ci mówiłem.

- Więc domyślasz się, że czasami o sielance nie ma mowy. - Przypomniała sobie, że byli z Wyattem w separacji, że przez pewien czas mieszkał w Anchorville. Ale kiedy wróciła ze szpitala, był już tutaj, tyle że sypiał w innym pokoju. - Moje małżeństwo od dawna jest fikcją. Niestety, uświadomiłam to sobie jako jedna z ostatnich.

Zanim zdążył coś powiedzieć, wyszła z mieszkanka na chłodną listopadową noc. Księżyc skrył się za chmurami i padał ulewny deszcz. W pokoju Jewel-Anne paliło się światło i Ava uznała, że powinna porozmawiać z kuzynką. Była pewna, że kluczem do odnalezienia Noaha jest jego ojciec, i musiała się dowiedzieć, kto nim jest.

A tylko Jewel-Anne знаła odpowiedź na to pytanie.

Zachowaj spokój, powtarzała sobie. Niech myśli, że jest górą. Odwołaj się do jej próżności. Jeśli uzna, że jesteś zbyt głupia, aby sama coś zrozumieć, zacznij się z tobą drażnić, rzucać ochłapy, strzępy informacji, bo dzięki temu poczuje się mądrzejsza. Pamiętaj, bez względu na wszystko nie posuwaj się do przemocy. Drażnij się z nią, tak jak ona z tobą.

Weszła tylnymi drzwiami do ciemnej kuchni. W panującej tu ciszy słychać było tylko szum lodówki i kapiący kran. Zatrzymała się przy nim, dokręciła i wyszła do holu. Od strony apartamentu Jewel-Anne dobiegały stłumione dźwięki muzyki - oczywiście Elvis, *Can't Help Falling in Love*.

Im bliżej była jej pokoju, tym głośniejsza stawała się muzyka. Zaniepokoiła się. Od kiedy Jewel-Anne słucha Elvisa na cały regulator? Zwłaszcza w nocy. Zazwyczaj miała przecież słuchawki w uszach.

Dziwne.

Z drugiej strony, co nie jest dziwne, jeśli chodzi o Jewel-Anne? Zapukała do drzwi. Żadnej reakcji.

Może kuzynka nie słyszała jej przez głośną muzykę.

- Jewel-Anne? Mogę wejść? - Zapukała jeszcze raz, mocniej. Znowu żadnej odpowiedzi.

Nacisnęła klamkę i znalazła się w królestwie kuzynki, pełnym koronek, falbanek i lalek.

- Jewel?

Kuzynki nie było w łóżku ani za biurkiem. Monitor świecił w ciemności, z głośników komputerowych, do których podłączono iPod, płynął głos Elvisa. Pusty wózek inwalidzki stał koło garderoby.

Ava poczuła pierwszy dreszcz strachu.

- Jewel-Anne? - Wyłączyła iPod i zapadła cisza. - Nic ci nie jest? - Zapaliła światło w garderobie, na tyle przestronnej i tak urządzonej, że osoba na wózku mogła się tu swobodnie poruszać.

Pusto.

Została tylko łazienka. Ava zapukała do drzwi.

- Jewel? To ja, Ava. Chciałam cię przeprosić. Przygotowana, że lada chwila usłyszysz pogardliwe: idź sobie, czekała pod drzwiami.

I nic.

Chociaż wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

- Słuchaj, nie chcę ci przeszkadzać, chciałam tylko... - głos uwiązał jej w gardle.

Jewel-Anne, w ubraniu i czarnej peruce, leżała w wannie. Miała podcięte gardło, a z głębokiej rany w kształcie uśmiechu sączyła się krew. Obok niej leżały dwie lalki, z plastikowymi głowami odchylonymi do tyłu i podciętymi gardłami umazanymi jakąś jaskrawoczerwoną substancją.

Obie miały proste czarne włosy.

Krzyk Avy przeciął nocną ciszę. Była przerażona i drżała na całym ciele, ale zmusiła się, by poszukać pulsu u kuzynki, choć oczywiście wiedziała, że to bezcelowe; ciało było już zimne.

- O Boże, Boże, Boże... - Wycofała się z łazienki, potykając się po drodze o wózek inwalidzki. - Pomocy! Niech ktoś wezwie pogotowie! Policję! - krzyknęła, zanim zdała sobie sprawę, że sama ma telefon w kieszeni swetra.

Wybrała numer alarmowy i już po pierwszym sygnale usłyszała głos dyspozytorki:

- Witam, jak mogę...

- Pomocy! - wykrzyknęła, nie dając kobiecie dokończyć zdania. -Doszło do morderstwa! Na wyspie Church!

- Czy może się pani przedstawić?

- Nazywam się Ava Garrison. Proszę mi pomóc. Zamordowano moją kuzynkę, Jewel-Anne Church! O Boże, błagam, proszę przysłać kogoś na wyspę Church! - Podała adres.

W holu rozległy się kroki Demetrii. Weszła do pokoju.

- Co się stało? - Spojrzała na Avę, wbiegła do łazienki i zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć.

Obudziła cały dom. Ava, ciągle w szoku, ciężko oparła się o ścianę. Po chwili do pokoju wpadł Wyatt w samych spodniach od piżamy. Zajrzał do łazienki, cofnął się i zapytał nieswoim głosem:

- Jezus, Maria, Avo, coś ty zrobiła?

Zgłoszenie przyszło o godzinie dwunastej pięćdziesiąt siedem, jeśli wierzyć wyświetlaczowi jego zegara przy łóżku. Snyder właśnie śnił o dawnych dobrych czasach, gdy był gwiazdą szkolnej drużyny siatkówki, gdy obudził go ostry dźwięk telefonu. Dzwonił szeryf Biggs z informacją, że na wyspie Church prawdopodobnie doszło do zabójstwa. Ofiara: Jewel-Anne Church, biologiczna matka zaginionego Noaha, kochanka Lestera Reece'a, kaleka mieszkająca w Neptune's Gate. Dwoje funkcjonariuszy już zabezpieczało miejsce zbrodni.

Zadzwoił po Lyons, która zjawiała się w ciągu niespełna kwadransa. Nawet wyciągnięta z łóżka w środku nocy była świeża i rześka jak poranek. Włosy związała w kucyk, miała na sobie dżinsy, kozaki i grubą kurtkę, a w ręku trzymała niewielką torbę, w której, jak wiedział, nosiła tablet.

- Wyobrażasz to sobie? - zapytała z błyskiem w oczach, gdy jechali na nabrzeże, skąd policyjną motorówką mieli przeprowić się na wyspę. Lało jak z cebra, wycieraczki pracowały w zdwojonym tempie. - Biggs ściąga psy i chce rano przeczesać całą wyspę.

- Co?
- Dba o własny tyłek. Zbyt wiele osób twierdzi, że widziało Reece'a, aby mógł to zignorować.
- Do ciebie też dzwonił?
- Tak. Bardzo mu zależy na rozwiązaniu tej sprawy.
- I powiedziałaś mu, że Reece to biologiczny ojciec zaginionego dzieciaka?
- Cóż, powiedziałam, że to... możliwe... a konkretnie użyłam słowa: prawdopodobne. - Majstrowała przy desce rozdzielczej, usiłując włączyć ogrzewanie w jego starym dodge'u.
- Skąd wiedział o morderstwie? - zastanawiał się Snyder. - Przecież dyspozytorka zazwyczaj nie wydzwaniania do szeryfa.
- Zawiadomiła go mieszkanka wyspy, była bratowa.
- Akurat kiedy dojeżdżali do nabrzeża, włączyło się ogrzewanie. Łódź już czekała, umundurowany funkcjonariusz stał za sterami.
- Kucharka - przypomniał sobie Snyder.
- Tak. Powiedziała też, że wczoraj w nocy doszło do strasznej awantury między Jewel-Anne Church i Avą Garrison i Ava omal nie zabiła kuzynki. Chciała ją wypchnąć za barierkę na piętrze.
- A dzisiejsza ofiara to właśnie Jewel-Anne Church? Lyons skinęła głową.
- Otóż to.
- Czyli mamy pierwszą podejrzaną - stwierdził Snyder.
- Niby tak... tylko że to nigdy nie jest takie proste.
- Fakt. - Zaparkował, wysiadł i od razu poczuł lodowaty wiatr od Pacyfiku.
- No dobra, chodźmy.
- Do roboty. - Lyons naciągnęła kaptur na głowę, wzięła z tylnego siedzenia torbę z tabletem i ruszyła żwawym krokiem w stronę nabrzeża.
- Snyder podbiegł, żeby ją dogonić, i wtedy odezwała się jego komórka. Dzwoniono z posterunku z informacją, że zawiadomiono rodzinę Evelyn McPherson o zamordowaniu lekarki.
- Zastanawiał się, czy o zbrodni wiedzą już mieszkańcy wyspy Church. Pewnie nie, uznał i pomyślał, że to nawet dobrze, bo będą mogli zaobserwować ich reakcje. Lekarka, jako prywatna terapeutka Avy Garrison, była częstym gościem na wyspie.
- Szybciej, Snyder! - Lyons już weszła na pokład. Schował komórkę do kieszeni i ruszył za nią.
- Zawiadomili już rodzinę McPherson - powiedział.

- Zobaczymy, co na to powiedzą wyspiarze - odparła, jakby czytała mu w myślach.

Po półgodzinnej przeprawie przez wzburzone morze, wśród fal zwieńczonych białymi bałwanami, dobili do pomostu przy rezydencji Churchów. Wiał lodowaty wiatr i padał ulewny deszcz, gdy w towarzystwie umundurowanego funkcjonariusza szli do frontowych drzwi Neptune's Gate.

- Zupełnie jak w horrorze - mruknęła Lyons, patrząc na potężne gmaszysko wzniesione na początku ubiegłego stulecia. - Wielki, ponury dom, środek nocy, dziwna rodzina odludków i trup. Wszystko pasuje.

Przy drzwiach stała policjantka, która zapisywała każdego, kto wchodził i wychodził. Wyjaśniła, że jej partner poprosił wszystkich domowników, aby zebrali się w salonie. Ofiara leży w swoim apartamencie na górze, nikt jej nie dotykał, a znalazła ją Ava Garrison, właścicielka posiadłości.

Która podobno już wczoraj chciała zabić kuzynkę, pomyślał Snyder.

Kiedy weszli we troje do ogromnego holu, powiódł wzrokiem w górę schodów prowadzących na piętro. Gdyby Ava Garrison wyrzuciła kuzynkę za poręcz u ich szczytu, upadek prawdopodobnie byłby śmiertelny.

- Wszyscy czekają w salonie - powiedziała policjantka. - Nie rozmawialiśmy jeszcze z nikim indywidualnie, ale wiemy, że Ava Garrison była późnym wieczorem u stajennego, który zajmuje mieszkanie nad stajnią. - Zajrzała do notatek i mówiła dalej: - Zobaczyła światło w oknie ofiary i poszła z nią porozmawiać. Dochodziła północ, słyszała bicie zegara. Zapukała do drzwi, a gdy ofiara nie zareagowała, weszła do środka i znalazła ją w wannie. Martwą. - Wytłumaczyła im, gdzie jest apartament Jewel-Anne Church.

- Chodźmy się rozejrzeć. - Lyons już była na schodach, Snyder szedł za nią.

Drzwi pokoju Jewel-Anne były otwarte. Znaleźli się w disneyowskiej wersji sypialni Śpiącej Królowej: róż, lawenda, łoże z baldachimem, białe dziewczęce mebelki.

- Kiedy miałam dziewięć lat, marzyłam o takim pokoju - wyznała Lyons, zanim otworzyła drzwi łazienki i ich oczom ukazała się istna jątka.

Ofiara leżała w wannie, w ubraniu, w towarzystwie dwóch lalek z ruchomymi oczami. Wszystkim trzem poderżnięto gardła, tyle że lalki miały szyje pomalowane czymś, co imitowało krew.

- Lakier do paznokci - stwierdziła Lyons, przyjrzawszy się czerwonej substancji. - Dziwne. - Pstrykała zdjęcia telefonem komórkowym.

- Zwróć uwagę na perukę - powiedział Snyder. Odsunęła komórkę od oczu i zerknęła na niego przez ramię.

- Myślisz, że to ta? Uśmiechnął się ponuro.

- Założę się o moją odznakę.

Rozdział 42

Znalezienie zamordowanej Jewel-Anne było dla Avy potwornym szokiem i bała się, że jeśli nie uspokoi skołatanych nerwów, naprawdę oszaleje. Tymczasem musiała tkwić w salonie z pozostałymi domownikami i czekać na przybycie śledczych, którzy zamierzali wszystkich przesłuchać. Co prawda w grupie oczekujących znalazł się Dern, ale trzymała się od niego z daleka. Nie chciała, żeby ktokolwiek zorientował się, co do niego czuje. Była zbyt poruszona, aby ukryć prawdziwe emocje.

Kto zabił Jewel-Anne? - to pytanie nie dawało jej spokoju. Czy to możliwe, że morderca jest w tym pokoju?

Wzdrygnęła się, gdy przypomniała sobie kuzynkę, jej zwłoki w zakrwawionej wannie i te lalki... Boże, co za potworność!

Chociaż nikt tego nie powiedział, była pewna, że wszyscy właśnie ją podejrzewają o tę ohydną zbrodnię. Widziała to w ich oczach.

Nie mogła wyjść i uciec przed oskarżycielskimi spojrzeniami Jacoba i Demetrii. Stała przy oknie, wpatrzona w ciemność, ale i tak czuła na sobie ich wzrok.

A przecież ktoś z zebranych znał prawdę.

Wiedział, że ona jest niewinna, bo sam miał na rękach krew Jewel-Anne.

Ktoś z nich był mordercą. Ale kto?

Ulewny deszcz siekł zygzakiem szyby, a porywisty wiatr targał bezlistnymi gałęziami drzew. Ona jednak wolałaby być teraz tam, na deszczu i wietrze, niż w jasnym, ciepłym salonie.

Zawsze bardzo lubiła ten pokój, przytulny zakątek, w którym można było poczytać, obejrzeć film, pogadać. Często przychodziła tu z synkiem. Siadali na miękkiej kanapie przy kominku, Noah wpatrywał

się w tańczące płomienie, a ona czytała mu ulubione książeczki. Zwykle towarzyszyła im Jewel-Anne, ze swoimi lalkami, słuchawkami w uszach i robótkami ręcznymi.

A teraz schronienie stało się więzieniem. Wszyscy siedzieli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Każdego nękały własne koszmary. Jacob i Demetria, najbliżej związani z Jewel-Anne, byli ciągle w szoku. Khloe, Simon i Virginia kulili się w kącie i szeptali cicho, Ian i Trent stali koło kominka, Ian nerwowo bawił się kluczami, których brzęk mieszał się z trzaskaniem bierwion na palenisku.

Przy drzwiach, z rękami skrzyżowanymi na piersi, stał Wyatt. Sztywno wyprostowany, poszarzały na twarzy, zaciskał usta w wyrazie niemego sprzeciwu. Ostentacyjnie starał się oddalić od żony. Dzielił ich nie tylko pokój, ale także bezmiar złych emocji i niewypowiedzianych zarzutów. Już nie udawał troskliwego męża, jakby dotarło do niego, że Ava, mordując Jewel-Anne, zadała ostateczny cios ich umierającemu małżeństwu, a on dopiero teraz godził się z tym faktem.

Ava nie zwracała na niego uwagi. Wpatrywała się w okno, widząc swoje niewyraźne odbicie na tle atramentowej czerni. Niech Wyatt myśli sobie, co chce.

Dern także stał przy oknie. Oparty o framugę patrzył w dal i pewnie również wolałby znaleźć się jak najdalej od tego pokoju.

Ani razu nie spojrzał jej w oczy.

Nie było Gracieli, bo dopiero rankiem miała przyjść do pracy. Policjanci zeszli na parter i weszli do saloniku. Ava starała się opanować. Przyglądała się im z niepokojem. Zaczął Snyder.

- Chcemy porozmawiać z każdym z państwa osobno. Jeden z funkcjonariuszy zostanie tutaj z czekającymi na swoją kolej. Ja poprowadzę przesłuchania w gabinecie, a detektyw Lyons w jadalni. - W zadumie pocierał kark dłonią, jakby to nie był koniec złych wieści.

Ian przestał bawić się kluczami. Zapadła cisza. Ava poczuła ucisk w żołądku. Zachowanie detektywa sprawiło, że cała zeszywniała. Co jeszcze, na Boga?

- Zanim zaczniemy, muszę wszystkich poinformować, że doszło do kolejnego morderstwa, przy czym zbrodnie te wykazują duże podobieństwo.

- Co? - Trent podniósł głowę. - Ktoś jeszcze? Oprócz Jewel-Anne?

- I Cheryl Reynolds? - dorzucił Wyatt.

- Tak - potwierdził Snyder. Ava znieruchomiała.

Boże, proszę, niech to nie będzie ktoś mi bliski...

- Istnieje podejrzenie, że jest to kolejna ofiara tego samego zabójcy - powiedział detektyw i zaczerpnął tchu. Zebrani wpatrywali się w niego niespokojnie. - Zamordowano Evelyn McPherson.

- Co?! - krzyknęła Ava. Uniosła rękę do ust, kolana ugięły się pod nią. Doktor McPherson? Kobieta, którą podejrzewała o romans ze swoim mężem? - To na pewno jakaś pomyłka! - Pokręciła głową. Przywołała w myślach twarz Evelyn, jej smutny uśmiech, mądre oczy...

- To niemożliwe! - Wyatt był blady jak ściana. - Evelyn jest cała i zdrowa! Trent podszedł do Snydera.

- Nie mieści mi się w głowie, że ktoś mógłby zrobić coś takiego Eve... - nie dokończył, bo powaga na twarzach obojga detektywów nie pozostawiała miejsca na żadne wątpliwości. - Jezu, dlaczego?

Ta wiadomość wywarła ogromne wrażenie na zebranych. Nikt nie potrafił się z tym pogodzić. Zabito dwie osoby, które spędzały tak wiele czasu w tym domu. To bez sensu...

- Kiedy? - szepnęła Ava. - Gdzie?

- W domu. Wczoraj, zapewne wieczorem, czekamy na wyniki sekcji.

- W wiadomościach nie było o tym mowy! - Wyatt wciąż nie wierzył.

- Ciało znaleziono dopiero dzisiaj. Jacob zmrużył oczy.

- Co się dzieje, do cholery?

- Właśnie po to tu jesteśmy, żeby wyjaśnić tę zagadkę.

- No to bierzcie się do roboty! - Jacob sięgnął po marynarkę, jakby chciał wyjść.

Lyons podniosła rękę.

- Proszę się opanować! - rozkazała. - Zdaję sobie sprawę, że to dla państwa szok, ale musicie zachować spokój.

- Niby jak? - zachnął się Jacob. - Przecież przed chwilą powiedzieliście nam, że nie żyją dwie znane nam osoby! Moja siostra i ta lekarka! Zachować spokój, dobre sobie!

Na Lyons jego wybuch nie zrobił wrażenia.

- Możemy się udać na posterunek, więc radzę wziąć się w garść. - Patrzyła na Jacoba, ale mówiła do wszystkich zebranych.

Nikt się nie sprzeciwił, a skarcony Jacob opadł na kanapę.

- Pieprzone świry - mruknął pod nosem.

Tym razem Lyons nie zareagowała. Snyder przejął pałeczkę.

- Proszę posłuchać - zaczął. - Bardzo mi przykro, zdaję sobie sprawę, że wszyscy państwo ją znaliście, więc nie jest wam łatwo. Uważam jednak, że w obliczu tego, co spotkało Jewel-Anne, powinniście poznać szczegóły. - Odchrząknął, odczekał chwilę i podjął przerwany wątek: - Znaleźliśmy ciało doktor McPherson dzisiaj wieczorem, ale zakładamy, że nie żyła od mniej więcej dwudziestu czterech godzin. Nadal czekamy na wyniki sekcji i dokładny czas zgonu. Poinformowaliśmy jej krewnych i teraz możemy zawiadomić opinię publiczną. Dziennikarze zapewne zrobią z tego aferę, już wydzwanają na posterunek.

- Tutaj będzie to samo. - Ian był przerażony. - Zewsząd zlecą się pismaki.

- Obawiam się, że tak - powiedział Snyder, a Lyons przytaknęła z powagą.

- Pięknie - burknął Wyatt półgłosem.

- To straszne. - Khloe wzdrygnęła się. - Najpierw Cheryl Reynolds, potem Evelyn McPherson, a teraz... teraz Jewel-Anne.

- Musimy przez to przejść. - Simon objął ją ramieniem, jakby chciał jej dodać otuchy, ale jego gest wydał się sztuczny, jakby na pokaz.

Ava nie mogła uwolnić się od podejrzeń, czy przypadkiem Simon, zawsze taki tajemniczy, nie miał czegoś wspólnego z zabójstwami. Co za idiotyczny pomysł. Niby dlaczego miałyby to zrobić?

- Podczas rozmów postaramy się dowiedzieć, co państwo wiecie o zabójstwie Jewel-Anne, a także kiedy ostatnio kontaktowaliście się z doktor McPherson.

Avie zrobiło się zimno, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów. Trzy zabójstwa. Trzy kobiety.

Policja uważa, że coś łączy te sprawy.

A raczej ktoś - ona. Znała je wszystkie! Pewnie to policjanci mają na myśli!

Z trudem przełknęła ślinę. Krew pulsowała jej w skroniach, przed oczami miała Jewel-Anne. Wyobrażała sobie, jak zginęły Cheryl i Evelyn. Czy też miały peruki? Czy też umarły w otoczeniu tego, co kochały najbardziej? W przypadku Cheryl były to koty, Jewel-Anne miała swoje lalki, a Evelyn? Ava nie miała pojęcia, co było najcenniejsze dla lekarki, czy w ogóle było coś takiego, ale powtarzała sobie, że musi przestać o tym myśleć. To fakt, znała wszystkie trzy, a one znały ją i to pewnie lepiej niż pozostali zebrani w tym pokoju. Cheryl - po seansach hipnozy i godzinach zwierzeń, Evelyn - po sesjach terapii, Jewel-Anne - dzięki zmysłowi obserwacji i mieszkaniu pod jednym dachem.

Znowu zbierało się jej na mdłości.

Z ciężkim sercem zdała sobie sprawę, że jest nie tylko ogniwem łączącym ofiary, ale też jedną z głównych podejrzanych. Powszechnie wiadomo, że miała problemy natury psychicznej, a nawet targnęła się na własne życie - niewykluczone więc, że uważano ją za zdolną do morderstwa. Oczyma wyobraźni już widziała piętrzące się dowody jej winy. Chyba nie myślą, że...

- Pani Garrison? - głos Snydera przywrócił ją do rzeczywistości.

Zadrżała. Nie była gotowa na rozmowę z policjantami, chociaż wiedziała, że jest to nieuniknione. Musiała z nimi porozmawiać, jakkolwiek trudne miałyby się to okazać. Czując na sobie spojrzenia wszystkich zebranych, zmusiła się, by pójść za Snyderem do gabinetu. Szła jak na ścięcie, bo wiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Dern obserwował przedstawienie spod okna w kącie pokoju i postanowił trzymać język za zębami, przynajmniej na razie. Miał sporo do powiedzenia, uznał jednak, że lepiej podzielić się swoją wiedzą bezpośrednio z policjantami, na osobności.

Mąż Avy nie zamierzał biernie czekać na rozwój wypadków.

- Jestem prawnikiem - oznajmił zaniepokojony faktem, że zabierają Avę na przesłuchanie do gabinetu. Policjanci wymienili znaczące spojrzenia. - Nie życzę sobie, żeby moją żonę przesłuchiowano bez obecności adwokata.

Dern ani przez chwilę nie dał się nabrać na jego troskę. Według niego Garrison bez wahania rzuciłby Avę lwom na pożarcie, gdyby tym sposobem mógł się wzbogacić. Wyatt kojarzył mu się z oślizłym wężem. Szczerze go nie lubił, nie ufał mu i nie pojmował, dlaczego Ava za niego wyszła.

- Avo, nie musisz z nimi rozmawiać - zapewnił Wyatt łagodnie, jakby mu na niej zależało.

Snyder posłał Wyattowi pogardliwe spojrzenie, prowadząc Avę ku drzwiom.

- Chce pan iść z nami? - spytał, wskazując głową gabinet. - Jeśli żona nie ma nic przeciwko temu, zapraszam.

- Poradzę sobie - odparła Ava.

- Na pewno? - Wyatt obszedł kanapę, na której siedział w milczeniu naburmuszony Jacob.

Ava najwyraźniej uznała, że obecność męża podczas rozmowy raczej jej nie pomoże.

- Sama dam sobie radę - stwierdziła stanowczo.

- A zatem załatwione - mruknął Snyder. - Na razie tylko spisujemy zeznania. Nikt nikogo o nic nie oskarża.

- Ale ona chorowała — zauważył Wyatt i zwrócił się do żony: — Skarbie, przecież niedawno wyszłaś ze szpitala.

Odsunęła się od niego.

- Nie obawiaj się, nie mam nic do ukrycia.

- Ale...

- Chodźmy już - powiedziała do Snydera, tym samym kończąc rozmowę z mężem.

- Załamie się! - Wyatt nerwowo przechadzał się po pokoju.

- Więcej wiary - mruknął Dern. Nie miał wątpliwości, że Ava była twardsza, niż się im wszystkim wydawało.

- Jest krucha i delikatna, załamie się, ot, tak! - Wyatt pstryknął palcami.

Dern pokręcił głową.

- Myślę, że powinien pan darzyć ją większym zaufaniem.

- Nie płacę ci za myślenie - warknął Wyatt, ale ugryzł się w język, gdy jego słowa rozeszły się echem po pokoju. Nagle poczuł na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. - Przepraszam, jestem trochę zdenerwowany.

Oczywiście, to tylko nerwy, wcale nie chodzi o to, że jesteś egocentrycznym dupkiem, ironizował Dem w myślach, ale nie odezwał się więcej. Niepotrzebny mu konflikt z Garrisonem, nie powinien też podsuwać policji zbyt wielu pomysłów, zwłaszcza że i tak miał w zanadrzu kilka rewelacji.

- A więc spędziła pani u Austina Derna mniej więcej godzinę, a następnie udała się pani do kuzynki, żeby z nią porozmawiać, dowiedzieć się, kto jest ojcem dziecka, które pani adoptowała, choć nie pamięta pani tego faktu? - zapytał Snyder. Siedział w dyrektorskim

fotelu Wyatta i zapisywał coś w niewielkim notesie, chociaż na biurku leżał dyktafon.

Ava zajęła miejsce po drugiej stronie biurka, na ulubionym fotelu babki.

- Tak. - Opowiedziała wszystko, co pamiętała z poprzedniego wieczora. - Przyznaję, byłam wściekła i za wszelką cenę chciałam się dowiedzieć, kto jest biologicznym ojcem mojego synka. Myślałam, że Jewel-Anne mnie okłamuje, że wie, gdzie jest Noah, więc poszłam do niej. Pukałam i wołałam, ale nie odzywała się, więc weszłam do środka i... - Surrealistyczny obraz Jewel-Anne w wannie z lalkami, całej we krwi, powrócił z pełną siłą. - I ją znalazłam. - Wzdrygnęła się, bo miała świadomość, że brzmiało to mało przekonująco. Była zła na kuzynkę, którą zaledwie kilkanaście godzin wcześniej chciała zrzucić ze schodów.

Snyder notował coś pilnie, ale nagle przerwał i spojrzął na nią.

- Nie wie pani, kto jest biologicznym ojcem Noaha? - Lekko uniósł brwi.

- Nie - odparła. Przyjrzała mu się uważnie, dostrzegła wystudiowany wyraz jego twarzy i nagle coś ją tknęło. - A pan? - Serce zabiło jej żywiej na myśl, że wie coś o jej synku.

Skinął głową.

- Mamy powody przypuszczać, że pani kuzynka utrzymywała stosunki intymne z jednym z pacjentów Sea Cliff.

- Z jednym z pacjentów... - urwała, bo w jej głowie rodziła się przerażająca myśl.

- Z Lesterem Reece'em.

Jęknęła. Ten morderca miałby być ojcem jej cudownego Noaha?

- Nie, nie, nie... - powtarzała, kręcąc głową. To na pewno jakaś pomyłka, to niemożliwe, żeby seryjny morderca... - Nie! - nie zdawała sobie nawet sprawy, że w panice podniosła głos do krzyku.

- Nie wiedziała pani, że to możliwe? - zapytał Snyder.

- Nie, skądże. - Przypomniała jej się Jewel-Anne i ten jej wszytkowiedzący uśmiezek. - Lester Reece? Nie wierzę.

- Mieszkała w Sea Cliff, jej ojciec był dyrektorem szpitala.

- Wiem o tym! - znowu podniosła głos. Myślała intensywnie. Czy to możliwe? Nie, nie, nie!

- Spędzała sporo czasu z pacjentami, pracowała z nimi jako wolontariuszka, wiedziała pani o tym?

Ava zeszywniała. Tak, pamiętała, jak Jewel-Anne opowiadała o pracy w szpitalu, o różnych pacjentach... Nadal jednak nie mogła, nie chciała uwierzyć w coś takiego. Odchrząknęła, ale i tak z trudem zdołała wydobyć głos ze ściśniętego gardła.

- Stryj Crispin nie dopuściłby do czegoś takiego - powiedziała.

I w tym samym momencie uświadomiła sobie, że Jewel-Anne zawsze była zbuntowana, często nie liczyła się ze zdaniem ojca. Na miłość boską, czy to może być prawda? Bardzo chciała wierzyć, że nie, ale...

- Nigdy nie brała pani tego pod uwagę? - dążył Snyder.

- Nie - wyszeptała w końcu.

Powtarzała sobie, że znieśie wszystko, bo najważniejsze to odnaleźć synka. Za wszelką cenę. Zamknęła oczy, kilka razy odetchnęła głęboko i ponownie uniosła powieki.

- Dlaczego uważacie, że to Reece jest... - urwała, bo słowo „ojciec” nie chciało jej przejść przez gardło.

W milczeniu słuchała opowieści Snydera o związku między Reece'em a Jewel-Anne. Policjanci połączyli wątki, szukali też potwierdzenia gdzie indziej, między innymi u Piper i Crispina, którzy, powiadomieni o tragicznej śmierci córki, już jechali do Neptune's Gate.

Gdy detektyw skończył, Ava musiała przyznać, że jego wersja brzmi całkiem logicznie. Wiecznie zbuntowana Jewel-Anne mogła zakochać się w Reesie, na przekór ojcu i całemu światu. Nigdy nie spotykała się oficjalnie z żadnym mężczyzną a przecież ktoś musiał być ojcem Noaha.

Ava odpowiadała na pytania Snydera najlepiej, jak potrafiła, mimo bólu, który narastał u nasady czaszki i pulsował nieprzyjemnie. Nadal chciała to wszystko wyprzeć, ale zarazem czuła w tej zawierusze przenikliwy powiew prawdy.

- Musicie go znaleźć! - krzyknęła w pewnej chwili, nagle gotowa na konfrontację z potworem. - Musicie!

- Nie wiemy nawet, czy on jeszcze żyje - odparł detektyw spokojnie.

- Na pewno! - upierała się. - Nie rozumie pan! To on porwał Noaha! Wszystko do siebie pasowało. Reece wrócił po syna! Może nawet teraz, w tej chwili, ukrywa Noaha na wyspie!

- Zajmiemy się tym - zapewnił Snyder - ale teraz prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa - przypomniał.

- No właśnie! A może to Lester Reece jest zabójcą? Przecież dawniej też mordował, a skoro uważacie, że przebywa na wyspie...

- Myśli pani, że zabił także Cheryl Reynolds i Evelyn McPherson?

- Ja... nie wiem.
- Znalazła pani ciało Jewel-Anne. Myśli pani, że Lester Reece zawracałby sobie głowę układaniem lalek dokoła niej? Podrzynaniem im gardel? Malowaniem lakierem do paznokci?
- Pokręciła głową, zbity z tropu.
- Sama nie wiem... Może?
- Słyszałem, że znalazła pani inną lalkę - dodał ostrożnie. -W trumnie. Pochowaną przez ofiarę, która w ten sposób chciała się na pani zemścić.
- Wpatrywała się w niego, świadoma, że zaczęła się reakcja łańcuchowa, że w świetle wydarzeń ostatnich dni to ona wydaje się winna. Wstała, pochyliła się nad biurkiem i powiedziała głośno, wyraźnie, żeby jej słowa na pewno do niego dotarły:
- Nie zabiłam Jewel-Anne. Ani nikogo innego. Chcę tylko odzyskać synka, przysięgam na jego życie!

Rozdział 43

W otoczeniu Churchów Dern czuł się jak zwierzę w klatce, ale panował nad emocjami, mimo że kosztowało go to sporo wysiłku.

Zjawili się kolejni policjanci, a wraz z nimi przyplłynął koroner i technicy kryminalistyki. Nad ranem na wyspę zawitał nawet szeryf J.T. Biggs we własnej osobie i w pełnym umundurowaniu, chociaż większość czasu spędzał na dworze, organizując poszukiwania.

Detektywi przesłuchiwali domowników i personel, a technicy zabezpieczali materiał dowodowy. Przesłuchano wszystkich, nawet Graciełę, która pojawiła się na wyspie dopiero wczesnym rankiem i z przerażeniem w oczach weszła do saloniku. O śmierci Jewel-Anne zawiadomiła ją Khloe SMS-em.

Po Wyatcie Garrisonie przyszła kolej na Derna. Wszedł do jadalni. Zaproponowano mu kawę, ale podziękował. Usiadł na wskazanym krześle przy stole, naprzeciwko detektyw Lyons. Pisała coś szybko na tablicy i zupełnie zapomniała o swojej kawie; na jej kubku nie było nawet śladu szminki.

Samo przesłuchanie trwało bardzo krótko.

- Proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co się wczoraj wydarzyło - poprosiła Lyons.

Najwyraźniej policjanci wiedzieli już o kłótni Avy i Jewel-Anne z poprzedniego wieczoru. Nie wiedzieli natomiast, gdzie ukrywa się Lester Reece, a tym bardziej że Austin Dern jest jego przyrodnim bratem. Postanowił wyłożyć wszystkie karty na stół, najpierw w rozmowie z policjantami, potem z Avą. Uważał, że jest jej to winien. Gdy zrelacjonował, co robił poprzedniego dnia, zagaił ostrożnie:

- Jest jeszcze jedna sprawa.

- Tak? A jaka? - spytała Lyons, nie przestając pisać na tablecie.

- Lester Reece to mój przyrodni brat. Gwałtownie uniosła wzrok, jej dłonie znieruchomiały.

- Naprawdę? Skinął głową.

Zmrużyła oczy, jakby podejrzewała, że chce ją oszukać.

- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek słyszała albo gdzieś przeczytała, że Reece miał rodzeństwo.

- Więc nie czytała pani wszystkiego. - Dern był przygotowany na taką reakcję; wiedział, że nikt mu nie uwierzy, ale miał to w nosie, chciał po prostu w końcu to z siebie wyrzucić. - Mówiąc krótko: mamy z Reece'em tę samą matkę.

Lyons zerknęła na ekran i Pada. Pewnie chciała od razu zweryfikować to, co od niego usłyszała.

- Moja matka nazywa się Reba Melinda Corliss Reece Dern McDaniels - ciągnął Dern. - Jej małżeństwo z Reece'em seniorem trwało bardzo krótko. Obecnie przebywa w Teksasie. Często zmieniała miejsce zamieszkania: El Paso, Houston, kilka mniejszych miast. Teraz mieszka w małym miasteczku o nazwie Bad Luck. Prorocze.

- Sporo nazwisk- zauważyła Lyons, unosząc wzrok znad małego ekranu. - Pańska matka to seryjna żona?

- Można tak powiedzieć. - Starał się nie dopuszczać do siebie urazy, chociaż Reba zawsze była jego słabym punktem.

Lyons zmarszczyła brwi, Dern niemal widział trybiki poruszające się w jej mózgu. Machinalnie pstrykała długopisem.

- Nie pojmuję, jakim cudem nam to umknęło.

- Ja też nie. Ale teraz zamierzam powiedzieć wam, jak wygląda sytuacja.

- Niech pan mówi - poprosiła i usiadła wygodniej.

- Dobra wiadomość jest taka - zaczął - że prawdopodobnie mogę was doprowadzić do Reece'a.

- Czyżby? - Sceptycyzm powrócił.

- Tak.

Uśmiech Lyons zdradzał, że nadal mu nie wierzy, ale przynajmniej przestała się bawić tym cholernym długopisem.

- No dobra, Dern, łykam przynętę. Jaka jest zła wiadomość?

- Że jemu się to nie spodoba.

- Może powinienem był powiedzieć ci wcześniej - rzekł Dern, który właśnie wyznał Avie, że jest przyrodnim bratem Lestera Reece'a.

- Może? - zachnęła się. - Na pewno!

Nie wierzyła własnym uszom, ale Dern był śmiertelnie poważny. Wyznał jej prawdę w kuchni, wkrótce po rozmowie z policjantami. Najpierw długo rozmawiał z samą Lyons, a gdy dołączył do nich Snyder, rozmowa przeciągnęła się o kolejną godzinę. Ava domyślała się, że powiedział im coś ważnego, jednak ani przez chwilę nie przypuszczała, że Dern jest przyrodnim bratem Reece'a. Dobry Boże, czy wszyscy dokoła są spokrewnieni z tym psychopatą? Najpierw Noah, teraz Dern...

Nie wszyscy - tylko ci, na których jej zależy!

Widziała, jak Lyons woła Snydera, który zniknął na dłuższy czas. Potem przeprowadzili kilkanaście rozmów telefonicznych; na zmianę, żeby jedno z nich cały czas wysłuchiwało zeznań. Nawet J.T. Biggs przyszedł ze stajni, gdzie szykował ekipę poszukiwawczą, i na dobre pół godziny zamknął się w jadalni z policjantami.

Najwyraźniej to, co powiedział Dern, zrobiło na nich ogromne wrażenie.

Zaintrygowało ją i zastanawiała się, jaką informację mógł przekazać policjantom. Może powiedział o jej zamiarze pozbycia się Jewel-Anne z wyspy? Nie, to nie wywołałoby aż takiego zainteresowania śledczych. Musiało chodzić o coś innego, ważniejszego.

Wraz z innymi domownikami widziała, jak do Snydera i Lyons dołącza Biggs. Nikt nie miał pojęcia, co go do tego skłoniło.

- Co to ma, kurwa, znaczyć? - zastanawiał się Jacob. W tym momencie rozdzwoniła się jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz. - No, bomba. Rodzice właśnie wylądowali w Seattle. Coraz lepiej.

Ilan westchnął ciężko i wyszedł na papierosa, a Trent, który wyglądał, jakby w ciągu pięciu godzin postarzał się o pięć lat, poszedł do kuchni, gdzie Khloe, Virginia i Simon czekali na rozmowę z policją.

Ava została sama w salonie i cały czas próbowała odgadnąć, co takiego powiedział Dern detektyw Lyons. Teraz już wiedziała.

Ale nadal trudno jej było przyjąć to do wiadomości.

- Nie wierzę ci - powiedziała, kręcąc głową.

- Dlaczego miałbym kłamać? - odparł Dern.

- Bóg jeden wie.

- Przysięgam, że to prawda.

- Możesz sobie przysięgać do końca świata - burknęła. Była zmęczona i rozdrażniona. Wciąż nie otrząsnęła się z szoku po tym, jak znalazła Jewel-Anne zamordowaną w okrutny sposób, potem dowiedziała się, że Lester Reece jest ojcem Noaha, a teraz jeszcze to...

- Ava - Dern wyciągnął do niej rękę, ale się odsunęła. - Mówię prawdę i wierz mi, że podoba mi się jeszcze mniej niż tobie.

W głębi duszy czuła, że mówi prawdę, miała też inny powód, by mu uwierzyć. Przecież od początku jej się wydawało, że skądś go zna. A gdy któregoś wieczoru zobaczyła go na schodach przy stajni, w pierwszej chwili pomyślała, że to Reece.

Kiedy opowiadał jej w kuchni, że mają z Reece'em tę samą matkę i o jej licznych związkach, nie była w stanie tego wszystkiego ogarnąć, nie po kilku bezsennych nocach i strasznej śmierci Jewel-Anne i Evelyn McPherson. Słuchała, ale cały czas zastanawiała się, co jeszcze przed nią zataił. Dlaczego mu zaufała? Dlaczego wmówiła sobie, że się w nim zakochała?

Bo jest idiotką. Naiwną romantyczką. Dlatego.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, że Lester Reece to twój brat? - zapytała, urażona i zła. - Dlaczego utrzymywałeś mnie w przekonaniu, że jesteś kimś innym?

- To nie był właściwy moment.

- Doprawdy? - mruknęła gniewnie. - A kiedy miał nadejść ten właściwy?

- Nie wiem.

- Może nigdy?

- Najwyraźniej nie.

- Zostawmy to na razie - powiedziała. - Chcę się upewnić, czy dobrze zrozumiałam, więc proszę, popraw mnie, jeśli coś pomylę. Skoro Reece jest twoim przyrodnim bratem, to znaczy że ty jesteś biologicznym stryjem Noaha?

- Nie mogę tego kategorycznie stwierdzić. Nie mamy przecież pewności, że Noah to jego syn. - Dern, oparty o kontuar, machinalnie obrysowywał palcem wzór na wiekowym blacie. - Szczerze mówiąc, nie znam Reece'a. Nigdy go nie widziałem i niewiele o nim wiem. Wychował go ojciec, którego też nie widziałem na oczy. Matka nigdy o nim nie mówiła, wołała, żeby nikt nie wiedział, że ich cokolwiek łączy. Uwierz mi, Avo, nie miałem pojęcia, że Lester Reece ma dziecko, nigdy o tym nie słyszałem. Ale to tylko hipoteza policjantów, tak? Prawdę znała tylko Jewel-Anne.

- Ale...

Nie dał jej dokończyć.

- Na razie to tylko spekulacje - stwierdził kategorycznie.

- Jak wszystko. Boże, mam już tego dosyć... tej niewiedzy, wątpliwości... tego wszystkiego!

- Wiem - powiedział miękko.

Odnalazł jej spojrzenie i poczuła, jak coś ściska ją za gardło. Nawet nie próbował jej dotknąć, ale w jego oczach widziała ogromną czułość i szczerą troskę.

W ogólnym chaosie i rozgardiaszu, gdy policjanci zabezpieczali dowody, rozmawiając między sobą i ciągle gdzieś dzwoniąc, usiłowała zrozumieć, co łączy to wszystko - jej życie, zaginięcie Noaha, trzy morderstwa. Nic nie przychodziło jej do głowy. Ale przecież musiał istnieć jakiś związek. Austin Dern jest przyrodnim bratem jednego z najokrutniej szych morderców i być może stryjem jej synka. Czyżby Wyatt zupełnie przypadkiem zatrudnił akurat jego? Niemożliwe.

- Przyjąłeś tę pracę ze względu na Reece'a? - spytała. Zobaczyła, że z kranu znów kapie woda. Z całej siły dokręciła kurek.

- Między innymi. Podejrzywałem, że może ukrywać się na wyspie.

- Jak to? Przecież uciekł z Sea Cliff. Dlaczego miałby tu wracać?

- Może nie miał innego wyjścia. Może uznał, że akurat tutaj policja nie będzie go szukać, skoro po jego ucieczce dokładnie przeczesano całą wyspę. A może wrócił ze względu na Jewel-Anne albo kogoś innego. Kto to wie? W każdym razie wyspa jest odcięta od świata. Są tu gęste lasy, w których można się ukryć, i zaledwie garstka mieszkańców. Miałby względną swobodę bez obawy, że ktoś go zobaczy.

- Ale byłby tu więźniem.

- On i tak jest więźniem we własnej skórze.

- Tak, ale tutaj każdy go rozpozna. W wielkim mieście mógłby rozplątać się bez śladu, na przykład w Bostonie czy w Miami, gdzie pewnie nikt o nim nie słyszał.

Dern kiwał głową, jakby już wcześniej się nad tym zastanawiał.

- Może zmienił wygląd. Minęło przecież sporo czasu. Ale masz rację, zaintrygowało mnie, że tyle osób go widziało, no i lokalne plotki. Byłem ciekaw, czy to tylko pogłoski, czy też Lester naprawdę tu jest. Postanowiłem to sprawdzić. I między innymi dlatego przyjąłem tę pracę.

- Przecież wyspę przeszukano już dawniej.

- No właśnie, dawniej. Doszedłem do wniosku, że na jakiś czas się stąd wyniósł, a potem z jakiegoś powodu wrócił. Czuł się bezpiecznie właśnie tu, gdzie wszystko się zaczęło, w Sea Cliff.

- W Sea Cliff? - zdziwiła się. - To chyba ostatnie miejsce na ziemi, w którym chciałby się znaleźć.

Ava mówiła ściszym głosem, bo koło drzwi do kuchni cały czas kręciła się Virginia, nie wiadomo, czy po to, żeby podsłuchiwać, czy też żeby mieć oko na część domu, którą uważała za swoje królestwo.

- Tak pomyśli każdy normalny człowiek - odparł Dern. - Może Lester uznał, że obróci to na swoją korzyść.

- Trochę naciągane - stwierdziła Ava.

- Niekoniecznie. Trochę się rozejrzałem na terenie szpitala i w samym budynku i znalazłem ślady czyjejs obecności. Niestety nie spenetrowałem wszystkich zakamarków, bo niektóre miejsca są tak dobrze zabezpieczone, że nie zdołałem się włamać. - Zmarszczył brwi. - Na razie.

Kręciło jej się w głowie od nadmiaru niedobrych wieści. Jeszcze nie pogodziła się z faktem, że Jewel-Anne i doktor McPherson zginęły z ręki tego samego szaleńca, który zabił Cheryl Reynolds, a teraz Dern oznajmia, że jest bratem zbiegłego mordercy i być może sprawcy tych trzech ostatnich zbrodni.

- Nie ogarniam tego - powiedziała. Chciała odejść, ale złapał ją za łokieć.

- Nie masz wyboru, Avo. — Odwrócił ją do siebie i patrzył na nią tak intensywnie, jakby chciał zajrzeć w głąb jej duszy. - Przecież tu, w tym domu, są tacy, którzy uważają że zabiłaś własną kuzynkę i dwie inne kobiety.

Zrobiło jej się słabo na myśl, że nie tylko najbliżsi, ale także policjanci podejrzewają ją o te zbrodnie, i mają na potwierdzenie swoich podejrzeń ważne dowody.

Tylko Dern jej wierzył. Wprawdzie zataił rzeczywisty powód pojawienia się w Neptune's Gate, ale kto na tej cholernej wyspie mówi całą prawdę?

- Moim zdaniem mordercą jest Reece. Nie panuje nad sobą, jakiś przymus wewnętrzny każe mu zabijać. Nie wiadomo, czy zabijał, gdy był z dala od wyspy, w wielkich miastach, jak mówiłaś, ale te trzy kobiety? W tak krótkim odstępie czasu? To na pewno jego sprawka.

Już miała się z nim zgodzić, ale przypomniała sobie pytania Sny-dera: czy Reece zavracałby sobie głowę lalkami Jewel-Anne?

- Możliwe, że to jednak nie on.

- Wiem - przyznał - ale nie dowiemy się, dopóki nie znajdziemy jego kryjówki. Może wtedy skończy się ten obłąd.

Poczuła przypływ energii na myśl, że jest coś, co może zrobić. Nie chciała beczynnie czekać, aż policja oskarży ją o trzy morderstwa.

- Masz rację. Trzeba go znaleźć. Wchodzę w to!

- Chwileczkę, nie bardzo rozumiem.

- Idę z tobą!

Dern przecząco pokręcił głową.

- Nie ma mowy.

- Jak to nie? - nie dawała za wygraną. - Twierdzisz, że Lester Reece jest na wyspie, prawda? Więc go poszukajmy. Nie obchodzi mnie, czy to morderca, czy nie; tylko on wie, gdzie jest Noah!

- Tego nie możesz być pewna - zauważył Dern.

- Mam to w nosie! W tej chwili to mój jedyny trop!

Jeszcze kilka godzin wcześniej nie uwierzyłaby, gdyby ktoś jej powiedział, że jej jedyną nadzieją na odnalezienie synka będzie okrutny morderca. Morderca, który najprawdopodobniej był jego biologicznym ojcem. Sfrustrowana spojrzała w okno i zobaczyła policyjne radiowozy, które dotarły na wyspę promem. Stały przy bramie z włączonymi reflektorami, chociaż słońce już wschodziło, rozpraszając nocną ciemność. Policjanci byli uzbrojeni, a na ich czele stał Joe Biggs.

- Oni go zabiją- wyszeptała w nagłym przeblasku. Złapała Derna za koszulę, wpiła palce w sprany materiał. - Jeśli to zrobią już nigdy się nie dowiem, co się stało z Noahem. Stracę go na zawsze... - Głos jej się załamał.

- Och, skarbie. - Dern przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Słyszała bicie jego serca, czuła na włosach jego oddech.

- Posłuchaj - szepnął. - Musisz wytrzymać. Policjanci pozwolili mi z nimi iść, bo wydaje mi się, że wiem, gdzie może być Lester. Poza

tym służyłem kiedyś w policji, więc nie będę im zawadzał, nie będę ciężarem u nogi.

- Tak jak ja? - podniosła na niego wzrok. - Dern, tu chodzi o mojego synka! O Noaha!

- Odzyskamy go - obiecał i dodał ciszej: - Jeśli to tylko możliwe.

Poczuła łzy pod powiekami. Serce jej pękało, ale nie mogła się teraz załamać. I nie zrobi tego. Dern miał rację. Policjanci nie pozwolą jej na udział w poszukiwaniach, choćby błagała ich o to na kolanach. Mogła jednak coś zrobić. Zebrała się w sobie i podjęła decyzję - lepiej późno niż wcale. Uwolniła się z jego objęć, poszła do holu i po chwili wróciła z torebką.

- Co chcesz zrobić? - zapytał.

- Chyba mogę wam pomóc - odparła. Wyjęła z torebki pęk kluczy i podała mu. - Wydaje mi się, że to klucze do Sea Cliff. Należały do mojego stryja.

- Skąd je masz?

- To długa historia. Teraz nie mamy na to czasu, ale powiedzmy, że je znalazłam.

- Znalazłaś? - Kąciki jego ust uniosły się w tym cholernie seksownym uśmiechu. Przez chwilę myślała, że zada jej kolejne pytanie, ale zacisnął dłoń na pęku kluczy i powiedział: - Dzięki.

- Tylko dopilnuj, żeby Reece przeżył, bo muszę odnaleźć Noaha.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- I jeszcze więcej, rozumiesz?

Przyciągnął ją do siebie, przywarł całym ciałem. Jęknęła, gdy ją pocałował. Mocno. Długo. Czula na sobie jego gorące wargi, traciła oddech, gdy pocałunek pogłębiał się w niewypowiedzianej obietnicy. Zamknęła oczy i na kilka cudownych sekund zatraciła się w nim, oddaliła od bolesnej rzeczywistości.

Przez moment wyobrażała sobie, jakby to było kochać go, być z nim.

Nie mogła sobie na to pozwolić.

Ani teraz.

Ani nigdy.

Chyba wyczuł zmianę w jej uczuciach, bo podniósł głowę i mruknął:

- Niech to wszystko szlag trafi.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem, równie szybko, jak przedtem ją objął, wypuścił z ramion, cofnął się o krok i nerwowo przeczesał palcami włosy.

- Powiniennem powiedzieć, że mi przykro, ale to byłaby nieprawda - szepnął.

- Mnie też nie - zdołała wykrztusić.

To szaleństwo, skarciła się w duchu. Nie może sobie pozwolić nawet na chwilę nieuwagi, nie teraz, gdy tyle się dzieje. Odwróciła wzrok i odsunęła się od niego.

W tym momencie do kuchni wszedł ciemnoskóry policjant.

- Słyszałem, że idzie pan z nami - mruknął ponuro. Był wyższy od Derna o dobre dziesięć centymetrów i przypominał raczej napastnika NFL niż policjanta. Nazwisko na identyfikatorze brzmiało Bennett Ramsey. Wystarczyło na niego spojrzeć, aby wiedzieć, że z funkcjonariuszem Ramseyem nie ma żartów. - Już czas.

- Ja też idę. - Ava nie dawała za wygraną. Zerknęła w okno. Nadchodził świt, niebo poszarzało, ale deszcz nie ustawał.

- Mam rozkaz zabrać tylko pana Derna - odparł Ramsey stanowczo.

- Ale przecież nikt nie zna wyspy tak dobrze jak ja! Naprawdę! -przedstawiała gorączkowo swoje racje. - Mieszkam tu od urodzenia. A Reece może wiedzieć, gdzie jest mój synek.

- Tylko Dern. - W jego oczach pojawił się wyraz współczucia, ale nie zmienił zdania.

- Kiedy ja naprawdę muszę z wami iść! - nie ustępowała Ava. Przeraziła ją myśl, że zostanie tu sama i może stracić szansę odnalezienia Noaha. Jeśli Reece znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, a będzie miał przy sobie broń... - Błagam!

Przez niewzruszoną twarz policjanta przemknął ślad współczucia.

- Porozmawiam z dowódcą. To jedyne, co mogę dla pani zrobić.

- Pani Garrison? - Do kuchni wszedł Snyder, a z nim ktoś z ekipy technicznej. - Mogę prosić na słowo?

- Miałam właśnie wyjść z nimi. - Wskazała Ramseya i Derna.

- To ważne. - Z twarzy Snydera trudno było cokolwiek wyczytać, ale zauważyła, że w jego głosie pojawił się odcień agresji, którego wcześniej nie było.

Dern także to wyczuł. Już szedł z Ramseyem do drzwi, ale zatrzymał się i uniósł dłoń.

- Chwileczkę.

- Chcę tylko porozmawiać z panią Garrison - zaznaczył Snyder. Ramsey otworzył drzwi, do kuchni wtargnął zimny powiew.

- Jeśli idzie pan z nami, radzę się pospieszyć - powiedział do Derna. - Szeryf nie lubi czekać.

Ava też ruszyła do drzwi, ale Dern lekko pokręcił głową.

- Znajdę go - obiecał i zdjął kurtkę z wieszaka przy drzwiach. - Jeśli Reece ma Noaha albo wie, gdzie on jest, znajdę go.

- Ale...

- Avo, zaufaj mi. - Wyszedł, zanim znalazła argumenty, które mogłyby go przekonać. Drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Miała wrażenie, że jakaś część jej poszła razem z nim.

Uczepiła się jego obietnicy jak ostatniej deski ratunku, choć wiedziała, że Dern może jej nie dotrzymać. Nie miał wpływu na to, jak potoczy się konfrontacja z Reece'em, o ile w ogóle do niej dojdzie. Zresztą czuła, chociaż tego nie powiedział, że on także jest przekonany o śmierci Noaha.

Przez okno widziała, jak Dern i Ramsey szli do stajni, gdzie zebrali się funkcjonariusze. Niektórzy byli konno, reszta miała jechać w samochodach terenowych, których reflektory jarzyły się w mroku szarówki. Uzbrojeni policjanci w płaszczach przeciwdeszczowych stali w małych grupkach, palili papierosy, rozmawiali przez komórki. Trzej trzymali na smyczach psy. Czy to możliwe, aby po tak długim czasie znaleźli na wyspie Lestera Reece'a?

Ramsey i Dern dołączyli do zebranych, wyglądało na to, że doszło do szybkiej prezentacji.

Serce podeszło jej do gardła na myśl, że być może już nigdy więcej nie zobaczy nie tylko synka, ale i Derna. Kiedy znajdzie Reece'a i odda go w ręce sprawiedliwości, nie będzie miał powodu, by tu zostać.

- Pani Garrison? - odezwał się Snyder, tym razem nieco ostrzej. - Czy mogłaby pani łaskawie pójść ze mną?

- Ja... oczywiście.

- Zapraszam na piętro.

Wzdrygnęła się na myśl, że każe jej ponownie oglądać ciało Jewel-Anne. Nie widziała, żeby znosili zwłoki na dół, domyślała się więc, że wciąż tam leżą. U szczytu schodów skręciła w stronę apartamentu kuzynki, ale Snyder powiedział:

- Tędy proszę - i skierował się do jej pokoju. Dlaczego?

I nagle zrozumiała. To ona jest główną podejrzaną ona znalazła ciało i jako jedyna z rodziny miała wyraźny motyw. Serce zabiło jej szybciej.

W pokoju panował nieład, wszędzie widniały czarne plamy z proszku do pobierania odcisków palców. Na łóżku nie było pościeli, a materac stał z boku, pod ścianą.

- Co tu się dzieje? - spytała zaniepokojona. Nie rozumiała, o co chodzi, ale czuła, że to nic dobrego.

- Chcieliśmy zapytać o to. - Snyder wskazał wąską, czerwono-brązową plamę o długości kilkunastu centymetrów na płótnie okrywającym sprężyny łóżka.

Boże, co to może być?

Przeniosła wzrok na materac i tam zobaczyła podobną plamę. Najwyraźniej pod materacem, na płótnie, coś leżało. Jej serce waliło jak młotem.

- Co? - szepnęła i poczuła narastającą falę paniki, gdy wreszcie zrozumiała. Te plamy to zaschnięta krew, a podłużny kształt to nóż. Zrobiło jej się niedobrze. - O Boże - szepnęła. Spojrzała na Snydera. Trzymał w dłoni plastikową torebkę.

Był w niej zakrwawiony nóż o długim, ząbkowanym ostrzu. To krew Jewel-Anne!

Kolana ugięły się pod nią, musiała oprzeć się o toaletkę, żeby nie upaść. Policjanci zapewne uznali, że właśnie tym nożem poderżnięto gardło Jewel-Anne. Poczowała gwałtowne mdłości na myśl, że to ostrze przecięło ciało kuzynki. Wbiegła do łazienki, pochyliła się nad muszlą klozetową i wymiotowała. Z oczu ciekły jej łzy, a w głowie przesuwaly się obrazy kalekiej kuzynki zarzynanej przez mordercę. Ponownie chwyciły ją torsje, ale miała już pusty żołądek, więc pluła tylko żółcią do toalety.

Czy Jewel-Anne знаła zabójcę? Sprawca musiał wiedzieć o jej przywiązaniu do tych kretyńskich lalek. Kto to zrobił? Trzymała się kurczowo krawędzi sedesu, a krople potu spadające jej z nosa do mętnej wody odmierzały upływający czas.

- Pani Garrison? - usłyszała głos Snydera. Miała wrażenie, że dobiega z oddali, choć policjant stał tuż obok, w drzwiach łazienki.

Wreszcie opanowała mdłości, spuściła wodę i pochyliła się nad umywalką. Przeplukała usta i ujrzała swoje odbicie w lustrze. Szara twarz, rozczochrane włosy, obłęd w oczach. Okropność.

Przecież jest niewinna!

Na miękkich nogach weszła do pokoju. Do Snydera dołączyła partnerka o poważnej twarzy.

- Przepraszam. - Ava skoncentrowała wzrok na torebce z zakrwawionym nożem w jego dłoni. - To nie jest moje. Nie wiem, jakim cudem ten nóż znalazł się w moim pokoju.

Lyons nie kryła wątpliwości.

- Mamy do pani jeszcze kilka pytań, pani Garrison, ale chyba lepiej, jeśli porozmawiamy na posterunku.

Tylko nie to!

- Chwileczkę. Ja nie mogę z wami pojechać, nie teraz. W tej chwili szukają Lestera Reece'a i mojego synka - urwała, bo zdała sobie sprawę, że to nie była prośba, lecz rozkaz. Naprawdę sądzili, że to ona zabiła Jewel-Anne, a prawdopodobnie także pozostałe kobiety. To idiotyczne. Dlaczego miałyby je zabijać, w dodatku w tak potworny sposób?

Mieli ją za wariatkę. Za osobę niebezpieczną dla otoczenia, zdolną targnąć się na własne i cudze życie.

Cheryl Reynolds i Evelyn McPherson znały wszystkie jej tajemnice. Zarzucała lekarce, że miała romans z jej mężem. Chciała ją nawet zwolnić. Powszechnie wiadomo, że za nią nie przepadała. Była też ostatnią osobą, która widziała Cheryl Reynolds żywą. Mogła powiedzieć jej coś, czego później żałowała. Jest jeszcze nieprzyjemna sprawa tamtego wieczoru, gdy mało brakowało, a zrzuciłaby z piętra sparaliżowaną kuzynkę. W Neptune's Gate wszyscy wiedzieli, że od dawna jej nie znosiła, aż nagle dowiedziała się, że to Jewel-Anne była biologiczną matką Noaha. Policjanci zapewne uznali, że nie wytrzymała tego wszystkiego. Wpadła w szal i zaczęła mordować. A teraz znaleźli narzędzie zbrodni w jej pokoju. Znalazła się w pułapce. Sprawca rozegrał to po mistrzowsku i zadbał o to, by skierować na nią podejrzenia.

Reece nie ma tu nic do rzeczy. Policjanci i wszyscy inni uważają że to ona jest winna.

Znowu zemdliło jąna myśl, jak perfidnie została oszukana. Oddychała szybko, płytko, czuła na plecach lodowate palce strachu. To, że teraz policjanci zabierają ją na posterunek, jest kolejną częścią skomplikowanego planu, żeby ją zniszczyć.

Ale kto to uknuł?

I dlaczego?

- Ja...

Chciała się wszystkiego wyprzeć, podzielić się podejrzeniami, wyjaśnić, że ktoś za tym stoi i pociąga za sznurki. Nagle zdała sobie sprawę, że jeśli teraz zacznie się tłumaczyć, wyjdzie na paranoiczkę,

za którą i tak wszyscy ją uważają. Policjanci przyglądali się jej czujnie. Nawet technik kryminalistyki, przeglądający zawartość szuflad, spojrzała na nią przez ramię. Musi zachować spokój! Obserwują ją i czekają na pierwszy błąd!

- Ja.. - odchrząknęła i spojrzała Snyderowi w oczy - pójdę po płaszcz.

Rozdział 44

Gdy grupa poszukiwawcza dotarła do Sea Cliff, wiatr przybrał na sile, smagał wybrzeże potokami deszczu, uderzał falami w urwisko, któremu szpital zawdzięczał swoją nazwę. Przybyli konno, pieszo z psami, samochodami terenowymi, był nawet helikopter oraz motorówki na wypadek, gdyby Reece usiłował uciec drogą wodną.

- Tym razem nam nie ucieknie, o nie! - krzyczał Biggs, a wiatr niemal zerwał mu kapelusz z głowy. Poszukiwacze stali pod murami Sea Cliff. Szeryf miał stąd dowodzić akcją, pozostali rozdzielili się na terenie kompleksu.

Siły szeryfa wspierały posiłki - straż stanowa i inne agencje, grupa wyższych rangą funkcjonariuszy i Dern. Zaczęło się polowanie na ducha.

Początkowo szeryf chciał, żeby Dern czekał na zewnątrz, ale ponieważ to on domyślał się, gdzie Reece może się ukrywać i dobrze znał szpital, a nawet znalazł dowody na to, że ktoś tam niedawno przebywał i jakimś cudem wszedł w posiadanie, jak to określał Biggs, kluczy do pałacu, pozwolono mu wziąć udział w poszukiwaniach. Na jego korzyść przemawiało także to, że w przeszłości pracował w służbach mundurowych.

- Tylko nie włącz nam w drogę - burknął Biggs, czerwony z zimna. Kurtka z trudem dopinała mu się na wielkim brzuchu. - Sami damy sobie radę.

Dern ugryzł się w język. Jeśli ekipa szeryfa naprawdę da sobie radę, odbędzie się to przy jego niemałej pomocy, której zresztą już im udzielił. A jeżeli sprawy pójdą nie tak, domyślał się, że prasa będzie miała używanie, a on stanie się kozłem ofiarnym.

Taki był plan.

Nie pozwolono mu zabrać broni, ale dostał kamizelkę kuloodporną i kurtkę z napisem „Policja”, a także instrukcje - ma się trzymać

z tyłu. Jeden z funkcjonariuszy otworzył bramę i wyruszyli w dwóch grupach - jedna miała przeszukać szeregowe domki personelu i budynki gospodarcze, druga, w tym Dern - sam szpital.

- Podobno jesteś bratem Reece'a - zagaiła policjantka, gdy zbliżali się do głównego wejścia.

- Przyrodnim. W życiu go nie widziałem.

- Mimo wszystko to do bani - mruknęła.

Dern nie skomentował jej słów. Z czwórką innych uzbrojonych funkcjonariuszy przeszukiwali stary budynek. W milczeniu przemierzali opustoszałe korytarze i zaglądali do łazienek, w których panowała rdza, a w kątach czaiły się pająki. Weszli schodami na górę, sprawdzili pokoje pacjentów, aż dotarli do narożnego pokoju Reece'a, z którego widać było Neptune's Gate.

Reece'a, oczywiście, tam nie znaleźli.

To byłoby zbyt proste.

Przeszukali dach.

Pusto; brakujące dachówki, połamane anteny, komin dżgający nocne niebo.

I ani śladu Reece'a. Została im jeszcze piwnica.

- Nawet jeśli tu był, już się zmył - burknął jeden z funkcjonariuszy, potężny facet bez szyi.

- Szukaj wiatru w polu - mruknął inny, niski, umięśniony, o rumianej twarzy i podejrzliwym spojrzeniu.

- Biggs się wścieknie, jeśli go nie złapiemy - stwierdził ponuro ten pierwszy.

- Zamknij się - syknęła funkcjonariuszka, która współczuła Der-nowi z powodu brata.

Dwaj jej koledzy umilkli. Przy snopach światła z latarek przeszukiwali podziemne korytarze. Wąskie, ciemne, tworzyły mroczny labirynt pod całym kompleksem. Miejscami beton popękał, na ziemi powstały kałuże, gdzie indziej było tak sucho, że pył utrudniał Demowi oddychanie. Stukot drobnych pazurków zdradzał, że nie są tu sami, że w zasnutych pajęczynami podziemiach szpitala rezydują myszy, szczury i Bóg jeden wie co jeszcze, nie widzieli jednak żadnych dowodów na to, że ostatnimi czasy był tu człowiek.

Dem słyszał swoje przyspieszone tętno, wyteżał wzrok i był wściekły, że nie pozwolono mu zabrać broni. Dotarli do pomieszczenia, do

którego nie zdołał się włamać. Funkcjonariuszka otworzyła drzwi jednym z kluczy Crispina Churcha. Otworzyły się bezszelestnie. Ledwie weszli do ogromnej maszynowni, zapach i temperatura zdradziły, że tu sprawy mają się inaczej.

Dem zobaczył, jak niższy policjant wyjmuje pistolet z kabury, ale miał nadzieję, że jeśli gliniarz ma choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie będzie strzelał w zamkniętym pomieszczeniu. Rykoszet bywa groźniejszy od mordercy.

W świetle latarek obserwowali potężne rury pnące się po ścianach i masywne szyby wentylacyjne. Obok wielkich kontenerów widniały bezpieczniki. Pośrodku, w otoczeniu mniejszych palenisk, królował wielki kontener - dawna spalarnia. Żelazne drzwiczki poczerniały, komin wznosił się w stronę dachu.

Otaczała ich cisza, nic nie zakłócało spokoju, gdy rozeszli się po pomieszczeniu, z pistoletami w dłoniach, spięci i czujni. Dem wytężał słuch, ale słyszał tylko kroki policjantów i bicie własnego serca.

Ostrożnie minął spalarnię. Jest. Tam, za potężną bryłą pieca, znajdowało się obozowisko - prawdopodobnie Reece'a. Mamy cię, draniu! Skinął na jednego z funkcjonariuszy, który skierował światło latarki na brudny śpiwór, butlę gazową ubrania, śmiecie i dwa metalowe wiadra -jedno z czystą wodą drugie z odchodami.

Przeczesał teren.

Ani śladu Reece'a.

- Zwiął - stwierdził jeden z policjantów.

- Ale to świeża sprawa - zauważył drugi. Dem dotknął butli.

- Jeszcze ciepła.

- Gdzie on się podział? - zastanawiał się niższy policjant, oświetlając ściany. - To chyba jedyne wejście.

- Szyby wentylacyjne - podsunął jego kolega.

- Nie, są pionowe, wąskie i idealnie gładkie. Reece nie zdołałby się wspiąć po gładkim metalu. Zresztą ma prawie dwa metry wzrostu.

- Cholera!

Dem rozglądał się po przepastnym pomieszczeniu, spojrzawszy w górę, aż w końcu zobaczył piec. Oczywiście już wcześniej sprawdzali jego wnętrze, ale teraz dostrzegł na posadzce ślady popiołu. Otworzył drzwiczki -pusto. Przesunął światło latarki wyżej - i zobaczył szczeble w kominie.

- Jest na dachu! - Dem już biegł do drzwi.

- Ej! - zawołał za nim wyższy policjant. - Przecież dach już sprawdzaliśmy!

- Tak, ale pewnie nas usłyszał, odczekał, aż zejdziemy, a potem przez piec dostał się do komina i uciekł na górę. Jest na dachu, mówię wam!

Dern, nie wdając się w dalszą dyskusję, pobiegł schodami na górę.

Słyszał za sobą kroki i stłumione przekleństwa, ale nie odwracał się, biegł, przeskakując po dwa stopnie na raz, i miał nadzieję, że jeden z policjantów wspina się kominem.

- Jest tam uwięziony! - powiedział ktoś za jego plecami, gdy Dern docierał do parteru.

- Chyba że skoczy!

O Boże! Tego nie przeżyje, pomyślał Dern. Nie może do tego dopuścić, przecież obiecał Avie, że zrobi wszystko, żeby dopadli Ree-ce'a żywego.

Pokonywał kolejne piętra i wkrótce znalazł się przy wyjściu na dach. Zamknięte - pewnie przez Reece'a od drugiej strony.

- Drań - mruknął.

Przytrzymał się dłońmi poręczy, wziął zamach nogami i z całej siły kopnął. Łup!

Drzwi ustąpiły z głośnym trzaskiem, do klatki schodowej wpadł lodowaty wiatr. Dern słyszał za sobą głośne kroki - nadciągali policjanci. Wybiegł na dach. Po raz kolejny pożałował, że nie jest uzbrojony. Powoli obchodził dach, przeczesywał go wzrokiem, kuląc się pod naporem zimnego wiatru.

- Co jest, kurwa? - mruknął ktoś za jego plecami.

Dern odwrócił się i zobaczył niesmak na twarzy niższego policjanta.

- Nie ma go tu! Sukinsyn znowu nam zwiął, mówię wam! - Funkcjonariusz już sięgał po komórkę, żeby przekazać szeryfowi złe wieści.

Dern odwrócił się i spojrzał na Neptune's Gate. Widział stąd wieżyczkę na dachu i przypomniał sobie Avę balansującą na schodach przeciwpożarowych.

Podobne muszą być tutaj!

Podbiegł do krawędzi dachu i zobaczył poręcz prowadzącą do schodów przeciwpożarowych. Wyrżał ostrożnie.

Dwa piętra niżej, kurczowo trzymając się zardzewiałej poręczy, miotany podmuchami wichury, był Lester Reece. Wyczuł obecność Derna i na moment spojrzał w górę.

- Cześć, bracie - zawołał Dern, chociaż zdesperowany mężczyzna poniżej nie mógł go słyszeć przez ryk fal i wiatru.

Odwrócił się przez ramię i krzyknął:

- Halo! Tutaj! Reece był coraz niżej.

Wyższy policjant podbiegł do Derna i poświecił w dół, prosto na twarz Reece'a, który ponownie spojrzał w górę. W jego oczach malowało się przerażenie.

- No i co, draniu? - sapnął funkcjonariusz. - Zaraz dopadniemy twój chudy tyłek!

Wzywał posiłki przez radio, tymczasem Dern wszedł na schody przeciwpożarowe.

- Stój! - wrzasnął policjant. - Ej, co ty wyprawiasz?!

Dern zignorował go i najszybciej, jak mógł, schodził coraz niżej. Przypomniawszy sobie Awę na podobnych schodach - skorzystała z nich, żeby się dostać na niższy poziom. Nie chciał ryzykować, że Reece postąpi podobnie. Jeśli ma zaplanowaną trasę ucieczki, może przecież wrócić do środka przez okno i wymknąć się tylnymi schodami.

W każdym razie Dern deptał mu po piętach.

- Na miłość boską! - usłyszał krzyk policjanta poprzez huk fal i poczuł, jak drabinka się chwieje.

Domyślił się, że potężny funkcjonariusz też bierze udział w pościgu, ale nie patrzył w górę. Pokonywał kolejne szczeble zardzewiałej drabiny, nie odrywając wzroku od Reece'a.

Reece, szybki i zwinny, był coraz niżej. Kiedy na samym dole zeskoczył z drabiny, nie czekali tam na niego policjanci.

- Cholera! - zaklął policjant, widząc ucieczkę Reece'a.

Dern przyspieszył. Miał nadzieję, że cholerni gliniarze i psy zjawią się na trawniku, ale kiedy był trzy metry nad ziemią nie zobaczył żadnego funkcjonariusza, a Reece biegł wąską, porośniętą chwastami alejką, która nieco dalej się rozwidlała. Jedna odnoga prowadziła do furtki przy głównej bramie, druga - nad zatokę.

Reece, niech go piekło pochłonie, skręcił w stronę wody.

- Super! - mruknął Dern, oderwał stopy od szczebli drabiny i skoczył. Wylądował ciężko, skręcił sobie kostkę, ale błyskawicznie poderwał się na nogi i ruszył w pościg za Reece'em.

Nie mógł stracić go z oczu, nie mógł dopuścić, żeby policjanci najpierw strzelali, a potem zadawali pytania. Biegł coraz szybciej

śliską, porośniętą chwastami alejką wijącą się wśród skał i wydm, nie odrywając wzroku od głowy Reece'a. Słyszał za sobą krzyki. Wreszcie zjawili się policjanci. A gdzie psy?

Spodziewał się, że lada moment go wyprzedzą i wkrótce dopadną Reece'a, ale nic takiego się nie stało. Pewnie utkwily za ogrodzeniem.

Nie zwracaj sobie głowy psami, powiedział w duchu, tylko złap w końcu tego drania!

- Nie uciekniesz mi, bydlaku - mruknął głośno, wpatrzony w mężczyznę, którego ścigał. W myślach przeklinał szeryfa za to, że nie dał mu broni.

Na każdym zakręcie ścieżki Reece na moment znikał mu z oczu i Dern bał się, że odbije w bok i zniknie wśród zarośli.

- Stój! Policja! - słyszał za sobą i modlił się, żeby policjanci nie zaczęli strzelać.

Biegł dalej, nie zważając na ból skręconej kostki. Z każdą chwilą był coraz bliżej. Reece wyprzedzał go o dziesięć metrów... pięć... trzy... Słyszał chrapliwy oddech brata, wyraźnie zwolnił.

- Reece! Poddaj się! - zawołał.

Lester obejrzał się przez ramię. Miał obłęd w oczach. Mruknął coś niezrozumiale, sięgnął do kieszeni dzinsów i skręcił w stronę oceanu.

Czyżby myślał, że zdoła uciec wpław? Nie ma mowy!

Policjanci krzyczeli. Padł strzał ostrzegawczy.

Ale Reece się nie zatrzymał. Był zaledwie kilka kroków od wody i chyba chciał skoczyć.

Dern zebrał się w sobie i rzucił się na niego.

Reece odwrócił się.

W rękę miał nóż. Jego twarz wykrzywił upiorny uśmiech.

- No chodź, dupku, chodź! - krzyknął.

Dern skoczył. Reece dźgnął go nożem w pierś. Obaj upadli na piach. Reece usiłował wysliznąć się spod Derna, raz po raz uderzał go nożem.

- Zdychaj, draniu! Zdychaj!

Dern przypomniał sobie wszystko, czego nauczył się w wojsku, ale Reece był zwinny, a adrenalina dodawała mu sił. Walczył o życie. Dern nie spuszczał oczu z noża.

Toczyli się w stronę wody, w potokach deszczu, przy akompaniamencie kroków i krzyków nadbiegających policjantów.

Dern złapał Reece'a za ramiona i w końcu udało mu się położyć go twarzą do ziemi.

Lodowata morska piana zalewała walczących. Dern krztusił się i prychał, czuł, jak jego nos i usta wypełnia słona woda. Powoli, z wysiłkiem, wykręcił Reece'owi rękę do tyłu, aż ten jęknął z bólu, ale nie przestał się szarpać. Zalała ich kolejna fala.

Reece kwiczał jak zarzynany prosiak, parskął, pluł wodą i piaskiem.

Dern jeszcze mocniej wykręcił mu rękę i poczuł, jak pod jego naciskiem ustępują ścięgna.

Reece, wyjąc z bólu, puścił nóż.

- Powinienem cię zabić, ty gnoju! - ryknął Dern. Usiadł na nim okrakiem, unieruchamiając go. Wyczerpany pościgiem i walką, ciężko dyszał z wysiłku.

W końcu zjawilo się czterech funkcjonariuszy z pistoletami wycelowanymi w Reece'a.

- Mamy go - powiedział do telefonu ten wysoki bez szyi, odepchnął Derna i skuł spokojnego, kaszlącego więźnia.

- Owszem, macie - mruknął Dern. Był przemarznięty i przemoczony. Nadal miał na sobie kamizelkę, która uratowała mu życie, gdy Reece pchnął go nożem. Dygocąc na całym ciele, wpatrywał się w potwora, który pozbawił życia tyle osób, a w którego żyłach płynęła ta sama krew.

Kiedy policjanci postawili Reece'a na nogi, wypluł piach z ust i spojrzał na Derna. Miał na sobie brudne dżinsy i bluzę, wszystko co najmniej dwa numery za duże. Włosy, dawniej jasne, opadały w niechlujnych strąkach na ramiona. Widać w nich było siwe pasma. Zmrużył ciemne oczy, jakby coś sobie przypominał.

- A ty coś za jeden? - warknął.

Dern nie odpowiedział. Nie chciał mieć nic wspólnego z tym żalosnym psychopata. Na pewno dowie się, że są spokrewnieni, ale on nie zamierzał mu tego mówić. Nie uważał go za brata.

- Pytałem, coś ty za jeden? - Reece niemal toczył pianę z ust. Dern nadal milczał.

- To twój najgorszy koszmar, Reece - powiedział jeden z policjantów. - A ty byłeś naszym.

Dern, lekko utykając, poszedł za funkcjonariuszami i ich więźniem z powrotem do szpitala, gdzie czekał Biggs w otoczeniu pozostałych policjantów. Wszyscy patrzyli na Reece'a z wyraźną ulgą i nieskrywaną radością.

Skuli więźniowi nogi i pomogli podejść do samochodu.

Szeryf Biggs dosłownie promieniał. Najgroźniejszego przestępcę w historii stanu Waszyngton schwytano w jego okręgu, pod jego wodzą- bez wątpienia już planował, jak to wykorzystać.

Dern miał w nosie szeryfa i jego karierę. Najważniejsze, że Reece trafi za kratki i już nikogo nie zamorduje. Reba może umrzeć spokojnie.

Biggs przepchał się przez grupę policjantów omawiających przebieg poszukiwań i pościgu.

- Moment - rzucił do nich i spojrzał na Derna. Mimo deszczu spływającego z ronda jego kapelusza uśmiechał się od ucha do ucha, jakby właśnie wygrał milion na loterii. - Chcesz czegoś?

- Tak. Pogadać z Reece'em. Szeryf roześmiał się.

- Ty i stu innych.

W potokach lodowatego deszczu, nos w nos z Biggsem, z kostką pulsującą z bólu, Dern nie był w nastroju do żartów.

- Muszę z nim porozmawiać. Gdyby nie ja, nie aresztowalibyście go. To ja was do niego doprowadziłem. Obezwładniłem. Chcę z nim porozmawiać.

- Doceniam pana rolę w zatrzymaniu Reece'a, ale nie mogę...

- Ależ oczywiście, że pan może, szeryfie - miał na końcu języka uwagę, że nie wahałby się, gdyby miał jaja, ale ugryzł się w język. Chyba jednak dało się to wyczytać z jego miny, bo Biggs najwyraźniej zmienił zdanie.

- Zobaczę, co da się zrobić - oznajmił. - A tymczasem, niech sanitariusze opatrzą panu kostkę.

- Pieprzyć kostkę! Chcę z nim natychmiast porozmawiać! Szeryf spoważniał i pokręcił głową.

- Nie ma mowy, synu. Przed tobą jest kolejka o wiele ważniejszych osób. Miałeś swoje pięć minut, kiedy bawiłeś się w samotnego wilka i sam go gonileś.

- I to ja go znalazłem.

- Tak, wiem, wiem - przyznał Biggs i dodał: - Słuchaj, może będziesz mógł z nim pogadać na posterunku, ale tam będą też federalni, więc nie mogę niczego obiecać - powiedziawszy to, odszedł. Nie zdobył się nawet na „dziękuję”.

Drań!

Dern, wściekły, nie zwracał uwagi na ból w kostce i postanowił zaryzykować, poczekać. Odprowadzał wzrokiem furgonetkę ze skutym Reece'em. Więźnia zabiorą na przystań w Monroe, a potem na stały ład.

- Chodźmy. - Policjant bez szyi zaszedł go od tyłu i klepnął w ramię. - Podwożę pana do szpitala, żeby opatrzyli panu tę kostkę.

- Wolę na posterunek.

- Ale...

- Nie kłóćmy się, dobrze? W końcu to moja kostka.

- Zrób, jak chce, Orvin - wtrąciła się policjantka i Dern w końcu dowiedział się, jak nazywa się zwalisty funkcjonariusz. - Przynajmniej tyle możemy dla niego zrobić.

- Cholera, Biggs nie będzie zachwycony.

- Nigdy nie jest - zauważyła kobieta, spojrzała na Derna i dodała: - No, na co czekasz? Wskakuj!

Orvin zajął miejsce za kierownicą służbowego dżipa, Connie, policjantka, z którą wcześniej rozmawiał, siedziała na fotelu pasażera, więc dla Derna zostało miejsce z tyłu. Wsiadł posłusznie i ruszyli w konwoju pojazdów do Monroe, gdzie specjalnie ściągnięty prom wykonywał dodatkowe kursy na stały ląd. Wszyscy byli w znakomitych humorach i czekając na prom, rozmawiali o niedawnej akcji.

Dern sięgnął do kieszeni po komórkę. Mokra, oblepiona piachem, nie reagowała na żadne komendy.

- No świetnie - mruknął.

- Może wyschnie - pocieszyła Connie, widząc, jak zмага się z aparatem. - A na razie możesz skorzystać z mojej.

- Masz numer Avy Church?

- Nie - pokręciła głową. - Ale na pewno mają go na posterunku. Ava pewnie nadal jest w biurze szeryfa; postara się tam z nią

skontaktować. Przynajmniej jest bezpieczna, skoro złapali Reece'a, pomyślał z ulgą.

Może biedaczka wreszcie odzyska spokój. Skończą się halucynacje o dziecku, skoki do zatoki, nocne wspinaczki na dach. Teraz, gdy wyszły na jaw machinacje Jewel-Anne, a Reece trafił za kratki, Ava może wreszcie zacząć normalnie żyć.

A co go to obchodzi? Ona nadal jest żoną tego dupka, prawda?

I tu był pies pogrzebany. Nieważne, czy się do tego przyznaje, czy nie - zakochał się w niej. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w zamglone okno dżipa i w myślach wyzywał się od idiotów. Ava ma męża, zмага się z chorobą psychiczną ma też obsesję na punkcie dzieciaka, który pewnie od dawna nie żyje, co najmniej raz usiłowała popełnić

samobójstwo, wierzy w teorie spiskowe i ma ostry jak brzytwa język oraz wybuchowy charakter.

Nie tak sobie wyobrażał kobietę idealną.

- No, już. - Connie wskazała prom na zatoce. - Zaraz będziemy w domu.

Myliła się. Minęło półtorej godziny, zanim znaleźli się w Anchor-ville, gdzie wieści o pojmaniu Reece'a rozeszły się lotem błyskawicy po sklepach, kafejkach i biurach. Na nabrzeżu zebrał się tłum, ludzie mieli nadzieję, że dowiedzą się czegoś więcej od funkcjonariuszy, którzy wrócili z wyspy.

Mimo porywistego wiatru i ulewnego deszczu na schodach biura szeryfa tłoczyli się reporterzy i operatorzy kamer, a nieco dalej stały wozy transmisyjne. Wszędzie byli gapie; miejscowi kulili się w kurtkach przeciwdeszczowych, licząc na to, że uda im się choć przez chwilę spojrzeć na najśłynniejszego kryminalistę w całym stanie.

To chore, stwierdził Dern, ale nie było w nim ani odrobiny współczucia dla więźnia. Nie czuł też budzącej się braterskiej więzi. Lester Reece to okrutny, zdegenerowany morderca, koniec, kropka. Im szybciej Dern przebije się przez tę cholerną biurokrację i dowie się, czy Reece ma jakiegokolwiek pojęcie o losie Noaha, tym szybciej będzie mógł o nim zapomnieć.

Natomiast Joe Biggs był w swoim żywiole. Uśmiechał się promiennie, wysiadając z samochodu, i zamiast wejść tylnymi drzwiami, zmierzał prosto do głównego wejścia. Ochoczo udzielił zaimprovizowanego wywiadu i kilka razy powtórzył dumnie „mamy go” do mikrofonów podsuwanych mu pod nos.

Tak, szeryf Joe T. Biggs był zdecydowanie w swoim żywiole. Tłum przed jego biurem gęstniał z każdą chwilą. Dern, który zdążył już wejść do środka, wyglądał przez zalane deszczem szyby. Z wymienianych mimochodem uwag wywnioskował, że mieszkańcy Anchorville są rozzarowani, że Reece nie zaszył się w mysiej dziurze i nie wypadł z niej z bronią w ręku, strzelając na prawo i lewo. Owszem, był kryminalistą bezwzględnym mordercą ale też miejscową legendą, człowiekiem znieawidzonym i podziwianym zarazem. Większość mieszkańców odetchnie z ulgą, że groźny bandyta ponownie trafi za kratki, znajdą się jednak i tacy, którzy woleliby, żeby tajemnica została tajemnicą.

Dern był zadowolony, że jest już po wszystkim, ale wkurzało go, że nie może porozmawiać z Reece'em twarzą w twarz. Wystarczyło-

by mu kilka minut rozmowy sam na sam, lecz Biggs oznajmił, że i tak powinien się cieszyć, że pozwoli mu obserwować przesłuchanie z za weneckiego lustra. Nie miało znaczenia, że to on przekazał informacje, które pozwoliły ująć Reece'a, że sam go dopadł i że był jego krewnym. Szeryf był nieugięty.

- Masz szczęście, że w ogóle cię tu wpuściłem - rzucił do Derna, zanim udał się na naradę z rzecznikiem prasowym. Był ciekaw, czy gubernator już dzwonił z gratulacjami.

Demowi nie pozostało nic innego, niż stać w ciemnym pomieszczeniu za weneckim lustrem i obserwować, jak nieznana mu policjantka przesłuchuje Lestera Reece'a. Przedstawiła się jako detektyw Kim. Była niska i drobna, miała okulary bez oprawek, krótkie ciemne włosy i wydatny podbródek, znamionujący upór i rzeczowość.

Zacząła przesłuchanie od pytań o zabójstwa trzech kobiet popełnione w ciągu kilku ostatnich dni.

Reece twierdził uparcie, że nie ma z nimi nic wspólnego.

W przeciwieństwie do opanowanej policjantki kręcił się niespokojnie. Skrzyżował ręce na piersi. W jego oczach błyszczała nienawiść.

- Mówię przecież, że tego nie zrobiłem - powtórzył po raz piąty. - Nie zabiłem żadnej z tych kobiet. Do cholery, dwóch nawet nie znałem! Chcecie mnie wrobić, bo to łatwiejsze niż szukanie prawdziwego sprawcy!

Policjantka była spokojna. Skupiona. Udawała, że mu wierzy, ale nie dawała za wygraną.

- Możesz mi w kółko zadawać te same pytania, a moja odpowiedź się nie zmieni. Nie załatwiłem żadnej z nich — powiedział Reece, odsłaniając poźółkłe zęby w gniewnym grymasie. Białe usta nikły w posiwiałej brodzie. Wbił wzrok w weneckie lustro, jakby wiedział, że Dem go obserwuje.

- A Noah Church?

- Kto?

- Chłopczyk, który kilka lat temu zaginął na wyspie.

- Co z nim?

- Wie pan, co się z nim stało?

- Oszaleliście? Nie, do cholery! Nie miałem z tym nic wspólnego! Nic! - Reece podniósł głos.

- A co pan w ogóle o nim wie? - zapytała spokojnie policjantka.

- Przecież mówię, że nic!

- Czy jest pan jego ojcem?
- Co?! - zdumiony, energicznie pokręcił głową. - Nie, do cholery! Co to ma być?

- Ale był pan związany z Jewel-Anne Church?
- Znałem ją, tak. Ze szpitala. Ale nie pieprzyłem jej, a to różnica! Jezu! Porąbało was!

- Czemu nie?
- Czemu jej nie puknąłem? Bo nie chciałem, nie tam, w szpitalu. Jej ojciec by mnie zabił albo jeszcze gorzej. - Nagle wyraz jego twarzy się zmienił. Z namysłem zerknął w lustro. - Ale wiecie co? Ona tego chciała. Chciała, żebym ją przeleciał. Strasznie mnie prowokowała. -Kiwał głową, oczy mu rozbłysły. - Kilka razy nawet pokazała mi cycki. Całkiem niezłe, tak przy okazji.

- Ale pan nie...
- Powiedziałem już, że nie, do cholery! Czego jeszcze chcecie? Testu DNA? Proszę bardzo! - Na jego policzku nerwowo drgał mięsień. - Może jestem szalony, ale nie aż tak.

- A co za różnica?
- Posłuchaj, suko. - Reece stracił panowanie nad sobą. - Nie zabiłem tych kobiet i nie przeleciałem Jewel-Anne Church, a już na pewno nie jestem tatusiem jej zaginionego bachora! Jasne? Więc nie staraj się mnie w to wrobić.

- A pan niech mnie nie obraża. Jasne? - Zmierzyła go wzrokiem, a gdy się opanował, dodała: - Wie pan, gdzie on jest?

- Kto? Dzieciak? Nie!
- Jakiś pomysł?
- Pewnie już nie żyje. Kto to wie? — W kącikach jego ust zebrała się ślina. Wytarł ją wierzchem dłoni.

Detektyw Kim nadal zachowywała stoicki spokój.

- Opowiedz mi o Jewel-Anne Church, o tym, co was łączyło.
- Już ci mówiłem, kręciła się po szpitalu, kiedy tam byłem. Pewnie fascynował ją psychopatyczny morderca, nie wiem. W każdym razie jasno dawała mi do zrozumienia, że mógłbym ją przelecieć. - Skinął głową i podkreślił swoje słowa wulgarnym gestem. - Posunęła się nawet do tego, że pomogła mi uciec. Znalazła klucze tatusia, te, które, jak sądził, zgubił. - Jego oczy rozbłysły. - Między innymi dlatego wyleciał, nie? Za zgubienie kluczy i za to, że nie chciało mu się zmienić zamków. Jewel-Anne pewnie je ma do tej pory.

- Więc pomogła panu uciec z zakładu... A potem?
- A jak myślisz? Przewiozła mnie na stały ląd, dała trochę gotówki i zwałem. Do Kanady.

- Dlaczego pan wrócił? Nie odpowiadał.

- Dlaczego, Reece? Na północy zrobiło się za gorąco? - Nadal milczał, więc Kim mówiła dalej: - Czy jeśli zadzwonię do kolegów z Kanady, usłyszę o kolejnych ofiarach? Kobietach, którym poderżnięto gardła?

- Nie! - Reece z całej siły uderzył pięścią w stół, aż dyktafon podskoczył. Jego twarz wykrzywiał gniew, nad którym nie był w stanie zapanować. Wydawało się, że lada chwila powie wszystko, jakby toczył wewnętrzną walkę i ją przegrywał. Dorn już myślał, że pęka, i wtedy Reece krzyknął:

- Chcę adwokata! - Spojrzał w weneckie lustro za plecami policjantki. - Tak jest, dranie! - krzyknął do zebranych w sąsiednim pokoju. - Słyszycie mnie? Znam moje prawa i nie pisnę ani słowa, dopóki nie zjawi się tu mój adwokat. Pamiętajcie go? C. Robert Cresswell? Sprowadźcie go!

Każdy, kto miał choćby mętne pojęcie o sprawie Reece'a, znał nazwisko prawnika, który pomógł mu uniknąć więzienia i trafić do Sea Cliff. Reece ponownie skoncentrował się na przesłuchującej go kobiecie.

- Dopóki nie będzie tu Cresswella, możecie sobie darować. Nie puszczę pary z gęby.

Rozdział 45

Nie możemy jej dłużej trzymać - stwierdził Snyder.

Wyszli z Lyons z pokoju, w którym przesłuchiwali Avę Garrison. Po ujęciu Reece'a posterunek przypominał dom wariatów. Rozdzwoniły się telefony, otaczał ich gwar rozmów, ściągano posiłki.

A oni usiłowali złamać Avę Garrison.

I ponieśli klęskę. Kobieta rzekomo rozchwiana psychicznie, o krok od obłędu, okazała się twardym orzechem do zgryzienia. Właściwie nie dowiedzieli się od niej niczego nowego. Po kilkugodzinnym przesłuchaniu nadal obstawała przy swojej wersji: nie wiedziała, jakim cudem

nóż znalazł się w jej pokoju, była w szoku, gdy go zobaczyła. Chociaż znaleźli u niej włos z peruki na głowie Jewel-Anne (z której zapewne pochodziły też włosy znalezione przy poprzednich ofiarach), zaklinała się, że nigdy wcześniej jej nie widziała.

Na winę Avy Garrison wskazywały pewne poszlaki - ostatnia widziała Cheryl Reynolds żywą, oskarżyła Evelyn McPherson o romans ze swoim mężem i na krótko przed śmiercią Jewel-Anne Church pokłóciła się z nią - ale nie było żadnego konkretnego dowodu, który łączyłby ją z zabójstwami.

Na nożu, którym zabito wszystkie ofiary, nie znaleziono odcisków palców, a Ava Garrison miała alibi.

Snyder już sobie wyobrażał, jakie używanie miałyby każdy prawnik z odrobiną oleju w głowie, gdyby ta sprawa trafiła do sądu. W Neptune's Gate mieszka sporo osób; każda z nich mogła podrzucić jej nóż i włos. Morderca Jewel-Anne Church celowo zostawił perukę na głowie swojej ofiary - chciał, żeby powiązali z zabójstwem Avę Garrison.

Do tego ta jej opowieść, jak to Jewel-Anne chciała wpędzić ją w szaleństwo. Przyciśnięta do muru wyznała, że biologicznymi rodzicami Noaha byli prawdopodobnie Jewel-Anne Church i Lester Reece (co wyparła z pamięci podczas hospitalizacji), a kuzynka, chociaż częściowo sparaliżowana, uknuła podstępny plan i Ava, słysząc głos zaginionego synka, myślała, że traci rozum.

W życiu nie słyszał równie dziwacznej historii. Ale Garrison zapewniła, że ma nagranie, które ją potwierdzi. Zobaczymy. Nagranie wideo też można zmanipulować. Wprawdzie wątpił, żeby zadawała sobie tyle trudu, ale kto wie?

A na myśl, że Lester Reece ma dziecko, przeszywał go dreszcz.

- Uważasz, że to nie ona? - zapytała Lyons z niedowierzaniem. Oparła się o ścianę i wydawała się równie zmęczona jak on. To była długa noc i jeszcze dłuższy dzień.

- Wiem tylko, że nie możemy jej dłużej trzymać - odparł.

- Oczywiście, że możemy, przynajmniej jeszcze trochę - upierała się.

- Po co? Żeby ją złamać? Powstrzymać przed kolejnym zabójstwem?

- Tak! - Lyons uniosła głowę.

- Może zażądać adwokata.

- Więc niech to zrobi.

Snyder z namysłem pocierał podbródek, czuł dwudniowy zarost pod palcami. Wolałby, żeby ta sprawa była prostsza. Jak zawsze.

- Miała motyw, okazję i środki - wyliczała Lyons.

Mijał ich funkcjonariusz prowadzący skutego więźnia. Facet w dzinsach zsuwających się z chudych pośladków, mokrej bluzie z kapturem, pokryty tatuażami, zmierzył ją taksującym wzrokiem i z aprobatą skinął głową. Nawet tego nie zauważyła.

Za to Snyder - owszem.

Zignorował to jednak i mruknął:

- Na nożu nie ma odcisków palców.

- Ale może badanie DNA wykaże, że na ostrzu jest krew którejs z ofiar.

- To trochę potrwa.

Lyons wzruszyła ramionami i zajrzała do torebki.

- Moim zdaniem powinniśmy ją aresztować. Postraszyć.

- Jeszcze nie.

- Niby dlaczego? - zachnęła się Lyons. - Bo jest bogata i stać ją na najlepszego prawnika w okolicy? - Wyjęła z torebki gumkę do włosów i związała włosy w koński ogon.

- To też ma znaczenie - przyznał Snyder. - Ale przede wszystkim mamy za mało, żeby ją zatrzymać.

Lyons przewróciła oczami.

- Nie wierzę własnym uszom. Najpierw urabiasz sobie ręce po łokcie, żeby dowiedzieć się, kto je zabił, a teraz, gdy masz prawdopodobną sprawczynię, chcesz ją wypuścić? Wiesz, Snyder, czasami mi się wydaje, że z nas dwojga to ja mam jaja, nie ty! - powiedziawszy to, odwróciła się i odeszła.

Męskie ego trochę ucierpiało, ale nie zawracał sobie tym głowy. Miał jeszcze sporo pracy, a sprawa pochłonęła go do tego stopnia, że prawie nie zauważył, jak dzinsy Lyons opinają jej pośladki, gdy oddalała się energicznym krokiem.

Czy mu się to podoba, czy nie, czas wypuścić Avę Garrison. Jej mąż już tu pewnie jest, robi awanturę, domaga się adwokata dla żony. Tak czy inaczej, Ava nie nacieszy się wolnością bo prasa zwęszyła trop. Na razie dziennikarze rzucili się na Lestera Reece'a, jego bogatego ojca i znanego prawnika, ale krąg ich zainteresowań wkrótce się rozszerzy. Skoro jej zaginiony syn jest jakoby dzieckiem najsłynniejszego kryminalisty w dziejach stanu Waszyngton, a trzy kobiety z jej

otoczenia, wśród nich biologiczna matka chłopca, zostały brutalnie zamordowane, tylko patrzeć, a pismaki skojarzą fakty. O tak, zabawa dopiero się zaczynała.

Niewykluczone, że kiedy tylko Ava Garrison wyjdzie z budynku, media osaczają jak zwierzę w klatce.

Szedł do siebie, starając się ignorować ogólne poruszenie na posterunku. Nie pozwoli, żeby upojne poczucie bliskiego zwycięstwa zawróciło mu w głowie.

Usiadł za biurkiem, włączył komputer i już po chwili przyglądał się zdjęciom z miejsca zabójstwa Jewel-Anne Church. Upozowane lalki cały czas nie dawały mu spokoju. Nie wyglądało to na robotę Lestera Reece'a, bo niby po co miałyby zrobić coś takiego? Morderca bez wątpienia nawiązywał do fascynacji swojej ofiary lalkami, która zapewne narodziła się po tym, gdy Jewel-Anne Church wyrzekła się własnego dziecka. Ale co chciał w ten sposób przekazać? Kto to wie? Nic nie przychodziło mu do głowy, więc dał sobie spokój i zajął się inną zagadką.

Dlaczego morderca zostawił perukę na głowie trzeciej ofiary?

Było oczywiste, że pojedyncze włosy znalezione przy dwóch poprzednich porzucono celowo, czy zatem peruka była kolejnym przekazem? I czy śmierć Jewel-Anne Church wieńczyła dzieło?

Znowu wrócił do lalek. Czyżby to była zemsta Avy Garrison za lalkę zakopaną w trumnie? Nonsens. Poza tym Garrison znalazła tę prowizoryczną trumnę już po śmierci Cheryl Reynolds. Nic tu do siebie nie pasowało.

Może Lester Reece wszystko wyjaśni. Trzy ostatnie morderstwa prawie się nie różniły od jego zbrodni sprzed lat. Tyle tylko, że Reece był potwornie wychudzony i wydawał się po prostu za słaby, aby dać sobie radę z korpulentną Reynolds czy wysoką, postawną McPherson.

Z drugiej strony, pozory mogą mylić. Stawiał przecież opór Demowi.

Chcąc spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, Snyder postanowił posłuchać, co Lester ma im do powiedzenia.

To może okazać się ciekawe.

- Idź do domu - powiedział Wyatt, gdy zgasił silnik. - Ja się zajmę łodzią.

Bogu dzięki, pomyślała Ava. Nie wytrzymałaby ani chwili dłużej w towarzystwie męża. Milcząca podróż i tak dała jej się we znaki. Nie wypowiedziane oskarżenia cały czas wisiały w powietrzu.

Otaczała ją ciemna, zimna noc, gdy patrzyła na dom, który kiedyś tak bardzo kochała. Teraz Neptune's Gate kojarzyło jej się raczej z koszmarem niż marzeniem. Dom wręcz ją przerażał.

Nieliczne światełka w mroku nie zdołały poprawić jej humoru. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wydarzyło się zbyt wiele złego. Jeszcze dwa dni temu Jewel-Anne żyła, przekomarzała się z nią. Teraz już nigdy nie usłyszy wyrzutów kuzynki, nie zirytuje jej skrzypienie wózka inwalidzkiego. Będzie jej brakowało dziwacznych staromodnych lalek, śmigających drutów, na których Jewel-Anne dziergała dla nich sweterki, czapeczki i szaliki, a nawet szlagierów Elvisa. Tyle razy marzyła, żeby kuzynka pokochała jakiegoś innego artystę - Davida Bowie, Michaela Jacksona, Lady Gagę - kogokolwiek. Teraz to już nie miało znaczenia.

Idąc w stronę domu, kręciła głową, żeby rozluźnić napięcie w karku. Nie spała od kilku dni, a miała za sobą kilkugodzinne przesłuchanie. W końcu ją wypuścili, a Wyatt, jak zawsze troskliwy, chociaż niewierny, mąż, uparł się, że po nią przyjedzie. Podczas przeprawy przez zatokę kilka razy próbował nawiązać rozmowę, ale nie chciało jej się przekrzykiwać ryku silnika, a poza tym miała już szczerze dość tego małżeństwa.

To koniec.

Wiedzieli o tym oboje.

Ulewny deszcz przeszedł w drobną mżawkę, która spowijała wszystko mokrym całunem. Ava wypatrywała świateł Monroe. Dostrzegła jasny neon jedyne sklepu otwartego o tej porze. Tego wieczoru wyspa wydawała się smutnym, opuszczonym skrawkiem lądu.

Wsunęła dłonie w kieszenie płaszcza i spojrzała na pomost, z którego przed kilkoma dniami skoczyła do wody. Była wtedy święcie przekonana, że widziała tu Noaha. Jakże zawodny potrafi być znekany, chory umysł.

Serce pękało jej z bólu na myśl o synku. Z tego, co słyszała, Lester Reece zaprzeczał, jakoby wiedział cokolwiek o chłopcu, twierdził, że go nie porwał. Czy rzeczywiście tego nie zrobił? A może posunął się do najgorszego i będzie musiała zmierzyć się ze straszną prawdą że jej synek nie żyje?

Łzy napłynęły jej do oczu, ale mocno zacisnęła powieki, bo nie chciała płakać.

Kiedy się wyśpi i odzyska siły, rozważy wszystko na spokojnie. Teraz była zbyt wyczerpana, żeby myśleć.

Ale najpierw rozwód. Zmęczenie nie ma tu nic do rzeczy; jutro zwlecze się z łóżka i zadzwoni do adwokata.

Roztarła zmarznięte ramiona i jeszcze raz popatrzyła na pomost. Był pusty. Już nigdy nie zobaczy synka na jego krańcu.

Idąc krętą alejką uświadomiła sobie, że chwile spędzone z synkiem powoli stawały się tylko mglistym wspomnieniem. Znowu poczuła łyzy pod powiekami i znowu je powstrzymała.

- Boże, bądź przy nim, gdziekolwiek jest - szepnęła. Jej oddech unosił się białym obłoczkiem.

Może już czas opuścić wyspę i zacząć wszystko od nowa, pomyślała, gdy mijiała ogród, w którym pod kamieniem z imieniem Noaha znalazła małą trumienkę.

Czy naprawdę mogłaby porzucić dom, w którym zaznała tyle bólu i rozpacz?

Jedno jest pewne - zostanie sama, nie da Wyattowi jeszcze jednej szansy.

Weszła do domu i odwiesiła płaszcz. Poczowała zapach zimnej kawy, wystygłego popiołu i zwiędniętych kwiatów. Panowała niczym niezmacona cisza. Po wielogodzinnych przesłuchaniach potrzebowała spokoju, snu i zapomnienia.

Poza kotem, który przyglądał się jej z szafki w holu, w domu nie było nikogo. Całe szczęście. Słyszała, jak Wyatt wchodzi tylnymi drzwiami. Dowiedziała się od niego, że Ian i Trent już wcześniej wrócili na stały ląd i nie wiadomo, czy pojawią się jeszcze na wyspie.

Demetria, załamana po stracie Jewel-Anne, zatrzymała się u jednej ze swoich sióstr w Anchorville. Miała wpaść któregoś dnia po rzeczy. Wyatt mówił, że zamierzała wyjechać, gdy tylko znajdzie nową posadę. Simon, Khloe i Virginia byli pewnie u siebie. Dern chyba wkrótce opuści wyspę, skoro jego przyrodni brat został schwytyany.

Weszła na schody i się zawahała. Zamiast do siebie, poszła do pokoju gościnnego, z którego widać było stajnię. Kontur budynku rysował się we mgle, okno na piętrze było ciemne. Dern jeszcze nie wrócił.

Poczowała się jeszcze bardziej samotna.

Przypomniała sobie, jak całowali się, przytuleni do siebie. Czy naprawdę od tego czasu minęły zaledwie dwadzieścia cztery godziny? Czy to możliwe, że Jewel-Anne jeszcze wczoraj żyła?

Wyszła na korytarz i zobaczyła uchylone drzwi do pokoju dzieciennego. Nogi ugięły się pod nią ale zmusiła się, żeby iść dalej. Ujęła klamkę i zamknęła drzwi. Pewnego dnia będzie musiała zlikwidować ten pokój, nie może robić z niego sanktuarium. Ale jeszcze nie dziś.

Dasz sobie radę, dodawała sobie otuchy. Jakoś to będzie. Kiedy wracała do siebie, przechodząc koło schodów, odruchowo zerknęła w dół. Spod drzwi gabinetu Wyatta sączyła się smuga światła. Pewnie emocje nie pozwalały mu zasnąć.

I dobrze. Nie zamierzała się nim przejmować. Zresztą miała podobny problem. Chociaż padała z nóg, wiedziała, że sen nie przyniesie jej ukojenia. Przez całą noc będzie ją prześladował zapętłony ciąg obrazów - od martwej Jewel-Anne, przez policjantów w pokoju przesłuchań, aż po seks z Dernem. Wizje związane z Noahem także znajdą drogę do jej znękanego umysłu, a całość zwieńczy pełne napięcia sceny z udziałem Wyatta. Nie dane jej będzie odpocząć, choć tak bardzo tego potrzebowała.

Wzdrygnęła się lekko, otwierając drzwi swojego pokoju. Kiedy ostatnio tu była, wszędzie panował bałagan, teraz jednak miała wrażenie, że czas cofnął się o kilka dni. Ktoś dokładnie wysprzątał pokój, na pierwszy rzut oka wszystko wróciło na miejsce. Po chwili dostrzegła, że zniknął dywanik z podłogi, a na łóżku leżał nowy materac, pewnie przyniesiony z jednego z pokoi gościnnych.

Zniknął też czarny proszek i nagle odniosła nedorzeczne wrażenie, że nic się nie stało, nikt nie zginął, nie schwytano zbiega. Jakby dawne życie toczyło się dalej.

Na nocnej szafce, jak zawsze, leżały jej lekarstwa.

Tak jakby wciąż je zażywała.

Przez moment zastanawiała się nawet, czy ich nie połknąć. Czemu nie? Przynajmniej się wyśpi, prześpi całą dobę. Cudowna myśl. Dzisiaj już niczego nie zdziała, Reece za kratkami, nikomu nic nie grozi.

- Właściwie czemu nie? - powiedziała i sięgnęła po tabletki.

Podnosząc je do ust, przypomniała sobie, że powinna popić je wodą, weszła więc do łazienki. Wewnątrz, kierując się raczej odruchem niż świadomą decyzją wypluła tabletki do toalety i spuściła wodę. Kto wie, co jej podają? To, że Reece jest za kratkami, a Jewel-Anne nie żyje, nie znaczy jeszcze, że jej życie wróciło do normy.

Jeżeli w jej przypadku można określić jakąkolwiek normę.

Otworzyła apteczkę i wyjęła opakowanie środków nasennych dostępnych bez recepty. Data ważności minęła pół roku temu.

- Może być - mruknęła i zażyła podwójną dawkę, popijając wodą z kranu. Miała nadzieję, że wkrótce odpłynie w sen, a rano wstanie wypoczęta i rześka, gotowa zdecydować, co dalej robić ze swoim życiem.

Przebrała się w starą luźną koszulkę. Czekając, aż leki zaczną działać, rozejrzała się w poszukiwaniu komputera. Nie było go. Pewnie zabrali go policjanci po przetrząśnięciu jej pokoju.

- Doskonale - mruknęła. Ale przecież miała jeszcze telefon, którym mogła połączyć się z Internetem i sprawdzić pocztę. Sięgnęła po niego i wtedy przypomniała sobie o nowej aplikacji, umożliwiającej podgląd obrazu z kamery na strychu.

Była ciekawa, czy policjanci zdemontowali urządzenie, czy też zapomnieli o nim w pośpiechu, chcąc jak najszybciej zabrać ją na posterunek i schwytać Reece'a.

Ziewnęła i włączyła odpowiedni program. Na wyświetlaczu pojawił się obraz z kamery na strychu. Już miała go wyłączyć, gdy wyraźnie dostrzegła ruch.

Co to?

Poczuła na plecach dreszcz strachu.

Wpatrywała się w wyświetlacz. Tak, znowu to samo.

Może to mysz, kot albo jakiś większy zwierzak?

Nie! Na strychu ktoś był! Drgnęła, gdy intruz znalazł się w zasięgu kamery. Znieruchomiała, prawie przestała oddychać. Kto to jest? Jewel-Anne nie żyje, więc musi to być ktoś inny.

- O Boże - szepnęła, rozpoznając osobę widoczną na małym ekraniku.

Na strychu była Khloe Prescott. Jej opiekunka.

Najlepsza przyjaciółka z dawnych lat. Po co tam weszła?

Strych był domeną Jewel-Anne, tam knuła intrygę i ukryła sprzęt.

Ava od początku uważała, że Jewel-Anne ktoś pomagał. Najwyraźniej Khloe brała w tym udział, a więc i ona chciała doprowadzić ją do szaleństwa.

Z rozdartym sercem wpatrywała się w obraz z ukrytej kamery. Khloe czegoś szukała.

Nie, to niemożliwe, to na pewno jakaś pomyłka. Przecież Khloe nie znała planów Jewel-Anne. Nie mogła o nich wiedzieć! Nie spiskowałyby przeciwko przyjaciółce!

Nie wierząc własnym oczom, patrzyła, jak Khloe zdejmuje z półki magnetofon, wyjmując taśmę z nagraniem płaczem dziecka i rwie ją na strzępy.

Ava starała się odepchnąć od siebie myśl, która nie dawała jej spokoju. Khloe, z którą przyjaźniła się od dziecka, była nianią Noaha i jej opiekunką po wyjściu ze szpitala St. Brendan, nie mogła więc brać udziału w spisku Jewel-Anne.

I wtedy pojawiło się inne, straszniejsze podejrzenie.

Może to nie Lester Reece zabił Jewel-Anne? Coś takiego sugerował detektyw Snyder, mówiąc, że Reece nie zwracałby sobie głowy podrzynaniem gardeł lalkom. Natomiast Khloe nie mogła znieść obsesji Jewel-Anne na punkcie jej „dzieci”. W tym momencie Ava zrozumiała, że Jewel-Anne otaczała się lalkami, bo zastępowały jej dziecko.

Dobry Boże, czy to możliwe, żeby Khloe zabiła Jewel-Anne?

Jeśli tak, chciała zrobić w to Awę, podrzuciła jej nóż do pokoju. Ale przecież Khloe zawsze była jej przyjaciółką, jej powiernicą...

Nie zawsze!

Przyjaźniły się od lat, ale w szkole średniej ich stosunki się ochłodziły, bo Ava umówiła się z jej chłopakiem, Meiern Lefeverem. Co prawda wtedy nie byli już parą, ale umówiła się z nim tydzień po ich rozstaniu. Khloe się wtedy obraziła, ale to przecież stara historia, zapomniana i wybaczona przed laty.

A może Khloe nadal żywiła urazę? Niemożliwe.

A Kelvin? Gdy zginął, była w nim szaleńczo zakochana i, podobnie jak Jewel-Anne, obwinała Awę o jego śmierć...

Wróciła myślami do tamtej sytuacji. Khloe wydawała się wtedy wyjątkowo ponura, nieobecna, ale przecież w końcu wyszła za Simona Prescottta, z którym połączył ją burzliwy związek wkrótce po śmierci Kelvina.

- Dobry Boże - szepnęła. Usiłowała znaleźć przyczynę, ale to wszystko nie miało żadnego sensu. Była zmęczona, myślała z trudem, środek nasenny zaczął działać. Walczyła z nim, starała się zachować przytomność. Musiała poznać prawdę.

Mogłaby zmusić Khloe do konfrontacji.

A jeśli ona naprawdę jest morderczynią?

Niemożliwe!

Obraz stracił na chwilę ostrość, coś zakryło kamerę. Khloe podniosła głowę. Uśmiechnęła się, jakby złośliwie.

Co to?

Na ekranie pojawiła się jeszcze jedna postać, wysoka, postawna, szeroka w barach.

Ava czuła, jak włoski na karku stającej dęba.

Serce zatrzymało się na chwilę i uderzyło ze zdwojoną siłą.

To niemożliwe! Dłoń z telefonem zaczęła drżeć, gdy z niedowierzaniem wpatrywała się w mały wyświetlacz. Do pokoju wchodził Wyatt.

Skąd się wziął na strychu? Obserwując to, co działo się na strychu, wyjrzała na korytarz, do holu. Przez szczelinę pod drzwiami gabinetu Wyatta nadal sączyło się światło.

Co tu się dzieje?

W jej głowie kłębiły się dziesiątki myśli, jedna gorsza od drugiej. Wróciła do pokoju i patrzyła, jak Khloe wita jej męża leniwym, zmysłowym uśmiechem.

Widziała go z profilu, ale wyraźnie odpowiedział tym samym. Czy to możliwe? Czyżby uknuli to razem?

Nie spodziewała się tego, była święcie przekonana, że Wyatt miał romans z Evelyn McPherson.

Tymczasem podszedł do Khloe i coś powiedział, a gdy się roześmiała, odrzucając głowę do tyłu, wyciągnął rękę i złapał ją za kark. W oczach Khloe zamigotały lubieżne iskierki.

Ava patrzyła z przerażeniem, jak przyciągnął ją do siebie. Khloe powiedziała coś i Wyatt zachichotał. A potem ją pocałował, długo, namiętnie, jakby od dawna czekał na tę chwilę.

To jest chore!

Poczula się jak idiotka. To nie z Evelyn McPherson miał romans, tylko z Khloe!

Kręciło jej się w głowie. Czyżby to oni zabili Jewel-Anne i dwie pozostałe kobiety? Nie, to niemożliwe. To na pewno był Lester Reece! Czyżby?

Czuła, jak narasta w niej lodowata fala strachu. Wiele złego myślała o mężu, ale nigdy nie podejrzewała go o morderstwo.

O romans z Khloe też nie. Co właściwie o nim wiedziała? A o niej? Tylko to, co sami zechcieli jej powiedzieć.

Czy oboje uczestniczyli w spisku Jewel-Anne? Może coś poszło nie tak i okrutny żart przerodził się w coś o wiele poważniejszego?

Opuściła dłoń z telefonem, oddychała głęboko. W głowie kłębiły się setki pytań bez odpowiedzi. Nie mogła uwierzyć, że kochankowie mieli coś wspólnego ze śmiercią Jewel-Anne czy pozostałych kobiet, ale w głębi serca czuła, że byli w to zamieszani. Nie wiedziała tylko, jak bardzo.

Myśl, Avo, myśl. Nie możesz tak tu sterczeć beczynnie. Musisz działać.

Była jednak dziwnie otumaniona. Środki uspokajające zaczęły działać mimo adrenaliny tętniącej w jej żyłach.

Nie, to bez sensu. Ponownie wyjęła telefon, wpatrywała się w mały wyświetlacz. Khloe i Wyatt nadal się obejmowali i całowali, coraz bardziej rozpaleni.

Powinna sprowadzić pomoc. Niech ktoś inny się z nimi zmierzy.

Niemożliwe! Są w domu sami. Czuła to, odkąd przekroczyła próg. Nikogo tu nie ma.

Poza Khloe i Wyattem.

Przeszył ją lodowaty dreszcz. Pewnie Khloe celowo pozbyła się wszystkich domowników. A potem kazała Wyattowi odebrać żonę z Anchorville i udawać troskliwego męża, żeby ją zwieść.

Sięgnęła po telefon stacjonarny na nocnej szafce. Zadzwoeni na numer alarmowy i poprosi o połączenie z detektywem Snyderem.

Co prawda podejrzewał ją o trzy morderstwa, ale na pewno wysłucha tego, co miała mu do powiedzenia. Znają się od dawna.

Podniosła słuchawkę.

Brak sygnału.

Wyświetlacz ciemny.

Poczuła na plecach zimne palce strachu.

Sprawdziła, czy telefon jest podłączony do prądu, i ponownie nacisnęła na klawisze. Nic. O Boże!

Odcięli ją od świata!

To część ich planu, żeby zrobić z niej wariatkę.

Wróciła wzrokiem do wyświetlacza komórki. Pocałunek dobiegł końca. Teraz uśmiechali się do siebie, jakby cieszyli się, że ich wspaniały plan wchodzi w ostatnią fazę.

Musi wydostać się z domu! Wsiąść do łodzi, uciekać z wyspy! Dopóki są na strychu, zajęci sobą. Pomyślała o Jewel-Anne. Być może to ostatnia chwila, aby ujść z życiem!

Najpierw jednak wybrała na komórce numer alarmowy - i zaraz się rozłączyła. Jeśli Wyatt naprawdę chciał ją zabić, dlaczego nie wyrzucił jej za burtę w drodze na wyspę? Mógłby później powiedzieć, że sama skoczyła albo wypadła. Znając jej przeszłość, nikt by nie wątpił w jego wersję. Nie, Wyatt nie chce jej zabić, nie o to mu chodzi.

Więc o co?

Teraz nie mogła sobie pozwolić na zastanawianie się nad tym.

Włożyła dzinsy i sięgnęła po kurtkę, nie spuszczając wzroku z wyświetlacza. Wymknie się z domu, pobiegnie do hangaru, weźmie łódź i...

I co? Ucieknie jak tchórz? Pozwoli, żeby postawili na swoim? Powie policji, że mają romans i zniszczyli magnetofon oraz taśmę z nagraniem płaczem dziecka? Czy ktoś jej w to uwierzy? Nie. Policjanci uznają, że oszalała.

Musi się uspokoić i walczyć.

Będzie jednak potrzebowała pomocy, sama nie da sobie rady. Wyłączyła wyświetlacz, wybrała numer Derna i modliła się w myślach, żeby odebrał, żeby miał włączoną komórkę, żeby nie znajdował się poza zasięgiem. Nie widziała go, odkąd wyruszył z policjantami na poszukiwanie Reece'a. Na posterunku słyszała, że odegrał kluczową rolę w pojmaniu zbiega, ale nie miała pojęcia, gdzie teraz jest.

Włączyła się poczta głosowa. Cholera! Nie miała czasu na dłuższe wiadomości, więc wyszeptała tylko:

- Tu Ava. Błagam, wracaj na wyspę, i to jak najszybciej. Dzieje się coś niedobrego. Oddzwoń!

Serce biło jej jak szalone, ale umysł reagował ospale, nie tak sprawnie, jak powinien. Znowu zerknęła na wyświetlacz.

Khloe i Wyatt nadal stali blisko siebie, mówili coś szybko, ale zniknęła czuła beztroska, zastąpiły ją inne emocje. Wyatt mocno zaciskał usta, oczy Khloe zdawały się miotać błyskawice, na jej ustach pojawił się gniewny grymas. Klócili się, to jasne.

O Jewel-Anne?

A może o coś innego?

Ależ tak, to ona była powodem konfliktu. Khloe namawia go, żeby ją zabić! A może odwrotnie? Może to on namawia Khloe? Nieważne, najwyższy czas uciekać.

Ciągle wpatrzona w wyświetlacz ruszyła do drzwi. Była już na szczycie schodów, gdy sytuacja się zmieniła. Coś się działo, awantura przybierała na sile.

Ava przystanąła w korytarzu i patrzyła. Spojrzenie Khloe stało się zimne jak lód.

Wyatt wyciągał do niej rękę, ona jednak cofnęła się, powiedziała coś, co kazało mu zatrzymać się w pół kroku. Otworzył usta, jakby mówił „nie”, a Khloe, szybka jak kobra, sięgnęła do kieszeni i wyjęła nóż.

- O Boże - jęknęła Ava.

Wyatt pojednawczo uniósł rękę, ale Khloe wyszczerzyła zęby jak dzikie zwierzę i z nienawiścią w oczach ruszyła do ataku. Ostrze błysnęło w świetle. Wyatt zrobił unik. Za późno.

Ava patrzyła z przerażeniem, jak Khloe, z wyrazem triumfu na twarzy, wbija nóż głęboko w pierś jej męża.

Rozdział 46

Reece nie był zabójcą. Choć policjanci uważali inaczej, Dern wiedział to na pewno.

To oznaczało, że morderca nadal jest na wolności.

Ktoś, kto z zimną krwią zabijał osoby blisko związane z Avą.

Wóz patrolowy podwiózł go w pobliże nabrzeża. Pobiegnął do portu, chcąc znaleźć kogoś, kto przewiezie go na wyspę.

Na posterunku panował nieopisany bałagan, wszędzie kręcili się przedstawiciele różnych agencji rządowych i wścibscy dziennikarze, ale tu, w blasku lamp, noc była sielska i spokojna. Od strony morza nadciągała mgła, łodzie kołysały się monotonnie.

On jednak czuł lęk. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że zło zwycięża. Jego ubranie w końcu wyschło po kąpieli sprzed kilku godzin, było jednak nieprzyjemnie sztywne od morskiej wody, w której walczył z Reece'em.

Z posterunku zadzwonił do Reby. Słyszał, jak matka stara się opanować.

- Dzięki Bogu - szepnęła. Po chwili dodała: - I tobie, Austin. Wzruszyło go to. Gdy się rozłączał, dopadło go zdziwienie, dlaczego satysfakcja to takie ulotne uczucie?

Mimo wyczerpującego pościgu za Reece'em i wielu godzin bez snu Dern był skoncentrowany i czujny. Skoro nie Reece zamordował te trzy kobiety, to kto? Jego przyrodni brat uparcie zaprzeczał, jakoby

miał coś wspólnego ze zbrodniami ostatnich dni. Wariat? Raczej nie. Socjopata? Z pewnością. Ale bardzo przekonująco wypierał się „załatwienia tych trzech dziwek”.

Morderca był więc nadal na wolności.

Bo przecież ktoś zabił te trzy kobiety.

Na razie trzy.

Dern sięgnął do zapiaszczonej kieszeni, wyjął komórkę i próbował zadzwonić do Avy, ale telefon nie działał. Już wcześniej, kiedy usłyszał, że wyszła z posterunku w towarzystwie tego dupka Garrisona, dzwonił do Neptune's Gate, ale nie uzyskał połączenia.

Martwiło go, że nie może się z nią skontaktować.

Ani przez chwilę nie wierzył, że to Ava zabiła. Uważał, że ktoś ją wrabia. Tajemniczy wspólnik Jewel-Anne zdradził ją i teraz usiłował zrobić z Avy wariatkę i morderczynię.

Domyślał się, że sprawcą jest ktoś z jej otoczenia, kto mieszka na wyspie i zna Neptune's Gate jak własną kieszeń.

Po raz kolejny sprawdził telefon, jednak nadal nie działał. Pewnie całkiem się popsuł. Wyjątkowy pech do spółki ze złym przeczuciem.

Musiał jak najszybciej dotrzeć na wyspę.

Jego kroki niosły się echem po nabrzeżu. Nad ląd nasuwała się mgła, chłonąc zapach morza i benzyny. Wszystkie łodzie wróciły do portu na noc. Stały teraz zacumowane i puste. Udało mu się jednak wypatrzyć rozżarzony koniuszek papierosa przy jednej z nich.

- Muszę się dostać na wyspę Church - powiedział. Kilka razy rozmawiał z Butchem Johansenem, facet wydawał się w porządku.

- Będzie cię to słono kosztowało. - Butch wyrzucił niedopałek, który rozżarzył się na mgnienie oka, zanim zgasł w atramentowej wodzie.

- Nieważne, byle szybko. - Czuł, że musi się spieszyć, obawiał się, że Ava jest na wyspie, być może w towarzystwie zabójcy.

- Postaram się, ale nadciąga mgła - odparł Johansen i przekręcił kluczyk w stacyjce natychmiast po wejściu pasażera na pokład.

Silnik ożył. Johansen wyprowadzał łajbę z portu, a Dern wpatrywał się w mglistą noc. Nie widział wyspy Church, ale wiedział, że jest tam w oddali. A na niej Ava z tym dupkiem, swoim mężem. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Po raz kolejny próbował włączyć telefon. Wyświetlacz rozbłysnął na chwilę, ale zaraz zgasł.

Dern niepokoił się coraz bardziej.

- Masz komórkę?! - zawołał do Johansena, starając się przekrzyczeć warkot silnika.

- Tylko radio.

- Naprawdę? Kto w dzisiejszych czasach nie ma komórki?

- Wkurzyłem się na operatora i zgadnij, kto na tym gorzej wyszedł.

-Johansen nie odrywał wzroku od dziobu i gęstej ciemności przed nimi.

Wiatr zawodził smętnie, gdy przecinali nocną mgłę, ale ciągle płynęli za wolno.

- Możesz przyspieszyć? - spytał Johansena. Wiedział, że to niebezpieczne, ale miał to w nosie. Musiał jak najszybciej znaleźć się na wyspie, bo czuł, że Ava jest w niebezpieczeństwie.

- Robi się! - Butch zwiększył obroty i łódź niemal frunęła nad falami. Jakby chcieli wyprzedzić mgłę coraz szczelniej pokrywającą morską toń.

Ale według Derna ciągle poruszali się za wolno.

Ava zatoczyła się do tyłu, patrząc z przerażeniem na wyświetlacz telefonu.

Khloe stała nad Wyattem. Oddychał z trudem, na jego koszuli pojawiła się czerwona plama.

Chciała mu pomóc, uratować go, ale błysk w oczach Khloe zdradzał, że jeszcze nie skończyła. Ava przypomniała sobie ranę na szyi Jewel-Anne. Musi znaleźć jakąś broń. Pistolet, nóż, kij baseballowy, cokolwiek. Zdawała sobie sprawę, że policja nie dotrze na czas. Tylko ona mogła uratować Wyatta.

Pobiegła do holu i wybrała numer alarmowy, czując, jak uciekają bezcenne sekundy, być może dzielące jej męża od śmierci.

Zgłosiła się dyspozytorka o ochrypłym głosie.

- Słucham, w czym.... Ava nie dała jej dokończyć:

- Proszę przysłać policję na wyspę Church! Mój mąż jest ranny! O Boże, może już nie żyje!

- Halo? Proszę pani? Proszę się uspokoić. Jak się pani nazywa? Co się dzieje? Czy to napad?

- Nazywam się Ava Church Garrison i widzę, jak ktoś usiłuje zabić mojego męża! Tu, na wyspie. Proszę tu kogoś przysłać! - Nie zdołała opanować paniki w głosie. - Ma nóż! Chce go zabić!

- Jest pani świadkiem napaści?

- Tak, widzę to na ekranie telefonu! Dzięki kamerze! - wyjaśniła i zbiegła na parter. Miała coraz mniej czasu. Wyatt wykrwawiał się z każdą chwilą.

- Słucham?

- Zainstalowałam tu kamerę, wszystko widzę!

Biegła boso przez hol do gabinetu. Czas był jej wrogiem. Zegar zaczął wybijać godzinę. Każde uderzenie niosło się echem, odmierzało uderzenia serca Wyatta. Wyatta, który - uświadomiła sobie nagle - być może już nie żyje.

Wpadła do gabinetu. Zmuszała nogi, by poruszały się szybciej, ale środki uspokajające spowalniały ją. Uderzyła się w stopę.

- Cholera!

- Proszę pani? Pani Garrison? Dyżurna dyspozytorka nie rozłączała się.

- Proszę mnie wysłuchać! - błagała Ava. - Khloe Prescott dźgnęła mojego męża nożem! Przyslijcie tu kogoś, na miłość boską i to szybko!

- Widziała to pani na wyświetlaczu telefonu? - wyraźne powątpiewanie w jej głosie.

- Tak! Już mówiłam! - Zdenerwowana, podała adres. - Proszę zawiadomić detektywa Snydera albo detektyw Lyons. I proszę się pospieszyć!

- Pani Church, proszę się nie rozłączać...

- Nie mogę! - krzyknęła, rozłączyła się, znowu wybrała numer Derna. Nic. Napisała mu wiadomość tekstową: „Khloe dźgnęła Wyatta na strychu. Pomocy”.

Wysłała wiadomość i wyciszyła dźwięk w telefonie; nie mogła pozwolić, żeby dzwonek zdradził jej położenie. Szybciej, Avo, szybciej!

Umysł ją poganiał, ale ciało nie chciało słuchać. Poruszała się wolno, ale uparcie szła dalej. Pamiętała, że Wyatt miał pistolet w szufladzie biurka - była to kość niezgody, gdy mieszkał z nimi Noah.

Chciała otworzyć szufladę, ale była zamknięta. Niech to szlag!

- Szybciej! Szybciej! - dopingowała się, szukając kluczyka. Na szczęście był w tym samym miejscu, w którym przypadkowo znalazła go przed laty.

Drżącą dłonią wsunęła kluczyk do zamka, przekręciła i otworzyła szufladę.

Była pusta!

Awę ogarnęło przerażenie, ale przecież nie mogła się poddać, musiała znaleźć pieprzonego rugera, z którego Wyatt był taki dumny. W panice otwierała kolejne szuflady, wyrzucała ich zawartość na ziemię, szukając pistoletu. Bez skutku.

Khloe go ma!

Przecięła linie telefoniczne i zabrała broń.

Co teraz? - zastanawiała się gorączkowo.

Nie marnuj czasu! Idź do kuchni po nóż! Szybko! Jest ich pół tuzina na magnetycznym pasku nad kuchenką.

Z sercem w gardle ruszyła w stronę kuchni, spodziewając się ataku w każdej chwili. Kto jeszcze brał w tym udział? Trent? Jacob? Ian? Czy w ogóle tu są? Wcześniej wydawało jej się, że dom jest pusty, ajednak Khloe tu była. A Simon? Virginia? Wiedzą, że Khloe to morderczyni?

Weź się w garść. Nie martw się o nich, zajmij się Khloe, ratuj Wyatta. Może jeszcze jest czas! Pospiesz się!

Była już w drzwiach, ale czuła, że zwalnia, że coraz trudniej jej było się skoncentrować. Potknęła się w progu, nogi odmawiały jej posłuszeństwa. No dalej, dalej, dasz radę! Zebrała resztki sił i brnęła przez ciemność, rozjaśnianą tylko bladym światłem lampy na zewnątrz.

Pod oknem przemknął jakiś cień. Już miała krzyknąć, gdy zdała sobie sprawę, że to kot przyczaił się na blacie koło zlewu.

Znalazła po omacku kuchenkę gazową i przesunęła dłoń nad palnikami do magnetycznego paska, na którym znajdowały się noże. Dotykała ich po kolei, aż namacała gruby trzonek wielkiego noża rzeźnickiego. Chwyciła go, odwróciła się i spojrzała na ciemny łuk korytarza, w którym kryły się schody. Ponownie sięgnęła nad kuchenkę i na wszelki wypadek wzięła też mniejszy nóż, który wsunęła do kieszeni.

- Idę do ciebie, suko - wyszeptała ochryple przez ściśnięte gardło i weszła w mrok.

Jeden krok. Drugi.

Poruszała się po omacku i najciszej, jak mogła, żeby Khloe nie zorientowała się, że nadchodzi. Musi jązaskoczyć, unieść nóż do ciosu i... Skrzyp.

Gdzieś w oddali otworzyły się drzwi. O Boże!

Ava czuła, jak serce staje jej w gardle.

Wstrzymała oddech, żeby nie wydać najmniejszego dźwięku.

Z góry dobiegł dźwięk ostrożnych kroków. Ktoś się zbliżał, starając się unikać skrzypiących stopni. Khloe.

Boże, dopomóż.

Ava cofnęła się o te dwa kroki, które zrobiła wcześniej. Serce waliło jej jak młotem, zimny pot zalewał czoło. Rzeźnicki nóż ciążył jej w dłoni, jakby ważył sto kilogramów.

Dasz radę, powtarzała sobie w duchu. Pomyśl o Wyattcie... Zdradzał cię, może też brał udział w spisku, ale nie zasłużył na taką śmierć.

Skryła się w ciemności, tuż za rogiem, i przywarła plecami do ściany. Jeszcze nigdy w życiu nie bała się tak bardzo.

Kroki były coraz głośniejsze.

Coraz bliższe.

Ava nasłuchiwała i wytyczała wzrok w ciemności, szykując się do ataku.

Musiała poczekać na odpowiedni moment, żeby zaskoczyć Khloe. Rzuci się na nią, wyrwie jej nóż, rozbroi... To wystarczy.

Mimo chłodu panującego w holu ociekała potem. Zaciskała obie dłonie na rękojeści.

Gdzieś z daleka dobiegł warkot silnika łodzi.

Ava odetchnęła z ulgą.

Dern, to na pewno Dern.

Pospiesz się, błagam cię, pospiesz się!

Dźwięk kroków na schodach ucichł, jakby Khloe także usłyszała silnik i przystanąła. Po chwili cichy szmer stóp na posadzce rozległ się znowu. Był coraz bliżej... Wreszcie Khloe dotarła do kuchni i zatrzymała się, gdzieś pośrodku.

- Ava? - zapytała miękko. - Wiem, że tu jesteś. Ava wstrzymała oddech.

- Wychodź, no, wychodź, gdzie się schowałeś? - głos Khloe nabrał ostrości.

Ava ani drgnęła, tylko mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści noża. Wiedziała, że musi zachować czujność, ale była zmęczona... tak bardzo zmęczona...

- Aaava! - zawołała Khloe przeciągle, a gdy nie doczekała się odpowiedzi, spytała: - Widziałas to wszystko, prawda?

Ava z trudem przełknęła ślinę. Nóż zadrżał w jej dłoniach.

- Och, już rozumiem... Myślisz, że mnie dopadniesz, tak?

Ava, otumaniona środkami nasennymi, z trudem trzymała się na nogach, nawet adrenalina nie zdołała zneutralizować działania leków.

- Niestety, droga przyjaciółko, nie masz co na to liczyć! Teraz albo nigdy!
- pomyślała Ava.

Uniosła wielki rzeźniczy nóż i zaatakowała.

Nagle świat eksplodował oślepiającą jasnością. Ava odruchowo zacisnęła powieki. Gdy po chwili lekko je uchyliła, dostrzegła zdumioną twarz Khloe i ogromną latarkę w jej dłoni. W drugiej trzymała ten sam nóż, który wbiła w pierś Wyatta.

Zgłoszenie przyszło późno. Po północy. Dyspozytorka odnalazła Snydera i poinformowała go, że dzwoniła Ava Garrison, twierdząc, że właśnie widziała, jak Khloe Prescott próbuje zamordować jej męża i że być może on już nie żyje. Snyder dwa razy odsłuchał nagranie. Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale chociaż był na nogach od dwudziestu czterech godzin i dosłownie padał ze zmęczenia, natychmiast porozumiał się z kapitanem policyjnej łodzi, wsiadł do wozu patrolowego i pojechał do portu.

Lyons pewnie będzie wściekła, że po nią nie zadzwonił, nie chciał jednak czekać. Słyszał przerażenie w głosie Avey Garrison i wiedział, że kobieta ma poważne kłopoty. Bardzo poważne.

Przesłuchiwał ją przez cały dzień i nie miał cienia wątpliwości, że nie wzywałaby pomocy, gdyby nie musiała.

Pierwszy oddział interwencyjny był już w drodze na wyspę, wysłano też kuter straży przybrzeżnej i śmigłowiec, ale Snyder uznał, że powinien wybrać się tam osobiście.

Przejechał na żółtym świetle, a na czerwonym tylko trochę zwolnił, bo miał włączonego koguta na dachu, a o tej porze ulice były całkiem puste. Za skrzyżowaniem ostro wziął zakręt i chwilę później znalazł się na nabrzeżu, hamując z piskiem opon. Nad wodą gromadziła się mgła; zanosilo się, że zanim wzejdzie słońce, spowije wszystko gęstym obłokiem.

Łódź już czekała.

Z Lyons na pokładzie.

- Co tak długo? - zapytała Snydera, rzucając mu kamizelkę ratunkową i spojrzenie, które zdawało się mówić: nigdy więcej nie próbuj ze mną takich numerów.

- Idź do diabła - burknął, ale w głębi duszy ucieszył się na jej widok.

~ Wzajemnie - odparła i zwróciła się do kapitana: - Odbijamy' Pomknęli po atramentowej wodzie przez mgłę, zbliżając się do nie wiadomo czego.

- Ty suko! - wrzasnęła Khloe, gdy Ava wbiła nóż w jej bark

Wypuściła z ręki latarkę, która uderzyła głucho o posadzkę i potoczyła się po podłodze, a snop światła tańczył wariacko na suficie

Obie straciły równowagę i runęły na ziemię.

Khloe, nie zważając na ból w zranionym ramieniu, uniosła drugą rękę, w której trzymała nóż, i zamierzyła się do ciosu. Ava zdążyła się uchylić, zanim ostrze dosięgło jej ciała.

W dziwnym świetle turlającej się latarki widziała twarz dawnej przyjaciółki, wykrzywioną grymasem bólu i nienawiści.

Khloe uwolniła rękę uzbrojoną w nóż i ponownie próbowała ugodzić Avę.

Raz, drugi, trzeci...

Dźgała na oślep, za każdym razem chybiając. Sfrustrowana wydała z siebie dziki wrzask i kopnęła z całej siły, trafiając Avę w pizczel

Boi był tak intensywny, że Avie zrobiło się ciemno przed oczami i na kilka sekund straciła oddech.

Gdy po chwili nieco ochłonęła, usłyszała plaśnięcie i stłumiony jęk - to Khloe wyjęła nóż z rany. Ava odczołgała się od niej i usiłowała wstać, ale jej bosa stopy ślizgały się w ciepłej, lepkiej krwi.

- Powinam była cię zabić, kiedy miałam okazję - syknęła Khloe

- Więc czemu tego nie zrobiłaś? - spytała Ava, siląc się na spokój. - Okazji ci nie brakowało.

Wiedziała, że nie może spuszczać byłej przyjaciółki z oczu ani dać się sprowokować. Najlepiej pozwolić jej mówić.

- Nie rozumiesz, kretynko, że to miało wyglądać na wypadek? A upozorowanie wypadku wcale nie jest takie proste, jak pokazują na filmach. ³

- Ale tamte trzy zabójstwa nie wyglądały na wypadki - zauważyła Ava.

Cały czas wpatrywała się w nóż w dłoni Khloe i modliła się o jak najszybsze przybycie policji. Derna. Kogokolwiek. Przecież kilka minut temu słyszała warkot łodzi. Gdzie ona się podziewa, do cholery?

Ajesh nikt nie przyjdzie jej na ratunek? Albo pojawi się za późno? Nie mogła czekać. Musiała radzić sobie sama.

Ranną Khloe łatwo będzie unieszkodliwić, ale do tego potrzebny jest nóż. Musi go znaleźć, na pewno leży gdzieś w zasięgu ręki. Zanim zaczęła rozglądać się za rzeźnickim nożem, którym ugodziła Khloe, przypomniała sobie, że w kieszeni ma drugi, mniejszy. Jak to dobrze, że go wzięła!

- Bo nie musiały - wyjaśniła Khloe, zadowolona, że może się pochwalić swoją przebiegłością. - Chodziło o to, żeby policjanci uznali, że popełniła je wariatka, czyli ty.

- Nie miałam powodu ich zabijać - powiedziała Ava i wsunęła rękę do kieszeni.

- Nienawidziłaś ich...

- Nie! Nie Cheryl! - krzyknęła i pomyślała o miłej, dobrej kobiecie, która wprowadzała ją w trans, by pomóc jej walczyć z demonami. Dotknęła noża tkwiącego w kieszeni. Musiała za wszelką cenę podtrzymać rozmowę z Khloe, by odwrócić jej uwagę. - Z jakiego powodu miałabym zabijać Cheryl?

- Bo znała wszystkie twoje tajemnice. Zresztą będą mieli dowód, kiedy znajdą w twojej garderobie pod podłogą nagrania waszych sesji.

- Jakie nagrania...? Ja nie... Dostrzegła satysfakcję w spojrzeniu Khloe.

- Znajduje tam - zapewniła, chwiejąc się lekko. Nadal krwawiła, czerwony strumyk spływał jej po ręce.

- Dlaczego je zabiłaś? - spytała Ava.

- Zamknij się! - wrzasnęła Khloe i dodała ciszej: - Bo za dużo wiedziały. Wszystkie takim czy innym sposobem dowiedziały się o mnie i o Wyattcie. Musiały umrzeć. - Dyszała ciężko, chrapliwie, zraniona ręka zwisała jej bezwładnie wzdłuż ciała. - Powiedz mi, dziwko, jakie to uczucie stracić miłość swojego życia?

- Co? - W pierwszej chwili Ava pomyślała o Demie.

- Twojego męża! - warknęła Khloe.

Ava odsuwała się ukradkiem. Myślała gorączkowo. Czy Khloe jest ciężko ranna? Pchnęła ją z całej siły, ale ona była coraz bliżej.

- Wyatt! Musimy go ratować! - Ava zacisnęła dłoń na rękojeści noża w kieszeni.

- On nie żyje.

- Nie!

- Ależ tak - zapewniła Khloe z wyraźnym zadowoleniem. - Zadbłam o to. Nie zostawiam niedokończonych spraw.

- Ale przecież ty i on... wy... O Boże... - szepnęła. Zbierało jej się na mdłości. Nie dlatego, że go kochała, ale że zginął z ręki Khloe. - Jak mogłaś? - Z drugiej strony, jak to możliwe, żeby jej dawna przyjaciółka przeistoczyła się w bezlitosną, okrutną morderczynię?

- A co cię to obchodzi? - Khloe wykrzywiła usta w uśmiechu - Wiesz, jak łatwo było go uwieść? Zrobiłam to, żeby się na tobie odegrać. - Rozciągała usta coraz szerzej, ale jej uśmiech zmieniał się w grymas bólu. Osaczanie Avy sprawiało jej przyjemność, bawiła się ofiarą.

- Odegrać? Za co?

- Za wszystko! Za ten dom! Za twój majątek! Za to, że dorastałaś jak księżniczka, a ja musiałam opiekować się rodzeństwem! Wiesz, co czułam, pracując dla ciebie, razem z matką i mężem? - Khloe potrząsnęła rękami, rozpryskując krew.

Tłumiony od lat gniew eksplodował z pełną siłą.

- Potem byli mężczyźni. W szkole nie mogłaś sobie darować, żeby me umówić się z moim chłopakiem.

- Mel? To było wieki temu... - Zdumiała ją siła nienawiści dawnej przyjaciółki. Zaciśnęła dłoń na rękojeści noża.

- A potem Kelvin. Miałam nadzieję na lepsze życie, na odrobinę tego, co dla ciebie było codziennością ale wtedy namówiłaś go na wyprawę...

- To był wypadek.

- Ale to ty wszystko odziedziczyłaś. - Złość wykrzywiła jej usta. Była coraz bliżej. - Bez trudu uwiodłam Wyatta. Posłużyłam się nim dla zemsty. Dzięki niemu część tego wszystkiego może przypaść mi w udziale. - Zatoczyła nożem krąg, obejmując kuchnię, dom, całą posiadłość.

- Przecież go zabiłaś! - To nie miało sensu. Ava wciąż cofała się powoli. Musiała ciągnąć tę grę jak najdłużej, korzystając z tego, że Khloe najwyraźniej chciała się wygadać, opowiedzieć jej wszystko ze szczegółami. Obie wiedziały, że Ava nie zdoła stąd uciec.

- Bo dupek stchórzył! Nie chciał pociągnąć tego do końca! Pieprzył jakieś głupoty, że zamierza zacząć wszystko od nowa, z tobą! Podobało mu się życie, jakie miał dzięki tobie. Dlatego rozwód nie wchodził w grę, wołał, żebyś żyła, zamknięta w wariatkowie, a on miałby wszystko w swoim ręku.

- A ty...

- A ja miałam lepszy pomysł! Zorientowałam się, co robi Jewel-Anne, i czekałam. Gdyby doprowadziła cię do ostateczności, popełniłabyś samobójstwo. Kiedy to się nie udało, uruchomiłam plan awaryjny.

- Morderstwa, którymi chciałaś obciążyć mnie.

- No proszę, jednak nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz. Avie zależało, żeby Khloe mówiła dalej. Była już blisko ściany.

Teraz wystarczy tylko dopaść drzwi, uderzyć nimi Khloe w twarz, pchnąć w brzuch i uciekać. Ale dokąd?

Do hangaru! Może zdąży, może kluczyki są w stacyjce. Oby... Na miłość boską, niech Khloe mówi dalej!

- A Simon?

- Co: Simon?

- To przecież twój mąż.

- Już niedługo. Skurwiel uderzył mnie o kilka razy za dużo. Rozwodzę się, on już wie, nie będzie protestował. - Zatrzymała się i zamrugała, jakby chciała zebrać umykające myśli. Może rana była poważniejsza, niż jej się wydawało.

Ava znów usłyszała warkot silnika. A nawet kilku. Och Boże, proszę... Khloe zrobiła kolejny krok.

- Najlepiej byłoby, gdybyś po prostu utonęła, zgodnie z planem. Wtedy, kiedy ci się zdawało, że widzisz swojego bachora. To by było idealne rozwiązanie!

- Noaha? - szepnęła Ava. Dotknęła plecami framugi drzwi.

- Oczywiście, że Noaha. Podmieniliśmy tabletki, które łykałaś, na halucynogeny, ale w końcu się połapałaś.

- Nie do wiary.

- Czyżby? Byłaś gotowa zrobić wszystko dla dzieciaka. Wiedzieliśmy, że tym sposobem możemy tobą manipulować.

- My?

- Jewel-Anne, Wyatt i ja, a co myślałaś? Najlepsze w tym wszystkim, że to nawet nie było twoje dziecko. Zabawne, co? On nie był twój.

- Był... jest mój! - Ava mówiła z trudem, ledwo zachowując przytomność.

- Przynajmniej mieszkał z prawdziwym ojcem.

- Co?

- Naprawdę nie wiesz? - Khloe szykowała się do ostatecznego ciosu. - Lester Reece nie jest ojcem Noaha, to wszystko bujda, na wypadek gdyby coś ci nie pasowało.

- Co? - Avie kręciło się w głowie. Wciąż jeszcze nie dotarło do niej na dobre, że Reece był kochankiem Jewel-Anne i biologicznym ojcem Noaha, a teraz dowiadywała się czegoś innego. - Wyatt?

Khloe uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją.

- Wyatt i Jewel-Anne? - Avie zrobiło się słabo.

- Oczywiście! Ależ ty jesteś naiwna! Przecież właśnie dlatego Wyatt chciał, żeby została na wyspie!

Ava usiłowała poskładać kawałki układanki. To wszystko nie miało sensu, czuła, jak jej umysł pracuje coraz wolniej, środek nasenny działał coraz skuteczniej. Żeby tylko nie upuścić noża.

- Zrobił dzieci wam obu w tym samym czasie. To ci dopiero numer, prawda?

Ava wzdrygnęła się.

- Wyatt i Jewel-Anne? Niemożliwe.

- Niemożliwe? To szczerą prawdą! Nigdy cię nie zastanowiło, skąd się bierze arogancja Jewel-Anne? Dlaczego zawsze była taka pewna siebie? Zerwała z Lesterem, zanim zaszła w ciążę, ale nikt o tym nie wiedział, poza nią i Wyattem.

- To bzdury! - rzuciła Ava. Musi mocno trzymać nóż i czekać na odpowiednią chwilę. Żeby go tylko nie upuścić!

- Nie potrafisz zmierzyć się z prawdą. Jewel-Anne czuła się od ciebie lepsza, bo miała coś, czego nie miałaś ty, wielka bizneswoman! - Od Khloe aż biła nienawiść. - Twojego idealnego mężusia i twoje śliczne dzieciątko!

- Jesteś nienormalna - szepnęła Ava. Nadal cofała się powoli, walcząc z sennością. - Pomagałaś jej, to ty zakopałaś lalkę w trumnie' A potem poderzynałaś gardło jej i lalkom.

- Mówiłam już, że wiedziała za dużo. Tak samo jak pozostałe.

- Nie wierzę ci - skłamała Ava.

- Przypominasz sobie blizny na nadgarstkach? Jak myślisz, skąd się tam wzięły? Naprawdę wierzysz, że sama chciałaś się zabić? - pytała drwiąco Khloe, gdy Ava dotknęła ramieniem ściany. Dalej nie mogła się cofać, była już przy drzwiach. - Nie pamiętasz, kto wsadził cię do wanny, namydlił, podał wino ze środkiem nasennym?

Ava zamrugała. Usiłowała myśleć logicznie, ale głowa ciążyła jej coraz bardziej, tak samo jak tamtej nocy, gdy Wyatt pomógł jej wejść do wanny, dołął płynu do kąpieli, całował jej mokrą szyję, przyłożył brzytwę do nadgarstków... Piana zrobiła się różowa od jej krwi.

Zakręciło jej się w głowie. A więc to był Wyatt? Odurzył ją i podciął żyły, żeby jej śmierć wyglądała na samobójstwo? Nie mogła w to uwierzyć, ale szybko uporowała się z wątpliwościami. Była tylko pionkiem w ręku Wyatta Garrisona i sama od dawna ułatwiała mu życie. Nie chciał się z nią rozwieść - był na to zbyt chciwy, chciał mieć wszystko. Gdyby została zamordowana, byłby pierwszym podejrzanym, ale gdyby oszalała i zabiła się sama, stałby się nieutulonym w żalu wdowcem. Czowała, że zaraz zwymiotuje.

- W końcu do ciebie dotarło? - Khloe wydawała się zadowolona, jednak jej głos wciąż słabł.

Nóż! Próbowwała wyciągnąć go z kieszeni, ale Khloe z dezaprobatą pokręciła głową.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała, odkładając latarkę na kontuar. - Przypuszczam, że masz jeszcze jakąś broń. Nóż? Gaz pieprzowy? Daruj sobie. - Wciągnęła głęboko powietrze przez zaciśnięte zęby, pewnie pod wpływem nagłego bólu. - Możesz się też przestać martwić o swojego bachora. On nie żyje. Wyszedł wtedy z domu i utonął.

- Znowu łziesz! - wrzasnęła Ava, ale serce jej pękało. Zaciśnęła dłoń na nożu.

- Spójrz prawdzie w oczy, jego już nie ma. Wydałaś kupę forsy, poświęciłaś mnóstwo czasu i energii, żeby odnaleźć dzieciaka, którego twój mąż zrobił twojej kuzynce i który już nigdy nie wróci.

Ava prawie nie słyszała tej tyrady, wszystko zagłuszał huk w jej głowie. Świadomość, że Noah nie żyje, odebrała jej resztkę sił. Ale Khloe nie mogła przestać mówić.

- Po wypadku Wyatt zerwał z Jewel-Anne, ale ona nigdy nie dała mu zapomnieć, że jest jej dłużnikiem. Ależ to była suka! Zresztą to pomogło mi włączyć się do gry. Początkowo Wyatt tylko mnie pocieszał po śmierci Kelvina, ale sprawy szybko nabrały rumieńców. Simon? To pionek, nadał się w sam raz do tego, żeby wzbudzić w Wyacie zazdrość, zmusić go do działania, do wymyślenia, jak się ciebie pozbyć! Choć od początku było jasne, że sam nic nie zrobi. - Zaśmiała się gorzko. - A tobie, idiotko, nawet nie przyszło do głowy, że ma romans ze mną, a nie z tą cholerną lekarką! - Oparła się o kontuar, jakby zabrakło jej sił. - Wiesz, Ava, jesteś tak głupia, że naprawdę zasłużyłaś na śmierć!

Nagle rzuciła się do ataku. Rozległ się głośny wrzask. Khloe się potknęła.

Po podłodze przemknął jakiś cień, sycząc i prychnając. Kot!

Khloe pochyliła się w przód, usiłując odzyskać równowagę. Ava wyciągnęła nóż i stanęła na nogi, próbując uchylić się przed ciosem. Za późno.

Jej ramię eksplodowało bólem. Zatoczyła się do tyłu.

- Boli cię, suko?! - rzuciła Khloe. Znowu uniosła nóż.

- Zaraz się dowiesz! - Ava z całej siły wbiła jej nóż w pierś. Khloe zatoczyła się. Ava dopadła drzwi, pchnęła je ramieniem i co sił w nogach pobiegła nad wodę.

Jak najdalej od Khloe.

Jak najdalej od Neptune's Gate.

Jak najdalej od koszmarnej świadomości, że Noah nie żyje.

Biegła coraz szybciej, zmuszała nogi do pracy, potykała się, ślizgała na mokrym żwirze. Czowała, jak jej skórę oblepia wilgotna mgła.

Miała zupełny mętlik w głowie, wyobraźnia podsuwała jej makabryczne sceny. Kilka lat wcześniej Wyatt zamierzał ją zabić. Chciał, żeby jej śmierć wyglądała na samobójstwo, a teraz sam jest martwy, leży na strychu w kałuży krwi. Ale to nie dlatego z oczu ciekły jej łzy. Płakała z żalu, że nigdy już nie zobaczy Noaha.

Powracały wspomnienia: rozbawiony, roześmiany Noah biegł do niej, wołając:

- Chodź, mamusiu! Chodź! - Chichotał i uciekał, szybko przebierając małymi nóżkami. Raz po raz zerkał za siebie, chcąc się upewnić, że mama jest tuż za nim.

Kochane maleństwo.

Och, syneczku, mamusia zawsze będzie cię kochała. Biegając do hangaru, czuła na ramieniu ciepłą krew. Może uda jej się uruchomić łódź. Nagle kątem oka dostrzegła światło, całkiem niedaleko. Latarka Khloe.

Usłyszała za sobą nierówne kroki.

Nie zwalnij, biegnij dalej! Khloe jest ciężej ranna, nie zdoła cię dogonić!

Obejrzała się przez ramię. Khloe biegła z trudem, jej twarz wykrzywił grymas bólu, krew spływała jej po ramieniu, na piersi rosła czerwona plama. W zdrowej ręce trzymała nóż i latarkę. Patrzyła na Avę nienawistnym wzrokiem, groźnie zaciskając zęby. Wściekłość dodawała jej sił i było jasne, że nie spocznie, dopóki nie pozbędzie się

Avy tak jak pozostałych. Już jej nie wystarczy, że to Ava jest główną podejrzaną; teraz chciała jednego - zabić ją!

Ava pędziła w dół wzgórza, na pomost. Nerwowo, w panice. Bose stopy uderzały o mokre deski, zachłysnęła się zimnym, wilgotnym powietrzem i nagle poczuła ulgę. Kiedy biegła, strach został za nią.

Mgła gęstniała z każdą chwilą. Nie widziała świateł Anchorville, ale słyszała charakterystyczny warkot silnika, wiedziała, że łodzie są coraz bliżej. Nagle jednak przestało jej zależeć na ratunku. Ciemna woda pod pomostem kusila, wabiła, obiecywała schronienie przed szaleństwem i bólem, jakimi stało się jej życie. Tak łatwo byłoby skoczyć...

Khloe zdawała się wyczuwać, co się dzieje.

- O nie, Avo! Nie odbieraj mi satysfakcji z...

Ava zmusiła nogi do jeszcze szybszego biegu, coraz bliżej ciemnej pustki. Deski pod jej stopami nagle zniknęły i wtedy skoczyła, rzuciła się w ciemność.

Komórka Derna ożyła na chwilę i zobaczył wiadomość od Avy. „Khloe dzgnęła Wyatta na strychu. Pomocy”. Co to ma znaczyć? Khloe? Wyatta? Po raz kolejny próbował się z nią połączyć, ale telefon znowu odmówił współpracy.

- Ile jeszcze? - zawołał do Johansena.

- Pięć minut.

Za długo, zdecydowanie za długo.

- Postaraj się, żeby to były trzy! - krzyknął, z napięciem wpatrując się w ciemność. -1 wezwij policję. Będzie nam potrzebne wsparcie.

- Czemu? - zapytał Johansen.

- Nie wiem.

Trzymaj się, Avo, trzymaj się, do cholery!

Johansen uruchomił radio, a Dern zobaczył w oddali światła Monroe. Może jednak zdążą jeszcze nie wszystko stracone! Oby, Boże, oby. Nigdy nie czuł się równie bezsilny. Z całej siły zaciskał zęby.

Khloe Prescott? To ona stała za tym wszystkim? Nie Wyatt? Dałby sobie rękę uciąć, że ten dupek maczał palce w próbach wpędzenia Avy w szaleństwo, że to on knuł z Jewel-Anne. A teraz okazuje się, że Garrison jest ranny, że może już nie żyje. A zabiła go Khloe.

Jego zdenerwowanie sięgnęło zenitu. Miał nadzieję, że Ava nie zrobi żadnego głupstwa, wyteżał wzrok, szukał zwałistej sylwetki Neptune's Gate. Ale otaczała go tylko ciemność.

Zły znak.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Szybciej, do cholery!

Musi do niej dotrzeć, zanim będzie za późno.

Lodowata woda otoczyła ją pobudziła uśpione nerwy, oszołomiony umysł, jednak ten przeblysłk świadomości trwał krótko. Miała nadzieję, że zimno wytrąci ją z odrętwienia, ale myliła się. Czuła, jak ciężą jej powieki. Ani adrenalina, ani lodowata woda nie zdołały pokonać środków usypiających. Ruszała nogami, lecz bez dawnej siły.

Walcz, Avo, powtarzała racjonalna część jej umysłu, ale inna kusiała, żeby się poddać. Ulec...

Pod wodą był spokój, błogość, chociaż słyszała coraz bliższy warkot silników.

Wypłynęła na powierzchnię, chciwie zaczerpnęła powietrza, odgarnęła włosy z oczu.

W mdłym błękitnym świetle lampy na hangarze dostrzegła Khloe, która uparcie stała na pomoście, jakby pilnowała, żeby Ava nie wyszła na brzeg. Błada, osłabiona, wciąż ścisnęła nóż w dłoni, nadal gotowa walczyć, jakby nie czuła krwi spływającej z barku, płamiącej sweter.

- Zostań tam, suko - warknęła na widok Avy, najwyraźniej zadowolona, że ta utonie. - Doskonale. Umrzesz jak wariatka, za jaką uchodzisz!

Ty pierwsza, pomyślała Ava. Starła się utrzymać na powierzchni, zbliżyć do pomostu.

- Tylko spróbuj, dziwko! - ostrzegła Khloe.

Ava traciła siły, powoli osuwała się w lodowatą słoną głębię. Dawniej była świetnapływaczką teraz słabła z każdą chwilą z upływu krwi.

Ostatkiem sił walczyła z lodowatą wodą i środkiem nasennym -i przegrywała. Miała przed oczami Derna i Noaha. Po raz ostatni spojrzała na pomost i zobaczyła, że ktoś biegnie w stronę Khloe.

Bogu dzięki!

Nadchodzi pomoc!

Mężczyzna, wysoki, szybki, znajomy. Khloe obejrzała się przez ramię.

Ava chciała zawołać do niego, uprzedzić, że Khloe ma nóż, ale zanim otworzyła usta, rozpoznała go i głos uwiązł jej w gardle. Nie, to niemożliwe! Nie!

Jednak gdy mężczyzna znalazł się w zasięgu lampy, niemożliwe stało się rzeczywistością. Wyatt podbiegł do kochanki. Nie wierzyła własnym oczom.

To na pewno halucynacje, powtarzała sobie. On przecież nie żyje, Khloe pchnęła go nożem, sama przyznała, że go zabiła, że nie zostawia niedokończonych spraw.

Ava patrzyła jak zaczarowana. Obrazy wirowały jej przed oczami. Czy on tam jest naprawdę, czy to tylko twór jej udręczonej wyobraźni?

Jak Noah.

Chyba naprawdę oszalała!

Wyatt czule objął Khloe, przyciągnął do siebie, a potem odwrócił się i popatrzył na zatokę, na tonącą żonę...

I wtedy się uśmiechnął, jakby brał w tym wszystkim udział, jakby to nie był jej plan, ale ich obojga, wspólny.

Ava przekonywała samą siebie, że Wyatt to tylko twór jej wyobraźni. Tak, na pewno tak jest.

To wszystko nie miało sensu. No bo skoro Wyatt żyje, dlaczego Khloe tak zależało, żeby uwierzyła, że zginął? Że to ona go zabiła?

Dlatego, uświadomiła sobie w nagłym przebłysku, żeby już na pewno postradała rozum, czy jeszcze lepiej - żeby sprawiała takie wrażenie, kiedy będzie rozmawiała z policją.

Co za podłość. Jakże musieli jej oboje nienawidzić. Woda wciągała ją, zalewała oczy, widziała jednak wyraźnie, jak Wyatt pocałował Khloe, mocno, z namiętnością, o którą go nie posądzała. Zrobił to celowo. Khloe chciała odwzajemnić pocałunek, ale ślaniała się na nogach, z jej ramienia płynęła krew. Upuściła nóż i latarkę.

Ava zrozumiała, że morderstwo było udawane: miało ją sprowokować wywabić z domu, na pomost, do wody. A ona, idiotka, dała się nabrać. Nic dziwnego, że nóż, z którym Khloe zeszła na parter, był czysty, bez śladu krwi. Wyatt pewnie miał na sobie kamizelkę.

Ale nie Khloe. Zgubiła ją pycha; była tak pewna, że Ava jej nie zagrozi, że straciła czujność, naraziła się na cios.

Teraz stała na pomoście ze swoim kochankiem i współnikiem w zbrodniach. Całowali się, upojeni zwycięstwem, nie zwracając uwagi na swoją ostatnią ofiarę. Ava utonie w zatoce, a rana Khloe pozwoli im ją przedstawić jako szaloną desperatkę, która zamordowała trzy kobiety, próbowała zabić czwartą i na koniec popełniła samobójstwo. Idealnie...

Choć to nie miało znaczenia. Już nie.

Ava tonęła powoli, woda zalewała ją tak, jak w jej wizjach Noaha. Tętno huczało jej w głowie, krąg światła jaśniał jak księżyc. Było jej zimno, tak strasznie zimno. Jasność kusila. Czas odejść...

- Masz broń? - Dern starał się przekrzywić ryk silnika, gdy zbliżali się do wyspy.

Kierowali się do Neptune's Gate i byli już tak blisko, że z mgły wynurzył się pomost i hangar. Za nimi płynęły inne łodzie, pewnie policyjne, ale to „Holy Terror” pierwszy dobija do brzegu. Dera obawiał się jednak, że jest za późno. Żołądek ścisnął mu się boleśnie na tę myśl. Za wszelką cenę chciał już znaleźć się na wyspie.

Johansen, stojący za sterami, wpatrywał się w mrok.

- Mam harpun, a co?

- I nic więcej?

- Nie, do diabła, jestem żeglarzem, nie zabójcą!

- A może masz chociaż race?

- Race mam.

- Dawaj!

Johansen spojrzał na niego z ukosa.

- Po co? Co tu się dzieje, do cholery?

- Nie wiem - odparł Dern - ale na pewno nic dobrego.

Wyteżał wzrok, widział już lampę na hangarze. W jej mdłym błękitnym świetle dostrzegł dwie sylwetki na pomoście. Dwie osoby wtulone w siebie, jakby się wzajemnie podtrzymywały.

- Co jest? - Johansen też ich zobaczył.

Byli do tego stopnia zajęci sobą że nawet nie podnieśli głów, słysząc nadpływającą łódź. I wtedy Dern zauważył kogoś jeszcze - ciało w wodzie, unoszące się bezwładnie na brzuchu.

Serce stanęło mu w piersi.

Ava! Na miłość boską!

- Tutaj! - wrzasnął, ale Johansen też dostrzegł nieruchomą postać i już do niej podpływał.

- Sukinsyn - mruknął.

Jezu, nie! Niech to nie będzie ona.

Mężczyzna na pomoście machał rozpaczliwie, żeby odpłynęli. Jakby obawiał się, że uderzą w ciało.

- Co tu się dzieje? - sapnął Johansen. - Czy to nie jest przypadkiem...?

- Wyatt Garrison. - Dupek we własnej osobie. Z Khloe? Khloe, która rzekomo pchnęła go nożem? A teraz się obejmują?

To wszystko było bardzo dziwne. Czyżby pokłócili się i ona go dźgnęła, a teraz się godzą? Nie miał pojęcia, co się wydarzyło na tej przeklętej wyspie, ale nie miał również czasu do namysłu.

Johansen przygotował harpun i pistolet na race. Dern wziął mniejszą broń, upewnił się, że jest naładowana, zdjął kurtkę i buty, stanął na burcie i wsunął raketnicę za pasek dżinsów.

- Matko Boska - mruknął Butch, podpływając tak blisko ciała, jak to było możliwe. - Co ty wyprawiasz?

- A jak myślisz? - Dern skoczył w lodowatą toń, nie zważając na krzyki pary na pomoście. Miał ich wszystkich w nosie, liczyła się tylko Ava. Nie może umrzeć! Nie może! Musi ją uratować!

- Co tam się dzieje, do cholery? - Sny der wpatrywał się w pomost. „Holy Terror”, który był już blisko brzegu, zwolnił. Na pomoście

stali, wtuleni w siebie, kobieta i mężczyzna. Ktoś płynął w stronę, jak się wydawało, topielca.

- Zdaje się, że doszło do niezłej rozróby - stwierdziła Lyons, sięgając po pistolet. - Bliżej! - rzuciła do sternika. - Zabawa się zaczyna!

Sny der także wyjął broń z kabury, cały czas obserwując zajście na pomoście. Mężczyzna - czyżby Garrison? - najwyraźniej dopiero teraz zauważył policyjną łódź i wyraz jego twarzy błyskawicznie się zmienił. Zdumienie ustąpiło przerażeniu, jakby w tej jednej chwili w pełni do niego dotarło, co się dzieje.

Łódź była coraz bliżej. Wyatt Garrison wycofywał się, ciągnąc za sobą kobietę, ona jednak osuwała się bezwładnie. Na jej swetrze widniała duża czerwona plama.

O co w tym wszystkim chodzi, do cholery, zastanawiał się Snyder.

- Niedobrze - powiedział do partnerki, jakby nie widziała tego samego co on. - Osoby postronne blokują podejście do pomostu. Dwie w wodzie, trzecia za sterem „Holy Terror”. Jedna prawdopodobnie nie żyje.

- Może w końcu się coś wyjaśni - mruknęła Lyons.

Nad ich głowami rytmicznie stukały łopaty helikoptera. Silne reflektory oświetliły pomost.

Garrison spojrział w górę na śmigłowiec, a potem znowu na policyjną motorówkę. Spanikowany, ciągnął za sobą bezwładne ciało Khloe Prescott. Po opanowanym prawniku nie było już śladu.

- Nie ma dokąd uciec na tej cholernej wyspie - stwierdziła Lyons i sięgnęła po megafon. - Garrison, stój! Policja! - Jej głos, wzmocniony megafonem, niósł się po wodzie. - Zatrzymaj się i podnieś ręce do góry!

Puścił jej słowa mimo uszu. Zmienił kierunek i teraz zmierzał do hangaru, cały czas wlokąc nieruchomą Khloe.

- Jose, zablokuj wyjście z przystani! - zawołał Snyder do sternika. - Nie może wypłynąć na otwartą wodę. - Wskazał palcem drugą łódź. - I skontaktuj się z tym palantem na „Holy Terror”. Niech nam zejdzie z drogi, do jasnej cholery!

Dern płynął w stronę Avy.

Łopaty śmigła przecinały nocne powietrze, a jasne światło z reflektora helikoptera zalało wzburzoną wodę i pomost.

Dern słyszał warkot silnika innej łodzi, ale cały czas wpatrywał się w ciało Avy, unoszące się bezwładnie na powierzchni. Muszę zdążyć, muszę ją uratować. Nie mogę jej stracić, powtarzał sobie w duchu. Płynął najszybciej, jak mógł, a adrenalina dodawała mu sił.

Dopał do niej, odwrócił na plecy i zawrócił do brzegu, w stronę pomostu, na którym Wyatt ciągnął z wysiłkiem nieprzytomną albo martwą Khloe.

- Garrison, stój! Policja! - wołał kobiecy głos przez megafon. Echo niosło go daleko w morze. - Zatrzymaj się i podnieś ręce do góry!

Wyatt spojrział na śmigłowiec, potem na Dema...

- Pieprzyć to! - wysapał i dalej ciągnął Khloe w stronę hangaru.

Gdy Dern dopływał do brzegu, a policjantka po raz kolejny wezwała, żeby się poddał, puścił ją jakby zrozumiał, że nie ma już kogo ratować i musi zadbać o własną skórę. Khloe bezwładnie osunęła się na ziemię, a on ruszył biegiem w kierunku hangaru.

- Stój! - zawołała policjantka stojąca na łodzi, która właśnie podpłynęła do brzegu, odcinając mu drogę ucieczki.

Ale Wyatt nie zamierzał się poddawać. Zatrzymał się, odwrócił i sięgnął do kieszeni po broń.

Tymczasem Dern wyciągnął nieprzytomną Awę na brzeg i ułożył niedaleko pomostu. Z rany na jej ramieniu sączyła się krew.

- Trzymaj się, kochanie - szepnął, pełen obaw, że jest już za późno.

Na samą myśl o tym serce ścisnęło mu się boleśnie. Nie miał pojęcia, jak długo leżała w wodzie, ale kiedy ułożył ją na piasku, zorientował się, że nie oddycha. Przyłożył palce do jej szyi, nie wyczuł jednak pulsu. Była nieruchoma, sina i zimna.

- Oddychaj, Avo! - zaklinał, uciskając jej klatkę piersiową. - Oddychaj, na miłość boską! Dasz radę. Nie poddawaj się, do cholery! Proszę cię! Wróć do mnie! Nie umieraj! Słyszysz? Nie możesz umrzeć. Kocham cię, do cholery! Słyszysz? Kocham cię... - głos mu się załamał. Rozpaczliwie próbował przywrócić jej oddech, ale nie wyczuwał żadnej reakcji.

Lyons zaklęła pod nosem, gdy Garrison dobiegł do hangaru, zorientował się, że tędy się nie wydostanie, i sięgnął do kieszeni po pistolet.

- On ma broń! - krzyknęła.

Snyder obserwował prawnika i też widział, jak wyciąga pistolet.

- Sukinsyn!

Niedobrze, bardzo niedobrze. Spojrzał w stronę pomostu. Dern położył nieprzytomną kobietę na piasku i udzielał jej pierwszej pomocy - chyba bezskutecznie. Detektyw wprawdzie nie widział, kto to jest, ale założyłby się o swoją odznakę, że Ava Garrison.

Lyons podniosła megafon do ust.

- Garrison, rzuć broń! Rzuć broń i podnieś... O cholera! Bum! Bum! Bum!

Garrison strzelał na oślep, jedna kula trafiła w kadłub, druga zbiła boczną szybę motorówki. Odwrócił się i wycelował w Derna i bezwładną postać koło niego.

Lyons znowu krzyknęła do megafonu:

- Rzuć broń!

Garrison nadal ją ignorował.

- O nie! - Snyder uniósł pistolet i oddał strzał ostrzegawczy. - Co on wyprawia, do jasnej cholery?!

Ava zakrztusiła się, z jej ust i nosa chlusnęła woda. Zaczepnęła powietrza i zaniosła się spazmatycznym kaszlem. Było ciemno, świat

wirował przed jej oczami, ale widziała twarz Derna. Dookoła panował ogłuszający hałas i wiał porywisty wiatr.

Gdzie ja jestem? - zastanawiała się. Poczowała pod sobą piasek i zorientowała się, że jest na dworze.

Nie miała jednak pojęcia, jak się tu znalazła i dlaczego jest mokra.

- Ava! - Dera uśmiechnął się do niej, a świat dalej kręcił się jak szalony.

Przewróciła się na bok i zwymiotowała gwałtownie, opróżniając płuca i żołądek ze słonej morskiej wody.

Po chwili zwymiotowała jeszcze raz i świat wreszcie przestał wirować.

Bum! Bum! Bum!

Strzały?

Dern nakrył ją własnym ciałem, osłaniając przed kulami, ale nad jego ramieniem zobaczyła, jak Wyatt przyklęka na pomoście i celuje w jego plecy. W tym momencie wszystko sobie przypomniała.

- Nie! - krzyknęła.

Dern, widząc przerażenie w jej oczach, odwrócił się i sięgnął do paska przemoczonych dżinsów.

- Uważaj! - wrzasnęła ochryple. Bum!

Wyatt strzelił.

Na szczęście chybił.

W miejscu, gdzie trafił pocisk, zaledwie pół metra od jej głowy, wzbiła się chmura piachu.

Dern uniósł raketnicę, wycelował i pociągnął za spust. W tej samej chwili rozpoczęła się prawdziwa kanonada. Grad kul uderzył w pomost, z desek posypały się drzazgi.

Ava patrzyła z przerażeniem, jak na twarzy Wyatta wybucha skrząca się gwiazda. Pociski dziurawiły mu ciało, w oczach pojawił się obłądny strach, z ust wyrwał się okrzyk bólu. Snop iskier podpałił mu włosy, głowę ogarnęły płomienie. Wrzeszcząc przeraźliwie, podrygiwał jak upiorna marionetka, gdy trafiały go kolejne kule. Wreszcie, wciąż płonąc i brocząc krwią, osunął się bezwładnie i runął do wody.

Strzały ucichły.

Ava, wstrząśnięta tą potworną sceną, nie zdołała powstrzymać torsji. Gdy znów odwróciła się do Derna, objął ją i przytulił. Zatonęła w jego silnych ramionach, czuła rytmiczne bicie jego serca.

- Wszystko będzie dobrze - szeptał jej we włosy.
- Kocham cię - wykrztusiła łamiącym się głosem. A potem, przemoczona, zziębnięta i wyczerpana upływem krwi, uległa zmęczeniu. Zamknęła oczy i poczuła, jak pochłania ją ciemność.

Rozdział 47

Lekarze zapewniali Derna, że Ava odzyska przytomność i dojdzie do siebie. Śpiączka, tłumaczyli, to efekt przeżytej traumy, wychłodzenia organizmu i dużej utraty krwi.

Nie wierzył im i spędził całą noc przy jej łóżku. Wrócił na wyspę dopiero rano. Poszedł do swojego mieszkania nad stacją umyć się i przebrać, a potem oporządził zwierzęta. Ktoś musiał zadbać o konie i psa. .

Kiedy tylko uporał się z obowiązkami, zadzwonił do szpitala, z komórki, z której kontaktował się z Rebę. Usłyszał, że Ava śpi, i postanowił trochę powęszyc na własną rękę.

W domu nikogo nie było, krewni Avy i personel wynieśli się z Neptune's Gate. Dziwnie się czuł, chodząc po pustych pokojach. Khloe i Wyatt już nigdy tu nie wejdą. Ani Evelyn McPherson, ani Jewel-Anne.

Dom duchów, pomyślał, wsłuchany w echo własnych kroków w holu. Umilkł nawet ten cholerny zegar.

Sam nie wiedział, czego właściwie szuka, ale obszedł wszystkie pokoje, aż w końcu zawędrował na strych, miejsce, w którym Jewel-Anne zaczęła swój okrutny plan. Panował tam niesamowity nastrój - przyćmione światła, pajęczyny pod sufitem, meble przykryte zakurzonymi pokrowcami. Krążył po dawnych kwaterach służby, obejrzał ciasną kuchenkę i sypialnię, niczego jednak nie znalazł.

Był już na schodach i miał wrócić na dół, gdy dostrzegł nagły błysk w oknie. Podeszedł bliżej i zobaczył pudełko z płytą Elvise wsunięte za żaluzję. To pewnie nic ważnego, uznał, lecz mimo to je wyjął. Opakowanie było pęknięte, a płyta porysowana. Pewnie dlatego ktos ją tu zostawił. Zanim odłożył płytę na parapet, zauważył kolorową wkładkę, książeczkę z tekstami piosenek i zdjęciami Elvise. Zaczął ją przeglądać i wtedy spomiędzy kartek wypadł na zakurzoną podłogę mały prostokątny arkusik papieru.

Dern podniósł go, odwrócił i zobaczył, że to zdjęcie małego chłopczyka, który uśmiechał się nieśmiało do obiektywu. Podpis na odwrocie fotografii brzmiał:

„Noah. Cztery lata”.

Imię i wiek nie pozostawiały żadnych wątpliwości - ukochany synek Avy żyje. A ta wredna suka Jewel-Anne wiedziała o tym i dręczyła kuzynkę, chcąc doprowadzić ją do obłędu.

Ale gdzie jest chłopiec?

Zdjęcie należało do Jewel-Anne, więc musiała znać miejsce jego pobytu. Niestety, jej nie mógł już o to zapytać. Ani Wyatta, który pewnie albo sam wymyślił sfinansowane porwanie, albo przynajmniej w nim uczestniczył. Jeżeli uknuli to tylko we dwoje, odnalezienie Noaha będzie graniczyło z cudem. Może jednak ktoś im pomagał.

Ale kto?

Jeszcze raz spojrzął na podpis na odwrocie fotografii i uświadomił sobie, że już widział ten charakter pisma - na liścikach, które pisała do sparaliżowanej podopiecznej jej pielęgniarka.

A niech to! Demetria wie, gdzie jest mały.

Dern zbiegał ze schodów na łeb, na szyję. Musiał jak najszybciej skontaktować się ze Snyderem i ustalić, gdzie się podziała ta cholerna pielęgniarka.

Choćby miał poruszyć niebo i ziemię, odnajdzie synka Avy. - Pani Garrison? Ava? Słyszysz mnie pani?

Cichy kobiecy głos dobiegał z oddali. Ava uniosła jedną powiekę, ale natychmiast ją zamknęła, oślepiona ostrym światłem.

- Odzyskuje przytomność - rozległ się inny głos, męski i jakby znajomy.

- Pani Garrison? Jak się pani czuje? - Znowu kobieta. Fatalnie, chciała odpowiedzieć, ale nie miała siły.

- Słyszysz mnie pani? Jestem pielęgniarką, mam na imię Karen. Czy może się pani odezwać? Jest pani w szpitalu.

- Co? - wychrypiała Ava ledwo słyszalnym szeptem.

- Dzięki Bogu! - W głosie mężczyzny słychać było ogromną ulgę. Ava uniosła powiekę i zobaczyła Austina Dema.

- Co się stało? Gdzie... - urwała, bo zaczęły do niej wracać obrazy koszmarnej nocy.

Dern pochylił się i pocałował ją w czoło. Chciał się wyprostować, ale złapała go za rękę i przytrzymała.

- Powiedz - poprosiła. Kiedy pytając spojrział na pielęgniarkę, wysoką, szczupłą kobietę o kręconych rudych włosach, mocniej zacisnęła palce. - Powiedz mi.

- Może pan zostać - zgodziła się pielęgniarka. - Ale tylko chwilę, bo policjanci też chcą z nią porozmawiać.

- Dziękuję. - Dern wyglądał, na wykończonego. Skinął głową i odwrócił się z powrotem do Avey. - Chcę ci coś pokazać - powiedział, wydając z kieszeni zdjęcie mniej więcej czteroletniego chłopczyka, nieśmiało spoglądającego w obiektyw.

Wystarczyło jedno spojrzenie na fotografię i już wiedziała, że przedstawia jej ukochanego synka. Chciała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle. Mrugała szybko, powstrzymując łzy, i zagryzała usta.

- Znalazłem go - rzekł Dern. - Jest cały i zdrowy.

- Znalazłeś Noaha? - Oczy zaszyły jej łzami. Była pewna, że się przesyłała, że to kolejna halucynacja po lekach... - Nie okłamuj mnie, Dern. Proszę.

- Nie kłamie - zapewnił.

Nie mogła w to uwierzyć. Zacisnęła palce na jego dłoni.

- Gdzie?... Jak?...

- To był pomysł Wyatta i Jewel-Anne. A pomagała im Demetria. Noah jest w Kanadzie, w Vancouver.

- Co? - Ava odrzuciła kołdrę. - Muszę stąd wyjść. Noah... Ja nie...

- Wróci do ciebie - obiecał. - Snyder już się tym zajmuje.

- Boże! Więc to prawda? To się dzieje naprawdę, a nie w mojej głowie?

- Tak. Odzyskasz syna.

- Wreszcie... - Przepelniała ją radość, ale z oczu płynęły łzy. Łzy szczęścia.

- Jak on się czuje? Nic mu nie jest?

- Nie jest cały i zdrowy - zapewnił Dern.

- Chcę go zobaczyć! - wykrzyknęła Ava. - Muszę do niego jechać!

Natychmiast! . .

Chciała wstać, lecz pielęgniarka położyła jej dłoń na ramieniu i powiedziała:

- Obawiam się, że to niemożliwe. Ale poproszę lekarza, żeby wypisał panią jak najszybciej, obiecuję. - Uśmiechnęła się i zamrugnęła

szybko, jakby i ona miała ochotę się rozpląkać. - Doskonale panią rozumiem. Też jestem matką.

Pielęgniarka dotrzymała słowa i Ava tego samego dnia wróciła do domu. Lekarz pouczył ją, że powinna dużo odpoczywać i unikać stresów. Obiecała zastosować się do jego zaleceń, chociaż wiedziała, że nie prześpi spokojnie nawet godziny, dopóki nie odzyska Noaha. Ciszę panującą w domu przerywały czasem telefony od dziennikarzy, którym konsekwentnie odmawiała wywiadów. Na szczęście przy jej boku był Dern, jedyny, który z nią został.

Byli sobie coraz bliżsi, choć wciąż jeszcze całkiem nie wydobrzała, a nawet nie pochowała męża.

Plan Wyatta i jego kochanki był niemal doskonały, niewiele brakowało, żeby się powiódł. Dopiero pod koniec sytuacja wymknęła im się spod kontroli i oboje ponieśli śmierć. Policjanci twierdzili, że morderczynią była Khloe, udział Wyatta w zabójstwach pozostał niejasny. Pewne było natomiast, że uczestniczył w próbach doprowadzenia Avy do obłądu i samobójstwa, chociaż Jewel-Anne zaczęła swoją grę powodowana jedynie pragnieniem zemsty i wyrzutami sumienia po oddaniu własnego dziecka.

Avą miały sprzeczne uczucia. Owszem, cieszyła się, że Khloe i Wyatt dostali to, na co zasłużyli, ale odczuwała też smutek... Wszystko było takie poplątane. Dręczyło ją również pytanie, czy pozostali mieszkańcy Neptune's Gate wiedzieli, co się dzieje. Czy coś podejrzewali? Ian, Trent i Jacob oczywiście zaklinali się, że nie mieli o niczym pojęcia.

Feralnej nocy Virginia i Simon byli na stałym lądzie. Przysięgali, że są niewinni, i ostatecznie wyprowadzili się z posiadłości. Także kuzyni Avy pokazali, ile są warci - wszyscy szukali nowych mieszkań. Trent wrócił do siebie, a Ian sprawnie się spakował, powstrzymując się na ten czas od zwykłego marudzenia. Nawet Jacob się wyprowadził, twierdząc, że ma dosyć tego nawiedzonego domu. Tamtej nocy był u siebie, pewnie upalony do nieprzytomności, z telewizorem nastawionym na cały regulator. Przysięgał, że niczego nie słyszał i przespał całe zamieszanie mimo ryczącego odbiornika.

Jasne.

Ale Ava się nimi nie przejmowała. Służba nie jest niezastąpiona, a rodzina nigdy nie była jej bliska. Ci, którzy zechcą się odezwać, może

Zinnia czy ciotka Piper, pewnie kiedyś to zrobią. Albo i nie. Na razie wszyscy dali jej to, czego najbardziej potrzebowała - święty spokój.

Został tylko Dern, mężczyzna, którego z dnia na dzień coraz lepiej poznawała.

Jak dotąd wszystko było na dobrej drodze. Miała nadzieję na wspólną przyszłość, kiedy już opadną emocje po ostatnich zawieruchach w jej życiu.

Najważniejszy był Noah.

Wreszcie trzeciego dnia, gdy już myślała, że oszaleje, zadzwonił telefon. Jej syn wracał do domu, dzięki pomocy Snydera! Miał Cztery lata, odebrano go rodzinie, którą uważał za swoją, więc nie będzie łatwo. Ale Ava potrafi być cierpliwa.

Zaczął się przypływ. Znad oceanu nadciągały chmury. Czekala na Noaha na pomoście, starając się omijać wzrokiem ślady kul i plamy krwi/których nie dało się do końca doczyścić.

Dern stał obok niej. W ciągu dwóch dni, które spędziła w szpitalu, rozgryzł całą sprawę.

- To musiała być Demetria - oznajmił, gdy została wypisana. - Nikt inny nie zachowałby tajemnicy, zresztą była najbliższą przyjaciółką Jewel-Anne, jej zausznicą. Jewel-Anne namówiła ją, żeby podczas przyjęcia wyniosła chłopca. Wyatt wiedział o wszystkim. Zaplanowali to tak, żeby zniknął po tym, jak położysz go spać. Przenieśli go na łódź, a po drugiej stronie zatoki już czekała znajoma, która rozpaczliwie pragnęła mieć dziecko. Z małego lotniska odleciała prywatnym samolotem do Kanady, do Vancouver. Tam Noah rozpląnął się w powietrzu dzięki podrobionym dokumentom. Ale teraz już wszystko będzie dobrze. - Objął ją. - Demetria była w strasznym stanie po śmierci Jewel-Anne. Kiedy pokazałem jej zdjęcie, które znalazłem, załamała się, opowiedziała wszystko i teraz ma na głowie policję, FBI i władze kanadyjskie. Sprawa nie jest prosta z prawnego punktu widzenia, ale jedno jest pewne: odzyskasz synka.

- Dzięki Bogu.

- Na początku będzie trudno. Noah nadal uważa, że jego prawdziwa mama mieszka w Vancouver. Ona zresztą też trafi za kratki.

- Będzie za nią tęsknił.

- Ojciec zmył się rok temu, więc...

- Więc tę lukę będzie łatwiej zapełnić. - Kiedy spojrzała na niego, miał na twarzy ten swój zmysłowy uśmiech, który tak bardzo jej się podobał. - Zgłaszasz się na ochotnika?

- Wiesz, co czuję. - Rzeczywiście, wiedziała. Wyznał jej miłość i na razie zamierzał zostać na wyspie, choć miał własną posiadłość w Teksasie.

Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, ale miała dobre przeczucia co do ich związku. Bardzo dobre.

Teraz jednak najważniejszy był Noah. Właściwie to zawsze on był najważniejszy.

Łódź była coraz bliżej, przecinała szarą toń, znacząc ją białą smugą. Ava odruchowo zaciskała dłonie. Wiatr bawił się jej włosami, pachniał morzem. Wysoko nad ich głowami krzyczały mewy, drażniąc się z psem, który najwyraźniej wyczuwał napiętą atmosferę i nie oddalał się od Derna.

Ava nie zwracała na to uwagi. Skoncentrowała się na policyjnej łodzi i jej najważniejszym pasażerze.

Z mocno bijącym sercem patrzyła, jak łódź przybija do pomostu.

Detektyw Snyder, w przepisowym mundurze, pomagał wysiąść szczupłemu chłopcu.

Serce stanęło jej w piersi. Noah! Był wyższy, niż go pamiętała, szczuplejszy, bez niemowlęcego tłuszczu, miał gęste, kręcone ciemne włosy, ale rozpoznała go od razu, gdy szedł pomostem, trzymając Snydera za rękę.

Coś ścisnęło ją za gardło, pod powiekami zbierały się łzy. Pamięta ją? Nie, nie wolno jej oczekiwać zbyt wiele.

Dern uściśnął jej ramię. Zrobiła krok do przodu.

- Noah? - zapytała. Chłopczyk nieufnie zmarszczył brwi.

- Mam na imię Peter.

- Oczywiście. A ja jestem Ava. - Tłumaczyła sobie, że musi dać mu czas. Boże, oddałaby wszystko, żeby ją rozpoznał, by w jego oczach pojawił się błysk przypomnienia, gdy spojrzy na dom, na pomost, na jej twarz. Nic z tego. Chłopiec wodził wzrokiem od niej do Derna, zerkając z zainteresowaniem na Rovera.

- To twój pies? - zapytał.

- Tak. - Skinęła głową, starając się nie rozplakać. Uśmiechnął się nieśmiało.

- Zawsze chciałem mieć psa.

- Jest twój - powiedział Dern.

- Naprawdę? - Noah rozpromienił się, otwierając buzię ze zdziwienia.

- Naprawdę.

Podszedł do psa, żeby go pogłaskać, a Rover polizał go po twarzy.

- Fuj! - pisnął Noah zachwycony i z jeszcze większym zapalem głaskał psa.

Ava z trudem powstrzymywała łzy. Uścisnęła dłoń Derna, podeszła do chłopca, schyliła się i przytuliła go.

- Witaj w domu, Noah - powiedziała głosem łamiącym się ze wzruszenia. - Witaj w domu, kochanie.

- Mówiłem, że nazywam się Peter - powtórzył.

- Tak, pamiętam. - roześmiała się. - No cóż, Peter, bardzo się cieszę, że tu jesteś!

Rover zauważył wiewiórkę, szczeknął i popędził w jej stronę. Peter pobiegł za nim. Był o wiele wyższy niż przed dwoma laty, gdy widziała go po raz ostatni.

- Chyba sobie poradzi - stwierdził Snyder, odprowadzając chłopca wzrokiem. Odchrząknął, spojrzał na Avę i skinął głową, wyraźnie zadowolony z tego, co zobaczył. - Razem sobie poradzicie.

Ava uśmiechnęła się promiennie.

- Na sto procent - odparła i, czując się lekka jak piórko, pobiegła za długo oplakiwanym synkiem, który wreszcie wrócił do domu.